CONN IGGULDEN

SOKÓŁ SPARTAŃSKI

Czasami bitwę
rozstrzyga jeden cios

REBIS

CONN IGGULDEN

SOKÓŁ SPARTAŃSKI

Przełożył
Piotr Kuś

REBIS

DOM WYDAWNICZY REBIS

Mojemu synowi Cameronowi,
z którym odbyłem podróż do Sparty

W 401 roku p.n.e. król perski władał imperium rozciągającym się od Morza Egejskiego po północne Indie. Jego poddanymi było ponad pięćdziesiąt milionów ludzi, a jego armie były przeogromne.

Współpracując na lądzie i na morzu, jedynie Sparta i Ateny zdołały im się przeciwstawić.

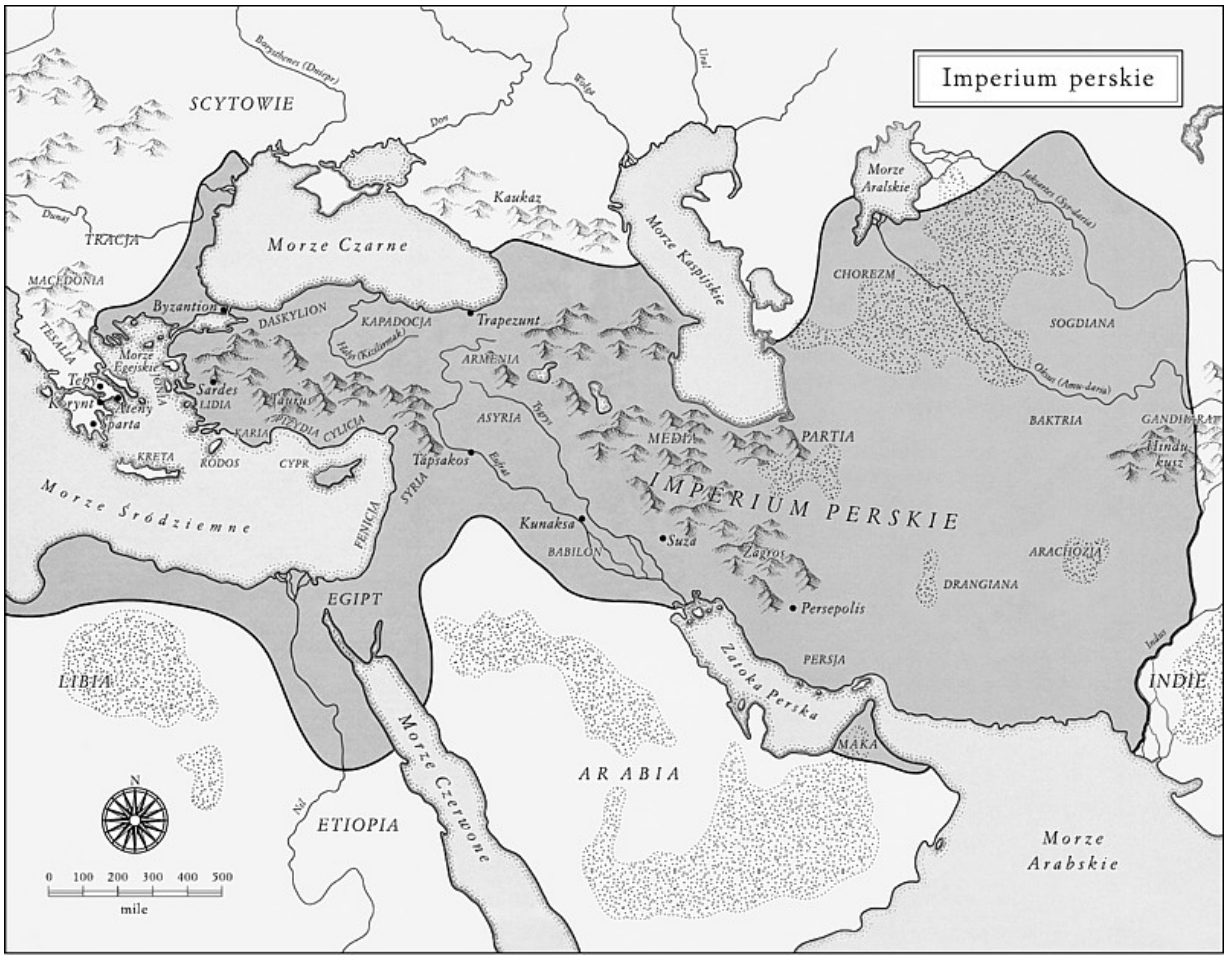
Imperium perskie
SCYTOWIE
Borysthenes (Dniepr)
Don
Wołga
Ural
Kaukaz
Morze Czarne
Morze Kaspijskie
Morze Aralskie
Jaksartes (Syr-daria)
Oksus (Amu-daria)
Dunaj
TRACJA
MACEDONIA
TESALIA
Byzantion
DASKYLION
KAPADOCJA
Trapezunt
CHOREZM
SOGDIANA
BAKTRIA
GANDHARA
Hindu-kusz
Morze Egejskie
IONIA
Sardes
LIDIA
Efez
Milet
Kreta
Ateny
Sparta
KARIA
PISYDIA CYLICJA
KRETA
RODOS
CYPR
ARMENIA
ASSYRIA
Tigris
MEDIA
PARTIA
Tapsakos
Eufrat
SYRIA
FENICJA
Morze Śródziemne
IMPERIUM PERSKIE
Kunaksa
Suza
BABILON
Zagros
ARACHOZJA
DRANGIANA
Persepolis
EGIPT
PERSJA
Indus
INDIE
Zatoka Perska
LIBIA
MAKA
Morze Czerwone
ARABIA
Nil
ETIOPIA
Morze Arabskie
N
0 100 200 300 400 500
mile

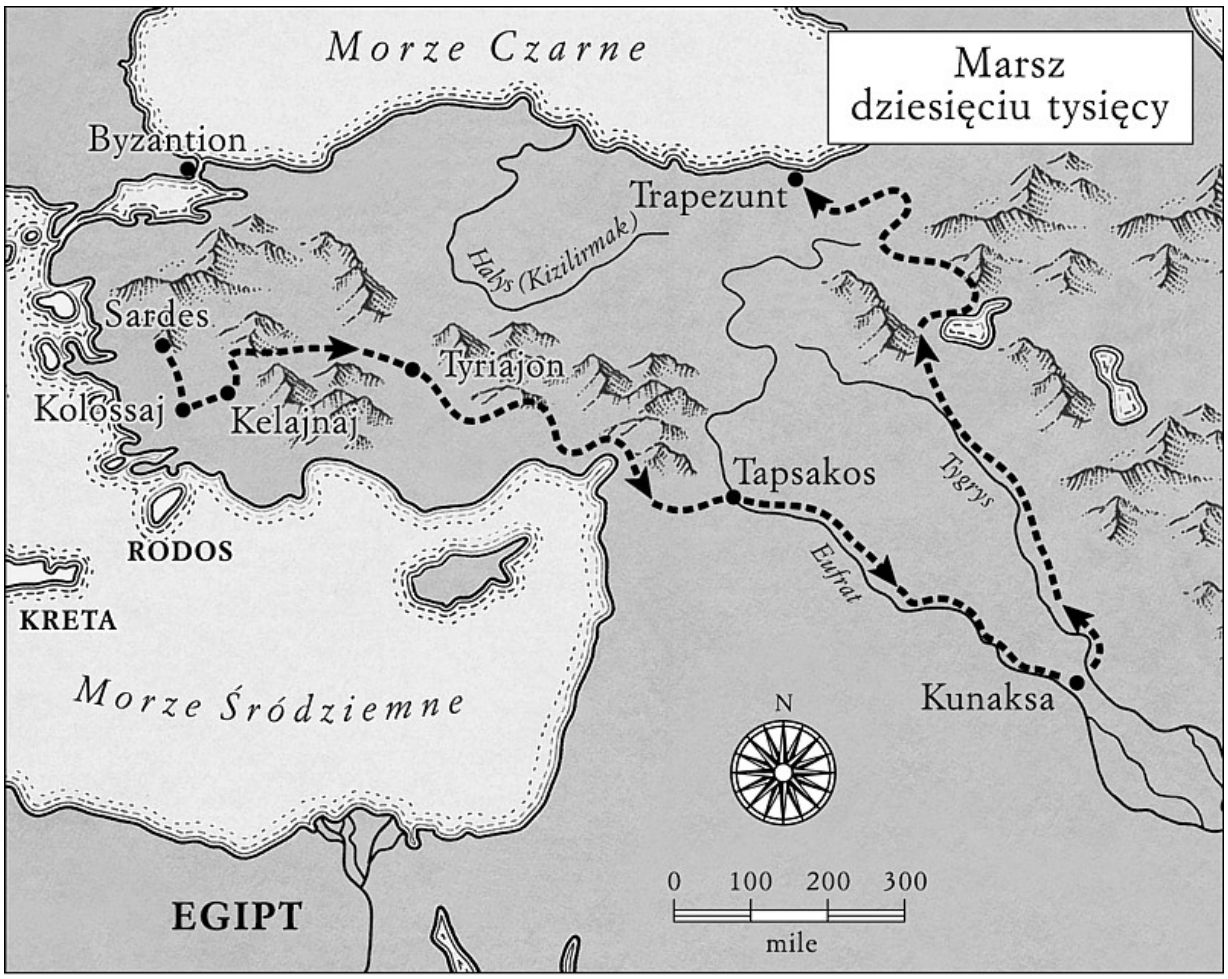
Morze Czarne
Marsz
dziesięciu tysięcy
Byzantion
Trapezunt
Halys (Kizilirmak)
Sardes
Tyriajon
Kolossaj
Kelajnaj
Tapsakos
Tygrys
Eufrat
RODOS
KRETA
Morze Śródziemne
N
Kunaksa
0 100 200 300
mile
EGIPT

Prolog

W Babilonie szpaki rozdziawiały dzioby z gorąca, ukazując ciemne języki. Za rozległymi murami miasta słońce zadręczało tych, którzy pracowali na polach, przyginając im plecy mocno ku ziemi.

Skóra Wielkiego Króla, który szedł środkiem drogi, lśniła; jego syn nie potrafił odgadnąć, czy błyszczy od oliwy czy od potu. Błyszczała również czarna, kędzierzawa broda ojca, stanowiąca od zawsze jego integralną część, tak jak zapach róż albo długi, sztywny płaszcz.

W powietrzu, niczym groty włóczni na tle nieba, unosiła się woń rozgrzanych kamieni i cyprysów. Ulice w pobliżu były opustoszałe. Ani dziecko, ani staruszka, ani nawet kurczak nie miały prawa brukać ziemi, którą królewscy żołnierze oczyścili na okoliczność spaceru władcy. Cisza zaległa tak ciężką pokrywą, że chłopiec słyszał wyłącznie śpiew ptaków.

Ulicę Ningal wyłożono delikatnymi liśćmi drzew palmowych. Leżały na ziemi grubą warstwą i wciąż były zielone. Żaden niemiły zapach nie mógł zakłócić rozmowy ani myśli starszego mężczyzny w chwili, gdy będzie je przekazywał synowi. A chodziło mu o rzecz najważniejszą, o przetrwanie dynastii, słów króla nie mogły więc usłyszeć ani nałożnice, ani tym bardziej szpiedzy. Jego dowódcy uznali za królewski kaprys wysłanie ich na długo przed wschodem słońca, aby oczyścili dzielnice po obu stronach głównej drogi. Tymczasem dzisiejszych słów króla po prostu nikt nie miał prawa podsłuchać. Władca wiedział, że wielu ludzi na dworze chciałoby słyszeć każde wypowiedziane przez niego słowo. Wokół roiło się od małych

satrapów, a jego sandały skruszyły korony zbyt wielu pomniejszych królestw. Dziewięćdziesięciu władców opłacało szpiegów, żeby go podsłuchiwali, a tysiąc dworzan w jego otoczeniu rozpychało się, aby uzyskać jak najlepszą pozycję. Prosta przyjemność samotnego spaceru z synem, dostępna każdemu pasterzowi, stała się dla niego luksusem równie wielkim jak rubiny, rzeczą równie cenną jak ciężkie złote monety z wizerunkiem króla Dariusza, zwane „łucznikami”, krążące po całym imperium.

Od początku spaceru chłopiec rzucał ukradkowe spojrzenia w kierunku ojca; uwielbiał go i ufał mu bezgranicznie. Młody Artakserkses starał się dopasować swoje tempo do tempa króla, chociaż oznaczało to, że aby za nim nadążyć, musi co jakiś czas stawiać dodatkowe pół kroku. Dariusz zdawał się tego nie widzieć, a przecież Artakserkses wiedział, że ojciec zwykle dostrzega wszystko, co dzieje się wokół niego. Sekret długiego panowania tkwił w jego mądrości. Gdyby chłopca zapytano o zdanie, powiedziałby, że jego ojciec nigdy dotąd w żadnej sprawie się nie pomylił.

Ferując wyroki, król decydował o losach najpotężniejszych panów w swoim królestwie, kształtował losy ludzi, których armie liczyły dziesiątki tysięcy żołnierzy i którzy władali krainami obfitującymi w nefryty oraz kość słoniową, rozpościerającymi się znacznie dalej, niż wynosi odległość do Księżyca. Dariusz słuchał i gładził dłonią brodę, a spojrzenia ludzi skupiały się na jego palcach. Tarł palcem wskazującym o kciuk albo wybierał winogrona ze złotej miski, którą trzymał niewolnik klęczący u jego stóp. I wkrótce dostrzegał sedno problemu, chociaż jego doradcy wciąż się wahali i kłócili. Artakserkses zazdrościł ojcu tej nadzwyczajnej przenikliwości, słuchał go więc i pilnie się uczył.

Miasto było tak spokojne, jakby dla zachowania tego spokoju tysiące żołnierzy trzymały noże przy gardłach wszystkich mieszkańców. Dowódcy

króla wiedzieli, że właśnie na nich spadnie jego gniew, jeśli coś zakłóci absolutny spokój – a zatem ojciec i syn spacerowali, jakby byli jedynymi żywymi ludźmi na świecie. Na ziemię opadał kurz, obniżała się temperatura, a słońce powoli zbliżało się do linii horyzontu, wreszcie przynosząc ludziom ulgę po długim gorącym dniu.

– Babilon był kiedyś sercem imperium, wielkim sercem – powiedział Dariusz. Jego głos brzmiał łagodnie; był to bardziej głos nauczyciela niż wojownika.

Syn skierował ku ojcu rozpromieniony wzrok.

– Myślałem, że Persja jest większa – powiedział.

Ojciec uśmiechnął się, usłyszawszy dumę w głosie Artakserksesa.

– Oczywiście! Pod każdym względem. Persja jest dziesięć razy większa niż ambicje starego Babilonu. Granic mojego imperium człowiek nie jest w stanie obejść za życia. Nie obszedłby ich nawet wtedy, gdyby miał dwa albo trzy życia. A przecież tego wszystkiego mi nie podarowano, synu. Kiedy mojego ojca zabito, korona przypadła mojemu bratu. Włożył ją na głowę, zanim łzy wyschły na jego twarzy, i panował zaledwie miesiąc, po czym on również został zamordowany.

– A ty się zemściłeś na jego mordercy – dodał Artakserkses, chcąc przypochlebić się ojcu.

Król przystanął i uniósł twarz ku słońcu. Zamknął oczy, żeby łatwiej zobaczyć wspomnienia.

– Tak zrobiłem. Tego dnia, kiedy wstało słońce, było nas trzech braci. Wieczorem byłem już tylko ja. Sam, cały zbryzgany krwią, ale byłem królem.

Dariusz nabrał powietrza w płuca, przez co szwy jego jedwabnego płaszcza niebezpiecznie zatrzeszczały. Syn wyprostował się i spróbował go naśladować. Artakserkses nie wiedział, dlaczego ojciec zabrał go dzisiaj na

ten spacer, nie wiedział też, dlaczego w zasięgu wzroku nie ma żadnego z jego sławnych strażników, Nieśmiertelnych. Mówiono, że ojciec nie ufa nikomu, a tymczasem wybrał się na tę przechadzkę samotnie, wyłącznie w towarzystwie swojego najstarszego syna i następcy. Fakt ten napełnił czternastoletniego Artakserksesa dumą i szczęściem.

– Król musi mieć więcej niż jednego syna – kontynuował ojciec. – Śmierć przychodzi bardzo szybko, bez ostrzeżenia, jak pustynny wiatr. Może nadejść z potknięciem konia albo z przypadkowym ciosem sztyletu. Może ją przynieść trucizna albo zdrada, zepsute mięsiwo, gorączka albo dżiny unoszące się w powietrzu. W takim świecie król, który ma tylko jednego syna, jest łakomym kąskiem zarówno dla bogów, jak i dla wrogów.

Dariusz znów ruszył, trzymając dłonie splecione za plecami; chłopak ponownie z trudem za nim nadążał. Dotrzymał mu jednak kroku i ojciec kontynuował:

– Ale jeśli pierwszy syn, ten najbardziej ukochany, zdoła dotrwać do wieku męskiego, sytuacja staje się zgoła inna. Jeśli wówczas ma braci, co było tak istotne w latach wcześniejszych, to oni są jedynymi istotami na świecie, które mogą mu wszystko odebrać.

– Cyrus? – zapytał nagle Artakserkses. Pomimo wielkiej rozwagi i uwielbienia, jakie żywił dla ojca, myśl, że jego młodszy braciszek mógłby kiedykolwiek stać się mu wrogiem, wywołała prawdziwe zdumienie. – Ojcze, Cyrus przenigdy by mnie nie skrzywdził.

Ojciec zatrzymał się w pół kroku. Poły jego płaszcza uniosły się niczym pancerz żuka gotowego do lotu.

– Jesteś moim synem i następcą. Jeśli stracisz życie, królem będzie Cyrus. To jest jego… cel. – Król przykląkł na kolano i ujął dłonie chłopca w swoje ręce. – Włożysz moją koronę, to ci obiecuję. Ale Cyrus… on jest urodzonym wojownikiem. Ma zaledwie trzynaście lat, a jeździ konno

równie dobrze jak moi najlepsi strażnicy. Widziałeś, jak go traktują? Nie dalej jak miesiąc temu nosili go na ramionach wokół pałacowego dziedzińca, gdy trafił strzałą z łuku ptaka w locie. – Król wziął głęboki oddech. Bardzo chciał, żeby Artakserkses go zrozumiał. – Synu, kocham was obu, ale kiedy zlegnę na łożu śmierci, kiedy imperium będzie wyciszone i w żałobie, tego ostatniego dnia zawołam Cyrusa do siebie, a ty będziesz musiał go zabić. Dlatego że jeśli pozostanie żywy po mojej śmierci, z pewnością zabije ciebie.

Artakserkses ujrzał łzy lśniące w oczach ojca. Po raz pierwszy w życiu dostrzegł, że królem targają głębokie emocje, i to nim wstrząsnęło.

– Myślę, że się mylisz, ojcze, ale zapamiętam, co powiedziałeś.

Król powstał, a jego płaszcz zaszeleścił. Twarz Dariusza zaczerwieniła się, jednak trudno było powiedzieć, czy z gniewu, czy też z powodu jakiejś innej emocji.

– Zapamiętaj więc także moje następne słowa – kontynuował ponurym głosem. – Jeżeli wspomnisz o naszej rozmowie Cyrusowi, jeśli powiesz mu, o czym rozmawialiśmy tylko we dwóch, w gruncie rzeczy poderżniesz sobie gardło. Nie nastąpi to oczywiście ani dzisiaj, ani w tym roku. Wciąż będziecie się razem śmiać i bawić. Cyrus obieca ci lojalność i nie wątpię, że będzie to obietnica płynąca ze szczerego serca. Ale w końcu nadejdzie dzień, gdy się pokłócicie lub kiedy Cyrus pojmie, że nigdy nie zyska władzy, jakiej pragnie, i że jego rolą jest pozostanie aż do śmierci zwyczajnym księciem. Tego dnia przyjdzie do ciebie i zabierze należny ci tron. A jeśli tego dnia ja wciąż będę wśród żywych, jeśli później Cyrus przyjdzie do mnie, nawet jeśli będzie miał twoją krew na rękach… nawet wówczas, nie mając innego syna, uściskam go serdecznie. Rozumiesz, Artakserksesie?

– Tak – odparł królewski syn, jednak wzbierała w nim złość. – Skoro jednak tak go podziwiasz, ojcze, dlaczego po prostu nie zabijesz mnie tutaj, na tej ulicy, i nie pozwolisz Cyrusowi zasiąść na tronie? – Zanim ojciec zdążył odpowiedzieć, Artakserkses kontynuował: – Ponieważ nie masz już więcej synów i na niebezpieczeństwo wystawiłbyś sukcesję. Naprawdę jesteś aż tak zimnym człowiekiem? Nie ma dla ciebie znaczenia, który z nas zostanie królem?

– Gdyby to nie miało dla mnie znaczenia, nie opróżniłbym połowy miasta, żeby z tobą pospacerować i odbyć rozmowę w cztery oczy. Czy mógłbym ją przeprowadzić z Cyrusem? To ty byłeś najbardziej oczekiwanym dzieckiem, dzielny chłopaku. Nie mam wątpliwości, że jesteś inteligentny i mądry, Artakserksesie. W twoich żyłach płynie moja krew i będziesz wielkim królem. – Dariusz dotknął dłonią policzka syna. – Widziałem rozpacz mojego ojca, kiedy wrócił do domu z Grecji. Król Kserkses pobił Spartan pod Termopilami, lecz jego armie zostały otoczone pod Platejami. Zostały rozbite, podobnie jak wojska jego ojca pod Maratonem dziesięć lat wcześniej. Nigdy więcej! Przysiągłem to sobie, kiedy zostałem królem. Zostawiliśmy już w Grecji dosyć krwi, wystarczy na tysiąc lat. Zamiast wojny szukałem w czasie moich rządów pokoju, chciałem, abyśmy żyli wśród pięknych ogrodów, raczyli się winem, mieli mnóstwo złota i rozwijali wiedzę. Dzisiaj uważamy za zwyczajne rzeczy, które jeszcze niedawno określano by mianem czarnej magii. Z tobą na czele zajdziemy jeszcze dalej: powstanie największe imperium, jakie widział świat. Jeśli to ty będziesz królem. Bo jeśli bogowie dadzą tron Cyrusowi, mój młodszy syn znów wywoła wojnę, nie mam żadnych wątpliwości. Cyrus jest zbyt podobny do mojego ojca i zbyt podobny do *swojego* ojca.

– Przecież i ja potrafię walczyć, doskonale to wiesz – powiedział urażony Artakserkses. – Wiem, że nie uważasz mnie za wojownika, ale ja naprawdę

nim jestem.

Król roześmiał się i poklepał syna po plecach. Zanadto go kochał, żeby go teraz dotknąć zaprzeczeniem.

– Oczywiście. Przecież walczyć potrafi strażnik każdego lichwiarza. Jesteś księciem, Artakserksesie! Będziesz królem. Potrzebujesz zatem czegoś więcej niż szybkiego uśmiechu i jeszcze szybszego miecza. Potrzebujesz siły innego rodzaju. Zacznij ją dzisiaj zdobywać. Już nie jesteś na to za młody. – Król omiótł wzrokiem pustą ulicę. W żadnym oknie nie było widać twarzy. – Pamiętaj. W dniu, w którym zostaniesz królem, będziesz musiał to wszystko przerwać. Do tego czasu chłoń wiedzę, jaką ci przekazują nauczyciele, ujeżdżaj konie, ciesz się rozkoszami, jakie dają kobiety, chłopcy i czerwone wino. Nikomu nie wspominaj o dzisiejszej rozmowie. Rozumiesz mnie?

– Rozumiem, ojcze – odparł Artakserkses.

Poważny wyraz jego twarzy wywołał uśmiech króla. Dariusz w jednej chwili się zmienił, wyciągnął rękę i zmierzwił synowi włosy.

– To wielkie szczęście, że bogowie dali mi właśnie ciebie.

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

Góra wznosiła się wysoko nad miastem niczym matka trzymająca dziecko na kolanach. Przed wejściem na stopnie, które wiodły na wielki płaskowyż, Cyrus postanowił poprowadzić całą swoją osobistą straż nad rzekę. Spartanie pozostawili zbroje i broń na brzegu i wbiegli do wody, radośnie zmywając z siebie kurz i pot czterystumilowego marszu.

Z wysokości swojego wierzchowca książę uśmiechał się, patrząc, jak jego ludzie wesoło pluskają się w wodzie, jak rozczesują palcami zlepione włosy i brody. Marsz na wschód sprawił, że żołnierze wychudli jak psy myśliwskie, że pociemniały ich ciała, a twarde mięśnie jeszcze wyraźniej niż dotąd prężyły się pod skórą. Nie stracili ducha, nie zawiedli, chociaż część z nich okupiła tę podróż krwią.

– Panie, nie zmienisz już swojej decyzji? – zapytał cichym głosem Tissafernes.

Cyrus zerknął z ukosa na starego przyjaciela i nauczyciela. Kasztanowy wałach Tissafernesa parskał i potrząsał głową. Był to wierzchowiec o rodowodzie niemającym sobie równych w Persji. Książę skierował wzrok na Spartan. Nagle spoważniał.

– Uważasz, że sam powinienem ruszyć po tych stopniach? – rzucił w odpowiedzi. – Mam wrócić do domu jak żebrak? Kim jestem, jeśli nie synem swojego ojca i księciem? Ci ludzie to moja straż i są najlepsi.

Tissafernes skrzywił się, jakby bolał go ząb. Książę Cyrus skończył niedawno dwadzieścia lat i nie był już młody i głupiutki. Nauczyciel

dobitnie przedstawiał mu swoje zastrzeżenia, a przecież w końcu dotarli na brzeg rzeki Pulwar i teraz Spartanie pławili się w jej wodach jak konie, rozbryzgując dookoła wielkie krople. Książę przyprowadził starego wroga niemal do centrum Persji. Tissafernes marszczył czoło na tę myśl. Widywał greckie mapy świata, których autorzy niewiele wiedzieli o wielkim imperium rozpościerającym się na wschodzie. Nie miał ochoty pomagać Spartanom w odkryciu, gdzie znajduje się Persepolis, a tym bardziej groby królewskie, umiejscowione wzdłuż rzeki zaledwie pół dnia marszu stąd.

– Ktoś mógłby odebrać jako zniewagę, Wasza Wysokość, przyprowadzenie tutaj ludzi, którzy zmagali się z twoimi przodkami i odparli ich na lądzie i na morzu. Spartanie! Tutaj, w sercu świata! Gdyby twój ojciec był młodszy i miał się dobrze…

– Toby mi pogratulował, Tissafernesie – burknął Cyrus zmęczonym głosem. – Ci ludzie trwali przy moim boku. Nie zawodzili ani nie prosili o odpoczynek. Są wobec mnie lojalni.

– Są lojalni wobec złota i srebra – mruknął Tissafernes niemal bezgłośnie.

Cyrus zacisnął szczęki tak mocno, że na jego twarzy wystąpiły twarde mięśnie.

– Oni niczego nie mają. Nawet broń, którą się posługują, trafiła do nich z rąk ich ojców i stryjów albo otrzymali ją w uznaniu za dzielność. Dość tego. Nie chcę już nic słyszeć, stary lwie.

Tissafernes przyjął naganę i skłonił głowę.

Grecy szybko się wypluskali i wyszli na brzeg, aby schnąć w wieczornym słońcu. Miejscowe praczki zaczęły popiskiwać i podśmiewać się na widok tak wielu nagich mężczyzn. Kilku wojowników uśmiechnęło się do nich, inni jednak zaczęli rozgrzewać się ćwiczeniami

gimnastycznymi. Nie byli to mężczyźni stworzeni do wesołego śmiechu, zabawy i swobodnych rozmów.

Zirytowany towarzystwem Tissafernesa Cyrus nagle zeskoczył z wierzchowca, po czym bardzo oszczędnymi ruchami zdjął hełm, tunikę, sandały, spodnie, pelerynę i zbroję. Nie krępowała go nagość i wbiegł do wody, skinąwszy jedynie dowódcy Spartan, Anaksisowi, który stał na brzegu i obserwował okolicę.

Praczki zamilkły na widok młodego człowieka, który nosił brodę ufryzowaną jak u Persa, a na brzegu pozostawił hełm ze złotymi piórami. Chociaż nie znały jego nazwiska, nie ośmielały się go nawoływać. Cyrus powoli się obmył, jakby odbywał jakiś rytuał, jakby jego kąpiel miała na celu coś więcej niż tylko pozbycie się potu i zapachu konia. Spartanie na brzegu milczeli, okazując mu szacunek. W końcu książę wrócił do domu, żeby opłakiwać ojca.

Wiadomość dotarła do Cyrusa przed czternastoma dniami i książę zmusił Spartan do niemal nadludzkiego wysiłku, aby dotrzeć tutaj na czas. Książę zmieniał konie w królewskich zajazdach przy wspaniałej Drodze Królewskiej lub przemierzał kraj, przecinając pola uprawne, na których rosły pszenica i jęczmień, a oni dotrzymywali mu kroku, trwając przy nim dzień po dniu, jakby nie wymagało to od nich żadnego wysiłku. Byli nadzwyczajni, a on był dumny z ich czerwonych płaszczy i z reakcji mijanych ludzi, gdy odkrywali, kim są konni. Ich zasłużona reputacja znów szerzyła się w całym kraju.

W tym miejscu, w przyjemny chłodny wieczór ponury dotąd Cyrus odzyskał wigor. Persepolis wydawało się przygaszone, nie było jednak widać publicznych oznak żałoby. Ulic nie wypełniali żołnierze, nie udekorowano ich żałobnym suknem, w wielu miejscach w donicach płonęło drewno sandałowe. Jednak dopóki nie przejechał przez bramę wiodącą

z płaskowyżu do miasta, nie mógł być pewien, że jego ojciec wciąż żyje. Myśląc o nim, spojrzał na górę, której kształt nadawali jego ojciec i dziadek, i przesunął wzrok aż ku imperialnej równinie, z dużej odległości wydającej się zaledwie linią szarości i zieleni. Nad jego głową w ciepłym powietrzu krążyły dzikie sokoły wypatrujące tłustych gołębi i drzew owocowych. Ten królewski taras zabudowany był pałacami, koszarami i bibliotekami. Pawilon ojca stał w środku bujnego ogrodu, który nazywano „rajem” i który w istocie był tajnym zielonym sercem imperium.

Brzegów rzeki kurczowo trzymały się niskie krzewy, a ich korzenie mocno wgryzały się w miękką ziemię. Winorośl przeplatały białe kwiaty jaśminu, wypełniając powietrze miłym zapachem. Książę głęboko odetchnął, stojąc po pas w wodzie z zamkniętymi oczyma. Był w domu.

Spartanie szybko wyschli, włożyli czerwone płaszcze i jeszcze tylko rozczesywali palcami włosy, wciąż wilgotne, chociaż padały na nie promienie słońca. Książę odświeżył się i starannie, bez pośpiechu się ubrał. Na tunikę włożył zbroję i płaszcz, ale do nóg przymocował także brązowe spartańskie nagolenice, idealnie dopasowane, dzięki czemu jego mięśnie i rzepki kolanowe poruszały się swobodnie pod lśniącym metalem. Nagolenice bardziej przydawały się żołnierzom stającym przed przeciwnikiem z tarczami niż jeźdźcom, jednak nosząc je, Cyrus po prostu oddawał honory swoim ludziom. Tissafernes uważał takie zachowanie za obcą sobie afektację i, oczywiście, ani myślał go naśladować.

Gdyby młody książę nie wracał do domu, by stanąć przy łożu śmierci ojca, zapewne byłby zaskoczony, widząc, w jaki sposób mieszkańcy miasta spoglądają na obcych. Handlarze z rynku owocowego odchodzili od swoich straganów, a opłacani przez nich ochroniarze rzucali w kierunku przyjezdnych gniewne spojrzenia. Grecy w czerwonych płaszczach byli sławni nawet tutaj, mimo że pomiędzy Persepolis a doliną Eurotasu

rozciągały się obszary zamieszkane przez różne ludy i szerokie otwarte morze – była to odległość trzech miesięcy marszu i całego świata. Oprócz legendarnych płaszczy Spartanie nosili także brązowe nagolenice okrywające ich nogi od kostek po kolana. Byli gotowi do wojny, nawet eskortując księcia do domu.

Zanim wbiegli do wody, złożyli tarcze w uporządkowane, ale niestrzeżone sterty, jakby nie potrafili sobie wyobrazić, że ktokolwiek mógłby ich okraść. Na wewnętrznej stronie każdej tarczy wypisane było imię właściciela, a pojedyncza litera wskazywała wrogowi położenie Sparty w Grecji – była to lambda, pierwsza litera nazwy regionu, Lakedajmon. Każda tarcza była starannie wypolerowana, a właściciele dbali o nie jak o ukochane kobiety.

Wskakując na konia, Cyrus zadał sobie pytanie, czy którykolwiek z obserwujących ich ludzi pozna kiedyś Spartę tak jak on. Dla matek pokazujących dzieciom obcych wojowników byli oni tymi, którzy wiele razy upokorzyli perskich Nieśmiertelnych, okrywając się legendą. Ci Grecy rozbili armię Dariusza pod Maratonem. To Spartanie poprowadzili żołnierzy greckich przeciwko królowi Kserksesowi pod Termopilami, pod Platejami i pod Mykale. Persja podbiła niemal trzydzieści ludów, nie zdołała jednak pokonać Grecji – ani wojowników, którzy nosili czerwone płaszcze.

Te mroczne dni należały już do przeszłości, jednak pamięć o nich żyła długo. Cyrus nie patrzył, jak jego ludzie formują doskonały dwuszereg, gotowi wykonywać jego rozkazy. Spartanie w końcu sami pokonali Ateny i objęli rządy nad całą Grecją, ale walczyli dla niego, ponieważ im płacił i ponieważ rozumiał ich poczucie honoru. Jego srebro i złoto wędrowało do ich kraju i służyło do budowy świątyń, koszar i produkcji broni. Niczego

nie zatrzymywali dla siebie, a Cyrus uwielbiał ich jak nikogo innego – poza ojcem i bratem.

– Chodź, stary lwie – powiedział do Tissafernesa. – Już i tak jestem spóźniony. Nie mogę upadać na duchu, ale wciąż trudno mi uwierzyć, że to wszystko nie jest pomyłką. Mój ojciec jest zbyt silnym mężczyzną, by umierać, prawda? – Uśmiechnął się, chociaż jego ból był oczywisty.

W odpowiedzi Tissafernes wyciągnął rękę i uścisnął jego ramię, chcąc chociaż w taki sposób wesprzeć młodego człowieka.

– Byłem sługą twojego ojca już trzydzieści lat temu, nim się urodziłeś. Miał wtedy w swych rękach cały świat. Ale nawet królowie nie żyją na tym świecie bez końca. Każdy z nas spotyka swój kres, chociaż twoi przyjaciele filozofowie pewnie by się ze mną w tej sprawie nie zgodzili.

– Szkoda, że nigdy nie nauczysz się greckiego na tyle dobrze, żeby zrozumieć Greków.

Tissafernes prychnął pogardliwie.

– To język pastuchów. Co mnie obchodzi język niewolników? Jestem Persem.

Spartanie słyszeli jego słowa, a jednak nie dali tego po sobie poznać. Cyrus popatrzył na Anaksisa. Biegły w obu językach słyszał i rozumiał każde słowo, niemniej już dawno uznał Tissafernesa za gadatliwego Persa, którego nie trzeba brać poważnie. Przez krótką chwilę jego spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem Cyrusa i Spartanin mrugnął do niego.

Tissafernes dostrzegł, że twarz księcia się rozpogadza, i obrócił się w siodle, chcąc się zorientować, co tak odmieniło jego nastrój. Zobaczył tylko, że Spartanie znów są gotowi do marszu, i pokręcił głową, pomrukując coś pod nosem na temat wieśniaków i obcokrajowców.

Na czas długich marszów Spartanie przewieszali tarcze przez plecy. Ponieważ nic im teraz nie groziło, Cyrus zarządził przemarsz paradny.

Przechodząc przez jedną z trzech stolic imperium perskiego, każdy z nich miał nieść w lewej ręce tarczę ze złoconego brązu i drewna, a w prawej długą włócznię. Do bioder mieli przypasane krótkie miecze, a zatknięte za pasami na plecach nosili w gotowości osławione kopisy. Te ciężkie noże o wygiętych ostrzach wzbudzały powszechny strach, a wrogowie uważali je za broń nazbyt okrutną i niegodną żołnierzy. Spartanie jedynie śmiali się z takich narzekań.

Hełmy z brązu osłaniały ich brody oraz grube warkocze, który opadały im aż na ramiona. Hełmy kryły zarówno ich rozgniewane miny, jak i strach, nadając im aurę wojowników zimnych i twardych niczym posągi. Byli straszni między innymi dlatego, że rysy ich twarzy zawsze kryły się w cieniu. Sława była atutem, lecz respekt wzbudzał także fakt, że każdy ze Spartan posługiwał się bronią i tarczą odziedziczoną po ojcu i dziadku.

Pozostawiwszy za sobą rzekę, Cyrus i Tissafernes powoli przemierzali ulicę na wierzchowcach, a tłum rozstępował się przed nimi. Panowała absolutna cisza – nie zakłócali jej ani mieszkańcy, ani mężczyźni, którzy właśnie tutaj dotarli.

– Wciąż uważam, że powinieneś pozostawić najemników za sobą, Wasza Wysokość – mruknął Tissafernes. – Co powie twój brat, kiedy zobaczy, że stawiasz Greków ponad Persami?

– Jestem księciem i dowódcą armii mojego ojca. Jeżeli mój brat w ogóle się odezwie, powie, że moja godność przynosi zaszczyt naszemu domowi. Spartanie są najlepsi na świecie. Któż inny potrafiłby dotrzymać mi kroku przez ostatnie tygodnie? Widzisz tu może Nieśmiertelnych? Moich służących? Jeden z moich niewolników zmarł po drodze, gdy próbował wytrwać przy mnie. Pozostali odpadli już na samym początku. Ci ludzie, Spartanie, zasłużyli sobie na miejsce przy moim boku, po prostu przy mnie trwając.

Tissafernes skłonił głowę jakby w geście zgody, ale tak naprawdę był zły. Cyrus traktował Spartan jak normalnych ludzi, a niej jak wściekłe psy, którymi byli w rzeczywistości. Perski pan, nie odwracając głowy, wiedział, że część z nich obserwuje go w marszu. Nie ufali nikomu, kto znajdował się w pobliżu ich pana, jak pospolite kundle. Tissafernes wiedział jednak, że to nie potrwa już długo. Dwaj Persowie na koniach wiedli Spartan pod górę, drogą wiodącą ku wielkim schodom, które zaprowadzą ich jeszcze wyżej, na płaskowyż, gdzie rezydował król Persji.

* * *

Wielkie schody były szerokie i płytkie, aby wracając z polowania, król mógł je pokonywać wierzchem. Cyrus i Tissafernes jechali konno na czele, a Spartanie podążali za nimi w zwartych szeregach. Zbliżając się do wąskiej bramy w zewnętrznym murze, Cyrus czuł na sobie spojrzenia Nieśmiertelnych swojego ojca. Ojciec przeznaczył skarby wielu ludów na przygotowanie tego płaskowyżu, zarówno pogłębiając jego obszar kosztem góry, jak i wyposażając swoją rezydencję w najbardziej wymyślne luksusy. Był to ogród imperium, a zarazem forteca strzeżona bezustannie przez dwa tysiące ludzi.

Ostatni stopień kamiennych schodów znajdował się przy samych drzwiach, potencjalny przeciwnik nie mógł się więc tutaj zgromadzić do ataku w licznej grupie. Cyrus poczuł, że zmienia się światło, gdy perscy oficerowie zasłonili go przed promieniami słońca, wpatrując się w jego zastęp – a w szczególności w Spartan znajdujących się na stopniach za jego plecami. Każdy dzierżył po cztery sztuki uzbrojenia. Twarz Cyrusa nie wyrażała żadnych emocji, kiedy skierował spojrzenie ku górze, na mury oświetlone złotymi promieniami zachodzącego słońca.

– Jestem książę Cyrus, syn króla Dariusza, brat księcia Artakserksesa, dowódca perskich armii. W imię mojego ojca, otwórz drzwi, abym mógł go zobaczyć.

Musiał czekać odrobinę dłużej, niż się spodziewał, i jego twarz zaczęła się czerwienić. Złość przygasła jednak, kiedy usłyszał szczęk łańcuchów i zgrzyt odsuwanych rygli bramy, która powoli się otworzyła, ukazując długi i wąski dziedziniec. Cyrus przełknął ślinę, zdeterminowany, aby w tej chwili nie okazać strachu. W identycznym zamiarze trwali Spartanie.

Nie zsiadając z wierzchowców, Cyrus i Tissafernes ruszyli w blasku słońca przez dziedziniec. Jego promienie były już łagodne o tej porze; zbliżał się ciepły letni wieczór. Cyrus zdawał sobie sprawę, że wreszcie wrócił do domu, że powinien się odprężyć i wyczekiwać spotkania z ojcem. Na razie nie był jednak pewien, jak stary człowiek zareaguje na jego widok, nie był też pewien własnej reakcji na widok wielkiego króla. Chociaż był świadomy, że szybko i nieuchronnie zbliża się dzień, kiedy utraci ojca, nie wiedział, jak się zachowa przy jego łożu śmierci. Kiedy przyjdzie na niego czas, nawet siła wszystkich armii tego świata nie zatrzyma go przecież na świecie ani przez jeden dzień dłużej. I to nie świadomość, że znalazł się w miejscu, w którym ludzie przybywający do pałacu są całkowicie bezbronni, lecz bezradność w obliczu śmierci króla sprawiła, że Cyrus zadrżał.

Obronę płaskowyżu zapewniali nie tylko żołnierze strzegący murów zewnętrznych, ale także wąskie przejścia, przez które napastnicy musieliby przebrnąć. Gdyby w jakiś sposób pokonali kamienne schody i sforsowali bramę, musieliby z kolei zmierzyć się z tym, że dwie strony fortecy były od siebie odseparowane. Siły wroga nie miały szansy się połączyć, dopóki nie przebyłyby okolonych wysokimi murami dwóch wąskich dziedzińców pod gołym niebem.

Cyrus i Tissafernes bez wahania zmierzali w głąb dziedzińca. Spartanie podążali za nimi w absolutnym porządku, w szyku, na który składało się pięćdziesiąt sześcioosobowych szeregów. Kiedy przystanęli przed kolejnymi, większymi drzwiami, oparli końce włóczni o ziemię.

Za ich plecami zatrzaśnięto i zaryglowano zewnętrzną bramę. Niejeden Spartanin zmarszczył czoło, gdy zrozumiał, że cały oddział znajduje się teraz w miejscu, w którym nie ma żadnych możliwości manewru. Dziedziniec otaczały kamienne półki na wysokości dwóch wyprostowanych mężczyzn od gruntu. Ich przeznaczenie nie było oczywiste. Dowódca Spartan, Anaksis, zacisnął dłoń na włóczni. Czuł na sobie wrogie spojrzenia perskich strażników, bardziej przywykłych do dumnego prezentowania się w wypolerowanych zbrojach niż do prawdziwej walki.

Na czele orszaku Cyrus i Tissafernes popatrzyli po sobie i zeskoczyli z koni. Anaksis próbował nie wyciągać głowy, aby zobaczyć, kto wyszedł na ich powitanie, mimo że rozmówców zasłaniały wierzchowce. Nie podobała mu się ta sytuacja. Jego obowiązkiem było chronienie Cyrusa i zapewne też tego starszego grubasa. Nie otrzymał jednak rozkazów, aby zachować czujność, książę nie ostrzegł go przed możliwym zagrożeniem. Anaksis doskonale wiedział, że znajduje się w cytadeli należącej do odwiecznego wroga, ale był też osobistym strażnikiem jednego z książąt wrogiego ludu, człowieka, którego mimo wszystko podziwiał za uczciwość i bezpretensjonalność. Książę, chociaż Pers, był godny szacunku. Nie okazywał strachu, a jego jedyną troską była obawa o życie ojca. A jednak Anaksis zaczął się rozglądać po kamiennych półkach przypominających długie ławy teatru w Atenach. Wiedział, że Persowie są całkiem dobrymi łucznikami. Spartanom nie podobało się więc, że właśnie w takim miejscu mogą być przez nich okrążeni.

Żadnej z tych myśli nie można było wyczytać z jego twarzy, który pozostawała ukryta w cieniu hełmu. Anaksis stał nieruchomo jak posąg z brązu, podczas gdy Cyrus i Tissafernes rozmawiali z kimś przyciszonymi głosami. Ale ucieszył się, kiedy jeden z wierzchowców nieznacznie się przesunął, pozwalając mu dostrzec księcia.

Cyrus odwrócił się do Spartan. Jego twarz była skupiona i poważna.

– Mój brat wydał rozkaz, żebym wszedł do ogrodów królewskich bez straży – powiedział.

Jeszcze przez chwilę patrzył na towarzyszy, jakby chciał coś dodać, ale w końcu tylko potrząsnął nieznacznie głową. Gest ten był prawie niewidoczny, a jednak serce Anaksisa zabiło szybciej.

– Może twój brat jednak pozwoli, żebym ci towarzyszył – zaproponował.

Cyrus uśmiechnął się do niego.

– Przyjacielu, jeżeli za tą bramą czai się zdrada, jeden człowiek niczego nie zmieni.

– Ja zmienię – powiedział Anaksis poważnym głosem.

– Zapewne jest to prawda, muszę jednak wierzyć w honor mojego brata. Jest następcą tronu, a ja nie dałem mu żadnego powodu do niegodnego traktowania.

– A zatem poczekamy tu na twój powrót – postanowił Anaksis i przyklęknął na jedno kolano. Słowa te wypowiedział takim tonem, jakim wypowiada się rotę przysięgi, tak że Cyrus skłonił głowę i dopiero po chwili nakazał mu powstać.

– Dziękuję ci. Twoja służba to dla mnie zaszczyt.

Cyrus odwrócił się i zauważył, że Tissafernes obserwuje tę scenę z krzywą miną. Gestem wskazał księciu bramę, która prowadziła w głąb królewskiego płaskowyżu. Za długim dziedzińcem rozpoczynały się pierwsze ogrody, założone na ziemi zwiezionej tu z pól i pielęgnowane

przez tysiące niewolników. Rosły tam drzewa wyznaczające zacienione aleje, a wśród ich gałęzi biegały wesoło małpki ścigające ptaki. W powietrzu unosił się ciężki zapach zielonych konarów i jaśminu.

Cyrus zignorował drobnej budowy majordomusa, który wyszedł mu na powitanie, nie do końca pewny, czy status tego człowieka jest dla niego zniewagą czy nie. Brata, Artakserksesa, mimo wszystko powinien zobaczyć dopiero przy boku ojca. Dlatego fakt, że eskortować go przez ogrody miał któryś spośród służących, nie musiał dowodzić absolutnie niczego.

Tissafernes zdawał się nie kłopotać podobnymi wątpliwościami w czasie wędrówki przez ogród. Głęboko wdychał zapachy, które doskonale znał. Szedł sztywno wyprostowany, przez co można było odnieść wrażenie, że wszedłszy do ogrodu, jakby urósł. Znał Cyrusa przez większość swego życia i przez znaczną jego część był mentorem oraz przyjacielem księcia. A jednak ich spojrzenia na świat były skrajnie odmienne. Cyrus uwielbiał ludzi, trudno to było opisać inaczej. Ludzie byli jego pasją i kolekcjonował przyjaciół z takim entuzjazmem i energią, z jakimi inni dorabiają się majątku. Z kolei Tissafernes z trudem ukrywał pogardę dla tłumów i spoconych żołnierzy.

Szli ponad godzinę ścieżkami tak zawiłymi, że ktoś obcy zagubiłby się już z dziesięć razy. Cyrus znał je wszystkie z dzieciństwa i szedł za majordomusem, niewiele się rozglądając. Pawilon ojca stał na odległym krańcu płaskowyżu, otoczony przez służących i niewolników czekających chwili, w której król wyda ostatnie tchnienie. Cyrus poczuł, że ściska mu się gardło, gdy usłyszał zawodzenia jego kobiet.

* * *

Anaksis natychmiast uniósł głowę, usłyszawszy szuranie sandałów na kamiennej półce. Spartanie stali w milczeniu już dobrą godzinę, gotowi zareagować na każdy jego sygnał. Zaklął pod nosem, kiedy oddział żołnierzy perskich zaczął gromadzić się na skalnych półkach po obu stronach. Nosili bogato zdobione czarne zbroje, a w rękach trzymali łuki wysadzane cennymi kamieniami, niczym gwardziści w teatrze lub przed drzwiami burdelu. W jego oczach wyglądali jak dzieci, które wpadły do królewskiego skarbca.

Perski oficer miał przymocowany do hełmu pióropusz z czarnych i białych piór, które kołysały się w podmuchach wiatru. W swojej ojczyźnie Anaksis nigdy nie widział tak dużych piór. Skóra oficera lśniła, natarta oliwą, a jego ramiona zdobiły kamienie szlachetne. Nie miał łuku, tylko krótki miecz w złotej pochwie wartej tyle, że można by kupić za nią małe miasto. Na tę myśl Spartanin zmarszczył czoło. Rabunek i szaber musiały tu być na porządku dziennym. Warto o tym pamiętać.

– Tarcze w górę – powiedział donośnym głosem.

Wielu jego ludzi zawiesiło tarcze na plecach albo po prostu postawiło na ziemi i oparło o nogi. Chwycili je teraz na rozkaz Anaksisa, a ich ponure twarze zdradzały myśli kłębiące się w głowach. Żaden nie czuł się dobrze w tej chwili, widząc łuczników na pozycjach gwarantujących przewagę w walce. Oni sami zgromadzeni byli na niewielkim placu i nic ich nie chroniło przed ewentualnym atakiem.

Anaksis popatrzył na kamienne ściany świeżym spojrzeniem. Dostrzegł, że są gładkie, niedostępne. Nad jego głową perscy łucznicy stanęli w trzech rzędach, z lewej i prawej strony; prawdopodobnie dorównywali liczebnością tym, którzy teraz z ponurymi minami obserwowali ich z dołu.

Oficer z pióropuszem na hełmie zaczął schodzić wąską ścieżką umiejscowioną w rogu, stawiając na każdym stopniu tylko część stopy,

dzięki czemu Anaksis mógł dostrzec nabite ćwiekami podeszwy. Przez długi czas nikt inny nie wykonywał żadnego ruchu. Powietrza nie poruszał nawet podmuch wiatru, który mógłby Spartanom przynieść ulgę. Cienie już sporo się przesunęły od chwili, gdy odeszli książę i Tissafernes, jednak wciąż był jasny wczesny wieczór. Chociaż było ciepło, Anaksis poczuł, jak kurczy mu się moszna. Mężczyźni spoglądający na Spartan uśmiechali się, potrząsając bronią. Ich łuki były już przygotowane. Choć nosili odświętne zbroje gwardzistów dworu królewskiego, ustawili się w szyku bojowym. Anaksis podrapał się po brodzie.

– Jak sądzisz, trudno będzie się dostać na tę skalną półkę? – zapytał swojego przyjaciela, Cinnisa.

W bardziej normalnych czasach Cinnis był krępym mężczyzną, radośnie chełpiącym się swoją siłą. Jednak czternaście dni wędrówki piaszczystymi drogami sprawiło, że mocno schudł i zrobił się gburowaty.

– Jeśli dwóch ludzi przytrzyma tarczę w taki sposób – uniósł swoją, trzymając ją za skraj – trzeciego będzie można łatwo podnieść na jej wysokość. Sądzisz, że nas zaatakują?

– Tak, tak sądzę – odparł Anaksis. Podniósł głos, zwracając się do reszty swoich ludzi; wiedział, że jest raczej mało prawdopodobne, by któryś spośród gwardzistów, którzy patrzyli na nich z góry, znał grecki. – Ktoś postanowił nas zniszczyć. Nie damy się. Przygotujcie się, aby błyskawicznie wznieść tarcze nad głowy. Stańcie w grupach po trzech. Nie wykonujcie żadnych ruchów, dopóki nie zostaniemy zaatakowani, ale kiedy to nastąpi, macie dopaść tych, którzy stoją na górze. Podoba mi się to miejsce. Uważam, że powinniśmy je utrzymać, dopóki nie wróci książę Cyrus.

– Albo przebijcie się do rzeki i w nogi – mruknął Cinnis.

Anaksis pokręcił głową, czego jego przyjaciel mógł się spodziewać. Bo przecież dowódca dał słowo. I nie zniósłby hańby, jaka by go czekała, gdyby Cyrus powrócił i zobaczył, że on opuścił stanowisko. Cinnis zgarbił się i patrzył z rosnącą złością, jak napinają się cięciwy pierwszych łuków.

Nad głowami Spartan perski oficer nadął się, żeby wykrzyczeć rozkaz. Cinnis podniósł tarczę, której drugi brzeg natychmiast chwycił żołnierz stojący obok. Mężczyźni przez chwilę popatrzyli sobie w oczy, rozwścieczeni zdradą.

Oficer z pióropuszem wrzasnął i perskie łuki wypuściły strzały. Spadaniu pierwszych towarzyszył odgłos przypominający trzepot ptasich skrzydeł. Przetrwawszy atak, Anaksis i jego dwunastu podkomendnych wstąpiło na tarcze na całej długości dziedzińca. Każdy z mężczyzn został wyrzucony w górę pomiędzy zaskoczonych łuczników. Anaksis znalazł się wśród nich, z uniesioną włócznią i siejącym śmierć kopisem, drwiąc z ich nagłego przerażenia.

2

Cyrus zatrzymał się na szerokiej ścieżce pomiędzy lipami. Tissafernes zrobił jeszcze kilka kroków i dopiero po chwili się do niego odwrócił.

– Co się stało? – zapytał.

– Pomyślałem… Ach, nie było mnie w domu przez długi czas. Chodzi mi o smutne nawoływania ptaków i żałobne zawodzenie niewolników. Imperium jest w żałobie, stary lwie. Moje serce łka i odniosłem wrażenie, że usłyszałem jego głos. Mój ojciec ukształtował cały świat wokół siebie. A już w szczególności to miejsce! To dziwne, że stoję teraz tak wysoko nad równiną, owiewa mnie łagodny wiatr, cieszę się cieniem, jaki dają drzewa, i jednocześnie pamiętam, że cały ten płaskowyż został wycięty z górskich zboczy. Królowie osiągają znacznie więcej od innych ludzi, gdy chcą realizować swoje wizje.

– Twój ojciec zawsze był człowiekiem o niezachwianej woli – powiedział Tissafernes. – Chociaż nie zawsze miał rację, to kiedy już podjął decyzję, konsekwentnie dążył do jej realizacji. Większość ludzi się męczy, wypala, a tymczasem twój ojciec z każdym rokiem stawał się silniejszy i bardziej pewny siebie.

– I miewał coraz mniej wątpliwości.

– Wątpliwości są dla dzieci i starców. W dzisiejszych czasach staje przed każdym z nas wiele opcji działania, dlatego koncentrowanie się na wyborze tej jedynej jest coraz trudniejsze. Lecz jako zdecydowani i dzielni

mężczyźni nie dopuszczamy do złych wyborów i nie oglądając się wstecz, w razie potrzeby błyskawicznie sięgamy po miecz lub rydel albo kobietę.

Cyrus zerknął na mężczyznę, którego znał przez całe życie; zrozumiał, że ten pogrążył się we wspomnieniach.

– Oczywiście byłeś tutaj, kiedy on został królem – powiedział z ironią w głosie.

Tissafernes na chwilę wzniósł wzrok ku wieczornemu niebu.

– Drwisz ze mnie. Tak, mówiłem ci o tym dziesiątki razy, lecz powtórzę: już wtedy dostrzegałem w nim wielkość. Jego brat był królem i twój ojciec to akceptował, przysiągł mu lojalność. Przysięgę złożył, leżąc z rozłożonymi ramionami na podłodze, i wszyscy pojęli, że jej dotrzyma.

– Znam tę opowieść – powiedział Cyrus, nagle zmęczony.

Lecz Tissafernes kontynuował, jakby nie usłyszał jego słów.

– Ale inny spośród jego braci nie był człowiekiem tak wielkiego ducha. Nie, książę Sogdianos nie był zdolny do przedłożenia honoru ponad żądzę władzy. Zaledwie sześć miesięcy po koronacji wkradł się do sypialni królewskiej z miedzianym sztyletem. Gdy wzeszło słońce, stanął przed dworem, chociaż wciąż był czerwony od królewskiej krwi, chociaż pozostawił za sobą ślady, którymi wydawał się nie przejmować. Powiedział ludziom, że odtąd on będzie królem, i nie padło z ich strony ani jedno słowo sprzeciwu. To wtedy z tłumu wystąpił twój ojciec.

– Wiem, stary lwie. Był lojalny wobec najstarszego brata i dokonał zemsty na drugim pod względem starszeństwa. Dwór z entuzjazmem przyjął jego odwagę i uznał jego prawa. Wówczas on sam zasiadł na tronie.

– Kochał obu braci, jednak jego najwspanialszą cechą była niezłomna lojalność – powiedział Tissafernes i pokiwał głową.

– To także moja cecha.

– To także twoja cecha – zgodził się natychmiast Tissafernes. – Sądzę, że w twojej piersi bije serce ojca. Mimo że nigdy nie miał w sobie takiej tolerancji dla Greków, jaką ty przejawiasz.

Teraz przyszła kolej na Cyrusa, by wznieść oczy ku niebu i cmoknąć z niezadowoleniem.

– Zdobyłem ich lojalność.

– *Kupiłeś* ich lojalność – odparł Tissafernes i parsknął śmiechem.

– Nie. Ty ich nie znasz. Nie ma na świecie dość złota, żeby kupić służbę Spartan, jeśli sami nie zechcą się jej podjąć.

Tissafernes syknął ze zniecierpliwieniem.

– Cyrusie, drogi chłopcze, na świecie jest wystarczająco dużo złota, by kupić za nie wszystko, czego się chce.

Młodzieniec pokręcił głową, jednak w tej chwili obaj zobaczyli pomiędzy drzewami wielki pawilon. Strażnicy stojący z boku obrzucili ich uważnymi spojrzeniami, a oni umilkli na myśl o spotkaniu z umierającym królem.

Cyrus poczuł, że coś w nim pękło, gdy ujrzał swojego brata, Artakserksesa, wychodzącego mu na spotkanie. Starszy o rok, różnił się od niego tak bardzo, jak tylko mogą się różnić dwaj rodzeni bracia. Artakserkses zawsze był mniej pojętnym uczniem od Cyrusa. Obaj ćwiczyli sztukę wojenną pod surowym spojrzeniem ojca, ale to Artakserkses potykał się o własną włócznię. Cyrus też doskonale radził sobie w zmaganiach z najlepszymi mistrzami walki, wyginając się przy tym jak ryba i wydając gromkie okrzyki radości. Młodszy brat początkowo nie rozumiał posyłanych mu mrocznych spojrzeń i złego humoru starszego. A nawet gdy Cyrus dorósł już na tyle, by rozumieć urazy brata, nie przejmował się nimi. Cyrus doskonale wiedział, że urodził się, aby być lojalnym synem swojego ojca, tak jak wiedział, że nigdy nie zostanie królem. Wszystkie

umiejętności, których nabywał, miały służyć tylko i wyłącznie przysparzaniu chwały tronowi ojca. Nawet kiedy król wybrał Cyrusa, aby w przyszłości dowodził armiami, i kazał mu pobierać nauki u największych wodzów, młody książę zdawał sobie sprawę, że chodzi tylko o to, żeby dzięki temu stał się dla ojca bardziej użyteczny, żeby wzrosła jego wartość.

Bodźcami dla Artakserksesa zaś były sukcesy brata i jego własne ambicje. Także teraz pragnął okazać wyższość wobec młodszego, czego natychmiast dowiodły szeroko rozłożone ramiona, a później mocny uścisk oraz pocałunki w oba policzki i usta Cyrusa. Artakserkses ujął w dłonie głowę Cyrusa, w jego oczach zalśniły łzy i dopiero wtedy się od niego odsunął. Cyrusa ogarnął tak wielki strach, że z trudem wystękał chrapliwym szeptem:

– Czy on…? – Nie był w stanie powiedzieć nic więcej.

Zapytanie, czy ojciec wciąż żyje, mogło sugerować, że jest gotów na jego śmierć. Z równym powodzeniem mógłby pytać, czy nie zapadły się góry albo czy nie wyschły rzeki.

– Nie, chociaż nastąpi to już niedługo. Przywoływał cię, bracie. Już myślałem, że nigdy nie dotrzesz.

– Nie zwlekajmy więc. Pozwól mi go zobaczyć – powiedział Cyrus, spoglądając ponad ramieniem brata.

– W takim stanie? Twoje ubranie jest przepocone. Chcesz go obrazić?

– Każ więc przynieść mi nowe szaty, jeżeli to dla ciebie problem! Wykąpałem się w rzece i jestem czysty. A teraz, bracie, pozwól, że do niego wejdę. I nie każ mi powtarzać tej prośby. – Do głosu młodszego księcia wkradł się ton świadczący o jego żelaznej woli. Artakserkses zawahał się i po chwili postąpił krok do tyłu, wskazując bratu otwarte przejście. Cyrus minął go, nie interesując się, czy w jego ślady pójdzie Tissafernes.

Pawilon był wielki, od wejścia we wszystkich kierunkach rozpościerał się co najmniej na sto kroków. W środku znajdowały się sadzawki i ogrody, pokoje biesiadne. Przebywała tu ogromna gromada osobistych niewolników, których jedynym zadaniem było dogadzanie ojcu Cyrusa. Milczący młody mężczyzna w schludnej tunice wyciągnął ręce po jego płaszcz, zanim Cyrus zdołał zrobić pierwszy krok. On się jednak nie zatrzymał. Znów był chłopcem, który biegnie bez tchu, żeby zobaczyć się z ojcem.

Za jego plecami, stojąc w progu, Artakserkses wyciągnął rękę, gdy zbliżył się do niego Tissafernes. Starszy mężczyzna najpierw uklęknął, a następnie położył się płasko, oddając cześć księciu. Następca tronu po chwili kazał mu wstać, a potem skinął na niego i wyszeptał mu do ucha pytanie:

– Mówił coś przeciwko tronowi, przeciwko mnie?

Wyprostowawszy się, Tissafernes pokręcił głową.

– Ani słowa, Wasza Wysokość. Przysięgam na honor mojej rodziny.

Artakserkses znieruchomiał, zamyśliwszy się.

– Byłeś przyjacielem mojego ojca. Pozostawałeś lojalny wobec króla od najmłodszych lat. Będziesz lojalny także mnie?

Tissafernes postanowił jeszcze raz paść twarzą na ziemię. Przycisnął do niej usta i czoło. Leżał tak, dopóki Artakserkses nie dotknął lekko jego policzka, udzielając mu zgody, żeby wstał. Do jego spoconej twarzy przylgnęły kamyczki.

– Jestem lojalny wobec twojej rodziny, Wasza Wysokość – powiedział Tissafernes – wobec tronu Persji, wobec dynastii zapoczątkowanej przez Dariusza Wielkiego, poprzez Kserksesa i twojego ojca, aż po ciebie. Moja lojalność jest równie silna za życia, jak i będzie po śmierci. Wezwij mnie do siebie na tamtym świecie, a przyjdę do ciebie.

Artakserkses skinął głową, bardzo zadowolony. Pochlebstwa nigdy go nie nudziły. Ludzi, którzy go otaczali, oceniał przede wszystkim po tym, jak potrafili mu schlebiać.

– A mój brat? Znasz go dobrze od dnia, w którym się urodził.

Tissafernes po raz pierwszy się zawahał.

– Cyrusa należy podziwiać, Wasza Wysokość. Kocham go jak własnych synów. Jednak to nie on odziedziczy imperium, które czyni nas wszystkich wielkimi. I to liczy się bardziej niż moje lub jego życie.

Artakserkses trochę się rozluźnił, poruszony słowami starego człowieka.

– Wejdź zatem do środka, przyjacielu. Wykąp się i przebierz w czyste jedwabie. Ojciec przesypia większość dni, będzie jednak chciał wiedzieć, że w końcu do niego przyszedłeś. Obawiałem się, że przybędziesz zbyt późno. Dziękuję ci, że tak się nie stało.

– Twój brat… przyprowadził ze sobą aż trzystu ludzi – powiedział Tissafernes. – To Spartanie i wyjątkowo waleczni wojownicy.

Artakserkses zmarszczył czoło i spojrzał w kierunku, z którego przybył Tissafernes.

– On ich podziwia, wiem.

– Słyszałem, jak ludzie rozprawiali, że ich legenda jest znacznie przesadzona, Wasza Wysokość. Nie… nie podzielam tych wątpliwości. Są sprawnymi i zręcznymi żołnierzami. Twój brat uparł się, żeby ich tu przyprowadzić, chociaż może to tylko sprawić kłopoty. – Umilkł, szukając odpowiednich słów. Wreszcie, mimo że w jego głosie wciąż słychać było pewne wahanie, powiedział z przekonaniem: – Wasza Wysokość, nie pozwoliłbym, żeby swobodnie się wałęsali po naszych ziemiach.

Artakserkses poklepał go po ramieniu i odpowiedział mu z cierpkim uśmiechem:

– Nie będą się wałęsać. Już tego dopilnowałem.

* * *

Anaksis przebrnął przez najniższą półkę skalną, po drodze siejąc śmierć. Umiejętnie unikał ciosów, kucał i skakał na wrogów, doskonale wykorzystując siłę swoich umięśnionych nóg. W jego oczach można było dostrzec wściekłość spowodowaną zdradą i w tej furii poruszał się jak anioł śmierci pośród Persów, którzy mimo zagrożenia starali się zasypywać strzałami Spartan zgromadzonych niżej. W pierwszej chwili Anaksis zepchnął kilku mężczyzn, wiedząc, że jego ludzie zabiją ich szybciej, niż zdoła to zrobić on sam. Stracił włócznię, która utkwiła w pachwinie jednego z wrogów; nie dał rady jej wyrwać, kiedy Pers spadał z półki. Anaksis wyszczerzył zęby, kiedy stanął przed nim kolejny przerażony przeciwnik. Machnął mu przed oczyma ostrzem kopisa i natychmiast dźgnął nim wroga, który zajmował pozycję o jeden stopień wyżej. Zepchnął jego ciało, wykorzystując je do zablokowania ciosu kolejnego napastnika. Kopnął w kostkę łucznika, który próbował posłać strzałę w kierunku Spartanina mającego szaleństwo wymalowane na twarzy; podrzucony za pomocą tarczy, spadł na półkę skalną jak z nieba. Otoczony przeważającymi siłami Persów Anaksis nie czuł strachu, jedynie żal. Wiedział, że to jego ostatnia walka, lecz był bardzo spokojny. Persowie spodziewali się dzisiaj rzezi – i mieli się jej doczekać, jednak wcale nie zanosiło się na taką, jakiej oczekiwali.

Poniżej Grecy trzymali tarcze nad głowami. Znaleźli się w pułapce, nie mieli żadnej możliwości manewru. Dziesiątki z nich porzuciło włócznie lub dźgało nimi łydki łuczników. Ciała w ciemnych szatach grubo zaścielały już ziemię, znajdowało się jednak wśród nich zaskakująco mało Spartan. Grecy stali w zwartych grupach, z tarczami nad głowami, i pomiędzy ich

krawędziami wypatrywali Persów, jednak nie tchórzyli. Anaksis zdołał dostrzec, że Cinnis utrzymuje oddział w porządku i co chwilę wykrzykuje do swoich ludzi kolejne rozkazy.

Anaksis niespodziewanie dla samego siebie uśmiechnął się, gdy podstępnie podszedł rozjuszonego łucznika z wielką brodą i szerokimi ramionami. Mężczyzna uchylił się, chcąc uniknąć ciosu, przed którym Grek w ostatniej chwili się powstrzymał, i w momencie słabości wroga z całej siły pociągnął go za rękaw i zepchnął ze skalnej półki prosto na Spartan. Krzyknęli do niego ze złością, bo nie spodziewali się, że na ich tarcze spadnie taki ciężar. Ale on jedynie się roześmiał i kontynuował dzieło zniszczenia, derwisz odrywający płatami pancerze wroga i z każdą chwilą coraz mocniej zbryzgany perską krwią.

Na długi dziedziniec spadło już tak wielu łuczników, że część Greków podniosła z ziemi łuki i kołczany. Gdy byli chłopcami, większość z nich strzelała do zajęcy i praktycznie nie mogli teraz nie trafiać w Persów, którzy stali nad nimi bez tarcz, na półce skalnej wznoszącej się na wysokość dwóch mężczyzn. Kilku wypuściło w ich kierunku pierwsze strzały. Persowie zadrżeli, widząc, że użyto przeciwko nim ich własnej broni, i zaczęli gromadnie uciekać, zapomniawszy, że jeszcze przed chwilą chcieli dokonać rzezi.

Anaksis zgromadził przy sobie trzech Spartan. Ci z dołu rzucili im tarcze i teraz z ulgą ukryli się za nimi, chroniąc się przed przypadkowymi trafieniami. Anaksis dostrzegł, że wszyscy trzej są ranni. Z piersi dwóch sterczały kikuty złamanych strzał. Nie okazywali strachu, chociaż z trudem walczyli o każdy oddech, po ich ciałach spływała krew, a sił im ubywało. Bok jednego przebijały złamane żebra. Kiedy dowódca wskazał na nie, żołnierz tylko wzruszył ramionami.

– Później się tym zajmę – powiedział.

– Zaszyję ci tę ranę – obiecał Anaksis. – Pamiętaj, nie pozwól Cinnisowi nawet się do siebie zbliżyć.

– Zapamiętam – odparł mężczyzna.

Od dawna byli przyjaciółmi i nie potrzebowali ani słowa więcej, żeby się nawzajem zrozumieć.

Anaksis syknął z bólu, gdy strzała przeleciała pomiędzy dwiema tarczami i wbiła mu się w bok, przebijając twarde mięśnie. W pierwszym odruchu ją chwycił, jednak nie ośmielił się pociągnąć. Głęboka rana sprawiła, że pociemniało mu przed oczyma i cały świat jakby zaczął się od niego oddalać.

– Chcę, żeby nas popamiętali – powiedział. – Jeżeli wypoczęliście, atakujcie.

– Myślałem, że to ty właśnie wypoczywasz – odparł oburzonym głosem jeden z jego towarzyszy.

Anaksis się uśmiechnął. Ostrze jego kopisa przecięło czarne drzewce strzały. Jęknął, kiedy grot w jego ciele zmienił pozycję.

Wystraszeni perscy łucznicy pozostawili na półce przestrzeń doskonale odpowiadającą Spartanom, którzy się na niej znaleźli. Teraz Persowie za wszelką cenę starali się powstrzymać wrogów wbiegających ku nim po wąskich schodach, wdrapujących się po niemal gładkiej ścianie lub wrzucanych na półkę skalną, aby mogli dołączyć do towarzyszy.

Anaksis i reszta zaatakowali ich z dzikim wrzaskiem, osłaniając się tarczami. Persowie wystrzelili z łuków w kierunku tej małej grupy, jednak nic nie mogło zapobiec walce wręcz. W zwarciu tarcze stały się bronią, ich krawędzie w rękach kogoś, kto potrafił się nimi posługiwać, były równie skuteczne jak włócznie. Gdy ranni Persowie zaczęli padać na ziemię, w ich szeregi wkradła się panika. Z kolei zamknięci w pułapce Spartanie, którzy wciąż żyli, zaczęli śpiewać wojenny hymn na cześć śmierci.

Zanim wytrącono mu kopis z dłoni, Anaksis zdołał się wspiąć na najwyższą półkę skalną. Zobaczył szeregi świeżych perskich żołnierzy nadciągających z obu stron. Przybywali na pole bitwy niekończącym się strumieniem, uzbrojeni w łuki, miecze i włócznie. Pomyślał, że włócznie najbardziej przydadzą się do zabicia tych, którzy nie zdołają wydostać się z pułapki. Właśnie taki wydałby rozkaz, gdyby to on dowodził Persami. Mordowanie za pomocą strzał było obelgą wobec zabijanych, a nie było przecież potrzeby, aby pokonanych traktować w sposób obelżywy. Mącił mu się wzrok i postanowił złożyć swoją duszę w ofierze Hadesowi i Hermesowi. Przyjemnie będzie spotkać króla Leonidasa, który tak dzielnie walczył pod Termopilami. Król wiedział wiele o zdradzieckiej podstępności Persów. W Anaksisa wstąpiła nadzieja, że jeszcze tego wieczoru wypije razem z nim puchar dobrego czerwonego wina, jeżeli zdąży na czas przepłynąć Styks.

Z dziedzińca Cinnis widział, jak ci, którzy zostali wrzuceni na skalną półkę, giną jeden po drugim, odbierając Spartanom ostatnią nadzieję. Nie mieli już włóczni, a zdobyczne kołczany były puste, chociaż na ziemi pomiędzy zabitymi walały się połamane strzały.

Perscy łucznicy nie szydzili już z wrogów. Na dziedzińcu zalegały całe stosy mężczyzn w czarnych szatach, a krew spływała po skalnych stopniach z obu stron. Spartanie stracili jednak połowę oddziału i praktycznie nie mieli już szansy na wyrwanie się z pułapki. Kilku wciąż starało się podrzucać kolegów na półkę, jednak łucznicy byli już na to gotowi. Przeszywali strzałami każdego, kto zaledwie dotknął stopami skały, tak że spadał bez czucia na ziemię, pomiędzy swoich.

Cinnis rozkazał, aby zabitym zabierano broń i ciskano ją w stronę Persów. Spadające na nich strzały sprawiły, że padli na kolana, jednak każdy starał się wykonać rozkaz, uważnie wybierając za cel konkretnego

przeciwnika. W powietrzu zaświszczały ostrza kopisów i krótkie miecze. W górę poleciały także tarcze, raniąc wrogów. Kilku spadło na dziedziniec i momentalnie zostali rozszarpani na strzępy, chociaż deszcz strzał wciąż zasypywał Spartan.

Cinnis organizował swoich ludzi w coraz mniejsze grupy. Osłonięci tarczami żołnierze krążyli po dziedzińcu, zbierając z ziemi broń, aby następnie rzucać nią w Persów. Na półkach skalnych nowi żołnierze zastępowali zabitych. Napinali łuki, lecz dla wielu z nich ostatnią rzeczą, jaką zobaczyli w życiu, okazywały się wirujące w powietrzu kopisy.

Spartanie walczyli, dopóki w ostatniej grupie nie pozostało ich czterech. Każdy pokryty był krwią i ciężko ranny, tak wymęczony, że z trudem trzymał tarczę dla osłony przed wciąż nadlatującymi strzałami. Powierzchnie brązowych tarcz przypominały już posiekane mięso, były pełne wklęśnięć i tak gęsto naszpikowane kikutami strzał, że trudno je było dźwigać.

– Dość! – z góry padł niespodziewany rozkaz.

Część Spartan znała komendy Persów, jednak tę zignorowała. Ale łucznicy nad ich głowami przerwali ostrzał i cofnęli się, ciężko dysząc. Ich dowódca leżał martwy na ziemi. Na skraju skalnej półki przystanął jego następca i popatrzył w dół na Spartan, kręcąc z niedowierzaniem głową na widok krwi i zalegających pokotem zwłok.

– Nazywam się Hazar Zaosha – powiedział w łamanym greckim. – Jestem… oficerem Zhayadana. Rozumiecie mnie? Nieśmiertelni. Nie zdołacie dzisiaj zwyciężyć. Poddajcie się, wojownicy Sparty. Jest was niewielu, a nas nieskończone zastępy. Zastanawiam się…

Cinnis rzucił w jego kierunku miecz, jednak tamten w porę się uchylił. I naraz, bez zastanowienia, z dzikim okrzykiem na ustach postąpił do

przodu i zeskoczył na dziedziniec. Z zaciekawieniem popatrzył na stojących przed nim czterech wymęczonych, zakrwawionych Spartan.

– Zabić ich! – wrzasnął. – Zabić…

Cinnis ciężko go zranił błyskawicznym cięciem kopisa, po czym resztkami sił rzucił się na niego ze złowrogim pomrukiem. Jego plecy natychmiast przebiło kilka strzał. Cinnis ze złością dyszał Persowi prosto w twarz, gdy obaj ginęli, chociaż wściekłość Spartanina skrywał szeroki uśmiech. To okropne, że giną tak głupio, zdradzeni przez odwiecznych wrogów, myślał. Lecz jeszcze gorsze było to, że nikt nie zaniesie do Sparty wieści o ich śmierci, nie dopilnuje, aby eforowie dowiedzieli się, że zginęli dobrą śmiercią, ani przez chwilę nie narażając się na hańbę.

* * *

Pawilon chłodziła delikatna bryza każdego wieczoru spływająca z gór – cud, który radował króla i jego dwór, zarówno niewolników, jak i członków rodziny. Kiedy letnia gorączka na równinach była nie do zniesienia, tutaj panował miły chłód. Cyrus poczuł, że pot schnie na jego twarzy, łatwiej było mu też oddychać, chociaż krtań ściskała troska o ojca. Odniósł wrażenie, że w powietrzu unosi się zapach cynamonu, chociaż nie czuł go wyraźnie. Ojca nie widział od wielu lat. Chłodna bryza była dla niego przypomnieniem dzieciństwa i wspomnieniem domu.

Nie musiał pytać, gdzie leży ojciec. W miarę jak szedł w głąb pawilonu, wzrastała liczba niewolników. Zgromadzili się wokół łoża ojca jak pszczoły, gotowi reagować na jego najdrobniejsze skinienie. Potężnej budowy gwardziści stali z czterech stron nieruchomo przy umierającym królu, gotowi przeciwstawić się każdemu zagrożeniu. Cyrus zobaczył ojca leżącego z głową na podgłówku. Jakaś kobieta ocierała mu miękkim

suknem pot z czoła. Moczyła je w misce z wodą, w której pływały płatki kwiatów. Kiedy Cyrus padł na kolana, uderzył go w nozdrza mdląco słodki zapach róż.

Wielki król odwrócił głowę, gdy jeden z niewolników szepnął coś do niego. Dariusz poszukał wzrokiem syna i Cyrus wystąpił do przodu, jednak zatrzymał się, kiedy służący wyciągnął rękę w jego kierunku.

– Twój miecz, Wasza Wysokość. Poproszę.

Cyrus rozpiął pas i podał go służącemu. Dopiero wtedy strażnicy rozstąpili się i książę znalazł się w zasięgu ręki człowieka, który od jego najmłodszych lat sprawował kontrolę nad jego życiem.

Uśmiechnął się, chociaż w uśmiechu tym więcej było bólu niż radości. Starego człowieka zżerała jakaś nieznana choroba. Ramiona, które kiedyś dzierżyły królewski miecz, były nienaturalnie i boleśnie chude, skóra opinała kości, wyraźnie ukazując stare rany i czarne znamiona.

– Jestem, ojcze – powiedział Cyrus, siadając na krześle, które podsunął mu niewolnik. – Wyruszyłem w drogę, kiedy tylko usłyszałem wiadomość, podróżowałem tak szybko, jak to było możliwe.

– Czekałem na ciebie i czekałem, Cyrusie – odparł ojciec. Sił wystarczało mu tylko na szept i książę mocno się ku niemu pochylił, żeby cokolwiek słyszeć. – Nie mogłem umrzeć, nie przekonawszy się, że przybyłeś. Wreszcie.

Cyrus ujrzał, jak jakiś dziwny skurcz przemyka przez twarz ojca, i nie potrafił odgadnąć, czy to wyraz złości czy triumfu. Powieki króla się zacisnęły, a głębokie zmarszczki na jego czole niespodziewanie wygładziły. Pod wpływem nagłego impulsu Cyrus wyciągnął rękę i ujął dłoń króla, która tysiące razy zaciskała się na jego dłoni, kiedy był dzieckiem. Teraz znów poczuł jej ciepło. Musiał królowi koniecznie coś powiedzieć, jednak z trudem szukał słów.

– Dzięki ci, ojcze, za wszystko. Zawsze chciałem, żebyś był ze mnie dumny.

Nie usłyszał odpowiedzi i ułożył rękę króla na pościeli. Przez chwilę głaskał wierzch dłoni i wreszcie znowu usiadł sztywno przy łóżku. Teraz pochylił się niewolnik z miską wody różanej i przetarł twarz jego ojca. Bryza znad płaskowyżu wciąż chłodziła tę część pawilonu, chociaż wiatr wydawał się już jakby mniej spokojny, bardziej podobny do tego, który – złośliwy i nieprzyjemny – wraz z nadejściem jesieni unosił z ziemi gorący pył, doprowadzając ludzi do obłędu.

– Ojcze? – odezwał się Cyrus trochę głośniej.

Wstał i bezradnie obserwował jakiegoś człowieka, który podszedł do króla i zaczął wsłuchiwać się w jego oddech i w bicie jego serca. Wreszcie, po długiej chwili, nieznajomy pokiwał głową.

– To już nie potrwa długo, Wasza Wysokość. On zapewne wciąż nas słyszy. Prawdopodobnie jeszcze się obudzi. Albo i nie. Przywoływał cię wiele razy. Cieszę się, że w końcu przybyłeś.

Cyrus więc znowu usłyszał przytyk od człowieka, który w normalnych czasach przenigdy by sobie na niego nie pozwolił. W pawilonie unosiła się atmosfera jakby urazy wobec królewskiego syna. Cyrus czuł, jak ciasno go spowija.

Miał tego dość. Przecież przez ostatnie czternaście dni pokonywał ponad dziesięć parasangów* dziennie, aby jak najszybciej dotrzeć do starego króla. Tylko Spartanie dotrzymywali mu kroku, mimo wycieńczenia i kontuzji spowodowanych forsownym marszem. Cyrus powiedział sobie, że powinien się cieszyć, skoro nie przybył do ojca zbyt późno, było mu jednak bardzo trudno. Starzec nie wypowiedział ani jednego słowa wdzięczności, nie okazał krzty zadowolenia, emanował jedynie dziwną goryczą, jakby wyrzutem, że tak długo musiał czekać na syna.

Cyrus poczuł niepewność, ale też ogromną stratę, kiedy odstępował od łóżka chorego. Przez wiele dni bał się, że przybędzie zbyt późno. W trakcie przedłużającej się podróży wyobrażał sobie uśmiech ojca i uścisk, którego teraz nie zaznał. Nic tutaj nie wyglądało tak, jak sobie wyobrażał, najcenniejsze klejnoty, które widział w wyobraźni, zamieniły się w bezwartościowe szkiełka. Umierającemu mężczyźnie nigdy nie dał powodu do dumy. Czegokolwiek by dokonał, dla ojca liczył się tylko Artakserkses.

Cyrus wyciągnął rękę, żądając tym gestem zwrotu miecza. Służący, który go trzymał, popatrzył na księcia szeroko otwartymi oczyma i jeszcze mocniej przycisnął do piersi pochwę wysadzaną szlachetnymi kamieniami.

– Oddaj, co należy do mnie – powiedział Cyrus powoli.

Pomyślał, że tego dnia nie może się już wydarzyć nic bardziej zaskakującego, lecz w tej samej chwili usłyszał, że zbliża się jego brat w towarzystwie Tissafernesa. Obaj mężczyźni sprawiali wrażenie odświeżonych i odprężonych. Tissafernes zamienił szaty podróżne na strój ze zwiewnego jedwabiu. Miał nawet czas na kąpiel, jego włosy bowiem były wciąż mokre. Bardziej zaskakiwała jednak obecność licznej grupy uzbrojonych strażników. Ich zamiarów nie sposób było nie zrozumieć i Cyrus pochylił głowę, zastanawiając się, co powinien teraz zrobić.

Zanim służący zdążył zareagować energiczniej niż jękiem zaskoczenia, książę wyrwał mu pas z mieczem i zapiął go na swoich biodrach.

– Teraz już lepiej – powiedział. – Słucham cię, bracie. Jakiego rodzaju zagrożenie ściągnęło do pawilonu uzbrojonych żołnierzy w tak wyjątkowej chwili?

– Ty nim jesteś – odparł Artakserkses.

Uśmiechał się, kiedy strażnicy otaczali kręgiem młodego księcia. Zrozumiał, że Cyrus rozważa stawienie im oporu, jednak ich ojciec leżał

umierający zaledwie kilka kroków od niego, dlatego się na to nie zdobył. Artakserkses zobaczył, jak jego brat pochyla głowę, i obnażył białe zęby w szerokim uśmiechu.

– Jesteś aresztowany, Cyrusie. Z rozkazu ojca. Pozostaniesz uwięziony do momentu egzekucji.

Cyrus znowu był gotów do ataku. Wybrał żołnierza, którego zaatakuje, aby rozerwać otaczający go krąg, i przystąpiłby do walki, gdyby nie ostatnie słowa brata. Kiedy przebrzmiały, odwrócił się zaskoczony. Ojciec wpatrywał się w niego ze spokojem na starczej twarzy. W tym momencie zrozumiał, że on o wszystkim wie. Król znów zamknął oczy.

Przytrzymano mu ręce i odebrano miecz. Osobista straż brata poprowadziła go przez pawilon z powrotem do rajskich ogrodów poprzecinanych zacienionymi ścieżkami. Artakserkses i Tissafernes szli za nim i Cyrus, popychany przez żołnierzy, musiał mocno wykręcić szyję, żeby brat go usłyszał:

– Dlaczego to robisz, bracie? Przecież zawsze byłem wobec ciebie lojalny. Nigdy, ani razu nie dałem ci powodu, żebyś we mnie wątpił. Ani razu w całym moim życiu!

Wydawało mu się, że Artakserkses drwiąco wydyma usta i zaciska szczęki, przedkładając milczenie nad rozmowę. Kiedy Cyrus popatrzył na Tissafernesa, ten jedynie potrząsnął głową i wbił wzrok w kamienie, którymi wyłożono ścieżkę. Nie był w stanie znieść spojrzenia księcia.

* Parasanga – starożytna perska miara odległości, według Herodota 1 parasanga = około 30 stadionów = około 5,5 km (przyp. tłum.).

3

Cyrus usiadł na żołnierskim posłaniu. Drzwi do pomieszczenia zaryglowano, nie sposób było jednak uznać małego pokoju należącego do oficera królewskiej straży za celę więzienną. Ktokolwiek zajmował go na co dzień, dysponował zestawem olejków i pudrów, dwiema parami egipskich nożyczek, sztywnymi szczotkami do pielęgnowania paznokci i brody, a także pięknie rzeźbionymi utensyliami z kości słoniowej do czyszczenia nosa i uszu. To wszystko leżało przy umywalni w kącie pomieszczenia.

Cyrus słyszał przez ściany hałas koszar, wykrzykiwane rozkazy i ponury męski śmiech. Wbił wzrok w zamknięte drzwi i czekał. Wciąż nie rozumiał, co się właściwie stało, znał jednak Artakserksesa wystarczająco dobrze, by mieć pewność, że zostanie stąd brutalnie wywleczony i skrócony o głowę bez szansy wypowiedzenia na swoją obronę chociaż jednego słowa. Jego brat będzie triumfował, a zapewne przed śmiercią Cyrusa rzuci mu w twarz jakieś potworne oskarżenie. Nie miał co do tego wątpliwości, bo doskonale znał człowieka, z którym się wychowywał. Przynajmniej miał nadzieję, że wciąż go zna. Przecież przez długi czas przebywał daleko od domu.

Kiedy zapadła noc, jaskrawy księżyc wzniósł się półkolem na bezchmurnym niebie, jasno oświetlając płaskowyż. Cyrus był pewien, że nie zdoła zasnąć, położył się jednak na łóżku twarzą do ściany i zamknął oczy. W szalonym tempie przebiegały mu przez głowę najprzeróżniejsze myśli.

Nagle się obudził, nie mając pojęcia, jak długo spał. W mgnieniu oka zerwał się z posłania i stanął na wyprostowanych nogach, mrugając, bo oczy bardzo powoli przyzwyczajały się do jasnego porannego światła. Wymęczyły go długie dni w drodze, gorycz spowodowana aresztowaniem i świadomość, że niedługo chory ojciec opuści ten świat. Ku swemu zażenowaniu przespał długie godziny jak małe dziecko, obudził się jednak odświeżony i znacznie bardziej czujny niż poprzedniego dnia. I niepewny, ile życia mu jeszcze pozostało. Przesunął dłońmi po twarzy i skrzywił się, wyczuwszy na niej grube kudły niepielęgnowanej brody. Lubił być gładko ogolony, jednak dokładne golenie wymagało czasu i doskonałych cienkich ostrzy. Na umywalni należącej do oficera nie dostrzegł brzytwy. Prawdopodobnie mężczyzna skracał brodę, używając nożyczek, albo ją splatał.

Cyrus drgnął, gdy usłyszał, jak ktoś przesuwa rygiel w drzwiach. W progu stanął Tissafernes i po chwili wszedł do środka. Stanął z nietęgą miną w takim miejscu, że w niewielkim pomieszczeniu nagle zrobiło się ciasno. Strażnicy zaglądali do środka z zewnątrz, jednak nie mieli szansy dołączyć do Tissafernesa, nawet po to, by go chronić. Spoglądali tylko gniewnie na Cyrusa, podczas gdy on czekał, aż przyjaciel wyjaśni mu, co się właściwie stało.

Starszy mężczyzna po chwili postanowił usiąść na posłaniu, które zaskrzypiało pod jego ciężarem. Cyrus pozostał na swoim miejscu, odwrócony plecami do ściany, a jeden ze strażników stał w progu, żeby go obserwować.

Kiedy Tissafernes na niego spojrzał, Cyrus nieznacznie uniósł brwi. Czuł się skrzywdzony i uznał, że to on powinien milczeć i czekać na wyjaśnienia.

Po chwili, która zdawała się przeciągać w nieskończoność, Tissafernes ciężko westchnął.

– Wasza Wysokość, bardzo mi przykro, że do tego doszło. Oczywiście przeciwstawiłbym się, gdyby zadecydował o tym ktokolwiek inny niż twój ojciec. – Starzec wyglądał na skrajnie wyczerpanego, jakby nie przespał nocy. – Cyrusie, przyszedłem ci powiedzieć, że tej nocy król zakończył swoją ziemską wędrówkę. Przykro mi. Od tego poranka to twój brat jest wielkim królem, z nadania bogów władcą Persji, niech go błogosławią Mitra, Ahura Mazda i inne dobre duchy. Niech wszyscy poprzednicy z ochotą przyjmą go do swojego grona.

Mimo wstrząsu, jaki wywołała ta wiadomość, Cyrus poczuł w piersiach przypływ nadziei.

– Skoro znalazłem się tutaj z rozkazu ojca, nieważne, z jakiego powodu, Artakserkses mnie uwolni – powiedział z ulgą. – Przyszło mi do głowy, że na koniec opętał go zły duch lub demon, gdy był słaby i zmagał się z bólem. Teraz nie mają już na niego wpływu. Mogę…

Tissafernes pokręcił głową.

– Wasza Wysokość, twój brat jeszcze w nocy potwierdził ten rozkaz. Informowanie cię o tym sprawia mi ogromny ból, jednak tego ranka odbędzie się twoja egzekucja. – Mężczyzna, który był mentorem Cyrusa od jego wczesnego dzieciństwa, pogładził z zakłopotaniem stożkowatą brodę. Cyrus dostrzegł, że jest zdenerwowany. – Przyszedłem… żeby bez zbędnej zwłoki zaprowadzić cię na plac koszarowy. Nie będzie żadnego ceremoniału ani świadków, poza kilkoma strażnikami. Zachowaj do końca godność, mój chłopcze. Powierz duszę bogu i bądź gotów przed nim stanąć.

Cyrus patrzył na niego oniemiały. Nie zapytał o Spartan, których tutaj przywiódł. Wiedza o ich losie nie miała już dla niego znaczenia, nie mógł na nich liczyć. Nauczyli go jednak zachowywać spokój w chwilach,

w których był on najbardziej potrzebny. Zaczął rozmyślać, a jego twarz powoli się wygładziła. Nie miał broni, chociaż mógł ją wyrwać któremuś ze strażników. To by znaczyło, że jego życie dobiegłoby końca, zanim dotarłby na plac, na którym ustawiono rusztowanie, i nim ukląkłby przed katem. Rozumiał, że ze strony Tissafernesa nie może liczyć na wsparcie, jednak starzec nie musiał być w tej chwili jego jedynym sprzymierzeńcem.

– Przed śmiercią chcę zobaczyć matkę – powiedział. – Chcę się z nią pożegnać. – Uważnie obserwował Tissafernesa i z trudem stłumił uśmieszek, gdy dostrzegł, że mężczyzna z zakłopotaniem marszczy czoło. – Nie powiedziano jej? W końcu jestem jej synem!

– Głęboko wierzę, że takie sprawy rozstrzyga wielki król – odparł Tissafernes, ale bez przekonania.

Obaj mężczyźni unieśli głowy, kiedy usłyszeli na zewnątrz nagłe poruszenie wśród żołnierzy. Całkowicie skrajne emocje ogarnęły ich, kiedy usłyszeli głos kobiety. Wykrzykiwała rozkazy z absolutną pewnością, że zostaną wykonane.

Cyrus odszedł od ściany, a jego oczy rozbłysły.

– Nie zapomnę roli, jaką w tym odegrałeś, Tissafernesie – powiedział.

Tissafernes natychmiast, jakby ktoś pociągnął za sznurki, zerwał się z łóżka.

– Wasza Wysokość, ja tylko wykonywałem rozkazy twojego ojca i twojego brata – odpowiedział, rozglądając się nerwowo, jakby się spodziewał, że w każdej chwili do pokoju wejdzie królowa Parysatis.

– Z drogi! – rozległ się głos, który obaj dobrze znali i który samym swoim brzmieniem usuwał wszelkie przeciwności. Tissafernes się skrzywił w oczekiwaniu, a tymczasem głos rozległ się po raz kolejny: – Wypuśćcie mojego syna, gdziekolwiek go ukrywacie! Cyrus? Gdzie mój syn?

Strażnik stojący w drzwiach odwrócił się do królowej. Cyrusowi przyszło do głowy, że mógłby teraz do niego podbiec i go udusić albo złamać kark Tissafernesowi, który nagle w małym pomieszczeniu zgiął się wpół.

Królowa Parysatis ubrana była z powodu żałoby w ciemnoniebieską szatę, a zanim przybiegła do koszar, włożyła na ręce mnóstwo złotych bransolet, które teraz pobrzękiwały przy każdym jej ruchu. Włosy miała zaczesane do tyłu pod złotą siateczką i spięte na karku. Skończyła już czterdzieści lat, lecz wciąż była piękną kobietą i poruszała się gibko jak młoda dziewczyna. Jej nadejście poprzedzał bogaty zapach róż, dodatkowo onieśmielający mężczyzn, którzy gapili się na nią jak cielę na malowane wrota.

– Cyrusie? Jesteś tam? Jest z tobą Tissafernes? Podejdźcie do mnie obaj. Nie będę was szukała w jakimś zapoconym żołnierskim pokoju. Natychmiast, Cyrusie!

Książę zachichotał z ulgą, uwalniając się od strachu, który dotąd odczuwał. Tissafernes sprawiał wrażenie, że strzelił w niego piorun, kiedy krocząc za strażnikiem, wyszedł z pomieszczenia i pokonawszy krótki korytarz, znalazł się przed królową.

– Pani, twój syn, król Artakserkses, wydał rozkaz, aby… – zaczął.

Królowa Parysatis popatrzyła na strażnika i położyła dłoń na jego obnażonym ramieniu.

– Jeżeli ten człowiek odezwie się do mnie jeszcze raz, nie ukłoniwszy się wcześniej, możesz ściąć mu głowę.

Strażnik w żaden widoczny sposób nie zareagował na te słowa, jednak Tissafernes pojął, że musi być ostrożniejszy, jeżeli nie chce zginąć nagłą śmiercią. Padł sztywno najpierw na jedno kolano, potem na drugie i wreszcie pokłonił się do samej ziemi, tak głęboko, że czołem dotknął

klepiska. Cyrus zauważył z zadowoleniem, że nie jest ono zbyt czyste. Gdy Tissafernes wstawał, do jego czoła lepiły się mysie odchody.

– Czy wyraziłam zgodę, żebyś powstał? – zapytała słodkim głosem królowa.

Tissafernes doznał jeszcze głębszego upokorzenia. Po raz kolejny postanowił nie wystawiać na próbę mocy rozkazów królewskiej żony. Spędził na dworze wystarczająco dużo czasu, żeby wiedzieć, że wiele problemów rozwiązuje się tutaj bardzo szybko, upuszczając krwi – ewentualne przeprosiny następują później. Znowu przycisnął czoło do klepiska i znieruchomiał w tej pozycji, jakby właśnie wyzionął ducha.

– Cyrusie. – Królowa powitała syna.

Książę ujął jej dłoń i ukląkł przed rodzicielką.

– Matko – odpowiedział. – Jestem ci wdzięczny. Ten oto Tissafernes zdaje się przekonany, że zarządzono moją śmierć.

Królowa machnęła ręką, jakby oganiała się przed muchą.

– Zaraz się zajmę wyjaśnieniem tej kwestii. Jednak nie tutaj, wobec pospólstwa. Nie będziemy roztrząsać prywatnych spraw, gdy słuchają nas służący i żołnierze. Chodź ze mną. Twoje ubranie jest okropnie brudne. Przetrzymywali cię tutaj jak zwierzę.

Zanim Cyrus zdołał odpowiedzieć, jego matka postawiła stopę na plecach Tissafernesa. Obcas wbił mu się tak mocno w skórę, że starzec zacharczał z bólu.

– Ci ludzie posunęli się w swojej arogancji zbyt daleko – powiedziała. – Ale zaradzę temu. Możesz być pewien, że się postaram, Cyrusie.

Odwróciła się, aby odejść, a Cyrus zerknął na dowódcę strażników. Jego twarz wyrażała ślepe posłuszeństwo, jednak w oczach czaił się strach. Wiedział, że jego życie będzie niewiele warte, jeżeli nowy król zapyta go, dlaczego pozwolił, aby więzień wyszedł z aresztu jako wolny człowiek.

Jednak nie mógł się sprzeciwić królowej; w rzeczy samej jeszcze nikt się na to nie zdobył. W krótkiej chwili, gdy mógłby zaoponować, królowa po prostu go minęła. Cyrus ruszył za nią, czując, że dowódca nie ośmieli się zakwestionować jej władzy. Kiedy szedł przez koszary i obserwował Nieśmiertelnych swojego ojca – w większości niekompletnie ubranych i zaskoczonych – bał się jednak, że za jego plecami padnie nagły rozkaz i żołnierze go zatrzymają.

Królowa szła szybko, ale długa suknia trochę jej utrudniała stawianie zdecydowanych kroków. Dlatego synowi, który podążał za nią i obserwował jej kołyszące się biodra, zdawało się, że kobieta po prostu płynie nad ziemią. Wielu żołnierzy, którzy wyszli na plac przed budynki koszarowe, żeby zobaczyć, co się dzieje, utkwiwszy wzrok w swojej królowej, nie było w stanie go od niej oderwać. Cyrus się uśmiechnął. Matka wciąż wywierała na mężczyznach wielkie wrażenie.

– Nie pozwolę, żeby mojego syna traktowano jak przestępcę – dodała głośno.

W jej głosie brzmiało oburzenie i część spośród mężczyzn, którzy się jej przyglądali, wbiła spojrzenie w ziemię, jakby złapano ich na zachowaniu przynoszącym wstyd.

Gdyby Parysatis zawahała się albo poprosiła o zgodę na zabranie syna, zaklęcie – zdaniem Cyrusa – zapewne by prysło i któryś z żołnierzy, najprawdopodobniej spośród najwyższych rangą oficerów, powstrzymałby jego ucieczkę. Autorytetu królowej jednak nikt nie zakwestionował i zdołała doprowadzić syna aż do bramy.

Koszary znajdowały się w sporej odległości od skraju płaskowyżu. Mimo że kroczył obok królowej, Cyrus przez całą drogę był spięty, w każdej chwili obawiając się, że ktoś za nim krzyknie albo na jego ramię spadnie silna dłoń żołnierza. Nasłuchiwał odgłosu ciężkiego pobrzękiwania, jaki

wydają zbroje na biegnących mężczyznach, i pot spływał mu po plecach. Przybył do rodzinnego domu niczym jagnię pomiędzy wilki i wiedział, że od skutecznej ucieczki dzieli go jeszcze daleka droga. Czas, jaki spędził w zamknięciu, wystarczył mu na przemyślenie wszystkiego, co tutaj zobaczył i usłyszał od chwili przybycia. Wnioski były oczywiste i bolesne, a rozkaz, aby go zgładzić, nie był wynikiem pomyłki.

Z opuszczoną głową, postępując krok w krok za matką, minął wartowników i razem z nią dołączył do grupy niewolników, których pozostawiła za bramą koszar. Wszyscy leżeli na ziemi i Cyrus wiedział, że od chwili, kiedy jego matka ich zostawiła, nie ośmielili się poruszyć. Teraz zerwali się na równe nogi i zanim wsiadła do otwartej lektyki, szybko wygładzili poduszki. Cyrus usiadł obok niej, a pod jego ciężarem zatrzeszczała cała konstrukcja.

– Matko… – zaczął.

Kobieta pokręciła głową.

– Nie teraz, Cyrusie. Twój ojciec był upartym człowiekiem i będę musiała odbyć poważną rozmowę z twoim bratem, zanim zapomnimy o jego ostatnim dziwacznym rozkazie. Czyż jesteśmy Egipcjanami, żeby zabijać swoich najbliższych? Czy Artakserkses spłodził już potomka? Nie! Chociażby z tego powodu twój ojciec zachował się bardzo lekkomyślnie – powiedziała.

Cyrus powoli zamrugał, zgadzając się z jej oceną sytuacji.

– Moim… moim zdaniem ojciec nigdy nie wydałby rozkazu, żeby mnie zgładzono – odezwał się.

Matka uniosła głowę i dotknęła dłonią jego kolana. A niewolnicy właśnie podnieśli lektykę.

– Twój ojciec był królem, Cyrusie. I ponad nas wszystkich stawiał los imperium. Nie spodziewam się, że mu wybaczysz, gdy rana w twoim sercu

jest świeża, ale w swoim czasie przekonasz się, że był człowiekiem ogromnie odpowiedzialnym. Dostrzegł, kim jesteś, kim się stałeś. Podjął decyzję, żeby cię usunąć. Podążając za tokiem jego rozumowania, można uznać, że to duży komplement.

– Ojciec popełnił błąd – zaprotestował Cyrus. – Zawsze byłem lojalny. Cenię lojalność u moich ludzi i cenię ją także w sobie. Jestem księciem, który nie zostanie królem. Wiedziałem o tym od zawsze, nigdy nie byłem zagrożeniem dla Artakserksesa!

– Drogi chłopcze, król to ktoś, kto usuwa zagrożenia, zanim one same uświadomią sobie swoje istnienie. Imperium musi zapewniać pokój i dobrobyt milionom ludzi. Czymże jest jedno życie wobec takiego wyzwania? Nie usprawiedliwiam twojego ojca, Cyrusie. I nie pozwolę, żeby decyzją podjętą na łożu śmierci zabrał mi ukochanego syna. Nie zgadzam się na to. Ale ty pewnego dnia wybaczysz mu ten rozkaz.

Cyrus nadąsał się po jej słowach i zamilkł. Oddalił od siebie chęć posprzeczania się z matką, która tego ranka ocaliła go od śmierci. W miarę jak lektyka niesiona przez niewolników coraz bardziej oddalała się od koszar, przecinając płaskowyż i mijając intensywnie nawadniane sady oraz drzewa, nad którymi rozpinano gęste siatki dla osłony przed słońcem, coraz wyraźniej docierało do niego, że w tej chwili już by nie żył, gdyby matka po niego nie przyszła. Jego krew wsiąkałaby już w piasek koszarowego placu. Myśl ta wywołała w nim dreszcze. W pewnym sensie dzisiejszy poranek był pierwszym w jego nowym życiu, stanowił nową gałąź tego życia, swoisty wybór. Przez długą chwilę Cyrus milczał, pozwalając, aby delikatne kołysanie lektyki złagodziło jego emocje.

– Gdzie są moi ludzie, matko? – zapytał wreszcie.

– Wszyscy zginęli. Twój brat kazał ich zabić. – Matka uważnie spojrzała w twarz syna i dostrzegła na niej cień złości, której nie był w stanie ukryć. –

Czy możesz go o to winić, Cyrusie? Przyprowadziłeś Spartan do samego serca stolicy kraju twojego ojca. Nie powinieneś był po prostu odesłać ich do domu? Kto wie, co się kryje w głowach tych dzikusów? Nie, w tej kwestii twój brat miał rację, mimo że śmierć tylu ludzi jest wstrząsająca. Twój brat nie dałby sobie z nimi rady bez… zresztą teraz to już nie ma znaczenia. Artakserkses jest królem, chociaż swoje rządy rozpoczął fatalnie. Wydał rozkaz, żeby cię skrócono o głowę, i tego rozkazu nie wykonano. Wysłał łuczników, żeby pozabijali twoich ludzi, i Spartanie wytłukli mu połowę oddziału, w tym królewskiego kuzyna i dwóch wysokiej rangi dowódców.

Cyrus uśmiechnął się ponuro, gdyż wiedział, że Spartanom zależało, aby po całym świecie rozniosła się wieść, jak umarli. Dla Spartan ważniejsze było, w jaki sposób mężczyzna ginął, od tego, jak żył. Wyszeptał teraz krótką modlitwę za nich do spartańskich bogów, prosząc ich, aby w Hadesie urządzili dla zabitych godne powitanie. Matka uważnie mu się przyglądała.

– Na ile znam twojego brata, będzie pragnął wydarzenia wczorajszego dnia puścić w niepamięć. To był długi i zły dzień, czy ktokolwiek musi dzisiaj pamiętać, że w ogóle się zdarzył? Wszyscy żyjemy i jedynie to się liczy. Wierzę, że potrafię wymóc na twoim bracie odwołanie rozkazu twojej egzekucji i przywrócenie cię na stanowisko dowódcy armii. Artakserkses cię potrzebuje, Cyrusie! Któż inny będzie wobec niego równie lojalny? Któż inny potrafi dowodzić naszymi armiami chociaż w połowie tak dobrze? Nasi wrogowie uciekają w strachu, kiedy cię widzą na ich czele. Byłby głupcem, gdyby z własnej woli miał cię stracić, i ja mu o tym powiem.

Cyrus otrząsnął się z rozmyślań i zobaczył, że niewolnicy przynieśli ich do koszar zewnętrznych, gdzie poprzedniego dnia po raz ostatni zeskoczył

z konia. Popatrzył na matkę z czołem zmarszczonym w zdziwieniu, a ona westchnęła.

– Pozwól, że będę mówić w twoim imieniu, Cyrusie. Nie chcę, żeby twój brat stracił humor już w pierwszym dniu swojego panowania. Jeżeli dzisiaj dobrowolnie nie przełknie gorzkiej pigułki, nie doczekawszy się twojej śmierci, będzie urażony i zły przez długie miesiące. Nie wątpię, że Tissafernes coś już mu szepnął do ucha.

– Tissafernes powie mu, że jestem wobec niego lojalny – powiedział Cyrus, chociaż zdał sobie sprawę, że w jego głosie nie ma ani odrobiny przekonania.

Jego matka pokręciła głową.

– Tissafernes to człowiek Artakserksesa, Cyrusie. Zawsze nim był. Niestety nie jest twoim przyjacielem, nie miej złudzeń.

Cyrus się skrzywił. Świadomość zdrady sprawiała taki ból, jakby ktoś rozdzierał mu mięśnie. Był księciem, synem króla. Zrozumiał jednak, że śmieszne było jego przekonanie, iż są na dworze ludzie, którzy bardziej cenią przyjaźń niż zmagania o wpływy i władzę. Znowu zatęsknił za swoimi Spartanami. Anaksis był jego przyjacielem, podobnie jak Cinnis. Wciąż nie potrafił uwierzyć, że znalazł się ktoś, kto pokonał w walce tych dwóch, jak i pozostałych żołnierzy Sparty. Poczuł wzbierającą radość, że za zwycięstwo nad nimi Persowie zapłacili tak wysoką cenę. Jego Spartanie parli do przodu, dźwigając na ramionach własną legendę. Zapewne wczoraj dodali do niej kolejne wersy. Co więcej, oni wszyscy rozumieli, czym jest lojalność w czasach, kiedy nikt inny już jej nie poważał.

Wyszedł z lektyki i wyciągnął rękę, aby pomóc matce, uprzedzając tym gestem niewolników. Parysatis ujęła jego palce i skierowała się wraz z synem do bramy. Cyrus dobrze pamiętał, że pozostawił Anaksisa i Spartan na dziedzińcu zaraz za nią. Wchodząc tam teraz, nie wiedział, czego

oczekiwać. Jednak jego dłoń wypadła z dłoni matki, kiedy zobaczył, że obie ściany na długości sześćdziesięciu kroków zbryzgane są krwią.

Zwłok już tutaj nie było, lecz w powietrzu roiło się od wielkich much i unosił się zapach śmierci, szczypiąc w oczy. Cyrus jako chłopak chodził z ojcem do rzeźni, aby obserwować, jak się upuszcza krew z bydląt, a potem, osłabione, się dobija. Poczuł ogromny ciężar w żołądku, kiedy wróciło do niego wspomnienie z dawnych lat i wizja krwi wymieszanej z wnętrznościami.

– Dalej już nie pójdę z tobą, synu – powiedziała matka. – Pozwól, że porozmawiam z Artakserksesem.

Zbladła, poczuwszy odór unoszący się nad tym miejscem. Cyrus zobaczył, że jej wzrok skacze od jednej brązowej plamy ku następnej. Z trudem próbowała odegnać atakujący wyobraźnię obraz rzezi, jaka odbyła się w tym miejscu zaledwie przed kilkoma godzinami.

– Powiedz mu, że jestem lojalny, matko, że zawsze byłem wobec niego lojalny. Nigdy nie dałem mu powodów, aby we mnie wątpił. Tissafernesowi powiedz to samo.

– Tak zrobię, oczywiście. – Matka uniosła ramiona, objęła go i mocno uściskała. – On zna twoją wartość, synu. Przypomnę mu o wszystkich twoich zasługach. A teraz wracaj do swoich zajęć i nie obawiaj się podstępów. Napiszę do ciebie, kiedy będę pewna sytuacji.

Cyrus pokiwał głową i pocałowawszy matkę w usta, ruszył przez piasek, czując jego gorąco, mimo że miał na nogach sandały. Zaledwie wczoraj wkroczył tutaj, strzeżony przez trzy setki ludzi, z Tissafernesem u boku, jadąc na ulubionym wierzchowcu. Będzie dobrze, jeżeli ujdzie stąd z życiem.

Nie popatrzył już na matkę ani na żołnierzy zamykających bramę za jego plecami i otwierających tę, która znajdowała się przed nim. Mógł teraz

tylko mieć nadzieję, że chronić go będzie władza matki, ale bał się, że jego życie zakończy jedna strzała z łuku, która przebije mu plecy w trakcie przemarszu przez dziedziniec wciąż cuchnący ludzką krwią. Z piasku sterczało wiele strzał wystrzelonych wczoraj, na ziemi walały się szczątki włóczni i odłamki tarcz z brązu, które w słońcu lśniły niczym złote monety. Cyrus płakał w duchu nad tymi, którzy okazali ufność jego światu. Kiedy otwarła się przed nim ostatnia brama i popatrzył na wielkie skalne schody wiodące w dół na płaskowyż, był pewien jednego. Zawsze okazywał lojalność – wobec ojca, jak i brata. W zamian obaj zadali mu cios. Nie zdołali go zabić, jednak mimo wszystko tego dnia coś w nim pękło.

Zaczął schodzić po stopniach, po których z taką łatwością wspinał się jego koń. Na równinie rozpościerało się Persepolis, jednak cały świat leżał daleko za nim. Cyrus znany był w każdym zakątku imperium jako dowódca wszystkich armii swojego ojca. Dlatego teraz opuści na jakiś czas ojcowską stolicę i odwiedzi rozlokowane daleko oddziały oraz stojących na ich czele oficerów. Oficerów, którzy klęcząc przed Cyrusem, składali mu przysięgę wierności.

Obnażył zęby, coraz szybciej zbiegając, pozostawiwszy za sobą spojrzenia żołnierzy oraz zapach krwi i zdrady. Pewnego dnia tutaj wróci. Przysiągł sobie, że jeszcze tu wróci i znowu zobaczy Tissafernesa oraz swojego drogiego brata. Jeżeli będzie do tego potrzebował armii, stanie na jej czele. Na razie musiał jednak dotrzeć do Suzy, gdzie rozpoczynała się Droga Królewska i wiodła na zachód, do Sardes. To, co dzisiaj wydawało się końcem, mogło z powodzeniem oznaczać początek. Bo przecież nastał nowy dzień.

4

Cyrus chwiejnym krokiem zmierzał w kierunku twierdzy oddalonej od traktów prowadzących na zachód. Jego ubranie pokrywał kurz, a oczy miał czerwone, podrażnione drobnym pyłem i potem spływającym mu z czoła. Był w drodze już od dwóch dni. W ogóle nie miał jedzenia, tylko mały bukłak z wodą. Od Spartan nauczył się sztuki przetrwania, to od nich dowiedział się, jak daleko może zaprowadzić mężczyznę silna wola, jeśli tylko będzie odpowiednio wytrwały – i jeśli nie znajdzie się ktoś, kto powie mu, że nadszedł czas, aby się położyć na ziemi i umrzeć.

Brązowych wzgórz i suchej ziemi nie przecinała żadna rzeka. Sama forteca zbudowana była z wypalanego błota wokół studni i zdawała się wyrastać z ziemi jak stara kość. Cyrus pomyślał, że jest to prawdopodobnie jedno z miejsc, w których odpoczywał ze Spartanami, ale nie był tego pewien. Bał się, że forteca okaże się opuszczona, wewnętrzna studnia sucha, a żołnierze tu służący już dawno porzucili swoje stanowiska i powrócili do górskich plemion, z których pochodzili. Dlatego zebrało mu się na płacz, kiedy ujrzał jakiś ruch na wysokim murze przy bramie, jednak był tak odwodniony, że nie potrafił wytoczyć z oczu łez.

– Otwórzcie bramę – powiedział.

Z jego ust wydobył się jedynie szept i przypomniał sobie, że aby go usłyszano, musi zwilżyć język. Wyjął więc korek z bukłaka i przechylił go dnem do góry, jednak do jego ust nie pociekła ani jedna kropla wody. Gdzieś po drodze wypił jej resztki.

Stanął w milczeniu, uniósł głowę i spojrzał w twarz żołnierza przyglądającego mu się z muru.

– Odejdź stąd, żebraku – odezwał się tamten. – Bo jeśli do ciebie zejdę, marny będzie twój los. Nie każ mi się wysilać w tej gorączce. Precz!

– Daj mi wody – wycharczał Cyrus.

Żołnierz odwrócił wzrok, jednak wszyscy ludzie w tej okolicy wiedzieli, co to jest pragnienie – i znali wartość wody tam, gdzie było jej tak mało. Rzeki stanowiły życiodajne arterie i żyli pomiędzy nimi wszyscy tutejsi. Gdy wysychały w gorącej porze roku, marniały wszelkie uprawy, a z ludzi zostawały tylko skóra i kości. Cichą śmiercią głodową wymierały nieraz całe wioski. Żołnierz na murze ciężko przełknął ślinę i spojrzał za siebie. Po chwili bez słowa zniknął Cyrusowi z pola widzenia.

Wkrótce otworzyły się mniejsze drzwi w ciężkich wrotach twierdzy. Żołnierz wyszedł na zewnątrz z obnażonym mieczem i podejrzliwym wzrokiem. Rzucił Cyrusowi niepełną skórzaną sakwę wody ciepłej jak krew, jednocześnie wodząc spojrzeniem po okolicznych wzgórzach.

Cyrus zachłannie wypił zawartość sakwy, pozwalając, aby bezcenny płyn wlał w niego życie i determinację. Czuł, jak z każdą chwilą wracają mu siły, jak kwiatom, które ożywają w oczach, gdy tylko się je podleje. Woda oznaczała życie, dlatego poczuł ogromną wdzięczność wobec żołnierza.

– Dziękuję ci – powiedział. – Nagrodzę twoją dobroć dla nieznajomego.

– Nie ma takiej potrzeby – odparł mężczyzna i wyciągnął rękę po sakwę.

Cyrusowi trudno było się z nią rozstać, jednak nie okazał wahania.

– Jestem książę Cyrus z dynastii Achemenidów, syn króla Dariusza. Uważam, że jest taka potrzeba. Uratowałeś mi życie. Jak masz na imię? I jaką tu pełnisz funkcję?

Mężczyzna zamarł w szoku, a wszystkie jego myśli ujawniły się na twarzy.

– Ja… ja już cię kiedyś widziałem – powiedział powoli. – Kiedy przejeżdżałeś tędy z oddziałem mężczyzn, którzy wyglądali jak psy myśliwskie! – Żołnierz padł na kolana i dotknął czołem piaszczystej ziemi. – Mój panie, wybacz mi. Nie znałem cię przecież.

– Wstawaj, mój wybawco – odparł Cyrus. – Jeszcze mi nie powiedziałeś, jak masz na imię.

– Jestem Parwiz, Wasza Wysokość. Lecz jakie nieszczęście sprawiło, że stoisz u bramy zupełnie sam? Nawet bez miecza. Czyżby napadli cię bandyci? Mamy tutaj tylko czterdziestu ludzi, a dowódca często wyjeżdża do miasta. Wasza Wysokość, czyżbyś przybył usunąć go ze stanowiska? To leniwy głupek i wyrzucenie go stąd wcale nie będzie złą decyzją.

Cyrus zachichotał. Rozbawiła go szybkość, z jaką mężczyzna zaczął zdawać sprawę ze swoich problemów.

– Skoro wiesz już, kim jestem, wiesz także, że jesteś moim podwładnym, Parwizie.

Mężczyzna znowu chciał paść na kolana, jednak Cyrus chwycił go pod ramię. Mężczyzna stanął na sztywnych nogach, drżąc.

– Oczywiście, Wasza Wysokość.

– Macie tutaj konie?

– Sześć doskonałych wierzchowców, panie, chociaż jeden utyka. Przepraszam. Gdybyśmy tylko wiedzieli, że ty…

– Zabiorę pięć zdatnych do podróży. Muszę dotrzeć do Suzy, gdzie zaczyna się Droga Królewska. Twoim obowiązkiem jest mi pomagać, rozumiesz? Znasz Suzę?

Mężczyzna pokręcił głową i Cyrus stłumił westchnienie. Sam był przyzwyczajony do przemierzania nocą dużych odległości na szybkich koniach, jednak większość podwładnych jego ojca mieszkała i umierała w okolicy odległej najwyżej o dzień drogi od miejsca urodzenia. Nazwy

dalekich satrapii, jak Indie, Egipt czy Tracja, były dla nich zaledwie nic niemówiącymi słowami.

– Suza leży na zachodzie, w odległości mniej więcej dziesięciu dni podróży stąd na końskim grzbiecie. Wybierz więc trzech najlepszych żołnierzy. Ty będziesz czwarty i będziesz jechał przy moim boku. I znajdź dla mnie miecz i włócznię, Parwizie.

– Panie, nie dysponujemy tutaj żadną bronią, która byłaby godna, żeby władał nią książę. To biedne miejsce.

– Nie potrzebuję broni wysadzanej kamieniami – odparł Cyrus. – Przynieś mi włócznię myśliwską i miecz prostego żołnierza. Mam wielką ochotę zapolować, podróżować szybko i pozostawić za sobą cały ten kurz. Chcę znowu zobaczyć rzeki i zielone lasy.

– Tak jest, panie – powiedział Parwiz.

Otworzył małe drzwi i pozwolił, żeby kołysały się na zawiasach, kiedy wbiegł z powrotem do twierdzy. A Cyrus zamknął oczy i skierował twarz ku słońcu.

* * *

Dotarłszy do Suzy, Cyrus zostawił Parwiza i pozostałych żołnierzy z końmi, a sam zatrzymał się przed domem lichwiarza na Ulicy Królów. Zdobiły ją fontanny i i urozmaicały dziedzińce wybudowane ku chwale jego ojca i dziadka. Ich posągi, wykute w białym piaskowcu, wszystko uważnie obserwowały. Po krótkiej rozmowie z lichwiarzem zastawił królewski sygnet za woreczek ze stoma złotymi łucznikami, który od razu przekazał Parwizowi. Jego nowy sługa długo stał z szeroko otwartymi oczami i w końcu nie potrafił się oprzeć pokusie, aby rozwiązać woreczek i wziąć do ręki kilka monet. Połowę poszedł wymienić na srebro,

a tymczasem Cyrus resztę dnia poświęcił na kąpiel i porządny masaż. W pałacu królewskim krawcy zdjęli z niego miarę, aby uszyć mu nowe szaty, a miejscowy zarządca podarował mu najlepsze wierzchowce, jakimi dysponował. Książę dobrze się najadł, po czym zaprowadził swoich ludzi na kwatery położone tuż przy murach miejskich. Wypełniwszy obowiązki wobec nich, pojechał do koszar królewskich i na ogromny plac, na którym ćwiczyło wojsko.

W jedwabiu i złocie natychmiast został rozpoznany przez oficerów, których sam szkolił i mianował. Zaraz popędzili do niego, aby mu się pokłonić. Pokryty kurzem żebrak z pustynnych dróg zniknął i Cyrus był za to wdzięczny losowi. Przez wiele lat chełpił się, że rzadko spędza dwie noce w tym samym łóżku, gdyż bezustannie wizytował dowódców i oficerów zachodniego imperium, od tych, którzy strzegli murów miejskich Sardes, po tych, którzy stali na czele oddziałów w odległych górach i pilnowali odosobnionych świątyń. Jego twarz była dobrze znana.

Koszary w Suzie leżały na skraju miasta, gdzie ziemia kiedyś nie miała żadnej wartości. Perskie złoto sprawiło jednak, że na rozległej przestrzeni wyrosła zielona trawa i powstały białe budynki. Niewolnicy podlewali trawę i dbali o zabudowania, a tysiąc żołnierzy bezustannie się szkoliło. Teraz Cyrus postawił ich wszystkich na baczność i przejechał konno wzdłuż szeregów z Parwizem u boku.

Kiedy został sam na sam z oficerami, usadzono go w chłodnym cieniu i poczęstowano zimnymi napojami. Podczas wieczerzy wszyscy prowadzili swobodne rozmowy, jednak żołnierze przez cały czas go obserwowali i czekali na jego rozkazy, zastanawiając się, jakie sprawy go tutaj przywiodły.

Książę tryskał zadowoleniem, kiedy ocierał usta i rozpierał się wygodnie na sofie. Zwrócił się do polemarcha, najważniejszego z dowódców:

– Polemarchu Behruzie, będzie mi potrzebna osobista straż. Twoi ludzie, jak się zorientowałem, to dobrzy żołnierze. Gratuluję ci ich wyszkolenia. Wybierz… trzystu najlepszych, którzy od jutra będą mi towarzyszyć. – Gdy mężczyzna skupiony na jagnięcej kości, którą właśnie obgryzał, skinął głową, pochylił się do niego, po czym dodał: – I, drogi panie, niektórzy z twoich podwładnych mogą ulec pokusie, żeby odesłać stąd razem ze mną ludzi, których nie lubią: leniuchów, maruderów i w ogóle mężczyzn słabego charakteru. Jeżeli coś takiego nastąpi, odkryję to prędzej czy później.

– Otrzymasz ode mnie tylko najlepszych, Wasza Wysokość, przysięgam. Jako syn swojego ojca zasługujesz na wszystko, co najlepsze.

Cyrus wbił spojrzenie w polemarcha, niepewny, czy wieści o śmierci ojca już tutaj dotarły. Było to raczej mało prawdopodobne, chociaż wędrowały już pewnie za jego plecami. Usłyszał kiedyś opowieść o zaćmieniu, o tym, że słońce zakrył wielki cień. Stary człowiek, który opisywał to młodym książętom, był astrologiem i przebył setki mil, żeby im o tym powiedzieć. Tym, co najbardziej utkwiło w pamięci Cyrusa, była opowieść starca o cieniu, który uniósł się nad horyzontem i pędził ku niemu szybciej niż galopujący koń, pokrywając cały świat. Wiadomość o śmierci ojca musiała być jak ten cień. Nie można jej było powstrzymać ani wyprzedzić. Była szybsza od wszystkiego i docierając w najdalsze zakątki imperium, błyskawicznie je odmieniała.

Polemarch Behruz z królewskich koszar czuł się zakłopotany, kiedy przy stole panowała cisza, dlatego perorował nawet wtedy, gdy Cyrus sączył czerwone wino.

– W rzeczy samej, Wasza Wysokość, myślałem, że przybyłeś tu w sprawie tego renegata ze Sparty. Przysięgam, wygonimy go z imperium, kiedy tylko przybędą do nas posiłki.

Cyrus upił długi łyk wina, zanim odpowiedział polemarchowi. Jego ojciec zawsze powtarzał, że najlepiej negocjować przy jedzeniu, bo wtedy rozmowę można przerwać w każdej chwili.

– Tak myślałeś? A jak myślisz teraz?

Behruz zaczerwienił się, zapanował jednak nad sobą na tyle, żeby udzielić logicznej odpowiedzi:

– Ten łotr dowodzi mniej więcej dwoma tysiącami Greków, mój panie. Mówiono mi, że to armia Spartan, przysłanych dla obrony miast greckich w Tracji przed jakąś błahą rebelią nadciągającą od północy. Ściągnął ich aż z ojczyzny, a oni wyruszyli na spotkanie z nim i przyjęli jego dowództwo. Ale, Wasza Wysokość, jak powszechnie wiadomo, ten Spartanin jest bezlitosnym tyranem. Zaledwie dzisiaj pisałem listy z prośbą, aby przysłano nam więcej żołnierzy.

– Jak on się nazywa? – zapytał Cyrus.

– Klearchos, mój panie. Ludzie z Tracji pisali z kolei do Grecji, zapytując, dlaczego ten mężczyzna, który potrafi bez przyczyny wycinać w pień całe wioski, otrzymał dowództwo nad armią, żeby wraz z nią dokonać jeszcze gorszych rzeczy.

– Słyszałem o nim – powiedział książę.

Klearchos był sławnym zarządcą Byzantion, wyznaczonym na stanowisko wtedy, kiedy Atenami rządziło Trzydziestu Tyranów. Kiedy upadli, on także stracił pozycję. Było prawdą to, co o nim mówiono – że jest człowiekiem bezwzględnym. Nie wiedział, co to litość albo współczucie. Cyrus pomyślał, że w tej chwili przydałby mu się z tuzin takich Klearchosów. Poczuł rosnącą ekscytację w piersiach i w żołądku, jakby wino, które dotąd wypił, zadziałało na niego mocniej, niż zdawał sobie sprawę. Ogarnęły go emocje.

– Behruzie, gdzie przebywa teraz ten spartański tyran? Maszeruje do domu?

– Wasza Wysokość, myślałem, że właśnie z jego powodu przybyłeś do nas. Klearchos rozbił obóz na wzgórzach, nie dalej jak trzy dni marszu od naszego miasta. Jesteśmy gotowi bronić murów, jeżeli tutaj nadejdzie, możesz być tego pewien.

– I ma ze sobą dwa tysiące Spartan?

– Schwytaliśmy jednego z ich zwiadowców, Wasza Wysokość. Węszył pod murami Suzy. Powiedział nam, że jest ich jeszcze więcej, ale Grecy zawsze kłamią.

Cyrus mimowolnie się uśmiechnął.

– Tak. Nie słyszałem o żadnym innym ludzie, który miałby tak wielkie upodobanie w kłamstwie. Czy ten zwiadowca wciąż żyje?

Oficer pokiwał głową. Cyrus wstał, wytarł usta serwetą i rzucił ją na ziemię.

– To dobrze. Pokażcie mi, gdzie go przetrzymujecie. I znajdźcie szybkiego konia.

* * *

Cyrus wziął głęboki oddech i zmusił się do spokoju. Przywołał w wyobraźni twarze Spartan, których znał, i w myślach poprosił ich o błogosławieństwo oraz wsparcie. Anaksis zbeształby go za to, że drżą mu ręce, jednak to drżenie było przede wszystkim efektem zmartwień i braku snu.

Czekając przez wiele długich dni w Suzie na przybycie spartańskiego wodza – zarządzono bowiem tymczasowy rozejm – Cyrus w pełni korzystał ze swojej pozycji księcia wielkiego imperium. Modlił się w świątyniach

i kąpał dwa razy dziennie, kazał sobie układać i perfumować włosy. Ćwiczył z mieczem i tarczą jak pospolity żołnierz i żałował jedynie, że w ćwiczebnych pojedynkach dorównuje mu tylko kilku najlepszych żołnierzy. Resztę paraliżowała jego pozycja albo zanadto się bali wysiłku fizycznego. Bezustanne ćwiczenia i dyscyplina, jakiej nauczył się u Spartan, znacznie ograniczyły jego pobłażliwość dla żołnierzy z Suzy. Zdawali się przez większość czasu ćwiczyć krok marszowy, ubrani czysto i schludnie, natomiast prawie wcale nie szkolili się w posługiwaniu bronią. Wieczorami Cyrus dużo czytał w pałacowej bibliotece, jednak nie przynosiło mu to żadnego odprężenia. Sen przychodził do niego z trudem albo nie przychodził wcale. Ojciec nie żył, brat rządził imperium. Świat się zmienił. Bywały chwile, gdy Cyrusowi się zdawało, że tylko on pamięta, jaki był jeszcze tak niedawno.

Minęło dość czasu, aby cień unoszący wiadomość o śmierci jego ojca dotarł do Suzy. Cyrus kilka razy dostrzegł jeźdźców, którzy przybyli od strony pustyni, i wkrótce miasto popadło w żałobę, a ludzie zaczęli unikać jego wzroku. Być może matka wpłynęła na Artakserksesa; nie miał jednak żadnej możliwości, żeby to sprawdzić. Na wszelki wypadek, gdyby tak się nie stało, sypiał z dłonią zaciśniętą na perłowej rękojeści ostrego noża, chociaż wątpił, czy zdążyłby zareagować na skrytobójczy atak. Na tę myśl kwasy w żołądku wzbierały mu tak mocno, że często czkał. Wieczorami czuł się o wiele mniej pewnie niż w chwilach, w których byli przy nim Spartanie.

W końcu zjawił się Klearchos. Usiadł w taki sposób, aby w każdej chwili móc poderwać się do walki. Miał szeroką klatkę piersiową i szramy na ramionach, a ubrany był w czerwony płaszcz. Jego pierś osłaniał pancerz z brązu, nosił skórzane spódniczkę i nagolenice. Jego uda były odsłonięte i mocno umięśnione, jak u zapaśnika. Wyglądał jak kocur wygrzewający się

w promieniach słońca, wielce pewien swojej siły. Klearchos wcześniej nie negocjował warunków rozejmu i po prostu przyjechał do Suzy na spotkanie z księciem w towarzystwie zaledwie dwóch ludzi, po czym i tak pozostawił ich przed pałacem. Przecież nie był z Cyrusem w stanie wojny.

Cyrus poczuł nieznośne napięcie, prawdopodobnie z powodu świadomości, że Klearchos stanowi zagrożenie. W jego obecności przenigdy nie zamknąłby oczu. Jednak w pewien sposób było to zagrożenie uczciwe. Jedną rzecz Cyrus ogromnie cenił u żołnierzy tego szczególnego miasta-państwa. Ateńczycy chętnie spierali się o wszystko, często po prostu tylko po to, by prowadzić spór. Zawiłe dylematy i trudne wybory moralne zdawały się ich cieszyć. Persowie byli do nich bardziej podobni, niż którykolwiek byłby gotów to przyznać. Cyrus na własne oczy widział, jak przekupnie na bazarze ignorują tłum chętnych do zakupu tylko dlatego, aby dobić interesu z jedynym klientem, który próbuje się targować.

Spartanie nigdy nie skrywali swojej dumy, chociaż ich wrogowie nazywali taką postawę arogancją. Ponad wszystko stawiali też prostotę, a to znaczyło, że kwestią osobistego honoru było dla nich unikanie kłamstw i oszustw, chociażby dlatego, żeby nie razić przyjaciół albo dodawać otuchy słabszym. Pomyślawszy o tym, Cyrus się uśmiechnął, chociaż wiedział, że wyraz jego twarzy jest uważnie obserwowany i oceniany.

– Prosisz o bardzo wiele – odezwał się Klearchos – jak na człowieka, który stracił już trzystu moich ludzi.

Złość wezbrała w Cyrusie, kiedy usłyszał te słowa, gdyż sugerowały, że jest winny śmierci Spartan. Usiadł jednak wygodniej na krześle i zmusił się do spokoju.

– Już to wyjaśniłem. I wysłałem do eforów w Sparcie ich wynagrodzenie należne im do dnia, w którym zostali zgładzeni.

– Potraktowałeś więc Anaksisa jak najemnika – powiedział Klearchos cichym głosem.

– On był najemnikiem – odparł Cyrus. – Jeśli nazywał mnie przyjacielem, i z wzajemnością, pozostawało to między nami. Wypełniłem moje obowiązki i przypominam ci, Klearchosie, że złoto, którym wsparłem twoje kampanie, było złotem mojej rodziny, należało do mojego ojca. Czy Sparta zdołałaby postawić twoich Trzydziestu Tyranów na czele Aten, gdyby nie moja pomoc?

– Nie przemawiam w imieniu Sparty, szczególnie teraz, gdy głupcy w ojczyźnie wyzywają mnie od tyranów. Nie. Na wszystko jest właściwy czas – powiedział Klearchos. – Nawet teraz Ateńczycy wykrzykują na agorze, że należy wyrwać demokrację z naszych rąk, niegodnych, gdyż narzuconych im siłą. Lojalnych wodzów mordują niewolnicy, dobrzy ludzie pozbawiani są czci i honoru, władzę odbierają im osobnicy, którzy nigdy nie potrafili niczym dowodzić. – Klearchos westchnął i potarł czubek nosa. – Skoro Ateńczycy ponownie władają Atenami, po co walczyliśmy? Co się zmieniło?

– Argumentujesz za tym, żeby nic nie robić – stwierdził Cyrus, podejrzewając, że mężczyzna poddaje go próbie. Bardzo dobrze, nie ustąpi mu pola. – Życie człowieka jest krótkie. Po co więc robić cokolwiek? Czy nie lepiej się położyć i wylegiwać na słońcu? Wszyscy kończymy przecież w tym samym miejscu. A jednak ci z nas, którzy wiedzą, co to duma, walczą do ostatniego tchu. Znam cię zbyt dobrze, Klearchosie. Tak samo dobrze, jak ty znasz mnie. To, że spartańska armia i spartańskie prawa rządziły Grecją, ma wielkie znaczenie. Pozwól teraz warczeć małym pieskom, niech krzyczą na cały świat, że są zwycięzcami. Tymczasem część z nas pamięta, jak było. Atenami rządziło trzydziestu Spartan, a trzy tysiące

Ateńczyków wykonywały wasze polecenia. Przynieśliście im mgnienie wielkości. Oni tego tak łatwo nie zapomną.

Klearchos zachichotał i wyprostował się na krześle.

– Widzę, że wciąż lubisz dyskutować. W tym jesteś jak Grek. – Uśmiechnął się, widząc ponurą minę księcia. – Uwierz mi, to był komplement. Bądź pewien, że nie mam zamiaru wątpić w twoje poczucie honoru, Wasza Wysokość. Od dawna jesteś moim przyjacielem, a także przyjacielem Spartan i Grecji. Po prostu chciałem mieć pewność, że nie posłałeś lekkomyślnie na śmierć ludzi, którzy poszli z tobą. Dobrze znałem Anaksisa. Bardzo boleję nad jego śmiercią.

– Kiedyś znowu go zobaczysz – powiedział Cyrus.

Spartanin pokiwał głową.

– Tak, zobaczę – odparł z absolutną pewnością. Tę pewność wyraziły zarówno jego słowa, jak i ciemne oczy skrzące się w opalonej twarzy. – Na pewno nie odejdzie daleko od rzeki, nieważne, jak długo każę mu na siebie czekać. Powiem mu, że posłałeś do Sparty wieści i jego nazwisko przejdzie do historii, a jego śmierć nie będzie daremna. Synowie i córki Spartan będą się o nim uczyć. I oczywiście powiem mu, że przyszedłeś do mnie, szukając pomocy, aby go pomścić, i że ja cię nie zbyłem.

– Będę musiał okłamać wielu spośród tych, którzy staną u mojego boku – powiedział Cyrus poważnym głosem. – Rozumiesz? Ale chciałem, żebyś ty poznał prawdę o moich zamiarach.

– Postępujesz zatem właściwie, Wasza Wysokość, ponieważ przenigdy nie wybaczyłbym ci kłamstwa – odparł Klearchos. – Kupujesz moje usługi i zyskujesz moją przyjaźń. Nie zawiodę cię i też nie okłamię. Jeżeli inni oficerowie zapytają mnie, dlaczego gromadzisz kilkanaście małych armii, aby pomaszerować na pustynie twojego perskiego imperium, odpowiem im,

żeby ciebie o to pytali, bo ja jestem prostym żołnierzem, który staje tam, gdzie mu się każe, i zabija, kiedy otrzymuje taki rozkaz.

Cyrus zamrugał, wstrząśnięty powagą słów mężczyzny siedzącego naprzeciwko. Klearchos był w tej chwili jak lew ze stępionymi pazurami, który jednak nie zapomniał, że wciąż jest lwem.

– Powinieneś pozwolić, żebym kupił ci konia – rzekł wolno. Potrzebował czasu, żeby zebrać myśli. – Nie przystoi wodzowi maszerować jak zwykły żołnierz.

– W Sparcie to przystoi – odparł Klearchos. – Będę maszerował. – Poruszył się niespokojnie na krześle. – Prawdę mówiąc, nie lubię koni. Nie lubię ich spojrzeń.

– Boisz się koni? – zawołał bez zastanowienia zaskoczony Cyrus.

Spartański wódz nagle zesztywniał. Cyrus z trudem przełknął ślinę.

– Nie boję się niczego – powiedział Klearchos. – Nie lubię koni. Nie rozumiesz tej różnicy?

Cyrus przez dłuższą chwilę wstrzymywał oddech i w końcu powoli wypuścił powietrze z płuc.

– Tak, oczywiście, rozumiem. To nie to samo.

Klearchos przez długi czas mierzył go wzrokiem. Wreszcie usatysfakcjonowało go to, co widział.

– Chyba powinniśmy porozmawiać o cenie – powiedział.

Cyrus poderwał głowę.

– A więc podejmiesz się służby dla mnie?

– Tak, za jedną złotą darejkę za każdego człowieka za każdy miesiąc lub za dwadzieścia sześć srebrnych drachm. Jednak każda bitwa lub każdy okres nadzwyczaj mozolnej służby będzie cię kosztować półtorej darejki. Dysponuję dwoma tysiącami Spartan, ośmioma setkami helotów i kilkoma

setkami periojków, wojowników gorszej jakości. Proponuję, żebyś płacił im połowę stawki. Helotom wystarczą oczywiście wyżywienie i broń.

– Oczywiście – zgodził się Cyrus.

Warunki Klearchosa były uczciwe, stawki nie przekraczały tych, które płacił mu w przeszłości. Niemniej czuł, że wódz tego szczególnie nie docenia.

– Zarządzę wypłatę dziesięciu tysięcy darejek. Czy to wystarczy?

Kwota była ogromna i Klearchos niemal zakrztusił się winem. Szybko wytarł dłonią policzek.

– Wystarczy, Wasza Wysokość. Za takie pieniądze będziesz czczony przez rodaków, a dla wrogów będziesz postrachem.

– Mówisz teraz o jedynych rzeczach, które cenisz – powiedział Cyrus, chcąc mu trochę dopiec. – Czy złoto i srebro naprawdę są takie ważne?

Ku jego zaskoczeniu Klearchos zachichotał.

– I mówi to ktoś, kto nigdy nie zaznał chłodu w zimie, kto nigdy nie zaznał głodu. Oczywiście, że jest ważne. Twoje złoto pozwoli wyszkolić wojska Sparty, pozwoli naszemu ludowi przetrwać i egzystować w spokoju w dolinie Eurotasu. Żadna obca armia nie wdarła się na terytorium naszego świętego Lakedajmonu od sześciuset lat. – Zamilkł i bacznie popatrzył na słuchających go mężczyzn. – Chociaż Persowie byli tego najbliżsi.

Cyrus skłonił głowę, przyjmując komplement.

– Chodziło mi jednak o ciebie. Jesteś żołnierzem dla złota?

Klearchos pochylił się ku księciu, opierając ręce na kolanach.

– Moi ludzie są w wieku od dwudziestu do sześćdziesięciu lat. Maszerujemy i walczymy w imieniu Sparty od czterdziestu lat, ponieważ nasza walka jest jak… woda wylewana na gorący kamień symbolizujący naszą ojczyznę. I tę wodę należy lać bezustannie, ponieważ w przeciwnym razie wyparuje, jakby nigdy nie istniała.

– A gdy po służbie wrócicie do domu, co wtedy?

– Kiedy wrócimy, będziemy chcieli jeść i wypoczywać w spokoju, chociaż młodzi często drwią ze starych żołnierzy, kiedy ci śpią. Zawsze tak było, wszyscy chłopcy to głuptasy. – Klearchos uśmiechnął się i potarł twarz dłonią. – Jeszcze nie odkryłem lepszego sposobu na życie, Wasza Wysokość. Ty, panie, swoim złotem kupujesz moją służbę, owszem, ale dzięki temu będziesz miał przyjemność oglądać Spartan w walce. To rzadki przywilej, wart znacznie więcej niż całe mnóstwo monet. W końcu większość mężczyzn widzi walczących Spartan tylko raz w życiu.

Wódz się wyprostował, a Cyrus posłał mu szeroki uśmiech. Osiągnęli porozumienie.

– Nalejcie wina! – zawołał wesoło książę do służących. – Musimy wznieść toast za ten rzadki przywilej. – Ale kiedy znowu odezwał się do Spartanina, na jego twarzy malowała się powaga: – Dziękuję ci, Klearchosie. Słuchając twoich słów, tęsknię za Anaksisem bardziej niż zwykle.

– Walcz dzielnie i zapewne któregoś dnia sam mu to powiesz – powiedział Klearchos.

– Jestem perskim księciem, chociaż w tym roku moja pozycja jest raczej niepewna.

– Książęta też docierają do Hadesu, mój panie. Kilku wysłałem tam osobiście.

– Teraz bawisz się moim kosztem – stwierdził Cyrus.

– Tak, Wasza Wysokość, rzeczywiście. – Spartanin upił łyk wina z pucharu i z zadowoleniem oblizał wargi. – Znam to wino. Przypomina mi dom.

Cyrus uśmiechnął się zadowolony, że jego gest został zauważony.

– Powstaje dzięki słońcu, glebie i winoroślom. – Uniósł wysoko puchar, a Spartanin podążył jego śladem.

– Wypijmy za tych, którzy już odeszli. Obyśmy znów się z nimi spotkali – wzniósł toast Klearchos.

Bez zbędnych słów stuknęli się pucharami i wypili wino do dna.

5

Ksenofont otworzył drzwi i wszedł do domu, po czym zamknąwszy je, przycisnął do nich plecy. Młody człowiek był czerwony na twarzy i sprawiał wrażenie bardzo rozzłoszczonego. Jego jasny chiton i płaszcz pokrywały ciemniejsze plamy. Gdy tak ciężko oddychał, coś wilgotnego i cuchnącego wysunęło się z fałdów jego odzieży i wylądowało na kamiennej posadzce.

Ateńczyk, właściciel tego skromnego domu, popatrzył znad stołu, na którym leżało z dziesięć rodzajów zielonych łodyg i liści oraz kilka makrel, które patroszył ostrym nożem. Mężczyzna był niski i krępy, miał siwe włosy i szerokie czoło, brązowe i upstrzone ciemnymi piegami niczym stara skóra. Mimo podeszłego wieku emanował siłą. Miał mocne ramiona i szeroką klatkę piersiową. Pod stołem widać było jego lekko krzywe gołe nogi.

– Ksenofoncie! – zawołał Sokrates z radością. Wstał, okrążył stół, wytarł ręce w fartuch i dopiero wtedy wyciągnął je w stronę gościa na powitanie. – Przyszedłeś na kolację? Na pierwsze danie mam kreteński przysmak z liśćmi laurowymi, a na deser dojrzałe figi.

Zanim młodzieniec zdążył cokolwiek odpowiedzieć, gospodarz serdecznie go objął, niemal odrywając od posadzki. Wbrew sobie Ksenofont odkrył, że zaczyna mu się poprawiać nastrój.

– Ksantypo! – krzyknął Sokrates przez ramię. – Będzie nas o jednego więcej na kolacji! – Przez chwilę stał bez ruchu, nasłuchując. – Gdzie ta

dziewczyna? Czy zbyt wiele od niej oczekuję, gdy chcę, żeby powitała mojego gościa? Ręce mam brudne po łokcie od ryb. Twój płaszcz jest mokry. Czyżby padało? Nie, przecież bym słyszał. I czuł: dach znowu przecieka i zdaniem Ksantypy to także jest moja wina. A zatem nie pada. Uśmiechasz się teraz, gdy próbuję przejrzeć twój sekret, ale wcześniej się nie śmiałeś. Oczywiście chodzi o tę zgraję polityków, te dzieciaki.

– To nie są dzieci, Sokratesie. Stają się coraz zuchwalsi i coraz bardziej okrutni za każdym razem, kiedy dostrzegają mnie na ulicy. Żyją i mnożą się jak szczury.

– Lepiej, że rzucają owocami, a nie kamieniami, przyjacielu.

– Tym razem były to i owoce, i kamienie – odparł Ksenofont. Zacisnął pięść i odciągnął połę zaplamionego płaszcza, odsłaniając spartański kopis przymocowany do uda.

Starzec cicho gwizdnął.

– Nie jest to broń odpowiednia na ulice Aten. Jeśli wydobędziesz spartańskie ostrze w cieniu Akropolu, co z nim zrobisz?

– To dziki tłum! Obserwują mnie, przekazują sobie informacje i gromadzą się wszędzie tam, dokąd się udaję. Słyszę stukot ich sandałów w alejach i nagle pojawiają się, wrzeszczą na mnie, straszą swoimi wściekłymi gębami! Plują! Czy można przejść pomiędzy fruwającymi kamieniami i wśród wrzeszczącej młodzieży bez szwanku? – zawołał gwałtownie Ksenofont. Opuścił głowę. Namiastka dobrego nastroju odeszła i znów był zacięty i zdenerwowany. – Kiedy byłem członkiem rady, otrzymałem prawo do posiadania broni. Akurat tego prawa do dzisiaj mi nie odebrano. Chciałbyś, żebym chodził po tym mieście zupełnie bezbronny?

Gospodarz bez słowa ujął go pod ramię i poprowadził do jedynego pokoju na parterze, będącego sercem tego domu. Rozklekotane schody wiodły z niego na górę, do sypialni. Ksenofont nagle się pochylił,

w ostatniej chwili unikając uderzenia głową w niską framugę, co już wielokrotnie mu się zdarzało. Zmarszczył czoło z niezadowoleniem, a jego przyjaciel się roześmiał.

– Widzisz? O wiele lepiej być niskiego wzrostu – powiedział.

– W twoim starym domu nie miałem tego kłopotu – odparł Ksenofont. – Tam mogłem przynajmniej się wyprostować.

– Lecz jaki był tam czynsz! Ta starucha, właścicielka, wycisnęła mnie jak śliwkę.

Wziął ze stołu parę fig i gestem zaprosił gościa, żeby się poczęstował, lecz młody człowiek jedynie się skrzywił. Sokrates ciężko westchnął.

– Kiedy byłem kamieniarzem, jadałem i sypiałem jak król. Tak było nawet wtedy, gdy byłem żołnierzem. Nie znałeś mnie, gdy byłem silny i posługiwałem się mieczem jak mistrz. Odbyłem trzy kampanie, Ksenofoncie. Trzy razy na rozkaz moich panów przystępowałem do tańca w myśl wskazań Aresa i ocaliłem życie Alkibiadesowi!

– Naprawdę? Nigdy mi o tym nie mówiłeś – odparł Ksenofont sucho.

Starzec klepnął go w ramię, aż tamten się zachwiał.

– Opowiadałem tę historię już zbyt wiele razy, wiem. Ale dobra opowieść jest dziełem sztuki, nawet nie bardzo odległym od pięknego posągu. Ważne, aby snuła się wartko i gładko i aby błyszczała jak marmur.

– Mówisz o gładkich kłamstwach.

– Nie, to nie jest to samo. Mówię o olśniewającym blasku. Ale wróćmy, przyjacielu, do twoich problemów. Każdego dnia narażasz się na szyderstwa i obelgi godzące w twój honor. Mówisz, że z biegiem czasu są coraz gorsze. Pokazałeś mi kopis, jakbyś zamierzał go niedługo użyć, mimo że twoi wrogowie są zbyt młodzi, aby zaatakować ich, nie tracąc czci. Rzucisz się na nich i będziesz zabijał dzieci?

– To nie są dzieci – powtórzył Ksenofont.

– A więc są mężczyznami? Noszącymi brody, doskonale władającymi bronią? Uzbrojonymi jak na wojnę?

Ksenofont pokręcił głową, przypominając sobie zgraję rozwydrzonych młodzieńców, którzy się na niego rzucili. Ale popatrzywszy na filozofa, dostrzegł, że oczekuje od niego wyraźnej odpowiedzi. Westchnął.

– Nie, to nie mężczyźni.

Sokrates pokiwał głową i uniósł palec wskazujący, aby podkreślić istotę sprawy.

– Kiedy grozisz komuś bronią, której nie zamierzasz użyć, postępujesz jak człowiek słaby, a ty, przyjacielu, nie jesteś przecież słabym człowiekiem. Czy twoim zamiarem jest wbijać w tych młodych ludzi ostre żelazo, a potem zmuszać ich, żeby ci się kłaniali?

– Nie – odparł Ksenofont niechętnie. – Chociaż w pewnej chwili coś takiego przyszło mi do głowy.

– Dobrze, jeżeli człowiek przemyśli swoje kolejne kroki, zanim zostanie aresztowany za zranienie kogoś albo za morderstwo; zawsze tak uważałem. A teraz posiekaj to z łaski swojej, bardzo równo. Nie liście laurowe, to zioła. Chodzi mi o zieleninę, która jest źródłem życia. Szczaw i pokrzywa, szarłat i wyka, cykoria i czarna psianka dodają mnóstwo wigoru.

– Czy ta ostatnia nie jest przypadkiem trucizną? – zapytał Ksenofont, biorąc do ręki nóż i zaczynając siekać.

– Psianka? Nie, jeżeli zerwiemy dojrzałą i ugotujemy, jak to już zrobiłem. Czy ryzykowałbym życie moich chłopców? I życie mojego szanownego gościa? Nie. Cały świat jest wielką spiżarnią dla człowieka o bystrym wzroku i rękach, które potrafią dotykiem odróżnić dobre liście od zwykłej trawy. Zapytaj mnie, ile kosztuje ten posiłek, Ksenofoncie, posiłek, którym nakarmię żonę, synów, mojego gościa i zaspokoję własny apetyt, który zawsze jest moim panem, a nigdy niewolnikiem.

Ksenofont zerknął na tłuste wypatroszone makrele leżące na blacie. Znał jednak filozofa zbyt dobrze, aby się zawahać, udzielając odpowiedzi.

– Nic a nic – rzekł.

– Nic a nic! – powtórzył Sokrates. – Ach, jakaż z ciebie roztropna wyrocznia! Stary Anatolos z portu dał mi te ryby w zamian za to, że pomogłem mu naprawić podniszczoną sieć. Wiązanie węzłów w sieciach rybaków to bardzo interesujące zajęcie i przy pracy nabyłem nowych umiejętności, a to warte znacznie więcej niż kilka ryb. Tymczasem Anatolos myślał, że rybami płaci mi za pracę. – Gospodarz pochylił się ku Ksenofontowi i ściszył głos do konspiracyjnego szeptu. – Prawdę mówiąc, to ja powinienem mu zapłacić, nie sądzisz? – Z zadowoleniem uderzył silną dłonią w drewniany stół, aż wydawało się, iż zatrząsł się cały pokój.

Ksenofont uniósł głowę, gdy usłyszał, jak podskakują przedmioty w sypialni na piętrze. Pragnął, aby jego stary mistrz przyjął darowiznę lub chociaż pożyczkę, która pozwoliłaby mu zamieszkać w lepszej dzielnicy Aten, jednak Sokrates nie chciał o tym słyszeć. Za ścianą sąsiedzi zaczęli się kłócić. Słychać było każde ich słowo, mimo że filozof kontynuował:

– Ale rozpraszasz mnie, Ksenofoncie. Kierujesz moje myśli ku ziołom i rybakom. Powróćmy do twojego problemu. Nie chcę, żebyś się rozzłościł, więc… skoro nie zaatakujesz tych gołowąsów, jeśli nie będziesz im groził jak stara baba, to może zdołasz zgromadzić ich wokół siebie i wytłumaczyć im, że nie powinni szydzić i rzucać kamieniami?

– Raczej mi się to nie uda. Moja godność by tego nie przetrwała.

– Prawda. Chłopcy potrafią być niegrzeczni, jak wciąż pamiętam. Słabe dłonie wzbudzają w nich tylko drwinę. Lecz mimo to… nie bądź surowy. Zamierzysz się na nich kijem? Będziesz ich kopał? Chociaż to i tak byłoby lepsze od używania ostrego kopisa.

– Mógłbym – powiedział Ksenofont z satysfakcją, wyobrażając to sobie.

Mówiąc, siekał dzikie rośliny. Ruchy miał szybkie i pewne. Po chwili wrzucił zieleninę do wielkiej misy. Jej zawartość miała wystarczyć do nakarmienia całej rodziny.

– Przyniosłeś wino? – zapytał Sokrates. Ksenofont z zakłopotaniem pokręcił głową. Filozof wzruszył ramionami, sięgnął pod stół po stary bukłak i wyciągnął zatyczkę. – Nic się nie przejmuj, trochę mi jeszcze zostało. Ludzie słowa nie mogą rozmawiać o suchej gębie. A przecież nie jestem osłem ani kozą, żeby pić wodę, prawda? Nie, człowiek pije wino, aby ogrzać krew i aby móc ujrzeć rzeczy z innej perspektywy, skonfrontować się z cudzymi poglądami. Ta „ekstaza", którą wywołuje wino, stanowi sekret dobrego życia, mój przyjacielu. Nie zawsze możemy być sobą. To zbyt męczące.

Ksenofont mimowolnie się uśmiechnął, podczas gdy stary człowiek wydobył skądś dwa poobijane kubki i napełnił je winem.

– Moja droga Ksantypa nie docenia bukłaka wina, w przeciwieństwie do mnie. Ona… – Sokrates zobaczył, że jego żona schodzi po schodach, i błyskawicznie zmienił temat: – Mój najcenniejszy kwiat, Ksenofoncie, łaskawie postanowił się przyłączyć do naszego wieczornego posiłku. Nie słyszałaś, jak cię wołałem?

– Słyszałam – odpowiedziała szorstko Ksantypa. Wydawała się zdenerwowana. Ksenofont spuścił wzrok, pozwalając małżonkom porozmawiać o własnych sprawach. – Chłopcy znowu biegali po dachu sąsiadów, wiedziałeś o tym?

– Moja droga, mamy gościa. A chłopcy wspinają się, gdzie popadnie. Taka już ich natura.

– Hmm… Kiedy się ich do tego zachęca. Witamy cię w naszym domu, radny, czym chata bogata.

Ksenofont ukłonił się nisko kobiecie, po czym jeden po drugim przycisnął policzki do jej twarzy. Ręce miał brudne od świeżej zieleniny.

– Dziękuję – powiedział. – Chociaż, i mówię to ze smutkiem, nie ma już żadnej rady. Twój mąż pomaga mi w rozwiązaniu pewnego problemu.

– O tak, mój mąż jest bardzo dobry w rozwiązywaniu cudzych problemów.

– Moja droga słodka figo, właśnie otworzyłem ostatni bukłak wina – odezwał się Sokrates. – Mogłabyś przynieść parę flaszek ze sklepiku starego Deliosa?

– Przyniosę, jeśli dasz mi pieniądze.

– To nasz przyjaciel, ukochana. Powiedz mu, że zapłacę w przyszłym tygodniu.

– Już wcześniej mnie poinformował, że zanim cokolwiek nam sprzeda, musisz uregulować rachunki z poprzedniego miesiąca.

– Och, daj spokój – naciskał Sokrates. – Powiedz, że przyszedł do nas na kolację stary przyjaciel. Na pewno zrozumie.

Ksenofont sięgnął po sakiewkę, jednak na jego ramieniu natychmiast zacisnęły się palce gospodarza, długie i mocne, ponieważ od najwcześniejszych lat posługiwały się młotkiem i dłutem.

– Jesteś moim gościem – powiedział Sokrates łagodnie. – W tym domu goście nie sięgają po sakiewkę.

– To dlatego, że zapomniałem o tym, co powinienem przynieść.

– Tego, co już się stało, nie cofniemy – oznajmił Sokrates i wzruszył ramionami. – Nie odbieraj mi dumy, mojej głupiej próżności. W zeszłym tygodniu dołączyło do mnie trzech nowych uczniów.

– Powinieneś ich uczyć nadawania kształtów kamieniom – stwierdziła Ksantypa. – Przynajmniej za to ci zapłacą. Lub posługiwania się włócznią

i tarczą. A ty roztrząsasz z nimi te wydumane problemy. I nie otrzymujesz za to żadnej zapłaty.

– Czy przyniesiesz nam wino, mój granacie? – zapytał Sokrates trochę twardszym głosem.

Ksantypa uznała, że już wystarczająco uprzykrzyła się mężowi, i wyszła na ulicę, energicznie trzaskając drzwiami.

– Ona jest… ognistą kobietą – powiedział Sokrates. Pełnym miłości wzrokiem popatrzył na drzwi, za którymi zniknęła. – Nie zasługuję na nią.

– Czy filozofia naprawdę przynosi tak mało dochodów? – zapytał Ksenofont. – Płaciłbym ci jako twój uczeń, gdybyś tylko mi pozwolił. Mówiłem o tym, już kiedy się wyprowadzałeś z poprzedniego domu.

– Jestem dumnym człowiekiem – powiedział Sokrates. – Jak wszyscy Ateńczycy. Nie lubię chodzić z wyciągniętą ręką i błagać innych ludzi: „nakarmcie mnie”, „ubierzcie mnie”. Nie. Postępuję po swojemu. Robię to, co nakazuje mi rozum. Karmię chłopców i żonę, a jeśli w trudnych miesiącach mam jakieś długi, to co z tego? Człowiek żyje na świecie bardzo krótko, Ksenofoncie! Czy mam prawo marnować choćby dzień na zmartwienia? W jednej chwili jestem, a w następnej może mnie już nie być. Mogę wieczorem zasnąć i rano się nie obudzić. Moja droga Ksantypa znajdzie mnie zimnego i pozostanie z niczym, osamotniona i zapłakana, a moi synowie zostaną niewolnikami lub będą głodować. Mógłbym zginąć w walce i rezultat byłby ten sam. Tymczasem zadaję pytania i zdarza się, że dzięki nim ludzie dostrzegają prawdy, których wcześniej nie widzieli. Bywa, że jest to dla mnie nagrodą, która wystarcza za zapłatę, Ksenofoncie…

– Zapytaj więc mnie – powiedział młodzieniec z uśmiechem.

– Ty już znasz prawdę. Moim dążeniem jest teraz tylko wydobycie jej z ciebie, sprawienie, że stanie przed twoimi oczami i że zobaczysz ją

w całej okazałości. Są ludzie, którzy nie znoszą światła i wpadają w dziwną złość, kiedy prawda objawia się im w taki sposób. Jednym z nich był Kritias, a złość w końcu przyniosła mu zgubę. Niech jego dusza znajdzie wieczny spokój.

Ksenofont skłonił głowę w hołdzie dla polityka. A Sokrates pokiwał głową, jakby w ten sposób zgadzając się z sobą.

– Myślę, że jesteś człowiekiem z lepszego materiału niż on. Doskonale.

Dwaj mężczyźni przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Zapomnieli o rybach i o warzywach.

– Dlaczego młodzi ludzie na ulicy rzucają w ciebie kamieniami i zgniłymi owocami? – zapytał Sokrates.

– Ponieważ nikt im później nie przeszkadza w ucieczce. Ponieważ jest to niezamożna część miasta. Nie ma tutaj porządku.

– Rzucają kamieniami we wszystkich, którzy ich mijają?

Zapadła cisza i Ksenofont dopiero po dłuższej chwili pokręcił głową.

– Dlaczego więc rzucają w ciebie, przyjacielu?

– Doskonale wiesz dlaczego.

– Mimo wszystko chciałbym usłyszeć odpowiedź z twoich ust.

– Widzieli mnie tutaj wiele razy. Znają moje imię.

– Nienawidzą zatem twojego imienia? Z pewnością rzucają kamieniami w imię.

– Uważają mnie za zdrajcę – mruknął Ksenofont i się zaczerwienił.

– Nie chodzi więc o twoje imię, ale o to, co zrobiłeś?

– Nie zrobiłem nic złego. Nic!

– Dlaczego więc uważają cię za zdrajcę?

Ksenofont wyrzucił do góry ręce.

– Przychodzę do ciebie jako przyjaciel, a nie jako uczeń. Nie mam dzisiaj nastroju na takie rozmowy. Rozlej więc, proszę, ostatnie krople wina albo

pozwól, że kupię następne. Porozmawiajmy o czymś innym. Pozwól moim problemom pozostać na ulicy, w rynsztoku.

Pomagając sobie plastrem białego sera, Sokrates wrzucił do miski posiekane warzywa i ryby. Zalał wszystko oliwą, aż zawartość miski zaczęła lśnić, następnie rozkruszył nad nią palcami grube ziarna soli.

– Dla świętego spokoju robię to, kiedy mojej ukochanej nie ma w domu. Mówi, że używam zbyt dużo soli, i to prawda, lecz czym byłoby życie bez soli? I, przyjacielu, nie było cię u mnie od miesiąca, chociaż w całym mieście aż wrze. Przyszedłeś dzisiaj, ponieważ potrzebujesz odpowiedzi, może porad. Zatem poszukajmy w tym wszystkim mięsa, jak to czynią sprzedawcy ślimaków, zachwalając swój towar.

Znowu otworzyły się drzwi, do domu wróciła żona filozofa. Groźnie popatrzyła na wielką miskę i na dwóch mężczyzn, stawiając na stole pomiędzy nimi dwie gliniane amfory z winem.

– Delios mówi, że albo mu zapłacisz, albo nic więcej nie dostaniesz, bo on nie jest pożyczkodawcą. Powiedział też, że gdyby ci pozwolił, doprowadziłbyś go do nędzy, pijąc za darmo jego wino.

– To mój drogi przyjaciel, bohater pomiędzy mężczyznami – odparł Sokrates z emfazą.

Wyciągnął z amfor zatyczki z gliny i skóry, po czym z satysfakcją je powąchał.

– To amfory ze świeżym młodym winem, moja ukochana. Są jak małżeństwo z kilkutygodniowym stażem, jak nowi przyjaciele, nowi kochankowie, nowe zdobycze!

Jego żona prychnęła, jednak nie opierała się, kiedy objął ją ramionami. Ksenofontowi nie podobał się sposób, w jaki traktowała Sokratesa. Ksantypa zdawała się bezustannie doprowadzać męża do irytacji i zakłopotania, a przecież wychowali trzech synów. Chociaż w jej postawie

dawało się wyczuć autentyczne zgorzknienie, niemal całkowicie je niwelowała jej miłość do krzepkiego mężczyzny, który teraz soczyście ją pocałował.

– Zawołaj chłopców, najdroższa. Radny właśnie wyjaśniał mi powody swojego gniewu.

– Bule została rozwiązana – powiedział Ksenofont niechętnie. – Nie pełnię już żadnej funkcji.

Doskonale zdawał sobie sprawę, na jakie pytania za chwilę będzie musiał odpowiadać, i chociaż wcale nie miał na to ochoty, Sokrates się tym nie przejmował.

– A więc miasto nie potrzebuje rady? A może w Atenach nie ma już dobrych ludzi gotowych pracować dla dobra publicznego? – zapytał.

Podał gościowi kolejny kubek wina, a ten pociągnął z niego spory łyk, po czym usiadł przy stole. Tymczasem Ksantypa zaczęła krzykiem przywoływać synów, rozstawiając na stole miseczki, łyżki i noże dla wszystkich. Zapaliła lampę oliwną i pokój rozjaśnił się złotym światłem.

– Dlaczego miałbym powtarzać to, o czym już wiesz? – zapytał Ksenofont.

– Dlaczego musisz mi się sprzeciwiać? Nie słyszysz samego siebie? Po co to robisz?

– No, dobrze już. Rada została rozwiązana, kiedy obalono władzę Spartan. To chciałeś usłyszeć? Trzydziestu pojmano i ci ludzie w większości zostali wymordowani na ulicach przez tłum. Twój uczeń, Kritias, zginął. To dlatego nie ma już rady.

– A co z tobą, mój przyjacielu? – zapytał Sokrates łagodnym tonem.

Tymczasem jego trzej synowie zbiegli po schodach z piętra, poobijani i roześmiani. Umilkli jednak i usiedli przy stole w ciszy, kiedy zobaczyli, że ich ojciec przyjmuje gościa.

– Ze mną?

– Jak to się stało, że wciąż żyjesz? Jakim sposobem przetrwałeś rebelię i wściekłe niszczenie symboli Sparty?

– Ułaskawiono mnie, jak i trzy tysiące innych osób.

Mówiąc te słowa, Ksenofont zacisnął pięści, a Sokrates wyciągnął rękę i poklepał go po drżącym przedramieniu spoczywającym na stole. Kolacja była gotowa i Ksantypa podziękowała za posiłek bogini Demeter oraz morskim nimfom. Dwaj synowie Sokratesa byli szczupli i wyprostowani jak czarodziejskie różdżki, natomiast trzeciego można by uznać za młodszą wersję ojca, o gęstej czuprynie grubych, czarnych włosów. Wszyscy rzucili się na jedzenie jak wygłodniałe psy, nawet najmniejszą kropelkę oliwy wycierali z misek kawałkami chleba.

– Skoro cię ułaskawiono, dlaczego ludzie wciąż szydzą z ciebie na ulicy? – zapytał Sokrates. – Dlaczego rzucają w ciebie kamieniami i owocami?

Ksenofont pochylił głowę.

– Ojcowie niektórych stracili życie z rozkazu Trzydziestu. I oni obwiniają o to tych spośród nas, którzy pomagali Tyranom w pracy, choć przecież chodziło nam wyłącznie o porządek i o to, żebyśmy żyli jak najlepiej. Co, poza destrukcją, przyniosła nam kiedykolwiek demokracja? Ilu Ateńczyków straciliśmy pod Syrakuzami? Spartanie przychodzili do nas trzykrotnie i mówili: „Wszyscy jesteśmy Grekami. Zakończmy tę wojnę pomiędzy nami”. Trzy razy w demokratycznym głosowaniu Ateńczycy wzgardzali tym szlachetnym gestem. Spartanie ponawiali go nawet wtedy, kiedy nam się nie wiodło w wojnie, i oferowali nam pokój, a my ich ofertę odrzucaliśmy.

– I byłeś zły? Czułeś, że Spartanie są bardziej szlachetni?

– Byłem zły, bo ich wielka szlachetność nie pozostawiała wątpliwości. I to nie jest kwestia opinii. Ateny przemawiały głosem tłumu, a czego

nieodmiennie chce tłum, jeśli nie wygodnego życia bez wysiłku, wylegiwania się w promieniach słońca i otrzymywania tego, na co się nie zapracowało? Oczywiście dołączyłem do prac Trzydziestu. I miałem rację.

– A teraz? Czy mieszkańcy Aten ci wybaczyli?

– Nie. Zadręczają mnie. Po tym wszystkim, co dla nich zrobiłem, widzą we mnie wroga! W długiej historii Aten sprawowaliśmy władzę tylko przez rok, Sokratesie. I w tym czasie był chleb i wystawiano wspaniałe przedstawienia. Przez całe miesiące miasto nie doświadczyło żadnych zamieszek. Żaden przestępca nie otrzymał zgody na to, aby wybierał, w jaki sposób zginie. Ci, co naruszali porządek, byli zabijani i w efekcie panował ład.

– A więc powstrzymano przemoc? – zapytał Sokrates niemal szeptem. – Powstrzymano przemoc, zabiwszy przestępców?

Ksenofont ciężko westchnął i zwiesił głowę. Nawet chłopcy przestali jeść, żeby wysłuchać, co będzie miał do powiedzenia.

– Zaczęło się robić coraz gorzej. Z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc. Myśleliśmy, że skoro zabiliśmy przywódców, reszta się uspokoi i będzie przestrzegać prawa, oni jednak ani myśleli zamilknąć. Najaktywniejsi w wywoływaniu zamieszek okazali się synowie i stryjowie podżegaczy, lecz liczba tych ludzi rosła, jak odrastają głowy Hydry. Na każdej ulicy mężczyźni, których nie znaliśmy, przystawali i przemawiali do tłumów. Kazaliśmy wszystkim się rozchodzić i nie byliśmy w tym łagodni. Wprowadziliśmy w całym mieście zakaz opuszczania domów w nocy i wieszaliśmy coraz więcej ludzi.

– I w końcu zapanował spokój? – zapytał Sokrates.

– Nie. Ludzie się wzburzyli, wyszli nocą na ulice z pochodniami i z żelazem. Opanowali miasto, w łóżkach zamordowali członków

Trzydziestu, zabijali i plądrowali, i… – Ksenofont się otrząsnął, chcąc odgonić od siebie złe wspomnienia.

– Ale tobie już wybaczyli, prawda? Przecież minął chyba kolejny rok? Ludzie pozostawili te mroczne dni za sobą, czyż nie? Na pewno odbudowali mury zburzone przez Spartan po to, aby cała Grecja mogła widzieć naszą uległość?

Ksenofont popatrzył na kobietę o surowej twarzy oraz na trzech synów Sokratesa, którzy palcami wycierali niemal pustą miskę, nie chcąc uronić ani kęsa z wieczornego posiłku. Wreszcie pokręcił głową.

– Mury pozostały obalone, a kamienie z nich rozgrabiono na budowę nowych domów. I nie, ludzie mi nie wybaczyli. Pojawiają się mówcy, którzy nawołują do nowych kar wobec tych, którzy wspomagali Trzydziestu, do odrzucenia myśli o jakimkolwiek wybaczeniu. Twierdzą, że wcześniej zaznaliśmy zbyt dużej pobłażliwości z ich strony. – Zapadła cisza, którą ponownie przerwał Ksenofont: – Nie wiem, co robić. Nie mogę uciekać, lecz jeśli tutaj pozostanę, raczej nie skończę dobrze.

– Nie masz żony ani dzieci, Ksenofoncie. Twoje życie należy tylko do ciebie. Ile masz lat, trzydzieści?

– Dwadzieścia sześć! – zawołał zapytany, aż Sokrates się roześmiał.

– Pewnego dnia porozmawiamy o próżności, przyjacielu. Ale do tego czasu musisz widzieć swoje życie dokładnie takie, jakie jest. Co zrobisz? Będziesz postępował tak jak dotąd? A może jakoś je zmienisz?

Ksenofont wyprostował plecy i pozwolił, aby gospodarz nalał mu kolejny kubek wina, chociaż trunek zaczynał już przytępiać jego zmysły. Spróbował wyjść ze swojej skóry i popatrzeć na siebie tak, jakby spoglądał z zewnątrz na kogoś obcego. Moc wina uczyniła z nim dokładnie to, co zaplanował Sokrates; trunek sprawiał, że na ludzi, którzy mieli odwagę uczciwie odpowiadać na wszelkie pytania, spływały wielkie objawienia.

– Muszę opuścić Ateny – powiedział. – Chociaż są moim domem, muszę stąd wyjechać. – Wypowiedział te słowa niemal automatycznie.

Sokrates uśmiechnął się do niego i uścisnął nad stołem jego ramię.

– Nie na zawsze, Ksenofoncie. Nawet Ateńczycy w końcu zapominają i wybaczają. Jesteś młodym człowiekiem i maszerujesz w miejscu z problemami i strachem na barkach. Odrzuć na bok takie rzeczy! Zwiedź świat. Któregoś dnia tutaj wrócisz. A ludzie zapomną o tych wszystkich wstrząsach, gwarantuję ci. To droga mężczyzn. Udaj się w długą wędrówkę i wracaj z bagażem doświadczeń. Przybądź z opowieściami, które rozbawią moją ukochaną żonę.

Ksenofont wstał i mocno uściskał starszego mężczyznę.

– Zawsze prosiłem cię tylko o to, żebyś mnie uczył, jak najlepiej żyć – powiedział. – A ty zawsze wiedziałeś to wszystko, o czym ja miałem ledwie mgliste pojęcie. Ateńczycy powinni pójść drogą, którą wskażesz ty, Sokratesie. Jeżeli tak właśnie się stanie, Ateny znów będą wielkie.

– Och, chłopaku, one już są wielkie! Żałuję, że tego nie widzisz. Jeżeli dotąd ufałeś moim ocenom, mógłbyś trochę bardziej cenić głos ludu. Kritias był taki sam. Jutro będę nauczał młodzieńca, który twierdzi, że człowiek powinien mieć swoich strażników, tak jak owce muszą mieć pasterzy. Jak to się dzieje, że wszyscy moi najlepsi uczniowie nie widzą żadnej wartości w naszych ateńskich sporach, że nie przypisują znaczenia naszym wątpliwościom? Reszta świata pełna jest tyranów i strażników, którzy pilnują ludzi. Królowie są na tym świecie jak pszczoły, roją się wielkimi gromadami. Tylko w Atenach oddajemy głos ludziom młodym, biednym, bystrym. Szpetnym starcom jak ja, ubogim, nieposiadającym patronów. Mój chłopcze, mamy tutaj prawdziwy kwiat w blasku południowego słońca, kwiat delikatniejszy od szkła.

– To bogowie nam doradzają i nami kierują – stwierdził Ksenofont poważnym tonem. – Tak jak ojciec instruuje swoich synów. Królowie i przywódcy nie są nikim więcej jak ludźmi odtwarzającymi ten porządek. Bo przecież trudno komuś przypisywać autorytet tylko dlatego, że najgłośniej krzyczy. Pozwoliłbyś, aby ci, którzy mają najdonośniejszy głos, zdominowali mądrych i świętych?

– Już wcześniej prowokowałem bogów, bo chciałem, żeby we mnie uderzyli – powiedział Sokrates. – A oni…

Jego żona zaczęła zbierać miski ze stołu, dlatego Ksenofont na chwilę stracił filozofa z oczu. Usłyszał wysyczane ze złością słowa, które padły pomiędzy małżonkami z powodu tej wypowiedzi, jednak udał, że do niego nie dotarły. Pewne rzeczy nie były przeznaczone ani dla uszu dzieci, ani dla uszu arbitrów moralności publicznej. Nie wszyscy w Atenach cenili destrukcyjne dążenie Sokratesa, aby wszystkiemu zaprzeczać i wszystko kwestionować. Dziwna to była myśl i Ksenofont zaczął ją analizować, gdy po raz kolejny gospodarz nalał im wina, a na stole pojawiły się grube plastry sera, chleb i winogrona. Chłopcy poprosili o pozwolenie odejścia od stołu i pobiegli gdzieś natychmiast, kiedy zostało im udzielone.

– Wiesz, Sokratesie, nauczałeś Spartanina Kritiasa, który wchodził w skład Trzydziestu i rządził Atenami, dopóki nie przyszedł po niego tłum. Jak to jest, że teraz ludzie ścigają mnie na ulicach i wygrażają mi z powodu roli, jaką odgrywałem w niedalekiej przeszłości, a do ciebie nikt nie ma pretensji?

– Ponieważ jestem zbyt kochany – odparł Sokrates. Jego żona parsknęła śmiechem znad misek, które właśnie myła, a filozof się do niej uśmiechnął. – I w gruncie rzeczy Ateńczycy wiedzą, że ich kocham. Nie widzą we mnie człowieka noszącego głowę wyżej niż przeciętny mężczyzna. Bo byłoby to szaleństwem! Przecież jestem Ateńczykiem. Jestem Grekiem. Jestem

kamieniarzem i żołnierzem, i interpelatorem. Chodzę boso pomiędzy nimi, a oni widzą, że garną się do mnie i uważnie mnie słuchają młodzi ludzie. Nie jestem dla nich zagrożeniem.

– Uważają cię za najmądrzejszego człowieka w Atenach – powiedział Ksenofont oschle.

– A cóż ja zrobiłem takiego, co warte było chociaż tyle, ile puchar dobrego czerwonego wina? Kiedy kułem kamień, powstawały z niego nowe rzeczy. Kiedy stałem z przyjaciółmi w szyku bojowym, kiedy poznawałem, co znaczą ból i przelana krew, bałem się. A teraz jedynie zadaję pytania na miejskim rynku.

– Alkibiades powiedział, że dzięki tobie zrozumiał, iż całe jego życie jest życiem niewolnika – powiedział Ksenofont cichym głosem. – Bywają jednak ludzie, którzy nie doceniają możliwości tak głębokiego wejrzenia w siebie.

– Alkibiades to wielki człowiek. Jestem zadowolony, że uratowałem mu życie, gdyż potem już nigdy więcej nie poszedł na wojnę. A jeśli chodzi o wszystko inne, mam już prawie siedemdziesiąt lat. Kiedy przemierzam place Aten, mam na grzbiecie połatane szaty i noszę laskę pasterza. Nikt się mnie nie boi. Lecz ty, Ksenofoncie… Kiedy unosisz brew, patrząc na Ateńczyków, kiedy przyjmujesz postawę własnego ojca, zachowujesz się jak ktoś przekonany, że wie wszystko najlepiej, i niestety działasz na swoją niekorzyść.

Ksenofont przez długi czas milczał, chociaż razem z Sokratesem osuszyli pierwszą amforę i napoczęli drugą. W końcu młody mężczyzna pokiwał głową.

– Przemyślę twoje słowa. Pójdę na plac do werbowników. Dopóki jeszcze twoje wino krąży mi w żyłach. I pozwolę bogom, aby to oni zdecydowali, jaką ścieżką mam iść dalej.

– Jesteś wspaniałym człowiekiem, synu Aten – powiedział Sokrates. – Gdybym mógł jeszcze raz przeżyć młodość, poszedłbym razem z tobą. – Odwrócił głowę, żeby popatrzeć na żonę. – Jednak moja młodość już przeminęła, jestem żonaty i mój czas nie zawsze należy do mnie. Życzę ci powodzenia.

Objęli się po raz ostatni i Ksenofont wyszedł na ulicę – trochę niepewnym krokiem, ale wpatrzony przed siebie w jakiś bardzo odległy punkt.

Kiedy Sokrates wrócił do stołu, znalazł pod przewróconą miską woreczek ze srebrnymi monetami pozostawiony przez Ksenofonta. Przez chwilę ważył go w dłoni, wreszcie wzruszył ramionami i posłał po kolejną amforę wina, aby uczcić ten niespodziewany przypływ bogactwa.

6

Sardes leżało na zachodnim krańcu imperium, na południe od Byzantion. Ludzie tam wierzyli, że stolicą Persji jest odległa Suza. Miasta Persepolis, gdzie w górze wyciosano płaskowyż, nie wspominano nawet w legendach.

Place Sardes przemierzali bogaci Grecy z osobistą strażą, wybierając wszelakie dobra i przyprawy, aby je później sprzedawać na rynkach w ojczyźnie, albo kupując je po prostu dla własnej przyjemności. W mieście można było za spore pieniądze kupić jasnowłose niewolnice z Galii albo niewolnice o włosach jak jedwab pochodzące z Chin, jednak prawdziwe bogactwo było starannie skryte przed wzrokiem pospólstwa. Wysokie mury otaczały posiadłości książąt i królów, aby żaden przechodzień nie mógł się zorientować, że po ich drugiej stronie rozciągają się ogrody.

A w sercu miasta stał pałac królewski, zawsze gotowy na przyjęcie lokatora, chociaż od dziesiątków lat nie postawił w nim stopy żaden członek królewskiej rodziny. Mimo to cała armia służących i niewolników bezustannie zamiatała posadzki, malowała ściany i przycinała krzewy. Nie ośmielali się zbliżyć do księcia, dlatego zarówno on, jak i trzej jego towarzysze mogli odnieść wrażenie, że maszerują przez pusty ogród. Jednak podobnie jak inne rzeczy, prywatność była tutaj iluzją.

Cyrus ubrany był w lekkie szaty, stosowne do wysokiej temperatury, do biodra przypasany miał miecz z zakrzywionym ostrzem i rękojeścią wysadzaną rubinami. Jego lewą dłoń ozdabiał złoty pierścień, jedyna

oznaka bogactwa i władzy. Spartanin Klearchos kroczył przy jego boku. Miał gołe nogi, a lekki czerwony płaszcz unosiła łagodna bryza. Uważnie przysłuchiwał się rozmowie.

– Myślałem, że znam tę część Anatolii, mój panie – powiedział jeden z mężczyzn.

Proksenos przenigdy nie ośmieliłby się nazwać księcia łgarzem, jednak w ostrych rysach jego twarzy wypisana była wątpliwość. Wszyscy greccy oficerowie byli szczupli i opaleni, a ich sylwetki ukształtowała profesja, jaką się parali. A jednak Proksenos z Beocji znacznie się różnił od typowego oficera. Jego czoło niemal zasłaniało oczy, a potężny nos rozcinał przed nim powietrze, jak dziób okrętu rozcina wodę. Klearchos lubił go, rozumiał też jednak, że jest świadkiem rozgrywki królów, w której uczciwość może doprowadzić człowieka do śmierci, zanim on sam stanie się dla kogokolwiek zagrożeniem.

– Przecież nie możesz znać, Proksenosie, każdego plemienia z górzystych terenów, prawda? – Cyrus poklepał go po plecach. – Cała Anatolia jest częścią imperium mojego brata, nawet zbuntowane południe, a ja dowodzę jego armiami. Może powinienem pomaszerować z kilkoma tysiącami Persów ze wschodu pomiędzy te wzgórza, co? Z ludźmi, którzy nigdy tamtędy nie chodzili? Nie, uważam, że do tego zadania najlepiej nadadzą się żołnierze z Grecji. Klearchos zarekomendował mi ciebie, a ja słyszałem już o tobie jako o doskonałym dowódcy.

– Pochlebiasz mi, panie – odparł Proksenos i na moment przyklęknął przed księciem na kolano.

– Wiem, że zasługujesz na te słowa. A zatem zrobisz to, Proksenosie? Znajdziesz dla mnie dwa tysiące dobrze wyszkolonych hoplitów? Wyćwiczonych w boju i doświadczonych mężczyzn, którzy nie uciekną w popłochu zaatakowani przez dzikie plemiona?

– Ufam, że znajdę. Znam mniej więcej tuzin polemarchów dysponujących spisami ludzi, których wyszkolili. Część z nich oczywiście uczestniczy w walkach albo przeszła w stan spoczynku. Ale dwa tysiące to niezbyt duża liczba.

Grecki dowódca popatrzył na księcia, a potem zerknął na Klearchosa. Coś mu w ich zachowaniu nie pasowało, jednak Proksenos nie był w stanie stwierdzić co takiego. Żołnierzy greckich ceniono na całym świecie. Zatrudniali się jako najemnicy i żądali za to ogromnych pieniędzy. A jednak Proksenos wyczuwał teraz coś, co go niepokoiło. Instynkt podpowiadał mu, że powinien odrzucić ofertę Persa, lecz z drugiej strony za jej przyjęcie książę oferował mu fortunę.

– Potrzebujesz moich ludzi dokładnie na rok? Żeby poszli na wzgórza i oczyścili je z mieszkających tam plemion?

– Jakby ich tam nigdy wcześniej nie było – odparł Cyrus.

Klearchos zauważył, że książę ma ogromne oczy. Zdawał się całą siłą woli pragnąć, żeby Beota zaakceptował jego słowa. Obaj obserwowali, jak Proksenos masuje sobie podbródek.

– Część wynagrodzenia będę oczywiście musiał wypłacić im zaliczkowo, aby okazać moją dobrą wolę – powiedział.

– Jak sobie życzysz – zgodził się Cyrus i wzruszył ramionami. – Przedstawię cię mojemu adiutantowi. Parwiz przygotuje pierwszą wypłatę i wszystko, czego będziesz potrzebował. Wyszkol swoich ludzi doskonale. Doprowadź ich do takiej perfekcji, że będą potrafili jednym cięciem zgolić włoski z mojego przedramienia, a ja ci za to podziękuję.

– A następnie ruszymy na tych Pizydów? Na południe? – zapytał Proksenos.

– A następnie złożysz mi raport, że jesteś gotowy! Być może zechcę odebrać paradę twoich ludzi, zanim każę im maszerować tysiące mil.

– Rozumiem. Jestem zaszczycony twoim zaufaniem, Wasza Wysokość. I tym, że Klearchos odezwał się do mnie, chociaż nie widział mnie od dziesięciu lat. Nie zawiodę was. Od tej chwili służę tronowi Persji.

– Służysz księciu Cyrusowi – powiedział Klearchos.

Grecki dowódca zatrzymał się na moment, aby znowu przyklęknąć przed księciem.

– Czyż to nie to samo?

Cyrus się roześmiał, chociaż w tej chwili miał ochotę udusić Spartanina.

– Mój brat jest królem! – powiedział. – A ja od ośmiu lat zawiaduję armiami i nadzoruję lojalność każdego zbrojnego od Sardes do Indii. Oczywiście, że to jest to samo.

Cyrus obserwował, jak mężczyzna klęka i zaraz wstaje, bez jego zgody. Zmarszczył czoło. Grecy nigdy nie potrafili oddawać honorów we właściwy sposób, nawet kiedy padali przed nim na brzuchy. Rozumiał, że pochodzą ze świata, w którym nie przywiązuje się do tego wielkiej wagi, jednak książę, wychowany w pałacach Persji, nie potrafił zaakceptować ich zachowania bez poczucia dyskomfortu.

Kiedy Proksenos odszedł, Cyrus zwrócił się do Klearchosa, który dotąd nie odzywał się wiele, a w czasie marszu przez ogrody jedynie rozglądał się z zaciekawieniem.

– Chyba jestem zmęczony – powiedział książę, jakby mówił do siebie.

Jeszcze nie dokończył zdania, gdy pojawił się przy nim cały zastęp służących ze stołem i krzesłami oraz zestawem pięknych naczyń z niebieskiego szkła. Postawili na stole talerze z jedzeniem, które miało uspokoić skurcze pustego żołądka księcia. Cyrus usiadł i sięgnął po oliwki oraz pieczony czosnek, nawet nie dostrzegając służącego, który mu podsunął krzesło.

Stymfalijczyk Sofajnetos nie powstrzymał się przed odwróceniem głowy, które pozwoliło mu się upewnić, że służący postawił krzesło również dla niego. Podano mu także kielich i natychmiast pociągnął łyk słodkiego soku.

– Panie, nie jestem do czegoś takiego przyzwyczajony – powiedział.

– To zapewne się przyzwyczaisz, Netosie, jeżeli będziesz dobrze służył – odezwał się Klearchos, zanim książę zdążył odpowiedzieć.

– Rozumiem, że jesteś wodzem Netosem? – zapytał Cyrus.

W odpowiedzi mężczyzna skłonił głowę, akceptując poufałość księcia, tak jakby miał w tej kwestii coś do powiedzenia.

– Słyszałeś, co powiedziałem Proksenosowi – kontynuował Cyrus. – Zakładam, że wiadomo ci o wielu moich spotkaniach z wojskowymi w ciągu ostatnich kilku tygodni.

– Musisz nienawidzić tych Pizydów przeogromnie – odezwał się Netos pytającym tonem. Sącząc wino, popatrzył w dal, chłonąc z rozkoszą powiew chłodnego wiatru unoszącego się nad ogrodami. Wyobraził sobie, że Klearchosa drażni komfort, w którym egzystował od pewnego czasu. Spartanin bez wątpienia wolałby powrócić do surowych warunków, do jakich był przyzwyczajony, położyć się na kępie pokrzyw albo w cieniu jakiegoś ciernistego krzaka. Netos nigdy nie rozumiał takiej postawy, bo przecież świat był pełen uroczych i nastrojowych miejsc oraz pięknych i uwodzicielskich kobiet. Przyglądał się uważnie obu mężczyznom, a w szczególności księciu. W mieście mówiło się, że Cyrus prawie nie sypia, że rekrutuje każdego żołnierza, jakiego może znaleźć w promieniu tysiąca stadionów we wszystkich kierunkach. Złoto, które wydawał, przepływało przez jego ręce jak rzeka, jednak nic dla niego nie znaczyło.

Netos czekał na odpowiedź, lecz żaden z mężczyzn mu jej nie udzielił. Dostrzegł, że rysy twarzy Spartanina zaostrzyły się, a jego wzrok nagle stał się jakby nieobecny. Westchnął.

– Wasza Wysokość, służę razem ze Spartanami, Koryntianami, Tebańczykami i Ateńczykami już od dwudziestu lat. Ciężką pracą zyskałem autorytet i zaufanie ludzi, którzy wykonują moje rozkazy, często decydujące o tym, czy zginą, czy przeżyją kolejny dzień. Walczyłem w trzech długich kampaniach i przynajmniej w kilkunastu mniejszych. Przetrwałem je wszystkie, nie odniósłszy poważnej rany, a właściwie nawet zadrapania. W moje czterdzieste urodziny koń nadepnął mi na stopę i połamał połowę kości. Nie mogłem pracować przez sześć miesięcy i… cóż, obecnie brakuje mi środków do życia. Nie mogę więc powiedzieć, że nie dbam o pieniądze albo że nie robią na mnie wrażenia wysokie stawki, jakie oferujesz. Kupujesz moją służbę i moje posłuszeństwo. Jeśli powiesz: „Netosie, nie życzę sobie rozmawiać z tobą o tym, jakie są moje prawdziwe zamiary”, doskonale cię zrozumiem. Znam mniej więcej dwanaście setek ludzi, którzy wyskoczą z małżeńskich łóżek, aby za dobrą zapłatę wymaszerować z Koryntii. Twoje imię budzi szacunek i ludzie mówią o tobie dobrze. Jestem w stanie zebrać tysiąc dwustu żołnierzy dorównujących w walce każdemu Spartaninowi.

Klearchos parsknął śmiechem i Netos popatrzył na niego groźnie.

– Klearchosa znam przez połowę mojego życia. Wystarczająco dobrze, aby móc powiedzieć, że nie jest skłonny do przemilczeń lub mówienia półprawd. Ufam, że również ty nie jesteś kimś takim. Wyobrażam sobie, że obaj macie swój cel, który nie stoi w sprzeczności z moimi zamiarami. Jednak wszyscy trzej znamy się na wojsku, prawda? Nie rozmawiajmy więc już o niebezpiecznych plemionach górskich, przynajmniej w naszym gronie. – Zachichotał i upił łyk soku owocowego. – Jak słyszałem, Klearchos ma pod swoją komendą kilka tysięcy Spartan. Chociaż więc nie ma pojęcia o dobrym winie, nie istnieje na świecie żadne dzikie plemię mogące sprawić problemy jego ludziom, niezależnie od tego, jaka jest jego

rasa i jak wysokie są granie, wśród których się skrywa. – Netos popatrzył na księcia, aby się zorientować, jak zostały przyjęte jego słowa. Zamrugał, kiedy Cyrus wesoło się roześmiał. – Rozbawiłem cię? – zapytał.

– Ani trochę – odparł Cyrus. – Klearchos powiedział mi, że nie przyjmiesz bajki, którą ułożyliśmy. Jak zauważyłeś, mam własne powody, żeby zgromadzić armię. Jeśli te powody zaczną roztrząsać przekupki na rynku, mógłbym ponieść porażkę w przedbiegach. – Upił łyk swojego napoju, badawczo spoglądając na mężczyznę siedzącego naprzeciwko.

Po chwili Netos skłonił głowę.

– Rozumiem, oczywiście. Jak już powiedziałem, kupujecie moją służbę. Będę tylko skromnym narzędziem w waszych rękach. Topór nie pyta drwala o drzewo, które należy ściąć.

Klearchos wybuchnął tak gwałtownym śmiechem, że tamci odwrócili się w jego stronę.

– Netos nie jest skromnym człowiekiem, Wasza Wysokość. Jednak nigdy nie słyszałem też, żeby rozsiewał plotki.

Stymfalijczyk uśmiechnął się z zaciśniętymi ustami.

– Zapewne taki skromny topór mógłby pytać, czy stanie naprzeciwko konnych czy też piechoty z procami. Czy będzie musiał walczyć na morzu czy na lądzie. Wasza Wysokość, to jest oczywiście twój wybór.

Książę nagle spoważniał. Rozejrzał się, wyczuwając spojrzenia, a może także skierowane ku niemu uszy służących. Nakazał gestem, aby Stymfalijczyk pochylił się do niego, i po chwili mógł szeptać mu prosto do ucha. Klearchos usiadł prosto i tylko obserwował, jak zmienia się wyraz twarzy Netosa.

Grek nie okazywał żadnych emocji, kiedy książę się od niego odsunął.

– Rozumiem. Chodzi więc o Pizydów. Podziwiam człowieka, który potrafi zachować swoje zdanie dla siebie.

Wstali wszyscy i Klearchos poklepał Stymfalijczyka po plecach jak dobrego kolegę. Na gest księcia służący podeszli, aby odprowadzić Greka do bramy, i po chwili Cyrus pozostał sam z Klearchosem.

– Powiedziałeś mu? – zapytał Spartanin niepewny, jaką usłyszy odpowiedź.

– Tak – odparł Cyrus. – Jeżeli chcę mieć nadzieję na zwycięstwo, muszę zgromadzić najlepszych ludzi. A jeśli w ogóle posiadam jakiś talent, to jest nim umiejętność ich znajdowania.

– Komplementując samego siebie, uczyniłeś mi zarazem wielki honor, Wasza Wysokość – powiedział Klearchos.

– W rzeczy samej.

* * *

Ksenofont zrobił krzywą minę, usłyszawszy za plecami, na zatłoczonej ulicy, swoje imię. Ateny od wieków były największym miastem Grecji. W poszukiwaniu szczęścia zjeżdżało tu mnóstwo biednych ludzi, inni budowali tu dla Ateńczyków okręty wojenne i wydawali wypłaty w tawernach przy porcie. Byli tutaj również tacy, którzy woleli kraść, narażając się na publiczną chłostę lub wygnanie z miasta. Ksenofont z niesmakiem patrzył na młodych ludzi, którzy gotowi byli dołączyć do dowolnej kompanii najemników albo po prostu leniuchować, pić tanie wino i czasami wyciągać ręce do przechodniów, prosząc o jałmużnę.

Poznał kilku takich, kiedy razem z Sokratesem chodzili ulicami pogrążeni w rozmowach. Widok szpetnego mężczyzny, idącego boso, w szacie postrzępionej i szarej jak u najbiedniejszego żebraka, oczywiście zwracał uwagę. Ksenofont zapamiętał ten pierwszy raz, kiedy usiadł u stóp filozofa na agorze i Sokrates przywołał Hefajstosa, aby też spoczął przy

nim. Chłopak był swego rodzaju przywódcą gromady miejscowych łobuzów. Dumnym krokiem podszedł do niego, udając, że nie słyszy głosów kolegów, którzy wołali, że stary dziad wykorzysta go jak kobietę. Ksenofonta zdenerwowały te krzyki, jednak Sokrates zarzucił Hefajstosa potokiem pytań. Nie zareagował na jego prostackie dowcipy i pierwsze, niegrzeczne odpowiedzi, szukając we wnętrzu młodego człowieka tego, co autentyczne. Gdy to osiągnął, w herszcie łobuziaków jakby coś ożyło. Jeden z jego kolegów zbliżył się, chcąc rzucić jakiś szyderczy komentarz, ale Hefajstos uderzył go otwartą dłonią w głowę – tak mocno, że chłopak się przewrócił i upokorzony natychmiast odszedł, byle jak najdalej.

Od tego czasu Ksenofont wiele razy widział podobne sceny. Tymczasem Sokrates zaprzeczał, by posiadał jakąkolwiek wiedzę o świecie, twierdząc, że jedynie zadaje ludziom pytania, które pozwalają im zrozumieć, w co naprawdę wierzą. Dla części z nich rozmowy z Sokratesem prowadziły do objawienia, będącego jak słońce wschodzące ponad wzgórzami. Dla innych wiedza o sobie była zbyt wielkim ciężarem i doprowadzała ich do nienawiści wobec siebie – ale najczęściej mężczyźni, którzy tę wiedzę zyskali, zaczynali rozumieć, kim są naprawdę.

Ksenofont zerknął przez ramię i zacisnął pięści, kiedy w tłumie zobaczył ogoloną na łyso głowę Hefajstosa. Młodzieniec był złodziejem i zabijaką, a z teatru Dionizosa wychodził właśnie tłum. Ludzie rozmawiali z ożywieniem o tym, co przed chwilą widzieli na scenie. Pogrążeni byli w rozmowach, a tymczasem osoby pokroju Hefajstosa poruszały się pomiędzy nimi swobodnie i zabierały im niepostrzeżenie złote łańcuchy, mieszki z monetami i właściwie wszystko, co tylko dało się ukraść. Bandy złodziei upatrywały sobie na ofiary ludzi zbyt słabych, by mogli się bronić. Ksenofont szczerze ich nie znosił. Prawdopodobnie Hefajstos wyczuł w nim tę pogardę. Chociaż ten szczur uliczny chodził za Sokratesem

niczym osobisty strażnik, gdy ten tylko opuszczał swój dom, to wobec Ksenofonta pałał autentyczną niechęcią. Miał zaledwie osiemnaście lat, był chudy i mizerny, jednak wystarczająco już bystry, aby nie atakować Ksenofonta bezpośrednio. Zachęcał natomiast swoich kamratów, żeby – kiedy tylko dostrzegą ateńskiego arystokratę na ulicy – rzucali w niego kamieniami, jajkami, owocami i wszystkim, co tylko wpadnie im w rękę.

Wściekłość Ksenofonta w pierwszej chwili przybrała ciężką formę, atakował więc ich, kiedy zanadto się do niego zbliżyli albo gdy jakiś głupiec zamierzył się, żeby uderzyć go w twarz lub w szyję. Wyli, wrzeszczeli i pohukiwali, wykrzykując pod jego adresem obelgi. Kiedy szedł z Sokratesem, jedynie mu się przypatrywali i szczerzyli zęby, jednak gdy był sam, drwili z „arystokraty” lub „fajtłapy” najgłośniej, jak potrafili.

Tego dnia krzyczeli za nim ledwie z przyzwyczajenia – w tłumie wypatrzyli bogatszą ofiarę. Ksenofont obszedł wielki teatr miejski, w którym każdego roku tysiące ludzi gromadziły się na festiwalu dramatu i z przejęciem obserwowały rozgrywające się na scenie tragedie lub komedie. Nawet Sokratesa pochłaniały sceniczne satyry, chociaż filozof na widok aktora odgrywającego jego postać zawsze wybuchał tak donośnym śmiechem, że psuł zamierzony przez niego efekt.

Nogi zaniosły Ksenofonta daleko od publicznych stajni, gdzie czekał na niego koń. Posiadłość jego rodziny znajdowała się poza miastem i pojawiał się w niej bardzo rzadko. Nie miał żony ani nikogo, kto by go potrzebował. Rodzice pozostawili mu tyle bogactwa, że nie musiał szukać pracy, jednak perspektywa beztroskiego przeżywania kolejnych lat nie przysparzała mu radości. Popatrzył na rząd werbowników zasiadających pod daszkami, które chroniły ich przed słońcem i pozwalały trzymać w cieniu dzbany ze schłodzoną wodą lub winem. Wyczuli jego zainteresowanie niczym

jastrzębie ofiarę i natychmiast skierowali w jego stronę spojrzenia. Oto mieli przed sobą wysokiego młodego człowieka w pełni sił.

Zastanawiał się jeszcze przez jakiś czas, nie reagując na ich zachęty, a tymczasem tłum z teatru się przerzedził, a wraz z widzami zniknęli Hefajstos i jego nędzni złodzieje, zapewne w poszukiwaniu nowych miejsc do uprawiania niecnego procederu. W tym roku Ksenofont nie miał w Atenach właściwie nic do roboty. Zaznał władzy jako jeden z administratorów w okresie rządów Trzydziestu. Trzydziestu Tyranów, jak ich nazywano. Ksenofont znał ich jednak jako ludzi przyzwoitych, choć bezwzględnych. Oczywiście nie pozwalali na to, żeby w najlepsze kwitły uliczne bandy! A jednak w pewnym sensie to publiczne egzekucje podpaliły miasto i w końcu eksplodowały nocą potężnej przemocy. Wtedy życie Ksenofonta się zmieniło i nadal nie wiedział, co powinien zrobić, żeby znowu zaznać spokoju sumienia.

Podszedł do pierwszego werbownika – Spartanina, sądząc po stroju. Ten zmierzył go wzrokiem i pokiwał głową z satysfakcją. Już wiele razy widywał na twarzach podchodzących do niego mężczyzn identyczną minę.

– Złóż tutaj swój podpis, synu – powiedział – a my w zamian zrobimy z ciebie człowieka. Kiedy wrócisz do domu, nie rozpozna cię własna matka. A dziewczyny, kiedy cię zobaczą, będą wplatały kwiaty we włosy. Dziewczyny kochają żołnierzy, synu.

– Doskonale – odparł Ksenofont.

Wyczuł zaskoczenie mężczyzny, gdy napisał na tabliczce swoje nazwisko, zamiast umieścić na niej jedną literę albo po prostu odcisk palca w wosku.

– Masz jakieś specjalne umiejętności, chłopaku? Poza pisaniem?

– Uwielbiam konie – odparł Ksenofont. Czuł się dziwnie oszołomiony, jakby wszystko, co się działo w tej chwili, dotyczyło kogoś innego. –

I znam się na nich.

Spartanin uniósł brwi.

– A więc jesteś ateńskim arystokratą, tak? Uciekasz od ojca? A może ścigają cię wierzyciele?

– Służyłem… służyłem Trzydziestu – powiedział Ksenofont. – Muszę zacząć od nowa.

Wzrok werbownika złagodniał i pojawiło się w nim coś w rodzaju współczucia. Jako Spartanin wiedział trochę więcej niż większość ludzi na temat uraz Ateńczyków.

– Ach – odezwał się. – Powinienem więc ci podziękować za twoją służbę, synu. Ateny nie pamiętają, że daliśmy im trzy szanse na pokój. Za każdym razem je odrzucały, dlatego zburzyliśmy im mury miejskie.

– Właśnie – przyznał Ksenofont.

W głowie zaczęło mu się przejaśniać, a stare troski odpłynęły, kiedy do jego umysłu dotarły perspektywy, jakie niosła przyszłość.

– Dokąd mnie wyślecie? – zapytał.

– Większość ludzi pyta najpierw o wynagrodzenie, ale ty jesteś arystokratą, zatem zakładam, że nie brakuje ci pieniędzy. Wyruszymy do południowej Anatolii, chłopaku, aby walczyć z Pizydami. To wstrętne, brutalne łotry z włóczniami. Pokażemy im, co znaczy greckie wyszkolenie, zetniemy dzikusom kilka głów, zabawimy się z ich kobietami i kiedy przyjdzie wiosna, będziemy z powrotem w domu. Będziesz mógł pokazywać kobietom blizny po ranach, jakie odniosłeś w walce, a synom opowiesz parę bohaterskich historii z tobą w roli głównej. Szczerze mówiąc, kiedy o tym myślę, przychodzi mi do głowy, że to ty powinieneś nam zapłacić, a nie na odwrót. – Wręczył Ksenofontowi kamienny szton i wskazał urzędnika, który siedział przy stole, otoczony kilkunastoma mężczyznami. – Widzisz tego małego tam, pisarza? Zapyta cię o nazwisko

i parę innych rzeczy i już od dzisiaj zaczniemy ci płacić, chociaż wciąż jeszcze szukamy ludzi.

– Kiedy wyruszymy? – zapytał Ksenofont.

– Kiedy tylko będziemy gotowi, chłopaku. Jak najszybciej. Zapewne za dzień lub dwa. Popłyniemy okrętem na wschód i skompletujemy oddział w Sardes. Dokonałeś dobrego wyboru, synu. Wyruszysz z nami jako chłopak, a wrócisz do domu jako mężczyzna, gwarantuję.

Zbliżył się kolejny potencjalny rekrut i Ksenofont zorientował się, że Spartanin skierował uwagę na nowo przybyłego. Nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą zrobił, czuł się z tym jednak dobrze. Znał się na koniach i znał się na ludziach. Jeśli jeszcze czegoś o sobie nie wiedział, dowie się w trakcie podróży do Sardes. Tak. Wracając do miasta, do stajni, w której zostawił konia, czuł się lekki jak piórko. To była dobra decyzja. Zastanawiał się tylko, czy nie powinien przed wymarszem zapłacić za kilka lekcji fechtunku.

7

W sali królów w Persepolis Tissafernes zaległ na brzuchu na marmurowej podłodze. Nauczył się, że nie wolno mu wstawać, dopóki nie zostanie wywołany – świeże krwawe pręgi na plecach aż za dobrze mu o tym przypominały. Artakserkses nie wybaczał żadnych zniewag ani obelg. Młody król siedział na tronie i przyjmował identyczne hołdy zarówno od władców, jak i poddanych, jakby wszyscy ludzie byli jego niewolnikami. Tissafernes widział ponure spojrzenia arystokratów, gdy wychodzili z audiencji u króla, zmuszeni w jej trakcie do zapomnienia o swojej godności. Dwadzieścia osiem ludów wchodzących w skład imperium przysłało na pogrzeb króla Dariusza swoich synów i najważniejszych przedstawicieli. Imperium celebrowało żałobę przez czterdzieści dni, tysiące niewolników co godzinę wznosiło modlitwy do Ahura Mazdy, aby królewska dusza jak najszybciej znalazła się w niebie. Wielki grobowiec umocniono niekorodującym złotem, a pilnowali go strażnicy, wybrani do tej roli nie tylko ze względu na swoje doświadczenie w walce, ale też z uwagi na urodę. Każdy z nich bez wahania zgodził się na śmierć od jednego ciosu w pierś. Ich ciała umieszczono na złotych tronach zwróconych ku ostatnim drzwiom, które strzegły dostępu do królestwa śmierci. Ich nazwiska miały zostać zapisane na wieczność, podobnie jak imię króla, a ich rodziny dostąpić nadzwyczajnych zaszczytów.

Tego ostatniego dnia w grobowcu Tissafernes miał wrażenie, że dookoła zapadają się góry, a nad całym światem panuje ciemność, rozjaśniana tylko

słabo migoczącymi pochodniami. Artakserkses jeszcze raz przekroczył próg ostatnich drzwi, aby trochę czasu spędzić znów z ojcem; łkał i szeptał zwłokom do ucha jakieś sekrety. Kiedy on i Tissafernes stamtąd wyszli, zniszczono drewniane schody, których używali kamieniarze i robotnicy. Grobowiec stał się od tej chwili niedostępny, umieszczony wysoko w królewskim płaskowyżu i przypominający okno wykute w skale.

Tissafernes czuł, jak nieprzyjemnie rozciągają mu się mięśnie pleców, kiedy czekał, aż jego dawny uczeń w końcu dostrzeże jego obecność. Miał ponad sześćdziesiąt lat, a pozycja, jaką musiał przyjąć, była bardzo niewygodna, jednak akceptował ją, ponieważ rozumiał dążenie młodego człowieka, aby narzucić najbliższemu otoczeniu nieograniczoną władzę. Mówiło się, że służący chodzą w filcowych kapciach, aby nie zwracać na siebie uwagi króla, świadomi byli bowiem, że jego niezadowolenie grozi utratą głowy. Nowy król podejrzewał o lenistwo każdego, kto mu służył, a każde wykroczenie karał błyskawicznie.

Tissafernes drgnął, poczuwszy na plecach dotknięcie dłoni. Odwrócił głowę i przyjął pomocną rękę służącego, który pomógł mu wstać. Ruszył za nim przez całą salę tronową. Strażnicy wytyczyli aleję szeroką jak ulica w mieście, mając za plecami kolumny z wypolerowanego granitu, które przywieziono tutaj przez morze z Egiptu przed ponad stu laty. Podstawa i szczyt każdej z nich były inkrustowane złotem, które miało świadczyć o wspaniałości imperium oraz o bogactwie pałaców i świątyń należących do jego królów.

Na odległym końcu sali wylegiwał się Artakserkses, siorbiąc ze złotej czary napój, który sprawiał, że jego oczy były szeroko otwarte i szkliste. Oderwał czarę od ust gwałtownym ruchem, a w ich kącikach pozostały czerwone ślady. Gdy Tissafernes zbliżył się i znów zaczął się pochylać, aby paść na posadzkę, król rzucił czarę niewolnikowi i wstał. Kiedy zrobił krok

do przodu, dwie niewolnice szybko zerwały się na nogi, żeby nie tarasować mu drogi. Tissafernes dostrzegł, że jedna z nich szczypie drugą z rozbawieniem, Artakserkses jednak tego nie zauważył. Spod opuszczonych powiek Tissafernes obserwował obie z uznaniem konesera. Dwie kobiety, wybrane spośród wielu innych, szkolone, karmione i w końcu posłane do władcy, aby dostarczały mu przyjemności, z natury rzeczy musiały być przepiękne. Ta, która uszczypnęła tę drugą, miała krótkie czarne włosy, dzięki czemu widoczna była cała jej szyja. Spodobała się Tissafernesowi, ponieważ miała także śliczną, wyrazistą twarz. Druga kobieta sprawiała raczej wrażenie nadąsanej, zepsutej lalki, jednak miała doskonałe kształty.

– Mój stary przyjacielu – odezwał się Artakserkses przyjaznym głosem. – Wystarczy, że tylko mi się ukłonisz. Chyba powinienem dać ci prawo do takiego ukłonu, zawsze kiedy będziesz przybywać na moje wezwanie. Niech to będzie z mojej strony wyraz szacunku dla twojego wieku i doświadczenia.

Tissafernesa wręcz zachwycił ten pomysł, wiedział jednak, że zwyczaje dworu królewskiego wymagają od niego innej reakcji.

– Jeśli chodzi o oddawanie ci honorów, panie, mój wiek nie ma znaczenia.

Artakserkses zmarszczył czoło w zamyśleniu, po czym cofnął się i opuścił szeroko rozłożone ręce.

– Bardzo dobrze, stary przyjacielu. Możesz więc nadal padać przede mną na twarz. Tradycja zobowiązuje. Nawet ja muszę się jej trzymać.

– Oczywiście, Wasza Królewska Mość – powiedział Tissafernes i padł na posadzkę.

Była przynajmniej czysta.

Kiedy wstawał, niespodziewanie się zorientował, że obserwuje go niewolnica, ta z nadąsaną miną. Zauważył, że jej wargi są ciemne i pełne. Nie warto było ryzykować życia, gapiąc się na nią, więc natychmiast popatrzył w inną stronę. Gdy już stanął wyprostowany, dostrzegł, że niewolnica też koncentruje uwagę tylko na swoim naszyjniku. Wyrzucił ją z głowy. Artakserkses znowu zajął swoje miejsce i przybrawszy surową minę, spróbował przyjąć taką samą władczą postawę, jaką podpatrywał u niedawno zmarłego ojca, jednak z mizernym skutkiem.

– Panie, mam wiadomości o twoim bracie, Cyrusie. Trudno mi wyjaśnić ich znaczenie. – Tissafernes znieruchomiał. Znał króla wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że teraz, gdy niejasną informacją zasiał w nim ziarno niepokoju, musi czekać, aż Artakserkses w pełni przetrawi słowa, które przed chwilą usłyszał.

Oczywiście spokojne rozleniwienie natychmiast go opuściło, kiedy usłyszał imię Cyrusa. Nie rozmawiał z nikim o bracie od czasu, kiedy matka go upokorzyła, odwołując wydany przez niego rozkaz. Przez jakiś czas można było odnieść wrażenie, że Cyrus wcale nie wrócił do domu. Imperium trwało w najlepsze i niemal codziennie do stolicy spływały raporty, systematycznie informujące o nastrojach jego dwudziestu ośmiu ludów. Z zachodu, ze skraju Grecji, docierały także wiadomości o poczynaniach Cyrusa, jednak nikt nie przykładał do nich większej wagi. Powierzchnia jeziora zdawała się więc spokojna, ale Tissafernes zbyt dobrze znał synów Dariusza, aby ulec temu złudzeniu.

– A cóż takiego cię martwi? – zapytał Artakserkses.

Popatrzył nieprzyjemnie na licznych niewolników i służących, którzy mogliby teraz podsłuchać rozmowę o sprawach rodzinnych, lecz w końcu był królem, we własnej sali tronowej, we własnej stolicy. Machnął ręką, aby odgonić od siebie świadomość, że jest podsłuchiwany.

– Wasza Królewska Mość, wiesz, że kiedy Cyrus był chłopcem, byłem jego nauczycielem. Osobiście sprawiłem mu lanie, kiedy wpuścił do mojego pokoju czarną kobrę.

– I przyprowadził strusia – dodał Artakserkses, śmiejąc się. – Tak, pamiętam.

Tissafernesowi bynajmniej nie było do śmiechu, gdy wspominał te wydarzenia.

– Znam go bardzo dobrze, panie. Na tyle, by podejrzewać, że nie przełknie łatwo utraty spartańskich żołnierzy i nie zapomni też, jak blisko był utraty głowy. Gdyby nie interwencja twojej matki…

– Tak – przerwał mu król. – Chociaż jego śmierć by nas osłabiła. Poddani pragną w nas widzieć stabilną władzę, Tissafernesie. Cyrus zna nasze armie lepiej niż ktokolwiek inny spośród żywych. Prawdopodobnie w swoim czasie kimś go zastąpię, ale, jak powiedziała matka, dokonanie tej zmiany w tak krótkim czasie po śmierci naszego ojca byłoby zaproszeniem chaosu. – Długa wypowiedź sprawiła, że poczuł ucisk w gardle. – Oszczędzenie mojego brata było mądrą decyzją.

Artakserkses pochylił się do przodu. Niewolnica potarła nagim udem o jego odsłoniętą nogę. Tissafernes odniósł wrażenie, że jej skóra szepce, ocierając się o skórę króla. Ośmielił się nie wbić spojrzenia w posadzkę, kiedy Artakserkses spojrzał na niego tak badawczo jak kobra, którą królewscy synowie umieścili w jego pokoju przed wieloma laty. Tissafernes od zawsze przeraźliwie bał się węży. Wówczas krzyknął jak kobieta, a chłopcy, z zaczerwienionymi twarzami, przez długi czas niemal krztusili się ze śmiechu.

– Jeśli masz jakieś nowe informacje, Tissafernesie… Co właściwie donoszą twoi szpiedzy? Czy mój brat jest lojalny?

– A któż może poznać najgłębsze tajemnice ludzkiego serca, Wasza Królewska Mość? Dysponuję wiadomościami o wielkich kwotach wydobywanych z królewskiego skarbca. Sześćdziesiąt, osiemdziesiąt tysięcy darejek i jeszcze więcej.

– No i co z tego? Może Cyrus zbudował nowe koszary, może szkoli więcej mężczyzn? Armia jest zbrojnym ramieniem imperium, Tissafernesie. Nie masz pojęcia, jak wielkich nakładów wymaga jej utrzymanie. Co roku skarb wydaje połowę pieniędzy na samo tylko wykarmienie żołnierzy. A konie, zbroje, nawet strzały do łuków, one też kosztują! Pamiętam, jak dumny był ojciec z wielkiej liczby ludzi, jaką mógł wystawić do walki. Rozumiesz? Ojciec nie narzekał na koszty, czerpał przyjemność z tego, że może je ponosić. Któż może sobie pozwolić na armię nad armiami, jeżeli nie moja rodzina? Tissafernesie, jeżeli przynosisz mi tylko tyle, rozczarowujesz mnie.

Tissafernes skinął głową. Król gotów był wysłuchać go uważnie, zapomniał już o pięknych niewolnicach. Nadszedł czas na mocniejsze uderzenie.

– Wasza Królewska Mość prawdopodobnie ma rację, jednak kwoty, jakie wydaje Cyrus, są dwukrotnie większe niż w poprzednim roku. Ale przede wszystkim martwi mnie liczba żołnierzy z Grecji, których najął.

– W oddziałach pomocniczych? Wiemy o jego skłonności do tych najemników, ponad wszystko do Spartan. No i co z tego? Chodzi o kilka tysięcy ludzi rozsianych po całym imperium, mających szkolić i inspirować naszych Nieśmiertelnych. Tissafernesie, mój brat zarządza armiami od lat. Owszem, możemy… możemy się różnić w pewnych sprawach, jednak Cyrus nie zagrozi imperium, nawet gdyby miał do dyspozycji milion Spartan.

– Panie, mam informacje o wielu tysiącach. Rozsyła tych ludzi na północ i na wschód. Część szkoli w Tracji, a część na Krecie. Ale przez cały czas utrzymuje z nimi łączność. Ktoś podejrzliwy mógłby powiedzieć, że powstaje armia, której zadaniem będzie dokonanie podboju, Wasza Królewska Mość. Nie wiem, ilu Greków pozostaje na jego rozkazy, jednak pod jego bezpośrednim dowództwem znajduje się już trzydzieści albo nawet czterdzieści tysięcy perskich żołnierzy, we wszystkich zachodnich prowincjach. W tej chwili może ich być już więcej.

Artakserkses otworzył usta, żeby odpowiedzieć, lecz nagle zrezygnował i zamyślił się. Tissafernes nie przeszkadzał mu, tylko czekał z uniesionymi brwiami. Dysponował jeszcze jednym kamieniem, który zamierzał dorzucić do powoli usypywanego stosu.

– Wasza Królewska Mość, przecież wiesz, że nie przychodziłbym do ciebie z niepotwierdzonymi oskarżeniami, opartymi jedynie na plotkach unoszonych przez wiatr. Przez lata umieściłem w różnych miejscach imperium kilku bacznych obserwatorów, kilku gorliwych donosicieli. Część spośród nich to ludzie bliscy Cyrusowi. Żaden przez długi czas nie wypowiedział ani słowa kwestionującego jego motywy. Ani jednego.

– A teraz coś się zmieniło? – zapytał Artakserkses i jego twarz jakby stężała.

– Nie, panie. Oni wszyscy zamilkli. Ptaki nie przylatują już do mnie i mogę tylko się zastanawiać, jakie wydarzenia rozgrywają się na naszej zachodniej granicy.

Artakserkses zmierzwił włosy niewolnicy siedzącej przy jego kolanie, jakby była jego ulubionym pieskiem. Tissafernes zaryzykował spojrzenie na nią i dostrzegł płomienny wzrok dziewczyny skierowany ku niemu; w jej oczach była odraza, niemalże pogarda. Zaczerwienił się i odwrócił głowę.

– Doskonale, Tissafernesie. Znam cię wystarczająco dobrze, by szanować twoje przeczucia. Skoro twierdzisz, że coś się kroi, byłbym głupcem, gdybym to zignorował. Osobiście udasz się na zachód. Weź ze sobą tylko kilku ludzi, spotkaj się z moim bratem. Sam osądź, czy wciąż jest wobec mnie lojalny.

Tissafernes mimowolnie zadrżał, kiedy pomyślał o długich miesiącach, jakie przyjdzie mu spędzić w drodze.

– Wasza Królewska Mość, kiedy ostatnim razem widziałem twojego brata, miałem go poprowadzić na egzekucję. Teraz więc nie spojrzy na mnie z życzliwością, nieważne, czy jest wobec ciebie lojalny czy nie. Może mógłbym…

– Zrobisz, co powiedziałem – uciął Artakserkses. – Zgodziłem się przywrócić Cyrusowi wszystkie jego dawne tytuły i całą władzę. Odwołałem rozkazy, które wydałem w nieutulonej żałobie po śmierci ojca. Jeżeli Cyrus cię zabije, będę wiedział, że wciąż jest na mnie zły. Rozumiesz? – Artakserkses uśmiechnął się, obnażając białe zęby. – Nawet jako trup możesz być dla mnie użyteczny.

Tissafernes doskonale rozumiał, że dalszy sprzeciw nic nie da. Padł na posadzkę u stóp króla.

– Czynisz mi zaszczyt, panie. Pojadę i wrócę do ciebie, znając całą prawdę. Albo umrę. W obu przypadkach przysłużę się imperium.

* * *

Ksenofont stał w słońcu i obserwował, jak rozeźlony grecki żeglarz próbuje siłą opanować wystraszonego konia. Mężczyzna wydawał się doskonale obeznany z morzem, ale stojąc w szeregu w porcie razem z innymi rekrutami, Ksenofont mógł jedynie obserwować, jak bezskutecznie próbuje

okiełznać zwierzę, które rżało ze strachu. Białka końskich oczu niemal wychodziły na wierzch, a żeglarz głośno przeklinał i okładał go skórzanym paskiem – tak jakby panika i ból mogły spowodować, że wierzchowiec go posłucha! Koń zaparł się jednak tylnymi nogami przed trapem prowadzącym z pokładu na nabrzeże i wykorzystywał całą masę ciała, aby nie dać się wyciągnąć na stały ląd. A ponieważ ciągnął go w tym kierunku tylko jeden rozwścieczony marynarz, można było przypuszczać, że koń pozostanie na trapie aż do zapadnięcia zmroku.

Dwie setki młodych mężczyzn z greckich miast wciąż schodziło drugim trapem na ląd, a nie więcej niż kilkudziesięciu stało już na obcej ziemi w oczekiwaniu, aż ktoś powie im, co mają robić. Ksenofont zacisnął szczęki, rozglądając się za oficerami, którzy już powinni się nimi zajmować. Nie byli to jednak niestety ludzie tego samego rodzaju co mężczyzna, u którego się zaciągnął. Ksenofont był rozczarowany, gdy zrozumiał, że już nigdy go nie zobaczy. Dostał się pod opiekę dwóch starych moczymordów o brzuchach, które świadczyły, że mają za sobą ze trzydzieści lat pijaństwa, z mapami niezliczonych podróży tkwiącymi w ich żyłach, wypisanymi na policzkach i na nosach. Kiedy tylko okręt przybił do brzegu, obaj zeszli na ląd, nawet nie oglądając się za siebie – bez wątpienia zmierzali do ulubionej tawerny. Młodzi Grecy, którzy wkrótce mieli walczyć jako żołnierze księcia Cyrusa, zostali pozostawieni sami sobie.

Cały port był pełen załadowywanych i rozładowywanych statków. Stojąc na nabrzeżu, Ksenofont sięgnął dłonią pod nowy skórzany napierśnik i spróbował się podrapać. Widywał już mężczyzn rozdrapujących sobie skórę niemal do krwi i z każdą godziną coraz lepiej rozumiał ich zachowanie. Jednak doświadczeni żołnierze wiedzieli, w jakich miejscach smarować ciało oliwą lub w jaki sposób pozbywać się wszy z płaszczy i jakie znaczenie ma noszenie ze sobą dużej flaszki z wodą. Ksenofont nie

miał dotąd pojęcia o istnieniu tysięcy maleńkich istot, które potrafiły życie żołnierza zamienić w udrękę. Uczył się bardzo szybko, jednak… Zaklął bezgłośnie.

Żeglarz stracił resztkę cierpliwości i wrzeszczał na konia, czerwony na twarzy, gdyż doskonale wiedział, że jego wysiłkom przygląda się coraz większa grupa mężczyzn. Ksenofont podszedł do niego akurat w chwili, kiedy koń szarpnął łbem i podrzucił do góry marynarza, który mocno trzymał wodze, jakby ten nic nie ważył. Kiedy mężczyzna z powrotem stanął na ziemi, znowu zamierzył się na zwierzę rzemieniem.

Ksenofont nagle wyrwał mu go z ręki i odrzucił daleko.

– Wywołujesz strach u zwierzęcia, które jest znacznie silniejsze od ciebie. Chcesz, żeby złamało sobie nogę?

Mężczyzna był tak wzburzony, że przez moment chciał uderzyć młodego człowieka, który przerwał jego zmagania z koniem. Ksenofont dostrzegł to w jego oczach, ale po chwili zobaczył też, że wściekłość żeglarza słabnie. Nie wiedział, z kim ma do czynienia, ale zdawał sobie sprawę, że gdyby uderzył lub obraził oficera, czekałaby go straszliwa kara. To wystarczyło, aby zrezygnował z oporu, a Ksenofont bez pośpiechu odebrał od niego wodze.

– Uspokójmy go najpierw, dobrze? – powiedział łagodnie, bardziej do konia niż do marynarza.

Mężczyzna wystękał coś pod nosem, ale Ksenofont to zignorował. W gruncie rzeczy tamten z ulgą przyjął jego pomoc, jednak nie odszedł daleko i splótłszy ramiona na piersiach, przyglądał się mu z głupawym uśmieszkiem. Ksenofont zrozumiał, że marynarz pozostanie w pobliżu, żeby ocenić jego wysiłki, podobnie jak przed chwilą oceniano jego poczynania. Różnica polegała jednak na tym, że Ksenofont zupełnie nie dbał o to, co myśli o nim ten człowiek i ludzie zgromadzeni dookoła.

Koń wytrzeszczonymi ślepiami patrzył, jak ktoś inny chwyta wodze. Ksenofont wiele razy się zastanawiał, co zwierzęta rozumieją z otaczającego je świata ludzi. Podejrzewał, że konie są na tyle inteligentne, by jednym okazywać złośliwość, a innym radość.

– No, już dobrze. A teraz ci się przyjrzymy – powiedział do wierzchowca. – Ależ masz piękną sierść.

Mocno złapał wodze, ale ich nie ciągnął ani nie próbował narzucać swojej woli zwierzęciu, które mogłoby mu się sprzeciwiać przez długi czas. Mówiąc do zwierzęcia, odszedł nieco na bok, jakby w ogóle chciał się oddalić.

Koń pozostawał na trapie, jakby w niego wrósł. Kątem oka Ksenofont dostrzegł, że marynarz szerzej się uśmiecha i pochyla, żeby coś powiedzieć do kogoś, kto stał obok niego. Popatrzył na obu i zmarszczył czoło, kiedy w tym drugim rozpoznał Hefajstosa.

Młodzieniec wstąpił do armii tego samego dnia co on i przyjął go ten sam werbownik. Bez wątpienia była to najlepsza rzecz, jaka mogła mu przyjść do głowy. Ksenofont zauważył Hefajstosa już w porcie w Atenach, kiedy mężczyźni zgromadzili się na zbiórkę, ale wtedy jeszcze nie potrafił odgadnąć, co on tam robi. W jednej kwestii miał pewność: to nie był jego przyjaciel. Nie zamienili wówczas ani słowa, chociaż, rzecz jasna, obaj wiedzieli już o swojej obecności.

Ksenofont wciąż się zastanawiał, czy to przypadkiem nie Sokrates kazał Hefajstosowi wstąpić do armii, zamiast marnować życie na ulicach. Denerwująca była kolejna myśl, a właściwie pytanie, na jakim się przyłapał: może stary filozof zasugerował mu wstąpienie do armii po to, żeby zaopiekował się Hefajstosem? Lata spędzone w wojsku Sokrates uważał za stosunkowo szczęśliwe, zawsze to powtarzał. Zatem nie można było się dziwić, że proponował młodym ludziom, żeby poświęcili kilka lat

na marsze i walki, aby przez resztę życia patrzyli na swoje problemy i kłopoty z perspektywy.

– No chodź, Hipposie – Ksenofont zwrócił się do konia. – Chyba nie chcesz tkwić tutaj przez cały dzień?

Koncentrował już całą uwagę na wierzchowcu, gdy niespodziewanie stanął obok niego Hefajstos.

– Powiedz mi, co mam robić – odezwał się młody człowiek.

Ksenofont w zaskoczeniu uniósł brwi, ale zaraz pokiwał głową.

– Dobrze. Na początek porozmawiajmy z nim łagodnie, żeby się przekonał, że nic mu nie grozi. Myślę, że wciąż jest niespokojny po podróży. Konie nie potrafią wymiotować, Hefajstosie. Po prostu chorują, a czasami wpadają w złość. Klep go po szyi, bądź jednak uważny, bo może cię ugryźć. Jego oczy świadczą, że wciąż jest przerażony.

Ksenofont obserwował, jak ogolony na łyso młody Ateńczyk podnosi ręce i po raz pierwszy w życiu dotyka konia. Skóra na szyi zwierzęcia zadrgała, jakby obsiadły ją muchy, jednak ogier nie próbował ugryźć Hefajstosa. Młodzieniec zaczął się śmiać, gdyż dotknięcie końskiej sierści sprawiło mu wielką przyjemność.

– Widzę jego żyły – powiedział ze zdumieniem.

Ksenofont się uśmiechnął.

– Tak, chociaż jego wielkie serce bije coraz wolniej. Konie zawsze reagują na dotyk. Teraz po prostu go głaszcz. Doskonale. A teraz, przyjacielu – zwrócił się znowu do konia – mógłbyś już zejść z tej starej deski, co? Przecież ona przez cały czas się trzęsie, sterczenie na niej to szaleństwo. Po co ci to? No chodź, śmiało.

Ksenofont odwrócił się i koń niespodziewanie ruszył za nim. Po jego dotychczasowym strachu prawie nie było już śladu. Prowadzony przez Ksenofonta chodził w tę i z powrotem po nabrzeżu, a Hefajstos podążał tuż

przy nim, klepiąc go albo po prostu trzymając dłoń na jego karku. Pod wpływem tego dotyku skóra zwierzęcia drgała, jednak Ksenofont widział, że ogier z każdą chwilą się uspokaja, a jego łeb opada coraz niżej.

– Masz do tego rękę – powiedział do Hefajstosa.

Chłopak popatrzył na niego z zaskoczeniem, wręcz rozanielony z powodu komplementu, jednak zaraz odwrócił wzrok.

– Dziękuję ci – odparł. – Szkoda, że nie potrafię jeździć konno. Zawsze chciałem się nauczyć.

Obserwujący ich dotąd żeglarz machnął ręką z obrzydzeniem i wszedł po trapie na pokład po kolejne zwierzę. Tymczasem dwaj oficerowie wracali już z tawerny, odświeżeni i wzmocnieni trunkami, gotowi na powrót przejąć dowodzenie. Kiedy zobaczyli Ksenofonta i Hefajstosa stojących przy koniu, przywołali ich do siebie.

– A więc to ty jesteś tym, który zna się na wierzchowcach – powiedział starszy.

Ksenofont pokiwał głową. Nie miał najmniejszego pojęcia, jaka opinia już do niego przylgnęła, wiedział jednak, że konie bywają przerażającymi bestiami dla ludzi, którzy nie dorastali w ich pobliżu.

– Tak, to ja. Mój ojciec hodował konie.

– Dobrze. Kilku znających się na rzeczy może się nam bardzo przydać. Do Sardes mamy sto mil, cztery lub pięć dni marszu w piekielnej gorączce. Jeżeli wy dwaj zajmiecie się tymi wszystkimi końmi, będzie wam znacznie lepiej niż innym żołnierzom. Zanim zapytacie, powiem wam, że w Sardes też będzie porządna jazda. Dobre konie, a nie kościste stare chabety jak tutaj.

Ksenofont zobaczył, że Hefajstos zakrywa uszy koniowi, jakby pragnął, żeby zwierzę nie usłyszało tej opinii. Był to tak niedorzeczny gest, że aż się

uśmiechnął. Sokrates obiecał mu nowe doświadczenia. Stary filozof, który twierdził, że właściwie nic nie wie, był mądrzejszy, niż mógł przypuszczać.

8

Na niebie świeciło gorące słońce, a powietrzem nie poruszał najlżejszy podmuch wiatru. Cyrus jednak nie zdawał sobie z tego sprawy, truchtając na pięknym ogierze skrajem równiny, która wiodła aż do rysujących się w oddali błękitnych gór. Już od wschodu słońca obserwował – z nieodłącznym Parwizem u boku – jak żołnierze się szkolą. Mężczyzna, który pierwszy poczęstował księcia wodą, stał się jego lojalnym służącym i wprost nie dowierzał swojemu szczęściu ani temu, jak ważna rola przypadła mu w udziale. Parwiz rzadko odstępował księcia. A Cyrus bardzo polubił jego podejście do życia i tendencję do lekceważenia wszelkich problemów. Na każdy mur można się wspiąć, twierdził Parwiz; dziwne motto jak na żołnierza, który jeszcze niedawno strzegł twierdzy.

Na płaskowyżu nieopodal Sardes sześciuset korynckich hoplitów maszerowało i przystawało na rozkaz, dzieliło na szeregi według klucza, którego Cyrus nie potrafił zrozumieć, a następnie atakowali jedni drugich w pozornym chaosie. Był to jakby teatr naśladujący wojnę. Cyrus słyszał, że Grecy uwielbiają spektakle i kreowane przez aktorów wielkie tragedie rozgrywające się na ich oczach. Oglądają je, płaczą lub się śmieją, a po ich zakończeniu opuszczają teatr jakby orzeźwieni. Sam nie interesował się takimi rzeczami, chociaż zastanawiał się, czy po prostu nie odgrywają swego rodzaju spektaklu także w czasie ćwiczeń wojskowych. Gdy w pobliżu nie było wroga, widział niewielką różnicę pomiędzy siłami

z miast greckich a wojskami z własnego imperium. Persowie też potrafili maszerować, zmieniać szyki i rozwijać się w różne formacje.

Jednak gdy brzmiały dźwięki rogów, kiedy wyciągano miecze, aby przelewać krew i siać śmierć, Grecy przenikali przez linie Persów niczym wielki żelazny sierp, po prostu kładąc ich pokotem na ziemi. To zjawisko było dla niego zagadką. Nawet zastępy Nieśmiertelnych nie radziły sobie w zmaganiach przeciwko Grekom, w szczególności przeciwko Spartanom. Cyrus wiedział, jak wielkie znaczenie miała dla greckich żołnierzy tarcza przekazywana z ojca na syna, miecz przekazywany przez brata bratu czy brązowy hełm dziedziczony po stryju. Każdy z nich angażował w walce nierzadko honor całej rodziny. Można było ich zabić, nie można było jednak zmusić ich do ucieczki, gdyż zawsze obserwowały ich z innego świata dusze dzielniejszych wojowników, którzy już polegli.

Cyrus zauważył, że Stymfalijczyk Netos w pełni zasługuje na sławę, jaką się cieszył. Szkolił nowych żołnierzy i wzmacniał ich szeregi starszymi, bardziej doświadczonymi, przez co wkrótce zgromadził doskonałe oddziały liczące dwanaście setek ludzi. Razem ze Spartanami wszyscy oni budzili się godzinę przed świtem, po czym przez wiele godzin obiegali wzgórza. Wreszcie wracali na śniadanie i po krótkiej przerwie rozpoczynali szkolenie z bronią. Trudno było nie porównywać ich z perskimi oficerami. Oni prowadzili życie godne arystokratów, którymi naprawdę byli. Do późnych godzin usługiwali im niewolnicy, a oni sami rzadko podejmowali jakiś większy wysiłek. Z kolei Netos, Klearchos czy Proksenos i inni biegali razem ze swoimi żołnierzami, nie widząc w tym żadnego wstydu. Była to lekcja, którą należało odrobić.

Spoglądając ponad płaskowyżem, Cyrus dostrzegł dwóch jeźdźców galopujących z niebezpieczną prędkością. Skrzywił się na ich widok. Bez potrzeby narażali życie i konie dobrej rasy; mimo dużej odległości widział,

że to doskonałe zwierzęta czystej krwi. Chociaż droga była płaska, zawsze mógł się trafić pod końskim kopytem jakiś luźny kamień albo zwykła dziura. Mężczyźni przerzucili przez końskie grzbiety skóry lamparta i w galopie chwilami dotykali łokciami kolan, pochylając się nad końmi. Jeden z nich prezentował się po prostu pięknie, balansując na koniu niczym akrobata lub dziecko biegnące po wąskim murze. Drugi w gruncie rzeczy nie potrafił jeździć konno. Oko księcia dostrzegało, że jest zbyt usztywniony i trzyma grzywę konia w taki sposób, jakby się obawiał, że jeśli ją puści, to zaraz z niego spadnie.

Cyrus kochał konie, a widok, jaki miał przed oczyma, był rzadkością w tych stronach i miał w sobie coś z szaleństwa. Zobaczył, że galopujące wierzchowce kierują się prosto ku szeregom maszerujących hoplitów. Oni także dostrzegli jeźdźców i zatrzymali się na głośny rozkaz. Ustawili się w zwartym szeregu i unieśli tarcze, tworząc ścianę, która natychmiast odbiła złote promienie słońca. Włócznie stanęły za tarczami pionowo niczym ciemne drągi. Hoplici postawili zaporę, jednak jeźdźcy nawet nie zwolnili. Zmierzali ku nim niemal z taką prędkością, z jaką strzała przecina powietrze.

Hoplici patrzyli z zaskoczeniem, jak jeden z jeźdźców smagnął batem i szarpnął konia tuż przed ich szeregiem, po czym zmusił go do nagłej zmiany kierunku pod takim kątem, że upadek z końskiego grzbietu na ziemię zdawał się nieuchronny. Cyrus obserwował, jak młody człowiek pochyla się ku wodzom, które luźno zwisły u końskiego boku. Błyskawicznie pojął, że jeden z pędzących koni poniósł, a jego jeździec jest całkowicie bezradny i nie da rady złapać wodzy.

Młody człowiek na drugim koniu owinął wokół pięści wodze tamtego, tak że zdołał zawrócić i zatrzymać oba wierzchowce. Cyrus konno ruszył powoli w jego kierunku, chcąc wykrzyczeć słowa podziwu. Jego obecność

nie pozostała jednak niezauważona. Netos postawił na baczność wszystkich swoich ludzi, jakby za chwilę książę miał przeprowadzić inspekcję oddziału. Postąpili krok do przodu i stanęli ramię przy ramieniu w zwartym szeregu.

Młody jeździec zeskoczył na ziemię i natychmiast zaczął sprawdzać nogi koni. Podniósł wzrok dopiero wtedy, gdy Netos rzucił komendę do swoich ludzi, ale kiedy jego towarzysz spróbował położyć mu dłoń na ramieniu, Cyrus dostrzegł, że młodzieniec aż drży ze złości. Obaj odwrócili się, kiedy książę zatrzymał konia i zeskoczył na ziemię. Na ich twarzach furia mieszała się ze wstydem. Natychmiast go rozpoznali i szeroko otworzyli oczy. Mężczyzna, którego koń poniósł, tylko skłonił głowę. Jego towarzysz przyklęknął na jedno kolano. To wzbudziło zainteresowanie księcia.

– Jak się nazywasz? – zapytał klęczącego.

– Ksenofont, Wasza Wysokość.

– Wykazałeś się wielką odwagą, Ksenofoncie. Zaryzykowałeś własne życie dla tego człowieka.

– Chciałem ocalić konia, panie. To jeden z naszych najlepszych wierzchowców. Hefajstos nie powinien go dosiadać, bo nie ma jeszcze doświadczenia.

– Rozumiem. Powstań, proszę. Spotkałem wielu Greków, którzy jedynie mi się pośpiesznie kłaniali albo krótko przyklękali, jakby ziemia była dla nich zbyt gorąca. Widzę, że ty nie wzdragasz się przed okazywaniem mi należnego szacunku.

Ksenofont się wyprostował. Pocił się, a jego twarz była czerwona od wysiłku. Wzruszył ramionami.

– Nie uwłacza mi oddawanie honoru innemu człowiekowi, Wasza Wysokość. Oddawszy ci honor, bynajmniej nie tracę swojego. W końcu sam oczekuję posłuszeństwa ze strony kogoś takiego jak Hefajstos.

Spodziewam się, że będzie szanował moją wiedzę i pozycję. Nie okazał mi dzisiaj szacunku, lecz mimo wszystko tego od niego żądam.

Cyrus przypatrzył się mężczyznom. Dostrzegł, że ten drugi lekko pokręcił głową, jakby nie zgadzał się ze słowami towarzysza.

– Wy, Grecy, zadziwiacie mnie. Zdajecie się wszystko roztrząsać. Naprawdę nigdy nie podejmujecie działań, nie zastanowiwszy się nad nimi uprzednio jak nad jakąś wielką zagadką?

– Podjąłem się walczyć z Pizydami, Wasza Wysokość – odparł Ksenofont. – Wyobraziłem sobie, że w ten sposób się dowiem, czym jest poczucie braterstwa i koleżeństwa, no i przekonam się, czy potrafię być odważny. Chciałem sprawdzić samego siebie, jeśli mnie rozumiesz. A tymczasem spędzam tutaj miesiąc za miesiącem, szkoląc innych żołnierzy i samemu odbywając szkolenie. Zapewne powinienem był staranniej rozważyć moją decyzję.

Cyrusa bardzo zaskoczyły zły humor i ponure rozważania, które drwiącym tonem snuł młody człowiek.

– Przypuszczam, że sposób, w jaki się wysławiasz, nie zjednuje ci przyjaciół, Ksenofoncie – powiedział.

Żuchwa Greka wysunęła się do przodu, zdradzając jego upartą naturę. Uniósł głowę, jakby chciał się przeciwstawić Cyrusowi, ale ten roześmiał się i wzniósł ręce.

– Proszę. Nie chcę cię obrazić, lecz zrozumieć. W miastach mojego ojca… – Zawahał się i jakby cień przemknął po jego twarzy. – W miastach mojego brata wszyscy ludzie dokładnie znają swoje miejsce. Dowiadują się o nim od rodzin i krewnych, poznają je dzięki doświadczeniu, dzięki awansom, radom współpracowników i znajomych, jednak w każdej chwili zdają sobie sprawę, gdzie stoją. Nie spędzamy życia w kołowrocie możliwości i niepewności. Człowiek wie, że powinien paść twarzą na

ziemię przed księciem i żądać subordynacji od tych, którzy w hierarchii znajdują się niżej od niego.

– To brzmi… uspokajająco – powiedział Ksenofont. Osobista uczciwość nakazała mu kontynuować. – Chociaż prawdę mówiąc, przychodzi mi do głowy… – Zamilkł niepewnie.

Cyrus wykonał szeroki gest otwartą dłonią.

– Ponieważ jesteś u mnie na służbie, przysięgam, że nic, co powiesz, nie zdoła mnie obrazić. Pragnę słuchać jedynie prawdy.

Ksenofont pozwolił sobie na nieznaczny uśmiech. Polubił tego perskiego księcia, który połowę świata zwołał na ćwiczenia wojskowe do Sardes.

– Wasza Wysokość, kiedy opisujesz system panów i sług, bardzo go podziwiam, ponieważ natychmiast wyobrażam sobie samego siebie w roli pana. A pan oczywiście zawsze będzie hołubił system, który przynosi mu tylko korzyści. Ale jeśli ujrzę siebie jako niewolnika zmuszanego do pracy w gorącym słońcu dla człowieka, który prawdopodobnie nie zasługuje na to, aby stać w hierarchii wyżej ode mnie… odczuwam wobec niego urazę. Jeśli klękam przed tobą, to dlatego, że oddaję honor tradycji, i dlatego, że według mnie każdy człowiek powinien znać swoje miejsce na tym świecie. Tymczasem odezwałeś się do mnie bardzo uprzejmie. Gdybyś mnie zrugał lub obraził, klękałbym przed tobą zdecydowanie mniej chętnie. W każdym razie, Wasza Wysokość, jestem wolnym Grekiem, Ateńczykiem. Przysiągłem ci służyć i przyjmuję od ciebie zapłatę. Wiąże mnie przysięga, jednak gdy stanę przed bogami, wciąż będę mógł im powiedzieć, że sam wybrałem swoją życiową drogę.

Cyrus zachichotał, zadziwiony poważnym tonem młodzieńca, który nie wahał się z nim dyskutować niemal jak równy z równym. Nie poczuł na niego większej złości, niż poczułby na szczeniaka gryzącego mu palce w czasie zabawy. Ksenofont konwersował z nim bez odrobiny buty, nie

wywołując w nim żadnych złych uczuć. Przyszło mu jednak do głowy, że już zbyt długo przebywa w towarzystwie Greków.

Zamiast więc podjąć wątek, Cyrus pogłaskał bok wspaniałego ogiera, którego przed chwilą dosiadał Ksenofont.

– Niezwykłe zwierzę – powiedział. – Myślę, że dorównuje mojemu Pasakasowi.

Ksenofont zmierzył profesjonalnym spojrzeniem książęcego wierzchowca i pokiwał głową.

– Twój Pasakas jest o dłoń wyższy, Wasza Wysokość. Mój ojciec hodował konie przez czterdzieści lat. O ile pamiętam, zarobił fortunę na handlu z Persami.

– Miał najlepsze na świecie wierzchowce – powiedział Cyrus swobodnym tonem, wiedząc, że mówi prawdę.

W odpowiedzi Ksenofont się uśmiechnął. Rumieniec zniknął już z jego twarzy i Cyrus zdał sobie sprawę, że musi tych dwóch odesłać z powrotem do ich obowiązków. Szukał jednak pretekstu do kontynuowania rozmowy, wiedząc, że powtórzy ją spartańskiemu wodzowi, kiedy wieczorem usiądą do kolacji.

– Jesteś Ateńczykiem, który myśli jak Pers, Ksenofoncie. Czasami sądzę, że jestem Persem, który myśli jak Ateńczyk.

Ksenofont się roześmiał i zebrał wodze obu wierzchowców. Ignorował spoglądającego spod opuszczonych powiek Hefajstosa, który czekał, nawet nie skłoniwszy głowy, i tylko co chwilę przenosił wzrok z Cyrusa na Ksenofonta i z powrotem. Ksenofont wciąż się zastanawiał, czy aby Sokrates nie podróżuje za nim i Hefajstosem i nie dołączy do nich jeszcze tego samego dnia. Myśl o starym filozofie sprawiała, że było mu lekko na sercu.

– Bardzo bym chciał, żeby posłuchał cię mój przyjaciel Sokrates, Wasza Wysokość – powiedział. – Jeśli tylko będziesz miał okazję, powinieneś go odnaleźć w Atenach i powiedzieć mu to samo, co ja od ciebie usłyszałem. Wpadnie w zachwyt, możesz mi wierzyć.

Cyrus pokręcił głową.

– Raczej nie pojadę znowu do Grecji, przynajmniej przez dłuższy czas. Obowiązki kierują mnie na wschód, na odległe pustynie.

– Przykro mi to słyszeć. Spotkanie z tobą było dla mnie zaszczytem, Wasza Wysokość – odparł Ksenofont.

Znów ukląkł na kolano, chociaż się przy tym uśmiechnął. Pod wpływem impulsu książę pochylił głowę. Kiedy wskakiwali na swoje wierzchowce, obaj się uśmiechali. Ksenofont poprowadził drugiego konia na długich lejcach, a zawstydzony Hefajstos podreptał z tyłu.

Cyrus patrzył za odchodzącymi Grekami, a jego uśmiech powoli zanikał. Od śmierci ojca minął niemal rok. A on wrócił do swojego życia dowódcy armii perskich, jakby nic się nie zmieniło, a przecież tak naprawdę zmieniło się wszystko. Zgromadził Greków na wielkim poligonie, a następnie, pod okiem najlepszych dowódców, wyszkolił ich na walecznych żołnierzy. Prawdopodobnie dysponował już dwunastoma tysiącami hoplitów, jednak to wciąż nie wystarczało. Jego brat mógł wystawić do walki sześćset tysięcy żołnierzy – Cyrus zdawał sobie z tego sprawę lepiej niż ktokolwiek spośród żywych. Wiedział, że potrzebuje znacznie więcej oddziałów perskich. Nie mógł zwyciężyć, dowodząc jedynie dwunastoma tysiącami Greków, przeciwników było zbyt wielu! Jednak im więcej ściągał do Sardes sił perskich, tym bardziej wzrastało niebezpieczeństwo. Część wodzów greckich zaczynała się już domyślać, co się wkrótce może wydarzyć. Niewielu wrogów na świecie wymagało zgromadzenia aż tak wielkich sił. W miarę jak miesiąc po miesiącu rosła liczba żołnierzy w Sardes, dla

wszystkich stawało się jasne, że w grę może wchodzić tylko jeden przeciwnik.

Cyrus przygryzł wargę i przesunął językiem po pękniętej skórze. Poczuł na twarzy delikatny powiew wiatru. Zgromadził armię, jednak jej perska część znalazła się tutaj, ponieważ był księciem i dowódcą wszystkich żołnierzy w imperium. Starannie wybrał oficerów spośród ludzi, których wychował na żołnierzy, którym ufał i którzy go podziwiali. Ale nieuchronnie nadejdzie moment, kiedy oddziały perskie zdadzą sobie sprawę, dokąd będą musiały maszerować. Jeżeli się przeciwko niemu zbuntują, zostanie zniszczony.

Marsz przeciwko ojcu byłby nie do pomyślenia – byłby przedsięwzięciem od początku skazanym na klęskę. Stając przeciwko bratu, Artakserksesowi, Cyrus miał nadzieję na zwycięstwo. Dla oddziałów perskich był księciem, którego żołnierze znali, był prawą ręką nowego króla. Zapewne wytrwają u jego boku. Położył na szali swoje życie i całe imperium, wierząc, że kiedy nadejdzie właściwy moment, tak właśnie się stanie.

Pomyślał o dwóch młodych Ateńczykach, którzy jeździli konno niczym wicher. Z całą pewnością nie byli przyjaciółmi, a mimo wszystko jeden z nich, Ksenofont, zaryzykował życie, aby ocalić drugiego. Trudno było takich mężczyzn nie podziwiać. Cyrus od zawsze znał swoją pozycję w rodzinie i na perskim dworze. I zawsze wiedział, że poddanie się tej sytuacji może być rodzajem śmierci, życiem nieprzeżytym. Cóż, postanowił jednak diametralnie to życie odmienić. Odniesie sukces lub przegra, jednak nikt nie będzie mógł powiedzieć, że poddał się swojemu przeznaczeniu. Uśmiechnął się do siebie. Ta myśl poprawiła mu samopoczucie.

9

Cyrus stał w towarzystwie Proksenosa z Beocji, krępego greckiego wodza, który w rzęsistym deszczu sprawiał marne wrażenie. Klearchos splótł ramiona na piersiach i mocniej owinął się spartańskim płaszczem, chociaż i tak był już całkowicie przemoczony. Cyrus przez całą noc słyszał, jak Proksenos kicha i kaszle w swoim namiocie. Jak można było się spodziewać, wódz nie wspomniał o tym słowem ani jemu, ani Klearchosowi. Książę zauważył, że także inni Grecy starali się nie narzekać, gdy mogli to usłyszeć Spartanie. Darzyli ich rzadko spotykanym szacunkiem. Klearchos oczywiście wydawał się tego nieświadomy, chociaż zdaniem księcia z pewnością ich postawa w głębi duszy go satysfakcjonowała.

Góry w północnej części Frygii były gęsto porośnięte lasami, dlatego mogła się tam szkolić ogromna armia, nieobserwowana przez nikogo, w szczególności niewidoczna dla wrogów. Sześciodniowy marsz na północ od Sardes pozwolił znaleźć miejsce, w którym liczne oddziały Persów i Greków mogły się spotkać po raz pierwszy. Nalegał na to Klearchos. Ironią wynikającą ze stanowiska Cyrusa było to, że jego perscy oficerowie wciąż nie wiedzieli, dlaczego zgromadził tak wielkie siły, natomiast wiedzieli to Spartanie – a przynajmniej część dowódców greckich podejrzewała, że nie zostali zwerbowani do walk przeciwko górskim plemionom.

Klearchos poprosił o możliwość sprawdzenia jakości oddziałów perskich, którymi będzie dowodził w boju. Zwyczajny zdrowy rozsądek nakazywał wyrazić na to zgodę, Cyrus jednak już tej zgody żałował, po niemal sześciu tygodniach pozorowanych walk i ćwiczeń sprawnościowych. Właśnie tego poranka zobaczył, jak oddział perski otaczają, a następnie ścigają w lesie Koryntianie dysponujący jedynie kijami i maczugami. Perski polemarch czekał teraz przy swoim koniu dziesięć kroków od niego, wykręcając szyję, aby w porę dostrzec sygnał od księcia oznaczający zezwolenie na zbliżenie się.

Cyrus kipiał ze złości. Już sam fakt, że Grecy bezustannie przełamywali linie Persów, doprowadzał go do wściekłości. Tacy ludzie jak Proksenos i Klearchos zdawali się zdolni do bezustannej improwizacji i tworzenia nowych planów właściwie od ręki, a następnie ich hoplici te plany realizowali – szybko i bez większego trudu. Na ich tle oddziały perskie wydawały się ociężałe i niezdolne do szybkich reakcji. Zbyt często kontynuowały wykonywanie już nic niewartych rozkazów, gdy „wróg” zmienił sposób natarcia i pojawiwszy się w zupełnie niespodziewanym miejscu, po prostu z nich drwił. Cyrus miał nadzieję, że czas i kolejne ćwiczenia pozwolą, dzięki dobrym oficerom, wyeliminować te niedociągnięcia. Zerknął w lewo i tylko westchnął, zobaczywszy Persa o jasnych oczach. Dał mu znak, aby się zbliżył, chcąc wreszcie przerwać kiepskie manewry. Mężczyzna spiął konia i podjechał, przecinając linię strażników. Wypinał dumnie pierś niczym waleczny kogut.

Klearchos i Proksenos patrzyli, jak Pers pada plackiem na grząskiej ziemi. Przynajmniej oddawał przełożonym honory w perfekcyjny sposób. Cyrus mógłby łaskawie docenić ten gest, gdyby żołnierze polemarcha Eraza z Szirazu nie zostali podczas dzisiejszych porannych ćwiczeń aż trzykrotnie pokonani przez przeciwników, i to bardzo wyraźnie.

– Wasza Wysokość czyni mi wielki zaszczyt – powoli i z trudem powiedział oficer. – Nie jestem godzien przebywania w twojej obecności nawet przez chwilę. Twój czas jest zbyt cenny, abyś marnował go dla mnie.

Cyrus zorientował się, że polemarch nawet nie próbuje przemawiać zwięźle jak Grecy.

– Prosiłeś o możliwość rozmowy, polemarcho. Skoro mój czas jest tak cenny, postaraj się używać jak najmniej słów albo mów szybciej.

– Oczywiście, Wasza Wysokość. Chcę tylko powiedzieć, że jestem straszliwie rozczarowany dzisiejszą postawą moich ludzi.

– Twoich ludzi – powtórzył książę i uniósł brwi.

– Wasza Wysokość raczy zrozumieć, że oddziały, które oddano pod moje dowództwo, złożone są z wieśniaków. To w większości Medowie. Mało inteligentni, jeśli Wasza Wysokość zechce mnie zrozumieć. Jak bydło brną jedynie do przodu i do tyłu. Zatrzymują się, kiedy dostają rozkaz, ale potem tylko stoją, całkowicie bezmyślnie. Stu spośród nich kazałem wychłostać za bezczelność, ale to nic nie dało. Z każdym dniem są coraz bardziej uparci i coraz głupsi.

– Czego więc chcesz, polemarcho Erazie? Wrócić do domu? To można załatwić.

– Wasza Wysokość, nie! – Pers wydawał się naprawdę urażony. – Proszę cię tylko o oddanie mi jednej z grup perskich żołnierzy. A moi Medowie zapewne będą szczęśliwsi, jeśli na ich czele stanie ktoś, kto trochę lepiej mówi w ich języku.

– Medowie cię nie rozumieją? – zapytał Cyrus cicho.

Pers pokręcił głową ze złością; oczyma wyobraźni zobaczył swoich marnych żołnierzy.

– To głupcy i rolnicy, Wasza Wysokość. Wieśniacy. Szkoliłem się w Persepolis, razem z najlepszymi królewskimi oficerami. Historia mojej

rodziny sięga czterdziestu trzech pokoleń. Czyż jestem pasterzem, że każe mi się doglądać akurat takich ludzi? – Roześmiał się z własnego dowcipu. – Myślę, że mnie rozumiesz, panie.

– Rozumiem – odparł Cyrus. – Jednak zrozumienie problemu to nie to samo co wiedza, w jaki sposób go rozwiązać. Mógłbym kazać cię wychłostać. Mógłbym obciąć ci uszy albo wypalić na prawej ręce piętno nieudacznika. Mógłbym odesłać cię do domu albo po prostu dać ci sznur i rozkazać, żebyś się powiesił. Ale mam setki podobnych oficerów, którzy nie potrafią wziąć na siebie odpowiedzialności, kiedy ich ludzie poddają się przeciwnikom albo uciekają z pola walki, raz za razem, raz za razem!

Ostatnie słowa Cyrus wykrzyczał, postępując kilka kroków w kierunku Eraza z Szirazu. Mężczyzna znowu rzucił się na ziemię i zakrył głowę dłońmi.

– Straże! Zabierzcie stąd tego głupca i zerwijcie z niego ubranie. Wymierzcie mu czterdzieści batów i niech jego ludzie to zobaczą.

Polemarch wrzasnął, zaskoczony i przerażony, kiedy zrozumiał, jaki czeka go los.

– Wasza Wysokość, czym sobie zasłużyłem na taką karę? Proszę cię, pozwól mi się powiesić, nie skazuj mnie na takie upokorzenie. Cóż ja takiego zrobiłem? Proszę… ja nie rozumiem…

Kiedy wleczono go w stronę jego oddziału, wciąż narzekał i lamentował.

Cyrus uniósł głowę, zniecierpliwiony deszczem, którego wielkie krople spadały mu na kark i zimnymi strumieniami toczyły się po plecach. Proksenos głośno kichnął i książę odwrócił się ku niemu gwałtownie, wciąż zdenerwowany własną bezradnością. Grecki wódz uniósł rękę w geście przeprosin i z ponurą miną wydmuchał nos w skraj odzienia.

Spartanin z kolei odchrząknął, zwracając na siebie uwagę księcia.

– Chciałbyś coś dodać, Klearchosie?

– Jeśli mogę coś powiedzieć, nie narażając się na wybatożenie, to owszem.

Cyrus z trudem nad sobą zapanował. Przechylił głowę i nieznacznie się skrzywił.

– Bardzo proszę. Nie skażę żadnego Greka na chłostę, nawet jeżeli da mi ku temu powód. Wiesz równie dobrze jak ja, że nie służysz mi jako niewolnik. Inni zobaczą, jak Eraz z Szirazu zostanie wychłostany na oczach swoich ludzi, i zrozumieją, że jest on przynajmniej częściowo odpowiedzialny za ich marną postawę na porannych ćwiczeniach. Przez kilka dni będą się nim zajmować nasi lekarze. Jeśli będzie miał dość zdrowego rozsądku i z godnością przyjmie chłostę, jego ludzie będą go odtąd szanować znacznie bardziej niż przedtem. Być może poślę nauczyciela, który w czasie rekonwalescencji nauczy go wydawać rozkazy w języku Medów. Tak, warto tego spróbować.

Klearchos skinął głową, chociaż widział, że książę, mówiąc, kilkakrotnie zaciskał prawą pięść, po czym rozprostowywał palce.

– Cieszę się, że nie wydasz takiego rozkazu. Nie każdy książę zna granice swojej władzy.

Cyrus rzucił groźne spojrzenie mężczyźnie, który właśnie powiedział mu, że nie ma prawa go karać, choć był przecież jego podwładnym. Poczuł, że wzbiera w nim złość, a jego twarz poczerwieniała. Z kolei Klearchos z pewnym zainteresowaniem obserwował, jak książę po raz kolejny stara się nad sobą zapanować.

– Wodzu – powiedział Cyrus. – Przepraszam cię za moje zachowanie. Widzę dzisiaj jedynie problemy. Twoi ludzie są… doskonali. Myślałem, że znam legendę Spartan, jednak obserwując, jak ćwiczycie w warunkach zbliżonych do bitewnych… jesteście nadzwyczajni. Każdy Spartanin zdaje się myśleć jak dowódca, chociaż każdy potrafi zarazem przyjmować

rozkazy jak zwykły żołnierz. Jak się osiąga taki stan, Klearchosie? Gdybym miał dziesięć tysięcy takich żołnierzy, nie potrzebowałbym innych. Cały świat bym podbił, dysponując takim oddziałem.

– Dorastając, każdy z nas musi myśleć za siebie – odparł Klearchos. – Dla ludzi bezmyślnych wolność nie ma sensu. Wasza Wysokość, wszyscy moi ludzie szkolą się i walczą ramię w ramię od wielu lat, od czasu, gdy jako chłopcy trafili do koszar w ojczyźnie. Wykonują rozkazy, oczywiście, jednak jeśli w walce dostrzegą możliwość przełamania linii wroga, ujrzą gdzieś jego słabość, mogą wyłamać się z formacji i zaatakować. Żaden oficer nie widzi całego pola bitwy, nie widzi go także żaden żołnierz. To dlatego wódz siedzi na wysokim koniu, a oficerowie posyłają na skrzydła zwiadowców. Jednak niezależnie od tego, jak dobrze przygotujemy się do walki, zawsze nadejdzie moment, kiedy któryś z hoplitów trafi na dwóch słabszych przeciwników i wysunie się przed szereg, mając możliwość wykorzystania słabości wroga albo zaatakowania jego dowódcy. Jeśli w takim momencie będzie chciał czekać na rozkazy, straci moment przewagi. Jeśli ruszy bezmyślnie do przodu, nie uzyska wsparcia i zginie. Każda taka sytuacja wymaga błyskawicznej oceny. Jeżeli żołnierz dokona poprawnego wyboru, zostanie nagrodzony. Zapewne zostanie oficerem. Otrzyma wieniec laurowy, a nawet dom. Lecz jeśli zachowa się niewłaściwie i wywoła zamęt we własnych szeregach, ludzie będą pluć, wspominając ten dzień, a żadne dziecko nie otrzyma już imienia, które on nosił. Imię to zostanie zapomniane na zawsze, pewnego dnia zniknie jak suchy liść winorośli. – Spartanin wzruszył ramionami. – Jak powiedziałem, w każdej sprawie należy zachować równowagę. – Klearchos przez moment wpatrywał się w dal, głęboko zamyślony.

Cyrus zrozumiał, że ma jeszcze coś do powiedzenia, i gestem nakazał mu kontynuować.

– Oficer, którego skazałeś na chłostę, jest moim zdaniem zbyt głupi, żeby dowodzić żołnierzami. Nie szanuje swoich ludzi, nie ceni ich umiejętności, nie dostrzega odwagi. Widziałem jego Medów, to twardzi ludzie, niełatwo ich złamać. Oczywiście nie mają ochoty maszerować przez wzgórza w górę i w dół ze Spartanami i Koryntianami, wyjąc jak wilki na ich flankach. Jest im zimno, są przemoczeni, zmęczeni, wręcz chorzy. A gdy na dodatek próbuje im rozkazywać taki człowiek jak ten twój oficer… Szczerze mówiąc, dziwię się, że go nie zabili. Ich morale musi być naprawdę niskie.

– Co więc zrobiliby Spartanie z takim człowiekiem? – zapytał Cyrus z desperacją w głosie. – Mam kilka tuzinów oficerów, którzy nie są od niego lepsi. I kilku, którzy są bez wątpienia gorsi.

– Najpierw spokojnie byśmy z nim porozmawiali – odparł Klearchos. – Kilku dowódców wytłumaczyłoby mu, co robi źle, gdyby tego wciąż nie rozumiał. Rozmowa przebiegłaby w taki sposób, że pojąłby swoje błędy. W trakcie kolejnych ćwiczeń obserwowalibyśmy, czy nasza mądrość do niego dotarła. Zdarzają się ludzie, którzy dobrych rad nie potrafią zastosować w praktyce. Inni odbierają je jako rytuał przejścia i stają się dzięki nim silniejsi. Gdyby nasz oficer nie skorzystał z dobrych rad, pozostałoby rzucić go wilkom na pożarcie. Nie dopuszczamy do siebie słabości, książę, jednak… nasza droga nie jest właściwa dla wszystkich. W gruncie rzeczy nasze metody złamałyby niejeden z twoich oddziałów. Podobnie jak codzienne bicie psa lub wierzchowca mogłoby uczynić go płochliwym lub gwałtownym, jednak nielepszym niż wcześniej.

Cyrus zaklął i uderzył pięścią w swój pancerz tak mocno, że zaczęły krwawić mu knykcie. Klearchos zmierzył go zimnym spojrzeniem.

– Jeśli mogę jeszcze coś powiedzieć, Wasza Wysokość, czasami wydajesz się człowiekiem do szpiku kości przeżartym przez złość. Każda armia potrzebuje czasu, żeby dobrze się przygotować do walki. Widywałem

już w życiu motłoch i przeróżne hałastry przekształcane w doskonałe oddziały. Wy, Persowie, nie jesteście ani mniej sprawni, ani mniej zdyscyplinowani od innych nacji, które widziałem w boju. Jednak zawsze napinacie się niczym koński włos. Tak jakby waszym jedynym celem była walka.

Cyrus odpowiedział mu gorzko:

– A zatem tron mojego ojca jest błyskotką? Według ciebie nie jest wart wysiłku?

– Ależ nie! Nie potrafię sobie wyobrazić na tym świecie cenniejszej zdobyczy niż ta, do której ty zmierzasz. – Spartanin niepewnie przestąpił z nogi na nogę i rzucił spojrzenie na Proksenosa, który przybliżył się, aby lepiej słyszeć. – Ale… życie, na które składa się wyłącznie wojna, nie daje szczęścia. Kiedy człowiek przez miesiące i lata nie myśli o niczym innym, traci wszystko, co w życiu najważniejsze. To samo dotyczy zemsty, jeśli dopuścisz, aby była jedyną motywacją działania. Człowieka może zniszczyć własna wściekłość, Wasza Wysokość, widywałem takie przypadki. Ogarnięty nią mężczyzna nie potrafi logicznie myśleć, gdy kieruje nim wielka nienawiść. Jego serce jest wówczas bliskie eksplozji, a twarz traci rysy niczym topniejący wosk. Przypuszczam, że gdybym w domu nie miał żony, synów i córek, nie pracowałbym tak ciężko. Kiedy tam przebywam, hołubię ten skrawek mojej własnej ziemi, na którym zawsze panuje pokój. Uprawiam drzewa oliwne i cebulę. Myślę o tym pięknym miejscu, kiedy jestem głuchy i ślepy, bo wokół mnie metal uderza o metal, a w powietrzu unosi się zapach śmierci.

Spartanin zorientował się, że Proksenos obserwuje go ze zdziwieniem, i na jego twarzy wykwitły rumieńce. Klearchos nie był mężczyzną skorym do długich wywodów, dzisiaj jednak przemówił do księcia. Zdawało się, że Cyrusa łatwo jest polubić. Klearchos odsunął od siebie tę myśl. Chociaż

dowodził zastępami żołnierzy i całymi armiami, nie był odporny na pragnienia, które wiły się i szeptały do ucha wszystkim oficerom – aby walczyć pod rozkazami ludzi, którzy są tego warci. Klearchos wiedział, że jego armie pójdą w ogień dla księcia, który zyska ich szacunek. On także skoczy dla kogoś takiego w ogień.

– Wasza Wysokość… czasami trudno mi zachować ducha Sparty. Poświęciłem jej życie, krew, pot i całą młodość, jednak trudno mi o niej myśleć w deszczu, gdy ciężki pancerz rani mnie do krwi i jestem zmęczony. Wolę wspominać ciepłe łóżko i moją ukochaną żonę.

– Sam kiedyś szalenie się zakochałem – przyznał Cyrus. – Tylko raz. Lecz ona wybrała innego.

– Może zmieni zdanie, jeśli zwyciężysz w najbliższej kampanii? – zasugerował Klearchos.

Proksenos parsknął śmiechem. Dwaj mężczyźni odwrócili się do niego, lecz on ukrył twarz w fałdach szaty, jakby wycierał nos.

– Bez wahania radziłbym się Spartan w sprawie wojny, Wasza Wysokość. Nie szukałbym u nich porad, gdy chodzi o miłość. Wybierają swoje kobiety, obserwując, czy szybko biegają.

– To nieprawda – zaperzył się Klearchos. Cyrus popatrzył na niego szeroko otwartymi oczami i wódz wzruszył ramionami. – Czasami tak się zdarza. Szybkie kobiety rodzą silnych synów.

– Szybkie kobiety o pięknych, jedwabistych wąsach – pokpiwał Proksenos.

Klearchos rzucił mu lodowate spojrzenie i Beota pożałował swoich słów. Opuścił głowę. Wtedy Spartanin wybuchnął gromkim śmiechem, po czym tak mocno uderzył go dłonią w bark, że ten się zachwiał.

– Książę – powiedział do Cyrusa – zgromadziłeś tutaj dobrych żołnierzy. Jeżeli dasz mi rok, uczynię z nich armię, która wstrząśnie światem. Nie

przemienię w Spartan twoich perskich oddziałów. Sprawię jednak, że będą walczyć jak Koryntianie albo jak Ateńczycy. A nawet Beoci. A to już wystarczy.

Proksenos zamachnął się na niego, jednak Klearchos ze śmiechem uchylił się przed ciosem. Deszcz padał coraz bardziej rzęsisty, ale humor trzech mężczyzn znacznie się poprawił. W swobodnym nastroju skierowali wzrok na posłańca, który z trudem do nich biegł, ślizgając się po błotnistym stoku. Chłopak był Persem i znalazłszy się przed nimi, rozwinął matę, po czym legł na niej i wyciągnął w kierunku księcia okrągłą podłużną szkatułę z polerowanego kamienia. Cyrus zmarszczył czoło, złamał pieczęć i wyciągnął zwój pergaminu. Deszcz zaczął natychmiast bębnić w pergamin, rozmazując zapisane na nim słowa.

Cyrus zacisnął usta.

– Rok, którego potrzebujesz, chyba nie będzie nam dany – oznajmił. – Wygląda na to, że mój brat wysłał starego przyjaciela, aby dokonał przeglądu armii na zachodzie. Do Sardes przyjechał Tissafernes i prosi, abym natychmiast go przyjął.

Książę zrolował pergamin, który przemókł już tak mocno, że nie było sensu go chować z powrotem. Z wściekłością złamał go na kolanie i gwizdnął, aby przyprowadzono mu konia. Natychmiast wskoczył na jego grzbiet, nie korzystając z podstawki. Gdy zebrał wodze, Grecy dotknęli prawymi dłońmi swoich lewych ramion i skłonili głowy.

– Klearchosie, Proksenosie. Będę wam wdzięczny za rady, jeśli udzielicie mi ich w Sardes. Z zainteresowaniem wysłucham, jakie wrażenie zrobi na was ten perski pan. Mam wydać rozkaz, żeby osiodłano wam konie?

Zanim Spartanin zdążył odmówić, odezwał się Proksenos:

– Skoro tego sobie życzysz, Wasza Wysokość. W końcu przysięgaliśmy, że będziemy ci wiernie służyć.

Klearchos popatrzył groźnie na towarzysza; nie zdołał powiedzieć, że zamiast wsiąść na konia, woli pójść do Sardes na własnych nogach. Cyrus prawie się nie wahał, mając już przed oczami spotkanie z człowiekiem, którego wolałby widzieć raczej martwego niż żywego.

– Tak będzie szybciej, Klearchosie – powiedział z naciskiem.

– Możesz usiąść za mną, jeśli chcesz, na moim koniu – dodał Proksenos.

– Nie, na pewno nie – odparł Spartanin. Skłonił głowę raz jeszcze i ponownie dotknął prawą dłonią lewego ramienia. – Oczywiście postąpię, jak rozkażesz, Wasza Wysokość.

* * *

Kiedy Cyrus przybył do Sardes w towarzystwie zaledwie czterdziestu ludzi, Tissafernes przebywał w pałacu już od tygodnia. Persowi towarzyszyła osobista gwardia złożona z sześciuset żołnierzy. Książę uważał, że nawet w takim towarzystwie podróż wymagała od Tissafernesa wielkiej odwagi, zważywszy na to, co się wydarzyło pomiędzy nimi w stolicy. Gdy wjechał na otwarty dziedziniec i zeskoczył z konia, stanął przed milczącymi zastępami Nieśmiertelnych, ubranych w czarne stroje pozbawione wszelkich dystynkcji. Musiał zadać sobie pytanie, czy któryś z nich przebywał w Persepolis, kiedy jego życie zawisło na włosku.

Konni, którzy przybyli z Cyrusem, wzniecili tuman kurzu, zeskakując na ziemię, i podali wodze wierzchowców młodym niewolnikom. Kurz poszybował w kierunku uzbrojonych ludzi Tissafernesa niczym ciemna chmura.

Serce Cyrusa biło szybciej niż zazwyczaj. Nie był pewien, czy jego brat nie wydał rozkazu, aby go zgładzono. Zastanawiał się, czy nie powinien przybyć do pałacu z tysiącem ludzi, uznał jednak, że taka demonstracja siły

mogłaby przedwcześnie zdradzić jego zamiary. Musiał zachowywać się w taki sposób, jakby z Tissafernesem wszystko już sobie wybaczyli, jakby on, Cyrus, nie uważał Tissafernesa i Artakserksesa za swoich wrogów. Nawet gdyby miało go to kosztować życie, musiał teraz dobrze grać swoją rolę.

Dlatego ruszył z miejsca, nie zdradzając, że wyczuwa napięcie w szeregach Nieśmiertelnych. Wyciągnął przed siebie ramiona, objął starego człowieka, po czym pocałował go w policzki i w usta, zgodnie z przyjętym zwyczajem. I w tej samej chwili przypomniał sobie starą grecką przypowieść o mężczyźnie, który znalazł w śniegu zamarzającą żmiję. Mężczyzna pożałował zdychającego gada i przycisnął go do piersi, aby go ogrzać. Kiedy żmija wydobrzała, zatopiła zęby jadowe w jego ciele i wyssała z niego życie. Cyrus zdawał sobie sprawę, że uważając kiedyś Tissafernesa za przyjaciela, hołubił na swoim łonie żmiję. Nie zamierzał popełnić takiego błędu nigdy więcej.

Księciu towarzyszyli Proksenos, Klearchos oraz Netos Stymfalijczyk. On także wyszedł Persowi na powitanie, mimo że Tissafernes zmarszczył nos, wyczuwszy zapach potu i koni bijący od mężczyzn, którzy stanęli przed nim w oczekiwaniu, aż zostaną mu przedstawieni. Osobisty strażnik Persa chciał przypilnować, żeby grecki wódz nie podszedł zbyt blisko, ale Netos bez wahania wykręcił mu rękę i zaskoczony mężczyzna krzyknął z bólu. W spojrzeniu, jakie Tissafernes posłał swojemu oficerowi, można było dostrzec czystą truciznę.

– Idź do kuchni i sprawdź, czy wszystko jest dla nas przygotowane – powiedział mu.

Rozzłoszczony mężczyzna zaczerwienił się, a kiedy popatrzył na Stymfalijczyka, jego oczy płonęły nienawiścią. Netos zachowywał się tak, jakby nic się nie stało, a tymczasem Cyrus był zadowolony, że

przedstawienie, jakie przygotował Tissafernes, niezupełnie się udało. Już samo spotkanie z wrogiem psuło mu humor, ale powitanie w pałacu królewskim, jakby Cyrus był tutaj gościem, a Tissafernes gospodarzem, było sytuacją skrajnie irytującą.

Książę uśmiechnął się, położył dłonie na ramionach Tissafernesa i odwrócił go, dzięki czemu stanął ze starcem twarzą w twarz. Wiedział, że bardzo nie lubi bliskiego kontaktu fizycznego, dlatego kiedy ruszyli do pałacu, mocno go objął.

– Cieszę się, że widzę w tym miejscu znajomą twarz, stary lwie. Tęskniłem za tobą. Myślałem, że wciąż się na mnie gniewasz za… – machnął ręką – …to wszystko, co się wydarzyło w Persepolis. Rozum podpowiedział mi, nie wiem, czy słusznie, że najlepiej postąpię, jeśli udam się daleko na zachód, przynajmniej na kilka lat, w oczekiwaniu, aż mój brat utrwali swoją pozycję jako wielki król i bóg-imperator.

– Rozumiem – odparł Tissafernes. Zerknął niechętnie na trzech greckich wodzów, którzy szli za nimi. Nie wiedział, czy któryś z nich rozumie królewski język. – Ale widzę, że wciąż zadajesz się z Grekami, Wasza Wysokość.

Ku jego zaskoczeniu Cyrus pogroził mu palcem niczym niegrzecznemu dziecku.

– Jesteś mi winien cały oddział Spartan, stary lwie. Wyjechawszy na zachód, musiałem wielu osobom składać kondolencje. I zapłacić rodzinom poległych! Jesteś mi winien tyle złota, ile dzisiaj potrzeba, żeby wyposażyć oddział żołnierzy. Właściwie dlaczego zginęli moi Spartanie? Sam mówiłeś, że zawsze byłem lojalny. Przez całe życie służyłem tronowi i mojemu ojcu. I zamierzam spędzić resztę życia, służąc z kolei mojemu bratu. Znasz mnie, stary przyjacielu. Wszelkie nieporozumienia, jakie powstały między nami,

puściłem w niepamięć. Mogę jedynie przeprosić i pozostawić przeszłość za sobą. Co jeszcze mógłbym uczynić?

Potok słów Cyrusa uspokoił Tissafernesa, mimo że książę wciąż mocno obejmował go ramieniem. Nadal jednak chciał odgrywać rolę gospodarza, kiedy znaleźli się na pałacowych korytarzach.

Poza Nieśmiertelnymi Tissafernes przywiózł ze sobą całą gromadę służących, a wśród nich zabójców, kucharzy, trucicieli, rymarzy i mnóstwo innych ludzi, których mógłby potrzebować w podróży. Każdy z towarzyszy Cyrusa został zaprowadzony na masaż oraz do kąpieli i dopiero potem mógł zasiąść do posiłku, który przygotował dla nich Tissafernes. W towarzystwie księcia nie okazywał urazy, nie zdradzał jej nawet najmniejszym gestem.

– Kolację podamy o zachodzie słońca, Wasza Wysokość – powiedział. – Mój kucharz przygotowywał ten posiłek przez wiele dni.

Chociaż wciąż temu nie dowierzał, wszystko wskazywało na to, że będzie mógł zawieźć królowi Artakserksesowi dobre nowiny. Tissafernes nie zmarnował tygodnia, który spędził w Sardes. Wysłał w teren trzech swoich najlepszych szpiegów. W każdym mieście funkcjonowali królewscy donosiciele, którzy teraz zdali mu relacje, dlatego już po krótkim czasie wiedział, co Cyrus robił przez ostatnie sześć miesięcy, dowiedział się o każdej jego rozmowie, o jego przedsięwzięciach i decyzjach, jakie podejmował. Szpiedzy spisywali te informacje i przedstawiali mu raporty, które uważnie czytał, kształtując w swojej wyobraźni obraz sytuacji. Co ważniejsze, miał teraz jadać z księciem posiłki i przez wiele dni osobiście go obserwować. Tissafernes znał Cyrusa od jego najwcześniejszego dzieciństwa i wiedział, że jeśli książę będzie fałszywy i nieszczery, bez trudu to wyczuje. Staremu nauczycielowi dumnie unosiła się pierś, gdy myślał o zaufaniu, jakim został obdarzony. Jego oceny miały zaważyć na życiu i śmierci, a na jego słowa czekały całe armie.

Tissafernes skinął na dwóch młodych niewolników, aby do niego podeszli. Uwielbiał być kąpany. W tych chwilach bywał serdeczny i wpadał w doskonały nastrój. W końcu był prawą ręką wielkiego króla, sztyletem w rękach królewskiego dworu. Ta myśl sprawiła mu wielkie zadowolenie.

* * *

Tego wieczoru kolacja przebiegała w serdecznej atmosferze. Chociaż Tissafernes przyprowadził ze sobą dość ludzi, by obstawić nimi każdy zakątek i każdy korytarz w pałacu, tylko sześciu kazał stanąć pod ścianami w jadalni. Ubrał się w ciemnozłotą luźną szatę, dzięki czemu jego ciało pozostawało chłodne. Cyrus dostrzegł, że od ich ostatniego spotkania na brzuchu Tissafernesa pojawiły się spore fałdy tłuszczu.

Okna znajdowały się wysoko w ścianach pomieszczenia, w którym król Dariusz zabawiał kiedyś satrapę Indii. Do miski ze śliwkami dorzucił wtedy rubiny, aby go zadziwić. Rzucał później te klejnoty jego dzieciom, niczym słodkie przysmaki. Chłodny wiatr owiewał całą salę, spływając do jej wnętrza pomiędzy płytkami dachowymi. Było to możliwe dzięki pomysłowości architekta, który zaprojektował pałac.

Blat stołu wyciosany był z zielonego marmuru tak doskonale wypolerowanego, że pomiędzy misami odbijały się w nim promienie światła prześwitującego przez płytki dachu oraz twarze służących, kiedy się nad nim pochylali. Książę usiadł u szczytu, a Tissafernes obok niego, po prawej stronie. Klearchos zasiadł z lewej strony, a Proksenos i Netos Stymfalijczyk przy dłuższych bokach stołu.

Tissafernes nadal grał rolę gospodarza, zachwalając poszczególne dania. Obserwował Cyrusa, czy nie zawaha się nad którymś, jednak nawet jeśli książę obawiał się trucizny, nie okazywał tego. Tissafernes musiał

przyznać, że ten brak podejrzeń jest dobrym znakiem. Człowiek winien zdrady spodziewałby się jej przecież także po innych. A tymczasem Cyrus rozrywał chleb palcami i pił dużymi łykami czerwone wino, sprawiając wrażenie, że doskonale się bawi.

– Ci Grecy, Wasza Wysokość… czy oni mówią w naszym języku? – zapytał Tissafernes.

Ku jego zaskoczeniu zarówno Proksenos, jak i Klearchos pokiwali głowami, chociaż Proksenos uniósł dłoń i poruszył nią, jakby chciał pokazać, że nie posługuje się tym językiem perfekcyjnie. Netos obserwował to z całkowitym brakiem zainteresowania, spoglądając po otaczających go osobach, jakby ich rozmowy były niezrozumiałym warkotem psów. Tissafernes zrozumiał, że ten brak grzeczności nie jest celowy. Dla Greka słowa wypowiadane w obcym języku nie brzmiały jak ludzka mowa, traktował je raczej jak ćwierkanie ptaków, czyli jak proste dźwięki, które można ignorować.

– Jak widzisz, stary lwie, perski jest językiem zarówno interesów, jak i wojny, przynajmniej wśród tych, dla których wojna jest interesem – powiedział wesoło Cyrus, jakby obaj z Tissafernesem wciąż byli przyjaciółmi.

– Rozumiem. Postaram się więc nie być niedyskretny, Wasza Wysokość. Chociaż twój brat kazał mi ocenić gotowość wojsk, które zgromadziłeś. Moim zadaniem jest oszacowanie, jaką siłą dysponujemy, i ujęcie w tej ocenie także żołnierzy pod twoimi rozkazami. Wiesz, ilu ich jest?

– Oczywiście – odparł Cyrus, rozsmarowując czerpakiem małe miękkie jajka na pajdzie chleba, na której wcześniej położył kawałek ryby. – Każę, aby mój majordomus udostępnił ci wszystkie liczby. Uczyłeś mnie arytmetyki, Tissafernesie. Byłoby mi wstyd, gdybyś stwierdził, że zapomniałem twoich nauk.

Tissafernes roześmiał się i opróżnił kielich wina, który natychmiast ponownie mu napełniono. Na jego twarzy pojawiły się ciepłe rumieńce i stary człowiek uśmiechnął się do księcia. Przyszło mu do głowy, że młodszy syn Dariusza jest osobą większego formatu i bardziej wspaniałomyślną, niż przypuszczał.

– Jedzenie jest bardzo dobre – odezwał się Klearchos po grecku.

Tissafernes zareagował na jego złe maniery zmarszczeniem czoła, mimo że Cyrus pośpiesznie przetłumaczył te słowa. Usłyszawszy je, poweselał jednak Netos – były to pierwsze słowa wypowiedziane przy tym stole, które zrozumiał.

– Ach… Przywiozłem ze sobą kucharza – powiedział Tissafernes. – Szczerze mówiąc, w moim wieku nie mogę już podróżować bez niego. Mój żołądek nie przyjmuje żadnych posiłków, które nie zostały przyrządzone jego rękami. – Ze smutkiem poklepał się po brzuchu. – W starczym wieku i ty będziesz się musiał wystrzegać kwasów, Cyrusie.

Przez krótką chwilę książę uśmiechał się do niego tak jak wtedy, gdy byli najlepszymi przyjaciółmi. Zaraz jednak się napomniał: przecież niedawno mężczyzna, który teraz siedzi obok niego przy stole, bardzo chciał, aby miecz kata skrócił go o głowę. Stary, otyły nauczyciel, który przeżuwał mielone mięso i owoce, nie nosił już w sobie ani odrobiny przyjaźni czy sympatii dla niego. Wystarczyło tylko zerknąć na strażników ustawionych przy ścianach, aby mieć pewność, że na jedno skinienie wykonają każde polecenie swojego pana. Patrzyli na Cyrusa jak na wroga, przypominając mu, że rzeczywiście jest ich wrogiem. Niemniej posiłek był naprawdę doskonały i Proksenos aż jęknął, kiedy wstawał od stołu. Podano tuzin potraw i wybór win, a pojawianie się każdego nowego dania Tissafernes chętnie komentował, tak głośno wychwalając swojego kucharza, że w pewnej chwili Cyrus chciał go za to udusić. Zauważył, że Grecy jedzą

mało, prawdopodobnie wszyscy brali przykład z Klearchosa, który każdą potrawę zaledwie smakował, jakby chciał sprawdzić, czy nie ma w niej trucizny. Oczywiście najprawdopodobniej właśnie o to mu chodziło.

W półmroku, po długim dniu, trudno było powstrzymać ziewanie. Cyrus odchylił głowę do tyłu i poklepał się po otwartych ustach.

– Jutro, stary lwie, zorganizuję specjalnie dla ciebie paradę naszych najlepszych oddziałów. Wydałem na nie fortunę, lecz prawdopodobnie zgodzisz się ze mną, że nie zmarnowałem tych pieniędzy.

– Mam nadzieję, że nie, Wasza Wysokość – odparł Tissafernes, a w jego głosie zabrzmiała nuta ostrzeżenia.

Po jego słowach zapadła cisza. Tissafernes dostrzegł, że młody książę unosi brwi. Zdał sobie sprawę, że Cyrus czeka, aż padnie przed nim na posadzkę. Uznał jednak, że nie musi tego czynić, nie musi padać na twarz przed mężczyzną, którego ma ocenić. Stanął więc przed nim i zgiął się w pasie. Zaczerwienił się przy tym, a kiedy się wyprostował, zobaczył, że Cyrus mierzy go nieprzyjemnym wzrokiem.

Tissafernes wydał stłumiony chichot.

– Nadeszła nowa era, Wasza Wysokość…

Ku swemu zaskoczeniu ujrzał, jak twarz Cyrusa tężeje.

– Nie, Tissafernesie. Jestem synem mojego ojca. I bratem wielkiego króla Artakserksesa. Czyżbyś zamierzał okazać brak szacunku mojej rodzinie, rodzinie królewskiej?

Zapewne była to z jego strony małostkowość, jednak Cyrus miał za sobą niemiły wieczór w towarzystwie mężczyzny, którego nie znosił i przy którym musiał ważyć każde słowo. Czekał na tę chwilę i ani myślał zrezygnować z drobnej przyjemności upokorzenia starego człowieka. Wytrzymał jego spojrzenie, a Tissafernes zrobił się jeszcze bardziej

purpurowy na twarzy, ukląkł na jedno kolano, później na drugie, aż wreszcie położył się płasko na kamiennej posadzce.

– To ważne, abyś pamiętał, który z nas jest tutaj gospodarzem, a który gościem – powiedział Cyrus łagodnym, miękkim głosem. Ale po chwili zmienił ton i kiedy wyciągał ku Tissafernesowi rękę, pomagając mu wstać, brzmiały w nim radość i wielkie zadowolenie. – Widzisz, ci Grecy wydają się nie rozumieć, jak ważne jest okazywanie szacunku księciu. Kiedy widzę, Tissafernesie, jak ty doskonale to robisz, ogarnia mnie ogromna tęsknota za domem.

– Dziękuję ci, Wasza Wysokość. To dla mnie zaszczyt – powiedział Tissafernes z takim wysiłkiem, że Proksenos parsknął śmiechem i zaraz wydmuchał nos, żeby ukryć rozbawienie.

10

Trudno było precyzyjnie określić status Tissafernesa jako gościa. W jego żyłach nie płynęła ani jedna kropla błękitnej krwi, jednak piastował funkcje dające mu władzę działania w imieniu króla – a on sam bez wątpienia był przekonany, że przybył do Cyrusa, aby zapoznać się z sytuacją w zachodniej części imperium. Kiedy z wysokości swojego wierzchowca obserwował na otwartych terenach w Sardes paradę, jego zachowanie daleko odbiegało od zachowania petenta. Na miejsce przybyli osobiście miejscowy zarządca i członkowie wszystkich zamożnych rodzin, które były w stanie kupić, wyprosić lub groźbą uzyskać zaproszenie.

Słońce jaskrawym blaskiem oświetlało zielony teren, a Tissafernes uważnie obserwował paradujące i manewrujące przed nim oddziały. On i książę Cyrus chronieni byli przed spiekotą przez niewolników, którzy trzymali nad ich głowami płachty białego płótna rozpięte na ramach wykonanych z plecionej trzciny. Cyrus starał się dobrze bawić i cieszyć widokiem żołnierzy, nie mógł się jednak uwolnić od psującej mu humor myśli, że pełną relację z tej parady już wkrótce usłyszy jego brat.

W bardziej niewinnych czasach Cyrus radowałby się, że może swojemu staremu nauczycielowi zaprezentować najlepszych żołnierzy wykonujących najbardziej skomplikowaną musztrę. Miałby nadzieję, że wieści o jego sukcesie szybko znajdą drogę do ucha ojca w Persepolis. Dzisiaj wcale mu nie zależało, aby ktoś się dowiedział, że zgromadził wielką liczbę ludzi, których szkoli w sztuce wojennej już od wielu miesięcy. Tysiące Greków

i równie dużo Persów maszerowało przed nim, tworząc skomplikowane szyki paradne, markując ciosy i walkę w małych grupach. Chcąc wywrzeć wrażenie na Tissafernesie, Cyrus zaplanował na zakończenie prezentację zwarcia dwóch dużych oddziałów, jednak z każdą chwilą miał dla tego pomysłu coraz mniej entuzjazmu. Szybko doszedł do wniosku, że parada jest stanowczo zbyt długa. Był cały spocony, lecz mimo wszystko uśmiechał się, kiedy wołał o zimne napoje.

Jedynie książę i Tissafernes na wielkim polu dosiadali koni. Inni goście i obserwatorzy zasiadali na białych ławkach, ustawionych w półkole po ich obu stronach, przypominając tłum widzów w teatrze greckim. Panował wesoły nastrój, bo handlarzy i dostojników cieszyły ciepłe promienie słońca. Sporo mężczyzn przyprowadziło niezamężne córki, które próbowały uchwycić spojrzenie księcia, zdającego się dotąd gardzić przyjęciami i ucztami, rzadko widywanego publicznie.

Cyrus zastanawiał się, czy jakieś strzępy informacji lub plotki, które pojawią się w tym tłumie, zdołają dotrzeć do uszu Tissafernesa, a za pośrednictwem starca do jego brata. Wątpił w to. Dopóki Artakserkses nie spłodzi syna, to on był w drugiej linii następcą tronu. Jego romanse lub ich brak musiały zatem być przedmiotem uwagi tronu królewskiego. Przeklinał się za to, że w ciągu tych kilku miesięcy, kiedy go nie obserwowano, nie stworzył dla siebie jakiejś zasłony dymnej. Zajmował się jedynie pracą, gromadząc, oddział po oddziale, potężne wojska. Nie przyszło mu do głowy, że brat może przysłać człowieka, który z niewinną miną zainteresuje się, czy książę odwiedza teatry, czy czyni zaloty wobec kobiet z najlepszych rodzin. Dwie greckie kochanki w ogóle się tutaj nie liczyły.

Cyrus poczuł, jak strużka potu spływa mu po policzku. Wiedział już, że pogrążył się w skomplikowanej sytuacji. Nienawidził kłamać, a łańcuch spraw, o których musiał milczeć, bardzo mu ciążył. Przypomniał sobie

opowieść matki o świętym człowieku, który znany był z wybuchowego charakteru i tego, że podjąwszy wielki wysiłek, w końcu nauczył się sprawować nad sobą kontrolę, dzięki czemu przez bardzo długi czas nikt nie widział go już rozzłoszczonego. Kiedy zmarł, podejrzewano, że został otruty, i otworzono jego ciało, aby poznać przyczynę zgonu. Okazało się, że jego mięśnie są splątane i tworzą węzły. Taki efekt dały całe lata wewnętrznego tłumienia złości, ukrywania jej przed całym światem.

Cyrus czuł się właśnie jak ten święty pustelnik, kiedy tylko Tissafernes odwracał się ku niemu i wykrzykiwał zachwyty nad jakimś szczególnym fragmentem przedstawienia rozgrywającego się na jego oczach. Książę w takich chwilach jedynie pochylał głowę i uśmiechał się, zwracając twarz ku słońcu, a przecież właśnie wtedy gwałtownie rosły jego obawy. Ojciec dysponował pajęczyną szpiegów w całym imperium, wszyscy o tym wiedzieli, jednak żaden szpieg nigdy nie zdawał sobie sprawy, jak wielkiej sieci jest fragmentem. Cyrus starał się teraz zachowywać tak, jakby wciąż był obserwowany, jakby każde słowo, które wypowiadał, mógł podsłuchać jego najgorszy wróg. Nie wiedząc, komu ufać, musiał się zachowywać jak najbardziej wstrzemięźliwie. Jednak nie było łatwo o ostrożność podczas ciepłych wieczorów przy dobrym winie, smacznym jedzeniu, w gronie przyjaciół. Można było natomiast zaprzepaścić wszystko poprzez rzucenie kilku nieopatrznych słów.

Tłum powstał, kiedy na polu pojawiło się czterystu Spartan, którzy wybiegli przez bramę i natychmiast pośpieszyli, aby otoczyć perski oddział ustawiony w zwartym szyku w dużej odległości. Kobiety chłodziły się wachlarzami, obserwując mężczyzn w czerwonych płaszczach biegnących w doskonałym porządku. Wśród Spartan funkcjonowały dwie szkoły dotyczące tych płaszczy. Część dowódców rozkazywała pozbywać się ich przed bitwą, uważając je za garderobę potrzebną na zimne noce albo na

defilady, natomiast krępującą w walce i ułatwiającą zadanie wrogom, którzy mogli ją pociągać i szarpać. Inni, jak Klearchos, uczyli żołnierzy, jak z nich korzystać, aby wytrącać przeciwnikom broń z ręki, oślepiać ich szerokimi ruchami czerwonym materiałem lub atakować mieczami ukrytymi w jego fałdach. Ludzie, których życie zależało od stopnia opanowania sztuki walki, mogli sami wybierać, co jest dla nich najlepsze na polu bitwy, jednak Cyrus musiał przyznać, że na polu paradnym czerwone płaszcze prezentują się doskonale. Udawana bitwa, którą zaplanował razem z Klearchosem, mogła zadowolić wszystkich Persów, jeśli nie Greków. Spartanie z wielką łatwością przedstawiali manewry bitewne na ćwiczeniach. Wiedzieli, że są najlepsi, i nie miało dla nich znaczenia, co jakiś perski książę chce pokazać swojemu staremu nauczycielowi.

Niecałe czterdzieści kroków od miejsca, w którym Tissafernes i Cyrus siedzieli na swoich wierzchowcach, Spartanie ściągnęli z pleców tarcze i przymocowali je do przedramion. Jednocześnie wysunęli przed siebie długie włócznie, będące w ich rękach bardzo skuteczną bronią. W mgnieniu oka byli gotowi do ataku, a Cyrus z trudem przełknął ślinę, gdy przyszła mu do głowy myśl, że kiedyś mógłby stanąć na polu walki twarzą w twarz z takim przeciwnikiem. Wszystkie inne oddziały stanęły nieruchomo, gotowe obserwować ostatni element pokazów. Zamarły nawet ptaki i tłum widzów na ławkach.

Cyrus zaczął się modlić w duchu, aby perski oddział nie złamał szyku i nie zaczął uciekać. Dołączył do niego aż ośmiuset łuczników, przypilnowawszy, aby w ich kołczanach znalazły się wyłącznie strzały bez grotów. Nie mógł jednak rozbroić włóczni Spartan, bo stałyby się dla nich zupełnie bezużyteczne. Zresztą Klearchos stanowczo sprzeciwił się propozycji, aby na użytek udawanej bitwy okaleczyć broń, którą żołnierze odziedziczyli po swoich przodkach. Jego ludzie mieli przetrwać pod

gradem tępych strzał, a odpowiadając na atak Persów, powstrzymać się przed zadawaniem ciosów ostrymi włóczniami. Dwa oddziały zaczęły się do siebie zbliżać w tempie, które wydawało się powolnym truchtem. Cyrus zacisnął pięści, gdy Persowie zatrzymali się w odległości dwustu kroków od Spartan. Łucznicy naciągnęli cięciwy i wypuścili strzały z dźwiękiem przypominającym trzepot gołębich skrzydeł. Te dźwięki i ich okrzyki zabrzmiały równocześnie z rykiem rozkazów wywrzaskiwanych po stronie Spartan, którzy natychmiast unieśli tarcze, a te przykryły ich szeregi niczym wielkie kopuły z brązu, drewna i skóry. Po chwili rozległy się odgłosy, jakby ktoś uderzał w te kopuły młotem, gdy zaczęło w nie trafiać tysiące strzał. Każdy z ośmiuset łuczników miał w kołczanie dwanaście strzał, zatem na tarcze spadło ich niemal dziesięć tysięcy. Z daleka wyglądało to doskonale, bo dzięki długim godzinom ćwiczeń większość Persów bez problemu trafiała w wyznaczony cel. Tylko kilka strzał poleciało w przypadkowe miejsca, wzbudzając niejakie zainteresowanie Tissafernesa. Starszy mężczyzna bił jednak dłonią w skórzany bok siodła, wyrażając swój aplauz dla potężnego ataku.

Tymczasem na polu Spartanie powoli prostowali się z przysiadu. Wśród publiczności, która dotąd ze śmiechem i zadowoleniem komentowała akcję łuczników, znowu zapadła cisza. Widzowie zorientowali się, że ku perskiemu oddziałowi kierują się nienawistne spojrzenia Spartan. Ich głowy w brązowych hełmach uniosły się, a wzrok żołnierzy utkwił w twarzach roześmianych Persów. Cyrus dostrzegł, że Spartanie zaczynają wyrywać strzały ze swoich tarcz. Znowu z trudem przełknął ślinę, kiedy zrozumiał, że groty przynajmniej części z nich nie zostały stępione. Książę nie wiedział w tej chwili, czy stało się tak na skutek czyjegoś błędu, czy z powodu złośliwości któregoś z perskich oficerów, który być może miał nadzieję, że na polu pozostanie kilku martwych Greków. Zobaczył, że

Spartanie dyskutują z ożywieniem o tym, co się wydarzyło. Mógł teraz tylko się w nich wpatrywać i mieć nadzieję, że nie rozważają odwetu. Mężczyźni w czerwonych płaszczach stali w bojowych postawach, robiąc do przeciwników szydercze miny i wychylając się do przodu niczym psy trzymane na smyczy. Nic nie wskazywało, że któryś z nich odniósł rany. A jednak wszyscy kierowali spojrzenie ku łucznikom. Cyrus przypomniał sobie słowa, które miał wypowiedzieć król Leonidas pod Termopilami. Kiedy stojący naprzeciwko niego Persowie powiedzieli mu, że zakryją słońce strzałami ze swoich łuków, jeżeli się nie podda, król odparł, że będzie walczył w cieniu.

Tissafernes zachichotał, nie do końca rozumiejąc, co się stało, a tymczasem spartańscy oficerowie, wydawszy krótkie rozkazy, znów ustawili swoich ludzi w szyku bojowym. Spartanie wznieśli długie włócznie, a tarcze zarzucili na plecy. Znów byli gotowi do marszu. Perscy łucznicy po drugiej stronie pola bitwy wciąż poklepywali się nawzajem po plecach, ustawieni w luźnym szyku, jakby znajdowali się na weselu albo innej uroczystości. Cyrus aż kipiał, patrząc na nich. Gdyby nie groziło to wielkim wstydem przed Tissafernesem, wręcz pragnąłby w tej chwili, aby Spartanie natychmiast zaatakowali i nauczyli jego ludzi czujności na polu walki. Zdał sobie sprawę, że taki atak wyglądałby jak szarża lisów na kurnik. I nawet gdyby miała to być tylko nauczka, polałaby się krew.

Tissafernes jakby nie dostrzegał głupoty perskich łuczników. Ponieważ pokazy miały się ku końcowi, on i Cyrus równocześnie zeskoczyli z koni, przekazując je pod opiekę służących. Tissafernes przeciągnął się, ziewnął, po czym posłał księciu chytry uśmiech. Pstryknął palcami, żądając, aby przyniesiono mu – już czwarty – schłodzony napój, mimo że każdy kosztował tyle co miesięczne wynagrodzenie żołnierza, całą złotą darejkę. Lód do napojów przywożono w blokach z górskich jezior, po czym

przechowywano w letnie miesiące głęboko pod ziemią. Chłodny napój, podany w pucharze z niebieskiego szkła, był niemalże symbolem dobrobytu i cywilizacji. Tissafernes wręcz nałogowo pochłaniał słodkie soki oprószone z wierzchu drobnymi kryształkami lodu. Ale nałogowo korzystał też z bogactwa i władzy, dzięki którym mógł je pić bez umiaru.

– Wspaniałe pokazy – powiedział, upiwszy łyk i westchnąwszy z rozkoszy. – I dobrze się stało, że ci wojacy z zagranicy zaznali smaku klęski, szczególnie z rąk żołnierzy perskich. Byłoby mi bardzo nieprzyjemnie donosić twojemu bratu, że twoi Grecy mają wygórowane mniemanie o sobie. – Zerknął w kierunku szeregu Spartan i zmarszczył czoło. – Nie widzę, aby któryś z nich miał pręgi na plecach. Zastanawiam się, czy jesteś wobec nich wystarczająco surowy.

Odwrócił się, nie czekając na reakcję księcia, a Cyrus zmusił się do przemilczenia odpowiedzi, która cisnęła mu się na usta. Był przecież dowódcą wszystkich armii perskich. Tissafernes bez wątpienia wiedział, że w kwestii dowodzenia i dyscyplinowania żołnierzy to on, książę, ma znacznie większe doświadczenie. Co więcej, starzec zdawał się zdeterminowany, by wbijać mu szpilki, i bezustannie sugerował, że jego pozycja w imperium jest o wiele znaczniejsza niż w czasie ich ostatniego spotkania, tak jakby wszystkie jego poczynania cieszyły się pełną aprobatą i zaufaniem króla Artakserksesa. Trudno było odgadnąć, czy tak jest w rzeczywistości. Cyrus nie mógł zapytać o to wprost, nie mógł pchnąć do brata posłańca z zapytaniem. Dlatego musiał znosić kąśliwe uwagi i zawoalowane groźby, nie okazując zniecierpliwienia ani urazy. Z tego, co dotąd wiedział, Tissafernes przybył tutaj, aby go sprawdzić, aby się dowiedzieć, co on właściwie robi i planuje.

– Dyscyplinowanie Spartan pozostawiam spartańskim oficerom – powiedział. – Jeśli któryś z żołnierzy okazuje na przykład lenistwo albo

zanadto się obżera, zazwyczaj jest przez nich karany z wielkim okrucieństwem, gdyż w ten sposób naraża na niebezpieczeństwo innych. Spartanie traktują takie sprawy bardzo poważnie, wręcz jako skazę na honorze. Nie tylko honorze konkretnego żołnierza, lecz także dobrego imienia jego miasta.

– Och, co za dziecinada. – Tissafernes pociągnął nosem. – Mówisz tak, jakby ci ludzie naprawdę dbali o swój honor albo chociaż wiedzieli, co to takiego. Jestem pewien, że twój brat nie ucieszyłby się, słysząc, z jakim podziwem rozprawiasz o tych Grekach. Bo mówisz o nich z podziwem, prawda?

Złość znów wezbrała w Cyrusie. Odpowiadając Tissafernesowi, z trudem ukrywał emocje.

– Prawda, podziwiam ich, stary lwie, i temu nie przeczę. Prędzej zaprzeczyłbym, że niebo jest błękitne. Podziwiam dobrych żołnierzy. A Spartanie nie mają sobie równych.

– Są zatem według ciebie lepsi od naszych Nieśmiertelnych? – naciskał Tissafernes.

– Termopile pokazały, że są lepsi. Plateje pokazały, że są lepsi. Jeśli mam pilnować, aby granice imperium mojego brata były bezpieczne, muszę szkolić nasze oddziały, korzystając z najlepszych nauczycieli.

Tissafernes jakby się uspokoił. Przez chwilę mieszał swój napój, wykonując nieznaczne ruchy ręką, po czym się odezwał:

– Wielu Persów wolałoby nie wspominać o Platejach, Wasza Wysokość, gdzie Spartanie pobili naszą piechotę, a potem wymordowali wszystkich ludzi, którzy pozostali w obozie. To był nasz mroczny dzień. A jednak ty wychwalasz synów i wnuków tych dzikusów i łotrów. Zerknij tylko na nich, jak butnie rozglądają się dookoła. Gdybyś był dobrym dowódcą, kazałbyś

wychłostać któregoś z oficerów za bezczelność tych ludzi. Muszę powiedzieć, że zastanawiam się, co twój brat…

– Artakserkses dowie się, że w imperium panuje pokój – przerwał mu Cyrus – i dowie się, że pokój osiąga się dzięki mocnym granicom oraz dobrze wyszkolonym oddziałom gotowym w każdej chwili ruszyć do boju. Zgromadziłem tutaj najlepszych żołnierzy spoza imperium, aby dzięki nim nasze perskie wojsko stało się jeszcze lepsze. Oni są jak osełka, dzięki której Persowie nabierają ostrości i wprawy. Dla mojego brata tylko to się liczy. – Cyrus zacisnął usta, nie chcąc, aby w jego głosie zabrzmiała jeszcze głębsza złość. Nie był w stanie odgadnąć, czy Tissafernes naprawdę jest oburzony arogancją Spartan, czy też próbuje sprowokować księcia do wypowiedzi, która doprowadziłaby go do upadku. – W każdym razie to moje, a nie twoje zmartwienie.

Tissafernes zwrócił się do jednego ze swoich oficerów.

– Polemarcho Behkasie, widzisz tego oficera Spartan? Tego, który ma na ramionach skórę lamparta? Tak, tego w hełmie z pióropuszem. Wezwij go do mnie.

Zaskoczony Cyrus bezwiednie otworzył usta. Nie podjął próby sprzeciwienia się temu rozkazowi, gdyż wiedział, że ucierpiałaby jego duma. Behkas był oficerem Tissafernesa, bez wątpienia lojalnym tylko wobec niego.

– Zamierzasz wydawać rozkazy moim podkomendnym? – zapytał jednak, podczas gdy różne myśli kotłowały mu się w głowie.

Tissafernes odwrócił się nieznacznie i skierował na niego uważne spojrzenie. Ku swojemu zaskoczeniu Cyrus zobaczył, że dłoń tamtego kieruje się ku rękojeści sztyletu zatkniętego za szeroką szarfę, jakby zamierzał go wydobyć. Tissafernes, być może bezwiednie, ujawnił targające nim emocje. Nagle zrobiło się bardzo nieprzyjemnie. Cyrus przez

chwilę stał jak sparaliżowany; niespodziewanie podbiegł do niego Klearchos. Stanął przed nim i Tissafernesem, po czym szybkim ruchem zdjął z głowy hełm. Szeroko rozstawił nogi i uśmiechnął się, sprawiając wrażenie bardzo z siebie zadowolonego. Bez wątpienia spodziewał się pochwały. Dlatego wysoko uniósł brwi, kiedy Tissafernes wskazał na niego ze złością.

– Arogancja tego człowieka mnie drażni – powiedział głośno. – Jako reprezentant i pełnomocnik króla Artakserksesa, niech błogosławione będzie jego imię i długie jego życie, życzę sobie, aby go wychłostano w ramach nauczki dla pozostałych. Polemarcho Behkasie, wyznacz do tego zadania któregoś ze swoich najsilniejszych ludzi. Każ rozebrać tego człowieka do pasa i go przytrzymać. Osobiście będę głośno liczył uderzenia.

– Niczego nie będziesz liczył! – warknął Cyrus. Jego początkowe zaskoczenie przerodziło się w złość. – Nie masz tu takiej władzy. – Gwałtownym gestem zatrzymał oficera, który już zbliżył się do Klearchosa. – Precz! Trzymajcie się z daleka od tego Spartanina. I obaj padnijcie na twarz! Natychmiast!

Ostatnie słowa wręcz wykrzyczał i polemarch błyskawicznie wykonał jego rozkaz. Ale Tissafernes się nie ruszył, chociaż zbladł i zaczął drżeć.

– Wasza Wysokość – powiedział ze ściśniętym gardłem. – Twój brat, król, życzył sobie, żeby nie było między nami żadnych niedomówień. Przemawiam jego głosem, moje słowa są więc głosem różanego tronu, przynajmniej w tej zapomnianej dziurze, straszliwie odległej od prawdziwego świata. Jeśli polecisz, aby dostarczono mi moje bagaże, okażę ci stosowny królewski dokument. Święte słowa Artakserksesa zapisane są w nim złotymi literami i potwierdzone jego osobistą pieczęcią. Jestem

pewien, że nie będziesz chciał sprzeciwiać się rozkazowi płynącemu wprost z tronu królewskiego.

– Nie jesteś tronem i nie będziesz tutaj wydawał rozkazów, Tissafernesie – odparł Cyrus głosem ociekającym pogardą. – Zapamiętaj, że to ja i tylko ja dowodzę wszystkimi armiami imperium. Co ty wiesz o wojsku i wojnie? Widzisz tych Spartan na polu ćwiczebnym, z włóczniami, krótkimi mieczami i kopisami za pasem? Jeśli tkniesz ich wodza, zapewniam cię, że nie będą stali bezczynnie. A jeśli rozedrzesz mu skórę, nie będę w stanie uchronić przed ich gniewem ani ciebie, ani twoich ludzi.

– Rozumiem – powiedział Tissafernes. Jego wargi zrobiły się niemal białe. Narastała w nim wściekłość i wreszcie porzucił wymuszony wizerunek rozbawionego, cierpliwego przyjaciela. – Zatem ich barbarzyństwo cię przeraża! Interesujące. Zaczynam się zastanawiać, kto tak naprawdę wydaje tutaj rozkazy, skoro twoje dzikie psy mogą z taką łatwością zerwać się z twojej smyczy.

– Jeśli mogę coś powiedzieć – odezwał się Klearchos, zaskakując obu mężczyzn. – Zechciej mi wybaczyć, Wasza Wysokość, książę Cyrusie, ale twoja uwaga jest zasadniczo nietrafna. Moi Spartanie się nie ruszą, jeżeli wydam im taki rozkaz. – Przemówił płynnie, doskonale składając zdania w języku perskim, z akcentem z Suzy. Tissafernes popatrzył na niego z rozdrażnieniem, Spartanin jednak zignorował go i ukłonił się księciu Cyrusowi. – Wasza Wysokość, jeśli moi ludzie rozdrażnili przedstawiciela twojego brata, zniosę chłostę, bez cienia wątpliwości. A moi ludzie nie dobędą mieczy. Spartanie rozumieją, czym jest dyscyplina i, w rzeczy samej, sprawiedliwość. Wierzę, że ta chłosta będzie dla nich doskonałą lekcją.

Wypowiedziawszy te słowa, Klearchos czekał, wpatrując się bez mrugnięcia okiem w Cyrusa, który intensywnie rozmyślał, jak teraz

postąpić. Obserwowani przez Tissafernesa mężczyźni musieli odgadywać teraz wzajemnie swoje intencje, nie zdradzając starcowi nawet najmniejszym gestem, że działają w porozumieniu.

Po długiej ciszy Cyrus skinął głową.

– Bardzo dobrze. To prawda, że obecny tutaj Tissafernes dostrzegł w zachowaniu twoich ludzi coś, co go rozdrażniło. Zechciej więc zdjąć płaszcz i pancerz. Dla przykładu zostaniesz wychłostany.

Cyrus odetchnął, gdy Spartanin ukląkł przed nim na jedno kolano, skłonił głowę, po czym wstał i obnażył tors. Wiedział, że Klearchos woli mu się kłaniać, niż brudzić sobie kolana piaskiem, dlatego gdy przed nim ukląkł, książę odebrał to jako sygnał, że podjął właściwą decyzję. Starał się jednak nie okazać na zewnątrz ulgi. Zaledwie kilka dni temu Klearchos powiedział mu, że nie ma władzy, aby zarządzić jego wychłostanie, dzisiaj jednak poddał się takiemu rozkazowi.

Kiedy Spartanin był już przyodziany jedynie w skórzaną spódniczkę i sandały, nagle wydał się – co przecież było niemożliwe – większy niż dotąd. Wyglądał, jakby wyrzeźbiono go z wielkich kawałków ciemnego drewna. Jego muskuły, zazwyczaj ukryte pod zbroją, robiły wrażenie dopiero teraz, kiedy zostały obnażone.

Spartanie stali na polu ćwiczebnym w hełmach skrywających ich twarze. Przypatrywali się ponuro całej scenie, jednak żaden z nich nie zrobił nawet kroku. Wszyscy widzieli, jak Klearchos obnaża się do pasa. Wódz zachowywał się, jakby nie był świadomy, że go obserwują. Podszedł do jednej z ław dla publiczności i oparł na niej obie dłonie, jedną na drugiej. Tissafernes z kwaśną miną patrzył na imponujące mięśnie Spartanina, zacisnął jednak usta i po raz kolejny nakazał gestem swojemu człowiekowi, żeby przygotował pejcz, zdeterminowany przeprowadzić chłostę. Podskórnie czuł, że nie osiągnie już efektu zastraszenia, który był jego

celem, jednak wciąż pragnął usłyszeć, jak Grek wrzeszczy z bólu. Myśl, że za chwilę zmusi Spartanina do krzyku lub płaczu, sprawiała mu przyjemność. Upokorzony Spartanin miał być rekompensatą za cały dzień, kiepski aż do tej chwili.

Gdy oficer zaczął rozciągać rzemienie pejcza, Cyrus popatrzył na Spartan, którzy właśnie stanęli na baczność. Klearchos wzniósł spojrzenie ku niebu i wymamrotał kilka słów; Cyrus znajdował się zbyt daleko od niego, by je zrozumieć. Usłyszał świst rzemieni przecinających powietrze. Każdy z nich zakończony był ołowianą kulką. Pierwsze uderzenie przecięło na plecach Klearchosa stare blizny, które natychmiast zaczęły ociekać wodnistą krwią. Żołnierz z pejczem cofnął się o krok.

– Jeden – powiedział Tissafernes. W kącikach jego ust błąkał się złośliwy uśmiech. Ponieważ od dłuższego czasu musiał stać, zaczął mu doskwierać ból pleców. A kiedy pejcz spadł na Klearchosa po raz drugi, wyszeptał coś do służącego i po chwili z westchnieniem ulgi usiadł na podstawionym specjalnie dla niego krześle. – Dwa! – zawołał. – A może to był już trzeci raz? Chyba powinniśmy zacząć od początku.

– To było drugie uderzenie – powiedział Cyrus. – Ja sam policzę do czterdziestu. A ty szybko zawołaj o jeszcze jeden sok z lodem.

Ostatnią sugestię wypowiedział takim tonem, że zabrzmiała jak obelga, i Tissafernes się zaczerwienił. Cyrus się dziwił, że do tej pory nie dostrzegał ogromnej złośliwości i mściwości tkwiących w tym człowieku. Czy nosił je w sobie od początku, czy też pojawiły się dopiero wtedy, gdy zmienił się władca na różanym tronie? Przez wiele lat Cyrus nazywał go przyjacielem, ale te pozory przyjaźni mogły się utrzymywać tylko wówczas, gdy Cyrus był księciem, a Tissafernes młodym oficerem i nauczycielem. Gdy jeden z nich osiągnął znacznie więcej, a sytuacja drugiego zaczęła się pogarszać,

w starym człowieku zaczęło kiełkować zgorzknienie lub słabość, która zapewne tkwiła w nim od zawsze.

Cyrus obserwował Klearchosa przyjmującego kolejne uderzenia. W pejczu znajdowało się około dziesięciu rzemieni. Każdy cios przecinał skórę Spartanina, tworząc na niej skomplikowane krwawe wzory i odsłaniając pod spodem płaty mięsa, znacznie bledszego od krwi. Wódz opierał dłonie o ławkę i Cyrus dostrzegł moment, w którym zacisnął je na drewnie bardzo mocno. Po chwili jednak głęboko odetchnął i rozluźnił ten ucisk. Przez cały czas stał na lekko ugiętych nogach.

Ciosy spadały na niego niespodziewanie, chłostający go żołnierz nie utrzymywał żadnego rytmu. Jeśli uderzenie dopadało go, kiedy wciągał powietrze, ono natychmiast z powrotem opuszczało jego płuca. Cyrus się zorientował, że Klearchos chce, aby ciosy spadały na niego pomiędzy kolejnymi oddechami, jednak Pers posługiwał się pejczem bez wprawy i uderzał na tyle nieregularnie, że te wysiłki nie zdawały się na nic. Kilkakrotnie żołnierz przerywał chłostę na długie chwile i bez pośpiechu rozplątywał rzemienie.

Po trzydziestym uderzeniu Spartanin zaczął się pocić, a skóra na jego bokach zalśniła. Mnóstwo krwi spłynęło wokół niego w piach, przez co stał już jakby w aureoli z czerwonych plam. Krew tryskała też na widzów, na zafascynowane rodziny chcące znajdować się jak najbliżej widowiska. Pewna kobieta z zachwytem i jednocześnie przerażeniem przyglądała się kropli krwi na swoim palcu.

Jeszcze dwa razy Klearchos musiał się wysilić, aby rozluźnić dłonie zaciśnięte na ławce, i z każdą chwilą wkładał w to coraz większy wysiłek. Nie wydawał żadnych dźwięków, poza krótkimi stęknięciami, kiedy uderzenia wyciskały z niego powietrze. Kiedy spadał na jego plecy ostatni, czterdziesty cios, tłum wpatrywał się w niego z fascynacją. Tego dnia

zwykli ludzie dowiedzieli się czegoś o Spartanach, a ponura mina Tissafernesa świadczyła, że bynajmniej nie była to taka nauka, jakiej on by sobie życzył.

Klearchos popatrzył na księcia ze słabym uśmiechem i odezwał się:

– Mam nadzieję, że moja krew odkupi hańbę, Wasza Wysokość. Dziękuję, że zaufałeś mnie i moim ludziom. To dla nas zaszczyt.

– Zapomnijmy o tym – odparł Cyrus, chociaż i on, i Klearchos wiedzieli, że nie zapomną tej chwili. – Wróć, proszę, do swoich ludzi. Powiedz im, że twoja odwaga wywarła na mnie ogromne wrażenie.

Wódz ukląkł na kolano. Następnie, poruszając się z widocznym trudem, odebrał płaszcz, pancerz i hełm od perskiego oficera, który patrzył na niego szeroko otwartymi oczami. Następnie wrócił do swoich żołnierzy i wszyscy odmaszerowali bez słowa.

Tissafernes patrzył za nimi z kwaśną miną.

– Zastanawiam się, czy tacy ludzie warci są rzeki złota, jaką na nich wydajesz – powiedział.

– Jestem przekonany, że tak – odparł Cyrus, wciąż kręcąc z niedowierzaniem głową po tym, czego był świadkiem.

– Hmm… Chyba jestem już zmęczony, bardzo długo stałem w słońcu. Mam w mieście do załatwienia pewne interesy handlowe z nowymi partnerami, których wskazał mi król. To w gruncie rzeczy podarunek od twojego brata w nagrodę za długie lata służby. Odwiedzę tych ludzi jutro, po czym ruszę w drogę powrotną.

– Niczym stary pies wciąż karmiony przez rodzinę – dodał Cyrus. – Bezzębny i ślepy, o trzeszczących stawach, lecz jakimś cudem wciąż żywy.

– Bynajmniej nie ślepy, Wasza Wysokość – sprzeciwił się Tissafernes, a jego policzki zapłonęły czerwienią. – Z całą pewnością nie ślepy.

Starając się, aby jego ruchy były płynne, stary człowiek padł przed księciem na ziemię i poczekał, aż Cyrus pozwoli mu wstać. Ani on, ani książę nie okazywali nawet odrobiny satysfakcji, kiedy się rozstawali, i plotkujący tłum także zaczął się rozchodzić.

11

Kiedy słońce pojawiło się na bezchmurnym błękitnym niebie, Tissafernes i jego świta wjechali do centrum miasta. Persowi towarzyszyło tak wiele hałaśliwych rogów, bębnów i chorągwi, że jego przejazd wyglądał niemal jak przemarsz orszaku królewskiego. Ludzie na ulicach Sardes zatrzymywali się, aby zobaczyć wielkiego pana ze Wschodu, który zechciał łaskawie przybyć aż do nich.

Usłyszawszy wiwaty tłumów, Cyrus wyszedł na balkon otaczający jego komnaty pałacowe. Przez chwilę widział w oddali sylwetkę Tissafernesa. Pers jechał na siwym koniu, a otaczający go niewolnicy rzucali w tłum srebrne monety. Tymczasem Nieśmiertelni szli obok w strojach, na których trudno byłoby dostrzec ślady walki lub ciężkiej pracy. Cyrus zacisnął szczęki i usłyszał zgrzytanie własnych zębów. Położył dłonie na kamiennej balustradzie i głęboko wciągnął zimne powietrze. Nie miał już cienia wątpliwości, że obserwują go szpiedzy, jednak razem z usługującym mu Parwizem zszedł do stajni, gdzie odgłosy miasta i entuzjastycznego powitania Tissafernesa były przytłumione. Kiedy książę wskoczył na wierzchowca i wygodnie rozparł się w siodle, z zadowoleniem skręcił ze stajni w lewo, zmierzając w kierunku koszar, czyli do części miasta bardzo odległej od tej, w której przebywał teraz Tissafernes.

W tej części Sardes panował nastrój skrajnie odmienny. Strażnicy przy bramie powitali go ukłonami i Cyrus wjechał na cichy dziedziniec koszarowy. Dostrzegł tylko kilku młodych wojowników. Ćwiczyli walkę na

miecze, ale teraz przerwali ćwiczenie i przyglądali się, jak książę zeskakuje z konia. Parwiz wyczuł w powietrzu zagrożenie, jednak przysiągł bronić Cyrusa w każdej sytuacji i popatrzył na młodych wojowników wzrokiem nastroszonego koguta, chociaż każdy z nich – gdyby chciał – mógłby natychmiast odebrać mu miecz.

Cyrus uniósł wysoko głowę, świadomy ich wrogich spojrzeń. Być może naprawdę chcieli go sprowokować wzrokiem i postawą, ale w tej chwili książę przypomniał sobie, co kiedyś rzekł Klearchos: młodzi ludzie to głupcy. Zapewne, jeżeli będą mieli szczęście, dożyją czterdziestych lub pięćdziesiątych urodzin i wtedy zechcą zamienić, przynajmniej na chwilę, całą nabytą mądrość i doświadczenie na chociażby odrobinę dumnej i beztroskiej, dawno minionej młodości.

Wszedłszy do jednego z budynków, Cyrus zatrzymał się, by jego oczy przyzwyczaiły się do półmroku. Ściany bielone były wapnem, przez co zabudowania koszarowe sprawiały wrażenie lekkich i kruchych. Było tu czysto, pachniało słomą i jakąś maścią, którą – wiedział o tym – Grecy stosowali na rany i skaleczenia. Z następnego pomieszczenia dotarł do niego jakiś pomruk i dostrzegł dwóch Spartan, którzy siedzieli przy kamiennym stole. Każdy trzymał w ręce mały kubek, a na stole leżały kostka do gry i sterty miedzianych monet. Żaden z mężczyzn nie wstał na jego widok, ledwie się nim zainteresowali. Cyrus mocno zacisnął prawą pięść. Jakiś impuls nakazał mu zatrzymać się przy nich i pochylić nad stołem.

– Nie zamierzacie już oddawać honoru oficerom? – zapytał. – Co by powiedział na taką bezczelność wasz wódz Klearchos?

Mężczyźni wymienili szybkie spojrzenia i wstali, nagle zapominając o grze. Cyrus szybko odszedł, kiedy się ukłonili, chcąc oddać mu należną cześć.

Zatrzymał się na progu kolejnego pomieszczenia i zobaczył młodą kobietę zszywającą skórę na plecach Klearchosa, która marszczyła się jak płótno. Zdążyła już zaszyć co najmniej dziesięć czarnych ran wyglądających jak długie robaki wpite w ciało żołnierza.

Klearchos odwrócił się i popatrzył na Cyrusa. Ruch sprawił mu ból i syknął przez zęby.

– Myślałem, że Spartanie nie odczuwają bólu – powiedział Cyrus, podszedłszy bliżej.

Wódz odchrząknął i podrapał się po nieogolonym policzku.

– Kto ci to powiedział? Czyżbyś uważał, że jesteśmy niczym kamienie? Oczywiście, że odczuwamy ból. Ale tego nie okazujemy. Przynajmniej naszym wrogom.

Cyrus ucieszył się, że nie został uznany za wroga. Uśmiechnął się, a Klearchos zachichotał, chociaż zamknął przy tym oczy. Sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego.

– Paniea przez całą noc zajmowała się mozaiką na moich plecach. Mam nadzieję, że twój przyjaciel jest usatysfakcjonowany.

– Tissafernes to nie mój przyjaciel – odparł Cyrus poważnym tonem. – Wątpię, czy kiedykolwiek nim był. Posłuchaj, przyszedłem ci podziękować. Nie wiem, czy ten człowiek chciał po prostu mnie zranić, czy też pokazać mi, jaki obecnie jest ważny. Kiedyś był zwykłym nauczycielem książąt. Teraz jest zaufanym człowiekiem wielkiego króla. Moja pozycja obecnie jest mocno niepewna. Ledwie pozwolono mi zachować życie i dotychczasowe zajęcie, nic więcej. Tissafernes chciał, żebym zrozumiał, że wiatr już nie wieje mi w plecy. Gdybyś odmówił…

Cyrus zerknął na młodą kobietę. Milcząca i skoncentrowana zajmowała się Klearchosem. Spartanin pochwycił spojrzenie księcia i potrząsnął głową.

– Paniea jest głucha, Wasza Wysokość. Nie słyszy cię. Ale doskonale posługuje się igłą i nicią.

– Mimo wszystko poderżnę jej gardło – powiedział Cyrus i wyciągnął nóż.

Młoda kobieta nie zareagowała na jego słowa, schował więc nóż z powrotem za pas. Klearchos uniósł ze zdziwieniem brwi, a książę tylko westchnął, zamknął drzwi i przysunął sobie krzesło. Po chwili się odezwał:

– Kupiłeś mi kilka dodatkowych dni, Klearchosie. Ale nie sądzę, żebyśmy mieli do dyspozycji jeszcze rok, którego potrzebujesz. Tissafernes wyjeżdża jutro i nie wiem, jaki raport złoży królowi.

– Spraw, żeby wypadł z pałacowego balkonu – poradził mu Klearchos.

– Zdążył już wysłać z wiadomościami ptaki, które zabrał z Persepolis. To spora odległość, dlatego trudno o pewność, czy dotrą do miejsca przeznaczenia. Zarazem nie mogę być pewien, że nie dotrą. Ponadto nie wiem, jak będzie postępował mój brat, dopóki Tissafernes nie stanie przy nim. Z przyczyn osobistych chciałbym zobaczyć, jak ten stary głupiec spada z dużej wysokości, jednak przydadzą mi się nawet te trzy marne miesiące, które on straci na podróż powrotną do… – Właściwie z przyzwyczajenia Cyrus ugryzł się w język. Na Zachodzie o sercu imperium nikt nigdy nie słyszał, dlatego z pewnym wysiłkiem wymówił w obecności obcego nazwę stolicy, którą władał jego brat. – Do Persepolis. Powinienem być wdzięczny losowi, że Tissafernes nie jest młody. Będzie podróżował bardzo powoli, poruszając się Drogą Królewską.

Kobieta klepnęła Klearchosa w ramię i posługując się gestami i mimiką twarzy, wskazała mu, że powinien położyć się na brzuchu. Cyrus obserwował przez chwilę, jak polewa winem świeże szwy i oczyszcza nici z zakrzepłej krwi. Następnie wzięła kawałek materiału, przyłożyła go do czarnych ściegów i poklepywała Spartanina jak ukochanego pieska.

Klearchos uśmiechnął się do niej, a Cyrusowi przyszło do głowy pytanie, czy dziewczyna i wódz są kochankami. Wiedział, że wśród Spartan podobne związki są powszechne, że wyróżniają oni przynajmniej kilka różnych rodzajów miłości. Pod tym względem bardzo się różnili od Persów, dla których sprawy obyczajowe w dużej mierze stanowiły tabu. Wiele z nich Cyrus wyssał już z mlekiem matki.

Powstawszy, Klearchos znów wyglądał jak przywódca Spartan. Sprawdził, jak szeroko może poruszać rękami, po czym skinął na Panieę i podał jej złotą darejkę.

– Bardzo dobrze – powiedział do niej.

Kobieta zdawała się uradowana i nisko się ukłoniła. Zarówno Cyrus, jak i Klearchos skorzystali z okazji i zerknęli na jej piersi widoczne przez chwilę w tej pozycji.

Kiedy zostali sami, Cyrus także wstał.

– Tissafernes jest moim wrogiem – powiedział. – Jeśli nawet nie byłem tego pewien wcześniej, teraz jestem. Nieważne, do jakich doszedł wniosków, nawet jeśli nie ma pojęcia o moich planach, i tak będzie sączył jad do ucha mojego brata. Będzie mówił, że trzeba mnie wymienić na innego dowódcę, najlepiej na niego samego albo któregoś z jego faworytów.

– Twój wybór zatem jest prosty – odparł Klearchos. – Możesz to wszystko rzucić i rozpocząć prostsze życie, w Atenach albo na Krecie, albo, powiedzmy, w jakimś innym miejscu, do którego nie docierają wpływy perskie. Możesz też policzyć siły, które już zebrałeś, i wcześniej rozpocząć kampanię. Jeśli masz rację co do Tissafernesa i jeśli chcesz kontynuować to, co rozpocząłeś, musisz zintensyfikować szkolenie swoich ludzi. Twój brat dysponuje ogromnymi siłami, Cyrusie. Jestem przekonany, że możemy

go pokonać, wolałbym jednak, żeby nie wiedział z wyprzedzeniem, że nadchodzimy. Zaskoczenie jest warte tyle co dziesięć tysięcy żołnierzy.

Cyrus na długą chwilę się zamyślił. Kiedy podniósł głowę, w jego oczach błysnęło zniecierpliwienie. Klearchos właściwie nie musiał go pytać, jaką podjął decyzję.

– Mój ojciec nie był najstarszym synem, mówiłem ci?

– Owszem, chyba o tym wspomniałeś. Jeśli pamiętam, przynajmniej trzykrotnie.

– Nie był nawet drugim synem swojego ojca. Ten drugi syn zabił pierwszego, po czym mój ojciec wystąpił z tłumu z mieczem w ręku, szukając zemsty. Tego tylko pragnę, wodzu. Sprawiedliwości i zemsty. I tronu. To chyba nie za wiele?

– Doskonale, Wasza Wysokość. Rozkażę, aby każdy łucznik i każdy sokolnik, których zgromadziliśmy wokół Sardes, był gotowy strącić z nieba ptaka, który mógłby nieść wiadomość od szpiegów Tissafernesa. Każę przeszukać w mieście wszystkie pomieszczenia w poszukiwaniu klatek tych ptaków. I przez cały czas będę szkolił oddziały, które zebraliśmy w twoim imieniu. Zarówno Greków, jak i Persów, przedstawicieli wszystkich greckich miast, ludzi z Lidii i Egiptu, którzy wsiądą na okręty, żeby do ciebie dołączyć. – Wódz nagle zamilkł i jakiś cień przemknął po jego twarzy.

– Co się stało? – zapytał Cyrus.

Klearchos pokręcił głową.

– Wierzę ci, kiedy twierdzisz, że ludzie, których znasz od dawna, ufają ci. Widziałem dość, aby mieć pewność, że się nie mylisz. Oddadzą życie za ciebie, ponieważ ich o to poprosisz, ale też ze względu na to, kim jesteś. Dowodzisz nimi częściowo dlatego, że jesteś perskim księciem, zaufanym synem swojej rodziny. – Umilkł i wziął głęboki oddech. – Kiedy takich

ludzi poprosisz, żeby stanęli przeciwko samemu tronowi, część z nich się zbuntuje. Nie miej co do tego wątpliwości. Mogę podjąć działania, abyśmy na taki moment byli gotowi. Mogę nasycić oddziały oficerami, którym ufam, a którzy przysięgną ci osobistą wierność. Mogę nawet rozgłosić opowieść o tym, jak twój ojciec odebrał tron starszemu bratu. Ale nadejdzie dzień, kiedy żołnierze zrozumieją, że Pizydzi i górskie plemiona mało nas obchodzą, że ich wrogiem ma być różany tron i sam król Artakserkses dowodzący wielkimi zastępami ich rodaków. A wtedy przegramy wszystko, zanim pierwsza strzała pofrunie w powietrze, zanim zostanie obnażony pierwszy miecz. Tego musimy się obawiać, Wasza Wysokość. Proponuję, żebyś jeszcze raz poważnie się zastanowił nad osiedleniem się w jakimś miłym miejscu, gdzie będziesz hodował konie i wychowywał synów. Powiem wprost, nie byłoby to dla ciebie wcale najgorszym rozwiązaniem. Wielu mężczyzn nie zawahałoby się przed wstąpieniem na ścieżkę prowadzącą do pokoju.

Cyrus uśmiechnął się ze smutkiem. Izba o białych ścianach początkowo wydawała mu się chłodna, ale po zamknięciu drzwi zrobiło się tutaj gorąco.

– Nie jestem jak wielu mężczyzn, wodzu. Jestem księciem z dynastii Achemenidów. I, co ważniejsze, uznałem, że mój starszy brat, człowiek o naturze zdrajcy, nie jest godny zasiadać na tronie. Przez całe życie byłem wobec niego lojalny. Ale już dość. Strącę go z piedestału. To ja jestem prawowitym królem. Tak postanowiłem.

– Bardzo dobrze, Wasza Wysokość – odparł Klearchos. – Zatem przygotuję twoje armie.

* * *

Tissafernes rozsiadł się wygodnie w prywatnym gabinecie najbogatszego lichwiarza w Sardes. Po obu stronach stanęli przy nim żołnierze słusznej postury. Stary człowiek obciągnął szatę na kolanach, żeby się nie pogniotła.

Mężczyzna, który zasiadł naprzeciwko niego, był – dzięki małżeństwu – dalekim krewnym rodziny królewskiej. Tissafernes nigdy dotąd nie spotkał Dżamszyda osobiście, jednak nie miał wątpliwości, że doskonale zna ludzi tego typu. Dżamszyd wykorzystał swoje relacje z tronem do zbudowania imperium handlowego rozpościerającego się od Indii aż po Egipt. Ciesząc się zaufaniem korony, zgromadził ogromną fortunę, zarabiając krocie na państwowych kontraktach. Od statków ze zbożem po złote monety, część dochodu z każdego zlecenia przylepiała się do jego paluchów. Przekroczywszy sześćdziesiąty rok życia, Dżamszyd już dość rzadko osobiście zawiadywał interesami. Zazwyczaj pozostawiał decyzje w rękach jednego z sześciu synów i bratanków, jednak kiedy dotarły do niego wieści, że jego biuro odwiedzi Tissafernes, pognał przez całe miasto, żeby osobiście podjąć gościa, który przemawiał językiem króla.

Na stole pomiędzy nimi leżała królewska pieczęć, przyciągając ludzkie spojrzenia i światło, przez co można było odnieść wrażenie, że płonie. Na jej rączkę składała się rzeźba dostojnika na koniu oraz orła symbolizującego panującą dynastię. Gdyby ktoś miał wątpliwości, obecność Nieśmiertelnych z Persepolis była wystarczającym dowodem, że człowiek dysponujący tą pieczęcią cieszy się zaufaniem króla. Dżamszyd z trudem powstrzymywał ekscytację, rozważając, jak wielki interes musi się wiązać z jego przyjazdem do Sardes. Musiał odczekać, aż służący przyniosą wino dla Tissafernesa i szklany puchar z gorącym płynem dla niego. Zapach tego napoju natychmiast wypełnił całe biuro.

Tissafernes przyjął napełniony kielich, po czym podał go komuś ze swojej świty, aby upił łyk. Kupiec udał, że tego nie zauważa, chociaż

przyjął ten gest z urazą, bolesną jak użądlenie osy. Doskonale wiedział, że ma do czynienia z człowiekiem, który zarządził wychłostanie wodza Spartan – całe miasto wciąż żyło tym wydarzeniem. Odnosił wrażenie, że Pers jest taką groźną osą.

Chcąc ukryć skrępowanie, Dżamszyd wskazał na swoje parujące naczynie.

– Zioła dla mojego układu trawiennego, który ostatnio spisuje się bardzo źle. Paczka leczniczych liści przyjechała do mnie z chińskiej prowincji Junnan, razem z czterdziestoma belami czerwonego jedwabiu tak pięknego, że na pewno ucieszyłby oko samego króla.

– Jesteś bardzo szczodry, Dżamszydzie – odparł Tissafernes łagodnym głosem. Uśmiechnął się, gdyż kupiec nie zdołał ukryć zaskoczenia przyjęciem prezentu, którego on jeszcze wcale nie zaoferował. – Jego Wysokość król Artakserkses będzie zachwycony twoim darem.

– Naturalnie – zgodził się Dżamszyd.

Rzeczywiście osa ze straszliwym żądłem. Kupiec upił łyk naparu i syknął głośno, ponieważ napój był bardzo gorący. Patrzył, jak Tissafernes osusza kielich z winem i każe go uzupełnić z tego samego dzbana. Następnie mężczyźni siedzieli przez chwilę w milczeniu i z uśmiechami na ustach obserwowali się uważnie nawzajem.

– Dochodzą do mnie plotki z miejskiego rynku, że jutro wyruszasz w drogę powrotną na Wschód – odezwał się w końcu Dżamszyd.

Tissafernes skinął głową.

– Rynek w swojej mądrości… rzadko się myli.

– Miałem nadzieję, że zaszczycisz mnie odwiedzinami znacznie wcześniej, szanowny Tissafernesie. Tymczasem przyjmij jednak moje zapewnienie, że możliwość dbania o sprawy króla Artakserksesa jest prawdziwą przyjemnością. Księgi są prowadzone poprawnie do ostatniej

cyferki, a zobowiązania i odsetki zawsze spłacane w terminie. Po śmierci jego ukochanego ojca, niech panuje w niebiosach przez tysiąc lat, ze szczególną starannością dopilnowałem, aby wszystko było w porządku.

– Te długi… – powiedział Tissafernes, drapiąc się po fałdach podbródka. – Rozumiem, że przez minione miesiące wysupłałeś mnóstwo złota i srebra dla księcia Cyrusa. Zresztą trudno znaleźć tutaj człowieka interesu lub lichwiarza, który by tego dotąd nie uczynił.

Tissafernes patrzył, jak z twarzy kupca odpływa krew i jednocześnie znikają jego chytrość i pewność siebie. Takiemu człowiekowi trzeba zaledwie delikatnej aluzji, aby szybko wziął nogi za pas i uciekł w siną dal razem ze wszystkimi swoimi niewolnikami i workami pieniędzy.

– Mój panie, jeśli dysponujesz wiadomościami, które powinienem usłyszeć, bardzo cię proszę, wyrażaj się jasno – odparł Dżamszyd. Mówił tak szybko i nerwowo, że jego słowa były prawie niezrozumiałe. – Od… oddałem niemal dziewięćdziesiąt tysięcy darejek z wizerunkiem łucznika, pochodzących z mojego osobistego majątku, Jego Wysokości księciu Cyrusowi. Każdemu innemu bym odmówił, ale książę jest naczelnym dowódcą armii perskiej. Jego kredyt nie ma limitu. Wszystkie jego zobowiązania w przeszłości były honorowane, wszystkie! Proszę cię, powiedz, usłyszałeś coś, co powinno mnie zaniepokoić? Zyskasz wdzięczność mojego domu i wszystkich pożyczkodawców w Sardes.

Tissafernes rozparł się na krześle i upił łyk wina.

– Dynastia Achemenidów oczywiście honoruje swoje dawne długi – powiedział. – Jednak obecnie sytuacja może ulec zmianie. Pozycje różnych ludzi, zapewne także książąt, umacniają się i słabną. Taka jest po prostu kolej rzeczy, tak jak dni bywają dłuższe i krótsze i jak ludzie z upływem czasu się starzeją. – Tissafernes ujrzał zaskoczenie na twarzy Dżamszyda i westchnął teatralnie. – Jeżeli mam być szczery, powiem ci, że są ludzie,

którzy uważają, że książę Cyrus zanadto opiera się na greckich najemnikach kosztem naszych perskich żołnierzy. Król nie zamierza w dalszym ciągu wydawać ogromnych kwot, które trafiają przecież do szkatuł w greckich miastach. Czy Grecy są naszymi niewolnikami, a może naszymi dobrymi klientami? Nie. Dlaczego więc mamy wpychać im złoto do ust? Moja rada, Dżamszydzie, a w istocie także rada dla braci w twojej profesji, jest taka, że nie powinniście prowadzić interesów, nad którymi zaraz stracicie kontrolę. Dość. I tak już powiedziałem za dużo.

Kupiec nerwowo zamrugał. Powoli wstał, pochylił się nad stołem i w końcu dotknął czołem lśniącego drewna. Tissafernes dostrzegł, że mężczyzna drży.

– Dziękuję ci, panie, dziękuję, Tissafernesie. Dziękuję za ostrzeżenie. Jesteś przyjacielem mojego domu. Tysiąckrotne dzięki.

– Od dawna lojalnie wspierasz koronę, Dżamszydzie. – Pers szerokim ruchem zgarnął ze stołu królewską pieczęć. – W zamian za twoją służbę i za twoje milczenie możesz odcisnąć w gipsie tę pieczęć i powiesić na drzwiach. Wszyscy będą odtąd wiedzieli, że twoim patronem jest król Artakserkses, a twoje przedsięwzięcia błogosławi dwór królewski.

Tissafernes wyszedł, pozostawiając mężczyznę i jego ludzi we łzach, rozpostartych na podłodze i wyrażających swoją wdzięczność uderzeniami otwartych dłoni w posadzkę. Następnie odwiedził jeszcze jednego lichwiarza; wiedział, że Dżamszyd nie ostrzeże go przed konsekwencjami dalszego wspierania Cyrusa, ponieważ wzajemnie się nienawidzili. Wszyscy inni lichwiarze i kupcy mieli usłyszeć tę informację jeszcze przed zachodem słońca. Tissafernes żałował jedynie, że nie będzie go w Sardes, kiedy pierwsi pożyczkodawcy zażądają od Cyrusa spłaty długów, kiedy pierwsi kupcy odmówią wysłania jego żołnierzom wozów z żywnością.

Najemnikom nie można nie płacić. Minie niewiele czasu i książę Cyrus będzie musiał odesłać Greków w siną dal.

Tissafernes śmiał się, kiedy wsiadał na konia z pomocą służącego, który aż jęknął pod ciężarem jego pośladków. Jednym mistrzowskim posunięciem rozwiązał problem księcia Cyrusa. Zasygnalizował królewską dezaprobatę, unikając otwartego konfliktu. Gdy Cyrus dowie się, że skończyło się dla niego złoto w perskim skarbcu, będzie musiał wrócić na dwór swojego brata i wtedy się przekona, jaki jest jego nowy status. Skończą się popisy arogancji i drwiące komentarze z ust młodszego brata. Tissafernes był rozpromieniony, gdy wreszcie rozsiadł się w siodle swojego wierzchowca i z jego wysokości obserwował, jak królewscy Nieśmiertelni formują szpaler. Taksował ich uważnym wzrokiem. Reprezentowali przecież tron królewski, podobnie jak on.

– Wracamy do domu! – zawołał i z zadowoleniem potrząsnął głową.

Wyobraził sobie, jak zdaje królowi relację z podróży. Istniało wiele sposobów wymuszenia posłuszeństwa na krnąbrnym księciu.

* * *

Wieczorem po wyjeździe Tissafernesa Cyrus wszedł do jadeitowej jadalni w pałacu, gdzie z posępnymi minami czekało już na niego kilku mężczyzn. Dobrze znał Proksenosa i Netosa Stymfalijczyka. Byli tu też Klearchos i Parwiz, który przyciskał do piersi prostokątny kawałek cienkiej skóry i bujał się na krześle. Tesalczyk Menon był jednym z żołnierzy, których Cyrus zwerbował w minionych miesiącach, i mężczyzną bardzo lubiącym zadawać mu pytania. Jednak Menon przyprowadził ze sobą tysiąc greckich hoplitów i, jakby na dobry początek, osiemdziesięciu peltastów z włóczniami. Młodzi włócznicy, nienoszący zbroi i chroniący ciało jedynie

małymi tarczami, byli niezwykle sprawni i bardzo szybko biegali. Cyrus ucieszył się z ich pozyskania, wiedząc, że dobry oddział peltastów potrafi odeprzeć gwałtowną szarżę wroga.

O ile było księciu wiadomo, ani Menon, ani Sosis z Syrakuz, który siedział obok niego, nie mieli pojęcia o prawdziwym celu jego kampanii. Po prostu zgromadzili i szkolili ludzi w zamian za srebro i złoto. Przyszło mu do głowy, że tego roku pod jego rozkazami znaleźli się wszyscy greccy wodzowie i wyżsi oficerowie.

Jego wzrok padł na dwóch Persów siedzących przy stole. Obaj czuli się raczej nieswojo w otoczeniu Greków, którzy niemal na pewno głośno rozmawiali ze sobą po grecku, zanim pojawił się książę. Najstarszym dowódcą perskich sił był Orontas, któremu Cyrus zaproponował dowództwo nad Persami zaledwie kilka miesięcy temu. Chociaż skórę miał ciemniejszą niż pozostali i był raczej szczupłej budowy ciała, to gdyby liczby cokolwiek znaczyły, Orontas powinien być w tym gronie najważniejszym z dowódców – pod jego bezpośrednią władzą znajdowało się znacznie więcej ludzi niż pod władzą Greków. Cyrus zdawał sobie jednak sprawę, że stan faktyczny jest nieco inny. Niepozorny Orontas zasiadł przy stole w pewnej odległości od pozostałych, dlatego to Klearchos subtelnie dominował w tym gronie.

Inny Pers, Ariajos, był postacią frapującą. Cyrus poznał go jako jeźdźca o nadzwyczajnych umiejętnościach. Drugi człowiek w hierarchii perskich dowódców był wybitnym wodzem. Cyrus chętniej rozmawiał z nim niż z posępnym Orontasem. Ariajos miał długie włosy opadające na ramiona i był równie dobrze zbudowany jak Spartanie – miał szerokie barki i mocne nogi. Mawiano, że lubi towarzystwo młodych mężczyzn i że wieczorami pisuje wiersze sławiące ich urodę. Grecy bez wątpienia przedkładali jego towarzystwo nad kompanię Orontasa. Miał jednak dopiero trzydzieści lat,

a jego rodzina plasowała się w hierarchii społecznej niżej od rodziny starszego dowódcy. Preferencje księcia niewiele więc znaczyły i to Orontas był najważniejszym perskim oficerem.

Kiedy Cyrus wszedł do jadalni, wszyscy wstali. Grecy skłonili głowy. Ariajos uczynił to samo, jakby w takim powitaniu nie było nic nadzwyczajnego. Orontas dostrzegł ruch kolegi kątem oka w chwili, gdy chwytał dłonią kant stołu, przygotowując się do padnięcia na podłogę. Cyrus z rezygnacją zaobserwował, jak Orontas się zawahał i po prostu wykonał ukłon głębszy niż pozostali oficerowie. Po chwili książę nakazał ruchem ręki, aby wszyscy usiedli. Zwyczaje Greków rozprzestrzeniały się w szeregach Persów jak choroba. Z drugiej strony, skoro wszyscy żołnierze będą musieli wykazywać na polu walki taką samą odwagę, Cyrus nie widział powodu, aby na różne sposoby oddawali mu honory.

Wniesiono na tacach gorące jedzenie, a pod ścianami ustawili się w rzędach służący. Wszyscy oficerowie byli głodni, jednak książę zorientował się, że wymieniają między sobą spojrzenia, jakby rozważali, w jaki sposób przekazać mu nieprzyjemną wiadomość. Służący księcia, Parwiz, miał oczy pełne łez.

– Dość tej ciszy, dość tych ostrożnych spojrzeń! – zarządził Cyrus. – Co się dzieje? Niech ktoś powie!

– Wydaje się, że dostojny Tissafernes zostawił nam podarunek na pożegnanie – odezwał się Klearchos. – Odcięto cię od finansów. W tej chwili nikt w Sardes nie chce nam pożyczyć nawet srebrnej drachmy. A przecież dysponujesz dwunastoma tysiącami najemnych żołnierzy, których musisz opłacać pierwszego dnia każdego miesiąca. Najbliższy termin przypada za osiem dni.

– A dla pozostałych nie mamy dość jedzenia – powiedział Parwiz, unosząc skórzaną płachtę z zapiskami, jakby się spodziewał, że Cyrus zdoła

odczytać ponad stołem widniejące na niej kolumny cyfr. – Fundusze, którymi dysponujemy, pozwolą nam funkcjonować jak do tej pory jeszcze mniej więcej tydzień, jednak jeśli nie wypłacimy należności najemnikom, umowy z nimi staną się nieważne. A jeśli nie dostarczymy jedzenia, ludzie będą głodować. Orontas przygotował zapotrzebowanie na ziarno i mięso dla osiemdziesięciu tysięcy żołnierzy szkolących się do walki. To… to jest niemożliwe. Wasza Wysokość, nie damy rady zapłacić rachunków za zaopatrzenie. Rozeszły się już plotki i w Sardes nie znajdziemy hodowcy bydła ani sprzedawcy owoców, który udzieliłby nam kolejnego kredytu choćby na jeden dzień.

Cyrus wziął do ręki nóż i zaczął dźgać ostrzem kęsy jedzenia na talerzu. Po chwili rzucił nóż na stół i zerwał się na równe nogi.

– Tissafernes wyjechał dzisiaj nad ranem. Być może wszyscy pożyczkodawcy w Sardes odwrócili się od nas, ale w jakim tempie rozchodzą się wiadomości? Czy mogę je wyprzedzić? W Byzantion wciąż jest złoto, w odległości czterech dni intensywnej podróży na północ. Moje imię i moja pieczęć będą tam honorowane. Ile złota potrzebujemy?

Mężczyźni przy stole popatrzyli na niego dziwnie. Pierwszy odezwał się Orontas:

– Wasza Wysokość, jeżeli obciążysz koronę nowymi długami, nie będą one już honorowane. Nie tylko uczynisz nędzarzami tych, którzy udzielą ci pożyczek w Byzantion, ale zarazem zniszczysz reputację rodziny królewskiej! Proszę cię! Musi istnieć jakiś inny sposób.

Słuchając swojego dowódcy, Cyrus przymrużył oczy. Potrząsnął głową, przypomniawszy sobie, że Orontas nie zna prawdziwego powodu jego poczynań i nie rozumie, z jakimi zagrożeniami będzie musiał się zmierzyć. Mimo wszystko trudno mu było zachować wobec niego uprzejmość.

– Orontasie, Tissafernes znacznie nadużył zaufania, jakim obdarzył go mój brat, król Artakserkses. Pomijając kwestię środków i sposobów, muszę zdobyć złoto, aby zapłacić moim ludziom. Wielką hańbą bym się okrył, gdybym rozpuścił armię najemników, aby rozniosła po świecie wiadomość, że Persja nie jest w stanie spłacać swoich zobowiązań! Nie. Aby zrealizować to, co zamierzam, potrzebuję… – umilkł, żeby się zastanowić – jeszcze dziewięćdziesięciu tysięcy darejek. A właściwie dwa razy więcej, jeśli tylko zdołam zgromadzić taką sumę. Dałaby mi ona pewną swobodę oraz dość czasu, abym mógł przemówić do rozsądku mojemu bratu i rozwiązać problem. Rozumiesz?

Pers przemyślał swoją wcześniejszą decyzję, żeby się księciu jedynie ukłonić, dlatego teraz odszedł od stołu i rzucił się na posadzkę u stóp Cyrusa. Ariajos obserwował go z rozbawieniem.

– Nie wiedziałem, mój panie, przepraszam. Teraz rozumiem i będę wiernie ci służył.

– Za co jestem ci bardzo wdzięczny – odparł Cyrus cierpko, świadom, że Grecy uważnie przypatrują się całej scenie. – Klearchosie! Będzie mi potrzebna oficjalna straż przyboczna. Nie mogę sam chodzić po domach handlarzy w Byzantion. Ze względu na twoje plecy nie mogę prosić…

– Plecy zagoją się w czasie podróży, Wasza Wysokość – powiedział Klearchos głośno. – Za nic w świecie z niej nie zrezygnuję.

– Dobrze. Zorganizuj dziesięciu swoich ludzi. Parwizie, ty także pojedziesz z nami. Biegnij do stajni pałacowych i przygotuj konie. Jeżeli wiadomość o naszej niewypłacalności już jest w drodze, musimy ją wyprzedzić, w przeciwnym wypadku wszystko stracimy.

– Wasza Wysokość, mógłbym ci towarzyszyć? – zapytał Orontas przytłumionym głosem.

Cyrus popatrzył na niego i pokręcił głową.

– Nie. Zabiorę ze sobą Ariajosa. Ty natomiast przygotujesz swoich ludzi, żeby byli gotowi do drogi, kiedy tylko wrócę.

Twarz młodego Persa pojaśniała, kiedy usłyszał te słowa. Spojrzał z politowaniem na Orontasa, co Cyrus natychmiast zauważył. Pominął to milczeniem, jednak w tej chwili miał swoich oficerów serdecznie dosyć. Część z nich bardziej emocjonowała się głupawą wzajemną rywalizacją niż służbą dla księcia.

12

Trudy czterech dni niemal bezustannej jazdy odcisnęły piętno na wszystkich, jednak najbardziej na Klearchosie. Legendarna wytrzymałość Spartan nie miała tu nic do rzeczy. Szwy na jego plecach zaczęły się rozchodzić już po kilku milach spędzonych na grzbiecie wierzchowca, którego nie lubił i którego nie całkiem potrafił kontrolować. Pod koniec każdego dnia na polecenie Cyrusa zajeżdżali do przydrożnej gospody i tam ludzie wraz z końmi czekali, aż we wczesnych godzinach porannych dołączy do nich Klearchos. Duma i odpowiedzialność nie pozwalały Cyrusowi ruszać w dalszą drogę, dopóki ponownie nie zobaczył Klearchosa. Każdego dnia oczekiwanie było dłuższe, a Spartanin coraz bledszy. Jego plecy obficie krwawiły mimo opatrunków, jednak ani słowem nie narzekał, nawet nad ranem, kiedy ból był najgorszy.

Małej grupki nie niepokoili ani złodzieje, ani strażnicy w Byzantion. Cyrusa martwiła każda stracona godzina i gotów był pojechać prosto do najbogatszego handlarza w mieście. Wszyscy byli więc zaskoczeni, kiedy Parwiz już w murach miasta niespodziewanie wyciągnął ręce, złapał wodze konia, na którym jechał jego pan, i zmusił zwierzę do zatrzymania się. Gdy książę spojrzał na niego ze zdumieniem, Parwiz odrzucił wodze i ukłonił mu się w siodle tak nisko, że niemal spadł na ziemię. Przemówił jednak:

– Wasza Wysokość, jesteś pokryty kurzem i brudem. Wybacz mi, ale… bije od ciebie desperacja, każdemu rzuca się w oczy. Wybacz moją śmiałość, ale dotarłeś już bardzo daleko i osiągnąłeś bardzo wiele. Nie

chciałbym, żebyś wszystko stracił przez lekkomyślność. Proszę cię, panie. Twój ojciec utrzymuje… utrzymywał w tym mieście piękną posiadłość. Tam możesz się wykąpać i przebrać w szaty bardziej odpowiednie dla twojej pozycji i pochodzenia.

– A jeśli wiadomości z Sardes miną mnie, kiedy będę się kąpał? – mruknął Cyrus. – Cała nasza szaleńcza wyprawa pójdzie na marne.

Służący mógł jedynie skłonić głowę. Książę zebrał wodze i przesunął kciukiem po ozdobnym szwie na rzemieniu.

– Przepraszam cię, Parwizie. Oczywiście masz rację. Jednak musimy się pośpieszyć z tą kąpielą.

Niecałe dwie godziny później książę zeskakiwał z wierzchowca przed miejską rezydencją handlarza Szastera, przyodziany w piękny płaszcz z grubego materiału i jedwabną tunikę. Dokładnie zmył z siebie brud i kurz po długiej podróży. Przygotowując się do wizyty, posłał Parwiza, aby obwieścił, że wkrótce przybędzie, zatem bramę otwarto mu natychmiast, kiedy się pojawił. W głębi duszy książę był zadowolony, że znalazł czas na przebranie się. Ruszył wyprostowany jak struna, mając przypiętą do pasa piękną pochwę z mieczem, wysadzaną drogimi kamieniami; sama pochwa warta była pięć tysięcy darejek. Taka prezencja miała istotne znaczenie.

Cyrus wielokrotnie słyszał imię Szastera, jednak nigdy dotąd nie spotkał go osobiście. Spośród wszystkich kupców i lichwiarzy z Byzantion właśnie on miał największe szanse przeżyć stratę, jaką poniósłby, gdyby korona postanowiła nie honorować udzielonej Cyrusowi pożyczki. Mawiano, że jest równie bogaty jak Krezus, stary król Lidii.

Cyrus rozpromienił się i wyciągnął przed siebie ręce, kiedy ujrzał pana domu. Zrobił szybki krok do przodu, uniemożliwiając mu padnięcie przed nim na twarz, zanim kolano Szastera zdążyło dotknąć posadzki.

– Proszę cię, szanowny panie, jestem twoim gościem. Gościem, którego różany tron przysyła do ciebie z pilną sprawą. Jestem wdzięczny losowi, że przejeżdżając przez miasto, zastałem cię na miejscu. Byzantion jest klejnotem Zachodu. Nie chciałbym załatwiać mojej sprawy w Sardes.

Wypowiadając nazwę miasta, które niedawno opuścił, uważnie obserwował twarz Szastera. Razem z Klearchosem uzgodnili, w jaki sposób poprowadzą rozmowę, aby móc szybko ocenić reakcje kupca. Teraz mężczyzna pocałował księcia w rękę, przyciskając usta do jego knykci. Cyrus wątpił, czy od dnia, gdy zaczęła rosnąć mu broda, kiedykolwiek ją przycinał. Niemal całkowicie zasłaniała twarz Szastera, poza nosem, czołem i oczami. Była niezwykle długa, także za sprawą wielu wplecionych w nią amuletów oraz drogocennych kamieni, które ją obciążały. Kiedy mężczyzna poruszał głową, cicho grzechotały.

– To dla mnie zaszczyt, Wasza Wysokość. Od wielu, wielu lat żywiłem nadzieję, że w końcu cię spotkam. Moja żona będzie zachwycona, kiedy powiem jej, że przybyłeś do mnie, do nas, z pominięciem wszystkich innych godnych osób.

Cyrusa ogarnęło poczucie winy, kiedy przypomniał sobie słowa Orontasa. Trudno mu było patrzeć w oczy człowiekowi, którego zamierzał zrujnować, zmusił się jednak do jeszcze szerszego uśmiechu. Jego misja była słuszna. Kiedy zostanie królem, zaprowadzi sprawiedliwość. Ta myśl uspokoiła go, trochę pomogła uśmierzyć poczucie winy wciąż kołaczące mu się w sercu.

– Jest mi niezmiernie przykro, że nie zostanę dłużej, aby się spotkać z twoją rodziną, jednak dotarły do mnie wieści o wielkiej rebelii w Tracji. Dowodzę dwunastoma tysiącami najemnych żołnierzy, najlepszych w całej Grecji. Takim ludziom trzeba płacić. Mój brat, król Artakserkses, oczywiście spłaci długi. Przyrzekam na mój pierścień. Czy dysponujesz

w tej chwili dziewięćdziesięcioma tysiącami darejek? Mam ze sobą ludzi, którzy zdołają wynieść pieniądze w kufrach.

Ku zaniepokojeniu księcia Szaster zaczął błądzić palcami w gęstwinie swojej brody, wyraźnie przygnębiony. Rzuciłby się przed nim natychmiast na podłogę, gdyby Cyrus nie przytrzymał go za ramię.

– Wasza Wysokość, bardzo cię przepraszam, ale to ogromna kwota! Mam w domu trzydzieści tysięcy w złocie, to moje osobiste oszczędności. Jeżeli dasz mi ze dwa dni, każę dostarczyć resztę tam, gdzie kwaterujesz, albo bezpośrednio do twoich żołnierzy, gdy będą już w marszu. Panie, jest mi bardzo przykro. Gdybyś tylko zechciał mnie uprzedzić, przygotowałbym dla ciebie pieniądze na dzisiaj.

Cyrus starał się nie okazać frustracji. Poklepał starego człowieka po ramieniu.

– Nic się nie stało. Trzydzieści tysięcy to też duży pieniądz. Przynieś wosk i rysik. Podpiszę zobowiązanie na użytek twoich ksiąg rachunkowych.

– Tak, Wasza Wysokość, oczywiście. Jest mi ogromnie przykro…

– Jestem już spóźniony – napomniał go książę.

Kupiec wybiegł z pokoju, jakby ktoś rozpalił pod nim ogień, całkiem nieświadomy, że właśnie uniknął bankructwa.

Trzydzieści tysięcy monet wymagało trzydziestu dwukółek, które opuściły miasto o wschodzie słońca w eskorcie Spartan na końskich grzbietach. Cztery kolejne, niepotrzebne, porzucono przy drodze. Mała grupa żołnierzy podporządkowała się nastrojowi Cyrusa, który wprost kipiał ze złości. Właściwie nie wiedział, czy jego złość wynika z wymuszonego kłamstwa, czy z tego, że zaciągnął kredyt, którego nie będzie w stanie spłacić. A może z faktu, że dzięki swojemu kłamstwu uzyskał zaledwie trzecią część środków, jakie były mu potrzebne?

Kiedy kolejnego dnia słońce wzniosło się nad horyzontem, na drodze od strony Sardes ukazał się samotny jeździec. W tej części imperium panował spokój i było bezpiecznie, jednak mężczyzna nieufnie popatrzył na gromadę uzbrojonych mężczyzn. Dostrzegł ich ze sporej odległości i na wszelki wypadek objechał szerokim łukiem. Z kolei Klearchos i Spartanie przez długi czas wpatrywali się w jego skórzaną sakwę i zastanawiali, jaką zawiera wiadomość.

– Mamy go pojmać? – zapytał księcia Spartanin.

– Nie. Niech podróżuje bez przeszkód – odparł Cyrus przez ramię. – Wieści, które niesie, nie mają już znaczenia. Moje przekleństwo stało się faktem.

* * *

Przez następne dni oddziały, zarówno greckie, jak i perskie, zbierały się w Sardes. Równiny wokół miasta tysiącami upstrzyły namioty, ogniska i doły na fekalia. Zadeptano zielone pola dojrzewającej pszenicy i jęczmienia, niwecząc wszelkie perspektywy na tegoroczne udane zbiory. Hoplici dotarli do wybrzeża w wielkich łodziach wiosłowych, a świeże oddziały perskiej piechoty przybyły z posterunków pustynnych; towarzyszący im oficerowie witali się z Cyrusem w atmosferze podziwu i radości. Ich spotkania z dowódcą i pierwszym żołnierzem imperium zazwyczaj trwały krótko, gdyż musieli ustępować miejsca dowódcom kolejnych zastępów przybywających na miejsce zbiórki. Książę pilnował, aby wewnętrzny krąg osób mających do niego dostęp był tak ograniczony, jak to tylko możliwe, chociaż Klearchos ostrzegł go, że trudno już ukrywać cel zgromadzenia w jednym miejscu tak ogromnej armii uzbrojonych ludzi. Każdy, kto miał oczy, widział, że dla takiego wojska żadne górskie

plemiona tego świata nie będą przeciwnikiem. Państwa wygrywały lub przegrywały wojny, dysponując znacznie mniejszymi siłami niż te, które rosły dookoła Sardes.

Każdej nocy Cyrus zasypiał na kilka godzin. Kompletnie wycieńczony padał na łóżko polowe, by wstać natychmiast, gdy Parwiz dotykał jego ramienia. Wieczorami książę przyjmował perskich oficerów, zapraszając ich w grupach po dziesięć osób, aby poznawać panujące wśród nich nastroje. W tych wieczornych biesiadach towarzyszyli mu Klearchos, Proksenos i Netos Stymfalijczyk, którzy obserwowali swoich perskich kolegów uważnie, chociaż z zakłopotaniem. Pewnych pytań trudno było podczas takich wieczorów nie zadać, ale słysząc je, Cyrus za każdym razem coraz bardziej tracił cierpliwość. Nie, nie zamierza najechać wolnych miast greckich. Nie, nie powie, z jakim wrogiem wkrótce przyjdzie się im zmierzyć, poinformuje wszystkich o tym w odpowiednim momencie.

Klearchos wyleczył rany, smarując je gęsim tłuszczem i tak długo przykładając mokry chleb do ramienia w miejscu, w którym jedna z ran się zaogniła, dopóki nie wydobył z ciała całej zalegającej w nim trucizny. Proponował niektórym Persom, że pokaże im swoje blizny, jednak oni odnosili się do tych propozycji z najwyższą niechęcią, zakłopotani otwartością dziwnego greckiego wodza. I to Klearchos każdego wieczoru pozostawał przy Cyrusie aż do końca, gdy wszyscy inni goście dawno już się rozchodzili. A ponieważ i inni Grecy nie opuszczali pałacu, dopóki gospodarz nie zdecydował się udać na spoczynek, zaraz po wspólnej biesiadzie z oficerami, gdy gwar w pałacu cichł, a służący szli spać, książę zwoływał swoich najbardziej zaufanych ludzi w jakimś mniejszym pomieszczeniu.

– Z nami czy nie? – pytał Cyrus każdej nocy.

Jeśli Grecy czuli się połechtani, że ich oceny traktowane są bardzo poważnie, nie okazywali tego. Zanim któryś z nich odpowiedział, spoglądali po sobie ponuro.

– Jeden z tych żołnierzy bardzo się starał nie patrzeć ci w oczy – odpowiedział tym razem Klearchos. – Ani mnie, kiedy próbowałem wciągnąć go w rozmowę. Zakładam, że nie ty mianowałeś go oficerem.

– Masz rację – zgodził się Cyrus. – To stary żołnierz, awansowany jeszcze przez mojego ojca. Niestety jest wartościowym oficerem i go potrzebuję. Proksenosie? A co ty o nim myślisz?

– Nie spodobał mi się, a ufam swojemu instynktowi. Nie zawierzyłbym mu ani przez chwilę. – Krępy Grek podkreślił swoje słowa wzruszeniem ramion, co wyglądało, jakby poruszyły się góry. – Podobnie jak temu wesołkowi z poprzedniego wieczoru. Wasza Wysokość, jesteś bohaterem dla wielu swoich ludzi, jednak nie dla wszystkich. W moim głębokim przekonaniu tego polemarcha, który był tutaj dzisiaj, Arrasa czy Araza, jakkolwiek się zwie, należy zostawić w Sardes albo wysłać gdzieś daleko z jakimś mało istotnym zadaniem. Moim zdaniem nie będzie lojalny.

– Przecież nie mogę się pozbyć każdego człowieka z naburmuszoną miną albo ledwie podejrzewanego o nielojalność – odparł stanowczo Cyrus. – Jeśli mam zwyciężyć, muszę wiedzieć, że mogę na nich polegać, na ich kompetencji i doświadczeniu. – Potrząsnął gwałtownie głową, gdyż zaczęła go ogarniać złość. – Nie zwyciężę, jeżeli nie będę ufał moim oficerom, jednak pójdą za mną tylko dlatego, że przemawiam słowami króla. Powiedzcie mi, jak ich nakłonić do walki przeciwko mojemu bratu. Czy to w ogóle możliwe?

Książę rozejrzał się po twarzach otaczających go mężczyzn. Było prawdą, że Grekom, którym płacił co miesiąc, ufał znacznie bardziej niż Persom, którzy stali teraz u jego boku jako żołnierze imperium. Grecy

pragnęli zwyciężać i to się liczyło. Co więcej, każdy z nich osobiście pogardzał Tissafernesem i wszystkim, co on sobą reprezentował. Przystąpili do realizacji swoich zadań z niemal nieprofesjonalnym entuzjazmem, kiedy ten pyszałkowaty Pers kazał wychłostać jednego z nich, i nie miało żadnego znaczenia to, jak Klearchos przyjął swoje upokorzenie.

Netos Stymfalijczyk odchrząknął. Na obecnym, zaawansowanym etapie przygotowań Cyrus zaakceptował fakt, że Grecy musieli poznać jego plan. Owszem, księcia irytowało, że jego rodacy muszą pozostawać w nieświadomości, jednak dzięki temu mógł rozwiązywać problemy z pomocą najbardziej zaufanych najemników, niczego nie udając i ich nie okłamując. Popatrzył na Netosa i przypomniał sobie wspólny z nim spacer w ogrodach Sardes i rozważania nad ogromnym zagrożeniem, jakim rzekomo mieli być Pizydowie. Mężczyzna ani przez chwilę w tę bajkę nie wierzył, co przynajmniej gwarantowało, że jego oceny są trzeźwe i rzetelne.

– Wasza Wysokość, już od pewnego czasu zastanawiam się nad całym problemem. I dociera do mnie, że nie masz prawa zasiąść na tronie zamiast brata.

– Ostrożnie, Netosie – mruknął Klearchos, nie podnosząc głowy.

– Chodzi mi o to, że twoje perskie oddziały nie będą chciały stawać przeciwko prawowitemu królowi, a także nie będą walczyły dla nikogo innego poza tobą. W końcu jesteś następcą tronu. Jeśli wywiedziemy króla Artakserksesa na pole bitwy i coś mu się stanie, na przykład potknie się jego koń, a on sam skręci kark, to czy dobrze mi się zdaje, że w momencie jego śmierci ty zostaniesz królem?

– Tak, to prawda – odparł Cyrus.

Netos pokiwał głową.

– Zatem masz prawo rzucić mu wyzwanie. Nie staniesz na czele armii, która będzie podbijać i niszczyć, lecz wyruszysz przeciwko bratu, aby

dokonać osobistej zemsty za zło, jakie ci uczynił. Twoja armia ma jedynie sprawić, że twój brat przyjmie wyzwanie, i chronić cię, gdy będziesz odbierał sprawiedliwość, której odmówiono ci wcześniej. Rozumiem, że twoja osobista straż została wymordowana, że zostałeś aresztowany i czekałeś na egzekucję. Jesteś skrzywdzonym synem, Wasza Wysokość. Jeśli twoi Persowie będą się opierać, jeżeli ośmielą się zagrozić buntem, osobiście powiem im o tym wszystkim.

Kiedy Stymfalijczyk zamilkł, w pomieszczeniu na długo zapanowała cisza. Klearchos uniósł brwi tak wysoko, że niemal zniknęły pod grzywką.

– Netos, ty stary lisie – odezwał się w końcu Proksenos. – Dokładnie tak należy wszystko rozegrać. Wasza Wysokość, dowódcy zrozumieją osobiste motywy twojego postępowania. To kwestia honoru dynastii i odpowiedzialności winnych popełnionego zła. Jeżeli tak postawisz sprawę, twoja misja może się udać.

– Część Persów jednak nie da się przekonać, Wasza Wysokość, jestem pewien – kontynuował Netos. – Ale tym będziemy się martwić, kiedy przyjdzie właściwa pora. Moglibyśmy wyeliminować kilku najgorszych mącicieli, zanim ruszymy do boju.

Żylasty Grek aż się uśmiechnął na myśl o takim rozwiązaniu i roześmiał się, kiedy Klearchos uderzył go otwartą dłonią w plecy.

– Bardzo dobrze – powiedział Cyrus. – Nie mam zamiaru dłużej czekać na oddziały, które jeszcze do nas nie dotarły. Straciliśmy już całe tygodnie, tkwiąc w miejscu. Tissafernes będzie wciąż w drodze przed nami, lecz jeśli mamy zachować jakieś szanse zwycięstwa, musimy jak najszybciej wyruszyć. – Rozejrzał się i zorientował, że wodzowie wymieniają spojrzenia. – Co jeszcze?

– Kwestia wypłat dla ludzi, Wasza Wysokość – powiedział Klearchos. – Trzydzieści tysięcy darejek, które przywieźliśmy z Byzantion, to kropla

w morzu. Kupiliśmy za nie zapasy żywności i wozy do ich transportowania. Zapasów wystarczy dla maszerującej armii na miesiąc lub na sześć tygodni, jeżeli będziemy wydzielać po dwie trzecie dziennych racji. To… za mało.

Ku zaskoczeniu oficerów Cyrus machnął ręką z pewnością siebie, jakiej nie widzieli u niego niemal od roku.

– Przez długi czas rozważałem ten problem i wysłałem wiadomości do moich najstarszych i najbogatszych sprzymierzeńców. Zanim pozostanie nam do jedzenia tylko pył po ziarnach pszenicy, a do picia źródlana woda, prawdopodobnie otrzymamy wszystko, czego będziemy potrzebować. Nie mogę powiedzieć, że nie będzie nam trudno, lecz przecież żadna kampania nigdy nie przebiega bez trudności, prawda? Tego nie można uniknąć. Ale obiecuję wam, że jeśli uczynicie mnie królem po śmierci mojego brata, już nigdy nie zaznacie niedostatku. Czy to wam wystarczy? Przysięgam na mój honor i mogę to przysiąc każdemu z was z osobna, jeżeli tego chcecie.

Jeden po drugim Grecy zaczęli do niego podchodzić i ściskać mu dłoń tak mocno, że bielały jego knykcie. Cyrus ani przez moment się nie skrzywił, co miało być dodatkowym dowodem jego determinacji. W oczach księcia nie można było dostrzec śladu zwątpienia. Klearchos nie był pewien, czy to dobrze czy źle, biorąc pod uwagę skalę wyzwania, którego się podejmowali.

* * *

Lato już dawno minęło półmetek, kiedy w Sardes uformowała się ogromna kolumna gotowa do wymarszu. Kontyngent Spartan mógłby pozostać w niej niezauważony, gdyby Klearchos nie wymógł, aby wyruszyli w straży przedniej. Powiedział, że cała armia będzie maszerować szybciej, gdy jego

ludzie będą narzucać tempo, ale inni Grecy narzekali, że znów podjął decyzję, w ogóle się z nimi nie licząc.

Oddziały Persów osiągnęły liczebność ponad stu tysięcy piechurów, kiedy na miejsce zgrupowania dołączył ostatni żołnierz. Brakowało jednak wśród nich łuczników i procarzy; z Sardes wyruszyło jedynie kilka tysięcy tych pierwszych. Bardzo brakowało również konnicy, chociaż Cyrus widział, że Ateńczyk Ksenofont dba o zwierzęta pozostające w jego dyspozycji i utrzymuje je w dobrej kondycji. Młody Grek odnalazł się w roli zarządzającego końmi i sprawiał wrażenie zadowolonego, kiedy Cyrus mijał go galopem na swoim wierzchowcu. Niestety, nie była to taka armia, jaką – silną i sprawną – zamierzał zgromadzić przeciwko swojemu bratu i ogromnym siłom imperium Persów. Nie mógł się uwolnić od wrażenia, że całe przedsięwzięcie przebiega w zbyt wielkim pośpiechu. Zgromadzenie wojska, które miałoby chociaż znikomą szansę na pokonanie perskiego króla, od początku wydawało się zadaniem niemal niewykonalnym. Żołnierze byli wyszkoleni słabiej, niżby tego chciał, mimo że Klearchos obiecał prowadzić ćwiczenia także w trakcie marszu, dzięki czemu umiejętności żołnierzy na pewno rosły niemal z każdym dniem. Sto dwanaście tysięcy ludzi miało wyruszyć w kierunku południowo-wschodnim, kierując się ku pustyniom – daleko od Drogi Królewskiej i wścibskich oczu. Patrząc na nich, Cyrus odczuwał przeogromną, wręcz bolesną dumę.

Pierwsi zwiadowcy i peltaści z włóczniami wyruszyli w drogę dzień przed głównymi siłami, a następnie małe grupki po dziesięciu żołnierzy na koniach udawały się za nimi w odstępach sześciogodzinnych. Główna kolumna otrzymała ambitne zadanie dotrzymania kroku lekko uzbrojonej awangardzie. Oficerowie wiedzieli, że w długim, mozolnym marszu przez bezdroża postawiony w ten sposób cel podnosi morale żołnierzy i zwiększa

ich samozaparcie. Perspektywa prawdopodobnego ujrzenia na horyzoncie grupy zwiadowców wzmagała czujność maszerujących, dodawała im energii i skłaniała do zawierania zakładów, kiedy to nastąpi – lub nie nastąpi – zarówno wśród żołnierzy z regularnych oddziałów, jak i wśród samych zwiadowców.

Po ostatniej inspekcji Cyrus nie powiedział Persom, jaki jest cel ich marszu, jednak stanowczo nakazał, aby się nie guzdrali. A ponieważ mieli wędrować przez tereny dziksze niż te, gdzie podróżował Tissafernes, miejscem ich przeznaczenia mogło być każde miejsce, na które wywabią siły Artakserksesa. Myśl o konieczności pokonania ogromnych dystansów wręcz zniechęcała, a żołnierze musieli jeszcze transportować ze sobą wszystko, co było im niezbędne do życia.

Cyrus zacisnął zęby z irytacją, patrząc na ogromną gromadę ludzi podążających za żołnierzami. Sardes było bazą dla jego zgrupowania przez niemal osiem miesięcy. Najemnikom płacił złotem, a Persowie odbierali od kwatermistrzów wypłaty w srebrze. Przez cały ten czas Sardes gościło więc dziesiątki tysięcy żołnierzy mających do wydania mnóstwo pieniędzy. Handel kwitł, pracę i zarobek mieli wszyscy, od kowali, aktorów w teatrach i szewców, aż po wytwórców broni najwyższej jakości, zbroi i – oczywiście – łóżkowych partnerów obojga płci, którzy w ogromnych liczbach osładzali samotność mężczyznom gotującym się na wojnę. Część z nich bardzo się zbliżyła zarówno do Greków, jak i do Persów. Inni preferowali tymczasowe związki albo jednorazowe wspólne noce. Jednak w efekcie do armii dołączyło ponad dwanaście tysięcy osób, które nie mogły odegrać żadnej roli w przyszłych bitwach, a trzeba było je karmić, ubierać i dyscyplinować w czasie marszu.

Książę zacisnął na nosie kciuk i palec wskazujący, po czym przeklął imię Tissafernesa ledwo słyszalnym głosem. Nie spodziewał się, że będzie

musiał wyruszyć już latem, kiedy zabójcze temperatury ogromnie dokuczały nawet najzdrowszym mężczyznom. Co gorsza, poważnym ciosem były dla niego ograniczenia w możliwościach wypłacania żołnierzom należności; problem ten spowodowany został w większej mierze przez złośliwość Tissafernesa niż przez jego wątpliwości, czy Cyrus jest wierny królowi. Przez całe życie książę nigdy nie musiał się mierzyć z trudnościami tego typu, gdyż w każdej chwili mógł korzystać z nieograniczonych zasobów królewskiego skarbca. Teraz miał wrażenie, jakby na jego oczach wysechł bezkresny ocean, jakby cały świat wywrócił się do góry nogami. Nagle musiał się nauczyć negocjować z dostawcami, rozmawiać z nimi ostro i niejednokrotnie w złości, co było czymś zupełnie nowym i zaskakującym zarówno dla niego, jak i dla nich. Ale szybko zauważył, że targowanie się i uzyskiwanie jak najniższych cen, nawet kiedy musiał w trakcie tych targów stosować groźby, sprawia mu przyjemność. Było to jakby sprawdzanie własnej władzy i forma konfliktu, który rozstrzygał się bez przelewu krwi, coś zupełnie nowego w życiu potomka królów. Dzięki takim doświadczeniom czuł, że powoli maszerująca armia jest jego armią, bardziej niż byłaby, gdyby nie miał na głowie takich trosk, jak presja czasu czy pieniądza. Był z niej dumny, był dumny nawet z towarzyszących jej prostytutek i z mężczyzn, o których sądził, że byliby zdolni go zdradzić.

Wszyscy przybyli tego roku do Sardes na jego wezwanie i nie miało znaczenia, czy ich motywacje są bardziej czy mniej szlachetne. Zgrupowanie Greków i jego rodaków było jego własnym oceanem na gorącej ziemi, kolumną rozciągniętą na długości tak wielu mil, że ci z początku wkrótce znaleźli się w odległości całego dnia marszu od tych, którzy mieli zamykać stawkę. Myśl o tym sprawiała, że umysł Cyrusa szalał, i wywoływała w jego głowie tępy ból, niemal rozsadzający czaszkę.

Książę dotarł z Klearchosem na czoło kolumny, gdzie dwa białe byki stały przywiązane do żelaznych prętów wbitych w ziemię. Spartanin zgodził się poczekać na ostatnie grupy hoplitów, którzy mieli przybyć z Krety. Wódz zrezygnował z zaoferowanego mu wierzchowca, twierdząc, że po ostatniej wyprawie nie chce już słyszeć o żadnym koniu. Niemniej uroczyście przyrzekł Cyrusowi, że hoplici z Krety wkrótce staną u jego boku.

Książę głęboko wciągnął powietrze, wyczuwając unoszący się w nim zapach cytryny i mięty oraz gryzący nozdrza swąd węgla drzewnego, zawsze obecny tam, gdzie gromadzili się żołnierze. Jego wróżbici byli już gotowi wpatrywać się w plamy krwi i je interpretować, a wszyscy oficerowie wiedzieli, że tego wieczoru nad ogniskami pojawią się grube płaty mięsa wołowego, z wyczekiwaniem więc przyglądali się wymęczonym zwierzętom. Cyrus uniósł rękę i na chwilę zapanowała absolutna cisza; tylko wiatr poruszał połami odzieży niczym ptasimi skrzydłami.

Gdy opuścił rękę, wróżbici poderżnęli umięśnione gardła byków i trysnęła krew. Żołnierze mieli przemaszerować przez powstałe kałuże, pozostawiając po sobie krwawe ślady jeszcze na dużej przestrzeni. Nie miało to dla nich znaczenia. Tam, gdzie byli oni, zawsze była również krew. Nikt przecież nie gromadził tak ogromnych armii, mając pokojowe zamiary.

W porannym powietrzu rozbrzmiały dźwięki rogów. Wzdłuż kolumny żołnierzy wzniosły się chorągwie, furkocząc dziko na wietrze. Dobosze, którzy maszerowali z bębnami zawieszonymi na ramionach, podali głośny rytm mający towarzyszyć armii.

Cyrus posłał w kierunku błękitnego nieba żarliwą modlitwę, prosząc o pomyślność, a przede wszystkim o złotą koronę. W odległości trzech dni marszu przez zielone bezdroża Lidii znajdowała się rzeka Meander, a za

nią, w odległości kolejnego dnia marszu, miasto Kolossaj. Tam miał zaczekać na Klearchosa, który powinien dołączyć ze swoimi maruderami.

Perski książę obserwował z pobocza, jak Spartanie w milczeniu, wymachując bronią, rozpoczynają marsz. Nie miał wątpliwości, że pierwsze dni obnażą słabości tej armii: błędy w planowaniu i miriady różnych rzeczy, o których zapomniano lub na które nieopatrznie machnięto ręką. Ale pokażą też żołnierzom prawdziwy wymiar podjętego przedsięwzięcia – i dowiodą, że ci, którzy w dobrym porządku dotrą do Kolossaj, na miejsce odpoczynku, na pewno będą w stanie sprostać dalszej części zadania. Cyrus wiedział, że na jego armię składa się hałastra wszelakiego pochodzenia i to on musi krok po kroku przekształcić ją w wojsko zdyscyplinowane i skuteczne. Uśmiechnął się więc, zawracając konia i spinając go piętami. Jedynie wódz Spartan z dziesiątką ludzi stał w milczeniu, zostając coraz bardziej z tyłu. Cyrus dostrzegł, że Klearchos osłania dłonią oczy, patrząc przed siebie, i poczuł na sobie jego wzrok. Lekko skłonił głowę na pożegnanie, a Klearchos uczynił to samo. Wielka wyprawa się rozpoczęła i żaden z nich nie mógł w tej chwili przewidzieć, jak się zakończy.

13

Wielka kolumna w dobrym tempie dotarła do rzeki Meander. Początkowo w szeregi wkradał się drobny chaos, gdyż ludzie, którzy nie byli przyzwyczajeni do sześciu- czy nawet siedmiogodzinnego bezustannego marszu, często potykali się, naruszając porządek. Jednak jak na początek nikt nadmiernie nie cierpiał. Oczywiście każdego wieczoru trzeba było opatrywać odciski na stopach, chociaż wielu żołnierzy, którzy utykali z ich powodu, przyjmowało rady Spartan, że lepiej jest pozwolić skórze, aby schła i twardniała na powietrzu, niż utrzymywać ją w wilgoci pod opatrunkiem, co może prowadzić do gnicia.

Przebrnęli rzekę po prowizorycznym moście pontonowym skonstruowanym z siedmiu złączonych łodzi rybackich; przeprawie towarzyszyło mnóstwo śmiechu. Niewielu Persów potrafiło pływać i dlatego mocno zaciskali na każdej kolejnej burcie palce, z których od wysiłku odpływała krew, jedynie na chwilę odrywając dłonie od jednego miejsca, żeby zaraz przytrzymać się następnego. Spartanie czuli się w wodzie doskonale i wielu z nich w oczekiwaniu na dokończenie przeprawy pluskało się, bawiło, łowiło ryby lub po prostu wypoczywało i schło w gorących promieniach słońca.

Po kolejnym długim dniu mężczyźni zaczęli okazywać więcej hartu. To prawda, że zdarzyło się kilka zwichnięć czy drobnych ran – nie dało się przeprowadzić przez bezdroża uzbrojonych ludzi, nie narażając ich na kontuzje kolan albo przypadkowe rany spowodowane na przykład

nieostrożnością w transportowaniu broni. Wszystkie te problemy były odbierane jednak jako wspólne doświadczenia, wspólny trud. Cyrus miał nadzieję, że zjednoczy swoją armię wokół wspólnego wyzwania i kiedy perskie oddziały zobaczą wroga, żołnierze staną po stronie swojego księcia i dowódcy, a nie po stronie nieznanego im króla. Wezmą stronę człowieka, którego znają, który razem z nimi doświadczał trudów wędrówki i od miesięcy trwał przy ich boku, a nie stronę kogoś zupełnie obcego.

Początek nie mógł być bardziej udany. Cyrus pozwolił swoim ludziom przez siedem dni wypoczywać w Kolossaj, a sam w tym czasie polował w parkach królewskich. Znaku życia wciąż nie dawał Klearchos, lecz dotarł do niego Tesalczyk Menon z czterema setkami ludzi i z wiadomością, żeby nie czekać na Klearchosa, bo dołączy on do reszty dopiero w Kelajnaj. Cyrus zabrał ze stajni królewskiej dziesiątkę szybkich koni i przekazał je Ksenofontowi. Koni wciąż posiadał zbyt mało, lecz książę nie był w stanie ani wyczarować z powietrza wyszkolonych jeźdźców, ani nie miał środków, żeby kupować kolejne wierzchowce. Dysponował jedynie swoją strażą przyboczną składającą się z sześciuset konnych, choć wiedział, jaką przewagę dają konni posłańcy szybko przemieszczający się z wiadomościami. Najchętniej widziałby w siodłach wszystkich swoich żołnierzy, gdyby tylko mógł zapewnić im wierzchowce. Zdawał sobie bowiem sprawę, że bez koni jego armia jest powolnym i drętwym molochem, który nie będzie w stanie się obronić przed niespodziewanym atakiem lub zasadzką.

Kiedy opuszczali Kolossaj, odciski na stopach żołnierzy były zaleczone, a nadwerężone mięśnie mocniejsze niż wcześniej. Znowu ruszali w rytmie wybijanym przez doboszy, przy dźwiękach rogów, które sprawiały, że konie rżały cicho, galopując wzdłuż maszerujących szeregów. Straż konna Cyrusa

wyglądała wspaniale. Żołnierze siedzieli na końskich grzbietach na skórach panter i gazeli.

Cyrus z radością podróżował każdego dnia razem z żołnierzami. Kiedy natykali się na drogę albo na jakiś trakt, wstępowali na ubitą ziemię. Jednak przez większość czasu wędrowali bezdrożami i dolinami, kierując się ku konkretnym punktom terenu i brnąc w ich kierunku niezależnie od tego, jaką przeszkodę należało pokonać.

Książę czuł, że żołnierze są coraz silniejsi i sprawniejsi, chociaż martwił się, kiedy długa kolumna ginęła wśród gór albo pochłaniał ją las sosnowy. W takich momentach zawracał grupy swoich ludzi na drogę, żeby wyczekiwali Klearchosa, on jednak wciąż nie dawał znaku życia. Znalazłszy się daleko od Sardes, Cyrus zdał sobie sprawę, jak bardzo uzależnił się od Spartanina i jak wielkim darzył go zaufaniem. Bez jego stanowczości i pewności siebie wszystko wokół zaczęło mu się nagle wydawać bezsensowne i beznadziejne, a własne dążenie do włożenia korony królewskiej nic niewartym kaprysem.

Spośród wszystkich ludzi w kolumnie książę najlepiej znał oddziały, którymi jego brat dysponował we wschodniej części imperium – znał je nawet lepiej niż sam Artakserkses. Gdyby król uznał Cyrusa za prawdziwe zagrożenie i zmobilizował wszystkie oddziały pozostające pod jego rozkazami, mógłby zgromadzić ponad pół miliona ludzi. Świadomość potęgi tej armii sprawiała, że Cyrus całymi nocami nie był w stanie zmrużyć oka. Co gorsza, brat dysponował bogactwem dwudziestu ośmiu podbitych ludów i całego królewskiego skarbca. Wielkiemu królowi nie zagrażały braki żywności czy drewna na opał ani problemy z ich uzupełnieniem. Artakserkses mógł każdego wieczoru pić wino, w przeciwieństwie do Cyrusa, który pijał tylko wodę i wraz z żołnierzami nocował pod gwiazdami.

Cytadela Kelajnaj leżała w odległości trzech dni marszu od Kolossaj, nad rzeką Marsyas. Cyrus zaczekał tam na Klearchosa, chcąc wreszcie zgromadzić całą armię w jednym miejscu i żałując, że zgodził się, aby Spartanin pozostał z tyłu. Pod koniec każdego dnia widział, jak żołnierze, w szczególności Persowie, wymieniają zdumione spojrzenia. Oni nie widzieli żadnego powodu, który uzasadniałby bezczynne czekanie na jednego Spartanina, nieważne jakiej rangi. Jednak książę nie reagował na to i leniwie mijały kolejne dni, mimo że początkowo armia poruszała się w wielkim pośpiechu. Pierwsza ekscytacja wyprawą powoli zaczęła przemijać, a żołnierze z wolna przyzwyczajali się do obozowego życia i poszukiwania rozrywki w mieście. Cyrus nie dowiedział się, że kilku powieszono za haniebne występki, jak również o wielkiej bójce pomiędzy kontyngentem Stymfalijczyków a oddziałem imperium. W trakcie postoju takie problemy utrzymywano przed nim w tajemnicy.

Czternastego dnia Klearchos się zjawił – spokojny i zimny jak wiosenna bryza. Przyprowadził ośmiuset hoplitów z różnych miast, dwustu peltastów z włóczniami oraz czterdziestu kreteńskich łuczników. Ujrzawszy go, Cyrus w jednej chwili wybaczył mu spóźnienie, lecz Klearchos i tak od razu zaczął go przepraszać i ukląkł przed nim na kolano przed frontem nowo przybyłych.

– To już wszyscy, Wasza Wysokość. Ci ludzie to szczęściarze, bo przetrwali, kiedy ich okręt zatonął, płynąc z Krety. Przynoszą tysiące opowieści i nie wątpię, że usłyszysz je wszystkie, kiedy ruszymy w drogę. Jesteśmy w komplecie.

Spartanin popatrzył przed siebie jak drapieżnik węszący ofiarę. Nozdrza miał rozszerzone.

– Chwilami wątpiłem, że wrócisz – odparł Cyrus.

Klearchos rzucił mu twarde spojrzenie.

– Dałem ci słowo, Wasza Wysokość. Musiałbym zginąć, aby odstąpić od twojego boku – powiedział. Kiedy książę się uśmiechnął, dodał: – Oczywiście śmierć mogłaby mi się przydarzyć.

* * *

Wśród żołnierzy zapanował niemal świąteczny nastrój, kiedy znowu ruszyli w drogę. Przez pewien czas maszerowali przez satrapię o dobrze utrzymanych traktach. Cieszyli się, że mogą iść po płaskich kamieniach, a jeśli nawet ich perspektywę stanowiła krwawa bitwa, była problemem tak odległym, że wciąż mogli go ignorować.

Ich dowódcy nie podzielali dobrego nastroju Spartanina. Beztroskie opowieści Klearchosa przerywali niechętnymi komentarzami. Grek poważnie traktował jednak swoją profesję, dlatego w końcu i on zaczął odczuwać napięcie w oczekiwaniu nieuchronnie się zbliżających ciężkich prób. Także Cyrus zamknął się w sobie i gdy jego żołnierze przemierzali bezkres imperium, przez całe dnie nie wypowiadał słowa. Nie potrafił przestać myśleć o Tissafernesie podróżującym Drogą Królewską. Zastanawiał się, czy zdołał go już wyprzedzić, czy też to tamten wciąż szybciej zbliżał się do stolicy. Po tych samych kamieniach, po których stąpał Tissafernes, pierwszy król Dariusz zmierzał kiedyś w kierunku Grecji, aby ją najechać. Wielka droga powiodła z kolei jego syna Kserksesa na zachód, nieświadomego, że armia, którą prowadzi, zostanie zmasakrowana, a flota rozpędzona na cztery wiatry. Tymczasem Cyrus musiał przemieszczać się bezdrożami na południe od niej, aby unikać królewskich kurierów, którzy ujrzawszy jego ludzi, natychmiast pośpieszyliby do stolicy.

Właśnie takie myśli zdawały się gnębić księcia, gdy spocony i udręczony piekącym słońcem podróżował długimi godzinami bez przerwy. W swoich ludziach nie widział już walecznych, dzielnych żołnierzy, bo pół dnia zajmowały im przerwy na skonsumowanie prostego posiłku. Kawalkada, którą dowodził, była niczym wędrowne miasto, które przystawało w południe, a wszyscy jego mieszkańcy niczym zjawy kierowali się ku wozom z żywnością. Stukały ciężkie misy służące do gotowania strawy, rozpalano ogień. Ludziom udzielał się wtedy nastrój letniego święta do tego stopnia, że gdzieniegdzie rozstawiano namioty, w których mężczyźni się gromadzili, aby uprawiać hazard, tracić i wygrywać pieniądze. Wszystko to trwało nieskończenie długie godziny, a Cyrus mógł się tylko denerwować, osłaniać oczy przed blaskiem i obserwować, jak słońce nieuchronnie chyli się ku zachodowi.

Niczym szarańcza jego ludzie zasypywali zajazdy, nawet najmniejsze i najpodlejsze, kiedy tylko pojawiały się od czasu do czasu na ich trasie. Cyrus wiedział, że przy Drodze Królewskiej takie przybytki, na podstawie królewskiego dekretu, budowane były gęsto i zgodnie z identycznym projektem. Na umęczonych wędrowców czekały w nich – na całej trasie, aż do Suzy – wszelkie rozkosze i przyjemności znane ówczesnej cywilizacji.

Nie mając dostępu do takich luksusów, armia Cyrusa ogołacała mijane wioski ze wszystkiego, czego przed głodnymi żołnierzami nie zdołali ukryć wieśniacy. Bez tych dodatkowych racji armia by głodowała; Cyrus aż za dobrze zdawał sobie sprawę, że powoli wydaje ostatnie darejki. Miał wrażenie, że monety znikają nawet wtedy, gdy tylko je liczy. Kiedy mógł ostatnie pieniądze zmieścić w jednej dłoni, zatrzymał kolumnę w odległości sześćdziesięciu mil od miasta Tyriajon, w małym królestwie Cylicji. Tam postanowił wypocząć w posiadłości, którą znał z dzieciństwa.

Po dwóch dniach, zgodnie z jego oczekiwaniami, to Klearchos poprosił go o rozmowę w imieniu pozostałych oficerów. Przecież żaden z oddziałów greckich czy perskich od dawna nie otrzymał zapłaty, a szkatuła Cyrusa była pusta. Książę siedział przy stole na tarasie, ciesząc się wieczornym słońcem. Nieśpiesznie jadł daktyle i pyszny miejscowy ser.

– Ach, Klearchosie, spodziewałem się, że przyślą do mnie właśnie ciebie. Proszę, usiądź i jedz. Niczego tak rozkosznego dawno nie smakowałeś.

Klearchos wyglądał tak samo jak podczas pierwszego spotkania z księciem, jakby upływ czasu w ogóle go nie zmieniał. Z kolei młody książę sprawiał wrażenie człowieka bardzo zmęczonego i przytłoczonego ciężarem zbyt wielkiej odpowiedzialności.

– Dziękuję, Wasza Wysokość – odparł Spartanin. Wziął do ust słodkiego daktyla i rozgryzł. Kawałki twardej skorupki wypluł na dłoń. – Smaczne.

Zapadła cisza i Cyrus czekał, rozbawiony tym, że własną determinację musi konfrontować z determinacją spartańskiego wodza. Wkrótce obaj wyjedli wszystkie daktyle z misy i służący przyniósł talerz z cienkimi plastrami mięsa oraz pieczonymi ząbkami czosnku ułożonymi na brzegach jak białe jajeczka. Klearchos uwielbiał czosnek. Wziął do ust pełną garść i zaczął głośno gryźć.

– Wasza Wysokość… – odezwał się po chwili, która wydawała się trwać całą wieczność.

Cyrus roześmiał się, przerywając mu.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Klearchosie. Chociaż bardzo nie lubisz tego typu spraw, zgłosiłeś się na ochotnika, żeby porozmawiać ze mną o zapłacie dla ludzi. Niedawno powiedziałem ci, że porozsyłałem posłańców, pamiętasz? To dlatego tak zboczyliśmy teraz z drogi. Mam w Cylicji przyjaciół, którzy nam pomogą.

– Znasz tutejszego króla? – zapytał Klearchos. Czknął, osłaniając usta pięścią. Sięgnął po puchar wina i w wyciągniętej ręce uniósł go ku niebu, po czym upił długi łyk, oczyszczając usta z czosnku. Pijąc, zauważył, że rysy twarzy Cyrusa się wyostrzyły.

– On i ja… nie jesteśmy przyjaciółmi. Poznałem go, kiedy obaj byliśmy bardzo młodzi. Posprzeczaliśmy się i od tego czasu panuje między nami chłód.

– A więc odebrał ci kobietę? A może było na odwrót?

Cyrus parsknął śmiechem prosto w puchar z winem i kilka ciężkich kropli padło na stół.

– Zawsze musisz być taki… taki spartański? Do bólu szczery?

Klearchos wzruszył ramionami.

– Takie sprawy zazwyczaj okazują się prostsze, kiedy otwarcie o nich mówimy.

– Cóż, w tym wypadku owszem, pokochaliśmy tę samą kobietę. I ona kochała mnie, lecz poślubiła jego! Uważasz, że to proste? Nie ma sensu snuć cudownej baśni o młodych kochankach, Spartaninie! Ta kobieta wyszła za niewłaściwego mężczyznę. – Książę ciężko westchnął na to wspomnienie. Wieczorne słońce mocno świeciło wprost w jego ciemne oczy. – Wciąż za nią tęsknię.

Klearchos wyprostował się na krześle i chociaż opróżnił już puchar, ledwo zauważył służącego, który podszedł, aby go napełnić.

– Bywają mężczyźni małostkowi i godni pogardy, nawet kiedy zwyciężają. Wprowadziłeś na jego terytorium armię, i to taką, której, jak mniemam, nie zdoła się przeciwstawić. Chcesz więc go podbić? Zabijesz go?

Cyrus przez długą chwilę wpatrywał się z namysłem w Spartanina. Potarł dłonie, wyczuł stwardnienia od ściskania wodzy w czasie podróży.

– Gdybym mógł sprawić, że spadnie z konia i umrze, do tego właśnie bym dążył – powiedział powoli. – Jednak teraz ta kobieta go kocha i urodziła mu dwoje dzieci. Wiem, że kochała mnie, ale to jego wybrała. Nie da się cofnąć czasu, Klearchosie. Nigdy.

– Kobiety – westchnął wódz i znowu wzniósł puchar z winem. – Są dla nas zagadką.

Mężczyźni stuknęli się pucharami i wypili wino do dna. Obaj już czuli, że trunek uderza im do głów.

– Kocham ją – kontynuował Cyrus. – Zawsze kochałem. – Głośno odetchnął i zaczął z siebie wyrzucać: – Znajdujemy się na skraju Cylicji, niemal na granicy. Posłałem wiadomość, że jestem tutaj, a ona na nią odpowiedziała. Nie wiem, czy mi pomoże, Klearchosie, ale na nikogo innego nie mogę liczyć.

– Przybędzie do ciebie? Może mam posłać po nią konie?

– Pojawi się u nas, tak mi powiedział posłaniec. Jutro. Po południu.

– A wspomniała coś o mężu? Chociażby mimochodem? – zapytał Klearchos.

Cyrus pokręcił głową i Spartanin uniósł brwi.

– Cóż, to obiecujące.

– Wcale nie. Kochała nas obu i wybrała jego – powiedział Cyrus markotnym głosem i napił się z napełnionego znów pucharu.

Wino sprawiło, że jego zęby przybrały purpurową barwę, a oczy zrobiły się szkliste. Tymczasem Klearchos niespodziewanie uderzył dłonią w stół, wyrywając księcia z zadumy.

– A więc pokażemy jej, z czego zrezygnowała, Wasza Wysokość! Moi ludzie zaprezentują specjalnie dla niej doskonałe widowisko. Ta kobieta ujrzy jutro szykownego młodego księcia, przywódcę wielkiej armii. Czy jej mąż jest tyranem? Okrutnym, starym, brzydkim, niskiego wzrostu?

– Nie – odparł Cyrus i machnął ręką. – To zwyczajny mężczyzna, jak każdy inny. Nie potrafię dostrzec jego zalet, lecz, jak powiedziałem, ona…

– Wybrała go, tak – Klearchos dokończył za Cyrusa. – Zostaw to mnie, Wasza Wysokość. I nie pij już więcej, bo do niczego się jutro nie przydasz. Za twoim pozwoleniem, wrócę teraz do żołnierzy.

Cyrus znowu machnął ręką, pozwalając mu odejść, a sam rozparł się wygodnie na krześle i uniósł rękę z kielichem, żeby go napełniono, chociaż oczy miał przez cały czas zamknięte. Klearchos wybuchł śmiechem, zastanawiając się, czy kiedykolwiek spotkał mężczyznę o słabszej głowie. Doszedł do wniosku, że nie. Powoli się oddalił i zniknął w mroku. Zaczął biec, kiedy sobie uświadomił ogrom czekających go zadań.

* * *

Cyrus obudził się o świcie i zwymiotował gęstym strumieniem żółci. Na terenie posiadłości znajdowało się jezioro. Wszedł do wody i przez długi czas pływał, po czym zjadł jajka i ser, aby uspokoić żołądek. Gdy wreszcie zdołał się ubrać, a służący umieścili go na grzbiecie wierzchowca, był już późny ranek, a słońce zawisło nad horyzontem jak pusta misa, promieniując gorącem, które sprawiło, że głowa księcia zaczęła tętnić straszliwym pulsującym bólem. Pewną ulgę odczuwał tylko wtedy, gdy zamykał lewe oko. Dlatego z przymkniętym okiem dotarł do obozowiska swoich żołnierzy. Strażnicy zapytali go, kim jest, i dopiero gdy się przedstawił i podał hasło, rozstąpili się z szacunkiem, chociaż znali go już z widzenia. Usłyszał, jak jeden z nich rzuca półgłosem jakąś szorstką uwagę na temat kaca, jednak nie miał ani siły, ani ochoty go zrugać.

Kiedy zaczął do niego docierać panujący dookoła zgiełk, przyszło mu do głowy, że wódz Spartan tej nocy nie zmrużył oka. Każdy oddział czyścił

i polerował wszelkie wyposażenie, używając sadzy i oliwy; wszystko miało wkrótce lśnić i bić w oczy nieskazitelną czystością. Tymczasem zdezorientowany Cyrus siedział na końskim grzbiecie. Czyżby nakazał wczoraj przygotowania do uroczystej parady? Nie mógł sobie przypomnieć. Części szczegółów wczorajszego wieczoru nie pamiętał, część pojawiała się w jego głowie krótkimi rozbłyskami, powiększając mętlik. Rozglądał się z coraz większym zdumieniem. Rozmawiał o swojej ukochanej z wodzem Spartan! Zakrył usta dłonią.

– Wasza Wysokość? – usłyszał czyjś głos.

Zerknął ku ziemi i zobaczył młodego opiekuna koni. Popatrzył na niego opuchniętymi oczami, a tymczasem Ksenofont, bezczelnie zdrowy i zadowolony, kontynuował:

– Wasza Wysokość, gdybyś zechciał na krótki czas zejść z siodła, wyczyściłbym Pasakasa i przygotował jego uprząż do przeglądu.

– Przeglądu? – zapytał powoli Cyrus.

Poczuł, że gwałtownie wraca mu pamięć, i nagle plecy oblał mu gorący pot. Zerknął na słońce i przełknął ślinę, kiedy zorientował się, jak już jest późno. Cały poranek przechorował, tak osłabiony, że tylko się pocił i pojękiwał. Teraz sklął się w duchu za tę słabość i podniósł głowę.

– Ksenofoncie, natychmiast sprowadź tutaj Parwiza, mojego służącego. – Ześliznął się niezdarnie z konia i zachwiał, stanąwszy przed Ateńczykiem. – Chcę, żeby natychmiast mnie ogolono. Potrzebuję też świeżego ubrania. Dlatego potrzebny jest mi Parwiz, człowieku. Znajdź go natychmiast.

Ksenofont odbiegł z wodzami w rękach, ciągnąc za sobą wierzchowca Cyrusa. Książę się skrzywił, tak bardzo doskwierało mu słońce. Przysiągł sobie, że już nigdy więcej nie będzie pić. Koszt pijaństwa był zbyt wielki.

– Wasza Wysokość, och, tutaj jesteś! – usłyszał głos Parwiza.

Człowiek, który kiedyś pełnił straż w pustynnej fortecy, wszedł w nową rolę z dumą i energią. Teraz niósł składane krzesło i już po chwili książę zasiadł na nim z ulgą. Natychmiast otoczyli go służący z miskami, ubraniami i oliwą. Parwiz zaczął ostrzyć brzytwę najpierw o kawałek skóry, następnie o jakąś szorstką tkaninę, wreszcie uniósł ją, aby na ostrze podziałał delikatny wiatr. Nigdy się nie zgadzał, żeby jego pana golił ktoś inny; golenie książęcej brody już od dawna było ich wspólnym rytuałem.

– Osłońcie to miejsce! – wrzasnął Parwiz tuż przy uchu księcia. – Postawcie tutaj parawan dla Jego Wysokości. Potrzebujemy trochę prywatności. Co to jest, jakiś rynek? Otoczcie Jego Wysokość grubymi zasłonami.

Fakt, że Parwiz przejął nad wszystkim kontrolę, przyniósł Cyrusowi ulgę. Otworzył oczy w chwili, w której poczuł, że ktoś wciska mu do ręki jakieś naczynie. Kiedy zobaczył, że znajduje się w nim upragnione słodkie mleko, uśmiechnął się z lubością.

– Dziękuję ci, Parwizie. Ale chcę jeszcze więcej mleka. Przyprowadź tu krowę, jeśli możesz.

* * *

Słońce powoli przesuwało się po niebie, a tymczasem oddziały stały w perfekcyjnych czworobokach. Tysiące żołnierzy czekało nieruchomo, z lekko rozstawionymi stopami, na inspekcję królowej. Cywile, którzy towarzyszyli wojsku, zeszli się z noszami, wiedzieli bowiem, że każdy z tych mężczyzn, wyczekujących długie godziny w pełnym słońcu, może niespodziewanie zemdleć. Reszta gromady musiała odejść z dobytkiem aż na trzy mile, żeby królową nie wstrząsnął widok prostytutek albo małych łobuziaków.

Cyrus nie potrafił zachować spokoju. Bezustannie przejeżdżał na swoim wierzchowcu wzdłuż szeregu żołnierzy, niecierpliwie oczekując pojawienia się królowej. Już od sześciu lat nie widział Epyaksy. Przez ten czas wyrósł na mężczyznę, bo przecież w czasie ich ostatniego spotkania był ledwie chłopcem, przekonanym, że Epyaksa wybierze właśnie jego, chłopcem zbyt pewnym siebie. Jego żołądek się uspokoił, bólu głowy prawie już nie czuł, za co gorąco dziękował bogu.

Podbiegł do niego Parwiz.

– Jest! Nadjeżdża! – zawołał.

Cyrus podniósł głowę i dostrzegł rydwan ciągnięty przez dwa czarne konie, otoczony przez biegnących żołnierzy w mosiężnych napierśnikach i skórzanych spódniczkach. Było ich przynajmniej osiemdziesięciu. Stanowili dla rydwanu szczelną osłonę, która aż nadto wyraźnie przypominała księciu, że Epyaksa jest królową i żoną innego mężczyzny. Oparł ręce na łęku i czekał, aż rydwan zbliży się do niego, zastanawiając się, czy królowa bardzo się zmieniła i jak zareaguje na jego widok.

Żołnierze, ustawieni w szyku bojowym, zadęli w rogi, których dźwięki zabrzmiały bardziej jak nawoływanie heroldów niż zapowiedź bitwy. Rydwan zmierzał w kierunku księcia, siedzącego na koniu tuż przed szeregiem wojska, wcześniej zatoczywszy wielki półokrąg, przez co ostatni odcinek pokonywał w kierunku przeciwnym do tego, z którego przybył.

Królowa Epyaksa z Cylicji dotknęła dłonią ramienia żołnierza powożącego rydwanem. Rydwan się zatrzymał, a ona zeszła na ziemię. Cyrus poczuł ból w piersi, niemający nic wspólnego z nadmiarem wina, które wypił poprzedniego wieczoru. Ciemne włosy kobiety splecione były w długi warkocz, który podskakiwał na jej plecach niby koci ogon. Warkocz się zakołysał, kiedy przystanęła; była taka sama, jaką ją pamiętał, nieodmieniona przez czas. Książę zeskoczył z wierzchowca i stojąc na

sztywnych nogach, patrzył, jak królowa klęka przed nim na jedno kolano. Patrząc na jej zgięty kark, mimowolnie zadał sobie pytanie, czy Grecy zrozumieją znaczenie jej gestu. W skład imperium wchodziło dwadzieścia osiem ludów – a ich królowie i królowe padali na kolana przed księciem z dynastii rządzącej imperium. Kiedy Grecy czynili to samo, zamiast padać plackiem na ziemię, z ich strony było to hołdem, jakiego godni byli tylko członkowie rodziny królewskiej.

Zapatrzony Cyrus w końcu zamrugał i zdał sobie sprawę, że wciąż nie pozwolił królowej, aby wstała. Dostrzegł, że jej kark lekko się zaczerwienił; ten kolor zupełnie do niej nie pasował. Była przekonana, że Cyrus wciąż się na nią złości.

– Proszę, powstań, Epyakso. Jestem zdumiony, jak niewiele się zmieniłaś. Dlatego i ja czuję się przy tobie trochę młodszy. – Ujął jej dłoń, jednak cofnął rękę, kiedy żołnierz na rydwanie nerwowo się poruszył. Straż królowej nie zwykła pozwalać, żeby ktokolwiek jej dotykał.

– Ach… – westchnęła kobieta i uśmiechnęła się do żołnierzy. – Książę Cyrus jest moim starym przyjacielem. Nic mi nie grozi. Rauszu, doprowadziłeś mnie tutaj bezpiecznie i możesz mnie zostawić. Wyślę po ciebie posłańca, kiedy będę gotowa do drogi powrotnej.

Mężczyzna natychmiast padł przed nią jak długi, układając się na ziemi pod takim kątem, że odrobinę wyraźniej zwrócony był w kierunku swojej pani niż Cyrusa, chociaż niezaprzeczalnie oddawał honory obojgu. Po chwili wrócił do rydwanu i ujął lejce. Cyrus z zazdrością patrzył na pojazd i odezwał się, zanim oficer rozwinął długi bat.

– Droga pani, masz teraz sposobność zlustrowania gromadki żołnierzy, którą prowadzę. Jeżeli rozkażesz woźnicy, aby oddalił się razem z pozostałymi żołnierzami z twojej straży, poczuję się zaszczycony, gdy pozwolisz mi zająć jego miejsce.

Królowa skinęła głową i oficer bez słowa protestu odłożył lejce oraz bat, chociaż kiedy przejmował je Cyrus, patrzył na niego bardzo nieprzyjaźnie. Epyaksa otworzyła małe drzwi i przystanęła przy ławeczce w części rydwanu przeznaczonej dla pasażera. Nie zamierzała siadać. Na stojąco chciała się rozkoszować ciepłymi promieniami słońca i łagodnym wiatrem owiewającym jej skórę.

Cyrus z szerokim uśmiechem szarpnął lejce i rydwan gwałtownie ruszył. Strażnicy królowej rozpierzchli się na boki, bo inaczej część z nich by rozjechał.

– Przepraszam, muszę się do niego przyzwyczaić! – krzyknął przez ramię.

Pasażerka jednak słusznie odgadła, że książę celowo szarpnął rydwanem. Cyrus podrzucił lejcami jeszcze raz i konie przeszły do galopu. Królowa usłyszała jego nawoływania, a tymczasem pojazd mknął coraz szybciej, oddalając się od armii zgromadzonej, by zrobić na niej wrażenie. W pewnej chwili nabrali prędkości przerażającej i zarazem fascynującej, a do królowej powróciły wspomnienia z czasów, kiedy Cyrus ścigał się z przyjacielem wzdłuż brzegów wielkiej rzeki. Pomyślała, że wciąż doskonale powozi. Gdy mknęli po równinie, zawdzięczając prędkość sile i doświadczeniu księcia w prowadzeniu dwukołowego pojazdu, Epyaksa obserwowała jego plecy, podziwiała, jak umiejętnie utrzymuje równowagę, i przypominała sobie, jak poruszały się mięśnie jego ramion, kiedy trzymał ją w objęciach. Do oczu napłynęły jej łzy, a ona nie wiedziała, czy są to łzy tęsknoty za utraconą młodością czy za utraconą miłością, czy też po prostu łzy, które wywołał wiatr i kurz.

14

Po wykonaniu dzikiej pętli na bezdrożach Cyrus zwolnił i już znacznie spokojniej poprowadził rydwan w kierunku czekających oddziałów. Następnie, przejeżdżając wzdłuż nich, zatrzymywał się nawet co jakiś czas, aby młoda królowa mogła wysiadać i rozmawiać z najstarszymi oficerami. Epyaksa wydawała się czuć bardzo dobrze zarówno wśród Greków, jak i wśród Persów. Cyrus obserwował Klearchosa wyjaśniającego jej coś niemal ojcowskim tonem, mocno wypinającego pierś w czasie rozmowy. A kiedy uścisnęła rękę Orontasowi, ten zaczerwienił się jak chłopak. Poklepała obu lekko po ramionach i uśmiechnęła się, wprawiając ich w zachwyt. Książę trwał u jej boku, delektując się gorącym dniem, który tak źle się zaczął i tak dobrze kończył. Nie mógł nie rozmyślać z melancholią, jakże inne mogłoby być jego życie, gdyby Epyaksa przyszła do niego tego ostatniego wieczoru, kiedy czekał w cyprysowym zagajniku. Była to najdłuższa noc w jego życiu. O świcie, nie doczekawszy się dziewczyny, po prostu wsiadł na konia i odjechał.

Żołnierze stali w pełnym słońcu, nieosłonięci przed żarem przez godziny, które zdawały się wiecznością. Kilku zemdlało i zostało wyniesionych na bok, żeby wydobrzeli. A Cyrus i królowa odczuwali dziwne zmęczenie, kiedy schronili się w pawilonie, który Parwiz kazał postawić dla nich na wieczorny posiłek. Oddziały po inspekcji odeszły do obozu odległego o trzy mile. Tam żołnierze, po całym dniu spędzonym w piekielnym upale, mieli się najeść i wypocząć. Byli spoceni i znużeni, jednak uśmiechali się,

kiedy widzieli w oczach księcia uwielbienie dla młodej kobiety. Wielu z nich wykonywało sprośne gesty, jednak nie wtedy, kiedy patrzyli na nich oficerowie, którzy mogliby nawet ich ukarać odrąbaniem ręki.

Orontas, Ariajos i Klearchos zasiedli wraz z innymi dowódcami przy długim stole, który sklecono na ten szczególny dzień. Cyrus i Epyaksa zajęli miejsca naprzeciwko siebie, jednak stół był zbyt szeroki, aby ich dłonie mogły się dotknąć. Klearchos zauważył, że pomiędzy kolejnymi daniami książę kładzie prawą rękę przed sobą na obrusie, szeroko rozkładając palce. Nie wiedział, czy Epyaksa robi to celowo, jednak ułożyła na stole lewą dłoń w taki sam sposób. Spartanin uśmiechnął się; był pewien, że prędzej czy później te dłonie się dzisiaj zetkną.

Orontas całe zainteresowanie poświęcił jedzeniu. Cyrus podał swoim gościom wszystko, co miał najlepszego, i w szczególności Persowie wzdychali z zachwytem na widok mis przepełnionych szafranem, kardamonem i płatkami róży – przyprawami o wiele za drogimi, aby dodawać je do zwykłego mięsa i chleba przeznaczonego dla żołnierzy.

Wokół stołu zasiedli i inni greccy dowódcy, którym pozwolono na ucztowanie z księciem i jego gościem. Proksenos zagarnął dzban z winem, jakby należał tylko do niego, mimo że służący uwijali się przy stole jak pszczoły, nie pozwalając, aby ktoś z biesiadników miał chociaż przez chwilę pusty kielich. Netos Stymfalijczyk śmiał się wniebogłosy, rozprawiając o czymś z Tesalczykiem Menonem, i obaj zrobili wielce zaskoczone miny, kiedy odkryli, że wszyscy się im przyglądają. Wino płynęło strumieniami, powoli opadał kurz dnia, a piekące słońce skryło się za horyzontem, jednak przynajmniej część mężczyzn miała wrażenie, że płonie im skóra, jakby jakaś doza gorączki dzisiejszego dnia zamknęła się w ich ciałach. Wszyscy byli natomiast ludźmi taktownymi, a nie tylko Klearchos dostrzegł niby przypadkowe ruchy dłoni księcia i królowej.

W efekcie zaczynali rozmawiać coraz ciszej, jedli w umiarkowanym pośpiechu i nie żądali dodatkowych porcji. Oficerowie jeden po drugim opróżniali do dna kielichy, wycierali noże w obrus, po czym wstawali od stołu i skinieniem głowy żegnali Cyrusa oraz królową.

Książę nie pił wina tego wieczoru, obawiając się, że jego żołądek zaprotestuje. Gdy od stołu odszedł ostatni z dowódców, muzycy weszli do wyścielanego poduszkami namiotu, aby wypełnić powietrze miłymi dla ucha pieśniami i dźwiękami liry. Pod wpływem impulsu Cyrus nagle się podniósł i po chwili usiadł przy stole obok Epyaksy.

– Tak będzie lepiej – powiedział. – Gdybym pozostał na swoim miejscu, z powodu muzyki nie słyszałbym twoich słów. Dziękuję, że do mnie przyjechałaś. To był wspaniały dzień, niemalże klejnot pośród dni mijających w trudzie i znoju. Widziałaś moją armię, widziałaś żołnierzy. Czasami są bardzo trudnym towarzystwem. Kiedy cię zobaczyłem, zatęskniłem za rozmowami, jakie prowadziliśmy przed laty. Pamiętasz?

– Oczywiście – odparła królowa.

Ujął rękę, którą Epyaksa trzymała na stole. Zorientował się, że kobieta drży. Nagle zrobiło się bardzo intymnie i Cyrus zaczął mówić o tym, co najbardziej się teraz liczyło.

– Czekałem na ciebie całą noc i dopiero nad ranem pogodziłem się z tym, że jednak nie przyjdziesz. Jeszcze o świcie wmawiałem sobie, że wciąż panuje mrok, i poddałem się, kiedy już w całej krasie widziałem zagajnik i zielone wzgórza na horyzoncie.

– Powinnam była kogoś posłać, żeby ci powiedział – odparła królowa. – Przepraszam.

– Nie, po prostu dokonałaś wyboru. A ja po prostu musiałem sobie pójść i rozpocząć inne życie.

– Nie ożeniłeś się – zauważyła Epyaksa i pochyliła się ku Cyrusowi.

Książę wzruszył ramionami, chociaż jej słowa uderzyły go jak cios ostrym sztyletem. Zmusił się do śmiechu.

– Nie potrafiłem znaleźć innej… która by ci dorównywała. Czy to nie śmieszne?

– Nie. Zastanawiałam się wiele razy…

Cyrus dostrzegł wahanie kobiety.

– Nad czym się zastanawiałaś? Powiedz, Epyakso, nikt nas nie słucha.

– Zastanawiałam się, jak wyglądałoby moje życie, gdybym przyszła do ciebie tamtej nocy. – Obróciła dłoń w jego ręce. Był to niecierpliwy ruch przypominający zachowanie ptaka moszczącego sobie gniazdo. Nie wycofała jednak dłoni. – Syennesis to zimny człowiek. Z trudem byś go dzisiaj poznał. Bywa, że całymi dniami i tygodniami nie odzywa się do mnie ani słowem. A jednak gdybym nie poszła do niego, zamiast do ciebie, nie miałabym dzisiaj moich synów. To takie zagmatwane. Gdyby nie oni, myślę… – Pokręciła głową i zamknęła oczy, a spod jej czarnych jak węgiel rzęs wypłynęła łza, wyraźnie odznaczając się na policzku.

Cyrus powoli przyciągnął jej dłoń do ust i pocałował ją. Poczuł, jak dreszcz w tym momencie wstrząsnął kobietą.

– Myślałem o tobie każdego wieczoru, kiedy zachodziło słońce – powiedział.

– Proszę, nie rozmawiajmy już – wyszeptała Epyaksa. – Odeślij służących.

* * *

Nad ranem Klearchos przeszedł trzy mile dzielące obóz żołnierzy od namiotu. Zobaczył Cyrusa i Epyaksę jedzących śniadanie i leniwie rozkoszujących się słońcem wczesnego poranka. Dzień był chłodny, na

ziemi perliła się rosa, jednak pod wpływem gorących promieni wkrótce miała wyparować.

– Wodzu! Mam nadzieję, że do nas dołączysz – zawołał Cyrus.

Klearchos ukłonił się im obojgu i siadając, grzecznie przywitał się z królową. Podano mu plastry melona, figi i lekki ser. W takim towarzystwie, świadomy uczucia Cyrusa do Epyaksy, Klearchos na pewno nie mógł wspomnieć ani o pustej szkatule, ani o podobnych problemach. Przez długi czas jadł w ciszy i tylko popatrywał, jak młodzi co chwilę spoglądają sobie w oczy.

– Jeśli odwieziesz mnie do pałacu, Cyrusie, każę jeszcze dzisiaj wysłać do ciebie z powrotem i rydwan, i wozy – powiedziała cylicyjska królowa. – Tak jak… ustaliliśmy.

Książę dotknął jej dłoni w taki sposób, jakby gest ten był dla niego najnaturalniejszą rzeczą na świecie. Epyaksa, świadoma towarzystwa Spartanina, zaczerwieniła się, mimo że Klearchos uważnie wpatrywał się w tej chwili w swój talerz.

Cyrus wstał i podał królowej rękę. Jego oczy płonęły miłością, a w głowie trwały wspomnienia nocnych rozmów, których Klearchos nie słyszał.

– Chodź, moja kochana. Zawiozę cię do męża i synów.

Kiedy królowa wstawała, jej oczy błyszczały; Klearchosowi przyszło do głowy, że jest bliska płaczu. Przeżuwając skórkę melona, obserwował, jak odchodzi razem z Cyrusem. Pragnął, aby jej zbliżenie z księciem dało efekt w postaci pieniędzy, których potrzebowało wojsko. Lubił Cyrusa, jednak młody książę musiał zapłacić najemnikom albo wkrótce obywać się bez nich. Miesiąc lub dwa zwłoki mogli tolerować, lecz gdyby nie dostali swojego srebra przez dłuższy czas, zawarta przez nich umowa przestałaby obowiązywać i po prostu opuściliby księcia. Grecy znali swoją wartość,

a i Persowie byli przyzwyczajeni do regularnych wypłat co miesiąc. Cyrus nie mógł tego lekceważyć. Klearchos pomyślał, co młody książę zrobił, żeby zdobyć pieniądze, lecz wydawał się mu zadowolony z siebie. A właściwie był w najlepszym nastroju od bardzo wielu dni. Spartanin przypomniał sobie twarze dwóch kochanek Cyrusa, które podróżowały na wschód razem z wojskiem. Jedna z nich była bardzo podobna do królowej Cylicji.

Pomyślał o własnej żonie i synach. W jego małżeństwie nie było miłości, przynajmniej na początku, chociaż miał wielki szacunek dla swojej Kalandry. Od wszystkich Spartan wymagano, aby przed wkroczeniem na ścieżkę wojownika zostawali ojcami. Nakazywał to zwykły rozsądek, zważywszy na niebezpieczeństwa związane z zawodem, który uprawiali. Klearchos ciężko westchnął. W latach, kiedy brał udział w jednej wojnie za drugą, raz czy dwa razy zaznał miłości. Dawniej uważał, że to ważne uczucie, teraz już mu się takie nie wydawało. Wciąż jednak je pamiętał i zazdrościł parze młodych ludzi, chociaż w ich oczach dostrzegał jedynie żal i świadomość wielkiej straty.

* * *

Kiedy Cyrus wrócił, towarzyszyło mu sześć wozów, a rydwanem powoził ten sam oficer, który poprzedniego dnia przywiózł królową. Klearchos i Proksenos wraz z Orontasem zaczęli przeglądać zawartość skrzyń. Trzej poważni mężczyźni wsuwali ręce w złote i srebrne monety, śmiejąc się z ulgą. Pieniądze były gwarancją przyszłości. Z całej trójki jedynie Orontas mógł nie wiedzieć, jaki jest cel wielkiej wyprawy, ale Pers nie był głupcem. Doskonale rozumiał, że księciu przydarzyło się jakieś poważne niepowodzenie, skoro nagle stracił możliwość pożyczania pieniędzy.

A monety oznaczały także jedzenie, naprawy starego i kupno nowego uzbrojenia oraz długie miesiące w polu, które bez srebra i złota trwać by nie mogły. Monety oznaczały wojnę, oznaczały, że nadchodzi czas, aby wielka armia, którą zgromadził książę, stanęła do walki.

Dla Klearchosa i Proksenosa skrzynie oznaczały szansę uczynienia księcia królem. Spora część ich zawartości miała trafić do bankierów w perskich miastach położonych wzdłuż Drogi Królewskiej. Dowody wpłat miały zostać z kolei wywiezione przez posłańców na zachód, aż na skraj imperium, gdzie Grecy na powrót zamienią je na brzęczącą monetę. Te pieniądze sprawią, że Sparta wciąż będzie bezpieczna i silna, pozwolą Atenom budować okręty, a Ateńczykom pisać sztuki teatralne i spierać się na posiedzeniach rady. Jakiekolwiek byłoby ich przeznaczenie, jak szlachetny lub nie cel ich wydawania, kreowanie każdej rzeczywistości zawsze wymaga złota i srebra.

Kiedy nieprzebrana kolumna ruszała w drogę dwa dni później, Cyrus wydawał się przygnębiony. Żołnierze szli od granicy Cylicji na wschód. Książę przez długie godziny po prostu stał, patrząc, jak go mijają kolejne oddziały, jakby czekał, aż ogromna fala ludzi pochłonie go i zabierze ze sobą. Żołnierze szli z wyprostowanymi plecami, dumnie się prezentując przed swoim wodzem, jednak Cyrus jakby ich nie dostrzegał – myślami wciąż wracał do chwil w ramionach kobiety, która ofiarowała mu tylko jedną noc. A jemu przecież było mało. Gdyby go poprosiła, książę posłałby całą armię, aby ją wyzwoliła dla niego. Kazałby powiesić jej męża, a następnie by odjechał, nie oglądając się. Ona jednak nie poprosiła. Uznał, że Epyaksa kocha swoich synów i zapewne również mężczyznę, którego poślubiła. Serce kobiety to skomplikowany instrument, rozmyślał. Epyaksa dała mu tylko jedną noc, on jednak czuł, że nie była to noc ostatnia.

– Wrócę tutaj – szeptał do siebie. – Kiedy wypełnię moje obietnice. Znowu cię zobaczę.

Przez następne dni armia księcia przebyła sześćdziesiąt sześć mil. Trasa była łatwa, a dni przyjemne, Klearchos jednak nalegał, aby za każdym razem, kiedy na drodze pojawiała się rzeka, napełniać wodą wszystkie puste beczki i butelki. Oznaczało to stratę całych popołudni, ale bezustanny upał stanowił zagrożenie. Żołnierze się pocili, musieli więc pić. Gdy tylko docierali do miasta albo natrafiali na bazar, Cyrus kupował sól. Pot mężczyzn zasychał na biało i doświadczeni żołnierze wiedzieli, że bez soli będą coraz słabsi i bardziej oszołomieni, a w końcu niezdolni do marszu.

Skrzynie, które Cyrusowi dostarczyła Epyaksa, przyniosły ulgę. Cyrus nie zapytał, czy jej mąż miał coś przeciwko zabraniu ze skarbca fortuny i podarowaniu jej dawnemu zalotnikowi. Za to obiecał sobie, że kiedy dotrze na miejsce i stanie naprzeciwko brata, spłaci wszystkie długi. Sprawiedliwość musiała poczekać, aż dokona się zemsta.

Podróżując ramię w ramię z Klearchosem i Proksenosem lub Orontasem i Ariajosem – na zmianę dostępowali tego zaszczytu – wychylał głowę za każdym razem, kiedy do jego nozdrzy docierał zapach jaśminu kojarzący mu się z Epyaksą. Zanim przyjechał do Cylicji, była tylko odległym, niemal całkowicie zapomnianym bolesnym wspomnieniem. Lecz teraz, kiedy oddalał się od niej po raz drugi, ból był ostrzejszy, zbyt silny, aby o nim zapomnieć.

* * *

W Persepolis Tissafernes wykąpał się i zanim wstało słońce, poddał się relaksującym masażom. Znowu cieszył się z lamp świecących po zmroku i z wszystkich innych darów cywilizacji, z których mógł korzystać. Kiedy

po stromych stopniach dotarł konno do posterunku i bramy dającej wstęp na płaskowyż, był spokojny i odświeżony. Słońce wznosiło się nad horyzont po drugiej stronie murów, stanął więc w cieniu, gdy świat za jego plecami mienił się złotem. Odwrócił się. Przypomniał sobie, jak przystanął w tym samym miejscu z młodym księciem u boku i trzystoma Spartanami, a w raju rozciągającym się za bramą dogorywał na łożu śmierci król Dariusz. Teraz owiewała go delikatna bryza wczesnego poranka i uśmiechnął się na myśl o tym, jak wiele rzeczy się od tamtego czasu zmieniło. Umocniły się jego wpływy. Zasiadał po prawej ręce wielkiego króla. Nawet książę Cyrus się speszył, odczuwszy na sobie działanie jego nowej władzy.

Bramę otworzyli żołnierze, którzy natychmiast padli przed nim na ziemię. Tissafernes docenił ten gest, chociaż jego formalna pozycja była niepewna. Jego osobiści służący i niewolnicy zwracali się do niego oczywiście „panie”, jednak człowiek we własnym domu mógł wybrać dla siebie każde określenie. Tissafernes aż za dobrze wiedział, że na dworze jest zaledwie zaufanym człowiekiem władzy, dobrym towarzyszem. Brak oficjalnego tytułu drażnił go jak cierń pod skórą i miał nadzieję, że Artakserkses zlikwiduje ten problem, kiedy przedstawi mu raport z podróży. Przecież z dala od dworu i wygód przebywał przez sześć miesięcy. Taka próba, taka niedogodność bez wątpienia zasługiwała na nagrodę.

Ogrody jak zawsze były doskonale utrzymane; niewolnicy mieli obowiązek zbierać z ziemi każdy liść i strzyc krzewy tak doskonale, żeby wyglądały raczej jak sztuczne twory niż dzieła natury. Tissafernes ubrany był w luźne szaty i sandały. Ruszył za dworzaninem ocienionymi ścieżkami, jednak nie skierowali kroków ku pawilonowi, gdzie zmarł stary król, bo dawno już go rozebrano, a na jego miejscu posiano trawę, którą

teraz intensywnie podlewano, żeby się zakorzeniła. Poprzekładano nawet kamienie wyznaczające ścieżkę, która prowadziła w tamtym kierunku. Te zmiany bardzo Tissafernesa usatysfakcjonowały. Zresztą panująca tutaj dbałość o wszelkie aranżacje była tak niesamowita, że niemal bolesna. A tak wielu ludzi na świecie przez całe życie doglądało jedynie skrawka brudnej ziemi, żeby móc funkcjonować zaledwie z dnia na dzień. Świadomość, ile piękna można stworzyć dzięki wolności i nieograniczonemu dobrobytowi, przynosiła samą radość. Tissafernes nie potrafił sobie wyobrazić, by na świecie mógł istnieć jakikolwiek ludzki twór lepszy od perskiego dworu. Członkowie perskiej rodziny królewskiej byli dla zwykłych ludzi niczym bogowie. A to sprawiało, że on sam był towarzyszem bogów; świadomość własnej sytuacji wielce starego człowieka zadowalała.

Ujrzał przed sobą Artakserksesa. Władca stał na skraju pola z czarnym rogowym łukiem w dłoniach. Łuk miał pozłacane końce i wyglądał na to, czym w istocie był: złowrogą, śmiercionośną broń. Zbliżając się do króla, Tissafernes uważnie się temu łukowi przyglądał. Znalazłszy się przed władcą, rzucił na ziemię lekki dywanik – nie chcąc zabrudzić czystej jedwabnej szaty – i legł przed królem na brzuchu, układając dłonie nad głową w geście posłuszeństwa. Artakserkses mógł w każdej chwili przerwać ten pokłon, jednak gdy Tissafernes padał, spokojnie podziwiał doskonały kształt długiej strzały. Syn po śmierci ojca wzorował się na jego postępowaniu za życia. Wciąż się domagał, aby przy oddawaniu mu honorów poddani stosowali pełne rytuały, chociaż bez wątpienia uważał te akty poddaństwa za konieczne dla podkreślania powagi tronu, a nie za schlebianie swoim osobistym gustom.

Kiedy Tissafernes w końcu wstał, król umieścił strzałę na cięciwie i popatrzył na pole w kierunku sześciu niewolnic chodzących w tę

i z powrotem z tarczami Spartan nad głowami. Tissafernes zobaczył, że kobiety są młode i piękne, ubrane w tuniki, a nogi mają obnażone aż do górnej części ud. Napatrzył się w życiu na takie widoki i zabawy, król był jednak młody i jeszcze nie znudziły go tego typu szczególne polowania. Opowiadano, że kobiety, wybrane ze względu na nieprzeciętną urodę, zwożono do niego z całego imperium. Niektóre zachowywał dla siebie na dłużej, inne dawał w nagrodę swoim żołnierzom.

Tissafernes pamiętał, że zadanie chodzenia po polu z tarczą – będącą celem dla prób strzeleckich Artakserksesa – zawsze otrzymywały dziewczęta, które wypadły z królewskich łask. Nie była to w rzeczy samej kara, lecz swego rodzaju oznaka królewskiego niezadowolenia lub też ostrzeżenie. Tissafernes westchnął. Jego pan był surowy, twardy wobec kobiet, jednak z wiekiem na pewno złagodnieje, jak wszyscy mężczyźni.

– Popatrz tylko, Tissafernesie – rzucił król przez ramię.

Naciągnął cięciwę i zwolnił ją łagodnie, posyłając strzałę w kierunku tarczy, która znajdowała się najdalej od niego. Strzała uderzyła w cel z taką energią, że trzymająca tarczę kobieta przewróciła się na ziemię i przez chwilę zabawnie wierzgała nogami. Król odchrząknął z satysfakcją. Nie rozglądając się, podniósł rękę i niewolnik wsunął między jego palce kolejną strzałę o doskonałym kształcie. Milczał, posyłając w powietrze trzy kolejne pociski; wszystkie trafiły w cel. Żadna z kobiet już się jednak nie przewróciła, chociaż siła uderzenia za każdym razem była ogromna i przyjąwszy je, kobiety z trudem utrzymywały pozycję pionową.

– Jesteś doskonałym łucznikiem, panie. Zrobiłeś wielkie postępy i jesteś prawdziwym mistrzem.

Tissafernes starał się przypochlebić władcy, jednak Artakserkses ćwiczył strzelanie z łuku każdego dnia i zasłużył na pochwałę. Mimo wszystko ludzie w większości uważali go, porównując umiejętności obu książąt, za

mniej wprawnego w sztuce wojennej. Prawda była taka, że Artakserkses z dnia na dzień rósł w siłę, jednak świat o tym nie wiedział. Tissafernes wiedział lepiej niż większość mieszkańców imperium, że król potrafi doskonale władać mieczem, włócznią, a także łukiem. Niektórzy mężczyźni po prostu rodzą się wojownikami; wszyscy o tym doskonale wiedzieli. Wiedzieli też, że bywają wojownicy z natury śmielsi, szybsi i bardziej gibcy od innych. Posiadali umiejętności, które osobom niewyszkolonym w boju wydawały się magiczne. Istniała jednak droga, aby im dorównać, chociaż powolniejsza i wymagająca dużego samozaparcia. Aby osiągnąć mistrzostwo, można było po prostu ciężko pracować dzień po dniu, doskonalić umiejętności. Artakserkses był tego dowodem. Jeśli mężczyzna był zdyscyplinowany, jego kości stawały się twardsze, muskuły osiągały sprężystość lin, a on sam stawał się gibki i skoczny. Jego ciało można było tak przygotować, aby reagowało z niewiarygodną szybkością. Artakserkses każdego poranka wylewał siódme poty, ćwicząc się w sztuce walki. Ćwiczył nie tylko z niewolnikami, sprowadzał na dwór znakomitych mistrzów miecza, aby go szkolili. Mawiano, że książę Cyrus jest urodzonym wojownikiem. Artakserkses został wojownikiem dopiero dzięki bezustannym ciężkim ćwiczeniom. Tissafernes dostrzegał to już, patrząc na sposób poruszania się króla. Mężczyzna, który jeszcze niedawno był zaledwie zdyscyplinowanym uczniem, przemienił się w panterę ubraną w piękną szatę.

Po kolejnych dziesięciu strzałach król powiódł dłońmi po przedramionach. Poczuł, jak pod skórą przesuwają się mięśnie, i lekko się skrzywił. Wręczył śmiercionośny łuk niewolnikowi i stanął na chwilę przed podwładnym.

– Doskonale, Tissafernesie. A teraz zdaj mi relację. Opowiedz, jak mój drogi brat liże rany na Zachodzie.

Król ruszył ścieżką i Tissafernes musiał się bardzo starać, aby dotrzymać mu kroku. Zostawili za sobą niewolników i szli przez zielone pole do miejsca, w którym skraj płaskowyżu odcinał niebo od dalej położonego terenu. Artakserkses pomachał kobietom z tarczami i niewolnice natychmiast zaczęły się oddalać, aby nie rozpraszać uwagi króla. Tissafernes nie mógł się powstrzymać i popatrzył z podziwem, kiedy go mijały, opierając na ramionach złote tarcze, a ich kształtne, opalone nogi błyszczały w słońcu. Miał w końcu sześćdziesiąt dwa lata, a nie osiemdziesiąt.

Artakserkses dotarł na skraj płaskowyżu i postawił prawą nogę w taki sposób, że połowa stopy wystawała za urwisko. Ptaki zataczały leniwie koła u podstawy gór, Tissafernes i król znajdowali się więc ponad nimi. Pierwsza stolica rozpościerała się u stóp Artakserksesa labiryntem dróg i zielonych ogrodów, sprawiając z wysokości wrażenie, jakby zieleń przecinały srebrzyste pasemka. W powietrze wąskimi strużkami unosił się dym z palenisk i piekarni, tworząc nad miastem lekką mgiełkę. Widok ten wywołał w Tissafernesie zarówno strach, jak i zachwyt. Nie groził mu upadek w przepaść, a jednak umysł nie potrafił tego poprawnie zrozumieć. Pewna jego część rozpoznała zagrożenie związane z bliskością ogromnej przepaści i żołądek zaczął mu podchodzić do gardła.

– Wasza Królewska Mość, spotkałem księcia Cyrusa na zachodnim skraju imperium, gdzie wciąż trzyma się z Grekami i innymi najemnikami. Przebywałem dwanaście dni w Sardes i miałem wiele okazji, aby obserwować i księcia, i ludzi go otaczających.

– I co zobaczyłeś, Tissafernesie? Posłałem cię na tę wyprawę, ponieważ znasz Cyrusa lepiej niż inni. Jest lojalny? Wciąż jest lojalny?

Tissafernes wziął głęboki oddech. Przed tą rozmową przeczytał własne notatki i raporty, które wielokrotnie otrzymywał w drodze. Zmagał się

z myślami i układał odpowiedź na to proste pytanie niemal na każdym etapie niekończącej się podróży do domu. Podczas miesięcy wędrówki, które oddzielały Zachód od serca imperium, wiele spraw mogło się zmienić i pisane przez długi czas raporty wcale nie musiały być dokładne. Niemniej naocznych obserwacji miał wiele.

– Panie, nie wierzę w jego lojalność – powiedział.

Artakserkses gwałtownie się odwrócił, aby spojrzeć mu w twarz. Zapomniał o pięknym widoku, jego twarz stężała i patrzył na Tissafernesa wzrokiem drapieżnego jastrzębia, ogromnie przypominającym spojrzenie ojca.

– Jesteś pewien? Waż każde słowo, Tissafernesie. To, co powiesz, może rozpętać wojnę.

Tissafernes przełknął ślinę i kontynuował:

– Wasza Królewska Mość, w Sardes rozmawiałem z trzema szpiegami. Wszyscy powiedzieli mi, że książę zgromadził wielką liczbę żołnierzy. Ogromną, mój panie. W samej istocie nie jest to rzecz zaskakująca, bo w okolicy ludzie bezustannie rozprawiają o zagrożeniu ze strony górskich plemion i niebezpieczeństwie rebelii.

– A jednak uważasz, że Cyrus zwraca się przeciwko mnie, przeciwko swojemu domowi?

Tissafernes powoli pochylił głowę.

– Zgromadził dziesięciu greckich wodzów i jeszcze więcej dowódców perskich. Grecy są kluczowi, panie, dla moich wniosków. Persowie są skoncentrowani w wielkich grupach, ale Grecy są po prostu porozrzucani po całym Zachodzie. Mam raporty z Krety, z Aten, z Lidii i z Cypru. Oni zazwyczaj tylko szkolą się w tych miejscach, ale odpowiedzieli na wezwanie twojego brata i stanęli u jego boku w zamian za perskie złoto.

– Ilu ich jest? – zapytał Artakserkses.

Nie wydawał się zaniepokojony wiadomościami. Tissafernes zauważył, że jest z nich raczej zadowolony.

– Nikt nie może być tego pewien, mój panie. Rozmawiałem z człowiekiem, który mówił o trzydziestu tysiącach Greków, inny wspomniał zaledwie o ośmiu tysiącach. I to stanowi główne źródło moich podejrzeń. Jeżeli twój brat dowodzi siłami korony, dlaczego rozbija oddziały na grupy?

– Twoje wnioski, Tissafernesie?

– Jestem przekonany, że Cyrus gromadzi armię, która tutaj nadejdzie. Książę chce sięgnąć po koronę i po samo imperium.

Ku zaskoczeniu starego człowieka Artakserkses odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się tak serdecznie, że zaczęły mu łzawić oczy.

– Żałuję… och, żałuję, że nie ma tu mojego ojca i cię nie słyszy. On to przewidział, wspomniałem ci kiedyś o tym? Z radością opowiem matce, co przyniosło jej źle skierowane miłosierdzie, jaką glistę ocaliła od śmierci i jakie niebezpieczeństwo sprowadziła w ten sposób na nas wszystkich. – W miarę jak mówił, jego głos stawał się twardszy. Kiedy skończył, zniknęła cała jego wesołość. – Doskonale, Tissafernesie. Dziękuję ci za wielką pracę. Udowodniłeś swoją użyteczność i jestem ci bardzo wdzięczny. Być może ocaliłeś mi życie, dlatego obdarzam cię tytułem „pira”. Jesteś mądrym starym człowiekiem i wszystkie osoby niższego stanu będą się odtąd zwracać do ciebie „mój panie” i mówić o tobie „pir Tissafernes”. Mój urzędnik przygotuje postanowienie w tej sprawie i wręczy ci egzemplarz.

Tissafernes rzucił się jak długi na ziemię, nie rozwijając dywanika. Kurz sprawił, że zaczęły mu łzawić oczy, uznał jednak, że w tych okolicznościach to bez znaczenia.

– Wasza Królewska Mość, jestem głęboko poruszony. Zbyt wielkim zaszczytem mnie obdarzyłeś.

– Wcale nie, Tissafernesie. Czyż nie mam prawa nagrodzić cię za dobre wieści?

– Dobre wieści, mój panie?

– Oczywiście! Przecież moim zadaniem jest poprowadzić na wojnę armię imperium, jak od dawien dawna czynią to królowie. Będziesz mi towarzyszył, Tissafernesie. Zawsze z entuzjazmem rozprawiałeś o czasach, które spędziłeś w wojsku. Ucieszę się, widząc, jak przypominasz sobie złote dni młodości.

Tissafernes mógł teraz jedynie wyrazić wobec króla bezgraniczny zachwyt nową perspektywą, chociaż na myśl o kolejnych miesiącach w siodle najchętniej zapłakałby z bezsilności.

Król popatrzył na stolicę imperium śpiącą u ich stóp.

– Jeżeli mój brat życzy sobie stanąć naprzeciwko mnie w bitwie, chyba go zaskoczę, co? – Artakserkses powoli zacisnął pięść, wzniósł ją ku słońcu i kontynuował takim tonem, jakby składał przysięgę: – Mój ojciec bez wątpienia będzie na nas spoglądał z góry. Jeżeli na pole bitwy wyjdą dwaj bracia, książęta, pod koniec pozostanie przy życiu tylko jeden z nich, pir Tissafernesie. Ciało drugiego nakarmi kanie i wrony. Taki jest porządek świata.

15

Po wielodniowej trudnej podróży Cyrus zatrzymał swoich ludzi w Tapsakos. Miasto było wiekowe i bogate, a książę marzył o kąpieli oraz odrobinie spokoju wśród bogactwa, w bezpiecznym miejscu. Nad miastem wznosił się wielki biały łuk, a wzdłuż jego murów płynął Eufrat. Tapsakos rozłożyło się przy zakolu tej starożytnej rzeki, początkowo jako miejsce pojenia zwierząt i handlu wszelakimi dobrami. W ciągu niezliczonych pokoleń miasto zyskało rolę jednego z największych węzłów komunikacyjnych regionu. Rynek przypraw i niewolników wymagał przestrzeni, a ludzie dorobili się takich bogactw, że stać ich było na zbudowanie ulic, parków i pałacu satrapy. Był to kraniec zachodniego świata, ostatnie miejsce, w którym utrzymywała się cywilizacja. Dalej były już tylko gorące bezkresne pustynie i góry.

Cyrus wprowadził swoją kolumnę do miasta, kwaterując w nim tak wielu ludzi, jak to tylko było możliwe. Przekupnie na bazarze sprzedawali zarówno wiadomości, jak i szafran, cukier, kość słoniową czy żelazne gwoździe. Dlatego już po godzinie Cyrus dowiedział się, że Tissafernes przed miesiącem dotarł do Suzy i spędził tam cały dzień, po czym wyjechał.

Wczesnym wieczorem każda stajnia w mieście pełna była ludzi, którzy kwaterowali też we wszystkich piwnicach i magazynach, w każdym domu. Cyrus zapełnił swoimi żołnierzami królewski park, zezwalając im

wypocząć w ogrodach, które zaprojektował jego dziadek. Mimo to wciąż brakowało miejsca dla wszystkich.

Dlatego także poza murami miasta robotnicy towarzyszący wojsku rozbili w kręgu namioty i rozstawili wozy. Przygotowali prowizoryczne kuźnie i warsztaty, stoiska z żywnością i latryny. W letnich miesiącach żołnierze nie wymagali porządnych kwater. Chociaż porywiste wiatry unosiły czasami nad ziemią tumany pyłu, większość ludzi spała pod gwiazdami, zadowalając się okryciem z koców lub płaszczy.

Kiedy słońce nad horyzontem przybrało purpurową barwę, najważniejsi oficerowie przyszli do małego pałacu królewskiego, który objął jako kwaterę książę Cyrus. Doskonałość tej budowli ich przytłaczała. W każdym pomieszczeniu, w każdej niszy płonęła oliwa w złotych misach lub paliły się grube łojowe świece. Samo światło było symbolem dobrobytu i władzy, przydając ludziom wieczorem ochoty na prywatną pohulankę lub na uczestnictwo w jakimś sekretnym rytuale.

W apadanie Cyrus wolał od razu stanąć wśród swoich ludzi, niż witać w progu każdego, kto do niej wchodził. Zdawał się prowadzić jakąś beztroską rozmowę z Klearchosem, nie interesując się przybywającymi gośćmi, jednak w gruncie rzeczy wszystkich taksował uważnym wzrokiem. Pałacowa sala biesiadna była jednym z niewielu miejsc w Tapsakos, gdzie mógł przemówić do wszystkich swoich dowódców. W miastach perskich nie budowano teatrów, jednak Cyrus miał zamiar to zmienić po pokonaniu brata. Skoro król mógł przebudować górę, jego syn bez wątpienia mógł przebudować imperium.

W ciągu sześćdziesięciu dni, które spędził w drodze, książę poznał z imienia oficerów, którzy byli mu bezpośrednio podporządkowani, a także imiona wielu żołnierzy niższej rangi. Te dwa miesiące stały się dla niego – kiedy teraz patrzył w przeszłość – jakby odprężającym snem, okresem

wspólnej podróży bez żadnych pilnych zadań, prawie bez zakłóceń i niemal bez niebezpieczeństw. W tym okresie ich nie przybyło, mimo że od rozpoczęcia długiego marszu na wschód napotkał ich wiele. Nie mógł zmusić ludzi, by maszerowali szybciej; nawet pośpiech wymagał rozsądku. Zresztą jego armia poruszała się jak strzała wystrzelona z łuku – nie można już było jej cofnąć.

Tak jak obiecał Klearchos, wieczorami i podczas postojów wciąż prowadzono ćwiczenia, jednak w gruncie rzeczy żołnierze przede wszystkim maszerowali. Trudno, aby ludzie po sześćdziesięciu dniach wspólnego marszu pozostali dla siebie obcy. Cyrus czuł ze wszystkimi związek, który objął go niczym żelazna obręcz. Wiedział już, z którymi spośród oficerów można swobodnie porozmawiać, a których lepiej unikać. Widząc wchodzących do sali takich ludzi, jak Proksenos i Netos Stymfalijczyk, odbierał ich jako przyjaciół i towarzyszy. Czuł się silniej związany z perskimi oficerami, bo dzielił z nimi język i kulturę, której Grecy nie mieli szansy pojąć. Tacy ludzie jak Orontas i Ariajos zdawali się należeć do przeszłości, do świata, który on chciał zburzyć. Gdy obaj weszli do sali, Cyrus poczuł ukłucie niechęci. Mimo wszystko uśmiechnął się do nich. Część ludzi uważała, że lojalności nie można wymusić, jednak Klearchos miał teorię, w której zdaniem Cyrusa tkwiło ziarno prawdy. Nieistotne, co dowódca myślał o swoich ludziach, potrzeba było niewiele, aby wspólna kampania wyryła się w ich pamięci złotymi zgłoskami, które pozostaną przy nich już do końca życia. Książę był dla swoich wodzów tak wspaniałą postacią, że jego zwykłe słowo mogło trafić do ich serc tak skutecznie, jak ostrze sztyletu pomiędzy żebra. Jeśli trafi celnie, dowódcy pójdą za nim nawet na śmierć. Tak radził mu postąpić Spartanin, a Cyrus nie uniósł się niepotrzebną dumą i postanowił tego spróbować.

Książę się zmusił, żeby skinąć głową Orontasowi i Ariajosowi, a po chwili obserwował, jak mężczyźni padają przed nim na posadzkę, równocześnie wykonując identyczne ruchy, obserwowani z zaciekawieniem przez Greków. Oddawszy pokłon księciu, Ariajos pozdrowił kilku innych dowódców, po czym odebrał wielki kielich z winem i przywitał się z tymi, których znał i lubił. Orontas nie miał w sobie takiej swobody i zaczął popijać sok owocowy. Od samego początku Cyrus wyczuwał w tym szczególnym człowieku jedynie chłodne posłuszeństwo. Nie mógł się po nim spodziewać żadnej bliższej więzi ani odrobiny braterstwa. Jeśli nie liczyć Ariajosa, w armii znajdowało się zaledwie kilku perskich oficerów, którzy spoglądali na Cyrusa takim wzrokiem, jakby oślepiało ich słońce. Książę ciężko westchnął. Cóż, jego najważniejszy dowódca był bardzo skrytym i zimnym człowiekiem. Gdyby Orontas skręcił kark, spadając tej nocy z muru miejskiego, Cyrus przyjąłby stratę z wielką godnością. Niestety Orontas nie pił wina. Stanowił doskonały przykład wstrzemięźliwego Persa. Po posiłku prawdopodobnie resztę wieczoru spędzi na modlitwach w świątyni Ahury Mazdy, Pana Mądrości. Upiwszy łyk wina z pucharu, Cyrus potrząsnął głową. Mnóstwo ludzi rodziło się i żyło, nigdy nie zaznawszy poczucia wielkości, taka była prawda o świecie. Orontas był żołnierzem kompetentnym i bystrym, jednak nie uszyto go złotą nicią, nie było w nim głębi. A jeśli nawet była, to bardzo się starał, żeby książę tego nie dostrzegł.

Do sali biesiadnej wszedł Menon Tesalczyk i z zachwytem popatrzył na wysoko sklepiony sufit. U jego boku kroczył Sosis z Syrakuz. Cyrus uśmiechnął się także do tej dwójki, częściowo dlatego, że przypomniał sobie o wielkich kłopotach pewnego młodego Spartanina z poprawnym wypowiadaniem pierwszej litery jego imienia. Klearchos przydzielił go Sosisowi jako adiutanta i młody człowiek musiał oznajmiać pojawienie się

ważnego przywódcy z Syrakuz, gdziekolwiek ten się pojawiał. Za każdym razem Sosis niemal płakał ze śmiechu nad chłopakiem, któremu wraz z każdym kolejnym takim incydentem do śmiechu było coraz mniej.

Wszystkim przybywającym oficerom służący wskazywali miejsce przy stole oraz odbierali od nich ciężkie peleryny i płaszcze. Niektórzy nie siadali od razu i wciąż rozmawiali w niewielkich grupach. Inni natychmiast zajmowali miejsca i kładli swoje noże przeznaczone do jedzenia obok tych, które przygotował dla nich gospodarz. Cyrus dostrzegł, że jeden z Greków spogląda na kawałek melona o sierpowatym kształcie, a następnie sprawdza kciukiem jego „ostrość". Księcia to rozbawiło, chociaż zarazem zwiększyło podziw dla Greków. Grecy stawiali sztuki teatralne ponad poezję, dyscyplinę ponad posłuszeństwo, słowa ponad muzykę. Przez ostatnie lata nauczył się o nich wszystkiego, co tylko mógł – a najwięcej w ciągu ostatnich miesięcy spędzonych w drodze. Zbliżył się do tych mężczyzn bardziej, niż mógłby się spodziewać. Odkrył, że bliskie obcowanie z żołnierzami daje rzadką okazję do wniknięcia w ich dusze. Wiedział już, jak mocno ich sukcesy wojenne opierają się na dumie osobistej i że Grecy nie mają sobie równych na polu walki ani w sztukach pięknych. Skrzywił się, kiedy przypomniał sobie wieczór muzyki perskiej, jaki zorganizował dla swoich dowódców. Wzbudziła ona mnóstwo śmiechu, ale najgorsze było to, że chociaż wszyscy Grecy starali się powstrzymywać śmiech, zupełnie im to nie wychodziło.

Cyrus uważał Orontasa za prawdopodobnie najmniej agresywnego mężczyznę spośród wszystkich swoich dowódców, jednak komentarze Greków na temat perskiej muzyki doprowadziły go do niepohamowanej wściekłości. Trzeba było mocno się natrudzić, aby odwieść go od pomysłu pojedynku o honor z Proksenosem, a przecież Grek prawdopodobnie zjadłby go żywcem.

Pod pewnym względem jego Grecy są barbarzyńcami, przyznawał Cyrus w skrytości. Ale walczyli jak złe duchy Arymana i nigdy się nie poddawali. Uznawał, że to jest właśnie kluczem do ich sukcesów. Nieważne, jaki obrót przybierała bitwa, nawet kiedy w twarz zaglądała im katastrofa i śmierć, nie cofali się. Każda armia perska, z jaką miał kiedykolwiek do czynienia, akceptowała fakt, że bywają chwile, kiedy walka bez wątpienia jest przegrana – kiedy oficerowie nie żyją, a wróg atakuje jak szalony i po prostu zdrowy rozsądek nakazuje, aby uciekać gdzie pieprz rośnie. Taka postawa tkwiła w kulturze imperium. Należało być dumnym z sukcesów, lojalnym wobec oficerów – jednak kiedy ich zabrakło, sytuacja ulegała całkowitej zmianie. W obliczu nieuchronnej klęski nikt nie poczuwał się do obowiązku zawracania rzeki kijem, czasu nie można było cofnąć. Należało spojrzeć w oczy porażce.

Cyrus wyszeptał do Ahury Mazdy prośbę o błogosławieństwo, upiwszy łyk wina i podszedłszy do swojego miejsca u szczytu stołu. W tym momencie dowódcy stanęli na baczność tam, gdzie się znajdowali, albo pośpiesznie powstali z krzeseł. Książę rozejrzał się po sali. Chciał zobaczyć, jakie grupy potworzyli oficerowie, kierując się własnymi sympatiami. Potrząsnął głową; nagle wszyscy zaczęli go denerwować.

Zaczął przemawiać w języku greckim, następnie powtórzył swoje słowa po persku. Lekcje języka także były dla niego częścią długiego marszu, chociaż uczył się go znacznie wolniej, niżby chciał.

– Panowie, czy widzicie, że po jednej stronie stołu zasiadają Grecy, a po drugiej Persowie? Proszę was, przecież nie jesteście wrogami. Już od miesięcy jadacie razem i razem ćwiczycie. Dlatego proszę was znowu: wymieńcie się miejscami, wymieszajcie się.

Zamianom towarzyszyło mnóstwo śmiechu. Ale Cyrus nie odniósł sukcesu, na jaki miał nadzieję, ponieważ zbyt wielu mężczyzn po prostu

zmieniło stronę stołu. Niemniej atmosfera zrobiła się trochę swobodniejsza i przynajmniej to sprawiło mu przyjemność.

– Dziękuję wam – powiedział.

Dał sygnał i wszyscy służący wyszli na zewnątrz, pozostawiając nalewanie wina z dzbanów tym, którzy siedzieli przy stole. Niektórzy natychmiast się do tego zabrali.

– Kiedy was widzę zasiadających tu jako przyjaciele – kontynuował Cyrus – w moje serce wstępuje nadzieja i wiara w mój lud i w przyszłość. Używamy różnych monet, jednak wszyscy mężczyźni cenią złoto i srebro, niezależnie od tego, z jakiej pochodzi mennicy. To sam metal liczy się najbardziej. Ci, którzy zasiadają teraz przy stole, może mówią różnymi językami, ale wszyscy jesteśmy wojownikami, wszyscy jesteśmy żołnierzami. Wiemy, czym jest niesprawiedliwość. Wiemy, czym jest hańba.

W miarę jak jego głos twardniał, uśmiechy z twarzy oficerów znikały, wszystkie oczy skierowały się na księcia. A Cyrus mówił spokojnie. Poza jego słowami w sali biesiadnej nie rozlegał się żaden dźwięk i zgromadzeni słyszeli każde jego słowo, każde zdanie wypowiadane w dwóch językach.

Cyrus zerknął na Klearchosa i zobaczył, że Spartanin pochyla głowę, zaledwie odrobinę. Właśnie nadchodził moment, który obaj zaplanowali i przygotowali. Chociaż Cyrus czuł teraz, że jego serce bije szybko jak serce ptaka, zgodził się ze Spartaninem, że nie może czekać aż do spotkania z armią perskiego imperium na polu bitwy. Musiał ufać swoim ludziom bezgranicznie lub ryzykować, że straci ich w najgorszym momencie.

– Jechałem i maszerowałem z wami przez całą drogę z Sardes. Nieważne, co się wydarzy w przyszłości, przebrnęliście wraz ze mną przez ziemie Babilonu. Zobaczyliście wielki Eufrat, arterię imperium. To, że jesteście tutaj ze mną, przepełnia moje serce dumą. Jednak dla części

spośród was podróż prawdopodobnie zakończy się dzisiejszego wieczoru. – Wziął głęboki oddech, gdyż w tej chwili każdy jego ruch zdawał się wymagać przemyślenia i pełnej kontroli. Powoli wstał i oparł na stole zaciśnięte pięści, stalowym wzrokiem spoglądając na swoich najważniejszych żołnierzy. – Nie jest i nigdy nie było moim zamierzeniem ściganie w górach plemion Pizydów. Nie mogłem wam ujawnić moich planów w Sardes, gdzie mogłoby to usłyszeć wiele niepowołanych uszu. Mam nadzieję, że zdołacie mi wybaczyć ten niezbędny podstęp. Nawet dzisiejszego wieczoru będą mnie podsłuchiwać szpiedzy, którzy natychmiast pognają z raportem do swoich mocodawców. Mimo wszystko zgromadziłem was tutaj i postanowiłem do was przemówić. – Przerwał, aby upić łyk wina. Klearchos wpatrywał się w blat stołu przed sobą, pragnąc, aby młody książę potrafił w tej chwili znaleźć właściwe słowa. – Mój ojciec, król Dariusz, nie był najstarszym synem mojego dziadka. Odebrał tron swojemu bratu, kiedy doszedł do przekonania, że brat nie jest tego tronu godzien. Odebrał mu koronę, kiedy była jeszcze wilgotna od krwi, i włożył ją na własną głowę. Panowie… – Pochylił się w stronę zgromadzonych. W tej chwili wszyscy jakby przestali oddychać, zastygli w bezruchu, a Cyrus wpatrywał się w nich jak w obraz. Uśmiechnął się, kiedy przyszło mu to do głowy. – Uznałem mojego brata, Artakserksesa, za niegodnego korony. Zgromadziłem was, wyszkoliłem w boju i przywiodłem tutaj nie po to, aby skończyć z jego władzą, ale po to, aby rozpocząć nowe rządy.

Dowódcy perscy zaczęli popatrywać na siebie, pomrukiwać i szeptać. Ich szok był wyraźny. Grecy musieli udawać zaskoczenie. Kiepsko im to wychodziło i Cyrusowi przyszło do głowy pytanie, czy pośród nich znajduje się chociaż jeden, który nie zna celu sprowadzenia wielkiej armii aż tak daleko na wschód.

– Jestem naczelnym dowódcą wszystkich armii Persji – mówił z naciskiem Cyrus. – Jestem synem mojego ojca, w prostej linii potomkiem króla z dynastii Achemenidów. W tej chwili jestem następcą tronu. Jeżeli Artakserksesa dopadnie we śnie gorączka i umrze dzisiejszej nocy, jutro będę królem! Zatem zrozumcie mnie. Nie jestem uzurpatorem, nie jestem zdrajcą tronu. Ja sam jestem tronem, królem czekającym na swój dzień. Tak jak przede mną mój ojciec, wyzwę mojego brata do boju, ponieważ takie jest moje odwieczne prawo.

Klearchos pokiwał głową i odchrząknął z głębi gardła. Podobnie uczyniło wielu innych greckich wodzów. Zaczęli stukać w blat stołu na znak poparcia dla księcia, wspierać go okrzykami i całą swoją postawą, zachęcając Persów, którzy siedzieli pomiędzy nimi, aby czynili to samo. Cyrus zobaczył, że przyłącza się do nich Ariajos, który uzupełniając zawartość kielicha, zarazem nawołuje o spokój, gdyż chce wyraźnie słyszeć dalsze słowa księcia. Dla Cyrusa nie było to wielkim zaskoczeniem. Pomyślał, że trudno byłoby Persom oprzeć się fali entuzjazmu, jaka wezbrała przy stole. Miał nadzieję i wręcz się modlił, aby tak pozostało, żeby nikt mu się nie przeciwstawił.

Przemawiając, książę nie ośmielił się spojrzeć na Orontasa, mimo że każde jego ścięgno aż się napraszało, aby chociaż nieznacznie zwrócił ku niemu głowę i sprawdził, jakie wrażenie wywierają na nim kolejne słowa. Orontas, jako najstarszy z dowódców, mógł pociągnąć za sobą wszystkich Persów. A gdyby odmówił Cyrusowi, mógłby zasiać zarzewie buntu.

– Odmówicie mi prawa do wyzwania brata? – zawołał książę gromkim głosem.

Grecy, którzy mówili w obu językach, dwukrotnie krzyknęli, że mu nie odmówią; ich głosy zabrzmiały wielkim chórem poparcia. Cyrus zorientował się, że większość Persów do nich dołączyła. Wreszcie pozwolił

sobie spojrzeć na Orontasa i dostrzegł też, że bacznie spogląda na niego spora gromada innych dowódców z Persji, czekających na jego reakcję przed podjęciem własnych decyzji. Chociaż drobnej postury i niezbyt chętny, aby błyszczeć na tle innych, był w tej chwili prawdziwym perskim przywódcą – Cyrus zrozumiał to natychmiast. Rodacy patrzyli na niego tak samo, jak Grecy patrzyli na Klearchosa, i pomiędzy tymi dwoma mężczyznami nagle zatarły się wszelkie różnice.

Orontas wbił wzrok w Cyrusa. Miał szeroko otwarte oczy i lekko rozchylone usta. Jego spojrzenie mówiło teraz, że podczas wielkiej wędrówki ani przez chwilę nie wierzył, iż zna całą prawdę. Cyrus poczuł, że opuszczają go emocje. Zrozumiał, że nie pozyskał wszystkich ludzi przy stole i nie pozyska tak długo, jak długo ten człowiek będzie mu się opierał. Jednak książę nie był tchórzem i zareagował bezpośrednim atakiem, wykrzykując imię dowódcy tak głośno, aby zabrzmiało ponad zgiełkiem.

– Orontasie! To ręka mojego ojca wyniosła cię na obecne stanowisko. Składałeś mu przysięgę; jemu i mnie jako dowódcy armii.

– I twojemu bratu – odparł Orontas.

Słowa te niemal w całości pochłonął wielki hałas, zdołały jednak dotrzeć do uszu Cyrusa. Zmarszczył czoło, jego twarz się zachmurzyła i poczerwieniał. Klearchos i Proksenos podjęli już decyzję, co należy uczynić z każdym, kto sprzeciwi się jego rozkazowi.

Cyrus nie chciał zobaczyć Orontasa skąpanego we własnej krwi, jednak zacisnął szczęki i przysiągł sobie, że jeśli zostanie zmuszony, doprowadzi do jego śmierci. Dla niego nie było już odwrotu. Wszelkie krzywdy będzie mógł wyrównać, kiedy zostanie królem. Jeżeli będzie musiał, zapłaci za śmierć Orontasa jego rodzinie. Będzie to tylko jeszcze jeden dług do spłacenia, jeszcze jeden zły postępek do naprawienia.

– Odbierasz mi prawo do stanięcia przeciwko bratu, Orontasie? – zapytał Cyrus spokojnie.

Zgiełk stopniowo cichł, a Cyrus zobaczył, że Orontas uważnie patrzy w twarze otaczających go mężczyzn i dopiero wtedy kręci głową. Jego oczy pociemniały i pojawił się w nich raczej smutek niż radość.

– Wasza Wysokość, w żadnym wypadku – odparł.

Sala eksplodowała entuzjazmem, a na Cyrusa z obu stron naparli mężczyźni wysoko podskakujący z radości. W tej powszechnej wesołości książę zauważył, jak Orontas ociera dłonią czoło i brwi lśniące kroplami potu. Dowódca usiadł. W milczeniu wpatrywał się w blat stołu, nie tykając kielicha z winem. Nie odmówił wypełnienia rozkazów swojego księcia. Cyrus właściwie chciałby, żeby mu odmówił; sprawa byłaby wówczas jasna i problem szybko rozwiązany za pomocą ostrego miecza. Tymczasem Pers miał odejść od stołu żywy, nie ciesząc się bynajmniej pełnym zaufaniem księcia. Incydent z Orontasem był poważnym zgrzytem na tle powszechnego zadowolenia pozostałych dowódców. Ze sztucznym uśmiechem na ustach Cyrus wziął do ręki kielich, wznosząc toast za mężczyzn, których zgromadził tego wieczoru w jednym miejscu. Orontas podjął puchar z wodą i wspólnie wypili za królewską dynastię Achemenidów i za wyzwanie rzucone bratu przez drugiego księcia. Cyrus pozyskał serca wszystkich ludzi, do których dzisiaj przemówił. Winem czy wodą, na boga, zdobył ich, miał ich po swojej stronie.

* * *

Król Artakserkses jechał konno wzdłuż oddziałów ustawionych na tak wielkiej przestrzeni, że we mgle nie był w stanie dostrzec żołnierzy ostatniego oddziału. Czuł, jak pierś pęcznieje mu z dumy na samą myśl, że

tak wielu mężczyzn stanęło w szeregu na jego rozkaz, że pojawili się tutaj niczym sokoły, które podrywają się z rękawicy sokolnika. Z jego polecenia podejmą się niszczycielskiej misji. Wojsko było na świecie jedyną prawdziwą siłą i Artakserkses czuł teraz wielką władzę, która uderzała mu do głowy, jakby wypił zbyt dużo słodkiego wina.

Armia, zgromadzona na rozkaz króla, składała się z czterech części, a każda z nich miała rozmiar miasta. Wędrówka na miejsce zbiórki była bardziej migracją ludów niż marszem regularnych oddziałów. Aby zebrać tylu żołnierzy, Artakserkses wysłał posłańców na północ, na południe i na wschód, jednak nie na zachód. Nie chciał przedwcześnie niepokoić brata. Tymczasem, jako panujący nad imperium władca z dynastii Achemenidów, zgromadził zastępy tak liczne jak ziarenka piasku na pustyni. Ogołacały one kraj z żywności, przemierzając wielkie połacie imperium, z każdym dniem coraz liczniejsze.

Król dostrzegł Tissafernesa zbliżającego się do niego na koniu. Mężczyzna siedział na końskim grzbiecie niczym groźna mucha, a dostępu do niego broniły specjalne oddziały imperialnych gwardzistów. Artakserkses żałował już tytułu i związanej z nim władzy, jakie podarował temu człowiekowi. Ale obdarzając go zaszczytami, miał też chwilę drobnej satysfakcji, wiedział bowiem, że jego nauczyciel zdecydowanie przedkłada wygodne życie na dworze królewskim ponad jakiekolwiek kampanie wojenne. Dlatego z jadowitą radością jeszcze raz skazał go na niewygody i cieszył się, kiedy stary człowiek udawał przed nim zadowolenie. Jednak Tissafernes wkrótce zaadaptował się do nowej roli z entuzjazmem, który mocno zaskoczył króla. Zawiadywał swoim skrzydłem armii twardą ręką, wskazywał błędy w strukturze i dowodzeniu oddziałami tak stanowczo, że kilku oficerów zaczęło na niego narzekać. Artakserkses kazał ich

wychłostać i w efekcie trzech z nich zmarło, a wszelkie narzekania gwałtownie ustały.

Artakserksesa wkrótce zmęczyły problemy organizacyjne dotyczące żywienia, pojenia i zaopatrzenia tak wielu żołnierzy w broń, znudziły go też wszelkie kwestie związane z utrzymaniem i zarządzaniem bydłem, końmi, kuźniami, rydwanami i namiotami… Zamknął oczy. Nie biorąc pod uwagę innych spraw, brat kosztował go już niewyobrażalne sumy w złocie. Jednak nie powinien się tym kłopotać. On sam był sokolnikiem, wszystko inne było jak ptaki wypuszczane na wiatr.

– Wasza Królewska Mość? – zawołał Tissafernes, pochylając się, aby lepiej zobaczyć króla. – Dzisiaj rano wrócił jeden z moich posłańców. Ptak, panie.

Artakserkses zignorował go, pragnąc wyłącznie ciszy. Bliska obecność starego nauczyciela wprawiała go w mimowolne zaniepokojenie. Aż dziw, że dotąd tego nie zauważył. Bywają ludzie o spokojnych duszach, którzy nigdy nie sieją zamętu wśród otaczających ich osób. Tissafernes był zupełnie innym człowiekiem: gdziekolwiek się pojawił, wzbudzał zamęt i złość. Król wiedział, że wystarczy jego słowo, prosty rozkaz wydany jednemu ze strażników, i Tissafernes straci życie. Może rozkazać, aby odrąbano mu głowę albo odcięto język, a jego polecenie zostanie wykonane bez chwili wahania. Była to jednak władza, którą Artakserkses nie chciał się rozkoszować. Nie był przecież dzieckiem czerpiącym radość z wychłostania sługi dla zwykłego kaprysu. Nie, jego reakcje powinny być wyważone i z tego powodu jeszcze bardziej przerażające dla poddanych.

– Wasza Królewska Mość… ptak przyniósł wiadomości o twoim bracie – naciskał Tissafernes.

Król w końcu się odwrócił i zobaczył, że gruby starzec ma zaczerwienioną twarz i strasznie się poci. Artakserkses zniecierpliwionym

gestem nakazał mu się zbliżyć i Tissafernes wykonał polecenie. Przyciskał ramiona do ciała, aby ukryć przed wzrokiem króla wilgotne plamy na szatach.

Król czekał, aż służący pomogą staremu człowiekowi zejść z konia i paść na ziemię. Przycisnęli go do niej stanowczo, gdy spróbował uniknąć zetknięcia z piachem.

– A zatem mów, pir Tissafernesie. Opowiedz mi o Cyrusie.

– Wasza Królewska Mość, korona utrzymuje ptaszarnie w Suzie, Larisie i Mespili. Twój ojciec je założył, wykazując się ogromną dalekowzrocznością. Jego mądrość wciąż nas chroni. Oczywiście ptaki mają woliery w Persepolis, zatem kiedy powróciły, wiadomość trzeba było przetransportować tutaj, na pustynię. Dzięki temu…

– Tissafernesie, mów mi o moim bracie. Chcę wreszcie odpocząć i się wykąpać, a nie wysłuchiwać cię bez końca.

– Oczywiście, panie. Do celu dotarł tylko jeden ptak, ale przyniósł wiadomość o wielkiej armii prowadzonej przez księcia Cyrusa, tak jak przewidziałem. Zbliża się od zachodu, od Sardes.

– Co jeszcze? – zapytał Artakserkses.

Stary człowiek skłonił głowę.

– Wasza Królewska Mość, więcej wiadomości nie mamy. Zwitki, które przenoszą ptaki, są niewielkie i lekkie, bo przy dużym obciążeniu nie mogłyby latać. To cud, że jeden z gołębi dotarł do Persepolis, unikając sokołów, burz i różnych dziwnych zjawisk na pustyni. – Mężczyzna zauważył, że rysy twarzy króla się wyostrzają, i szybko zakończył, zdawszy sobie sprawę, że niepotrzebnie się rozgaduje. – Nic więcej nie wiemy.

– Doskonale. To wystarczy. Wiemy, gdzie był mój brat, kiedy… kilka tygodni temu?

Tissafernes pokiwał głową.

– Dobrze. Zgromadziłem ocean ludzi, Tissafernesie. Być może już nigdy tego nie powtórzę i za to jestem wdzięczny losowi. Ten jeden jedyny raz zebrałem wszystkie siły, jakimi dysponuje Persja. Z wyjątkiem tych, które stoją na Zachodzie. – Artakserkses spojrzał na oddziały maszerujące w pełnym słońcu przez pustynię. Żołnierze mrużyli oczy, chroniąc je przed słonecznym blaskiem i pyłem. – Powinienem być wdzięczny mojemu bratu, że pozwolił mi na to doświadczenie. Muszę je utrwalić w swojej głowie, Tissafernesie, aby pamiętać o nim także wtedy, kiedy zaczną mnie opuszczać siły. To… to chwalebny widok, iście królewski.

Tissafernes podniósł głowę, aby popatrzeć na maszerujących. Nie podzielał tej romantycznej ekstazy, jaką odziedziczyli po ojcu synowie Dariusza, doceniał jednak żywą potęgę tej armii. Nie było na świecie drugiej tak licznej i tak różnorodnej. A on sam trwał przy jej dowódcy, prawowitym królu, aby zniszczyć zdrajców. Nie potrafił sobie wyobrazić niczego piękniejszego lub bardziej satysfakcjonującego.

16

Sześćdziesiąt mil za Tapsakos zaczynała się pustynia. W ciągu jednego dnia marszu powoli znikały gęste zarośla i połacie trawy, ustępując coraz większym obszarom piasku, aż wreszcie wędrowcy widzieli przed sobą tylko wydmy, pobłyskujące jaskrawo w rozżarzonym powietrzu. Nie mieli prawa minąć lub przejść żadnej rzeki, nie napełniając wodą każdej beczułki, bukłaka czy butelki. Mapy, którymi dysponowali, wskazywały liczne koryta rzek niczym ciemne nici, jednak ich dokładność znacznie odbiegała od oczekiwań Cyrusa, a przecież od dostępu do wody zależało przetrwanie żołnierzy. Nad Babilonem niczym żywy stwór unosiło się późne lato. Sprawiało wrażenie, że jest ruchliwym językiem ognia poruszającym się pomiędzy maszerującymi mężczyznami.

Klearchos wyczuł, że duch w oddziałach upada, kiedy tylko przeszli przez Tapsakos. Wśród żołnierzy zaczęły się wówczas poszeptywania i ukradkowe spojrzenia w kierunku Cyrusa. W końcu w szeregach rozeszła się wiadomość. Żaden z tych ludzi, nieważne – Grek czy Pers, nie najął się ani nie brał pieniędzy za to, by stanąć do bitwy przeciwko nieprzebranym zastępom wojsk wielkiego króla.

Poczucie braterstwa, które wypracowali przez miesiące ćwiczeń i wspólnych marszów, zdawało się strzępić jak stare ubranie. Podczas wieczornych postojów wybuchały bijatyki. Kombinacja mężczyzn, pieniędzy, wina i broni zawsze stanowiła niebezpieczną mieszankę. Mniej zwyczajny był jednak zatarg, który rozpoczął się w trakcie marszu, tym

bardziej że przerodził się w zamieszki pomiędzy setkami mężczyzn, a w ich efekcie straciło życie dwóch Persów i czterech Greków. Co gorsza, żołnierze nie zamierzali powiedzieć, jaka była przyczyna awantury. Klearchos nie miał nawet pewności, czy oni sami to wiedzieli. Byli rozzłoszczeni, a ich złość rosła z każdym dniem i chyba w tym tkwiło sedno sprawy. Wódz ostrzegł swoich oficerów, w jaki sposób oddziałują na ludzi wysokie temperatury, jak mogą wpływać na temperament mężczyzn. Instruował jeden po drugim naburmuszone oddziały o konieczności zmywania wodą starego potu, mówiąc, że jeśli się tego nie dopilnuje, na powierzchni ciała będą powstawać odciski i odparzenia. Wydawał tysiące rozkazów, aby skupiać niezadowolenie szeregowych żołnierzy na sobie, aby nie kierowali pretensji do siebie nawzajem. Mimo to ich nastrój pogarszał się z dnia na dzień.

Minęło kolejne sześć dni wędrówki na południowy wschód. Armia wkraczała coraz głębiej na pustynię, pozostawiając za plecami ostatnie oznaki cywilizacji. Siódmego dnia wszyscy Grecy zatrzymali się u stóp jakiegoś wzgórza i pozwolili, aby oddziały Persów szły dalej już bez nich. Ich oficerowie zaczęli biegać wzdłuż szeregów, bezradnie wykrzykując rozkazy. Greccy żołnierze zareagowali jak uparte muły, jakby się okopali lub zaparli rękami i nogami w miejscach, w których stanęli. Mijając ich, Persowie spoglądali ku nim przez ramię, aż wreszcie zostali zatrzymani przez swoich dowódców, którzy nie bardzo wiedzieli, co dalej począć. Wielka kolumna znieruchomiała w promieniach południowego słońca, które dokuczało ludziom jak smagnięcia bicza na gołą skórę. Kolejne oddziały Greków ignorowały rozkazy lub groźby rzucane w ich kierunku. Wkrótce Grecy usiedli, mimo że gorący piasek natychmiast powodował odparzenia na skórze, która się z nim stykała.

Cyrus zawrócił na koniu od czoła kolumny, której przednie straże wciąż parły do przodu. Zawołał do siebie Ariajosa. W porównaniu do Orontasa ten perski dowódca był znacznie bardziej lubiany wśród żołnierzy. Zazwyczaj towarzyszyli mu młodzi mężczyźni wyróżniający się nieprzeciętną urodą. Również teraz taki piękny mężczyzna towarzyszył mu, kiedy przygalopował na koniu do Cyrusa i zeskoczył z siodła, aby paść przed księciem na ziemię. Książę powstrzymał go krótkim gestem.

– O co chodzi, Ariajosie? Dlaczego się zatrzymujemy? Przecież nie wydałem takich rozkazów.

Ariajos uklęknął, nim odpowiedział, chociaż jego skóra musiała to odczuć bardzo boleśnie. A Cyrus zaczął tracić cierpliwość.

– Odpowiedz mi! Stań prosto i mów!

Pers rozdziawił usta, jednak posłusznie się wyprostował.

– Wasza Wysokość, bez urazy. Nasze oddziały stanęły tylko dlatego, że najpierw zatrzymali się Grecy. Rozumiem, że źle przyjęli ostatnie wiadomości. Na temat naszego… celu.

– Co? Buntują się? – zawołał Cyrus z niedowierzaniem.

Słowo „bunt” niosło ze sobą groźbę najbardziej surowych kar. W przeszłości całe imperialne oddziały szlachtowano jak bydło, gdy choć jeden żołnierz odmówił wykonania rozkazu. W efekcie słowo to rzadko bywało głośno wypowiadane, ze strachu, że samo jego brzmienie może wywołać iskrę, która wznieci ogień nie do opanowania. Zarówno Ariajos, jak i jego młody towarzysz zbledli. Z ulgą dostrzegli, że poprzez białe pustkowie zbliżają się do nich inne postacie. Wszyscy osłonili oczy przed słońcem i zobaczyli Orontasa cwałującego konno w kierunku księcia. Za nim biegł Klearchos, zaciskając dłoń na końskim ogonie.

– Zeskocz na ziemię i ukłoń się, Orontasie! – krzyknął Cyrus, zanim Pers zdołał wypowiedzieć słowo. – Czy to bunt?

Na twarzy Spartanina dostrzegł grymas, który pojawił się na niej na sam dźwięk tego słowa, jednak Klearchos natychmiast pokręcił głową i dopiero wtedy się odezwał:

– Wasza Wysokość, pozwól mi z nimi porozmawiać, zanim jakoś nazwiesz ich zachowanie. Oczywiście są w szeregach pewne niepokoje. Jednak to nic ponad nasze przypuszczenia… – Spartanin poczuł na sobie spojrzenia dwóch Persów i inaczej sformułował ostatnie zdanie: – Nie dochodzi do innych zachowań oprócz takich, jakich, co nam osobiście uświadomiłeś, powinniśmy oczekiwać. Żołnierze czują się oszukani i boją się tego, co ich czeka w najbliższej przyszłości, czyli spotkania na swojej drodze wojsk króla.

– Wasza Wysokość – odezwał się Ariajos. – Powiedz słowo, a każę wszystkich wychłostać, a następnie jednego na dziesięciu wykastrować na oczach pozostałych ludzi. Dzięki temu już nikt więcej nie odmówi marszu, możesz być pewien. Tym obcym żołnierzom trzeba po prostu przypomnieć, że jesteś następcą tronu z dynastii Achemenidów. I masz pełne prawo wystąpić przeciwko bratu.

Cyrus pomyślał, że dowódca mówi, jakby wręcz pałał żądzą krwi. Chociaż Pers wypowiedział się zwięźle i logicznie, jego słowa pozostawiły niesmak.

– Jeżeli Ariajos spróbuje czegoś takiego wobec moich Spartan, możesz się spodziewać, Wasza Wysokość, że Spartanie zniszczą armię Persów – powiedział Klearchos.

– Zniszczą? – powtórzył Cyrus, jakby rzucał mu wyzwanie.

Klearchos w milczeniu popatrzył mu w oczy, wciąż rozwścieczony perską groźbą. Cyrus nie wytrzymał jego spojrzenia. Po chwili odezwał się do perskiego dowódcy:

– Muszę ich ruszyć z miejsca, Ariajosie. Ale nie mogę zmarnować dobrych ludzi. Niech przez jakiś czas podziała na nich gorące powietrze. Wybrali sobie na postój samo południe i miejsce, w którym nie ma cienia! Poczekamy kilka godzin, a potem zaproponujemy im marsz w kierunku doliny, która, jak wynika z map, znajduje się niedaleko przed nami. W odpowiedniej chwili poślę im również zimną wodę, a kiedy będą gotowi mnie wysłuchać, przemówię im do rozsądku.

Klearchos uniósł pytająco brwi, a Cyrus, odwracając się, skinął mu głową. Ariajos był doskonałym jeźdźcem, lecz o zdrowy rozsądek trudno było go podejrzewać. Cyrus pomyślał, że gdyby nakazał mu stłumienie buntu – nawet zakazawszy grożenia kastracją – sytuacja wśród żołnierzy by się pogorszyła.

Z szeregu żołnierzy wyszedł Menon Tesalczyk. Niedawno ktoś uderzył go pięścią w twarz i jego prawe oko było opuchnięte, a skóra wokół niego przybrała ciemną barwę. Tuż za nim znalazł się Proksenos i ten wielki, kościsty Grek miał twarz czerwoną jak palenisko, chociaż trudno było powiedzieć, czy z powodu słońca, czy też z nagłego wzburzenia. Obaj mężczyźni się skłonili i kiedy książę popatrzył na Menona, ten zaczął mówić:

– Wasza Wysokość, zanim zaczniesz rozważać zastosowanie jakichkolwiek kar, chciałbym się zwrócić do moich ludzi. Wiedzieliśmy, że może dojść do… oporu. W końcu żołnierzom powiedziano, że będą walczyć z górskimi plemionami, a nie z armią imperium. Jednak oni są niewinni, Wasza Wysokość, większość z nich jest niewinna. Podejrzewam, że to Spartanie są prowodyrami. Mój oddział pragnie trwać u twego boku, panie, jestem tego pewien. Jeżeli pozwolisz mi przemówić do moich oficerów, wiem, że zdołam oddzielić moich żołnierzy od tych nieposłusznych.

– Twoja twarz… Co ci się stało? – zapytał Cyrus.

– Ach, to… To tylko skutek osobistego nieporozumienia z innym żołnierzem, Wasza Wysokość. Chodziło o dług hazardowy.

Było to tak oczywiste kłamstwo, że Cyrus nie zniżył się do żadnego komentarza. Za to odezwał się Klearchos:

– Wygląda to tak, jakbyś oberwał pięścią, Menonie. Nie sądzisz, że sam mógłbym przywołać moich Spartan do porządku? To nie tylko żołnierze, którym płacę i których wyszkoliłem, ale też znam ich przez całe życie! W szeregach znajduje się czterech moich kuzynów i dwóch siostrzeńców!

– No i co z tego? Gdybyś był ich pewien, moim zdaniem już byś spróbował – odgryzł mu się Menon, zaskakując wszystkich. – Jednak twoi ukochani Spartanie nie postąpią inaczej niż wszyscy, prawda? Odmówili dalszego marszu, tak jak inni. Jakoś nie widzę, żeby kontynuowali marsz. Zatem nie jest to najlepszy czas, żeby się chwalić Spartanami, Klearchosie. Przynajmniej na razie, mój drogi, dopóki nie rozwiążemy problemu.

Zapadła cisza, krępująca dla wszystkich rozmówców.

– Nie mam wątpliwości, że obaj potraficie wyciągnąć swoich ludzi z opornych szeregów – odezwał się Cyrus. – Jednak jeżeli pozwolę wam podejść do nich z takim zamiarem, to kiedy inni je pojmą, z pewnością was zabiją. I chociaż macie rację, nikt z waszych ludzi nie ruszy teraz w dalszą drogę dobrowolnie. A ja nie mogę sobie pozwolić na dowodzenie najemnikami, którzy czują się jak niewolnicy!

Jego głos był coraz ostrzejszy i obaj dowódcy odczekali w milczeniu, aż złość księcia trochę osłabnie.

Klearchos popatrzył na niego. Ukląkł na jedno kolano. Widząc to, Menon przewrócił oczami, co nie umknęło uwagi innych.

– Wasza Wysokość, już wcześniej miałem do czynienia z podobnymi sytuacjami. Pozwól, że najpierw do wszystkich przemówię. Jeżeli niczego

nie osiągnę, niech Menon spróbuje wyciągnąć z szeregu swoją grupę. Może to podziała, a może żołnierze zaczną się kłócić między sobą i wybuchną bijatyki. W każdym razie pozwól, że zacznę działać, najpierw sam.

– Persowie podziwiają Spartan – odparł Cyrus. – Wszyscy moi ludzie was znają, a podpatrują was wszyscy Grecy. Czyżby miało się teraz okazać, że wasza sława jest wyłącznie mitem? A może macie w sobie jednak coś więcej niż żelazną dyscyplinę i umiejętność władania mieczem?

Klearchos się uśmiechnął.

– W Sparcie nie budujemy pomników ani murów miejskich. To my jesteśmy murami, Wasza Wysokość. Ja jestem Spartaninem i znają mnie wszyscy Spartanie, ponieważ wyszedłem spośród nich. – Wzruszył ramionami, widząc nierozumiejące spojrzenia otaczających go mężczyzn. – Niektórzy mężczyźni rodzą się przywódcami, panie. Inni po prostu się rodzą. W Lakedajmonie ćwiczymy zarówno umysł, jak i ciało. – Uśmiechał się przez chwilę, jakby do własnych wspomnień. – Może się okazać, że umysł jest równie ważny. Pozwól zatem, że pierwszy podejmę próbę. Pozwól mi omówić problem. Zanim nastąpią groźby, kastracje i chłosty. Proszę. Rusz z Persami i towarzyszącymi im ludźmi do miejsca, w którym mamy zatrzymać się na noc. Dołączę tam do was. Daję ci na to moje słowo, przysięgam na Aresa. Jeśli nie zginę, wkrótce mnie zobaczysz.

– Doskonale – powiedział Cyrus.

Największym honorem, jakim mógł w tej chwili obdarzyć Klearchosa, było oddalenie się, jakby sprawa została już załatwiona. Tysiące mężczyzn i kobiet towarzyszących armii obserwowało tę rozmowę, ze zdumieniem przyjmując fakt, że najwyżsi dowódcy kłócą się i gwałtownie gestykulują. Część kobiet zaczęła wołać do znajomych mężczyzn, którzy je mijali, ci jednak je ignorowali bądź reagowali wzruszeniem ramion.

Cyrus zobaczył, że wzdłuż szeregów cwałują konie. Na pierwszym i na ostatnim wierzchowcu rozpoznał Ksenofonta oraz jego towarzysza, Hefajstosa. Wciąż utrzymywali ład wśród zwierząt i kilku towarzyszących im urwisów, gdy się zatrzymali i zaczęli wymieniać wiadomości z siedzącymi Grekami. Była to jakby scena z życia armii, lecz jednocześnie scena zupełnie nowa i straszna. Oto najemnicy odmówili wykonywania jego rozkazów. Cyrus odniósł wrażenie, że w jego piersi, pod szatą, otworzyła się jakaś dziura, i nagle zebrało mu się na wymioty. Potrząsnął głową, odpędzając złe myśli, spiął konia i ruszył przed siebie.

– O zachodzie słońca, wodzu – rzucił jeszcze przez ramię. – Poczęstuję cię winem.

Klearchos popatrzył na dowódców, którzy tymczasem zgromadzili się wokół niego. Wskazał głową na Cyrusa.

– Słyszeliście słowa księcia. Do dzieła.

Menon zaczął coś mówić, jednak mijając go, Proksenos uderzył go pięścią w ramię i mężczyzna stracił wątek. W różnych nastrojach, od złości po ponurą rezygnację, zostawili przywódcę Spartan, aby sam stanął naprzeciwko Greków.

* * *

Klearchos stanął przed żołnierzami. W pierwszej chwili kilku rzuciło kamieniami, żeby sobie poszedł, jednak Spartanie szybko przywołali ich do porządku gniewnymi słowami i gestami. Z kolei Klearchos musiał interweniować, aby powstrzymać bijatyki, jakie wybuchły pomiędzy rozgorączkowanymi żołnierzami na płonących piaskach. Smagani gorącymi promieniami słońca mężczyźni mieli wrażenie, że znajdują się w piekarniku, już od dawna oddychali szybko i ciężko jak psy myśliwskie.

– Żołnierze – odezwał się do nich. – Zbliżcie się trochę i wysłuchajcie mnie, ale nie przelewajcie krwi w tym pozbawionym życia miejscu. Nic tutaj nie rośnie, a po martwych zostają tylko kości na piasku. Czy któryś z was chce pozostać na tym pustkowiu przez całą wieczność? Nie. Dlaczego więc wrzeszczycie i grozicie tym, którzy ledwie wczoraj byli wam braćmi?

Z szeregów dotarł szmer niechętnych głosów, jednak Klearchos z zadowoleniem stwierdził, że żołnierze zgodnie z jego poleceniem zbijają się w ciaśniejszą gromadę. Miał dobry, mocny głos i wiedział, że będą go słyszeć tysiące ludzi, jednak tylko wówczas, kiedy otoczą go kołem i zechcą słuchać, niczym aktora w teatrze.

Czekał, aż zbliżą się do niego wystarczająco, gestami rąk przywołując ich do siebie, i jednocześnie analizował w myślach sytuację. Książę, a także Orontas i Ariajos zniknęli już za horyzontem. Inni wodzowie odeszli razem z nimi, pozostawiwszy Spartaninowi zadanie stłumienia w zarodku tego, co sami uznali za bunt. Stojąc przed frontem Greków, Klearchos intensywnie zastanawiał się, jak tego dokonać.

Początkowo ludzie gorączkowo rozmawiali pomiędzy sobą i w szeregach panowało spore poruszenie. Część z nich już przeraziła świadomość tego, na co się zgodzili, inni z kolei z każdą chwilą znajdowali dla swojego oporu coraz lepsze usprawiedliwienie. Ci akurat kłócili się, krzyczeli i wygrażali sobie nawzajem, jednak milczący krąg powiększał się przed Klearchosem i w końcu wszyscy żołnierze skoncentrowali uwagę tylko na nim. Spartanin stał przed nimi, a po jego twarzy toczyły się łzy. Gdy wreszcie wszyscy ucichli, wytarł oczy przedramieniem, niemal ze złością.

– No i co? Myśleliście, że Spartanin nie potrafi płakać? Książę Cyrus został moim przyjacielem, kiedy wygnano mnie z własnego kraju i traktowano jak wyrzutka. Jednak skoro nie chcecie z nim maszerować,

jestem zmuszony dokonać wyboru. Jestem waszym wodzem i jestem jego przyjacielem. Albo porzucę tę przyjaźń i dołączę do was, albo odrzucę lojalność wobec was i dołączę do niego. Postawiliście mnie w sytuacji bez wyjścia.

Do żołnierzy dotarły jego słowa i zaczęli kłócić się w grupach, jednak nie podnosili głosów ponad szept.

– Wiem, że to was muszę wybrać – kontynuował Klearchos. – Tak! Nie mogę dopuścić, aby mówiono o mnie, że wyprowadziłem Greków na pustynię, a potem opuściłem ich i odszedłem z miejscowymi żołnierzami. Skoro nie macie zamiaru mnie słuchać, będę już jedynie wam towarzyszył. Przetrwam to wszystko, co się wam przydarzy, po prostu będę przy was. Przynajmniej tyle mogę dla was zrobić. To ja przywiodłem was w to miejsce. Szkoliłem was, biegałem z wami. Jesteście moimi rodakami, moimi przyjaciółmi i sprzymierzeńcami. Nie opuszczę was teraz.

Część zaczęła wiwatować na jego cześć, ale wielu się zmieszało. Klearchos nie był zdziwiony, kiedy nagle kilku mężczyzn wstało, chcąc mu odpowiedzieć, jakby znajdowali się na agorze w Atenach. Grecy nie potrafili zaakceptować, że niebo jest niebieskie, nie przedyskutowawszy tego i nie wyciągnąwszy własnych wniosków. Klearchos uwielbiał ich za to, chociaż czasami traktował takie postępowanie jako swoiste szaleństwo.

Zaczęli się koło niego tłoczyć Tesalczycy. Klearchos dostrzegł, że najbardziej rozzłoszczeni są ci, którzy wchodzili w skład kontyngentu Menona, chociaż nie wiedział, czy to z powodu jego kiepskiego dowodzenia, czy też dlatego, że znalazło się wśród nich kilku podżegaczy. Z pewnością nie spodziewali się, że Spartanin znajdzie się nagle po przeciwnej stronie. Kilku najłagodniej usposobionych uśmiechnęło się do niego i nawet zaoferowali mu parę łyków ciepłej wody. Klearchos wysłuchał cierpliwie trzech mówców z greckich szeregów; wszyscy jedynie

powtórzyli różnymi słowami, co oni sami uważają dzisiaj za zdradę. Pewien młody człowiek chyba pomyślał, że wszystko trzeba omówić jeszcze raz, i zaczął wywodzić, że książę poprosił ich o pomoc w walkach z górskimi plemionami, a nie z królem Persji. Klearchos kiwał głową po każdym zdaniu, chociaż w głowie kiełkowała mu myśl, że młodzieniec jest zwykłym głupcem.

– Niemniej dotarliśmy aż tutaj – przerwał mu, kiedy ogarnęła go obawa, że chłopak dobrowolnie nie skończy swoich wywodów. – Jesteśmy tu, gdzie jesteśmy. Nie możemy cofnąć czasu, nie możemy zawrócić i podjąć innych decyzji. Stoimy dzisiaj w miejscu pozbawionym życia i cienia. Powodem naszej największej troski powinno być teraz to, że kończą się zapasy. Jeżeli zerwiemy umowę z księciem, jedzenia i picia nie wystarczy nam nawet na dzisiejszy wieczór. Nie wyobrażam sobie, żeby wyekwipował nas na drogę powrotną! Nie. Książę, jak powiedziałem, jest moim dobrym przyjacielem i wielkim sprzymierzeńcem Greków. Jego złoto pozwoli nam przez całe pokolenie wychowywać w ojczyźnie synów i córki. Ale jeśli zostanie moim wrogiem, będę chciał trzymać się od niego jak najdalej. Jego oddziały przewyższają nas liczebnie dziesięciokrotnie i nie sądzę, żeby pozwolił nam odejść ze wszystkim, czego będziemy potrzebować, żeby przebrnąć przez pustynię.

Kolejnych kilku mężczyzn zerwało się na nogi, chcąc przemawiać. Klearchos kiwał głową, kiedy nawoływali, żeby wracać do Grecji lub kupić zaopatrzenie od ludzi towarzyszących perskim oddziałom. Miał jedynie nadzieję, że żołnierze, którzy ich słuchają, mają więcej rozsądku. Doświadczenie podpowiadało mu, że w podobnych sytuacjach często najbardziej liczy się postawa tych, którzy milczą, potrafią gruntownie przemyśleć sytuację, lepiej potrafią ją zrozumieć od ludzi, których w skrytości ducha nazywał „żeglarzami” – kierującymi się w tę stronę,

w którą akurat wieje wiatr. Ucieszyło go, że wśród mówców nie znalazł się ani jeden Spartanin, chociaż wszyscy Spartanie uważnie go obserwowali i czekali. W jednej kwestii Menon się nie pomylił. W odpowiednich okolicznościach Spartanie rzeczywiście mogli pociągnąć za sobą pozostałych żołnierzy. Jednak jedno złe, nieopatrzne słowo groziło podsyceniem płomienia starych emocji, szczególnie wśród Ateńczyków. Historia Grecji była przecież historią nieustannych wojen i stare podziały wciąż tkwiły w Grekach głęboko.

Klearchos pozwolił mówcom przemawiać w popołudniowym upale do zdarcia gardeł, uzupełniając jednak ich wypowiedzi własnymi przemyśleniami, kiedy zaczynało im brakować argumentów albo sił, żeby swe wywody podkreślać szerokimi gestami. Odzywając się co chwilę, miał nadzieję słowo po słowie wykazać im, że dokonali złego wyboru. Nie zaplanowali swojej małej rebelii, ale pozwolili, aby do głosu doszły tłumione urazy; zachowali się jak dzieci kopiące w złości drzwi. Smutna prawda była taka, że nie mogli niepostrzeżenie odłączyć się od maszerującej armii, a zauważeni nie mieli szansy uniknąć ataku ze strony tych samych ludzi, z którymi maszerowali ramię w ramię już od wielu miesięcy. Rysowały się przed nimi absolutnie nieciekawe perspektywy. Co więcej, gdyby zaczęli się cofać, nie mieliby ani jedzenia, ani możliwości, żeby transportować jakieś zapasy. To sprawiało, że wizja kolejnych dni była jeszcze bardziej mroczna. Punkt po punkcie Klearchos uświadamiał im sytuację, przez cały czas podkreślając jednak, że stoi po ich stronie. Sprzeciwił się większości tylko w jednym momencie, kiedy któryś z największych narwańców wezwał do ataku na armię księcia i do splądrowania jego obozu w poszukiwaniu zapasów. Słysząc to, Klearchos pokręcił wielką głową i powiedział ludziom, że nie może się zaangażować w taką zdradę, ale jeżeli będą nalegać, pomoże im wybrać innego

przywódcę, który poprowadzi ich na Persów. Tematu nikt nie podjął i dyskusja potoczyła się w innym kierunku.

– Przyjaciele – powiedział w końcu Klearchos, kiedy słońce zawisło już nisko nad horyzontem, a straszliwy skwar zaczął trochę słabnąć. Wielką gromadę ludzi znalazły na pustyni muchy i zaczęły spijać sól z ich skóry i oczu. Wszyscy byli spieczeni, gdyż zbyt długo wystawiali się, bez żadnej osłony, na działanie promieni słonecznych. – Od zawsze wiecie, że życie najemnika obarczone jest ryzykiem, nawet ryzykiem śmierci. Taki już jest nasz zawód, chociaż każdy z nas najchętniej żyje nadzieją, że to nie on, lecz kolega zginie w boju. – Urwał, ponieważ przez szeregi żołnierzy przetoczył się stłumiony śmiech. – Prawdopodobnie nie spodziewaliście się stanąć przeciwko bratu księcia albo przeciwko perskim Nieśmiertelnym, których pokonaliśmy już przecież pod Platejami i pod Maratonem. Dobrym zwyczajem jest zwiększenie przynajmniej o połowę stawki wynagrodzenia z powodu ryzyka związanego z nadzwyczajnymi niebezpieczeństwami, prawda? Na przykład do wysokości półtorej darejki na miesiąc. Ale wam tak wspaniałej podwyżki nikt nie zaoferował, prawda?

Żołnierze musieli się zgodzić, że dotąd nikt nie zaoferował im takiej ilości złota. Część z nich zaczęła się zastanawiać. Wykwalifikowany robotnik nie mógł zarobić nawet piątej części tej sumy. Dla większości z nich zarobek w wysokości półtorej darejki oznaczałby, że w trakcie jednej kampanii wzbogaciliby się o kwotę, jaką normalnie mogliby uzyskać przez trzy lub cztery lata służby. Klearchos musiał czekać zaledwie krótką chwilę, nim powstał jeden z Koryntian.

– A co się stanie, jeżeli poślemy do księcia ludzi, którzy zażądają, aby odtąd płacił każdemu z nas półtorej darejki za nadzwyczaj niebezpieczną służbę? Zgodzi się na to?

Setki głów skierowały się w stronę Klearchosa, aby usłyszeć jego odpowiedź.

– Jestem tego pewien – odparł Spartanin po dłuższej chwili. – Ale nie wybaczy wam, jeżeli odbierzecie w złocie zapłatę za niebezpieczną służbę, a potem odmówicie dalszego marszu u jego boku. Jeżeli zgodzicie się na takie wynagrodzenie, na tym muszą się skończyć wszelkie dyskusje. A ja wam przysięgam, że zwyciężymy. Przeprowadzę was przez wszystkie niebezpieczeństwa. Jesteśmy Grekami. Zasługujemy na dobrą zapłatę, ponieważ nie mamy sobie równych. Zważcie jednak, że najlepiej dla nas będzie, jeżeli nie przyznamy się przed Persami, jak wysokie jest nasze wynagrodzenie.

Ta uwaga wywołała wielki wybuch śmiechu i Klearchos także uśmiechnął się do żołnierzy. W tym momencie kryzys został zażegnany. Oddział po oddziale ludzie zaczęli wstawać i otrzepywać się z piasku. W całej tej sprawie najważniejsze wcale nie było złoto. Ludzie po prostu chcieli się wyżalić, a Klearchos ich wysłuchał. Kiedy wywołał z tłumu swoich Spartan, natychmiast stanęli przed nim w zwartym szyku. Początkowo bali się spojrzeć mu w oczy, chociaż bez wątpienia w tej chwili byli gotowi na jego rozkaz ruszyć w dalszą drogę.

– Spartanie, baczność! – zawołał. – I głowy do góry. – Odczekał, aż spojrzą na niego, a potem sam, z wielką pewnością siebie, popatrzył swoim ludziom oczy. – Podejmiemy walkę dla księcia Cyrusa, kiedy na polu bitwy stanie on przeciwko swojemu starszemu bratu. Ale chcę wiedzieć, czy któryś z was woli jednak zawrócić do domu?

Odpowiedziała mu cisza. Wieczorny wiatr przesypywał piasek u ich kostek i przynosił ze sobą błogosławiony chłód. Spartanie stali nieruchomo w szeregu. W tym momencie nadawali się do marszu mniej więcej tak samo jak do latania. Klearchos pochylił głowę, jakby oddawał im hołd. Wywołał

ich właśnie w tym celu – a poza tym uważał, że Spartanie zawsze powinni przewodzić. Miał nadzieję, że raz na zawsze zakończył wszelkie dywagacje o buncie i zdradzie.

– Pójdziecie ze mną do obozu – powiedział. – Porozmawiam z księciem w waszym imieniu. Załatwię zwiększone wynagrodzenie dla każdego Greka. I nie obawiajcie się żadnego odwetu za to, co wydarzyło się dzisiaj. Zakażę tego i nikt mi się nie sprzeciwi.

Żaden z żołnierzy nie miał wątpliwości, że dopnie swego. Klearchos potrafił przecież stanąć samotnie naprzeciwko rozzłoszczonego tłumu i osiągnąć to, czego chciał. Jeszcze raz ruszył przed siebie przez piaszczystą pustynię, a Grecy podążyli za nim w idealnych kolumnach.

* * *

Cyrus doszedł do wniosku, że nie może po prostu czekać w obozie przy misce zupy z porcją starego chleba. Przecież właśnie decydowała się przyszłość jego ryzykownego przedsięwzięcia. Zażądał, żeby Parwiz przygotował mu świeżego wierzchowca; Pasakasa postanowił oszczędzać. Ksenofont i Hefajstos przyprowadzili mu pięknego wałacha; sami jechali po jego lewej i prawej stronie. Cyrus zauważył, że młodszy z mężczyzn siedzi w siodle znacznie pewniej niż wtedy, gdy widział go ostatnim razem.

– Jesteś znacznie lepszym jeźdźcem niż podczas naszego pierwszego spotkania – powiedział.

Chłopak zaczerwienił się i pokiwał głową. Zeskoczył z konia i ukłonił się tak nisko, jak należy się kłaniać następcy tronu albo i samemu królowi. Cyrus ciężko westchnął i wskoczył na siodło.

– Jeden ze zwiadowców spotkał stado strusi na wschód od tego miejsca. W oczekiwaniu, aż Klearchos wróci do obozu, wezmę ludzi z włóczniami

i na nie zapoluję. Jeżeli wódz zjawi się tutaj w tym czasie, natychmiast wyślijcie do mnie kogoś z wiadomością.

Książę spojrzał na linię horyzontu, chcąc wypatrzyć jakieś znaki świadczące o tym, że w okolicy biegają wielkie ptaki, szybkie jak jelenie i potrafiące pokonywać niewiarygodne odległości. Był przekonany, że strusie znajdują się już daleko, jednak chciał po prostu pokłusować na koniu. Spodziewał się problemów ze strony Persów, kiedy dowiedzą się, że mają stanąć do walki przeciwko jego bratu. Ale to, że Grecy odmówili wykonywania rozkazów, zaszokowało go i zachwiało wszystkimi jego planami.

Niespodziewanie podjechał do niego Ariajos. Zignorował młodych Ateńczyków, rzucił wodze Ksenofontowi, ledwie na niego spojrzawszy. Cyrus poczekał w milczeniu, aż dowódca padnie przed nim na ziemię.

– Wasza Wysokość, zawróciłem kilku mężczyzn, żeby obserwowali Greków – powiedział. – Jeden z moich posłańców właśnie dotarł do obozu. Mówi, że Grecy już maszerują w naszym kierunku, w szyku bojowym.

Pers popatrzył na obserwujących go młodych ludzi. Hefajstos gapił się na niego, jakby był przekonany, że plecie bzdury, jednak drugi Grek zdawał się chłonąć każde jego słowo. Ariajos szybko i z ostentacją odwrócił się do nich plecami.

– Wasza Wysokość, czy możliwe, aby kierowali się ku nam w złych zamiarach? – kontynuował. – Mam przygotować cały obóz, żeby stawić im czoło? Przecież jest całkiem prawdopodobne, że zechcą nas ograbić z wody i zapasów.

– Czy Klearchos jest ich więźniem? – zapytał Cyrus.

– Nie sądzę, panie. Mój człowiek powiedział, że maszeruje w szeregu tak jak wszyscy.

– A zatem powitamy ich jako przyjaciół, tak jak dawniej. Każ podać wino do mojego namiotu. Powiedziałem Spartaninowi, że poczęstuję go winem i dobrą pieczenią, kiedy wróci. A na strusie mogę zapolować jutro.

17

Nad ranem Cyrus obudził się z bólem głowy, odwrócił jednak głowę od wiadra, które na wszelki wypadek postawiono tuż przy nim. Większość nocy spędził, upijając się do nieprzytomności z Klearchosem. Przypomniał sobie, jak deklamował wiersz w literackim perskim, i jęknął z przerażeniem. Spartanin nie chciał śpiewać, wspomniał. Powiedział, że jego rodacy śpiewają wyłącznie w chwili koronacji nowego króla albo kiedy są przekonani, że zaraz umrą. Cyrus zdał sobie sprawę, że wódz nie upił się tak jak on, i teraz kilkakrotnie się skrzywił, gdy krótkimi fragmentami wracały do niego wspomnienia z tego nocnego pijaństwa. Czy naprawdę, jak w dzieciństwie, ryczał jak osioł, chcąc rozbawić starszego mężczyznę, jednak tylko on sam przewracał się ze śmiechu? Błagał teraz niebiosa, żeby ta część jego nocnych wspomnień była jedynie pijacką imaginacją.

Cyrus zagiął dywan i z mocno zaciśniętymi powiekami wysikał się na piasek w kącie namiotu. Powietrze pod plandeką było gorące i wręcz śmierdziało, a ociężałe muchy obijały się o księcia. Przez chwilę miał wrażenie, że jednak zwymiotuje, i przeklął się w najgorszych słowach. Wiedział, że co najmniej do wieczora nie odzyska pełnej sprawności. Z powodu nocnego wygłupu miał przed sobą dzień, który będzie musiał spisać na straty. Wiedział, że musi coś zjeść, napić się wody, a potem co najmniej kilka godzin spędzić w siodle – dopiero wtedy jego żołądek się uspokoi. Na pustyni nie sposób było znaleźć ustronnego miejsca, a nie

chciał, żeby rozstawiano nad nim namiot za każdym razem, kiedy będzie musiał kopać w piasku dołek. Rozregulowane trzewia były w czasie długiego marszu krępującym problemem; w trakcie ćwiczeń wojskowych rzadko o tym wspominano. Cyrus wzniósł oczy w cichej modlitwie, aby z tego powodu nie poniżyć się przed swoimi ludźmi. Ojciec powiedział mu kiedyś, że mężczyźni nie wybaczają swoim wodzom dwóch rzeczy. Tą drugą było tchórzostwo.

Stanął w szerokiej misie, aby służący opłukali go wodą, a następnie pozwolił się owinąć chłodnym jedwabiem. Wtedy też go ogolili i ułożyli mu fryzurę. Następnie położył się na rozkładanym stole, a oni go wymasowali. Z kolei usiadł nagi na ławce i poczekał, aż przyniosą mu bieliznę i zbroję. Na śniadanie zjadł trochę daktyli i białego sera. Kiedy w końcu wyszedł z namiotu, słońce pokonało już sporą drogę nad horyzontem. A gdy skończył się ubierać, usłyszał z obozu hałaśliwe nawoływania do zbiórki i przygotowania do wymarszu. Rwetes był już tak głośny, że Cyrus zaraz zapomniał o swojej kiepskiej kondycji i zmrużywszy oczy, popatrzył przed siebie.

Pustynia rozpościerała się jak okiem sięgnąć, jednak wzgórza i wydmy kryły doliny, strzeliste skały, rzeki o zielonych brzegach i nawet wioski. Chociaż Cyrus i jego żołnierze wciąż byli przekonani, że są osamotnieni na wielkiej pustyni, horyzont podpowiadał im, że są w błędzie.

Ku niebu wznosiły się jakby cienkie czarne nici. Dym. Cyrus prowadził swoich ludzi na wschód, wciąż na wschód, zmierzając do stolicy swojego ojca. Wiedział, że żadna wroga armia nie będzie w stanie dotrzeć niepostrzeżenie do Persepolis, i zdawał sobie sprawę, że informacja o jego marszu w końcu dotrze do Artakserksesa. Lecz siły imperium były zbyt potężne, zbyt liczne, aby zmobilizować się w ciągu jednego dnia, a nawet w ciągu miesiąca. Cyrus przygryzł wargę i zamyślił się. Każda czwarta

część armii imperium była liczniejsza od sił, które zgromadził. Pomyślna realizacja jego planu opierała się na założeniu, że nigdy nie stanie naprzeciwko większej liczby żołnierzy brata, niż liczą jego elitarne oddziały.

Odniósł wrażenie, że wie, co oznacza dym, i nie zdziwił się, kiedy do jego namiotu – składanego już na drogę – zbliżył się Orontas. Zeskoczył z czarnego ogiera, oddał miecz służącemu, po czym padł twarzą w piasek i leżał na brzuchu, dopóki książę nie nakazał mu, żeby wstał i złożył meldunek.

– Wasza Wysokość, otrzymałem właśnie wiadomości od zwiadowców. Ci, którzy dotarli najdalej, donoszą o spalonych zbiorach i opuszczonych wioskach. Jeśli będziemy maszerować przez cały dzień, wieczorem dotrzemy do pierwszych spośród nich.

Cyrus milczał, patrząc na powoli przeplatające się wstęgi czarnego dymu, z dużej odległości podobne do ludzkich włosów.

– Tissafernes – powiedział po długiej chwili. – Wygląda na to, że mój stary przyjaciel dostrzegł więcej, niż zamierzałem mu pokazać.

Zerknął na Orontasa, jednak Pers był na tyle ostrożny, by w obecności księcia nie okazywać żadnych emocji. Cyrus przecież znał swoje zamiary już w Sardes, natomiast perscy oficerowie nie mieli wówczas o nich pojęcia.

– Wasza Wysokość, ja… zastanawiam się… – zaczął Orontas. Zawahał się, zająknął i jego głos stracił wszelką moc.

– Nad czym? Mów śmiało.

– Jeżeli twój brat, król Artakserkses, znajduje się wśród żołnierzy, na pewno jeszcze się do nas nie zbliżył. Gdyby był blisko, na pewno dostrzeglibyśmy już imperialne insygnia.

– Co jeszcze?

Wyrzucając z siebie kolejne słowa, Orontas wydawał się nabierać pewności.

– Wioski i zbiory pali się przed nacierającą wrogą armią, tak stanowią zalecenia dla oficerów, Wasza Wysokość. Ale celem takiego postępowania jest osłabienie silnego wroga. Zastanawiam się, czy twój brat poprzez takie rozkazy mimowolnie nie ujawnia nam, że wciąż nie dysponuje tutaj wystarczającymi siłami, żeby nas powstrzymać, przynajmniej w tej chwili.

– Być może. Powiedzmy, że masz rację, jednak nie widzę dla siebie korzyści z tej sytuacji. Jeśli nie uzupełnimy zapasów w trakcie marszu, na jak długo wystarczy nam żywności? Na dziewięć, może dziesięć dni? Skoro znasz zalecenia, wiesz także, w jaki sposób należy się bronić przed taką taktyką. Skoro na trasie przemarszu znajduje się spalona ziemia…

– Należy zmienić trasę – dokończył Orontas. – Jednak nie musi to zmienić mojego punktu widzenia, Wasza Wysokość. Jeżeli król Artakserkses i królewska armia nie znaleźli się jeszcze na miejscu, być może stoimy przed znacznie mniejszymi siłami, niżbyśmy oczekiwali. Może mamy na przedpolu zaledwie kilkuset podpalaczy, którzy poprzez swoje poczynania chcą nas osłabić, siejąc przed nami maksymalne zniszczenie? Jeżeli ich dopadniemy, powstrzymamy ich i przynajmniej ograniczymy niszczycielskie poczynania.

– Z pomocą zwiadowców? – zdziwił się Cyrus. – Przecież jeżeli wydam taki rozkaz, zostaną wymordowani. Większość z nich to zaledwie chłopcy.

Orontas wybrał ten moment, aby uklęknąć przed księciem i ponownie paść na twarz.

– Wasza Wysokość, pozwól, że wezmę ze sobą stu twoich strażników i usunę tych podpalaczy z naszej drogi. Wystarczy mi setka, ani jeden więcej. Podążymy dalej, niż dotarli zwiadowcy, i zaskoczymy ich,

ukrócimy dzieło zniszczenia. Przecież niszczenie zapasów wymaga czasu, panie. Dorwę łotrów, jestem tego pewien.

Cyrus nigdy dotąd nie widział u Orontasa tak wielkiego zapału do działania. Patrząc na dym unoszący się w oddali ku niebu, mężczyzna aż drżał.

– Powstań, Orontasie – odparł, a jego oczy błyszczały. Żałował, że tej sceny nie widzi Klearchos. – Bardzo dobrze. Wyprzedź naszą kolumnę i jak najszybciej przywieź mi głowy ludzi, którzy niszczą ziemię mojego ojca.

Orontas stanął na równe nogi, jednak pochylił się jeszcze nad dłonią księcia i przycisnął ją na moment do swojego czoła.

– Twój rozkaz jest dla mnie zaszczytem, Wasza Wysokość – powiedział.

Cyrus się odwrócił. Właśnie przyprowadzono mu konia i podstawkę do wsiadania na jego grzbiet. Wciąż czuł się dość paskudnie, miał w żołądku mnóstwo kwasu, dlatego z radością przyjął tę pomoc. Odchrząknął, wszedł na najwyższy stopień, wskoczył na siodło i ujął wodze.

– Mówisz, że mój brat nie może znajdować się blisko, ale nie może też przebywać w odległości zbyt wielu dni marszu. Ruszymy w jego kierunku tak szybko, jak tylko się da. Wieczorem wyślij do mnie jeźdźca z najnowszymi wiadomościami. Do tego czasu pozostań niezauważony. Życzę ci szczęścia, przyjacielu.

W trakcie rozmowy Cyrusa z Orontasem żołnierze uformowali się w kolumnę marszową i czekali już tylko na jego rozkaz do wymarszu. Cyrus pośpieszył na jej czoło, gdzie czekał już Klearchos – świeży i wypoczęty. Spartanin obserwował rozmowę księcia z perskim dowódcą i śledził wzrokiem Orontasa, gdy ten wskakiwał na wierzchowca, a następnie przejeżdżał wzdłuż szeregów, dając znaki oficerom ze straży osobistej Cyrusa. Klearchos bezpośrednio za nich nie odpowiadał, uważał jednak, że znajdują się pod jego ogólną władzą. Dlatego niechętnym

wzrokiem, spod przymrużonych powiek patrzył, jak Orontas zbiera grupę jeźdźców, przygotowując się do drogi.

Spartanin jakby od niechcenia podszedł do dwóch Ateńczyków, których zdążył już dobrze poznać. Starszy, Ksenofont, wyrzucał z siebie jakieś gniewne słowa, miotał obelgi i wygrażał pięściami za oddalającymi się konno Persami. Klearchos nie pamiętał imienia drugiego Ateńczyka.

– Ten perski dowódca, Orontas… Widzę, że zabrał ci zapasowe konie – powiedział Spartanin. – Do czego będzie ich potrzebował?

Ksenofont niemal udławił się własną śliną, kiedy zobaczył, kto do niego przemawia. Ukłonił się i odchrząknął, po czym uderzył Hefajstosa otwartą dłonią w tył głowy. Chłopak tylko patrzył przed siebie.

– Wodzu Klearchosie, to dla mnie wielki zaszczyt – powiedział Ksenofont. – Twoja sława cię wyprzedza.

– Czyż jednak w tej sławie jest wzmianka o tym, że bywam cierpliwy wobec tych, którzy nie odpowiadają na moje pytania? – zapytał Klearchos.

Ksenofont pokręcił głową.

– Nie. Orontas chce wyprzedzić nasze główne siły, aby dopaść ludzi, którzy palą przed nami wszystko, co się da.

– Dlaczego więc jesteś zły?

– On… nie zgodził się, żebym mu towarzyszył. Powiedział, że nie zabierze ze sobą Greka, że Grekom nie można ufać.

– Rozumiem – mruknął Klearchos.

Zaczął się zastanawiać, pocierając policzek. Orontas nie był typem oficera, który dobrowolnie podejmowałby się szalonych zadań. Gdyby Klearchosowi przyszło wskazać kogoś takiego, raczej pokazałby palcem Ariajosa. Coś mu w tym wszystkim nie pasowało.

– Ile koni nam zostało? – zapytał.

Ksenofont głęboko westchnął, dodatkowo rozsierdzony tym pytaniem.

– Wliczając dwa wierzchowce, których na zmianę dosiada książę Cyrus, czterdzieści sześć. Dlatego jestem zły. Przecież to ja odpowiadam za konie… a co Orontas mi zostawił?

Klearchos pokiwał głową i popatrzył przed siebie nieobecnym wzrokiem. Uznał, że musi porozmawiać z księciem Cyrusem, jednak ogarnęło go straszliwe przeczucie, że jest już za późno.

* * *

Cyrus patrzył przed siebie i osłaniał oczy przed oślepiającym słońcem, kiedy podjechał do niego perski oficer. Żołnierz rzucił wodze maszerującemu służącemu i zbliżył się do straży osobistej księcia. Nie ośmielił się podejść do niego bardziej niż na wyciągnięcie ręki.

– Błagam o krótką rozmowę, Wasza Wysokość. Na temat mojego kuzyna Orontasa.

Cyrus odwrócił głowę.

– Właśnie ma od nas odłączyć. O co chodzi? – zapytał.

Widząc, że oficer oddycha z pewnym trudem, książę skinął w jego kierunku.

Pers miał nos nieco podobny do nosa Orontasa. Cyrus odczekał, aż mężczyzna pochyli się przed nim; kiedy to uczynił, rozłożył przed sobą pergamin opatrzony pieczęcią, którą Cyrus dobrze znał. Orontas wszędzie woził ze sobą rzeźbiony szafir z symbolem jego rodu – kłosem pszenicy i dzikim koniem. Odciśnięty w glinie i utrwalony na zwoju pergaminu symbol ten był wyraźnie widoczny na białym tle. Cyrus dostrzegł, że pergamin jest rozcięty, i zrobił gniewną minę na ten widok, a w jego głowie zakiełkowały nerwowe myśli.

– Cóż ważnego mi przynosisz? – zapytał oficera, wiedząc już, że odpowiedź może być złowieszcza.

– Panie, mój kuzyn nakazał mi zawieźć to królowi Artakserksesowi. Na pergaminie napisano, że Orontas wyprowadzi żołnierzy na koniach z twojej armii, i zawarto prośbę, aby wielki król ich nie atakował, kiedy się zbliżą do jego stanowisk. Orontas to moja krew, Wasza Wysokość. Ale gdybym mógł, przeciąłbym wszelkie więzy, które mnie z nim łączą, bo przynoszą mi hańbę.

Cyrus zadrżał. Wyczuł na sobie spojrzenie dowódcy swojej straży i gwałtownie pokiwał głową. Mężczyzna aż za dobrze rozumiał, co powinien teraz zrobić. Ale Cyrus wydał ruchem ręki polecenie reszcie swoich przybocznych. Nakazał im, aby natychmiast powstrzymali przygotowania jeźdźców do odłączenia od głównej kolumny.

Orontas, będący już daleko, odwrócił się i zobaczył zamieszanie w szeregach. Mimo dzielącej ich sporej odległości Cyrus odniósł wrażenie, że dostrzega wstrząs i przerażenie na twarzy Orontasa. A może jego strachu dowiodła nagła zmiana pozycji w siodle?

Perski wódz podjął natychmiast próbę ucieczki, jednak na sypkim piasku jego szanse były znikome. Dowódca straży wydał już rozkazy, aby dopaść Orontasa, jeżeli zacznie uciekać, i Cyrusowi wystarczyło tylko czekać na chwilę, w której ten zrozumie, że nie ma najmniejszej szansy na ucieczkę.

Wódz gwałtownie opuścił głowę i wpatrywał się w siodło, zaciskając dłonie na wodzach. Cyrus obserwował, jak strażnicy zmuszają go do zejścia na ziemię i wiążą mu ręce. Po chwili zbliżył się do niego Ariajos. Uwiązał go na długiej linie, a drugi jej koniec zaczepił o siodło własnego konia. Cyrus znajdował się zbyt daleko, aby usłyszeć ich krótką rozmowę, obiecał jednak sobie, że jeszcze tego wieczoru pozna każde słowo, które w niej padło. Kolumna żołnierzy w końcu niepewnie ruszyła, jednak wiele

żołnierskich twarzy kierowało się ku stojącemu na chwiejnych nogach Orontasowi. Jego twarz stężała w wyrazie upokorzenia.

Książę Cyrus siedział na koniu kilkanaście kroków od maszerującej kolumny. Mijały go tysiące żołnierzy, a on czekał na chwilę, w której Ariajos przybędzie do niego z tym nowym niewolnikiem. Początkowo książę pragnął, aby wszystko, co miało teraz nastąpić, odbyło się w atmosferze cichego potępienia, jednak jego wzburzenie z każdą chwilą rosło. Uniósłszy rękę, ruchem palców nakazał Ariajosowi, aby zbliżył się do niego jak najszybciej.

Klearchos podszedł do Persów na tyle blisko, by razem z Proksenosem i Netosem obserwować całą scenę. Zbliżył się także Menon Tesalczyk, chociaż trzymał dystans do Klearchosa, gdyż pokłócił się z nim podczas marszu. Wszyscy byli wstrząśnięci postępkiem Orontasa i czekali na reakcję Cyrusa.

Ariajos zręcznie zeskoczył z szarej klaczy. Był świadomy, że w tej chwili wszyscy wpatrują się w niego. Mógł pozwolić Orontasowi na zachowanie resztek dumy, jednak zdecydował się na przeciągnięcie go na linie po piasku aż do Cyrusa. Znalazłszy się na ziemi, błyskawicznie stanął w rozkroku przed rodakiem. Orontas próbował się podnieść, a wtedy Ariajos przyłożył ostrze noża do jego gardła, przez co nieszczęśnik całkowicie znieruchomiał, zdawszy sobie sprawę, że jego życie zależy w tej chwili od jednego słowa księcia, którego nienawidził – i od nastroju lubiącego się popisywać wojownika, którego nigdy nie lubił. Zdołał zachować spokój. Już wiele razy widział ludzi, którzy zaglądali w oczy własnej śmierci. Na samym końcu żadna walka nie miała sensu. Oddychał powoli, zadowolony, że jest w stanie znosić perspektywę śmierci z czymś w rodzaju godności.

– Nie będziesz protestował, Orontasie? – zapytał nagle Cyrus. – A może powiesz coś na swoją obronę?

Dowódca, który rozkazał oddziałom udać się do króla, spojrzał w bok na kuzyna, stojącego nieruchomo, z oczami wbitymi w ziemię.

– Zdaje się, że zaufałem niewłaściwemu człowiekowi, Wasza Wysokość.

– Mamy więc ze sobą coś wspólnego – odwarknął Cyrus.

Orontas wzruszył ramionami i popatrzył na wschód.

– Wasza Wysokość… Nie, to nie ma znaczenia – powiedział.

Cyrus patrzył na niego zimno.

– Czy w jakiś sposób cię zraniłem, Orontasie?

Pers bez słowa pokręcił głową.

– Skąd więc ta zdrada? Czyż nie jestem synem mojego ojca? Czy nie przysięgałeś, że będziesz służył mojej rodzinie?

– Nie, panie – odparł Orontas. Odzyskiwał pewność siebie, mówił coraz głośniej. – Przysiągłem służyć koronie. Zamierzałem nadal to czynić, dołączając do twojego brata, mojego króla. Bardzo… bardzo cię przepraszam. Od długiego czasu się nad tym zastanawiałem. Nie chciałem stawać przeciwko tobie, mój książę. Zawsze byłeś dla mnie bardzo dobry. Ludzie śpiewają pieśni na twoją cześć. Ale… czułem, że dłużej tak być nie może. – Uniósł głowę, w jego oczach lśniły łzy. – Dokonałem wyboru, Wasza Wysokość. Przyjmę konsekwencje.

Cyrus przez długą chwilę milczał. Wiedział, że wystarczy jego rozkaz i dowódca pożegna się z tym światem. Każdy, kto go teraz obserwował, właśnie takiego rozkazu się spodziewał. On jednak gorączkowo poszukiwał sposobu, aby pozostawić Orontasa przy życiu. Chociaż wystawił jego nerwy na ciężką próbę, był przecież doskonałym żołnierzem, szanowanym przez swoich podwładnych. Gdyby istniał jakiś rozkaz albo słowo, które mogłoby teraz sprawić, że Cyrus odzyskałby jego lojalność,

wypowiedziałby je natychmiast. Popatrzył na Klearchosa, właściwie nie wiedząc, czego się po nim spodziewa… jakiejś rady, czegokolwiek. Ten jednak milczał i Cyrus westchnął.

– Zabierzcie tego nikczemnika sprzed moich oczu – powiedział do strażników. – Skończcie z nim szybko, jednym ciosem. I traktujcie z honorami, ten człowiek gotuje się na śmierć.

Odwrócił się do obserwującego go więźnia. Wyciągnął nóż i rozciął więzy na jego rękach. Orontas roztarł dłonie, patrząc na księcia, którego zachowania nie potrafił w tej chwili zrozumieć.

– Wasza Wysokość, czy przed wykonaniem wyroku będę mógł napisać list do rodziny?

Cyrus stłumił atak złości, który mógł przynieść Orontasowi śmierć w mgnieniu oka. Ale był księciem, synem swojego ojca. Zapanował nad sobą.

– Oczywiście – powiedział i po raz ostatni odwrócił się do dowódcy plecami.

Wszyscy usłyszeli ciężkie westchnienie Orontasa. Był to akt rezygnacji, poddania się nieuchronnemu losowi. W tym momencie dowódca ukląkł, po czym rzucił się na ziemię do stóp księcia z dynastii Achemenidów, mimo że śmierć zbliżała się do niego wielkimi krokami.

– Ariajosie! – zawołał Cyrus.

Mężczyzna był gotów wypełniać jego rozkazy i pocałował przed nim ziemię, zanim książę zdążył wypowiedzieć kolejne słowa. Gestem nakazał mu wstać.

– Od teraz jesteś dowódcą wszystkich perskich żołnierzy. Kuzyna Orontasa mianuj swoim zastępcą. Możesz rozkazywać wszystkim z wyjątkiem Greków, a sam masz wykonywać rozkazy Klearchosa. Zrozumiałeś? Będziesz mi lojalnie służył na tych warunkach?

– Będę. I zabiorę ten zaszczyt ze sobą do grobu, Wasza Wysokość – odparł Ariajos. – Sprawię, że będziesz ze mnie dumny.

– Wystarczy, że okażesz się lepszy niż ten łotr, twój poprzednik – powiedział Cyrus.

Odwrócił się na wierzchowcu i zanim spiął go piętami, zdążył zobaczyć, że Klearchos pochyla głowę przed Orontasem. Proksenos i Netos ruszyli z księciem z powrotem do kolumny, a Menon podążył za nimi. Grecy zachowywali się bardzo poważnie, jak przystoi w chwili, kiedy traci się towarzysza broni, jednak żaden z nich nie sprzeciwił się decyzji księcia. Kolumna żołnierzy miała tego wieczoru posunąć się znacznie dalej w głąb pustyni. Ciało Orontasa powinno pozostać daleko za nią, aby kruszało na słońcu, dziobane i rozdzierane przez drapieżne ptaki.

* * *

Tego wieczoru w obozie książę Cyrus podszedł do jednego z ognisk Spartan, aby zjeść razem z nimi. Kiedy zorientował się, jak niewielkie są ich racje, popijane tylko zimną wodą, pożałował, że nie zabrał ze sobą żywności. Mimo wszystko Spartanie powitali go serdecznie, a on usiadł ze skrzyżowanymi nogami na gołej ziemi pomiędzy nimi. Razem z Klearchosem zaczął się posilać marną zupą z gotowanych ziaren zboża i zsiadłego mleka, zagryzając kozim serem i starą figą.

– Co cię do nas sprowadza, Wasza Wysokość? – zapytał Klearchos, kiedy wszyscy skończyli jeść i starannie wytarli miski.

– Orontas zamierzał dotrzeć do mojego brata – odparł Cyrus, wpatrując się w niski płomień ogniska. Początkowo chciał poprosić, żeby podsycono ogień, jednak przypomniał sobie, że na tym jałowym pustkowiu żołnierze muszą dźwigać w marszu każdy kawałek drewna. Życie tutaj było prawie

niemożliwe – bez wody i bez źródła ciepła w nocy. Zrobiło się już przejmująco zimno, dlatego kiedy odezwał się znowu, jego zęby dzwoniły i musiał co chwilę mocno zaciskać szczęki. – Był przekonany, że siły królewskie są dość daleko. Powiedział mi, że pogna do przodu, żeby pokrzyżować plany tych, którzy palą zbiory i zatruwają studnie. To był dobry pomysł i chyba wciąż taki jest.

– Wasza Wysokość, zostaw to mnie – odparł Klearchos. – Zabiorę ze sobą kilku ludzi. Albo tego Ateńczyka, który był tak oburzony, że odebrano mu konie.

– Tak – powiedział Cyrus. – Potrzebujemy oczu daleko z przodu, aby wiedzieć, gdzie mój brat rozbija swój namiot. Ale… nie wiem, co myśleć o ludziach, których Orontas wybrał do zdradzieckiej misji. Czy niektórzy z moich strażników mogą być zdrajcami? Trudno mi w to wierzyć. Ale jak mam im teraz ufać?

Klearchos sięgnął do zawiniątka za plecami i wydobył z niego butelkę. Wyglądała w słabych płomieniach ogniska, jakby wykonano ją z żółtej kości słoniowej. Na jej powierzchni wyrzeźbiono jakieś postaci. Spoglądając na nie w półmroku, Cyrus pomyślał, że uprawiają jakiś sport, chociaż nie był tego pewien.

– To ostatnia butelka z moich zapasów, Wasza Wysokość. Uważam, że dzisiaj przyszedł na nią czas.

Książę przyjął flaszkę z rąk Spartanina i upił duży łyk. Jego oczy się rozszerzyły, gdy trunek zaczął palić mu gardło.

– Czy to powstało z winogron? – zapytał chrapliwie.

– Raczej ze skórek winogronowych – odparł Klearchos i roześmiał się. Uniósł butelkę i oblizał wargi. – Wasza Wysokość, Orontas był przywódcą. Wiem, że miał związki z jedną spośród najbardziej szacownych rodzin

perskich, ale wybił się, ponieważ był zdecydowany i silny. I miał w sobie coś, czego nie mają inni mężczyźni.

– To dlatego mu się ukłoniłeś?

– Ach, zauważyłeś to, prawda? Nie, panie. Po prostu oddałem mu honory, ponieważ z godnością szedł na śmierć. Przyjął ją jak Spartanin. A to rzadkość. Widywałem dorosłych mężczyzn łkających wniebogłosy, ponieważ pogryzł ich pies. Szlochali jak dzieci! Jesteśmy żołnierzami, Wasza Wysokość. Rozumiemy, że jutrzejszy dzień może być naszym ostatnim. Albo że możemy zginąć już pojutrze. Żołnierz nie ma wielkiego wpływu na to, kiedy i w jaki sposób zakończy życie. Zawsze jednak może wybrać sposób, w jaki przyjmie śmierć.

Przez chwilę mężczyźni milczeli, podając sobie butelkę z ręki do ręki, aż wypili jej zawartość do dna. Cyrus stwierdził, że przyzwyczaja się do płomieni w gardle; w końcu stały się niemal przyjemne.

– A pozostali?

– Pozostali myśleli, że wykonują twoje rozkazy, Wasza Wysokość. Nie przywiązywałbym więc wagi do ich zachowania. Bywają mężczyźni, którzy potrafią nauczyć się przewodzić innym; uważam, że nikt z nas nie rodzi się przywódcą. Większość jednak woli, aby ktoś nimi dowodził. Nie żądają od życia więcej niż wina, jedzenia i ciepła, a później domu i dzieci. Na rozstajach dróg nie chcą decydować, w którą stronę pójść. Nie chcą, aby podchodzili do nich ludzie i natarczywie pytali: „na zachód czy na wschód?”, „żyć czy umierać?”. Odpowiedzi na takie pytania muszą udzielać mężczyźni twardzi i samotni, tacy jak ty, Wasza Wysokość.

– I jak ty – odparł Cyrus.

– Ach, cóż, jestem synem Lakedajmona. Mam srebrną czaszkę i płynny brąz w żyłach. Chodziłem ulicami Sparty i piłem wodę z rzeki Eurotas płynącej przez suchy ląd. Stałem na akropolu i wykrzykiwałem

wniebogłosy moje dorosłe imię. – Mówiąc, Klearchos się uśmiechał, ale jego słowa brzmiały jak zaklęcie i sprawiły, że książę zadrżał. Niespodziewanie Spartanin ziewnął i przeciągnął się jak dziecko. Popatrzył na gwiazdy i potrząsnął głową. – Noc jest zimna, Wasza Wysokość. Jutro wyślę naprzód moich ludzi na koniach. Znajdziemy i powiesimy niszczycieli. Albo natrafimy na armię twojego brata i się z nią ostro rozprawimy. W końcu po to tutaj jesteśmy, prawda? Orontas powinien był poczekać trochę dłużej.

Książę stanął na nogi, pewniejszy siebie dzięki trunkowi, który wypił, i dzięki słowom Spartanina. Skłonił teraz przed nim głowę, tak jak Klearchos skłonił się przed Orontasem, następnie chwiejnym krokiem się oddalił, brnąc przez piasek ku miejscu, w którym zostawił swój koc i posłanie pod gwiazdami.

Klearchos jeszcze raz się przeciągnął i patrzył za księciem, dopóki nie zniknął mu z oczu. Lubił tego młodzieńca, mimo wszelkich jego wahań i niepokojów. Będzie dobrym królem, jeśli tylko otrzyma tę szansę.

18

W ciemności rozległy się sygnały alarmowe rogów. Brodaci żołnierze zaczęli wydostawać się spod koców i z namiotów, przewracając zaspanymi oczami i odruchowo sięgając po miecze i tarcze. Słychać było tętent galopujących koni i wrzaski polemarchów oraz pentekosterów wywołujących swoich ludzi do szeregów. Ubranie się i nałożenie napierśników wymagało czasu, chociaż żołnierze poruszali się bardzo szybko. W bezładnie rozsianych gromadach walczyli z węzłami i paskami. Nie groził im natychmiastowy atak. Oficerowie krążyli pomiędzy grupkami, nawołując do pośpiechu i przypominając żołnierzom, aby dobrze wiązali buty i wciskali hełmy głęboko na głowy. Gwałtowne rozkazy niemal ich uspokajały: stanowiły niezmienny rytuał ich życia, składały się ze słów, które wcześniej słyszeli już po tysiąc razy. Wokół niewątpliwie panował chaos, jednak nie w ich szeregach. Wszystko wskazywało, że rozpoczęły się kolejne ćwiczenia, bez wątpienia zarządzone przez spartańskiego wodza, który wydawał się uwielbiać takie akcje w porze, kiedy normalni ludzie pogrążeni są w głębokim śnie.

Bez paniki stanęli w szyku, chociaż w ciemnościach zbiórce każdego oddziału towarzyszyły gromkie nawoływania.

– Stań w rzędzie, za Demetriosem z Aten!

– Pierwsza czwórka, dalej gromadzić się za narożną chorągwią!

Oficerowie wywoływali swoich ludzi, wykrzykując ich imiona lub stopnie, każąc im zajmować pozycje, w jakich ustawiali się podczas

miesięcy ćwiczeń. Wszystko zajęło mnóstwo czasu, chociaż zdawało się, że minęła zaledwie chwila. Towarzyszyły im pośpieszne, szorstkie okrzyki pożegnania lub życzenia szczęścia – chmara ludzi wycofywała się, pozostawiając kochanków, przyjaciół, panów. Wojownicy Grecji i Persji samotnie ustawili się wzdłuż długiej zakrzywionej linii wytyczonej w piaskach. Odgłosy rogów ustały, praca została wykonana. Stali teraz bez słów, chociaż ani przez chwilę w ciszy. Skrzypienie skór, nerwowe uderzenia mankietów i tarcz, zgrzytanie nienaoliwionej broni, która wyschła na piasku i w słońcu – wszystko to brzmiało na pustyni metalicznym dźwiękiem, jakby jakiś wielki, mroczny stwór z kamienia i brązu właśnie się obudził i gotował do walki.

Bardziej doświadczeni żołnierze nie obnażyli broni, chociaż ich dłonie otwierały się i zamykały na rękojeściach. Gdyby mieli dzisiaj zabijać, musieli stosować każdą dostępną sztuczkę, żeby zachować siły na czas, kiedy wstanie słońce. Już teraz bali się jego gorących promieni. Wszyscy mieli skórę ciemniejszą niż na początku w Sardes lub w Grecji, chociaż u części widoczne były białe płaty w miejscach, w których ich ciała zostały niemal do kości wypalone przez słońce. Poza tym byli chudzi, gdyż od dawna otrzymywali zbyt skąpe posiłki, a skóra na ich ciałach twardniała z powodu działania piasku oraz ukąszeń much i wszy.

Podążając za księciem, przebyli długą drogę. Chociaż wielu się denerwowało, teraz uspokajali się nawzajem, czekając na chwilę, w której poznają przyczynę alarmu. Setkami rozliczali się ze swojego życia przed bogami, dotykali amuletów i pamiątek z domów, przyciskali je do ust i szeptali krótkie modlitwy. Wreszcie przyszedł czas na bardziej przyziemne sprawy. Zaczęli sikać w piasek tam, gdzie stali, aż para zaczęła się unosić nad szeregami.

Nad oddziałami wysoko uniosły się chorągwie, rozwinięte przez chłopców z obozu, którzy z wielką dumą trzymali je na długich drzewcach. Pegaz, byk, sowa i spartańska lambda wzniosły się wysoko nad szeregami Greków, natomiast nad oddziałami Persów wyrosły lew, sokół, gryf i słońce. Wyrostki przynosiły wodę każdemu żołnierzowi, który o nią wołał, albo biegały, by dostarczać im do szeregów jakieś zapomniane w pośpiechu przedmioty. Chłopcy początkowo krzyczeli i głośno się nawoływali, jednak im bliżej znajdowali się żołnierzy, tym byli cichsi, a chodząc pomiędzy nimi, już tylko szeptali, z samego respektu dla mrocznej armii, która ustawiła się w szyku pod iskrzącymi gwiazdami.

Nad wschodnim horyzontem pojawiła się blada wstęga światła i jednocześnie powiał pierwszy lekki wiatr, jakby chciał wyszorować piasek pustyni po długiej nocy. Światło sprawiło, że można już było dostrzec zarys armii księcia Cyrusa. Żołnierze stali twarzami w kierunku marszu, spoglądali na wschód, jak to mają w zwyczaju przedstawiciele różnych ludów: patrzyli w kierunku źródła światła, ku wschodzącemu słońcu, które wypalało wszystkie dziecinne strachy i obawy. Głowy mieli zwrócone ku szarej, lecz coraz jaśniejszej wstędze i czekali, aż pierwsze ciepło dnia dotknie ich twarzy. Odrzucali natomiast od siebie perspektywę okrucieństwa, strachu i samotności pośród towarzyszy broni, która zawsze towarzyszy walce.

Horyzont stał się jakby ciemnym pasemkiem oddzielającym ziemię od nieba. Ale gdy blade światło zaczęło dominować, ci o najostrzejszym wzroku krzyknęli ostrzegawczo; pozostali wciąż patrzyli przed siebie i pytali, co się dzieje. Wśród Greków i Persów znajdowały się tysiące mężczyzn, którzy z dużej odległości widzieli wszystko jak przez mgłę, jednak w walce na miecze słaby wzrok im nie przeszkadzał. Ci żołnierze

chwytali chłopców z obozu, odwracali ich do światła i pytali, co się znajduje ponad tymi ciemnymi wzgórzami.

Chłopcy wytrzeszczali oczy i widzieli, że horyzont faluje, jakby sama ziemia się ruszała. Zaczęli wskazywać palcami i krzyczeć, kiedy w pierwszym świetle słońca dostrzegli czubki drzewców, na których umocowane były chorągwie. Armia Cyrusa wkrótce usłyszała dudnienie unoszące się nad pustynią, przywodzące na myśl toczenie się wielkiego kamienia po zboczu którejś z odległych gór – jakby długi pomruk, który trwał bez końca. W oddali gruba linia, która wydawała się dotąd fragmentem ziemi, eksplodowała czarnymi tarczami i pyłem pustynnym wzbijanym przez cwałujące konie. Armia Persów właśnie wyległa na pole bitwy, aby stanąć przeciwko armii Cyrusa. Ruszyła do boju nieprzebranymi zastępami, nadając ziemi czarną barwę.

Część oddziałów wydała wyzywające odgłosy, wyjąc i pohukując w kierunku żołnierzy imperium. Ludzie Cyrusa wzajemnie dodawali sobie odwagi przed bitwą. Harmider, jaki wywołali, przez długą chwilę rósł, lecz w końcu zaczął cichnąć i wreszcie całkowicie zamarł. Wojsko księcia znów stało w ciszy, jakby oniemiałe. Oddziały naprzeciwko niego zdawały się bezustannie przybierać, rosnąć, aż wreszcie zasłoniły swoim przeciwnikom niemal cały świat. Żaden z ludzi Cyrusa nie widział dotąd tak wielu żołnierzy zgromadzonych w jednym miejscu. Próba ich policzenia równałaby się próbie policzenia kropli wody w morzu.

Cyrus przyprowadził ze sobą sto tysięcy uzbrojonych Persów i dwanaście tysięcy Greków. Kolejne tysiące ludzi tkwiły z przerażeniem w oczach w obozie za plecami żołnierzy i wszyscy powoli, krok po kroku, zaczęli się cofać. Przebrnęli spokojnie przez zielone wzgórza Babilonu, a potem weszli na pustynię, czerpiąc pewność siebie z wielkiej liczby żołnierzy zebranych przez Cyrusa. Ogrom tej armii nagle się skurczył w obliczu tak wielkiej

przewagi liczebnej wroga, który zamierzał zniszczyć najeźdźców, nie dając im szansy na poddanie się, obojętny na wołania o litość. Ci, którzy przyszli z Sardes razem z księciem, poczuli, jak kurczą im się moszny, jak ból nagle opanowuje ich żołądki i pęcherze, a zimny pot spływa po tułowiach. Ogarnęła ich rozpacz.

Cyrus rzucił swój hełm jednemu z osobistych strażników, po czym wbił pięty w boki wierzchowca. Jako przywódca instynktownie poczuł, że ci wszyscy ludzie muszą go teraz zobaczyć. Wysforował się przed nich z rozwianymi włosami, z rozwiniętymi chorągwiami, z Parwizem i sześciuset strażnikami na koniach, podążającymi za nim przez piaszczysty grunt. Nawet nie spojrzał w kierunku armii brata, woląc patrzeć na szeregi żołnierzy, którzy zabrnęli aż tutaj, żeby walczyć w jego imieniu. Wszyscy należeli do niego w sposób, który trudno było opisać. Od teraz ich życie zależało od każdego jego słowa. Łączyła ich więź równie głęboka jak więź rodzinna, a stawka znacznie przewyższała najśmielsze wyobrażenia.

Klearchos i Grecy zamykali prawe skrzydło armii tuż przy Eufracie, aby uniemożliwić wrogowi atak z flanki lub przeprowadzenie skutecznego okrążenia. Cyrus zatrzymał się pośrodku długiej linii oddziałów i wzniósł wysoko swoją chorągiew. Na wielkiej kwadratowej powierzchni z jedwabiu widniał sokół wysadzany szlachetnymi kamieniami. Książę popatrzył w lewo i w prawo, dumny z setek symboli, będących życiodajną krwią i tradycją armii, wznoszonych teraz na długich włóczniach.

Po jego lewej ręce perskie oddziały ustawiły się pod dowództwem Ariajosa. Cyrus stał pośrodku, ponieważ właśnie tam spodziewali się go ludzie. Słońce wznosiło się coraz wyżej nad horyzont i armia jego brata nieuchronnie się zbliżała. Zaczął więc wypatrywać na środku jej linii królewskiego orła Achemenidów – i nie mógł go dostrzec.

Przez szeregi żołnierzy przebiegł ku księciu posłaniec, lśniący od potu i już brudny, ponieważ musiał przedzierać się pomiędzy końmi. Padł w piasek tak blisko Cyrusa, że niemal znikł pod kopytami jego wierzchowca.

– Klearchos prosi o ostateczne rozkazy, Wasza Wysokość. Pragnie, abyś wiedział, że liście z wszystkich lasów tego świata nie unikną ciosów jego mieczy.

Cyrus uśmiechnął się nieznacznie kącikiem ust. Spartanin nie mógł się oprzeć próbie podniesienia go na duchu. Klearchos był tutaj dla wszystkich autorytetem, bez dwóch zdań.

Zanim książę zdołał odpowiedzieć posłańcowi, zobaczył, jak gromada jego osobistych strażników wskazuje w lewo, chroniąc wzrok przed wschodzącym słońcem. Ni stąd, ni zowąd zaczęli wykrzykiwać imię jego brata. Cyrus popatrzył na wschód i z trudem przełknął ślinę, kiedy zrozumiał. A jednak Artakserkses znalazł się w centrum wydarzeń. Jego armia niestety była tak ogromna, że jej środek znajdował się daleko za skrajem wojsk księcia. Po raz pierwszy Cyrus zadrżał, oddech uwiązł mu w gardle. Jego brat, a może Tissafernes, spodziewali się go.

Popatrzył przez prawe ramię, ponad młodym Grekiem, który czekał na rozkazy, w kierunku skrzydła z Klearchosem, Proksenosem i Netosem. Menon Tesalczyk był tam także, chociaż jego ludzie stanowili bufor odgradzający Greków od Persów oraz od sił greckich ustawionych najbardziej z lewej strony – jak rozumiał Cyrus, najbardziej bitnych. Grecy kłócili się i walczyli między sobą podczas całego marszu, nie zaprzestając sprzeczek nawet podczas postojów. Stanowili jednak siłę, jaką nie dysponował Artakserkses. Byli potęgą, której żołnierze wielkiego króla nie mogli dorównać, z którą nie byli w stanie skutecznie się mierzyć. Cyrus

odmówił modlitwę do Ahury Mazdy, kierując zamknięte oczy w stronę wschodzącego słońca.

– W drogę, chłopcze! – krzyknął do posłańca. – Oto mój rozkaz. Klearchos ma natychmiast z pełną szybkością zaatakować z prawego skrzydła, oddalając się od rzeki, przed frontem naszej armii, zanim wróg znajdzie się w jej zasięgu. Ma uderzyć w środek szeregów królewskich, tam gdzie powiewają chorągwie z orłem, na lewo ode mnie. Powtórz rozkaz, chcę wiedzieć, że go zrozumiałeś.

Posłaniec doskonale mówił w języku perskim i powtórzył słowa księcia bez żadnego błędu, chociaż oczy miał otwarte bardzo szeroko. W końcu skinął głową, przykląkł na kolano i pobiegł z rozkazem. Jego spocona skóra lśniła.

Cyrus z ponurą fascynacją obserwował, jak szereg oddziałów brata zbliża się do niego. Był niczym człowiek, który patrzy, jak ze szczytu góry nieuchronnie zmierza ku niemu lawina kamieni, jednak nie rusza się z miejsca, jakby nagle w nie wrósł.

* * *

Klearchos dostrzegł wracającego posłańca. Jego żołnierze na prawym skrzydle stali w ciszy, czekając, aż zbliżający się wróg znajdzie się w zasięgu kamieni i włóczni. Panował poważny nastrój, chociaż greccy najemnicy byli pewni siebie jak zawsze. Poznali już jakość perskich żołnierzy, odbywając z nimi ćwiczenia. Perspektywa zmierzenia się w bitwie z mężczyznami walczącymi w podobny sposób nadmiernie ich nie martwiła. Jedynie ogromna liczba przeciwników sprawiała, że nie drwili z nich i w większości milczeli. Obserwowanie armii kroczącej w ich

kierunku niczym wielka fala płynąca przez zatokę było doświadczeniem, które samo w sobie nakazywało powagę.

– Mam… mam rozkazy… od księcia – z trudem powiedział zdyszany posłaniec.

– Mógłbyś być trochę szybszy – odparł Klearchos. – Powrót od niego zabrał ci niemal cały dzień.

– Przepraszam, wodzu – wydyszał młodzieniec. – Książę mówi, abyś natarł swoimi siłami na środek armii wroga, o, właśnie tam, panie.

Posłaniec wskazał miejsce, które należało zaatakować, ale wódz nawet tam nie spojrzał. Niedaleko znajdował się Proksenos; w przeciwieństwie do Klearchosa doskonale czuł się w końskim siodle. Spartanin dał znak posłańcowi, żeby zaczekał. W tym czasie beocki dowódca zbliżył się do niego i uniósł pytająco brwi.

– Książę Cyrus każe nam ruszyć do boju przed jego Persami, zaatakować straż królewską pośrodku ich szeregów. Wydaje mi się, że to miejsce znajduje się po naszej lewej stronie. Stąd nawet go nie widzę.

– Mamy odejść od rzeki? – zapytał Proksenos. – To byłoby… raczej lekkomyślne posunięcie. – Popatrzył w dal i pokręcił głową. – Wróg jest… bardzo blisko, zbyt blisko, aby próbować czegoś takiego, Klearchosie. Nawet nie jestem pewien, czy zdołam przegrupować oddziały, zanim nas dopadnie.

W obecności słuchających ich żołnierzy i posłańca, który czekał na kolejną wiadomość do przekazania, dwaj dowódcy popatrzyli na siebie w milczeniu. Rozkaz, który otrzymali, był jak desperacki rzut kośćmi, a jego realizacja musiała albo doprowadzić do śmierci jego wykonawców, albo okazać się tym nadzwyczajnym ciosem, który mógłby doprowadzić do zwycięstwa, zanim bitwa rozpoczęłaby się na dobre. Proksenos był mu wyraźnie niechętny, jednak Klearchos wiedział, że jeśli ten rozkaz

potwierdzi, Beota mu się podporządkuje. Mógł przez chwilę dyskutować, jednak przenigdy nie naruszyłby obowiązującej go dyscypliny. Obaj rozumieli, że wódz lub książę musi czasami posłać ludzi na śmierć, chociażby po to, aby utrzymać jakieś strategiczne wzgórze albo front walki. Zadaniem żołnierzy było wykonywanie rozkazów i jak najdroższe sprzedanie własnej skóry, żeby w ostateczności osiągnąć zwycięstwo. Realizacja tego zadania wymagała zaufania i wiary w tych, którzy nimi dowodzili. Co więcej, od mężczyzn, którzy mogli zdawać sobie sprawę, że ich dowódcy czasami się mylą, wymagała też – mimo świadomości, iż mogą zostać rzuceni na śmierć w wyniku błędu lub nadmiernego poczucia dumy – bezwarunkowego podporządkowywania się każdej decyzji przełożonych.

Mimo wszystko Klearchos przez długą chwilę milczał. Dostrzegł Menona Tesalczyka wypatrującego, co się dzieje, i właśnie to krótkie spojrzenie na niego sprawiło, że szybciej podjął decyzję. Menon powiedział niedawno głupie rzeczy o Sparcie, o jej jedynym teatrze i jednej rzece przepływającej przez suchą dolinę. Gdyby nie byli sprzymierzeńcami, Klearchos kazałby mu odpowiedzieć za te słowa. Przypuszczał, że jeszcze do tego doprowadzi, jeśli Menon przetrwa bitwę. Posłał go na najbardziej w lewo wysunięty odcinek greckiego skrzydła właściwie jak na zesłanie, jednak kościsty niski człowieczek wydawał się tego nie rozumieć.

– Wróć do księcia Cyrusa – powiedział Klearchos do posłańca. – Powiedz mu, że ruszymy zgodnie z jego rozkazem.

Posłaniec skinął głową i pobiegł. Proksenos odwrócił się w miejscu i popatrzył na zastępy wroga. I znowu spojrzał na Klearchosa.

– Jeżeli ruszymy przeciwko nim, okrążą nas, przyjacielu. Armia królewska ma wielką przewagę liczebną po naszej lewej stronie. Jeżeli

rozwiniemy się także w prawo, będziemy mieli przeciwnika po obu skrzydłach i to… i to będzie koniec.

– Tak – zgodził się Klearchos. – Dlatego zanim zaatakujemy ich centrum, musimy rozgromić ich skrzydło będące przed nami. Jeżeli zrobimy to szybko, będziemy mogli natychmiast zwrócić się przeciwko królowi. Książę Cyrus nie będzie mógł powiedzieć, że nie natarliśmy na niego, jednak najpierw musimy pokonać przeszkodę, która stoi na najkrótszej drodze do niego.

Proksenos się roześmiał.

– Lubię cię, Spartaninie.

– Nie dbam o to – odparł Klearchos. Trudno było się zorientować, czy w tej chwili żartuje, ale uśmiech zniknął z twarzy Proksenosa. – Wracaj do swoich ludzi. Powiedz im, aby byli dzielni. – Klearchos popatrzył na swoich dwóch ludzi czekających ze srebrnymi rogami. – Dajcie sygnał do ataku – powiedział.

Sprawdził, czy miecz odpowiednio szybko wyślizguje się z pochwy, dotknął dłonią kopisa zatkniętego za paskiem na plecach. Tarcza ważyła dokładnie tyle, ile trzeba – stara przyjaciółka, dobrze umocowana na lewym ramieniu. Wyciągnął prawą rękę i podano mu włócznię. Ujął ją i ocenił jej ciężar, a kiedy się uśmiechnął, wyraz jego twarzy był przerażający.

Rozległy się dźwięki rogów. Spartanie ruszyli do boju, prowadząc całe skrzydło greckich wojsk, samotnie, przeciwko armii perskiej. Szli, mając po prawej stronie rzekę, a w powietrzu powiewały poły ich czerwonych płaszczy. Przed nimi rozpościerała się ruchoma mozaika jeźdźców w białych narzutach i łuczników. Na jej przedzie sunęły w regularnych zastępach rydwany, z wysiłkiem ciągnięte w sypkim piasku przez konie. Na wysokości ludzkiego tułowia pojazdy miały przymocowane zakrzywione stalowe ostrza, które na twardej ziemi siały przerażające zniszczenie. Tą

częścią perskiej armii dowodził nowo mianowany pir Tissafernes, przyodziany w olśniewający biały płaszcz i dosiadający szarej klaczy.

* * *

Cyrus zobaczył, że Grecy ruszają do boju, i w duchu ich pobłogosławił. Obserwował, jak odrywają się od stojących szeregów, i nagle zacisnął szczęki, kiedy zrozumiał, że pomkną przed siebie w linii prostej, nie zmieniając kierunku. Pozycja jego brata znajdowała się daleko w lewo, jednak Grecy parli do przodu, jakby Klearchos nie zrozumiał jego rozkazu. Książę przesunął dłonią po drzewcu włóczni, a jego koń parsknął i zaczął grzebać kopytami w piasku, jakby wyczuł frustrację jeźdźca.

Po jego prawej stronie w oddali zalśniły wody rzeki, kiedy nagle padły na nią promienie słońca. I książę pojął, że Klearchos nie chce, aby otoczyły go ogromne siły wroga, lecz przecież to Cyrus był następcą tronu. Po upadku brata w mgnieniu oka mógłby zapanować nad całym polem bitwy.

Obserwował, jak Grecy oddalają się od jego Persów, kierując się ku nieprzebranym zastępom armii imperium, jakby chcieli ją rozbić w pył. Wyglądało to jednak tak, jakby chłopiec z kijem zamierzał pobić cały oddział wojska. Cyrus przełknął grudę gęstej śliny, która utworzyła mu się w gardle. Z uznaniem pomyślał, że najemnicy jednak nie odmówili wykonania rozkazu, który im wydał. Tym bardziej nie mógł teraz biernie stać i obserwować, jak idą na rzeź.

– Zagrajcie sygnał do ataku. Zaatakujemy wszystkimi siłami naraz. Naprzód! Bić wroga!

Znowu zadudniły rogi wzdłuż szeregów książęcej armii i perskie oddziały księcia zakołysały się, powoli ruszając do przodu. Ustawione w czarne czworoboki wyglądały na śmiesznie małe i bezradne na tle tych,

z którymi miały się bić. A jednak i perscy żołnierze księcia zebrali się na odwagę. Cyrus zajął miejsce w centrum, wśród pierwszych szeregów, chociaż wiedział, że kiedy podążające naprzód armie zewrą się w boju, naprzeciwko jego brata nie stanie absolutnie nikt, tak wielka była różnica w liczebności obu armii. Jedyną szansą Cyrusa był szybki odwrót albo przedarcie się najsilniejszym prawym skrzydłem przez najsłabsze lewe skrzydło armii wroga. Tymczasem patrzył przed siebie, a chorągwie przeciwnika z każdym krokiem były coraz wyraźniej widoczne. Armie znajdowały się już w odległości zaledwie ośmiuset kroków, dlatego łucznicy i miotacze kamieni ze swymi procami prężyli już muskuły, gotowi do ataku, a pozostali żołnierze wznosili tarcze i modlili się, żeby ominęły ich uderzenia z oddali.

Cyrus aż wstrzymał oddech, kiedy zobaczył żołnierzy otaczających brata. Króla Artakserksesa nie można było dostrzec za ruchomą osłoną z ludzi i rydwanów. Chorągwie królewskie skupione były po lewej stronie króla i złoty orzeł Achemenidów był na nich doskonale widoczny. Cyrus parł naprzeciwko nim z chorągwiami, na których widniał sokół. Tego dnia jeden z ptaków miał ponieść klęskę.

* * *

Klearchos maszerował do przodu z ośmioma oddziałami Spartan i kolejnymi czterema składającymi się ze służących im helotów. Każdy oddział liczył dwustu czterdziestu ludzi. Za nimi podążały siły Proksenosa i Netosa, a ich śladem parł Menon. Klearchos spode łba popatrzył na widoczne z przodu rydwany, wiedząc, że wzbudzą one strach u ludzi, którzy jeszcze nigdy w życiu czegoś takiego nie widzieli.

– Patrzcie, jak te stare wózki ciężko brną w piasku! – zawołał do swoich żołnierzy. – Mówcie wszystkim, żeby na nie wskakiwali. To nic trudniejszego od podskoków, które ćwiczyliśmy w szkole, chłopcy.

Spartanie roześmiali się, kiedy przypomnieli sobie szkolne zabawy, i nagle postanowili nie reagować na natarcie Persów z takim respektem, jakiego ci się spodziewali.

– Grecy! – wrzasnął Klearchos, nie zatrzymując się ani na chwilę. – Kim są ci ludzie, którzy ośmielili się stanąć na naszej drodze? Są nikim, próżniakami, którzy mają o sobie wielkie mniemanie. Ale my jesteśmy wojownikami, najlepszymi, jakich kiedykolwiek widział świat. *Homajmon* – jesteśmy ludźmi tej samej krwi. *Homotropa* – rządzą nami te same prawa. *Homoglosson* – mówimy w tym samym języku. – Jego głos osiągnął apogeum, był stanowczy i władczy. – I *homothreskon* – wszyscy mamy te same świątynie i tych samych bogów. Dlatego dzisiaj zwyciężymy. Jesteśmy jednym ludem, niepodzielnym. Dzisiaj nie jesteśmy Spartanami, Tesalczykami, Ateńczykami. Jesteśmy Hellenami. Jesteśmy mężami Grecji. Pokażemy wrogowi, co to znaczy?

Spartanie odpowiedzieli mu groźnym pomrukiem, do którego przyłączyli się pozostali Grecy. Idąc do boju, szczerzyli zęby w uśmiechu, który miał dowodzić ich odwagi. Maszerowali coraz szybciej. Wiedzieli, że kierują się ku nieuchronnemu deszczowi strzał i kamieni. Zwarcie było coraz bliżej.

Mężczyźni, którzy jechali konno, zeskoczyli teraz na ziemię i klepnęli wierzchowce w bok. Chłopcy, którzy biegli przy jeźdźcach, przejmowali wodze i zawracali do obozu znajdującego się już wiele mil z tyłu. Głośno zachęcali żołnierzy do boju.

– Podwoić tempo! – ryknął Klearchos, a jego głos niósł się daleko pomiędzy żołnierzami.

Usłyszał, że rozkaz powtarzany jest wzdłuż całego szeregu, i nagle armia wydała wspólny odgłos, który był czymś znacznie więcej niż eksplozją oddechu. Był wyzwaniem wobec tych, którzy stali na jej drodze. Tysiące ludzi zaczęło równocześnie śpiewać hymn, pieśń śmierci.

– Przygotować tarcze i włócznie! – zawołał Klearchos.

Linia Persów nagle zaczęła się zbliżać bardzo szybko, a powietrze nad głowami Greków wypełniło się tysiącami strzał, niczym ostrymi źdźbłami trawy lub czarnymi włosami zasłaniającymi niebo.

– Tarcze w górę! Równać krok! – zagrzmiał znów Klearchos. Ani na moment nie zabrakło mu tchu. Codziennie przecież biegał i ćwiczył w oczekiwaniu na ten dzień, był więc doskonale przygotowany, aby dowodzić i walczyć. – Zniszczyć wroga! Trzymać tempo! Zachować dyscyplinę! Za księcia Cyrusa! Za Grecję! Za Ateny! Na bogów, za Spartę!

Jego ludzie pokonali ostatnie sto kroków marszem tak pewnym jak cięcie miecza, a Klearchos bezustannie wyrzucał z siebie rozkazy. Hymn zakończyły tony raczej smutne niż buńczuczne, a jednak wyraźnie wzbudził on przerażenie wśród wrogów. Strzały uderzały w tarcze Greków, lecz większość przeleciała nad ich głowami, gdy strzelali łucznicy, którzy nie byli w stanie ocenić tempa marszu przeciwników. Grad greckich włóczni, trzymanych w rękach do ostatniej chwili, naruszył natomiast szereg Persów. Heloci wyrzucili je z tylnych szeregów, postękując z wielkiego wysiłku. Spartanie z kolei wciąż trzymali włócznie w dłoniach i unosząc je nisko nad ziemią, parli naprzód niczym ściana nadziana cierniami.

Persowie dowodzeni przez Tissafernesa złamali szyk, zanim dotarli do nich Grecy. W pierwszych szeregach zapanował chaos, gdy żołnierze próbowali się odwracać i uciekać przed niosącymi śmierć Spartanami w czerwonych płaszczach. Zaczęły się przewracać rydwany, których koła

ugrzęzły w piasku, a także te, które wystraszone konie nagle pociągnęły w bok.

Klearchos uradował się, gdy zobaczył przed sobą pustą przestrzeń. Jego Spartanie szlachtowali wroga jak kozy lub bydło, zabijając każdego, kto był zbyt powolny, aby usunąć się z drogi, i postępowali w zwartym szyku. Klearchos jednak i tak wykrzyczał ku nim ostrzeżenie, powodowany obawą każdego dowódcy, że jego ludzie nagle upiją się złością i możliwością siania śmierci i złamią formację. Widywał już armie, które przemieniały się w tłumy dzikich ludzi. Taka zmiana zawsze prowadziła do destrukcji.

Spartanie tworzyli pierwszą linię ataku, dlatego nikt spośród żołnierzy ustawionych za ich plecami nie mógł wpaść w amok zabijania, nie wymijając własnych sprzymierzeńców. A oni postępowali do przodu pewnym krokiem, chroniąc się za tarczami, dźgając wrogów włóczniami. W kolejnych szeregach wielu ludzi wyciągnęło noże, aby dobijać rannych Persów, aby żaden z wrogów nie mógł siać chaosu, jeżeli przeżyje natarcie.

Padło całe perskie skrzydło, a rzeź, która potem nastąpiła, była przeokropna i po pewnym czasie każdy Grek był czerwony od cudzej krwi. Ocaleli tylko ci Persowie, którzy wkroczyli do bitwy na koniach. Tissafernes zdołał wycofać kilka tysięcy konnych spod gradu włóczni i kamieni wystrzeliwanych z proc, ratując przy okazji tego manewru własne życie. Klearchos i Proksenos widzieli go na koniu pomiędzy białymi chorągwiami, przedostał się jednak za główny szereg Persów i Klearchos nie był w stanie go dopaść. Zobaczył, że jeźdźcy z Aten gromadzą się, żeby przeprowadzić wypad, ale rozkazał im pozostać na pozycjach. To amatorzy i młodzi mężczyźni walczyli dzisiaj przeciwko znacznie lepiej wyszkolonym siłom Greków. Ci zaprawieni w bojach wypoczywali i krok po kroku zaczęli się wspinać na górę widoczną w oddali. Grecy mieli za

mało koni, aby ich ścigać. Zresztą dopadnięcie kilku lub kilkunastu kolejnych wrogów nie mogło zmienić wyniku bitwy.

Klearchos musiał głośno krzyczeć na swoich ludzi, żeby ich powstrzymać, gdy zaczęli napierać na główne siły, zerkać w kierunku zakola rzeki i na rozciągającą się za nią otwartą przestrzeń. Potrzebował oczu Argosa, aby dostrzec wszystko, co musiał tutaj zobaczyć. Jego ludzie wykonali dobrą robotę, ale armia królewska zaledwie krwawiła i wciąż była tak liczna, że poranna rzeź osłabiła ją tylko nieznacznie. Martwi żołnierze leżeli w piachu. Ci, którzy wkrótce mieli znów stanąć naprzeciwko armii Cyrusa, byli rześcy i zdrowi, chociaż w ich oczach już czaił się strach.

– Zatoczyć półkole w lewo! Przebić się przez nich do środka! – zawołał Klearchos.

Razem z Grekami miał zamiar zawinąć frontową krawędź perskiego węża jak dywan, od jednego końca do drugiego. Dzięki temu mógł zyskać kontakt ze stanowiskiem wielkiego króla, dokładnie tak jak rozkazał Cyrus. Gdy pierwsze podniecenie minęło, Klearchos otrząsnął się z ogarniającego go zmęczenia. Pracował przecież i była to najtrudniejsza praca, jaką przyszło mu wykonywać. Słońce paliło coraz mocniej, czuł, że sztywnieje mu język. Nigdzie nie mógł dostrzec chłopców z wodą, więc tylko wzruszył ramionami i w chwili wytchnienia zaczął wycierać miecz.

Gdy skończył, posłał Proksenosa na skrzydło z zastępem łuczników z Krety, aby je zabezpieczyć, na wypadek gdyby Tissafernes spróbował natarcia albo wprowadził do walki nowych perskich łuczników. Wiedział, że do tej pory stracił bardzo niewielu ludzi, i pragnął, aby to się nie zmieniło. Widział, jak jednego z żołnierzy ścięło półokrągłe ostrze umieszczone na rydwanie. Paniczny strach przed nieznaną bronią sprawił, że w porę nie uskoczył, a przecież wystarczyłoby, żeby tylko zanurkował pod ostrzem i wciąż by żył. To była lekcja. Za chwilę będą musieli

kontynuować natarcie. Gdyby Klearchos zatrzymał teraz swoich ludzi, zostaliby zmiażdżeni jak jastrząb, którego potrafi zadziobać stado wron.

19

Cyrus poczuł strach, a potem pragnienie wskoczenia na grzbiet wierzchowca i ucieczki z pola bitwy. Jeszcze nigdy w życiu nie widział czegoś takiego. Miał wrażenie, że ktoś złapał go za gardło i mocno nim potrząsał. Mógł oddychać tylko bardzo płytko, a jego serce waliło jak młot – na pewno wystarczająco głośno, aby słyszeli to otaczający go ludzie i dowiedzieli się, jak bardzo się boi. Pomiędzy nieprzebranymi zastępami żołnierzy i w metalicznym blasku Eufratu zobaczył własną śmierć.

– Jestem księciem – wyszeptał do siebie – księciem z dynastii Achemenidów. Jestem synem króla Dariusza, wnukiem Kserksesa. Nie ucieknę. Wytrwam.

Obserwował, jak Klearchos prowadzi do boju swoich Greków; sprawiali wrażenie ludzi niezłomnie brnących przed siebie naprzeciw wielkiej ciemnej fali, dopóki ta fala na nich nie spadła. Persowie otoczyli ich i jakby połknęli na oczach Cyrusa, bezlitośnie niszcząc.

Po lewej stronie dostrzegł, że ogromne oddziały armii imperium otaczają jego skrzydło. Nie dysponował wystarczającą liczbą ludzi, żeby temu zapobiec. Nic nie niszczyło woli walki szybciej niż świadomość, że właśnie odcinana jest droga ucieczki, że nie można już się wycofać, że wróg znajduje się zarówno z przodu, jak i za plecami. Była to najprostsza taktyka Achemenidów – wprowadzić do boju tylu żołnierzy, aby ich liczbą przytłoczyć przeciwnika, kimkolwiek by on był. Wojna polegała na rozbiciu i zniszczeniu nieprzyjaciela tak szybko i brutalnie, jak tylko było to

możliwe. Cyrus z trudem przełknął ślinę. Nagle zaschło mu w gardle. Armia jego brata miała wkrótce zacisnąć się na jego oddziałach niczym szpon – i to miał być koniec wszystkiego.

Gdy tylko stanęła mu przed oczami ta najgorsza z wizji, Cyrus poczuł, że strach go opuszcza. Przecież jeśli na polu walki padnie jego brat, to on będzie królem. I tylko to się liczyło. Nawet jeżeli Artakserkses sprowadził cały świat na równinę nad tą wielką rzeką, i tak tylko dwa ludzkie istnienia przesądzą o wyniku bitwy. Książę poczuł, że ogarnia go spokój, jak gęsty pył spływający z powietrza. Zaczął głębiej oddychać. Przecież to wcale nie musi być nazbyt trudne. To wcale nie będzie zanadto skomplikowane. Jeden cios zakończy wszystko.

Osobistą straż księcia stanowiło sześciuset konnych. Wszyscy byli wobec niego bezgranicznie lojalni. Ci, którzy niemal odeszli z Orontasem, wciąż nosili w sobie piekące żądło wstydu i byli obrzucani przez kolegów podejrzliwymi spojrzeniami. Niczego nie pragnęli bardziej, niż zmyć z siebie tę niesławę.

Kiedy Cyrus się zorientował, że zastępy brata mogą go odciąć od wszelkiego wsparcia, zrozumiał, że został mu tylko jeden sposób działania. Musi całe swoje życie postawić na jedną kartę. Ruszy do ataku na czele swoich ludzi, a kiedy już go podejmie, nie będzie mógł się cofnąć.

– Parwiz! – wrzasnął.

Mężczyzna uniósł wzrok, zadowolony, że jest do czegoś potrzebny. Parwiz całkiem dobrze radził sobie na grzbiecie starej klaczy, jednak wojownikiem był kiepskim, w niczym nie przypominał gwardzistów księcia.

– Wycofaj się! – zawołał do niego. – To nie jest miejsce dla ciebie. – Książę dostrzegł, że twarz służącego aż kurczy się w rozczarowaniu, jednak

ta decyzja gwarantowała mu przynajmniej, że będzie żył. A Cyrus szybko stracił zainteresowanie Parwizem. – Hadidzie! – krzyknął.

Dowódca straży wystąpił do przodu i pochylił głowę w oczekiwaniu na rozkazy, ale w tej chwili naprawdę nie było czasu na celebracje. Przestrzeń pomiędzy armiami zamykała się w bardzo szybkim tempie. Gdy nastąpi zwarcie, nie będzie już szansy na żadne manewry.

– Moi strażnicy, za mną! – Cyrus spiął konia i ruszył przed siebie pełen ufności, że ludzie naprawdę podążą za nim.

Koń księcia na chwilę wysforował się do przodu, jednak stanął dęba, gdy Cyrus za mocno ściągnął wodze. Jego ludzie z rykiem zrównali się z nim i już wszyscy niemal w równej linii pomknęli przez bole bitwy na północ. A książę był jak jaskółka wracająca do domu pomiędzy chmurami, był jak królewski sokół frunący wśród burzy.

Cyrus się uśmiechnął, kiedy powietrze zaczęło owiewać mu twarz i kiedy rytm galopującego konia zabrzmiał pod nim jak bęben. Zacisnął kolana pod łękiem i siedział w siodle wyprostowany, wysoko nad rytmicznie pracującymi łopatkami zwierzęcia. W ręce trzymał włócznię, miecz ciągle tkwił w pochwie, jednak w każdej chwili mógł go łatwo dosięgnąć.

Chorągwie brata pochyliły się, jakby go przywołując. Cyrus pochwycił spojrzenia strażników galopujących równo z nim, lecz powoli formujących klin. Było to szaleństwem, jednak głośnymi krzykami wyzywał do walki potężne oddziały, naprzeciw których mknął. Jego głos zginął w ogólnym tumulcie – wśród tętentu końskich kopyt i nawoływań żołnierzy – jednak i tak nie było w nim słów, lecz tylko dziki wrzask emanujący obietnicą zemsty. Poczuł, jak łzy napływają mu do oczu i mieszają się z gryzącym piaskiem.

Wróg oczywiście wiedział, z kim ma do czynienia. Żołnierze imperium rozpoznali go już w pierwszej chwili, gdy stanął na czele swoich oddziałów.

Nikt inny, tylko królewski książę Achemenidów, mógł zgromadzić sześciuset żołnierzy na koniach. Ci, którzy znajdowali się w pierwszych szeregach, zawahali się, kiedy przedarł się pomiędzy nimi w pełnym galopie, Cyrus jednak nie mógł być pewien, czy postąpili tak ze strachu przed nim samym, czy przed zmasowanym atakiem jego ludzi. W każdym razie ich szyk został rozerwany i natychmiast rozgorzała bitwa. Ludzie Cyrusa wykorzystywali zaskoczenie, zanim nowe rozkazy przywrócą porządek w szeregach wroga.

Wielu ludzi króla wolało ustąpić, niż przeciwstawiać się ostrym włóczniom i jeźdźcom, których w tumanach kurzu widzieli jedynie jako niewyraźne plamy. Dziesiątki zaczęły uciekać, zeskakiwać z koni i padać ze strachu w piasek. Ci odważniejsi lub zbyt powolni, żeby się usunąć, natychmiast otrzymywali ciosy, które w większości zrzucały ich na ziemię i odbierały im życie. Cyrus poczuł jakieś ukłucie w nogach. Zobaczył mężczyzn padających na ziemię i miażdżonych kopytami jego wierzchowca. Usłyszał ich żałosne wrzaski, a następnie skowyt złości, gdy jego gwardziści skierowali natarcie przeciwko oddziałowi ochraniającemu króla Persów.

Bracia dostrzegli się w tym samym momencie, jakby w ułamku sekundy, w którym zatrzymał się czas. Cyrus zapomniał, że galopuje pomiędzy walczącymi, i widział teraz tylko zdziwione oczy Artakserksesa. Jego usta były otwarte i czerwone. Jego ręka sięgnęła po miecz, jednak Cyrus był za szybki, zbyt zdeterminowany i zbyt żądny zemsty, jaką obiecał wywrzeć. Stracił włócznię, gdy wbił ją w pierś jakiegoś żołnierza. Teraz miał w ręce tylko miecz. Uniósł ostrze wysoko i opuścił na szyję brata. Uderzenie było tak mocne, że król machnął bezwładnie rękami i krzyknął z przerażeniem. Ostrze natrafiło na metal i rękojeść obróciła się w dłoni Cyrusa, zsuwając się do krawędzi napierśnika. Jednak zobaczył krew. Był to moment

doskonałej jasności, powietrze nagle wypełniło się słodyczą i chłodem. Cyrus wciągnął je w płuca niemal z rozkoszą.

* * *

Klearchos nie miał czasu, żeby się cieszyć. Greckie oddziały wniknęły głęboko w szeregi armii imperium, uniemożliwiając jej uporządkowanie szyków. Persowie nie byli w stanie reagować wystarczająco szybko. Zanim ich oficerowie zrozumieli, co się dzieje, Spartanie rozbijali zaskoczoną formację i już atakowali kolejną. Siali pogrom w szeregach Persów, którzy jeden po drugim odwracali się i uciekali, stawiając rejteradę ponad zetknięcie się twarzą w twarz ze śmiercionośną machiną w czerwonych płaszczach i z krwawymi mieczami.

Klearchos posługiwał się tarczą i włócznią, walcząc ramię w ramię z ludźmi, których znał od wielu lat. Tego dnia wszyscy zjednoczyli się na polu bitwy pod Kunaksą nad rzeką Eufrat, wielką życiodajną serpentyną zazieleniającą pustynię.

– Hej, uważajcie, co wyprawiacie! Utrzymujcie właściwy dystans pomiędzy tymi szeregami! – Klearchos zawołał w kierunku oddziału Proksenosa podążającego za linią jego żołnierzy.

Skarceni ludzie Proksenosa zwolnili tempo. Ich dowódca w obliczu wroga popadł w stan dziwnego spokoju. Skoro Klearchos znalazł chwilę, żeby zwrócić jego ludziom uwagę na błędy, prawdopodobnie sytuacja nie była tak beznadziejna, jak to się wydawało części z nich. Żaden nigdy dotąd nie widział tylu ludzi zebranych w jednym miejscu, ani w teatrze Dionizosa w Atenach, ani wśród świętych gajów w Delfach, gdzie gromadziły się tłumy. Armia, naprzeciwko której stanęli, była zbrojnym ramieniem imperium większego, niż mogli sobie wyobrazić; pozostało im jedynie

mrugać z niedowierzaniem, w zaskoczeniu otwierać szeroko usta i napierać do przodu.

Grecy utrzymywali formację spłaszczonego czworoboku, z dwustu czterdziestoma Spartanami oraz ich helotami w pierwszej, atakującej linii i z czterdziestoma rzędami ludzi maszerujących za nimi. Walczyli tak, jak prowadzą walkę zawodowi żołnierze: z zimną zaciekłością. Nikt nie łamał szyku, aby gonić za uciekającym wrogiem. Postępowali do przodu, jakby szli ramię w ramię wąską ścieżką – a każdy Pers, który znalazł się na tej ścieżce, był ścinany. Tych, którzy zajmowali pozycje po jej bokach, ignorowano, chyba że próbowali atakować. Grecy napierali z tarczami już podziurawionymi strzałami, wklęsłymi od uderzeń kamieni. Wróg widział tylko ich hełmy, których nie mógł zniszczyć, okrągłe tarcze i nagolenice. Spartanie byli mężczyznami z brązu, nie mieli słabych punktów. Greckie włócznie wysuwały się z szeregu i wsuwały z powrotem jak języki węży, a cofająca się włócznia niemal zawsze była zaplamiona świeżą krwią.

Klearchos zobaczył, że jeden z jego ludzi się zachwiał. Coś przeleciało nad jego oddziałem i trzasnęło w hełm kolejnego żołnierza, wywołując odgłos jak bicie dzwonu. Wódz dostrzegł to i dlatego innym spojrzeniem popatrzył na walczących. Ludzie w pierwszej linii zwalniali, coraz bardziej zmęczeni.

– Proksenosie, zamierzasz pozwolić, aby chwała zwycięstwa w całości przypadła moim ludziom? – zawołał.

Proksenos wzniósł spojrzenie ku niebu.

– Przepuść mnie do przodu, a już ja ci pokażę, czym jest chwała – odparł. – Dlaczego ty, Spartaninie, miałbyś zawsze iść z przodu? Czyżby cię tyranizowano i lekceważono, kiedy byłeś dzieckiem?

– O moim dzieciństwie nie masz pojęcia – odpowiedział mu Klearchos sucho, chociaż jednocześnie uśmiechnął się i pokręcił głową.

Jeszcze przed dziesiątymi urodzinami trzykrotnie zwyciężył w walce na pięści z chłopcem wyższym i silniejszym od niego. Ostatnią walkę dokończył z pękniętymi kośćmi prawej dłoni. Wspominając te chwile, podrapał się po knykciach.

– Spartanie, rozluźnić pierwsze szeregi. Wycofujemy się! Pokazaliście wszystkim, jak należy walczyć. Teraz niech Proksenos zademonstruje nam, czego się nauczył! Powiedzcie Menonowi, żeby zaatakował z naszej lewej strony, rzędami po sześćdziesięciu ludzi. I niech dotrzyma nam kroku!

Twarze Spartan kryły się pod hełmami i można było dostrzec tylko ich zimne spojrzenia, ale Klearchos wiedział, że wszyscy są już zmęczeni. Jego ludzie byli nadzwyczaj sprawni i wytrzymali, jednak czasami musieli odpoczywać. Nic nie męczyło mężczyzny bardziej niż walka, chociaż zaskakująco ciężkim zajęciem było również rąbanie drewna. Klearchos popatrzył wzdłuż szeregu walczących, próbując doszukać się chociażby najmniejszej słabości albo załamania formacji. Mimo że starał się zachowywać pogodę ducha, dowodzenie trzema tysiącami mężczyzn w gorączce bitwy było morderczo trudne. Żołnierze umierali z powodu nieuwagi lub na skutek zmasowanych ataków wroga napierającego ze zdwojoną mocą w miejscu, w którym dostrzegał szansę na przełamanie szyku. Gdyby próba przełamania się powiodła, nawet najlepsi żołnierze na świecie byliby bezradni. Każdy, kto stawał na ich drodze i po chwili ginął, był świeży i wypoczęty, dopiero wkraczał do bitwy. A przecież tylko bogowie potrafili walczyć przez cały dzień bez odpoczynku.

Klearchos widział, że Spartanie wiodą swój brutalny pochód coraz wolniej. Persowie zawyli wściekle i piskliwie, kiedy dotarło do nich, że znienawidzony wróg zdaje się słabnąć. Klearchos zaklął pod nosem i w tej chwili zapragnął jedynie wybić im z głów to nagłe piskliwe podniecenie. Dostrzegł Nieśmiertelnych w czarnych płaszczach, którzy ustawili się

w pewnym szyku, jednak zadanie zmierzenia się z nimi miało przypaść Proksenosowi i Menonowi.

– Jestem na miejscu, Klearchosie! – zawołał Proksenos przez ramię. – Wycofaj się i daj odpocząć swoim zmęczonym starym nogom.

– Zostanę. Już od dawna pragnę zobaczyć Menona w prawdziwej walce. W końcu bezustannie przemawia zadufanym głosem bohatera.

Tesalczyk odwrócił się i krzyknął:

– Wróg jest przed nami, ty spartański samochwało!

Klearchos się roześmiał. Naprawdę nie lubił tego człowieka, ale w jego słowach o Menonie było sporo prawdy. Jeżeli Menon potrafił walczyć tak samo, jak narzekać i się kłócić, to rzeczywiście miał zadatki na bohatera i Klearchos gotów był mu wybaczyć wszystko inne. Nie spodziewał się, że go polubi, ale gotów był uścisnąć mu dłoń i w końcu nalać pełen kielich wina.

Z oddali docierały do niego odgłosy zwarcia zbrojnych, dźwięki zabijania wstrząsające gwałtownie powietrzem. To miejsce skażone już było śmiercią, jej kwaśne piętno człowiek przyjmował do płuc z każdym oddechem. Klearchos doskonale wiedział, że nad polem bitwy bezustannie unosi się strach. Dobry dowódca musiał się jednak koncentrować na własnym zadaniu, nie mógł się rozpraszać zamartwianiem, co się dzieje w tych miejscach na polu bitwy, na które nie ma wpływu. Jego ludzie potrafili odnosić wspaniałe zwycięstwa, należało jednak ich gromadzić i słać do boju tak oszczędnie, jak oszczędnie sknera wydaje swoje pieniądze. Książę Cyrus zabrał do Babilonu zaledwie dwanaście tysięcy Greków. Największa część bitwy musiała się więc i tak rozegrać pomiędzy Persami.

* * *

Cyrus zobaczył, jak jego brat spada z konia, i poczuł w sercu ogromny triumf. Nagle wszelkie słabości i krępujący strach opuściły go jak ręką odjął. Jego gwardziści wciąż nacierali konno na szalejących wojowników z otoczenia wielkiego króla, jednak ich poczynania ledwie docierały teraz do jego świadomości. Poczuł spokój i chłód, gdy patrzył na brata leżącego na plecach i plującego krwią. Zaatakował Artakserksesa znienacka, kiedy ten galopował na swoim wierzchowcu, a jego własny koń niemalże stał w miejscu. Gdyby uderzył wyżej o szerokość palca, rozerwałby mu gardło, a korona Achemenidów potoczyłaby się po piachu.

Książę zobaczył, że ludzie brata wpatrują się wyczekująco w swojego pana, chociaż bez wątpienia był on oszołomiony i niezdolny do wydawania rozkazów. Cyrus popatrzył po twarzach ludzi, których znał, po twarzach żołnierzy, którzy w tej chwili go rozpoznali. Szybko przenieśli wzrok na niego, wbili wrogie spojrzenia w człowieka, który ośmielił się zaatakować ich króla. Zamierzyli się na niego, a on ku swojemu zdumieniu dostrzegł Parwiza galopującego na koniu, żeby go ochronić. Służący nie posłuchał rozkazu i popędził na pomoc swojemu panu. Na oczach niedowierzającego Cyrusa Parwiz zatrzymał starą klacz pomiędzy nim a trzema żołnierzami imperium.

Cyrus nie dostrzegł posłanej w jego kierunku włóczni. Któryś z żołnierzy króla, który był świadkiem ataku na Artakserksesa, rzucił nią z wielką wściekłością. Broń zaczęła opadać ku niemu łagodnym łukiem, a kiedy Cyrus wreszcie uświadomił sobie zagrożenie i podniósł głowę, grot uderzył go w policzek, złamał kości twarzy i gwałtownie nim szarpnął. Bezwładnie spadł z siodła. W pierwszej chwili nie potrafił zrozumieć, co się stało. Wiedział, że triumfuje, a jednak świat wokół niego nagle się zakręcił, a słońce dziwnie zatańczyło na niebie i spadło na niego, sprawiając mu

ogromny ból. Usłyszał kolejny trzask i zaczął wstawać na nogi. Wtedy krew trysnęła z jego ust przez rozerwany policzek. Poczuł na języku jakieś twarde okruchy, jakby kawałki potrzaskanej ceramiki. Potrząsnął głową, jednak ten ruch tylko pogorszył sytuację: postaci napierających Nieśmiertelnych zaczęły falować i pływać w powietrzu. Zobaczył nad sobą Parwiza, niezamierzającego ani o krok cofnąć się przed tymi, którzy napierali na księcia. Patrzył, jak drobnej postury służący zabija strażnika króla czystymi, zdecydowanymi pchnięciami żołnierza, którym był dawno temu, kiedy służył w odludnej fortecy. Jednak po chwili został rozerwany niemal na strzępy i padł twarzą w piasek, a jego niewidzące spojrzenie wbiło się w jałowy grunt.

Cyrus wyciągnął ręce, żeby go podnieść, ale głośno krzyknął, kiedy zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie udźwignąć jego ciężaru. Popatrzył na swoje prawe ramię, nie potrafiąc zrozumieć, dlaczego zwisa luźno, dlaczego dłoń nie jest w stanie zacisnąć się na rękojeści miecza leżącego tuż przed nim na piasku.

Powrócił mu słuch, chociaż nie zdawał sobie sprawy, że przez długą chwilę nie słyszał. Światło dnia wydało mu się zbyt jaskrawe i słyszał stanowczo zbyt głośny szczęk metalu o metal. Jego gwardziści zeskoczyli z koni, aby go chronić, gdy leżał bezradnie na ziemi. Walcząc, osłonili go przed wierzchowcami wroga. Tymczasem Nieśmiertelni jego brata ryczeli niczym pioruny nad wzgórzami. Napierali dziko na jego obrońców i Cyrus co chwilę widział śmierć kolejnego żołnierza. Czuł jednak, że powoli wracają mu wszystkie zmysły, znowu dotarło do niego, kim jest i gdzie przebywa. Potrzebował jeszcze chwili, żeby odzyskać oddech, znaleźć w sobie dość siły, aby jeszcze raz stanąć przeciwko bratu.

Zobaczył, że Artakserkses wstaje i przyjmuje miecz od któregoś ze swoich ludzi. Jego policzek był umazany krwią, którą nieporadnie pluł.

Przeszedł kilka kroków, przyciskając lewą rękę do boku, do pękniętych żeber. Cyrus znowu spróbował wstać, lecz wciąż brakowało mu sił. Zobaczył, jak brat staje na drodze jednego ze strażników, wybija mu z dłoni miecz i trzema dzikimi pchnięciami własnego ostrza odbiera mu życie. Artakserkses był pojętnym uczniem! Wiedział, że w sytuacji, w jakiej się znalazł, nie może dowodzić całą bitwą. Miał pięknie ułożoną, świecącą od oliwy czarną brodę i nosił ozdobny płaszcz, który swojego czasu nosił ich ojciec.

Brat stanął przed nim, a Cyrus w sposób niewidoczny dla niego wyciągnął sztylet zza pasa. Spróbował coś powiedzieć, jednak usta miał zanadto poranione i pełne krwi. Chciał się ruszyć, lecz król postawił ciężką nogę na jego piersi i przycisnął go do ziemi.

– Dziękuję ci, bracie – powiedział, unosząc miecz. – Dopóki nie wystąpiłeś przeciwko mnie, tak naprawdę nie byłem prawdziwym królem. Rozumiesz to? Sprawiłeś mi dzisiaj… wielki prezent.

Usłyszawszy ostatnie słowo, Cyrus ruszył się, był jednak zbyt powolny. Artakserkses uderzył. Królewski miecz wbił się w gardło leżącego i przeszedł niemal na wylot przez jego szyję.

Poczuł tylko pierwszy ból, a potem nie docierało do niego już nic, gdy brat w amoku rąbał jego ciało i gdy wreszcie uniósł głowę i popatrzył z dumą na twarze tych, którzy stali dookoła i wpatrywali się w niego z przerażeniem. Oczy Cyrusa poruszyły się, a usta zadrżały, jakby chciał zmówić modlitwę, jednak tak naprawdę książę leżał już ślepy, bez czucia.

Artakserkses odwrócił głowę brata, żeby na nią popatrzeć. Wpatrywał się w nią przez długą chwilę, a potem się pochylił i niemal z czułością pocałował Cyrusa w usta. Bitwa wciąż trwała, jednak nie interesował się nią. W tej rozgrywce liczyło się przecież tylko życie księcia. Artakserkses mu je odebrał, zrobił to, co obiecał ojcu wiele lat temu. Król poczuł

w oczach łzy wywołane dumą i wspomnieniami. Nawet matka nie mogłaby zaprzeczyć, że jako król postąpił zgodnie ze swoim prawem. Artakserkses został wyzwany i osobiście stanął do boju, w pełnej zbroi, żeby stawić czoło bratu. W gruncie rzeczy to Cyrus uczynił go tego dnia królem, nigdy nie zostałby nim w pełni, gdyby brat mu się nie przeciwstawił. Pod wpływem impulsu Artakserkses padł na kolana, aby się modlić. Kiedy skłonił głowę, przycisnął do ust zamkniętą pięść. W tej chwili bardziej niż kiedykolwiek wcześniej był przekonany, że bogowie mu sprzyjają. Po chwili wstał, kopnął głowę młodszego brata i odezwał się do dowódcy Nieśmiertelnych:

– Zatknijcie to na włócznię i noście wysoko. Niech wszyscy zobaczą! Wszystkich, którzy przybyli tutaj z Cyrusem, wezwij, aby się poddali. Najedź ich obóz. Bitwa jest skończona. Podziękuj bogu! Jesteśmy zbawieni! Zwycięstwo jest nasze!

Wokół niego rozległy się okrzyki, które wkrótce przeszły w potężny, ogłuszający ryk triumfu. Król nagle szarpnął swój napierśnik. Chwycił go w miejscu, w którym odkształcił się i boleśnie wpijał mu się w pierś. Napierśnik natychmiast rozpadł się na dwie części; pęknięcie biegło od szyi aż po talię. Dwóch ludzi musiało pomóc Artakserksesowi, kiedy zapragnął ponownie dosiąść konia. Brat zadał mu straszliwy cios i król wiedział, że ma połamane żebra. Wciąż czuł krew w ustach, ale przypuszczał, że tylko dlatego, iż ugryzł się w język w trakcie upadku, a nie z powodu jakichś obrażeń wewnętrznych. W każdym razie taką miał nadzieję. Nie zamierzał wyzionąć ducha akurat teraz, gdy będzie przemierzał pole bitwy w towarzystwie żołnierza dzierżącego na długiej włóczni głowę brata. Sprawił ulgę nadwerężonym żebrom, pochyliwszy się w siodle, i z cichym westchnieniem przymknął oczy, a tymczasem zabrzmiały dźwięki rogów.

Artakserkses doskonale wiedział, że gdyby teraz zobaczył go ojciec, byłby z niego dumny.

* * *

Klearchos gotów był jeszcze raz wyprowadzić Spartan na pierwszą linię greckiego natarcia. Do południa Menon wykonał dobrą robotę, chociaż to oddziały Proksenosa bardziej przypominały w boju Spartan, przynajmniej wtedy, gdy oni sami stali w odwodzie za ich plecami. Klearchos pogratulował im skutecznej walki. Posunęli się o całe tysiąc sześćset kroków do przodu od momentu, kiedy Spartanie wycofali się z pierwszego szeregu, i każdy z tych kroków okupili ciężkim bojem. Klearchos starał się nie myśleć o liczbie świeżych oddziałów stojących jeszcze na drodze jego ludzi. Książę Cyrus i Persowie pod wodzą Ariajosa też toczyli swoje zmagania. Klearchos mógł tylko mieć nadzieję, że morale armii imperium upadnie, kiedy żołnierze się dowiedzą, że zostali zaatakowani ze skrzydła, od wewnątrz. Grecka formacja nie miała czasu, aby dosięgnąć króla, zanim zwarły się armie, lecz Klearchos wiedział, że przebił się już przez tysiące Persów i bez wątpienia zatrzymał napór wroga. Był jednak w sytuacji bez odwrotu.

Nieśmiertelni w białych lub czarnych płaszczach starali się napierać ze wszystkich stron. Ci z przodu jednak się cofali, Grecy szybko powstrzymywali każdą ich próbę, aby utrzymać teren i przejąć inicjatywę. Cyrus twierdził, że Persowie ćwiczyli musztrę, ale broń, którą dysponowali, nie nadawała się do walki w zwarciu. Braki ich umiejętności ujawniały się teraz, a ludzie Klearchosa czynili spustoszenie w ich szeregach. To walczyli żołnierze przeciwko rolnikom z mieczami w rękach, siejąc wśród nich

przerażenie, gdy szereg po szeregu przekonywali się, że to nie oni powstrzymają pochód Greków.

Klearchos zakładał, że to nie może trwać długo. Musi w końcu się znaleźć oficer lub oddział, który stanie do poważnej walki na śmierć i życie. Wiedział, że gdy tylko pochód Greków zostanie powstrzymany, do sił Persów skwapliwie dołączą kolejne oddziały. Widział kiedyś, jak tysiące pszczół udusiły jedną osę, otoczywszy ją jak kula. Jedna pszczoła nie da rady rozdrażnionej osie, nie da jej rady nawet dwanaście pszczół – jednak atakując wielką grupą, samym ciężarem i determinacją w końcu rozerwą ją na strzępy. Trochę odświeżony, jeszcze przez chwilę obserwował bitwę, po czym ponownie poprowadził swoich Spartan na pierwszą linię.

Przed nimi zbladły twarze żołnierzy imperium, kiedy zobaczyli, że na czoło przedostają się czerwone płaszcze i tarcze z brązu. Persowie mentalnie przygotowali się na nieuchronną śmierć i zaczęli umierać. Nagle wzrosło tempo ataku i Klearchos uśmiechnął się, prąc razem z żołnierzami do przodu. Mimo szaleństwa tkwiącego w ich taktyce, mimo że naruszyli wszelkie reguły walki, jakich się dotąd nauczyli, swego rodzaju zwycięstwo było w ich zasięgu. Klearchos czuł to. Jeśli niczego nie przeoczył, od początku walk nie stracił nawet stu żołnierzy, natomiast jego ludzie zabili i okaleczyli tysiące wrogów. Jeżeli Persowie nie potrafią lepiej przeciwstawić się ich broni i umiejętnościom, dzisiejszy dzień mógł przynieść sukces, mimo że stawali przeciwko największej liczebnie armii, jaką Klearchos kiedykolwiek widział. Poczuł, jak kwitnie w nim nadzieja. W pewnej chwili otarł z oczu piekący pot. Gdzieś w oddali zabrzmiały rogi i rozległy się potężne odgłosy. Klearchos nadstawił uszu, żeby je dobrze słyszeć, mając nadzieję, że są to dźwięki ich zwycięstwa.

* * *

Król Artakserkses przejechał wzdłuż frontu swoich żołnierzy z głową brata zatkniętą na włóczni. Po bitwie zapanował chaos, a ludzie Cyrusa drżeli przed perspektywą zemsty. I słusznie, poprzysiągł sobie król. Zamierzał osobiście nadzorować masowe egzekucje żołnierzy, którzy ośmielili się stanąć przeciwko koronie. Kiedy już się poddadzą, zostaną rozbrojeni, skrępowani i potraktowani tak, jak na to zasłużyli. Czuł, jak serce pęcznieje mu z dumy. Żebra bolały go niewiarygodnie, jednak nastrój miał coraz lepszy. Znów usłyszał dźwięki rogów; to odziane na czarno oddziały Nieśmiertelnych lub jazda, cała w bieli, wzywała żołnierzy Cyrusa do poddania się. Głowa na czubku włóczni potrafiła zdziałać cuda, chociaż nawet jeden na tysiąc żołnierzy nie potrafiłby poznać, że opuchnięty, straszliwie poraniony czerep należał kiedyś do księcia.

W wyniku wielu manewrów pole bitwy się poszerzyło, dlatego jego skraje dzieliła teraz więcej niż godzina drogi. Jednak wiadomości rozprzestrzeniały się szybko, gdy wielki król mknął pomiędzy swoimi oddziałami niczym kometa. Chroniony przez setki zwycięskich jeźdźców, wrzeszczących triumfalnie lub kierujących ostrza mieczy w stronę oddziałów, które zdradziły władcę, nie obawiał się ani włóczni, ani kamieni, a przerażonym żołnierzom obiecywał srogą karę. Wielu ludzi Cyrusa nawet nie zdążyło przystąpić do walki, a teraz stali, potępieni i drżący, spoglądając na Artakserksesa okrążającego miejsce zmagań w towarzystwie żołnierzy dzierżących za jego plecami królewskie chorągwie.

* * *

Ariajos znalazł się w chaosie najbardziej krwawych walk już od samego początku. Włosy miał zlepione potem, który zbierał się pod hełmem, ale nie

ośmielił się skorzystać nawet z chwili odpoczynku, świadomy, że wielu łuczników i procarzy tylko czeka na ustrzelenie takiej zdobyczy jak on.

Odłożył na bok wszelkie myśli o liczebności i sile wroga. Poczucie lojalności, a także życie oraz złożona przysięga wiązały go z księciem Cyrusem. Jedyną przysięgą, której nie dotrzymał, była ta złożona bratu księcia. Wciąż nie mógł tego zaakceptować i rozumiał, że będzie mógł się ze sobą pogodzić dopiero wtedy, gdy Cyrus zostanie królem i przebaczy mu tę nielojalność. Dla Ariajosa świat funkcjonował w bardzo prosty sposób, był w każdym razie o wiele prostszy, niż to się zdawało Orontasowi.

Bitwa przyjęła niekorzystny obrót, chociaż nie od pierwszych chwil. Pers obserwował z rosnącym zaniepokojeniem, jak Grecy wyrwali do przodu naprzeciw chmarze konnych i perskiej piechoty pod dowództwem Tissafernesa. Widział, jak w tę i z powrotem biegają posłańcy z rozkazami, miał zatem nadzieję, że ich gwałtowny atak nie jest jakąś nieprzemyślaną wendetą. Zanim Ariajos zdołał przemieścić swoją formację w koniecznej reakcji na nagłe odsłonięcie jej prawego skrzydła, sam książę pogalopował ku centrum perskich oddziałów. Jego gwardziści z trudem za nim nadążali.

Ariajos wiedział, że dowódca może, a nawet musi zmienić plany, kiedy ujrzy wroga, a warunki starcia zmienią się w stosunku do spodziewanych lub kiedy ukształtowanie terenu umożliwi osiągnięcie przewagi. Prowadzenie wojny nie było zajęciem dla ludzi myślących powoli, lecz raczej dla tych o wyostrzonych zmysłach, którzy potrafili podejmować ryzyko i prowadzić nietuzinkowe manewry nawet wtedy, kiedy wróg jeszcze spał. Zrozumiał jednak, że w trakcie pierwszych porannych godzin cały plan wielkiego starcia legł w gruzach. Zamiast organizować szybkie manewry i niespodziewane uderzenia małych oddziałów, niespodziewanie został samodzielnym dowódcą potężnego centrum perskich wojsk, stu tysięcy żołnierzy, których życie nagle zaczęło zależeć wyłącznie od niego.

Z ponurym wyrazem twarzy obserwował z siodła, jak żołnierze imperium zbliżają się ku jego oddziałom, pilnował jednak dyscypliny i zapełniał luki w szeregach, chcąc oprzeć swoje nowe skrzydło o rzekę, mimo że z tego powodu szeregi jego wojska bardzo się skurczyły. Przeklęty Klearchos zostawił ich całkowicie odsłoniętych! Miał właściwie pewność, że armia królewska jeszcze tego dnia otoczy oba skrzydła – i to będzie koniec jego żołnierzy, bez wątpienia.

Walka od początku była gwałtowna i dzika. Przez długi czas Ariajos obserwował zmagania lewiatanów, walkę tak wielkiej gromady ludzi, że można by nią zapełnić całe miasta, tnących mieczami, dźgających włóczniami na odcinku tak długim, że wyglądał jak nieskończony brzeg mrocznego morza. Ku chmurom unosił się ciężki pył wzbijany z ziemi przez niezliczone ludzkie nogi i końskie kopyta. Niebo ciemniało, gdy nieprzeliczone strzały i włócznie latały nad ziemią w tę i z powrotem pomiędzy walczącymi armiami. Odgłosów, które wydawali żołnierze, nie sposób było z niczym porównać, chociaż przypominały dźwięki, jakie mogłyby pochodzić od ogromnych bestii, gwałtownie atakujących, a później cofających się do rozpaczliwej obrony. Zabijanie wydawało się trwać w nieskończoność i w pewnej chwili Ariajos spojrzał w kierunku unoszących się nad polem bitwy królewskich chorągwi z orłem.

W przestrzeni pomiędzy walczącymi oddziałami Persów, zbyt już pomieszanymi, aby na pierwszy rzut oka odróżnić przyjaciela od wroga, po piaszczystej ziemi mknął na koniu Artakserkses. Przy boku króla galopował gwardzista z wzniesioną wysoko włócznią. Jego lśniące białe zęby widoczne były z daleka, gdyż mężczyzna przez cały czas śmiał się radośnie i wiwatował.

Kiedy Ariajos pojął znaczenie tej sceny, oblały go zimne poty. Na długą włócznię nabita była głowa Cyrusa. Dowódcę ogarnęło wielkie przerażenie,

lecz zaraz popatrzył na pole bitwy, pogrążone w tumanach kurzu, nowym spojrzeniem. Skoro Cyrus został zabity, oddziały, którymi dowodził Ariajos, nagle się w jego oczach skurczyły. Grecy już byli straceni, chociaż zapewne wciąż walczyli z wrogiem, gdzieś poza zasięgiem jego wzroku i słuchu. I tak już nigdy ich nie zobaczy, stanowili jedynie przeszłość.

Pers zamknął na chwilę oczy, żałując, że to nie Orontas jest w tej chwili dowódcą. Jego ciche wspomnienie i żal, że odszedł, odebrały mu teraz wiele sił. Zabolało go serce, a kiedy otworzył oczy, niszczycielska walka trwała w najlepsze. Cyrus nie żył i świat nie mógł zaoferować już jego ludziom nic dobrego.

– Każcie zatrąbić na odwrót! – zawołał niespodziewanie. – Wycofać się w równym szyku na zachód i na południe. Książę nie żyje. Nie ma już powodu, żeby oddawać życie w tej bitwie.

– Rozkaz – odparli jego przerażeni posłańcy.

Kiedy ruszyli biegiem, zawołał za nimi:

– Powiedzcie ludziom, żeby nie uciekali w popłochu! Król nas pozabija, jeżeli teraz nie wycofamy się w zwartym szyku. Wyjdźmy z tej bitwy z honorem, a być może doczekamy jutrzejszego dnia. Ucieczka przesądzi jedynie o naszej zgubie. Dopilnujcie, żeby ludzie dobrze to zrozumieli.

Posłańcy odbiegli, przeciskając się pomiędzy szeregami żołnierzy. Ariajos nadal obserwował, jak armia imperium rozbija jego ludzi na miazgę. Było już po wszystkim. Tym, którzy będą mieli szczęście, uda się ujść z życiem.

Wyprostowany jak struna odwrócił się tyłem do frontu walki.

– Teraz powoli. Maszerujcie razem ze mną, z wysoko uniesionymi głowami. Nasza sprawa jest stracona, ale my wciąż żyjemy.

Żołnierze walczący najbliżej dowódcy z ulgą przyjęli rozkaz, żeby nie zbliżać się już do triumfującego wroga. W miarę jak rozkaz rozprzestrzeniał

się wśród walczących, w powietrze wnosił się coraz głośniejszy wrzask zadowolenia.

CZĘŚĆ DRUGA

„Jakiego wieku zamierzam dożyć? Przecież się już nie zestarzeję, jeżeli jutro oddam się w ręce wroga”.

Ksenofont

20

Na rozległej równinie pod Kunaksą nad Eufratem pył wciąż się unosił w powietrzu. Wzniecony stopami setek tysięcy ludzi maszerujących, potykających się i broczących krwią na piaszczysty grunt. Klearchos powstrzymał Greków, kiedy się zorientował, że przez dłuższą chwilę nikt nie staje przeciwko niemu do walki. Początkowo pomyślał, że dzieje się tak, gdyż zniszczył kolejny oddział Persów i dotarł na ziemię niczyją, jednak gdzieś z lewej strony dobiegły do jego uszu radosne wiwaty, chociaż początkowo były tak niewyraźne, że ich źródło mogłoby się znajdować właściwie w każdym kierunku.

Po raz pierwszy tego dnia stracił orientację na polu bitwy. Po raz pierwszy w życiu żałował, że nie ma wierzchowca, z którego mógłby mieć znacznie lepszy widok niż jego ludzie, zaskoczeni w tej chwili zwodniczym spokojem i czekający na jego rozkazy. Wokół nich wciąż toczyła się bitwa. Po ich prawej stronie brzmiały rogi, co dla Klearchosa nie miało sensu. No i nikt na nich nie nacierał. Formacje imperium przemaszerowały na skraju zasięgu ich wzroku, jednak nie skierowały się przeciwko nim. Za Grekami unosił się wielki pióropusz kurzu i zniszczenia: martwi i umierający ludzie, którzy do tej pory stanęli na ich drodze. Oni na pewno nie podejmą drugiego ataku.

Klearchos podrapał się po brodzie, rozglądając się na wszystkie strony, chcąc wyciągnąć z tego, co zobaczy, jakieś wnioski, zanim powie swoim ludziom, że nie ma pojęcia, co się dzieje. Przełamał lewe skrzydło Persów,

jednak nie miał wątpliwości, że część jazdy wciąż liże rany gdzieś w pobliżu. Wykonał zwrot przed frontem armii imperium, żeby gwałtownie zaatakować pozycję króla, lecz nagle on i jego ludzie zgubili się w oceanie walczących żołnierzy i musieli się bronić przed atakami ze wszystkich stron. Przez długie godziny mozolnie brnęli przed siebie i walczyli – zabili nieprzeliczoną liczbę wrogów. Klearchos pobieżnie oszacował, że mimo strat wciąż dysponuje dziesięcioma tysiącami ludzi. Spartanie walczyli na pierwszej linii najdłużej, a mimo to spośród wszystkich Greków zginęło ich najmniej. Kiedy to stwierdził, poczuł, jak jego pierś unosi się z dumy. Wszystkich swoich ludzi znał osobiście, dlatego każdy z zabitych był dla niego niczym brat lub syn pozostawiony na polu walki. Byli najbardziej mężnymi żołnierzami na świecie, myślał z dumą. Zapamiętał, aby wspomnieć o tym Menonowi. Tesalczyk wciąż wałęsał się na tyłach, patrząc dookoła spode łba niczym zgorzkniały stary kozioł, którym był w rzeczywistości.

– Jakieś rozkazy, wodzu? – zapytał Proksenos z jego prawej strony.

Klearchos niemal warknął coś w odpowiedzi, co na pewno by uczynił, gdyby jego oddział wciąż był atakowany. Lecz zarówno z przodu, jak i po bokach wielkie zgrupowania Persów odsuwały się od nich w zwartym szyku, gdy tylko znalazły się na tyle blisko, by rozpoznać ich chorągwie lub czerwone płaszcze żołnierzy w pierwszej linii. Z ziemi wciąż unosił się w wielu miejscach gęsty kurz i Klearchos poczuł ukłucie niemal paniki. Utrata orientacji na polu bitwy była typowym doświadczeniem mężczyzn walczących o życie, nawet dowódców starających się prowadzić ich w uporządkowanym szyku. Taka dezorientacja, kiedy zostało się otoczonym przez największą armię świata, byłaby błędem, który mógłby doprowadzić do całkowitej klęski.

Klearchos dostrzegł Menona wskazującego coś na prawym skrzydle. Spartanin zacisnął szczęki i zmrużył oczy, nie zobaczył jednak niczego, ponieważ kurz nad ziemią był tam najgęstszy. Nagle odniósł wrażenie, że wokół panuje tylko chaos. Odchrząknął. Wiedział, że musi wziąć się w garść i jeszcze raz przejąć inicjatywę.

– Ares nas chroni! – wycharczał, po czym podniósł głos i zawołał do swoich ludzi gromkimi, wyraźnymi słowami, w taki sposób, jakiego się spodziewali. – Na trzy… kroki! Zatrzymać się! Grecy!… Stop!

Spartanie zatrzymali się, stawiając na ziemi lewe stopy i dobijając do nich prawymi. Wszystkie oddziały stanęły na baczność, owiewane wiatrem, który unosił tumany pyłu. Wiatr od północy ciskał im jasny piasek prosto w twarze, musieli więc intensywnie mrugać, żeby cokolwiek widzieć. Mężczyznom ciężko dyszącym ze zmęczenia ziarenka wpadały do ust, dlatego wielu cicho przeklinało. W tej chwili to ziemia zdawała się zwracać przeciwko nim.

Klearchos spiął się, usłyszawszy tętent galopujących koni, po chwili jednak, gdy zobaczył dwóch mężczyzn, rozpoznał ich; znał ich przynajmniej z widzenia. Spróbował przypomnieć sobie ich imiona, nie chciały mu jednak wpaść do głowy. Obaj brali udział w walce, to było oczywiste. Pokryci byli krwawymi plamami, jednak krew wydawała się nie należeć do nich. Arystokrata miał ponure spojrzenie, zauważył Klearchos, i wyraz twarzy, który Spartanin znał bardzo dobrze. Drugi z jeźdźców kręcił głową z nadzwyczajnym zachwytem, nie będąc w stanie uwierzyć w to, co dzisiaj widział i czego dokonał. Klearchos znał i tę reakcję i bardzo się starał, żeby nie posłać uśmiechu młodemu człowiekowi, który właśnie odkrył i polubił wojnę.

– Nie będę mówił do waszych stóp, jakbym prosił o jałmużnę – zawołał do Greków na koniach. – Zeskakujcie na ziemię. I mówcie, co się dzieje.

Wybaczcie, ale nie potrafię sobie przypomnieć waszych imion.

– Ksenofont z Aten – powiedział pierwszy, zeskakując i przytrzymując wodze. – Mój uśmiechnięty towarzysz to Hefajstos.

– Co się dzieje na polu bitwy? Co z księciem? W tym kurzu moi posłańcy chyba błądzą, bo od dawna do mnie nie dotarli.

Klearchos zerknął na słońce. Powoli docierając do linii horyzontu, przybierało coraz bardziej czerwony kolor. Jeźdźcy galopowali i walczyli przez cały dzień, byli więc bardzo zmęczeni. Jedynie obawa przed kolejnym atakiem, który mógł nastąpić w każdej chwili, trzymała ich jeszcze na nogach.

– Książę Cyrus zginął – odparł Ksenofont. W tej samej chwili odwrócił głowę; nie chciał patrzeć, jak kruszą się nadzieje Spartanina. – Jego brat odciął mu głowę. Widziałem przynajmniej tyle, zanim pognałem do ciebie. Po jego śmierci dalsza walka… cóż, sam rozumiesz.

Klearchos nie okazał ani gniewu, ani wstydu, który nagle go ogarnął. Grecy wymagali teraz silnego przywództwa. Wiadomości już się rozchodziły, dlatego powściągnął własną reakcję i tylko się uśmiechnął, chociaż nagle jakby postarzał się o dziesięć lat.

– Rozumiem, synu, tak. Dobrze się dzisiaj spisałeś. To się liczy.

– Naprawdę? – zapytał Ksenofont.

W jego głosie brzmiała gorycz, dlatego Klearchos uśmiechnął się do niego jeszcze raz.

– Liczy się to, że żyjesz i jutro znów będziesz mógł walczyć. Liczy się przede wszystkim dla mnie, ponieważ mam tylko kilka koni.

Wódz rozejrzał się, znowu dostrzegając w oddali maszerujące oddziały, niczym pionki przesuwane na planszy w grze, której reguł już nie rozumiał. Jego żołądek zareagował buntem, gdy znowu to sobie uświadomił. Grecy znajdowali się daleko od domu, otaczała ich największa armia, jaką

kiedykolwiek zgromadzono, a prowadził ją bóg-imperator mający aż nadto powodów, by rozszarpać ich na strzępy. Klearchos cicho się roześmiał.

– Bogowie lubią wystawiać nas na próbę, prawda? – odezwał się.

Ksenofont popatrzył na niego z rezerwą, prawdopodobnie się zastanawiając, czy Spartanin postradał zmysły.

– Na konie – kontynuował wódz. – Jesteśmy na niegościnnej ziemi, otacza nas nieprzyjaciel. W tej chwili możemy tylko wycofać się do obozu. Mam tam mały składany stół i nie chciałbym, żeby jutro ozdobił jakiś perski namiot. W tej chwili zachodzące słońce mamy za plecami, zatem skierowano nas znowu na wschód. Rozkazuję zawrócić i szybkim marszem dotrzeć do obozu. Jeżeli ktokolwiek stanie na naszej drodze, zaatakować i zabić.

Rozkaz po chwili dotarł do wszystkich żołnierzy greckich, także do polemarchów i pentekosterów, którzy zarządzili w tył zwrot.

– Spartanie do pierwszej linii! – zagrzmiał Klearchos.

Menon zawołał coś w gniewnej odpowiedzi, ale w tej chwili podobne wymiany były pomiędzy nimi niemal rytuałem. Klearchos zapamiętał, żeby koniecznie zdzielić go pięścią w twarz, jeżeli obaj przetrwają – albo postawić mu kielich wina, jedno albo drugie. Część ludzi Menona zaczęła pohukiwać, kiedy Spartanie się wysforowali, żeby jeszcze raz znaleźć się na czele. Nie, postanowił Klearchos. Żadnego wina. Walnie drania prosto w gębę.

* * *

Grecy byli już zmęczeni. Widać to było po tym, jak potykali się w marszu, jak ciągnęli włócznie po ziemi albo po prostu opierali się na nich niczym pasterze na kijach. Tylko Spartanie trzymali włócznie przy boku, gotowi do

ataku. To dlatego Klearchos wystawił ich na czoło, mimo że wyraźnie było po nich widać trudy całodziennej walki. W jego ocenie wciąż byli jednak znacznie sprawniejsi od pozostałych. Pod koniec walk, kiedy kończyny strudzonych mężczyzn robiły się straszliwie ciężkie, a stopy wręcz nie chciały ich nieść i niemal szurali nimi po piasku, Spartanie wciąż szli sprężystym krokiem jak pantery.

Ustawieni w ciasny czworobok maszerowali przez pole bitwy, zmierzając na zachód. Chmury pyłu wciąż unosiły się gęsto nad ziemią, nie pozwalając dostrzec wroga. Chwilami Grekom się zdawało, że przemierzają samotnie bezkresną, pustą ziemię.

Klearchos i Proksenos wypatrywali perskich oddziałów, które przybyły tutaj z Cyrusem. Zbliżając się do miejsca, w którym rozpoczynali dzisiejszy dzień, spodziewali się w każdej chwili natknąć na Ariajosa. A jednak teren przed nimi wciąż był pusty.

W drodze powrotnej Klearchos zaczął liczyć w głowie kroki, chociaż wiedział, że jego wyliczenia będą po gorączce bitwy bardzo nierzetelne. Wciąż nie potrafił ocenić, jak daleko znajdują się od obozu i taborów, kiedy zadecydował o odwrocie. W obozie przebywało dziesięć tysięcy ludzi. Czekali na niego, pozbawieni jakiejkolwiek ochrony. Wielu jego żołnierzy po prostu miało wśród nich przyjaciół i kochanki, natomiast na Klearchosie spoczywała odpowiedzialność za ich los. Nie mógł ich porzucić i pozwolić, aby ich mordowano, gwałcono lub wzięto w niewolę, chociaż musiał przyznać przed sobą, że coś takiego może się zdarzyć. Taki już był los tych, którzy przegrywali bitwy, a książę Cyrus z pewnością dzisiaj przegrał, jeżeli docierające do Klearchosa wiadomości nie mijały się z prawdą. Zacisnął szczęki, nie chcąc dopuścić do siebie, że po pierwszym – jeszcze bardzo świeżym – uczuciu triumfu wkrótce będzie musiał się pogodzić z katastrofą. Grecy przebili się przez oddziały wroga. Byli nie do

powstrzymania – marzenie każdego dowódcy, który kiedykolwiek przygotowywał żołnierzy do boju – i w walce osiągali taką przewagę, że na polu bitwy nikt nie mógł się z nimi równać. Zaskoczenie, że zwycięstwo zostało im wydarte z rąk w chwili, kiedy już je radośnie świętowali, było doznaniem skrajnie brutalnym. Klearchos wciąż nie potrafił przyjąć tego faktu do wiadomości, chociaż nieśmiały głos w głowie podpowiadał mu, że jest to jego zadanie. Na razie nie akceptował rozwiązania strategicznego i koncentrował się na jednym zadaniu, niczym młody oficer. Musi maszerować do obozu. Ocali ludzi towarzyszących armii, ocali tabory. I dopiero potem zacznie się zastanawiać nad swoim strasznym położeniem: znajdował się tysiące mil od domu, otoczony przez wroga.

W ciągu mniej więcej godziny marszu nikt nie stanął Grekom na drodze. Kurz pola bitwy powoli opadał, zachodziło również słońce, co oznaczało, że będzie trzeba kontynuować pochód zupełnie na ślepo. Dwaj jeźdźcy z Aten zgromadzili kilku konnych posłańców. Wszyscy żołnierze, którzy stanowili konną straż księcia, zniknęli i poza tą garstką siły greckie posuwały się wyłącznie na własnych nogach.

Klearchos niemal zarządził atak, kiedy zobaczył przed sobą tarcze i zbroje, jednak to była po prostu linia porannego starcia i jej pozostałości. Mężczyźni, którzy przybyli na równinę pod Kunaksą z dumą i odwagą, leżeli teraz bez życia w piachu, a ich trupia skóra była już żółta i zimna. Ostrożnie, krzywiąc się i potrząsając głowami, Grecy musieli przejść nad zastępami poległych. Było to miejsce, w którym perskie oddziały Cyrusa po raz pierwszy zwarły się z Persami króla Artakserksesa. Śmierć ich zjednoczyła, choć ci ludzie stanęli do bitwy pod różnymi sztandarami i podjęli walkę, służąc zwaśnionym braciom. Teraz leżeli na ziemi razem, w śmierci tak ciasno splątani, że żadna ludzka siła nie była w stanie ich rozdzielić.

Kilku wciąż jęczało i charczało, chociaż wydawane przez nich odgłosy były już bardzo ciche. Wołali o wodę, ale Grecy praktycznie jej nie mieli i żaden nie był gotów zaoferować rannym bezcennych kropli. Jeden z mężczyzn głośno poprosił, żeby go dobito, i tę błagalną prośbę spełnił jeden z Koryntian, podrzynając mu gardło. Nikt z Greków nie miał już zapomnieć tej części milczącego marszu, przez niecałą milę, po pagórkowatej ziemi zasłanej ciałami. Ktoś zauważył palce wystające z piachu. Jeden z Greków pod wpływem impulsu podniósł z ziemi odciętą rękę, jednak jego towarzysze krzyknęli z obrzydzeniem, żeby ją natychmiast odrzucił. Uczynił to z największą niechęcią. Wielu zbierało porzucone noże lub hełmy, szczególnie ci, którzy utracili własne. Zbieranie trofeów było częścią wojny i Klearchos w końcu musiał zagrozić karą śmierci na miejscu, gdy zobaczył, że ktoś zdejmuje pierścienie z palców martwego żołnierza.

Rzadki moment satysfakcji nastąpił, kiedy natrafili na grupę perskich szabrowników okradających zmarłych. Ludzie popatrzyli na nich z przerażeniem, kiedy zdali sobie sprawę, że wyłaniający się znienacka oddział to nie ich własne wojsko, lecz powracający po bitwie Grecy. Spartanie otoczyli i zatłukli ośmiu Persów, pozostawiając ich na ziemi razem z tymi, których próbowali obrabować. Klearchos wystraszył się, że takie same sceny mogą się dziać w obozie, i nakazał jeszcze szybszy marsz.

Zapadał już zmierzch, kiedy zobaczyli wozy i namioty. Obóz leżał kilka mil za polem bitwy, a Klearchos i jego ludzie wymaszerowali stąd o brzasku – całą wieczność i wielką tragedię temu.

Ich marsz powrotny nie pozostał niezauważony, jednak nie doszło do żadnych nowych ataków. Persom nie brakowało koni i Klearchos widział ich, przejeżdżających bardzo blisko, liczących jego ludzi, oceniających, jaką siłą jeszcze dysponują. Później na długi czas zniknęli, bez wątpienia

w celu przekazania informacji królowi, że Grecy wciąż znajdują się na polu walki. Zacisnął szczęki. Nic nie mógł na to poradzić. Po dłuższej chwili pojawiło się jeszcze więcej konnych, okrążając obóz w odległości kilkuset kroków. Wydawali się nie obawiać ani łuczników, ani procarzy. Klearchosa aż korciło, żeby ich zaatakować, jednak jego ludzie mogli się poruszać tylko na własnych nogach i to odebrałoby im resztki sił. Musieli dostać się do obozu, do wody i żywności – i do żywych ludzi, których należało chronić. Wszystko inne musiało poczekać.

Wódz ciężko przełknął ślinę, kiedy dostrzegł obóz wyłaniający się z półmroku. Było to dziesięć tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci – całe miasto na pustkowiu – oczekujących wiadomości o wielkim zwycięstwie i nowym królu. Nie mieli się tego doczekać.

Powietrze było tu czystsze, kurz pola bitwy pozostał za plecami, jednak światło dnia gasło. Klearchos z ogromną ulgą ruszył w kierunku ognisk i namiotów. W tej chwili nie mógł sobie pozwolić na myślenie o księciu. Ból po jego stracie był zbyt świeży, a sama strata zbyt dotkliwa.

Nagle uniósł głowę, usłyszawszy dźwięki rogów. Na wzgórzach, w prostej linii za obozem, dostrzegł ciemny sznur perskich jeźdźców i odniósł wrażenie, że wie, jaką mają tutaj sprawę. Persowie nie wiedzieli, że całe złoto księcia już dawno się rozeszło. Wyobrażali sobie, że w obozie znajduje się mnóstwo bezcennych dóbr należących do dynastii królewskiej. Inni mieli ochotę wziąć w niewolę młode i urodziwe dziewczęta. Pozostałym ludziom z obozu pisana była rzeź i śmierć.

Spartanie wyprostowali w ciemnościach obolałe nogi i mocniej ujęli rękojeści mieczów. Wiedzieli, że jazda wroga dotrze do obozu wcześniej od nich, bo przecież oni nie mogli ani lecieć, ani nawet biec, żeby przybyć na miejsce bez sił potrzebnych do walki. Mogli jedynie wciąż iść przed siebie

sprężystym krokiem, chociaż z przodu zaczynały do nich docierać okropne wrzaski.

Klearchos zobaczył, że dwaj młodzi Ateńczycy oddzielają się ze zwiadowcami od całej grupy i pędzą do przodu. Pokonawszy na koniach galopem wąski strumień, wyciągnęli miecze i wpadli pomiędzy namioty.

– Dobrzy chłopcy – mruknął Klearchos. Poczuł ból w piersiach, a jego nogi nagle stały się cięższe. Przecież maszerował i walczył przez cały dzień. Teraz to wszystko się jednak nie liczyło. Otrząsnął się z wszelkiego znużenia. Przed tym, co musiał teraz zrobić, jedynie śmierć była w stanie go powstrzymać. Dotyczyło to zresztą wszystkich jego żołnierzy. – Przygotować włócznie. Przygotować tarcze! – zawołał.

Pot spływał po nim grubymi strumieniami, co sprawiało, że jego skóra lśniła w półmroku, w jego płucach płonęło gorące powietrze. Grecy odpowiedzieli mu gromkim okrzykiem przepełnionym złością. Wkrótce dotarli na skraj obozu i wpadli w przejścia pomiędzy namiotami, wypatrując wrogów.

Perscy konni mieli ucztę, o jakiej niedawno nawet nie śnili. Obóz bez obrońców, na płaskim, suchym terenie pozbawionym naturalnych osłon. Wpadli do niego jak myśliwi, pokrzykując z zachwytem. Po chwili jednak zobaczyli ludzi w czerwonych płaszczach szykujących się do walki i zrozumieli, że nie będą mieli gładkiej przeprawy. W którą stronę się zwrócili, widzieli coraz więcej żołnierzy tnących ich mieczami po nogach, ciskających włócznie, który strącały z wierzchowców jednego napastnika po drugim. Rzeczywiście, rozpoczynała się rzeź, ale nie taka, jakiej się spodziewali.

Klearchos usłyszał, jak perscy oficerowie wykrzykują nowe rozkazy, nakazując swoim ludziom wycofanie się z – byli o tym przekonani – zasadzki. Dwie wrogie siły wpadły do obozu z przeciwnych stron; teraz

perscy jeźdźcy zaczęli zawracać w kierunku, z którego przybyli. Nie znaleźli złota, ale ciągnęli za sobą grupki krzyczących kobiet i dzieci, starając się doprowadzić je do większego zgrupowania czekającego poza obozem. Jeńcy zaś próbowali uciekać, gdy tylko powszechny chaos stwarzał taką szansę. Z całych sił wołali o pomoc i Klearchos nakazał Grekom przebiec przez cały obóz i wyrwać ich z rąk napastników. Nie miał pojęcia, jak dużym oddziałem tamci zaatakowali. Mógł jedynie przypuszczać, że za wzgórzami kryje się sto tysięcy ludzi na koniach.

Jedynie szok spowodowany nagłym zwarciem pozwalał mu nadal walczyć z impetem. Atakował Persów, którzy wciąż próbowali porywać jeńców, wydzierając pojedyncze osoby z małych grup. Wiele kobiet ginęło, gdy przebijały je włócznie tych, od których uciekały; napastnicy woleli je zabijać, niż pozwolić im na ucieczkę ku oswobodzicielom. Trwała krwawa rzeź, ale ciemność połykała krew i tragedie i nie pozwalała dostrzec, że każda chwila przynosi coraz większe okrucieństwa.

Klearchos parł do przodu równolegle z Proksenosem, zapewne dlatego, że byli w podobnym wieku i młodsi żołnierze znacznie ich wyprzedzili. Obaj dyszeli ciężko, wydając odgłosy niczym kowalskie miechy, mieli z wysiłku okropnie zaczerwienione twarze. Wymienili spojrzenia, w których częściowo widniał ból, a częściowo rozbawienie. Z trudem się poruszali, ale też nie potrafili się zatrzymać, dlatego nacierali razem z innymi.

Proksenos dostrzegł przed sobą dwie młode kobiety o nadzwyczajnej urodzie, które wyciągali z namiotu dwaj mężczyźni w czarnych płaszczach. Jeden z żołnierzy był obwieszony złotymi pucharami i biżuterią. Popatrzył tylko na dwóch zbliżających się Greków, szybko wskoczył na konia i uciekł.

W sąsiedniej alejce pomiędzy namiotami mknęło kilku perskich jeźdźców. Klearchos aż jęknął, kiedy usłyszał, jak wykrzykują do siebie wiadomości o tym, co zobaczyli. Widząc tyle bogactwa zdobytego przez rodaka, spróbowali zawrócić niemal w miejscu, mając nadzieję na kolejne łupy. Zanim dołączyli do żołnierza szarpiącego się z kobietami, Klearchos zaatakował go, wyrywając miecz z rąk Persa, który bynajmniej nie zamierzał pozbyć się zdobyczy. Żołnierz musiał zwolnić uchwyt na włosach kobiety, kiedy Klearchos przebił mu ramię. Mężczyzna krzyknął, a po chwili padł martwy.

Jedna z kobiet uciekła w ciemność, jednak druga, czarnowłosa, pozostała na miejscu, ciężko dysząc. Białka jej oczu błyskały, kiedy nerwowo zacierała ręce.

– Książę Cyrus wynagrodzi cię za to, że mnie ocaliłeś – powiedziała.

Klearchos westchnął, znowu poczuwszy falę żalu i gniewu. Przez chwilę bał się, że go zatopi.

– Nie, wcale mnie nie wynagrodzi – odparł.

Dostrzegł, że oczy kobiety się rozszerzają, a jej oddech staje się płytszy. Cofnęła się o krok, a on odruchowo wyciągnął ku niej rękę.

– Powiedz mi, jak masz na imię, dziewczyno. Ja mam na imię Klearchos.

– Pallakis – odpowiedziała.

Stanęła bokiem do niego, sprawdzając, czy ma wolną drogę ucieczki. Wiedział, że w każdej chwili jest gotowa pobiec w ciemność.

– Wszędzie dookoła są Persowie, Pallakis. Jeżeli pobiegniesz do nich, nie potraktują cię dobrze. Rozumiesz mnie? Wróciłem do obozu, do ludzi podróżujących z taborami. Możesz zostać z nami.

Obserwował, jak dziewczyna walczy z chęcią ucieczki, byle dalej od zakrwawionych sztyletów i horroru rozgrywającego się dookoła. Przypomniał sobie, że widział ją już wcześniej, przyodzianą

w prześwitującą szatę, która ukrywała tyle samo jej ciała, ile odsłaniała. Ponieważ Cyrusa nie było w obozie, ubrała się w prostą biało-złotą tunikę sięgającą ud, przepasaną w talii. Na nogach miała rzemienne sandały, nie nosiła biżuterii i nie umalowała się, nie licząc ciemnej obwódki oczu. Klearchosowi bardziej podobała się dzień wcześniej, zapewne dlatego, że przypominała mu o kobietach w domu.

Ludzie Proksenosa i Menona wbiegali do namiotów, zabijając każdego Persa, który próbował się tam chronić. Było to okrutne zajęcie, któremu towarzyszyły przerażające wrzaski i jęki. Klearchos zobaczył, że młoda kobieta zadrżała. Nagle popatrzyła na niego czujnym wzrokiem.

– Możesz mnie ocalić, Klearchosie? – zapytała.

Spartanin doskonale wiedział, że ma do czynienia z kobietą przyzwyczajoną do manipulowania mężczyznami. Teraz wyrażała jednak prostą prośbę, sprawiała wrażenie szczerej, nie zdradzając najmniejszej ochoty do flirtu. Pewnie dlatego była kochanką księcia, pomyślał Klearchos. Co jednak nie umniejszało teraz jej prośby.

– Postaram się, pani.

– Nie płynie we mnie szlachetna krew – odpowiedziała natychmiast. – Jestem kobietą do towarzystwa… – Urwała, nie potrafiąc dokończyć.

Spomiędzy namiotów nadbiegł Menon. Nie umiał ukryć podziwu dla urody kobiety ani też irytacji, kiedy odezwał się do Klearchosa:

– Przepraszam, że ci przeszkadzam, wodzu. Część z nas wciąż zajmuje się przywracaniem porządku w obozie, jeśli pamiętasz.

– Pallakis, poznaj Menona – powiedział Klearchos. – Pochodzi z Tesalii, z północnej części Grecji. Powiada się, że mężczyźni z tamtych terenów przymilają się do kóz, jeśli mnie rozumiesz.

Menon zamknął usta, gdyż podbiegło do niego dwóch ludzi z raportem. Oni także zauważyli piękną kobietę i Klearchos dostrzegł, że Pallakis

kładzie rękę na brzuchu, jakby chciała się osłonić przed ich wzrokiem. Cienka biało-złota tunika niedostatecznie zakrywała jej ciało. Uniósł wzrok ku niebu i rozpiął klamry, które przytrzymywały na nim płaszcz. Ruchem pełnym gracji zarzucił czerwoną tkaninę na kobietę. Pallakis popatrzyła na niego podejrzliwie, jednak otuliła się nią.

– Myślę, że jego cena jest zbyt wysoka, Spartaninie – powiedziała cicho.

Klearchos widział desperację, z jaką rozważała swój dalszy los. Jako towarzyszka Cyrusa była bardzo dobrze traktowana, otrzymywała wszystko, czego zapragnęła. W jednej chwili los jej to wszystko wyrwał. Ze wszystkich stron otaczali ją mężczyźni, którzy chętnie spędziliby z nią kilka upojnych chwil sam na sam. Klearchos zastanawiał się, czy Pallakis zechce wybrać jednego z nich, żeby ją chronił przed pozostałymi. Pomyślał o swoich córkach i westchnął, znów uświadomiwszy sobie, jak intensywnie wpatruje się w nią Menon. Wódz wyczuł jego dezaprobatę.

– Dlaczego miałaby przypaść właśnie tobie? – zapytał go Tesalczyk. – Uważasz, że skoro jesteś dowódcą, masz prawo przywłaszczenia jej sobie, tak po prostu?

Klearchos musiał stłumić atak złości. Zgorzknienie Menona wydało mu się i zabawne, i irytujące, jednak miał za sobą ciężki dzień i był zmęczony. Czasami dokonywał prostych wyborów.

Bez słowa ruszył w kierunku Menona, zaskakując go w chwili, gdy znowu chciał coś powiedzieć. Chociaż się nie odezwał, Klearchos odepchnął go piersią krok do tyłu.

– Możesz ze mną o nią walczyć, jeśli chcesz, Tesalczyku – warknął. – Ale najpierw zrób, co do ciebie należy. Zbierz ludzi, którzy są w obozie, i przygotuj ich do drogi. Nie będę tutaj czekał, aż dookoła zgromadzi się jeszcze więcej wrogów. Zrozumiałeś mój rozkaz? Potrafisz go wykonać? Jeżeli twoja odpowiedź brzmi „nie”, powiedz mi, kto jest twoim zastępcą,

i każ go tutaj przyprowadzić. Chcę, żeby na własne oczy zobaczył, co ci się przytrafi. Lekcja, której ci udzielę, nie może pójść na marne.

Ostatnie słowa wypowiedział furiackim szeptem, z rosnącą złością, żeby do Menona dotarło wreszcie, jak fatalnie wpłynęły na niego wydarzenia dzisiejszego dnia. Fala wściekłości mogła zatopić ich obu, kiedy wreszcie zapadnie spokój, dzień się jednak nie skończył, jeszcze nie.

Menon odszedł w milczeniu, powłócząc nogami, wpatrywał się jednak w Pallakis tak intensywnie, jakby mimo wszystko miał jakieś słowa na końcu języka. Kobieta obserwowała, jak Spartanin rzuca rozkazy kolejnym żołnierzom. Po chwili do jego najbliższego otoczenia jakby powrócił spokój. Perska jazda została wypchnięta z obozu, ustały więc przynajmniej wrzaski i lamenty. Zastąpiły je odgłosy, które Pallakis znała aż za dobrze – odgłosy zwijania obozowiska i przygotowań do wymarszu. Przejścia pomiędzy namiotami wypełnili biegający mężczyźni i kobiety, wszyscy ponaglani przez greckich żołnierzy. Namioty zamieniały się nagle w bele materiału i sterty zbieranych osobno drewnianych podpór. Ładowano wozy, jednak po pewnym czasie Proksenos wydał rozkazy, aby większość zostawić na miejscu. Nikt nie miał pojęcia, kiedy perska jazda znowu się pojawi. Z kolei zaczęły się płacze i zawodzenia kobiet i narzekania mężczyzn zmuszanych do natychmiastowego wymarszu i pozostawienia swoich skarbów. Nie dbano o sprawiedliwość. Część rodzin mogła zachować cały swój dobytek, inne opuszczały obóz z pustymi rękami i we łzach.

Klearchos jakby zapomniał o Pallakis, mimo że stała u jego boku, otulona jego płaszczem. Modliła się w myślach za duszę Cyrusa, która podążyła już własną drogą. Książę był przyzwoitym człowiekiem, trzecią miłością jej życia. Pomyślała o klejnotach, które jej ofiarował, i zastanawiała się, czy będzie mogła je zatrzymać.

– Czy znajduję się teraz pod twoją ochroną, Klearchosie? – zapytała.

Spartanin popatrzył na nią i dostrzegł strach w jej twarzy.

– Tak, będę cię chronił – odparł bez wahania. – Jeżeli Menon lub ktokolwiek inny będzie dla ciebie niemiły, powiedz im, że służyłaś księciu, że byłaś jego kobietą. Skoro on już nie może, to ja będę bronił jego honoru. Był moim przyjacielem.

– A więc… mam być… twoja? – zapytała cichym głosem.

Klearchos już odwrócił głowę w drugą stronę. Westchnął.

– Pallakis, jest nas zaledwie dziesięć tysięcy mężczyzn. Mniej więcej drugie tyle w obozie. Otaczają nas, na równinie i na wzgórzach, setki tysięcy, zbyt wielu zbrojnych, żeby ich porządnie zliczyć. To lojalni żołnierze perskiego króla, który jest naszym zaprzysięgłym wrogiem, rozumiesz? To człowiek, który doskonale wie, żeby przebyliśmy całą drogę z Sardes po to, żeby dostać jego głowę.

– Myślisz, że wszyscy zginiemy?

– Myślę… – Znów popatrzył na jej wystraszoną twarz i zmienił ton: – Och, wielki król nie jest głupcem. Wie, że my, Grecy, jesteśmy najemnikami. Może zechce kupić naszą służbę, kto wie? Widzisz, chodziło mi o to… twoje obawy są źle ulokowane. Mam dwie córki, Pallakis, mniej więcej w twoim wieku. To mężczyznę zmienia, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Zmienia młodzieniaszka w mądrego mężczyznę, kochanego przez wszystkich, którzy spotykają go na swojej drodze. No, może nie przez Menona, jak już pewnie zauważyłaś. Jego zżera własna złość. Nie potrafię go polubić.

– Czy mogę, Klearchosie, pójść do mojego namiotu i sprawdzić, czy moje klejnoty wciąż tam są?

Wódz cichym gwizdnięciem przywołał przechodzącego Spartanina.

– Idź szybko z tą oto panią, Pallakis, tam, gdzie ci wskaże. Własnym życiem odpowiadasz za jej bezpieczeństwo – powiedział.

Nie sprzeciwiła się, kiedy po raz drugi potraktował ją jak osobę szlachetnej krwi. Uznała widocznie, że tak musi być.

Klearchos obserwował ją jeszcze przez chwilę. Stwierdził, że książę Cyrus miał dobry gust. Ta kobieta była cudowna. Dlaczego musiała być Greczynką? Te ciemne włosy i jedwabista skóra były… Spokojnie, pomyślał i głośno odchrząknął, walcząc o odzyskanie kontroli nad własnymi myślami. W wieku siedmiu lat zabrano go z domu rodziców do żołnierskich koszar. Kiedy miał lat dwanaście, inni chłopcy traktowali go jak wilka. Jako żołnierz miał prawo do jednego płaszcza rocznie. Bywało, że stara odzież na nim gniła i po prostu biegał nagi pod płaszczem, a poza tym przez całe miesiące prawie się nie mył. Teraz tęsknił za ciężarem swojego płaszcza przerzuconego przez ramiona, mimo że bez niego poczuł się lżejszy, jakby Pallakis wraz z nim zdjęła z niego część bólu, jaki sprawił mu dzisiejszy dzień.

Znów nie wiadomo skąd pojawił się Proksenos zmierzający do miejsca, w którym Klearchos stał pogrążony w myślach. Spartanin obserwował go, jak się zbliża; jeden wódz oceniał w myślach siły, jakimi wciąż dysponował drugi. Dochodzili do niewesołych wniosków. Na razie nad ziemią zapadła ciemność i ocaliły ich jej objęcia. Poranek mógł ukazać wroga wciąż żądnego ich śmierci.

– Część perskich jeźdźców uciekła bez szwanku – powiedział Proksenos. – Nasi łucznicy nie mają już strzał i żadnego sposobu, żeby je gdzieś zdobyć. Nie mogłem natomiast zebrać w porę procarzy.

– A zatem wielki król dowie się, że jesteśmy w obozie. Zanim słońce wstanie, będzie znał nasze dokładne położenie. Myślę, że istnieje możliwość, iż dzień jutrzejszy będzie naszym ostatnim, Proksenosie.

– Przemawia do mnie Klearchos czy Menon? – zapytał Proksenos i uniósł ze zdziwieniem brwi. – Myślałem, że Spartanie są niepokonani.

Klearchos się roześmiał.

– Masz rację. Musimy ruszyć jeszcze tej nocy. Wróg spodziewa się, że pójdziemy tam, skąd przyszliśmy. Myślę więc, że droga na zachód zostanie nam odcięta. Sam bym tak zrobił na miejscu Persów. A więc na północ, ruszymy właśnie na północ.

– Dobrze – odparł Proksenos. – Rozkazujesz, aby wyruszyć na północ. Mają nam towarzyszyć cywile ze wszystkimi zapasami wody i żywności, jakie zdołają unieść. – Jakby nieco się rozluźnił. – Chociaż Menon chce ich zostawić. Twierdzi, że spowolnią nasz pochód.

– I ma rację – powiedział Klearchos. – Spowolnią. Przyjacielu, stoimy przed dylematem, którego nie sposób rozwiązać.

Ku zaskoczeniu Klearchosa Proksenos uścisnął mu ramię. Był to odruch niezwykły w ich wzajemnych relacjach.

– Mamy za sobą zły dzień. Kiedy trochę odpoczniemy, wróci do nas optymizm. Problemy pozostaną, jednak będziemy lepiej przygotowani do ich pokonywania. Dopiero jutro porozmawiam więc z wodzem Klearchosem. Bez wątpienia będzie miał wtedy mnóstwo pomysłów.

Klearchos się uśmiechnął.

– Jesteś dobrym człowiekiem – powiedział.

21

W nocy nie obyło się bez alarmów. Dwukrotnie tętent kopyt końskich rozlegał się tak blisko, że Grecy zaczynali przygotowywać się do odparcia ataku i czekali, dopóki odgłosy nie zaczęły się oddalać. Wróg ogromną siłą albo podążał za nimi, albo otaczał ich już na pustyni. Trudno było nie wyobrażać sobie zaciskającej się pętli, bacznie obserwowanej przez księżyc powoli sunący po niebie.

Wyruszywszy w drogę, Klearchos uświadomił sobie aż za dobrze, że mężczyźni, kobiety i dzieci podążające za wojskiem nie są w stanie maszerować takim tempem jak żołnierze. Gdy on próbował jak najbardziej oddalić się od miejsca, na które napadli perscy jeźdźcy, aby w miarę bezpiecznie spędzić w końcu resztę nocy, za jego oddziałami rozciągnął się na pustyni bardzo długi sznur cywilów. Wielu ludzi wciąż było oszołomionych nagłą odmianą losu. Wlekli się noga za nogą, kobiety obarczone małymi dziećmi i mężczyźni dźwigający to, co udało im się zabrać z obozu, bo w większości nie mieli już wozów. Wszyscy znaleźli się nagle w sytuacji, jakiej jeszcze wczoraj nie wyobraziliby sobie nawet w koszmarach.

Przez pierwszą godzinę Klearchos zadowalał się posyłaniem ludzi do samego ogona tej dziwnej komety, aby pośpieszali maruderów. Gdy te działania poskutkowały jedynie podniesionymi głosami mężczyzn i wrzaskiem jakiejś kobiety, która zażądała, aby jeden ze Spartan poniósł jej małego syna, Klearchos zatrzymał całą grupę. W ciemnościach wydał nowe

rozkazy. Jego ludzie rozumieli, jaka jest stawka, i nie narzekali. Ale Menon zaczął przypominać każdemu, kto chciał słuchać, że radził nie zabierać w wędrówkę tak wielu ludzi. Przecież żołnierzom nie potrzeba teraz służących, mówił. Ich jedyną szansą było jak najszybsze oderwanie się od perskiej armii.

Klearchos posłał tysiąc Spartan i tysiąc Koryntian na sam koniec pochodu. Cywile musieli teraz iść, czując na plecach oddech Greków gotowych do użycia siły, aby ich poganiać. Część żołnierzy miała wielką ochotę używać włóczni jako argumentów i dźgać każdego, kto był na tyle głupi, by głośno narzekać. Ten marsz trwał wiele godzin, aż wreszcie cywile kompletnie opadli z sił i zaczęli nawoływać, że albo odpoczną, albo umrą, że ich dzieci nie są już w stanie zrobić ani kroku.

Klearchos wydał rozkaz i pochód stanął w miejscu. Zagryzał wargi, bo sam także zmagał się ze zmęczeniem. Z grupy najmłodszych żołnierzy wyznaczył wartowników. Starał się oszczędzić stróżowania Spartanom, gdyż spodziewał się, że po wschodzie słońca będzie ich potrzebował wypoczętych. Ziewnął i znieruchomiał, kiedy ujrzał przed sobą Pallakis trzymającą w wyciągniętej ręce jego płaszcz.

– Słucham cię, pani? – powiedział.

Kobieta się ukłoniła.

– To twoja własność, wodzu. W namiocie znalazłam dla siebie koc.

Klearchos przyjął płaszcz z wdzięcznością. Spartanin zawsze tęsknił za swoim najlepszym płaszczem, gdy nie miał go w polu widzenia.

– Mam nadzieję, że zabrałaś ze sobą tylko koc. Jutro będę musiał ogołocić cały nasz obóz. Część ludzi jest zbyt obciążona różnymi dobrami, żeby maszerować przez cały dzień. Widziałem, jak ktoś szedł noga za nogą z końskim siodłem na ramionach! Czy oni naprawdę myślą, że daleko zajdą z dobytkiem na plecach?

– Pozostawiłeś już połowę wozów, Klearchosie. A ludzie są zdesperowani i wystraszeni. Część straciła praktycznie wszystko. Czy możesz ich obwiniać za to, że zachowują się tak, a nie inaczej?

– Za to, że niektórzy ryzykują życie, zabierając na pustynię ulubione krzesło? Tak, mogę – odparł.

Pallakis chciała stanąć za jego plecami, ale się odwrócił i chwycił jej nadgarstki.

– Co robisz? – zapytał.

– Pomyślałam… Cyrus często chciał, żebym masowała mu kark. Jesteś zmęczony, Klearchosie. A przecież cię potrzebujemy. Musisz być wypoczęty i sprawny, bardziej niż inni.

Klearchos odchrząknął, zawstydzony swoją gwałtowną reakcją.

– Racja. Tak, to mi dobrze zrobi. Masz rację.

Rzucił płaszcz na piasek, położył się na brzuchu, po czym lekko uniósł na łokciach. Pallakis uklękła obok niego i zaczęła uciskać mięśnie jego karku i ramion. Klearchos był zaskoczony siłą jej rąk. Zakładał, że kochanka Cyrusa jest mistrzynią tylko w sztuce miłości, a tymczasem potrafiła przynieść ulgę mięśniom utrudzonym równie mocno jak cała reszta jego ciała. Walczył przecież przez cały dzień, później długie godziny maszerował… Spartanin zasnął niemal natychmiast, cicho pochrapując, a tymczasem Pallakis przyglądała się mu i delikatnie przesuwała palcami po jego starych bliznach. Pomyślała, że jest przystojnym mężczyzną. Trudno było określić jego wiek, chociaż miał zapewne pięćdziesiąt lat albo trochę więcej. Gdyby był dwadzieścia lat młodszy, pewnie zapragnęłaby go tak, jak kobieta pragnie mężczyzny.

Kiedy wróciła na swój koc, Klearchos zaczął chrapać głośniej. Większość cywilów porozkładała się w grupach rodzinnych, czasami zgromadzonych wokół jakiegoś wozu. Ludzie tulili się do siebie w strachu,

ale wielu uważnie śledziło jej ruchy. Pallakis nie miała rodziny. W ciągu jednego dnia straciła wszystko. Skuliła się na piachu i przycisnęła dłoń do twarzy, aby nikt nie mógł usłyszeć jej płaczu.

* * *

Nad ranem Pallakis obudził nagły strach, ale szorstkie głosy, które do niej dotarły, należały do Greków nawołujących ludzi do pracy. Dziewczyna ziewnęła i przeciągnęła się, po czym wstała i natychmiast zobaczyła hoplitów ustawionych na granicach obozu w pięćdziesięcioosobowych grupach dowodzonych przez pentekosterów. Część z nich ruszała już w kierunku wzgórz, chcąc znaleźć się na terenach położonych wyżej. Wielu krążyło pomiędzy kobietami i mężczyznami w obozie, kierując ich ku wyznaczonemu miejscu, gdzie można było opróżnić pęcherze i trzewia. Pallakis widziała jednak ludzi oddających mocz w miejscach, w których się obudzili, przez co w powietrzu unosił się już ciężki odór. Ale mógł to być także zapach strachu. Widziała też nerwowe napięcie na wynędzniałych twarzach, słyszała je w szlochu zaniepokojonych dzieci. Kilkoro straciło ojców w walkach poprzedniego dnia, jednak w większości reagowały po prostu na marsowe miny i złość dorosłych, którzy je otaczali.

W obozie nie było łopat, które mogłyby posłużyć do wykopania dołów kloacznych, dlatego tysiące ludzi pozostawiały sterty ekskrementów w zupełnie przypadkowych miejscach. Nie wyglądały przyjemnie i śmierdziały okropnie. Pallakis była zadowolona, że kiedy wszyscy ruszą w dalszą drogę, pozostawią je daleko za sobą. Przez pewien czas mieli wieść żywot nomadów – dopóki nie zmiażdży ich armia króla lub nie poumierają z pragnienia. Woda wydawała się większym luksusem niż mięso, ponieważ ludzie wciąż prowadzili ze sobą kozy, barany i osły.

Okazało się, że część wozów porąbano w nocy na opał, aby przygotować nad ogniem posiłki, jednak Pallakis w ogóle nie myślała o jedzeniu. Usta miała opuchnięte i suche, była spragniona.

Po krótkim czasie żołnierze wykrzyczeli rozkazy do wymarszu. Tym cywilom, którzy nie mogli albo nie chcieli dalej iść, pozwalano zostać. Pallakis mimowolnie się uśmiechnęła, kiedy zobaczyła młodego mężczyznę przygarbionego pod ciężarem narzędzi. Jego bagaż bardziej pasował do muła niż do człowieka. Jego żona nie niosła żadnego ładunku, a jednak patrząc na nią, skrzywiła się zgryźliwie, mijając książęcą kochankę, która uśmiechała się do jej dzieci. Takie spojrzenia Pallakis napotykała coraz częściej. Odnosiła wrażenie, że śmierć księcia ośmieliła wielu ludzi, którzy teraz pozwalali sobie okazywać skrywaną dotąd pogardę kobiecie jeszcze wczoraj ogrzewającej jego łóżko. Pallakis reagowała na tę pogardę, zaciskając szczęki; nikomu nie okazywała, jak bardzo jest samotna.

Klearchos był bez wątpienia sprawnym dowódcą. Wlokąc się noga za nogą w tłumie tysięcy osób zupełnie dla niej obcych, Pallakis obserwowała, jak greccy żołnierze tworzą mocny bufor na tyłach pochodu, prowadząc ludzi niczym bydło, podobnie jak ostatniej nocy. Cywile nie zostali poinformowani, dokąd zmierzają. Każda upływająca godzina potęgowała ich problemy i narzekania były coraz wyraźniejsze. Słońce bezlitośnie unosiło się coraz wyżej nad horyzont, wysuszając nieszczęśnikom gardła. Ci, którzy cierpieli najmocniej, mogli jedynie skrzeczeć słabymi głosami, prosząc o wodę.

Przed południem dotarli do rzeki. Pallakis nie miała miski ani dzbana, jednak w otumanieniu dotarła do miejsca, gdzie rzeka wąską strugą wbiła się w ląd. Uklękła na jej skraju, nabrała wody w złożone ręce i zaczęła pić, zdawałoby się bez końca, jakby już nigdy nie miała jej dość. Ale gdy się cofnęła na ląd, niemal natychmiast poczuła pierwszy szept pragnienia. Pot

błyszczał na jej skórze, a dłonie miała poplamione pomarańczowym błotem. Nie mogła już przeczesać palcami włosów i związać ich w puszysty kok; opadały jej na ramiona i przypominały raczej suchą słomę niż sprężyste fale, do jakich się przyzwyczaiła.

Słońce prażyło niemiłosiernie, a ludzie nie ruszali w dalszą drogę. Zaczęli dyskutować w małych grupach. Pallakis chodziła pomiędzy nimi, zatrzymując się przy tych najliczniejszych, chcąc usłyszeć, co się właściwie dzieje. Nie zdziwiła się, kiedy w końcu dostrzegła Klearchosa w otoczeniu oficerów. Spodziewali się, że to właśnie Spartanin ich ocali, ufali jego legendzie. Pallakis zaczęła się modlić do bogów, żeby wódz wyprowadził wszystkich z tego piekła. Wbiła w niego spojrzenie i nagle Klearchos popatrzył prosto na nią. Uniósł rękę w pozdrowieniu, co sprawiło, że kilku Greków odwróciło się, żeby zobaczyć, kto przykuł jego uwagę. A Pallakis nie odwróciła się, kiedy usłyszała za plecami szepty na swój temat. Nikt jej tutaj nie chronił.

Jeden z młodszych mężczyzn wsłuchiwał się w słowa Klearchosa z wodzami przerzuconymi przez ramię. Za jego plecami stał koń z opuszczonym łbem. Pallakis pomyślała, że zwierzę jest pewnie równie głodne jak ludzie. Młody mężczyzna dostrzegł ją, a wtedy ona uśmiechnęła się do niego. Lubiła konie. W pewnym sensie konie oznaczały wolność. Z pewnością dawały więcej wolności, niż Pallakis kiedykolwiek zaznała, chodząc na własnych nogach. Młodzieniec odpowiedział jej uśmiechem, ale dziewczyna natychmiast odwróciła głowę. Zdawała sobie sprawę, że musi być ostrożna.

– Wodę mamy, jedzenie też – mówił Klearchos do otaczających go osób. – W drodze bez wątpienia natrafimy na wioski. Wiem, że na razie znajdujemy się na nieprzyjaznym, trudnym terenie, ale możemy go opuścić. Nie spodziewam się tutaj żadnych miejsc, które nadawałyby się na

schronienie. Chociaż na razie nie widzę też zwiastunów burzy. A powitałbym burzę z radością, chociażby po to, żeby znowu poczuć się czystym.

– Ale nie jesteśmy w stanie bronić tak wielkiej gromady – odezwał się Menon, nie dbając o to, że jego głos dociera do tłumu. – Sami zdołamy intensywnym marszem wyrwać się z zasięgu perskiego króla w ciągu tygodnia. Jeżeli każesz nam iść z dziesięcioma tysiącami cywilów na karku, praktycznie zabijesz nas wszystkich.

Klearchos zrobił krok w kierunku Tesalczyka.

– Jakiej spodziewałbyś się po mnie reakcji na zachowanie człowieka osłabiającego morale w czasie wojny? – zapytał.

– Naszym przywódcą mianował cię książę Cyrus, który leży teraz bez głowy na pustyni. Czy zdaniem bogów powinieneś dowodzić nami już zawsze, Klearchosie? Dlatego tylko, że jesteś Spartaninem, przedstawicielem ludu, który sobie upodobali? Uważam, że powinniśmy wybrać nowego dowódcę. Wysuwam własną kandydaturę i zamierzam ruszyć w drogę wyłącznie z najsprawniejszymi i najszybszymi cywilami. I nie marudźcie! – Ostatnie słowa wypowiedział do otaczających go mężczyzn, którzy zaczęli pomrukiwać z niezadowoleniem. – Klearchos dał nam wybór pomiędzy pozostawieniem części ludzi albo śmiercią każdego mężczyzny, każdej kobiety i każdego dziecka.

– Masz o nas zbyt słabe mniemanie – powiedział Klearchos. – Ale jeśli sobie życzysz, możemy głosować, skoro nie jesteś zadowolony z mojego przywództwa.

Menon szybko rozejrzał się po ludziach. Rozzłoszczone twarze podpowiedziały mu natychmiast, jaki będzie wynik głosowania.

– Nie – odparł. – Nie jesteś gotów, aby wsłuchiwać się w słowa innych, jeszcze nie. A ja nie będę tym, który narzeka na wojnie, jak powiedziałeś.

Graj dalej bohatera, Spartaninie. Pokaż mądrość i rozsądek, które kazały nam dotrzeć za martwym księciem na jego pustynię, prosto w ręce wrogów. Mówię ci, sprawisz, że wszyscy zginiemy.

Proksenos położył ciężką dłoń na ramieniu Menona i zaczął gorączkowo szeptać mu coś do ucha. Tesalczyk zaklął i odepchnął jego rękę. Ciężkim krokiem oddalił się od reszty grupy, zabierając ze sobą skórzany bukłak na wodę, który zamierzał napełnić w rzece. Ludzie rozstępowali się przed nim, wymieniając spojrzenia.

Klearchos przez chwilę go obserwował, po czym zwrócił się do tych, którzy przy nim zostali, tak jakby Menon do tej pory nie powiedział ani słowa.

– Według ostatniej mapy, którą widziałem, rzeka Zapatas znajduje się na północ stąd, w odległości dwóch lub trzech dni marszu. Wzgórza, które widzicie w oddali, są zielone, powinny tam być woda oraz zwierzęta i ptaki, na które będziemy mogli zapolować. Zjemy na razie zwierzęta pociągowe i pozostawimy ostatnie wozy. Zakładam, że nasi chłopcy dość łatwo zapolują po drodze na latające nad nami pustynne dropie. Wystarczy do tego kilku sprawnych łuczników. Dropie nie potrafią latać daleko i męczą się szybciej od nas. Będziemy ucztować każdego dnia! – Uśmiechnął się, chociaż jego oczy były zimne. – Co ważniejsze, mówi się, że rzeka ma szybki nurt. Chciałbym zostawić za sobą przynajmniej jedną wartko płynącą rzekę. Nie sądzę, aby król Persów dał nam spokój, na pewno nie obejdzie się bez walki.

– Jak daleko rozciąga się to terytorium? Kiedy je opuścimy? – zapytał Netos.

Został ranny w walce i musiał teraz mocno przyciskać lewą rękę do klatki piersiowej. Spośród otaczających Klearchosa żołnierzy on właśnie

wydawał się najmniej gotowy do marszu i wódz niemal skrzywił się na tę myśl.

– Jeżeli Persowie pozwolą nam odejść, będziemy mieli do przebycia jakieś dwa tysiące mil, z grubsza siedemset parasangów. Spróbujemy dotrzeć do Drogi Królewskiej.

– Gdzie król Artakserkses bez trudności nas pobije – mruknął Netos, jednak nie sprawiał wrażenia, że chce się kłócić z Klearchosem.

Spartanin popatrzył na niego i dopiero po chwili kontynuował.

– Jeżeli skierujemy się na północ, powinniśmy mniej więcej po miesiącu opuścić ziemie Persów i wejść na terytorium, którego dotąd nie podbili. Nie obawiam się żadnych górskich dzikich plemion. Nie można ich nawet porównywać z potęgą armii perskiej. Pustynia nie ciągnie się w nieskończoność i w końcu natrafimy na rzeki. Jeżeli zechcecie, abym was prowadził, skierujemy się na północ, idąc tak szybkim tempem, jakie tylko zdołamy utrzymać. To będzie skrajnie wyczerpująca wędrówka, wierzę jednak, że damy radę.

– Mniej więcej miesiąc marszu to perspektywa dobra dla żołnierzy – powiedział Proksenos. – A wśród cywilów mamy stare kobiety i dzieci. Jak szybko i jak długo możemy wędrować razem z nimi?

– Czyżbyś się zgadzał z Menonem? – odparł Klearchos ze złością. – Zostawiłbyś Greków na pastwę okrutnych Persów, pozwoliłbyś ich gwałcić, mordować? Widziałeś kiedyś, Proksenosie, do jakich pogromów zdolni są żołnierze? A ty, Netosie? Żaden z was. A ja widziałem. Widziałem miasto splądrowane i spalone do cna. Z mojego rozkazu. – Zacisnął usta i stał, oddychając ciężko. Powoli rozpostarł prawą rękę i zmusił się do uśmiechu. – Cóż, nie możemy odmienić przeszłości. Możemy tylko chronić ludzi, którzy zaufali nam, że pomożemy im przeżyć. Możemy rozsyłać konnych, którzy nam pozostali, aby obserwowali ruchy wroga, i tak długo, jak się da,

będziemy unikali walki. Jeżeli Persowie zrozumieją, że bardzo nam zależy na opuszczeniu ich terytorium, być może dadzą nam spokój.

– Sam w to nie wierzysz – powiedział Netos znużonym głosem.

Klearchos pokręcił głową.

– Nie, uważam, że będziemy musieli przyjąć bitwę, przynajmniej raz. Król dysponuje zbyt wieloma porywczymi młodymi dowódcami, a także jednym starym i grubym, którzy aż się palą, żeby zapędzić nas w kozi róg. Niemniej jestem świadom poziomu wyszkolenia i bitności naszych ludzi. Wczoraj nie mieli równych sobie przeciwników, na pewno nie wśród Persów. Nasza kolumna wdarła się taranem pomiędzy ich osławionych Nieśmiertelnych, ich najlepszych żołnierzy. Wypruwaliśmy im flaki, więc teraz się nas boją. I, na bogów, słusznie.

Usłyszeli nagły tumult, dlatego wszystkie głowy skierowały się w stronę jego źródła niczym łby psów myśliwskich, które zwęszyły trop. Serce Pallakis, która stała w tłumie, biło ze strachu jak oszalałe, kiedy Klearchos zaczął wydawać rozkazy całkowicie odmienionym głosem. Nie był już szorstkim, lecz w gruncie rzeczy dobrotliwym przywódcą. Nagle zmienił się w człowieka nieznoszącego sprzeciwu i głośno wykrzykując rozkazy, rozsyłał swoich ludzi na stanowiska, a oni słuchali go bez słowa, już w biegu dobywając mieczy. Dziewczyna stanęła na palcach, żeby zobaczyć, co się dzieje, jednak na taki sam pomysł wpadli wszyscy wokół niej, więc ponieważ nie była nadzwyczajnie wysoka, mogła patrzeć jedynie na plecy innych ludzi. Poczuła dłoń jakiegoś mężczyzny, który od kilku chwil przyglądał się jej ze zmarszczonym czołem; szybkim ruchem położył rękę na jej udzie. Pallakis uderzyła ją z całej siły i oddaliła się, nie patrząc za siebie. Tacy ludzie jeszcze wczoraj nie mieli dość śmiałości, aby jej dotykać. Arogancja mężczyzny utwierdziła Pallakis w pewności, że jej

gwiazda zgasła. Dziewczyna mocno się przestraszyła. Uznała, że musi zdobyć nóż. Miała nadzieję, że Klearchos użyczy jej ostrego kopisa.

Brnąc przez tłum, podświadomie obawiała się ataku Persów i wybuchu paniki. Tymczasem w końcu zobaczyła trzech jeźdźców zbliżających się do szeregu hoplitów pełniących wartę na granicach obozu. Pallakis znajdowała się zbyt daleko, aby usłyszeć, co mówią, zobaczyła jednak, że ukazują otwarte dłonie, jakby zależało im na zademonstrowaniu, że przybyli bez broni. Chodzi więc o rozejm, pomyślała. Aż wystraszyła się tej nadziei po przeżyciach poprzedniej nocy. Persowie potrafili być miłymi ludźmi dla tych, których kochali. Byli natomiast niewiarygodnie okrutni wobec tych, których uważali za swoich niewolników lub wrogów. Wszyscy obcokrajowcy musieli czuć się przy nich jak wyrzutki, za to najmarniejszy żebrak w Persepolis mógł się uważać za pana mającego władzę nad Pallakis albo przynajmniej za osobę równą każdemu z Greków. Przyszło jej do głowy pytanie, czy Klearchos zdaje sobie sprawę, że właśnie w taki sposób rozumują Persowie.

Ludzie wciąż pamiętali o jej dawnym statusie, dlatego pozwolili jej przejść do przodu. Klearchos wyszedł przed szereg i uśmiechnął się do jednego z jeźdźców, jakby nie pamiętał, że jeszcze niedawno byli śmiertelnymi wrogami toczącymi zażartą bitwę. Pallakis poczuła, że jej serce się kurczy, kiedy popatrzyła na jeźdźca. Jak to się mogło stać, że książę zginął? Dlaczego nie ma tutaj Cyrusa, młodego i wspaniałego, przepełnionego wizją odrodzonej Persji? Wielokrotnie inspirował ją swoimi wizjami, ale teraz legły w gruzach, a ona była zupełnie sama. Poczuła łzy napływające do oczu. Zignorowała spojrzenia mężczyzn, którzy to zauważyli i zaczęli szeptać między sobą, wskazując ją palcami.

* * *

Klearchos popatrzył na Tissafernesa. Pers dosiadał pięknego wierzchowca i cierpko się uśmiechał do Greka, jakby ledwie poprzedniego dnia jeden drugiego wcale nie zamierzał zamordować.

– Nie uwierzysz mi, Spartaninie, ale cieszę się, że widzę cię żywego – powiedział Tissafernes. – Czy wyleczyłeś rany po uderzeniach perskiego bata? Przypuszczam, że zdążyły się zagoić.

– Dlaczego próbujesz mnie zdenerwować, Tissafernesie? – odparł pytaniem Klearchos. – Mógłbym z przyjemnością cię zabić, tak jak wcześniej paru innych. Nie jesteś głupcem. Naprawdę chcesz, żebym cię zaatakował?

Tissafernes przestał udawać i posłał mu szyderczy uśmiech, zadowolony, że może patrzeć na Greków z góry.

– Przemawiasz królewskim językiem, ale w twoim głosie brzmi akcent dzikusa, Spartaninie, wiesz o tym? Brzmisz jak pastuch albo służący. Przypuszczam, że po prostu u kogoś takiego pobierałeś nauki. Masz do czynienia z pir Tissafernesem. Król Artakserkses wynagrodził mnie za to, że cię przejrzałem i zdradziłem mu twoje plany. Czy już to do ciebie dotarło? To ja namówiłem wielkiego króla, żeby zmobilizował wojsko i stanął w polu przeciwko zdrajcom z Zachodu. To moje ostrzeżenie ocaliło tron prawowitego władcy. Spodziewam się, że w nagrodę otrzymam pałac, skoro zwyciężyliśmy w bitwie.

Klearchos podrapał się po gęstej szczecinie na policzku. Zdał sobie sprawę, że będzie musiał zapuścić brodę. Przez długi czas nie będzie miał szansy, żeby się codziennie golić.

– Tissafernesie – zaczął. – Przybyłeś tutaj z prośbą o rozejm. A jednak wydaje się, że koniecznie chcesz mnie wprawić w złość. Prowadzisz jakąś grę? W jakim celu? O co ci chodzi? Przecież nie po to cię tu przysłano.

Wolałbym, żebyś po prostu powiedział to, co ci polecono przekazać. A decyzję o tym, czy kontynuować wojnę, pozostaw tym, którzy wojnę rozumieją.

Tissafernes poczerwieniał i poprawił się w siodle.

– Doskonale, Spartaninie. Byłbym rad, gdybyśmy do końca dnia zakończyli wszystkie nasze sprawy. Mogłem wziąć ze sobą sto tysięcy ludzi, żeby was otoczyli, żeby poprzebijali strzałami wasze gardła…

– Ale zapewne zabrałeś jakąś wiadomość, prawda? Od króla? – przerwał mu Klearchos, zniecierpliwiony jego złośliwością.

Z radością obserwowałby, jak Pers połyka własny język i dusi się na śmierć, ale ponieważ mężczyzna bardzo niechętnie przystępował do rzeczy, zapewne przywiózł wiadomość wartą wysłuchania.

Tissafernes przez chwilę wpatrywał się w Klearchosa zimnym wzrokiem i wreszcie się odezwał. Mówił w taki sposób, jakby recytował tekst, który – dobywając się z jego ust – pozostawia na języku nieprzyjemny posmak.

– Król Artakserkses nie żywi urazy do tych, których jego brat wynajął za pieniądze. Rozumie, że winę za ostatnie wydarzenia ponosi zdrajca, książę Cyrus. Król był świadkiem wielce odważnej postawy Greków na polu bitwy. Zaprasza wodzów, aby przedyskutować z nimi najlepszy sposób skierowania ich do domu bez dalszego rozlewu krwi i bez kolejnych walk.

– Aha – mruknął Klearchos słabym głosem, a w jego głowie zaczęły się kłębić gwałtowne myśli. – A gdzie król rozbił swój obóz, pir Tissafernesie?

To, że Spartanin użył jego tytułu, nie uszło uwagi starego człowieka. Mimo wszystko pokręcił głową.

– Jego armia otacza was ze wszystkich stron, Spartaninie. Ale nie powiem ci, gdzie rezyduje król, jeszcze nie teraz. Daj mi odpowiedź, a ja mu ją zawiozę. Wieczorem wrócę, aby cię poprowadzić do króla.

– Zgadzam się – odparł Klearchos.

– Zaproszenie dotyczy wszystkich greckich wodzów – powiedział Tissafernes, rozglądając się po twarzach żołnierzy i cywilów, zgromadzonych za nimi i nadstawiających uszu, żeby cokolwiek usłyszeć z rozmowy.

– Jednego lub dwóch chciałbym jednak zostawić z żołnierzami – odezwał się Klearchos, myśląc o Menonie i problemach, jakie mógłby stworzyć, gdyby stanął przed królem Persów.

– Klearchosie, uważasz mnie za jakiegoś perskiego wieśniaka? Za pierwszego lepszego głupca? Przesłuchaliśmy ludzi, którzy przybyli tutaj z tobą aż z Sardes. Użyliśmy żelaza i ognia, aż wyśpiewali wszystkie tajemnice. Wiemy, jak Cyrus zniszczył reputację króla w Byzantion, pożyczając fundusze, których już nigdy nie zwróci właścicielom. Wiemy, do ostatniej miski zboża, ile pieniędzy wydaliście, jak wielkie są wasze długi, ilu głupców oszukaliście. Wielki król chce się spotkać z tymi greckimi oficerami, którzy wczoraj poczynili wielkie spustoszenia w jego armii. – Pers uśmiechnął się, jego twarz lśniła. – Powiem ci, że najchętniej kazałbym cię zatłuc w miejscu, w którym stoisz, ale wykonuję rozkazy króla. Jeśli więc nie chcesz urazić jego majestatu, udasz się do króla w towarzystwie Netosa Stymfalijczyka, Menona z Tesalii, Proksenosa, Kseniasa z Arkadii, Sosisa z Syrakuz, Pasjona Megaryjczyka…

Klearchos uniósł rękę.

– Doskonale, Tissafernesie. Przybędę do twojego króla. A jeśli chodzi o pozostałych, zastanowimy się.

– Kto wie, co się wydarzy do wieczora? – powiedział Tissafernes. – Może odmówicie? Może postanowicie obrazić mojego pana po raz ostatni? Czekam na twoją odpowiedź. Zobaczymy się wieczorem, Klearchosie.

Trzej jeźdźcy zawrócili, a Klearchos jeszcze długo obserwował, jak ich postaci maleją i w końcu stają się tylko plamkami na horyzoncie. Spartanin

wreszcie zaklął pod nosem, a Proksenos, usłyszawszy przekleństwo, się roześmiał.

– Myślisz, że to pułapka? – zapytał.

– Nie mam pojęcia – przyznał Klearchos. – Zapewne. Bracie, jestem w rozterce. Nie mam ochoty dać satysfakcji Menonowi, zgadzając się z nim w jakiejkolwiek sprawie, ale prawda jest taka, że nie mam też pojęcia, co zrobić, żeby ochronić naszych ludzi, którzy tu zostaną. Może mimo wszystko powinienem wydać żołnierzom rozkaz intensywnego marszu, a cywilów pozostawić?

– Nie – powiedział stanowczo Proksenos. – Nie wykonałbym takiego rozkazu. Nie chcę w ostatnich chwilach życia słyszeć błagań, płaczu i lamentów dzieci. A ty przecież nie zostawisz ich swojemu losowi.

– Menon by tak zrobił – mruknął Klearchos i zerknął na tłum.

Znowu dostrzegł Pallakis; twarz dziewczyny przyciągnęła jego spojrzenie, kiedy przypatrywał się ludziom.

– Nie jesteś Menonem – odparł Proksenos. – Jesteś lepszym człowiekiem od niego. Pójdę dzisiaj z tobą do Persów. A jeśli to pułapka, osobiście odbiorę życie temu głupiemu grubasowi.

– To wielkie ryzyko – stwierdził Klearchos. Nagle podjął decyzję i straszliwe napięcie go opuściło. – Doskonale, Proksenosie. Będę trwał przy tobie, jakkolwiek potoczą się wypadki.

– Możemy też po prostu uciec. Na taki pomysł również jestem otwarty. – Jak sądzisz, czy Persowie poczęstują nas winem w czasie dyskusji i zawierania pokoju? – zapytał po chwili.

Klearchos wyraźnie poweselał.

– Wyobrażam sobie, że tak.

22

Klearchos przesunął palcem po policzku, ścierając strugę słonego potu. Brakowało mu rytuałów i rutyny regularnego obozu wojskowego. Gdy perscy jeźdźcy zniknęli za linią horyzontu, przyszło mu do głowy, że jeśli chce postępować racjonalnie, musi po prostu porzucić wszystko, czego nie da się toczyć na kołach, i natychmiast uciekać jak najdalej stąd. Woły, które jeszcze pozostały, wlokły się w tak ślamazarnym tempie, że mogło je dogonić dziecko dosiadające muła, a co dopiero jazda imperium. Powinien rozkazać, aby je zabito, a mięso rozdzielono pomiędzy ludzi, mimo że byłby to dla nich dodatkowy ciężar do dźwigania. Tymczasem tęsknił za porządkiem dnia wyznaczanym przez regularne posiłki. Tęsknił za namiotami i służącymi, których zadaniem było zapewnianie mu jak największych wygód. Zdawało się, że wszyscy zniknęli, albo zabici, albo wzięci do niewoli. Miał nadzieję, że raczej to pierwsze. Persowie byli okrutni wobec niewolników, dlatego nieszczęśnicy, którzy wpadli w ich ręce, i tak żyli krótko. Za znacznie lepsze uważał to, jak obchodzą się z niewolnikami Spartanie, którzy ich nagradzali i dobrze karmili. Klearchos miał wśród żołnierzy czterech własnych helotów. Traktowali go niemal jak ojca. Podejrzewał, że przeklinają jego imię, kiedy każe im ćwiczyć i biegać dookoła wzgórz, przez cały czas musieli jednak być w dobrej kondycji. W końcu transportowanie jego bagażu i ochranianie wodza wymagało zarówno wytrzymałości, jak i cierpliwości.

On sam tego dnia nie biegał, przytłoczony ciężarem decyzji, które musiał podjąć. Część ludzi, którzy oddalili się od obozu, powróciła z odrobiną żywności. Inni zapolowali na strusie i dropie, a trzech wparadowało, niczym wielcy zdobywcy, ze wspaniałym kozłem. Większym problemem było znalezienie drewna, aby rozpalić ogień i upiec mięso. Jedną rodzinę trzeba było powstrzymywać siłą przed napaścią na żołnierzy, którzy na ich oczach palili jedyny wóz, jaki posiadali. Klearchos patrzył z daleka na starego mężczyznę, który w złości wciąż przeklinał i wymachiwał rękami. Cóż, bogowie bywają kapryśni, chociaż chwila nie wydawała się odpowiednia, aby mu o tym przypominać. Spartanin zastanawiał się, czy w swoim oburzeniu mężczyzna złorzeczy Grekom, czy wznosi pięści ku niebu, bluźniąc losowi i samym bogom, czy też wszystkich gremialnie wyzywa od głupców.

To pytanie nie poprawiło mu nastroju, chociaż dla wodzów, którzy wieczorem mieli się udać na spotkanie z królem, przygotowano po grubym plastrze sarniny.

Po obozie szybko rozeszła się wiadomość o zaproszeniu od Artakserksesa, dlatego dwunastu najstarszych oficerów przyszło do Spartanina, aby tę sprawę przedyskutować lub udzielić mu rad. Bez wątpienia zapach sarniny także był przyczynkiem do tych wizyt, każdego z przychodzących Klearchos jednak ciepło przywitał.

Menon przybył ostatni. Był skwaszony i miał krzywą minę. Słońce było już wówczas blisko linii horyzontu, a – o ile Klearchosowi było wiadomo – tesalski dowódca przez cały dzień nic nie jadł. Przyszedł do niego z widoczną niechęcią, a zły nastrój Greka potwierdziły już pierwsze słowa, które padły z jego ust.

– Zapewne chcesz, żebyśmy padli przed tobą na kolana. Chyba już wiem, dlaczego miałeś tak dobre relacje z perskim księciem, Spartaninie. Jesteście

równie aroganccy. Powinienem paść przed tobą na ziemię? Czy to zadowoli waszą wysokość?

– Uważam, że powinieneś zostać w obozie, Menonie – odparł Klearchos, ignorując jego drwiny.

Poznał już Menona jako człowieka niskich lotów i złośliwego, jednak jego ludzie dobrze walczyli. Poza tym, że nie lubił Greków z innych miast, był mimo wszystko doskonałym żołnierzem, znał swój fach.

Menon popatrzył na Klearchosa, po czym rozejrzał się po twarzach pozostałych dowódców. Wiedział, że Proksenos i Netos znają się ze Spartaninem jak łyse konie. Jeden czy dwaj oficerowie zgadzali się z Menonem prywatnie, że Klearchos jest arogantem, lecz jako grupa to właśnie jego popierali, traktując Menona, jakby był kimś z zewnątrz.

– Swojego stopnia dosłużyłem się już dwadzieścia lat temu – powiedział Menon. – Słyszałem ostatnio, że wyparli się ciebie twoi spartańscy eforowie. Książę zamierzał zasypać ci gardło złotem, ale to wcale nie czyni cię naszym przywódcą, nieważne, co myślą o tym ci głupcy. Bo co, dowodzisz nami z rozkazu Cyrusa? Niechże więc książę nam to potwierdzi. Unieś rękę, Cyrusie, jeżeli uważasz, że Klearchos powinien nam rozkazywać. Nie? Milczysz? A więc ja sam zadecyduję o własnym losie, Spartaninie, i o losie moich ludzi, którzy mi zaufali.

– Jesteś małym jadowitym łotrem, wiesz? – zareagował Proksenos. – Klearchos daje ci szansę, Menonie. Na wypadek gdyby wieczorne spotkanie z królem miało się okazać pułapką. Nie rozumiesz tego?

– Twój przyjaciel jest zaiste wielkim myślicielem – zareagował Menon. – Ale jego słowa są nic niewarte. Zastanawiam się, co zaoferowali mu Persowie dzisiaj rano, kiedy przyjechali tutaj w imieniu wielkiego króla. Wciąż nurtuje mnie pytanie, czy Klearchos podziela ich stanowisko. Daj sobie spokój, Proksenosie. Nie mam do ciebie ani odrobiny zaufania.

– Doskonale! – zawołał Klearchos. – Pójdź zatem z nami. Zapewne chciałem sobie zaoszczędzić twojego zawodzenia, Menonie. Proksenosie, w tej sytuacji to ty powinieneś zostać w obozie.

– Nie – odparł natychmiast Proksenos. – Ja będę trwał u twojego boku.

Wypowiedział te słowa tonem nieznoszącym sprzeciwu, jednak Menon zawołał zaraz jeszcze głośniej:

– Cokolwiek planujecie, wykryję ten spisek. Niby jakie Proksenos miałby zadanie? Zwinąć obóz, kiedy nas nie będzie? O nie, ja także bardzo chcę, żeby Proksenos był z nami.

Klearchos mimowolnie zacisnął prawą pięść i w milczeniu oceniał odległość, jaką musiałby pokonać, aby w dwóch skokach dopaść Tesalczyka i jednym ciosem powalić go na ziemię. Perspektywa była kusząca, zdołał jednak utrzymać nerwy na wodzy, jak to czynił już od siedmiu lat. Spartańskie wychowanie było surowe, jednak dzięki niemu w trudnych sytuacjach górę brała żelazna wola. Uśmiechnął się więc do Menona i pochylił głowę.

– Będzie więc tak, jak chcesz. Pójdziemy razem do jaskini lwa. A jeśli lew nas pożre, będę umierał z twoim imieniem na ustach, Menonie.

– Na pewno wygłosisz wspaniałą mowę – powiedział Menon i wzruszył ramionami. – Ale nie zostawisz mnie w obozie. To mogę ci obiecać.

Tissafernes wrócił, kiedy nad pustynią zapadał zmrok, a słońce zstąpiło z nieba do świata podziemi. Dwunastu greckich wodzów już na niego czekało. Sprawiali wrażenie świeżych i wypoczętych. Nie mieli włóczni ani tarcz, ufając rozejmowi, każdy zachował jednak krótki miecz, a Klearchos ponadto wsunął kopis za pas na plecach.

Tysiące ludzi obserwowało w milczeniu ich wymarsz. Tissafernes spojrzał za siebie na tę gromadę i zmarszczył brwi z niezadowoleniem. Ludzie nie sprawiali wrażenia pokonanych ani wystraszonych. Nie potrafił

ich zrozumieć; odnosił wrażenie, że nie przyjęli do wiadomości, jak fatalna jest ich sytuacja, i nie mają pojęcia, co sprawiło, że się w niej znaleźli.

– Z rozkazu króla podążający za tobą cywile pozostaną tutaj, kiedy ty odejdziesz – powiedział Pers i parsknął z drwiną. – Mój pan Artakserkses zagwarantuje ci pokój, jeżeli ci ludzie pozostaną w tym miejscu. Jednak pokoju nie będzie, jeżeli ruszą przed siebie albo się cofną. Czy to jasne?

Klearchos przez długi czas nie odpowiadał. Jego oczy zdawały się błyszczeć nienaturalnie w ciemności.

– Jasne – odparł w końcu. – Pokój, jeżeli zostaniemy, wojna, jeżeli się ruszymy.

Wypowiedział te słowa w taki sposób, że zabrzmiały bardziej jak groźba niż akceptacja. Tissafernes odwrócił wzrok i spiął boki konia.

Przebyli trzydzieści stadionów, co zabrało im mniej więcej godzinę, nim zapadł całkowity mrok.

– Jak sądzisz, jak długo jeszcze pójdziemy? – zapytał Proksenos po grecku. – Nogi mi sztywnieją.

– Skąd mam wiedzieć? – odparł Klearchos. – Skoro sztywnieją, to może trochę pobiegamy?

– Ale dokąd? I nie zapominaj, że jestem ranny – powiedział Netos, wskazując swoje ramię.

– Myślisz, że o tym zapomnieliśmy? Co chwilę o tym mówisz – wtrącił się Menon i wbił w niego gniewne spojrzenie.

Netos minął go niespodziewanie i zaczął biec. Jego ramię podskakiwało na prowizorycznym temblaku.

Tissafernes był zaskoczony, kiedy dwunastu greckich wodzów ruszyło biegiem, przepychając się niczym chłopcy w trakcie wyścigu. Przez chwilę truchtali, a potem zaczęli sadzić długimi susami. Tissafernes słyszał ich śmiechy i przekleństwa.

Pers wzniósł oczy ku niebu i ponaglił konia do kłusu, aby nadążyć za Grekami. Wkrótce pomiędzy wzgórzami pojawił się blask ognisk obozu króla i Grecy zaczęli je sobie nawzajem pokazywać. Już nie trzeba było ich prowadzić. Jeszcze bardziej przyśpieszyli, zostawiając Persów za plecami.

Tissafernes czuł na sobie spojrzenia towarzyszących mu żołnierzy, dwóch poważnych młodych ludzi. Żaden nigdy wcześniej nie widział Greka.

– To szaleńcy – powiedział. – Kto takich zrozumie?

Trzej Persowie doścignęli piechurów i wyprzedzili ich na granicy obozu. Tissafernes był zły, że się spocił w ciepłym powietrzu. Greccy wodzowie szczerzyli zęby, kiedy zobaczyli służących, którzy podbiegli do przybyłych, aby odebrać konie. Tissafernes się zastanawiał, czy nie zmienić szat, zanim stanie u boku króla, jednak rozkaz, który otrzymał, był wyraźny: wrócić jak najszybciej. Niemniej wątpił, by Artakserkses spodziewał się go z powrotem aż tak szybko.

– Chodźcie za mną – powiedział uprzejmym tonem.

Wykonał też gest nakazujący podążyć za nim. Wiedział, że niektórzy z nich znają perski, jednak możliwość machania na nich jak na niesforne dzieciaki zaspokajała jego poczucie wyższości.

Grecy ruszyli zwartą grupą, a na widok obserwujących ich żołnierzy perskich ulotnił się ich dobry humor. Wzdłuż drogi w głąb obozu zwarte oddziały stały na baczność, tworząc szpaler. Ku swemu zaskoczeniu Tissafernes zobaczył, że Klearchos kieruje się ku prawej stronie tej ścieżki i zatrzymuje przed potężnie zbudowanym żołnierzem wpatrującym się szklanym wzrokiem w przestrzeń. Patrzył, jak Grek poprawia napierśnik mężczyźnie i mówi mu do ucha kilka słów, wywołując grymas wesołości w kącikach jego ust, głęboko ukrytych w czarnej brodzie.

To postępowanie Klearchosa chyba zdziwiło pozostałych Greków, bo zawołali coś do Spartanina w swoim płynnym języku. Przemarsz piaszczystą ścieżką przerodził się w inspekcję, jakby żołnierze imperium stanęli wzdłuż niej tylko po to, aby poddać się ocenie przybyszów. Tissafernes zacisnął szczęki. Grecy byli barbarzyńcami, lecz, co ważniejsze, tego wieczoru byli gośćmi króla. Mógł więc tylko uśmiechać się ponuro i czekając, machać na nich, żeby się pospieszyli.

– Jak sądzisz, czy ten grubas zna grecki? – zapytał Menon.

– Na pewno któryś z nich zna – odparł Klearchos. – W każdym razie nie mów niczego, co nie powinno do nich dotrzeć.

– Jesteś mądrym człowiekiem, Spartaninie. Pod wieloma względami przypominasz mi matkę.

– Chyba ją kiedyś spotkałem… – zaczął Klearchos.

Cokolwiek chciał jeszcze powiedzieć, jego słowa utonęły w ostrych dźwiękach trąb. Otwarto wejście do wielkiego pawilonu i nagle światła rozjaśniły nieprzeniknioną ciemność.

* * *

Grekom trudno było nie podziwiać królewskiego namiotu, który postawiono na pustyni wcześniej tego samego dnia. Podłoga, wyłożona dywanami, wcale nie była klepiskiem, lecz wydawała się wykonana z polerowanego kamienia. Dach znajdował się bardzo wysoko, a w powietrzu unosiły się ciężkie i silne zapachy wonności oraz jedzenia. Zmysłowo poruszali się tancerze i tancerki do rytmu nadawanego przez jakieś instrumenty smyczkowe. Kobiety były tylko w spódniczkach, a chłopcy mieli skórę wymalowaną różem i proszkiem antymonowym. Wzdłuż ścian musiały stać setki żołnierzy, przypominających czarne i białe

żuki, ich twarze błyszczały z powodu gorąca i od narkotyków, które zażyli, aby podnieść temperaturę krwi. Powietrze wydawało się gęste, chociaż trudno było powiedzieć, czy większy wpływ na to ma ciepły powiew z pustyni czy zapach oliwy, którą Persowie wcierali sobie w skórę.

Dwunastu Greków wkroczyło do namiotu parami. Prowadzili Klearchos z Menonem, a za nimi szli Proksenos i Netos. Menon wcale nie zamierzał kroczyć po prawicy Klearchosa, jednak jakoś się przy nim znalazł, kiedy rozdziawił usta i oczy, niemal oślepiony tysiącem języków ognia oświetlających wnętrze namiotu. Lampy tkwiły na brązowych szpikulcach umocowanych w otworach wykonanych w kamiennej posadzce lub przytrzymywali je niewolnicy, których jedynym zadaniem było przenoszenie większej liczby źródeł światła tam, gdzie akurat było potrzebne.

Na samym środku pawilonu stał stół przykryty obrusem czerwonym jak krew, zastawiony misami i nożami, otoczony krzesłami. Powoli obracała się nad nim wielka lampa, w której płonęły białe świece. Stół rozpościerał się przed Grekami w prawą i w lewą stronę, a oficerowie perscy stali naprzeciwko nich. Klearchos poczuł dziwne ukłucie w sercu, kiedy zobaczył wśród nich Ariajosa. W pierwszej chwili świadomość, że przeżył, przyniosła mu ulgę. Jednak wymuszony uśmiech i czujny wyraz twarzy Persa sprawiły, że Klearchos szybko zobojętniał. Nie powinien być zdziwiony, że taki wódz jak Ariajos powrócił do łask króla. Poza tym przetrwał w sytuacji, gdy wydawało się to nieprawdopodobne, i przede wszystkim to się liczyło.

Spartanin skinął mu głową. Winien był mu przynajmniej tyle grzeczności, jednak w odpowiedzi Pers jedynie wbił spojrzenie w ziemię. Wreszcie Klearchos popatrzył na mężczyznę, który był główną postacią tej sceny, na króla Artakserksesa. Boski władca Persji trochę przypominał

Cyrusa, dlatego trudno byłoby się nie zorientować, któż to taki, nawet gdyby nie był otoczony niewolnikami, gdyby nie był tak bogato ubrany i umalowany – do tego stopnia, że przywodził na myśl złoty posąg. Król był jednak potężniejszej budowy, niż to opisywał Cyrus, sprawiał bardziej wrażenie wojownika niż buchaltera. Miał na sobie luźną lekką szatę, przez co można było odnieść wrażenie, że jest mu chłodno mimo wysokiej temperatury w namiocie. Klearchos dostrzegł, że pod fałdami szaty król nosi egipski napierśnik z pozłacanego brązu, a za jego szarfą tkwi sztylet. Jednak Artakserkses uśmiechał się do gości niemal serdecznie i trudno było przypuszczać, że w tej chwili w jakikolwiek sposób im zagraża.

– Witajcie – powiedział, natychmiast koncentrując na sobie spojrzenia wszystkich Greków.

Głęboko się im ukłonił i Klearchos pomyślał, że król wygląda jak jakiś ważny służący.

Nie powinien był się zdziwić, kiedy usłyszał z jego ust język grecki. Mimo to przez dłuższą chwilę mrugał, słysząc, że witany jest w ojczystym języku, chociaż znajduje się daleko od domu, daleko od wszystkiego, co dobrze znał i kochał. Starał się nie spoglądać na ponętne sylwetki tancerek, wciąż wyginających się do rytmu, chociaż muzyka prawie do niego nie docierała. Powietrze było aż gęste od niebezpiecznych emocji, prawdopodobnie wywoływanych wonią krwi, na którą nakładały się zapachy intensywnych perfum. Namiot był raczej miejscem gorączki i pożądania niż spokoju i bezpieczeństwa.

Klearchos podszedł do wielkiego stołu, zaskoczony jego rozmiarem. Przyklęknął na kolano i skłonił głowę. Wcześniej przedyskutował z pozostałymi, w jaki sposób należałoby powitać króla, a odwoływali się przy tym do opowieści o perskich zwyczajach, które przekazał im Cyrus. Wszyscy się zgodzili, że Artakserkses będzie oczekiwał, że padną przed

nim na twarz, i tak należy uczynić, ale Proksenos stanowczo się temu sprzeciwił, argumentując, iż w ten sposób okażą słabość – a u takiego mężczyzny jak król Artakserkses jedynie zwiększy to ochotę do dalszego przelewu krwi. Nalegał na zwykły ukłon. Klearchos wiedział, że zgodziwszy się z Proksenosem, ryzykują, szczególnie że swój pokłon oddadzą w obecności wielu dworzan i tancerek. Teraz, nie podnosząc głowy, usłyszał głośne syki, które szybko wypełniły cały pawilon, jednak nie był w stanie stwierdzić, czy Persowie są jedynie zaskoczeni czy też niezadowoleni.

– Mówiłem ci – wyszeptał Menon w jego ramię. – Zabiłeś nas wszystkich.

Nadal nie unosząc głowy, Klearchos odparł cicho:

– Sam padnij więc na brzuch, Menonie, jeżeli uważasz, że to cię ocali. Zrób to, szybko.

– Ani mi się śni. Jestem takim samym Grekiem jak ty, Spartaninie. A właściwie lepszym.

Klearchos powstał i uśmiechnął się do króla. Odezwał się płynnie po persku:

– Wasza Królewska Mość, przybyliśmy do ciebie, ponieważ wszyscy zgodziliśmy się na rozejm. Widzę, że oszczędziłeś Ariajosa, i składam ci podziękowania za twoje miłosierdzie. Nazywam się Klearchos, jestem Spartaninem. Mam zaszczyt dowodzić tymi ludźmi w czasach pokoju i wojny.

Jednego po drugim przedstawił dowódców, którzy stali za jego plecami. Ci, którzy nie znali perskiego, klęczeli tak długo, dopóki nie usłyszeli swoich imion.

W trakcie prezentacji król milczał. Klearchos widział, że ma szkliste oczy i zaczerwienioną twarz, jakby tego wieczoru wypił już mnóstwo wina.

Czekał, aż władca pozwoli mu usiąść. Z licznych rozmów z Cyrusem wiedział, że Persowie bardzo poważnie traktują zasady gościnności. Jeżeli on i jego towarzysze zostaną zaproszeni do monarszego stołu, staną się jego gośćmi. Gdy to nastąpi, nieznajomość manier lub drobne odstępstwa od etykiety zostaną im wybaczone. Klearchos czekał więc, chociaż czuł, jak strugi potu spływają mu po głowie i wędrując dalej wzdłuż szyi, barwią na ciemniejszy kolor odzienie.

Tissafernes minął Greków, których przyprowadził do namiotu, padł przed królem na ziemię, po czym zajął miejsce przy krótkim końcu stołu. Klearchos zobaczył, że i on nie ośmielił się usiąść bez pozwolenia, jego przybycie zmniejszyło jednak panujące napięcie. Wielki król Persji powoli zamrugał, jakby jego spojrzenie powróciło z bezkresów do namiotu.

– Witam cię, Klearchosie ze Sparty. Proszę, zasiądź przy stole razem ze swoimi towarzyszami. Dzisiaj wieczorem wszyscy jesteście moimi gośćmi.

Opadły resztki napięcia, gdyż słowa króla usłyszał każdy perski żołnierz. Oznaczały, że tego wieczoru nie padnie już rozkaz, aby się rozprawić z bezczelnymi Grekami. Klearchos głęboko odetchnął, chociaż nie dał po sobie poznać ulgi. Czuł spojrzenia wielu mężczyzn, którzy chętnie by go zabili. Spartanie byli najsławniejszymi wrogami, z jakimi kiedykolwiek zmagała się Persja, przeciwnikiem nigdy niepobitym. Klearchos miał nadzieję, że dodał pod Kunaksą kilka wersów do zasłużonej legendy, pokazując, że po polu bitwy potrafi się poruszać w kierunkach, które sam wybierze. W głębi ducha wierzył, że gdyby Cyrus nie poległ tak prędko, Grecy rozbiliby armię perską, chociaż musiałby minąć przynajmniej miesiąc, zanimby zabili ostatniego jej żołnierza. Nie zamierzał jednak ujawniać tej opinii podczas dzisiejszej wieczerzy.

Grecy zajęli wskazane im miejsca, ukrywając skrępowanie tym, że za ich plecami ustawiło się mnóstwo obcych i wrogów.

Klearchos popatrzył w oczy królowi. Nie mógł się powtrzymać przed szybką oceną szerokości stołu; Artakserkses siedział naprzeciwko niego, jednak zbyt daleko, żeby go dźgnąć kopisem. Przypomniał sobie, że Cyrus lubował się właśnie w takich szczegółach. Bez wątpienia król nakazał na wszelki wypadek przygotować odpowiednio szeroki stół, jednak w jaki sposób przetransportował go na środek pustyni – tego Spartanin nie potrafił odgadnąć. Mógł tylko podziwiać wielką liczbę niewolników otaczających władcę. Zrozumiał, że obóz monarchy zawsze musiał być dziesięć razy większy niż ten, który rozbijał Cyrus. Wielkie stoły, gospody, królewska mennica, jubilerzy i tkacze, rzeźbiarze w kości słoniowej i w kamieniu. W ciągu jednej nocy Persowie potrafili zaprowadzić na pustyni cywilizację, a jednak nie rozpraszało to wątpliwości Klearchosa, czy mimo wszystko zobaczy kolejny wschód słońca. Odetchnął głęboko i uśmiechnął się. Położył dłonie przed sobą na stole zadowolony, że nie drżą.

– Wzniesiemy toast za pokonanych, Grecy? – zapytał Artakserkses.

Klearchos pokiwał głową.

– Wzniesiemy, Wasza Królewska Mość, aby oddać im cześć i przyśpieszyć ich wędrówkę.

Król wykonał płynny ruch ręką i służący napełnili kielichy stojące przed każdym z mężczyzn. Menon popatrzył ponuro na swój, rozumiał jednak, że nie wolno mu teraz obrazić gospodarza odmową. Król powstał i dwunastu Greków uczyniło to samo, wznosząc wysoko puchary. Napięcie powróciło do namiotu, gdy perscy żołnierze dotknęli rękojeści mieczy, gotowi natychmiast je obnażyć, gdyby któryś z Greków wykonał gwałtowny ruch.

– Mój brat Cyrus był zdrajcą i… głupcem. Był jednak synem mojego ojca. Niech bóg znajdzie dla niego miejsce w wieczności. Pijemy za mojego brata.

– Za księcia Cyrusa – powiedział Klearchos.

Usłyszał głos Ariajosa dołączający do chóru Persów, gdy Grecy głośno wznosili swój toast, a potem siadali, wszyscy doskonale świadomi nagłej groźby w głosach gospodarzy. Król Artakserkses zdawał się tego nie zauważać. Uśmiechnął się, gdy wnoszono pierwsze gorące potrawy, zwracając uwagę na szczególny sposób, w jaki je podawano. Klearchos kazał sobie nałożyć kilka kąsków, a później nie przyjmował już nic innego. Nie miał apetytu. Dostrzegł, że także Proksenos wybrał jedynie miskę z zupą i coś opiekanego w mące, co można było włożyć do zupy. Menon naładował swój talerz po brzegi, nie opuszczając żadnego dania, i tylko wzruszył ramionami, kiedy poczuł na sobie karcące spojrzenia pozostałych Greków.

Jedli, dopóki każdy z biesiadników nie odmówił wielokrotnie służącym przyjęcia na talerz kolejnej porcji jedzenia, dopóki Klearchosa nie zmęczyło kręcenie głową w odpowiedzi na kolejne propozycje. Król czknął w zaciśniętą pięść i po raz kolejny wychylił kielich wina. Spartanin przez cały czas liczył i wyszło mu, że król osuszył już ósmy.

– Co mam z wami zrobić, Grecy? – zapytał niespodziewanie Artakserkses.

Klearchos zobaczył, że Tissafernes podniósł głowę znad talerza, który właśnie czyścił kawałkiem płaskiego chleba.

– Wasza Królewska Mość, jesteśmy najemnikami – odparł Klearchos. – Żołnierzami do wynajęcia. Nie pragniemy niczego więcej, jak twojej zgody na wycofanie się w kierunku Drogi Królewskiej.

– A jednak wkroczyliście do Persji jako najeźdźcy – powiedział Artakserkses.

Atmosfera zagrożenia znowu wkradła się do namiotu. Spartanin ucieszył się, że nie zjadł zbyt wiele i nie jest ociężały. Wyczuł groźby w sztywnych ruchach uzbrojonych mężczyzn, którym się zdawało, że nikt na nich nie

patrzy. To właśnie ukradkowość ich poczynań czyniła sytuację nadzwyczaj niebezpieczną i Klearchosa ogarnęło poczucie rezygnacji. On i jego ludzie byli otoczeni. Jeżeli król zamierzał ich dopaść, nie było szansy, że wyjdą z tego namiotu żywi.

– Przybyliśmy tutaj dla złota i srebra, panie. Twój brat płacił nam za tę kampanię. Jesteśmy takimi samymi ludźmi jak siodlarze albo stolarze, chociaż naszym narzędziem pracy jest miecz. Skoro nasz pracodawca zginął, mamy nadzieję odejść w swoją stronę. W zwycięstwie czy klęsce nie żywimy do nikogo urazy.

Artakserkses wybuchnął ponurym śmiechem.

– Możecie się jednak rozczarować. Mamy w Persji dobrą pamięć, wodzu. Weszliście na moją ziemię, polując na moją głowę, na mój tron. Przybyliście tutaj, aby zniszczyć wszystko, co ucieleśniam. I teraz się spodziewacie, że pozwolę wam spokojnie odejść, że na koniec podam wam jeszcze rękę w geście przyjaźni! Ariajos opowiedział mi całą prawdę o waszej wyprawie, powiedział mi, w jak perfidny sposób został zmuszony przez mojego brata, żeby mu służył. Ponieważ jest Persem, to wystarczyło, aby mógł wrócić do mojej służby. Moi strażnicy wykorzystają go jednak do własnej dobrej zabawy.

Klearchos zerknął na byłego towarzysza broni. Dostrzegł w jego oczach ból i poniżenie. Wszystko wskazywało na to, że nadchodzą dla niego ciężkie czasy. Ariajos lekko pokręcił głową, ostrzegając Spartanina przed gwałtownymi ruchami. Patrzył na Klearchosa z ponurym współczuciem, co sprawiło, że żołądek Greka mocno się zacisnął.

– Ale wy… – kontynuował król. – Prawdę powiedział pir Tissafernes. Wy, Grecy, wszyscy jesteście barbarzyńcami… dzikusami. Dzisiejsza uczta dobiegła końca. Zrozumieliście? Napchaliście się do pełna wszyscy? Czy będziecie narzekać, zwracając się do bogów, że potraktowałem was

z pogardą albo złamałem dane słowo, kiedy kazałem wam się czuć moimi gośćmi?

W pawilonie zapadła absolutna cisza. Nawet wyginające się dotąd tancerki stanęły nieruchomo jak posągi, umilkła muzyka, a jej ostatnie dźwięki zdawały się przez długą chwilę unosić w powietrzu. Klearchos nagle poczuł, jak czyjeś silne ramię obejmuje go od tyłu za szyję. Wydobył kopis i wbił ostrze w rękę napastnika tuż pod łokciem, co sprawiło, że mężczyzna wrzasnął mu rozpaczliwie wprost do ucha. Lecz dziesiątki innych żołnierzy było gotowych napaść na siedzących Greków. Proksenos złamał jednemu rękę o skraj stołu i żołnierz, skowycząc z bólu, padł na ziemię. Menon zerwał się na nogi i kolejnego Persa pozbawił przytomności ciosem w szczękę, jednak następni powalili go na posadzkę, chociaż wrzeszczał i wyrzucał z siebie przekleństwa z każdym oddechem. Stół się zakołysał i niemal przewrócił pod naporem walczących mężczyzn. Jednak koniec zmagań był łatwy do przewidzenia. Na małej powierzchni Persom wystarczyło kilka chwil, aby zmiażdżyć opór Greków.

Artakserkses jeszcze raz się podniósł i popatrzył na obezwładnionych wrogów. Kilku wciąż się wiło w uścisku Persów, którzy ich dusili lub zarzynali nożami. W oczach Spartanina Klearchosa dostrzegł pełną świadomość tego, co się dzieje, mimo że jego oczy były równie czerwone jak płaszcze jego towarzyszy.

– No i jak twoi Grecy zamierzają dalej podróżować, wodzu? Bez dowódców? Mówię ci, nie opuszczą mojej ziemi żywi. Umierając, zabierz tę wiedzę ze sobą.

Odniósł wrażenie, że Spartanin chce coś powiedzieć. Król zmarszczył ze zdziwieniem czoło, kiedy zobaczył, że mężczyzna się śmieje, jednak krew spływała po jego ciele gęstym strumieniem – Klearchos wyzionął ducha, zanim Artakserkses zdołał zażądać od niego jakiegoś wyjaśnienia.

23

Strażnicy zbudzili obóz dźwiękami rogów, kiedy usłyszeli zbliżających się jeźdźców. Ponieważ król Persów znajdował się w odległości zaledwie kilku mil, reakcja śpiących ludzi była natychmiastowa. Spartanie i Tesalczycy wypełzali spod koców z obnażonymi mieczami, gotowi natychmiast odpowiedzieć na zagrożenie.

W środku nocy zapalono i wyniesiono pochodnie, aby zobaczyć jeźdźców. Za pochodniami w długiej linii uformował się zastęp mężczyzn z włóczniami i tarczami. Szybko się zorientowali, że do obozu dotarło tylko kilka tuzinów ludzi, jednak to nie zmniejszyło ich czujności. Klearchosa i pozostałych dowódców nie było na miejscu i nie znalazł się nikt, kto nakazałby im wrócić pod koce. Zresztą nie wycofaliby się, nawet gdyby padł taki rozkaz.

Dwaj oficerowie Proksenosa celowo wyszli przed szereg, kiedy jeźdźcy się zbliżyli i zatrzymali. Przy ich koniach biegli niewolnicy z pochodniami, trzymając je w wyciągniętych rękach, aby oliwa nie kapała na gołą skórę.

Pallakis stała poza kręgiem światła, nie ośmielając się podejść choćby o krok bliżej. Rozpoznała Tissafernesa i Ariajosa, ponurego i wstrząśniętego, u jego boku. Nie wiedziała, czy perski dowódca jest jeńcem, chociaż zdawało się, że jedzie na koniu nieskrępowany. To Tissafernes odezwał się do oficerów, którzy stanęli przed nim. Po chwili mówił już na tyle głośno, że słyszeli go wszyscy, którzy pozostawali w ciemności za szeregiem żołnierzy.

– Przybywam do tego obozu w pokojowych zamiarach. Mam dla was ponure wieści, ale też oczekuję, że przed świtem podejmiecie ważne decyzje. Wasi wodzowie nie żyją. Rozdrażnili króla Artakserksesa i zostali ścięci. Rozkazuję wam się poddać. Jeżeli to uczynicie, możecie się spodziewać pewnej formy łaski. Zostaniecie niewolnikami, jednak większości z was pozwolimy żyć. Jeżeli do wschodu słońca nie złożycie broni, będziemy was ścigać jak psy i pozabijamy, jednego po drugim, jako przykład dla wszystkich, którzy wybrali srebro ponad honor. Wielki król nie pobłaża najemnikom. Macie czas do świtu, aby podjąć decyzję. Rozumiecie swoją sytuację?

Ostatnie pytanie zaadresował do dwóch oficerów, którzy nie rozumieli ani słowa po persku. Wyczuwszy na sobie jego wzrok i wnioskując z tonu głosu, że zadał im pytanie, pokręcili głowami. Tissafernes wzniósł oczy ku niebu we frustracji i machnął ręką na Ariajosa, który zbliżył się na koniu do Greków i przetłumaczył słowa rodaka dla wszystkich, którzy znajdowali się na tyle blisko, by go słyszeć.

Pallakis przygryzła wargi i poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Klearchos z pełnym zaufaniem wszedł do gniazda żmij, którym był namiot króla. Jego utrata, tak szybko po stracie Cyrusa, sprawiła, że zapragnęła zwinąć się w kłębek i mocno przyciągnąć kolana do piersi. Nie wyobrażała sobie dalszego życia. Pomyślała, że może teraz zostać niewolnicą jakiegoś żołnierza albo perskiego pana, i bezgłośnie załkała. Już nigdy więcej nie zobaczy Grecji… Obserwowała Ariajosa, jeszcze raz przekazującego ponurą wiadomość, i zobaczyła, jak się wzdrygnął, kiedy Tissafernes machnął ręką. Być może Ariajos nie był więźniem, ale na pewno nie był już wybitnym przywódcą, nie był takim człowiekiem, jakiego do tej pory znała.

Patrzyła, jak mężczyźni zawracają konie i odjeżdżają, a potem światło ich pochodni jeszcze długo widoczne było na pustyni. Dopiero wtedy otarła

łzy. Na suchej dłoni poczuła, jak bardzo są gorące, i zobaczyła, że są ciemne. Rozmazała proszek antymonowy z oczu. Noc była chłodna i chociaż Pallakis drżała, wolała ukrywać się przed ludźmi w ciemności. Dookoła szybko rozległo się tysiąc szeptanych rozmów, lecz nikt nie odezwał się do niej. Wkrótce jednak obóz zaczął ponownie cichnąć. Ludzie zaznali zbyt wielu wstrząsów i zmienności wydarzeń w zbyt krótkim czasie. Ostatni cios ich ogłuszył. Wciąż pamiętali, że ich wodzowie opuszczali obóz pełni zaufania i nadziei po to tylko, żeby na zawsze zniknąć. To było już nie do zniesienia. Gwiazdy obracały się na niebie, a Pallakis miała wrażenie, że nie zaśnie. Przecież to była ostatnia noc jej wolności. Próbowała nie myśleć, co się stanie, kiedy wzejdzie słońce.

* * *

Ksenofont długo patrzył za Ariajosem i Tissafernesem. Stał w cieniu, w odległości kilku kroków od płonących pochodni, niewidoczny dla Persów. Miał wrażenie, że połowa obozu słucha, co się dzieje – Grecy byli bardzo ciekawscy, zwłaszcza kiedy na szali spoczywało ich życie. Wiadomość, że Klearchos już nie wróci, była jak cios w pierś. Ksenofont cicho zaklął. Myśl, że ktokolwiek mógł pokonać Spartanina, wydawała się niedorzeczna. A jednak jadowity triumf na twarzy Tissafernesa nie dawał złudzeń. Ten człowiek był jak żmija, jednak właśnie tacy mężczyźni zwykle miewają się doskonale, jak mawiał Sokrates.

Ksenofont poszedł do miejsca, gdzie na piasku leżał jego koc. Zastanawiał się, czy z powrotem położyć się do snu, jednak wiedział, że tej nocy sen już do niego nie wróci. Wcześniej najadł się trochę resztkami mięsa jakiegoś biednego zwierzęcia; na pewno nie była to uczta, raczej obgryzanie kości. Teraz wydobył drobinę spomiędzy zębów i uniósł

spojrzenie ku bezchmurnemu niebu oraz gwiazdom, które rozpościerały się na nim wielką wstęgą niczym rzadka mgła.

Drgnął gwałtownie, kiedy usłyszał słowa Hefajstosa, który przystanął za jego plecami.

– Co zamierzasz?

– Zeusie! Musisz się tak skradać po nocy?

Hefajstos wzruszył ramionami, niemal niewidoczny w świetle księżyca. Ksenofont popatrzył na niego z gniewem. Nauczył go jazdy konnej i od tego czasu chłopak wydawał się oczekiwać jego porad w każdej sprawie, jakby on, Ksenofont, znał odpowiedzi na wszystkie możliwe pytania. Odgryzł suchą skórkę przy paznokciu na kciuku. Ciężko mu było przyznać, że teraz nie potrafi udzielić żadnej rady. Wciąż nie ogarniał wiadomości, że Klearchos, Proksenos, Netos, Menon i pozostali odeszli już na zawsze. Wielu z nich podziwiał, inni byli mu zupełnie obcy. Ale fakt, że wszyscy zniknęli z jego życia, jakby wygarnęła ich jakaś wielka miotła, ogromnie nim wstrząsnął.

Uderzyła go jednak pewna myśl i ruszył przed siebie. Hefajstos wahał się tylko przez chwilę. Ruszył za nim i szybko się z nim zrównał.

– Co się dzieje? Coś usłyszałeś? Co robimy?

Ksenofont się zatrzymał. Z trudem oddychał. Odwrócił się do młodego mężczyzny, zaledwie dziewiętnastoletniego, lecz zahartowanego przez życie pełne przemocy i niedostatku, jakie wiódł od najmłodszych lat. Wciąż było dla niego zagadką, dlaczego Sokrates zasugerował, aby ten młodzieniec mu towarzyszył. Hefajstos na wszelkie wyzwania reagował zazwyczaj pięściami, a czasem kamieniami ściskanymi w garści. Okazał się trudnym kompanem, jednak zadziwiająco dobrze radził sobie z końmi – to akurat Ksenofont musiał mu przyznać.

– Muszę porozmawiać z oficerami Proksenosa. To oni stali najbliżej Persów.

Nie powiedział nic więcej, zwalczywszy potrzebę wykrzyczenia komuś dzikiego planu, który zdążył już ukształtować się w jego głowie. Komuś takiemu jak Hefajstos na pewno wydałby się szaleństwem. Dotarł do miejsca, w którym Tissafernes i Ariajos z wysokości wierzchowców ogłaszali swoje warunki. Wciąż paliła się tam pochodnia wetknięta głęboko w piasek. Dostrzegł w pobliżu dwóch oficerów. Stali z opuszczonymi głowami, pogrążeni w poważnej rozmowie. Ksenofont podszedł do nich i chociaż bardzo się starał, żeby jego głos zabrzmiał mocno i stanowczo, odezwawszy się do nich, tylko niewyraźnie zaskrzeczał.

– Gdybym miał wino, wzniósłbym toast za naszą ostatnią noc.

Mężczyźni popatrzyli na niego z grymasem niezadowolenia na twarzach.

– Tak sądzisz?

– Król zabił naszych wodzów. Zrobi to samo z nami. Kiedy wzejdzie słońce, zobaczymy nadciągających Persów, nie mam wątpliwości. Jestem tylko zaskoczony… ale nie, jest już za późno.

– Za późno? Na co? – zapytał natychmiast młodszy z mężczyzn; widać było, że jest gotów uchwycić się nawet skrawka nadziei.

– Jeżeli potulnie oddamy się w ręce króla, to będzie nasz koniec. Przecież ten człowiek bez wahania własnego brata skrócił o głowę. Czego możemy się spodziewać po takim królu? Większość z nas każe pozabijać, reszta pójdzie w niewolę. Nikt z nas już nigdy nie zobaczy domu. Tymczasem połowa obozu znów położyła się spać! A myślałem, że w ludziach pozostało jednak więcej woli walki o własne życie. W końcu nie pokonano nas na polu bitwy. Przecież lepiej od wszystkich Persów znosimy gorąco, zimno i zmęczenie, a oni się spodziewają, że po prostu oddamy im

nasze miecze i tarcze i posłusznie nadstawimy karki, żeby łatwiej im było ścinać nam głowy.

Kilku mężczyzn się zbliżyło, żeby lepiej słyszeć Ksenofonta. Dwaj oficerowie popatrzyli uważnie po ich twarzach; nagle stali się bardzo podejrzliwi.

– Sądzisz, że samodzielnie potrafimy pokonać tę wielką perską armię? – zapytał starszy z nich. – Mając ze sobą dziesięć tysięcy ludzi, którzy z nami wędrują? I żywności tylko tyle, że wystarczy na kilka dni?

Ksenofont zdał sobie sprawę, że głos oficera jest poważny, nie ma w nim szyderstwa. Mężczyzna mówił bez złości, za to z żarem, który świadczył o tym, że i on intensywnie szuka wyjścia z sytuacji. Bardzo chciał usłyszeć odpowiedzi na swoje pytania i czekał, aż Ksenofont mu ich udzieli. A ten zareagował tak, jak go nauczał Sokrates, zaczął głośno myśleć i w tym zamyśleniu jego głos pozostał spokojny i pewny.

– Persowie nie potrafili przełamać naszych szyków w bitwie – zaczął. – Ani razu. Liczba żołnierzy zaangażowanych w walkę miała niewielkie znaczenie. Posiadamy tylko sześć koni, za mało. Zatem jeśli wróg zaatakuje, jego przewaga liczebna nie będzie miała znaczenia, gdy zwyciężymy: i tak nie damy rady go ścigać, żeby zadać mu ostateczny cios. Gdy przegramy, wróg wyśle konnych, żeby nas dobijali. Tak, największym zagrożeniem będzie dla nas jazda.

Umilkł, żeby popatrzeć po twarzach kilkunastu oficerów, którzy słuchali go uważnie już od dłuższego czasu. Koniecznie chciał, żeby zrozumieli, co ma na myśli. Nie mówił po to, żeby wsłuchiwać się we własny głos, nie chodziło mu też o zabicie czasu, który pozostał do wschodu słońca. Zapytał kiedyś Sokratesa, w jaki sposób człowiek powinien żyć, a filozof mu odpowiedział: „Powinien myśleć”. I dodał, że przede wszystkim myślenie odróżnia człowieka od zwierząt.

– Każdego z was kształtował Proksenos lub Netos, nauczyli was sprawowania władzy nad ludźmi – podjął. – Kiedy wymyślicie plan działania, z ochotą zacznę go realizować razem z wami. Wiem, że nie będziecie tutaj tkwili jak bezwolne owce albo kozy, czekając, aż wróg uciszy nas wszystkich raz na zawsze. Jesteśmy Grekami. Dużo mówimy, ale później przystępujemy do działania. Zatem… – Uśmiechnął się, zadowolony, że go pilnie słuchają i że jego pewność siebie zaczęła na nich wpływać, nawet na ich postawę: wyprostowali się, żaden już się nie kulił, nie garbił. – Zanim rozpoczniemy marsz, musimy wyszukać wśród nas tych, którzy posługują się procą lub łukiem. Musimy znaleźć sposób, aby powstrzymać perskich jeźdźców, bo jeśli to się nam nie uda, okrążą nas i przetrzebią, przez cały dzień posyłając strzały w naszym kierunku. Nie mogli do tego doprowadzić w boju, lecz jeśli będziemy maszerować w otwartym terenie, wybiją nas jak kaczki. Pokiwajcie głowami! Pokażcie mi, że się ze mną zgadzacie, że rozumiecie! Do wschodu słońca pozostało niewiele godzin; musimy się ruszyć, zanim zobaczymy je nad horyzontem! Przecież nie ułatwimy zadania ludziom, którzy podstępnie zamordowali naszych wodzów! Dlaczego mielibyśmy się zgadzać na jakiekolwiek żądania? Nie, na początek musimy znaleźć procarzy. Później, mówiąc słowami Klearchosa, będziemy potrzebować żywności i schronienia…

– To szaleństwo. Wszyscy zginiemy.

Ksenofont ucichł, usłyszawszy głos mężczyzny, którego nie znał. Pozostali słuchacze niechętnymi pomrukami zaprotestowali przeciwko przerwaniu jego przemówienia i podpowiedzieli mu imię tamtego. Ksenofont uniósł rękę, prosząc wszystkich o ciszę. Długo na nią nie czekał, co wprawiło go w zadowolenie.

– Masz na imię Apollonides, prawda? Może ty mógłbyś poprowadzić nas jutro? Masz jakieś propozycje?

Światło pochodni ujawniło, że mężczyzna zaczerwienił się i zmieszał.

– Nie proszę o to, abym mógł stanąć na czele marszu. Raczej jestem skłonny poprosić króla Persów o łaskę dla nas wszystkich. Bez jego zgody nie mamy szansy odejść stąd bezpiecznie. Znajdujemy się na pustyni, na jego ziemi, otaczają nas jego oddziały. Nigdzie stąd nie odejdziemy, jeżeli król nie da na to pozwolenia.

Gdy Apollonides skończył mówić, uniósł wysoko głowę, niemal rzucając mu wyzwanie. Hefajstos obserwował obu z zaskoczeniem. Potrzebny był ktoś, kto wydobędzie tysiące ludzi ze skrajnie trudnej sytuacji. Potrzebny był jeden człowiek, który przynajmniej będzie sprawiał wrażenie, że wie, co robić. Ksenofont poczuł się, jakby wino uderzyło mu do głowy, kiedy patrzył na ludzi i kazał im czekać na swoje kolejne słowa. Niemal słyszał drwiący śmiech Sokratesa, ale potrząsnął głową, żeby odepchnąć od siebie dziwaczne głosy z przeszłości. Być może ustami Apollonidesa przemawiał strach wszystkich ludzi znajdujących się w obozie, jednak Ksenofont nie mógł dopuścić, żeby właśnie strach zawładnął nimi na dobre. Zaczynał już dostrzegać ścieżkę, którą należało podążyć. Nagłe wystąpienie tego człowieka okazało się na niej niespodziewaną przeszkodą. Głęboko odetchnął, uwalniając się ze złości. Przyszło mu do głowy pytanie, czy Klearchos każdego dnia czuł się tak jak on dzisiaj.

– Byłeś tutaj, kiedy przyjęliśmy rozejm z królem, Apollonidesie. Kiedy Klearchos, Proksenos i reszta ruszyli w dobrej wierze do jego obozu, bez tarcz i włóczni, ufając słowom Artakserksesa. Modlę się, żeby naprawdę nie żyli, by nasi wrogowie nie torturowali ich i nie upokarzali. Uważasz, że powinniśmy uwierzyć słowu człowieka, który już raz je złamał? Czy według ciebie powinniśmy paść na kolana przed Tissafernesem, który zdradził księcia?

Ksenofont uważnie obserwował zachowanie grupy oficerów i zdał sobie sprawę, że żaden z nich nie popiera mężczyzny, który mu się sprzeciwił. Patrzyli na Apollonidesa ze złością. Sprawiło to, że jego własna niepohamowana złość zaczęła brać w nim górę. Postąpił krok do przodu i rzucił groźbę:

– Jeżeli tego właśnie chcesz, mówię ci, że nie jesteś jednym z nas, Apollonidesie. Mówię ci, że twoja słabość może kosztować życie wszystkich ludzi, którzy się zgromadzili w tym miejscu. Czyni cię moim wrogiem, Apollonidesie, i każe mi stwierdzić, że nie jesteś Grekiem.

Mężczyzna zaczął coś bełkotać, a Ksenofont zwrócił się do pozostałych:

– Decyzja należy do was. Według mnie tego człowieka należy pozbawić stopnia. Kiedy wyruszymy na pustynię, powinien nieść za nami bagaże. Tylko do tego się nadaje.

– Jak śmiesz mówić o mnie w ten sposób?! – zawołał Apollonides.

Zaczął wydobywać zza pasa krótki miecz, jednak ktoś złapał go za rękę, wykręcił mu ją i chociaż się starał, nie zdołał jej oswobodzić.

Spartanin o imieniu Chryzofos pociągnął go za ucho, mimo że Apollonides szarpał się i próbował wyrwać.

– Uszy ma przekłute niczym Lidyjczyk – powiedział. – Już wcześniej się im przyglądałem.

– Lidyjczyk? Jestem Grekiem! – zawołał Apollonides chrapliwym głosem.

Próbował się oswobodzić, kiedy odbierano mu miecz, nic jednak nie wskórał i już po chwili jedynie stał bezsilnie, ciężko oddychając.

– Niech odejdzie na pustynię – powiedział jeden z oficerów. – Nie chcę oglądać się za siebie w obawie przed szpiegami i zdrajcami.

Apollonides popatrzył w niemym apelu na otaczających go żołnierzy, dostrzegł jednak na ich twarzach tylko nieprzejednaną złość. Nagle to na

nim skoncentrowała się cała desperacja i poczucie zdrady. Nie mógł się spodziewać litości. Popatrzywszy jadowicie na Ksenofonta, po chwili odwrócił się na pięcie i odszedł w ciemność.

Gdy mężczyźni wznieśli pochodnie, aby obserwować jego odejście, okazało się, że całą scenę obserwuje znacznie więcej żołnierzy, niż dotąd mogło się zdawać. Ich oczy błyszczały w blasku ognia. Przyszedł tu każdy polemarch i każdy pentekoster, aby posłuchać rozmowy. Poszukiwali przywódcy i Ksenofont jeszcze raz poczuł się, jakby właśnie wychylił kielich wina. Czuł, że znalazł się we właściwym miejscu we właściwym czasie. Ludzie wokół niego szeptali, jednak kiedy znowu się odezwał, wszyscy zamilkli.

– W tej chwili wiemy tylko tyle, że nasi wodzowie zostali zdradzeni. Dwunastu wspaniałych mężczyzn nie wróci już z objęć króla perskiego, człowieka bez honoru. Ale to nie koniec. Naszym pierwszym obowiązkiem jest roztoczenie opieki nad tymi, którzy teraz patrzą na nas: nad prostymi żołnierzami i cywilami podążającymi za armią. Kolejnym naszym obowiązkiem jest odparcie ataku wroga: ze śmiechem na ustach i bezlitośnie. Niech Persowie zobaczą, że nie złamali w nas ducha! W końcu jesteście oficerami. Niech wróg zobaczy, jak jesteście odważni, i niech wszyscy wiedzą, że jako najemnicy zasługiwaliście na lepsze wynagrodzenie niż prości żołnierze!

Na moment zamilkł, a oficerowie zaczęli chichotać i pomrukiwać, że przecież ich wynagrodzenie i tak było marne. Żołnierze zawsze lubili narzekać, że są kiepsko wynagradzani.

– Persowie zabrali nam najwyższych dowódców, ponieważ pomyśleli, że bez nich nie będziemy w stanie działać – kontynuował Ksenofont. – Ale oni nie rozumieją Greków! Zanim wzejdzie słońce, musimy wybrać spośród nas, spośród tych, którzy cieszą się największym szacunkiem, nowych

przywódców. W otulającej nas ciemności ludzie zmarkotnieli, spodziewają się szybkiego kresu swojej ziemskiej wędrówki. Naszym zadaniem będzie jeszcze raz wlać w nich nadzieję, żeby każdy, zamiast pytać: „co się ze mną stanie”, pytał: „co mam robić?”. Naszym zadaniem jest przywrócenie żołnierzom tej żywotnej siły, która czyni nas postrachem innych ludów.

Wśród ludzi przeszedł szmer, który rozprzestrzenił się daleko w ciemność. Poza kręgiem oświetlonym przez pochodnie znajdowały się tysiące osób, a w jego kierunku zmierzało ich coraz więcej, chcąc usłyszeć na własne uszy, jaki czeka ich los. Ksenofont zdał sobie sprawę, że nie może przemawiać bezpośrednio do wszystkich kobiet i mężczyzn. Ta gromada była zbyt liczna, rozpościerała się na zbyt dużej przestrzeni.

– Już wcześniej się przekonałem – ciągnął – że ci, którzy najbardziej chcą ocalić życie, najszybciej je tracą. Ci, którzy przede wszystkim pragną bić się o nie w honorowej walce, gdy już opadnie kurz bitwy, przeważnie pozostają przy życiu. Widywałem takich ludzi, którzy dożyli starczego wieku, a w ostatnich latach, gdy pamięć o przemocy była już tylko ich odległym wspomnieniem, oddawali się rozważaniom filozoficznym.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że mówi teraz jak człowiek, który większość życia spędził na wojnie, a przecież smak bitwy poznał jedynie pod Kunaksą. Niemniej ta bitwa przyniosła kataklizm i pomyślał, że bez cienia przesady wszystkich, którzy wczoraj walczyli na pustyni, można nazwać weteranami wojennymi. Wszyscy widzieli przecież zdziczenie i przemoc, wszyscy kąpali się we krwi.

– Właśnie o tym musicie pamiętać, jeżeli mamy przeżyć kolejny dzień. – Wskazał ręką na wschód, określając kierunek na podstawie położenia Gwiazdy Polarnej. – Kiedy znów zobaczymy światło tej gwiazdy, musimy być oddziałami dowodzonymi przez wodzów, oficerów, bitnymi i bardzo zdyscyplinowanymi. Nie mylicie się, będziemy potrzebowali jeszcze więcej

dyscypliny niż do tej pory. Nie można podważać rozkazów, kiedy przeciwko nam staje cały świat. Musimy być dziesięcioma tysiącami zjednoczonych Greków, dziesięcioma tysiącami spartańskich wodzów. Persowie nigdy nie zrozumieją czegoś takiego ani nie będą w stanie się temu przeciwstawić. Jeżeli staniemy się jednością, znowu zobaczymy nasze domy. Opuścimy Persję i ujrzymy Grecję.

Kiedy Kesnofont umilkł, zapanowała cisza gęsta jak gorące powietrze. Czuł, że mężczyźni, którzy go wysłuchali, oddychają i przestępują z nogi na nogę, jednak już nikt się nie odezwał, nikt nie zaproponował, żeby błagać króla o litość. Wydawało się, że znalazł właściwe słowa, takie, które celnie trafiły do wszystkich.

Czerwony płaszcz, który nosił Chryzofos, wyróżniał go spośród innych oficerów Proksenosa. Co więcej, Spartanin miał za sobą dwadzieścia lat służby i nie był mężczyzną, który lubowałby się w długich debatach. Głośno odchrząknął i odezwał się czystym głosem:

– Aż do tej pory, Ksenofoncie, znałem cię jedynie jako Ateńczyka i jeźdźca. Wiem jednak, że książę Cyrus i Klearchos ci ufali. Dobrze ująłeś naszą sytuację. Dziękuję ci. Myślę, że teraz oficerowie powinni wybrać nowych przywódców, abyśmy wszyscy mogli się przygotować na atak Persów, kiedy wzejdzie słońce.

W odpowiedzi Ksenofont mu się ukłonił. Oficerowie odeszli na bok, a jemu mocniej zabiło serce. Przez bardzo krótką, lecz jakże ważną dla niego chwilę miał wrażenie, że zechcą, aby to on nimi dowodził. Wiedział, że by potrafił, nie miał jednak pojęcia, czy jest urodzonym przywódcą, czy też przywództwa nauczył się w trakcie dyskusji z Sokratesem. Spodziewał się mimo wszystko, że oficerowie wybiorą nowych wodzów ze swoich szeregów. Był spragniony i obolały, miał na ciele rany wyniesione z bitwy, choć nie pamiętał ciosów, które je spowodowały. Przez jedną chwilę

widział się na czele armii, obdarzony wiarą i wielkim zaufaniem żołnierzy, ale szybko uznał, że to niemożliwe, że poniosła go wyobraźnia. Tym bardziej że właśnie został sam, a prawdziwi żołnierze zgromadzili się na boku i wybierali przywódców.

Drgnął, gdy poczuł lekki dotyk dłoni na swoim ramieniu. Odwrócił się gwałtownie i zaraz szeroko otworzył oczy, gdyż przed nim stała młoda kobieta i wciąż zaciskała palce na jego barku.

– Myślę, że masz rację – powiedziała Pallakis. Mówiła szeptem, jakby się obawiała, że ktoś ją podsłucha. – Dałeś im nadzieję. Dostrzegłam to w ich postawie.

Ksenofont zacisnął szczęki i pochylił głowę. Kobieta zabrała dłoń, a on zdał sobie sprawę, że wciąż czuje jej palce.

– Dziękuję ci. Prawdę mówiąc, przez chwilę myślałem, że…

Kroki, które usłyszał za plecami, nie pozwoliły mu dokończyć. Odwrócił się i odruchowo sięgnął po nóż, obawiając się, że chce go zaatakować mężczyzna, którego posłał na wygnanie. Lecz to Chryzofos podszedł do niego. Pozostali oficerowie trzymali się kilka kroków za nim, mieli uroczyste miny.

– Odbyliśmy dyskusję, Ksenofoncie – powiedział Chryzofos. – Wybraliśmy Spartanina, Arkadyjczyka, Stymfalijczyka i Beotę. Wybraliśmy grupę oficerów, którzy będą dowodzić zamiast tych pomordowanych. – Mężczyzna zamilkł i Ksenofont popatrzył na niego z konsternacją. – Ale ciebie wybraliśmy najwyższym przywódcą. W randze wodza. Będziesz naszym strategiem.

Uczeń Sokratesa poczuł, jak uśmiech rozkwita mu na twarzy. Nie potrafił nad nim zapanować, choć okoliczności nakazywały mu w tej chwili być poważnym i stanowczym. Chryzofos zobaczył ten uśmiech i sam cicho się roześmiał.

– Cieszę się, że aprobujesz nasz wybór, wodzu Ksenofoncie. – Zamilkł i zerknął na Pallakis, która z otwartymi ustami stała u boku młodego mężczyzny. Pomyślał, że jest uderzająco piękną kobietą.

– Ja… eee – zaczął Ksenofont.

– Zbierz myśli. Wydaje nam się, że wiesz, co teraz robić, że nikt inny nie zdoła dowodzić nami lepiej od ciebie. I to jest najważniejsze. Czekamy na twoje rozkazy. Kiedy już je wydasz, dopilnuję, aby natychmiast przystąpiono do ich wykonania.

W oddali, na horyzoncie, pojawiła się blada poświata. Ksenofont ją zobaczył i jego serce zabiło szybciej.

– Budzi się dzień. Postaw obóz na nogi. Nasz los zależy także od tego, w jaki sposób powitamy świt.

Chryzofos podszedł do niego, chcąc go poklepać po ramieniu, ale się rozmyślił i tylko skłonił głowę.

– Tak, wodzu.

– Chryzofosie… czy sądzisz, że ten mężczyzna naprawdę był lidyjskim szpiegiem?

– Apollonides? Być może. Wiem jednak na pewno, że gotów był się z tobą sprzeczać aż do świtu.

Spartanin uśmiechnął się szeroko i uderzył pięścią w napierśnik, po czym odbiegł. Otoczył usta dłońmi i potężnym głosem zaczął budzić śpiących ludzi.

24

Spalcie resztę wozów. Musimy nauczyć się maszerować, a wszelkie pojazdy czynią marsz znacznie powolniejszym.

Ksenofont wydał rozkaz i z zadowoleniem stwierdził, że właściwie nikt nie protestuje, że wśród ludzi przebiegł jedynie krótki szmer niechęci, tylko ciężkie westchnienie, a nie sprzeciw ubrany w słowa. Wszyscy już wiedzieli, jaki los spotkał Klearchosa, Proksenosa i innych. Ludzie nagle zrozumieli, że na szali leży ich życie, że gdy wstanie kolejny dzień, promienie słońca mogą paść tylko na ich zwłoki. Żołnierze chodzili pomiędzy cywilami, wypatrując dużych przedmiotów, które ci chcieliby zabrać w drogę wbrew zakazowi. Wszystko, co zbędne, wrzucono do ognia, poświęcono barany, aby dla jak największej liczby ludzi przygotować jak najlepszy posiłek.

Gdy słońce uniosło się nad wzgórzami na wschodzie, wszyscy byli gotowi i zdeterminowani. Poprzedniego dnia niewiele osób znało Ksenofonta, jednak powszechnie zaakceptowali go Spartanie i oficerowie Proksenosa. W rozkazach, które wydawał, nie było żadnych niejasności i większość ludzi w milczeniu patrzyła, jak płonie ich dobytek, chociaż wielu, wpatrując się w płomienie, ocierało łzy.

Zanim padł rozkaz do wymarszu, do obozu dotarła grupa trzydziestu jeźdźców z nieznanym oficerem na czele. Ksenofont i Chryzofos wyszli mu na spotkanie, ciesząc się z jego ewidentnego zaskoczenia.

– Nazywam się Mitrydates. Przysłał mnie pir Tissafernes, abym przyjął waszą kapitulację.

– Twój akcent podpowiada mi, że jesteś Grekiem – odparł Spartanin. – Jesteś jednym z nas? Czy w twoich żyłach płynie ta sama krew, modlisz się do tych samych bogów? I mimo wszystko zadajesz się z Persami? Służysz królowi, który zamordował naszych wodzów. To bardzo dziwne, Mitrydatesie.

Na policzkach żołnierza pojawiły się rumieńce, a Spartanin, mimo że przemówił lekkim tonem, wpatrywał się w niego, nie mrugnąwszy okiem. Czuł w sobie spokój właściwy wężowi, który właśnie ma zaatakować.

– Poddacie się, Spartaninie? – zapytał Mitrydates.

Popatrzył nerwowo po kamiennych twarzach towarzyszących mu Persów. Tissafernes był przenikliwym mężczyzną, dbającym o szczegóły. Bez wątpienia przynajmniej kilku Persów znało grecki na tyle dobrze, by przekazać mu każde słowo, jakie teraz padnie.

– Rozważyliśmy waszą ofertę – powiedział Chryzofos – i postanowiliśmy jej nie przyjmować. Ale mamy dla was własną propozycję. Opuścimy terytorium króla, czyniąc tak mało szkód, jak to tylko możliwe. Jeżeli zostaniemy zaatakowani, będziemy walczyć. Rozumiesz mnie, zdrajco? Zawieziesz naszą odpowiedź swoim panom, którzy kryją się za wzgórzami? Zakładam, że są niedaleko.

Chociaż rumieniec na twarzy Mitrydatesa się pogłębił, Grek wzruszył ramionami, starając się zachowywać tak, jakby nic się nie stało.

– Mimo że do mnie przemawiasz, jesteś już martwy. Musisz…

– Idź stąd, Mitrydatesie – wtrącił się niespodziewanie Ksenofont. – Czeka nas długi marsz. Nie zamierzam tracić na ciebie więcej czasu.

Obaj zaczęli się oddalać od zaskoczonego Greka. Mitrydates zaklął i zawrócił konia. To samo uczynili towarzyszący mu Persowie i pognali

z powrotem tam, skąd przybyli. Dopiero wtedy Ksenofont i Chryzofos odwrócili się, aby za nimi popatrzeć.

– Teraz musimy się śpieszyć – powiedział Ateńczyk. – Wydaj rozkazy.

– Nie jestem jednym z wybranych wodzów – odparł Chryzofos.

– Cóż, tak postanowiliście, Spartaninie. Wydaj więc rozkazy w moim imieniu.

Mężczyzna pochylił głowę i odbiegł. W obozie wciąż dogasały ogniska, posyłając ku jasnemu niebu kłęby gęstego dymu. Cywilów otoczyła formacja hoplitów w łachmanach, które już od dawna nie przypominały żołnierskiego stroju. Niektórzy wzięli dzieci na plecy i na ramiona. Wydawali się karykaturami żołnierzy, byli jednak zdeterminowani. Ksenofont postanowił na razie nie myśleć o ich wyglądzie. Zobaczył, że Hefajstos prowadzi mu konia, i skinął głową.

– Dziękuję ci, Hefajstosie – powiedział.

Młodzieniec, który dokonał dziesiątków kradzieży na rynkach w Atenach, nie był już tym samym człowiekiem. Nauczył się jeździć konno, maszerować i stawać w szeregu, nie okazując strachu, gdy świat dosłownie szalał wokół niego. Na polu bitwy pod Kunaksą pozostawił wielką część swojej młodości. Kiedy pochylił się ku wodzowi, miał niezwykle poważną minę.

– Potrafisz nas poprowadzić? – mruknął. – Naprawdę? Powiedz mi, że wiesz, co robisz, Ksenofoncie. Powiedz mi, że z twojej strony to nie jest jedynie zabawa.

Ksenofont się zamyślił. Znał Sokratesa, Klearchosa i księcia Persji, wiele się od nich nauczył. Wsunął stopę w splecione dłonie Hefajstosa i wskoczył na siodło. Poprzedniej nocy był świadkiem ludzkiej desperacji. Stojąc w obliczu nieuchronnej klęski, po prostu do nich przemówił. Zadał im pytania, które odwoływały się do tego, o czym już wiedzieli – a oni

zaakceptowali go jako przywódcę. Wiedział, że teraz będzie musiał bezustannie popędzać ich w marszu, żeby nie przychodziły im do głowy myśli, które zmniejszałyby szansę na ocalenie. I rozumiał, że w tej chwili własnych obaw nie może dzielić z nikim.

– Znasz mnie, Hefajstosie – powiedział. – Oczywiście, że potrafię.

W brązowych oczach chłopaka pojawiło się wahanie, czy uwierzyć człowiekowi, który tak wiele go nauczył. Przez chwilę twardo patrzył mu w twarz. Wreszcie – zdawało się, że minęła wieczność – poklepał konia i cofnął się.

Ksenofont dostrzegł, że jego rozmowę z Hefajstosem obserwuje Chryzofos, podniósł więc ramię, jakby mu salutował, i opuścił je, co było sygnałem do wymarszu. Daleko z tyłu Tissafernes i król Persji mieli wkrótce usłyszeć, że Grecy się nie poddali. Ksenofont przypomniał sobie perską armię, na polu bitwy przypominającą ponure morze. Nie miał wątpliwości, że odpowiedź Artakserksesa będzie straszna, był jednak dumny, że ludzie nie oddali się potulnie w niewolę. Znajdowali się bardzo daleko od ojczyzny, jednak nie mieli zniknąć z powierzchni ziemi bez walki.

* * *

Maszerowali przez cały ranek i część popołudnia, kiedy do pierwszych szeregów powrócili czterej zwiadowcy i powiedzieli, że w odległości ośmiu mil marszu znajduje się wioska. Według zwiadowców była to zaledwie osada nad strumieniem, otoczona murem, a jej mieszkańcy na kilku poletkach uprawiali jęczmień i pszenicę, zbierali owoce z kilku drzew oraz hodowali kilkadziesiąt sztuk wychudzonego bydła. Podobne osady istniały tylko dzięki ciężkiej fizycznej pracy ich mieszkańców, z trudem wiążących

koniec z końcem. Dla wędrowców jednak wioska napotkana po drodze była źródłem żywności, wręcz rozpaczliwie teraz potrzebnej. Ksenofont przypomniał oficerom, żeby nie brali nikogo w niewolę ani nie zabijali. Chodziło tylko o to, aby uciec przed perską armią, nie wywołując po drodze żadnych konfliktów. Oczywiście żywność była sprawą życia i śmierci – kilka sztuk bydła lub owiec można było dołączyć do tych niewielu zwierząt, które wciąż posiadali.

Gdy przyśpieszyli, chcąc dotrzeć do wioski przed zachodem słońca, w tłumie rozeszła się wieść, że z tyłu, w niedużej odległości od pochodu, gromadzi się armia wroga. Ksenofont zawrócił konia i razem z Chryzofosem pognał na sam koniec kolumny. Popatrzyli na południe, osłaniając oczy przed jaskrawym słońcem.

– Nie jest ich tak wielu, jak się spodziewałem – powiedział Spartanin. – Mają najwyżej dwieście koni. Piechota nie może być dobrze uzbrojona. Uzbrojenie to ciężar, a oni musieli maszerować bardzo szybko. Mój wzrok nie jest już taki dobry jak kiedyś. Czy niosą włócznie?

– Mają łuki – odparł ponuro Ksenofont. – Mitrydates wrócił z łucznikami i jazdą, aby przypuścić szybki atak. Zabrał dwustu konnych… i nie więcej niż czterystu łuczników.

– Na pewno za nimi maszeruje znacznie większa grupa – powiedział Chryzofos. – Bo ten mały oddział może tylko spowolnić nasz marsz.

– I tak maszerujemy bardzo wolno – zauważył Ksenofont. Pokręcił głową. – Musimy jak najszybciej dotrzeć do wioski. Każ ludziom zwiększyć tempo. Żołnierzy z tarczami przegrupuj na tyły. Twoich Spartan, Chryzofosie. Nigdy nie będziemy szybsi od jazdy ani od żołnierzy, którzy w marszu trzymają się końskich ogonów i posuwają się niemal tak szybko jak konie. Możemy ich jednak zmusić do wysiłku, skoro chcą nas dogonić. A jeśli się zmęczą, będą przynajmniej gorzej celować.

Chryzofos oddalił się biegiem i wkrótce wydał rozkazy, aby żołnierze z tarczami utworzyli kolumnę z tyłu pochodu. Zdążyli niemal w ostatniej chwili, ponieważ perscy jeźdźcy znacznie przyśpieszyli, kiedy dostrzegli na pustkowiu ostatnie szeregi Greków. Część z nich cwałowała, ciągnąc za końmi piechotę. Inni galopowali bez żadnych obciążeń i po chwili wyrzucili włócznie, które po płynnym locie opadły na tyły Greków. Uderzyły z wielką siłą, lecz niemal wszystkie trafiły w tarcze.

Ksenofont trzymał się z tyłu pochodu, obserwując i myśląc. Cicho zaklął, kiedy włócznia trafiła jednego z żołnierzy i trzeba go było odciągnąć do przodu, otumanionego i krwawiącego. Po chwili poleciały kolejne włócznie. Te, które wbijały się w ziemię, Grecy przechwytywali i odrzucali w stronę wroga. W większości były to rzuty celne, czyniące zamieszanie i spustoszenie wśród Persów.

Znacznie groźniejsi byli łucznicy, kiedy zbliżyli się na odległość skutecznego strzału. Persowie wydawali się wiedzieć, że wśród Greków po bitwie pozostało jedynie kilku łuczników z Krety. Perscy łucznicy ruszyli szeroką tyralierą i niemal spacerując, zaczęli naciągać cięciwy. Już po chwili wypuszczali pierwsze strzały. Bez trudu poruszali się w takim samym tempie jak Grecy i celując w kierunku ociężałego pochodu, właściwie nie mogli nie trafiać.

Ksenofont poczuł, że Hefajstos, który stał u jego boku, zadrżał. Odwrócił się do niego i powiedział groźnym głosem:

– Przestań, dobrze? Zawstydzasz mnie przed żołnierzami, którymi dowodzę.

– Masz rację. Przepraszam.

Wyprostował się, kiedy czterystu łuczników ruszyło ku Grekom biegiem, niczym wilki, posyłając w powietrze niezliczone strzały. Odległość pomiędzy nimi a tyłami pochodu była niemal na granicy zasięgu strzał, za

co Ksenofont podziękował losowi. Gdyby to on dowodził Persami, kazałby strzelać, dopiero gdy ta odległość zmniejszyłaby się do stu kroków, po prostu dlatego, żeby ostrzał był skuteczniejszy. A ponieważ w tej chwili odległość wynosiła około dwustu kroków, jego ludzie mieli czas reagować na każdą nadlatującą strzałę. Ci, którzy mieli tarcze, niemal dobrze się bawili, unosząc dyski z brązu, aby jedną po drugiej je wyłapywać, jak na zawodach. Uśmiechali się przy tym szeroko i trwało to dopóty, dopóki strzała nie przebiła na wylot szyi jednego z nich. Nie było szansy, aby zabrać ciało z piasku. Żołnierze umilkli, oddalając się od niego coraz bardziej, a perscy łucznicy wybuchli wielką radością, kiedy do niego dotarli. Grecy obserwowali, jak Persowie szarpią zwłoki i siekają je na drobne kawałki.

– Przekaż, aby ostatnie trzy szeregi na mój rozkaz przeszły do ataku – powiedział Ksenofont do Hefajstosa.

Koniecznie potrzebował kompetentnego adiutanta, który przekazywałby jego polecenia, miał jednak tylko jego. Nauczył go jeździć konno. Zastanawiał się, czy również uczyni z niego żołnierza.

Hefajstos popatrzył na niego z szeroko otwartymi ustami.

– Przekaż… A jak mam to zrobić?

– Popędź do któregoś z wodzów albo do Chryzofosa, Spartanina, który dowodzi, choć nie przyjął oficjalnego stanowiska, i po prostu powtórz mój rozkaz. Oni przekażą go polemarchom i pentekosterom, którzy ustawią ludzi we właściwym szyku.

– A jeżeli się sprzeciwią? – zapytał Hefajstos.

Ksenofont zacisnął usta.

– Jesteśmy na wojnie, Hefajstosie, walczymy z wrogiem – powiedział w końcu. – Ten, kto w takiej chwili odmówi wykonania rozkazu, może od razu pożegnać się z życiem. Ale oni nie odmówią. Wybrali mnie na

przywódcę i uczynili to z pełną świadomością, że ponad wszystko dyscyplina jest kluczem do naszego przetrwania. Teraz musimy być jednością, dziesięcioma tysiącami Spartan, Hefajstosie, rozumiesz mnie? W przeciwnym wypadku już nigdy nie wrócimy do domu.

– Rozumiem.

– A więc przekaż mój rozkaz! I pośpiesz się. Do wioski na pewno nie jest daleko.

Ksenofont z wysokości wierzchowca patrzył w tamtym kierunku. Tak długo, aż rozbolała go szyja, i dopiero wtedy pełną uwagę skoncentrował na żołnierzach wroga. Pomyślał ponuro, że ich strzały są bardzo dobrej jakości. Początkowo miał nadzieję, że Persom ich zabraknie, lecz najwyraźniej jazda transportowała również zapasowe kołczany. W każdym razie ostrzał, zamiast słabnąć, z każdą chwilą zyskiwał na intensywności.

Dostrzegł, że żołnierze z trzech ostatnich szeregów spoglądają na niego, czekając na rozkaz. Ucieszył się, że są to akurat prawdziwi Spartanie. Wiedział, że wykonają jego rozkaz bez sprzeciwów i dyskusji.

Część hoplitów maszerowała tyłem, chroniąc się tarczami, inni trzymali tarcze na ramionach i maszerowali spokojnie do przodu, jakby zupełnie niestraszne im były strzały wrogów. Wszyscy Spartanie mieli na głowach hełmy z brązu, które przydawały im wzrostu. Szli przed siebie w kierunku wioski, gardząc zagrożeniem, jakie znajdowało się za ich plecami. Sprawiali wrażenie świeżych, wypoczętych. Ksenofont miał nadzieję, że naprawdę nie brakuje im sił. Wciąż jednak ignorował ich wyczekujące spojrzenia i zareagował dopiero wtedy, gdy jeden z posłańców wrócił do niego z wiadomością, że do wioski pozostała już tylko mila.

Ksenofont zdecydowanym ruchem dwukrotnie wskazał na łuczników wroga. W odpowiedzi tylne szeregi nagle odwróciły się i zaatakowały. Dziewięciuset ludzi oderwało się i przykryło teren dzielący ich od wroga

z zadziwiającą prędkością. Początkowo perscy łucznicy znajdowali się dwieście kroków przed nimi. Szybko zrozumieli, że nie mają szans w walce wręcz z dobrze uzbrojonymi hoplitami. Zaczęli czmychać jak zające, kiedy tylko zobaczyli, co się święci.

Ksenofont z rosnącą złością obserwował, jak łucznicy, którzy od długiego czasu dokuczali jego ludziom, teraz po prostu uciekają. Widział, że odległość pomiędzy jego atakującymi oddziałami a resztą wojsk wzrasta, od stu kroków do trzystu, potem czterystu i wreszcie stali się dla jego oczu tylko małymi figurkami, coraz mniej widocznymi także z powodu tumanów kurzu unoszących się coraz gęściej nad terenem, przez który przebiegli. Pokręcił głową.

– Rogi! – zawołał, przeklinając pod nosem. Miał nadzieję, że jego ludzie szybko wybiją perskich łuczników. – Niech nasi wracają.

Patrzył z ponurym grymasem na twarzy, jak Spartanie z wyraźną niechęcią wstrzymują atak. Przypuszczał, że mogliby gonić Persów jeszcze długo, jednak nie mógł sobie pozwolić na odsłonięcie tyłów głównej kolumny. Żołnierze zawrócili, jednak zanim do niej dotarli, znowu zalały ją niezliczone strzały. Zraniły trzech żołnierzy i trzeba było natychmiast ich przenieść do środkowej, bezpiecznej części pochodu. Sfrustrowany Ksenofont wydał groźny pomruk. Doskonale wiedział, gdzie powinien w tej chwili wysłać jazdę, aby rozprawić się z szarańczą kąsającą strzałami – nie miał jednak koni.

Mury wioski, wykonane z cegieł z suszonego błota, były niewiele wyższe od człowieka, zapewniały jednak schronienie i cień. Co więcej, gwarantowały, że ani perscy łucznicy, ani konni nie będą mogli kontynuować ataku. Gdyby podeszli zbyt blisko, znaleźliby się w zasięgu włóczni lub sprowokowaliby kolejny gwałtowny wypad na swoje pozycje. Persowie zatrzymali się w milczeniu na piaszczystej ziemi i każdy

przyklęknął na kolano, odpoczywając. Trwali tak przez bardzo długi czas, jednak gdy tylko zaczął zapadać zmierzch, ich oficerowie wydali nowe rozkazy i zaczęli się wycofywać.

Za murami żołnierze greccy usiedli na ziemi i ciężko oddychali. Gotowi byli odeprzeć bezpośredni atak, ten jednak nie następował. Słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, a w oddali widoczne były cienie wieśniaków uciekających przez pola, byle dalej od śmiertelnego zagrożenia.

Ci, którzy nie uciekli, z rozkazu Ksenofonta traktowani byli bardzo dobrze, chociaż częściowo wynikało to z faktu, że w wiosce pozostało tylko kilka starych kobiet i okaleczony chłopiec, który nie był w stanie biegać. Atak Persów mógł być dla Ksenofonta pretekstem, żeby wziąć ludzi do niewoli i wioskę doszczętnie splądrować, jednak była to bardzo uboga osada. Na szczęście żołnierze znaleźli jedzenie i wino oraz jęczmień dla koni, wystawiono więc straże i można było wypocząć po ciężkim dniu.

Kiedy niebo przyjęło barwy różowo-purpurowe, Ksenofont zarządził naradę wodzów i oficerów. Osobiście znał Chryzofosa, jednak nikogo więcej. Gdy wszyscy zasiedli na głównym placu, zdał sobie sprawę, że musi rozpoznać mocne i słabe strony każdego z nich, aby jak najlepiej ich wykorzystywać. Każdy z powagą skinął mu głową, co podpowiedziało mu, że nie mają do niego żalu za dzisiejszy bezcelowy atak. Nie przyniósł on niczego, lecz był istotnym przyczynkiem dla opracowania dalszej taktyki. Ksenofont wziął głęboki oddech i lekko się pochylił. Mówił głośno, chciał, żeby wszyscy go słyszeli i rozumieli.

– Naszą największą słabością jest brak jazdy i łuczników. Wydałem dzisiaj rozkaz do ataku, ale nasi żołnierze nie mogli dopaść lekko uzbrojonego wroga wspieranego przez jeźdźców. Na dzisiejszą noc znaleźliśmy schronienie, musimy jednak się spodziewać ataków każdego kolejnego dnia, a w marszu nic nie będzie nas osłaniać.

– Jak więc chcesz temu zaradzić? – zapytał Chryzofos.

Ksenofont popatrzył na niego z ukosa, jednak on jedynie się uśmiechał. Spartanin potrafił doprowadzić go do szału. Wydawał się naturalnym przywódcą, a jednak postanowił słuchać jego rozkazów. Ksenofont zastanawiał się, co było przyczyną takiego wyboru. Miał nadzieję, że Spartanin po prostu widział w nim umiejętności, które sam posiadał, lecz kiedy szczerzył do niego zęby, zdawało się, że przez cały czas dobrze się bawi.

– Już wcześniej mówiłem, że potrzebujemy procarzy. I jest to teraz potrzeba bardzo pilna. Widziałem wśród nas ludzi z Rodos. Słyną właśnie z tego, że doskonale posługują się procami. Powinniśmy wybrać spośród nich najlepszych, którzy potrafiliby szkolić pozostałych. Zanim opuścimy jutro tę wioskę, chcę, żeby wykonano proce przynajmniej dla czterystu ludzi i aby wyznaczeni procarze jak najintensywniej się szkolili. Proce mają mniej więcej taki sam zasięg jak perskie łuki, jednak w strzelaniu z procy nie chodzi przede wszystkim o celność. Zresztą wcale nie zamierzamy atakować. Zadaniem procarzy będzie powstrzymywanie wrogów przed nadmiernym zbliżaniem się do naszej kolumny i atakowaniem pojedynczych żołnierzy.

Na placu rosło drzewo oliwne, grube i stare, o korze tak pomarszczonej, że mogło liczyć nawet tysiąc lat. Opierał się o nie na wyciągniętej prawej ręce mężczyzna, którego Ksenofont dotąd nie poznał. Był smukły, opalony i umięśniony. Miał gęstą brązową brodę, którą już dawno należałoby przystrzyc. Niespodziewanie wystąpił przed front oficerów i odwrócił się twarzą do nich. Ksenofont wiedział tylko tyle, że jest to jeden z tych, którzy mieli zastąpić zamordowanych wodzów. Popatrzył na niego w oczekiwaniu. Mężczyzna bez wątpienia chciał coś powiedzieć.

– Mam na imię Silezjos, pochodzę z Tesalii. Jestem siostrzeńcem Menona. Podzielam jego zdanie.

Ksenofont poczuł, jak ogarnia go nieznośne napięcie. Nie miał zamiaru przewodzić i jednocześnie wysłuchiwać rad wodzów. W sytuacji gdy wróg dosłownie na nich polował, nie mógł sobie pozwolić na debaty nad każdym rozkazem. Pójście w tym kierunku mogło doprowadzić jedynie do całkowitej klęski.

– Część spośród was wie, że wuj bywał trudnym człowiekiem, chociaż sądzę, że w zdecydowanej większości spraw, w jakich zabierał głos, miał rację. Chcę powiedzieć, że w nocy kilku z was podeszło do mnie, aby mi powiedzieć, że to ja powinienem dowodzić naszym pochodem. Odzywam się dzisiaj, ponieważ milczenie nie leży w mojej naturze. Możemy przetrwać, jeżeli popełnimy mniej błędów niż Persowie, którzy chcą nas wszystkich przerobić na ścierwo. Ksenofont został wybrany przede wszystkim przez oficerów Proksenosa, a ja akceptuję ten wybór. A nawet gdybym nie akceptował, podporządkowałbym się mu, ponieważ pierwszym zagrożeniem, które może doprowadzić do naszej zguby, są kłótnie i sprzeczki. Płynie w nas ta sama krew, wszyscy wywodzimy się z jednej kultury. Chcę więc powiedzieć wszystkim, którzy szepczą na boku i narzekają, że na te narzekania jestem głuchy. Tylko tyle mam do powiedzenia.

Mężczyzna wrócił pod drzewo i znów się o nie oparł. Jego pierś się unosiła i opadała, bo głęboko oddychał, ale poza tym nie zdradzał żadnych oznak zdenerwowania. Ksenofont skłonił głowę ze zdumieniem i z ulgą.

– Dziękuję ci, Silezjosie. Chcę… eee… – Urwał na dłuższą chwilę, aby zebrać myśli. – Stare kobiety z wioski mówią, że w odległości połowy dnia marszu płynie szeroka rzeka. Według mnie pół dnia marszu to osiem mil, jakieś sześćdziesiąt do siedemdziesięciu stadionów. Kobiety mówią też, że

w pobliżu zagajnika starych drzew oliwnych znajduje się bród. Wyślę dzisiaj dwóch ludzi, żeby go znaleźli. Jutro nie będzie czasu, żeby stanąć nad brzegiem i go szukać. Nasi procarze zapewne powstrzymają przez jakiś czas oddziały Persów, ale z wyprzedzeniem musimy znać miejsce przeprawy. Na razie musimy się najeść na zapas i przespać. Tutaj jesteśmy w miarę bezpieczni, a ta grupa, którą dzisiaj widzieliśmy, będzie się w nocy obawiać naszego ataku. W swoim tchórzostwie wycofali się, więc obudzimy się wcześniej niż oni i zanim się zorientują, powędrujemy w kierunku rzeki.

– A później? – zapytał jeden z dowódców.

Ksenofont odczekał krótką chwilę, zanim odpowiedział, jednak wbił w niego wzrok tak intensywnie, że tamten się zaczerwienił.

– Później się zorientuję, co leży przed nami – odparł. – I zrobię to, co będzie trzeba.

Odwrócił się, nie chcąc dopuścić do dyskusji. Zobaczył Hefajstosa; w tym momencie i na tym placu twarz Ateńczyka wydała mu się przyjazna. Podszedł do niego, po prostu aby udać się w jakieś inne miejsce. Dopiero zbliżywszy się do Hefajstosa, zobaczył kobietę, którą zauważył już kiedyś.

– Pani. – Ksenofont skłonił głowę.

W odpowiedzi Pallakis przyklęknęła przed nim na kolano, ukazując kark, gdyż włosy miała spięte wysoko na głowie.

– Wodzu – powiedziała. – Chciałabym zapytać…

Zacisnęła pięść i Ksenofont uniósł brwi, zaintrygowany. Bez wątpienia była piękna. Od dawna wiedział, że mężczyźni bardziej interesują się pięknymi kobietami niż innymi. Prawda była taka, że piękność zawsze mogła poprosić mężczyznę o pomoc i być pewna, że ją uzyska. W krótkiej chwili ulgi Ksenofontowi przyszło do głowy, jak to miło, że mężczyźni oceniają się nawzajem, stosując inne standardy. Przemoc, przebiegłość

i taktyka są czymś, czego można się nauczyć. Natomiast uroda to rzadkość, dla wielu kobiet nieosiągalna.

– Chciałabym zapytać… Część mężczyzn w naszym gronie zauważyła, że nikt mnie nie chroni. Naciskają, abym ich odwiedzała. Niejeden składa mi propozycje. A ja nie jestem dziwką, wodzu. I nie chcę być do niczego zmuszana. Skoro to ty jesteś za nas odpowiedzialny, właśnie ciebie proszę o pomoc.

Ksenofont zerknął na Hefajstosa i dostrzegł jego zauroczenie kobietą. Odpowiedź narzuciła mu się sama. Miał przecież znacznie większe problemy.

– Mów im, że chroni cię Ateńczyk Hefajstos. Jestem pewien, że dla twojej satysfakcji wykręci rękę i rozbije głowę każdemu natrętowi, nie żądając niczego w zamian.

Ostatnie słowa Ksenofont wypowiedział z pewnym naciskiem, patrząc na Hefajstosa, który mocno się zmieszał. Pallakis przyklęknęła przed nim jeszcze raz. Pomyślał, że na jej twarzy pojawiło się rozczarowanie, chociaż – być może – tylko to sobie wyobraził.

– Dziękuję, wodzu – powiedziała, kiedy odchodził.

* * *

W ciemności przygotowali się do wymarszu. Wioskę ogołocili z zapasów żywności, a suszone mięso i chleb rozdali dzieciom i rannym. Dla tylu ludzi jedzenia było zbyt mało. Większość głodowała, jednak Spartanie nie narzekali, zatem także pozostali znosili głód w milczeniu, chociaż żołądki ich bolały i głośno burczały.

Przed pierwszym brzaskiem wyruszyli ku rzece, a kierunek marszu utrzymywali, opierając się na gwiazdach. Zwiadowca potwierdził, że

czekają ich nie więcej niż dwie lub trzy godziny marszu. Tymczasem na niebie pojawiło się słońce.

Za nimi, z tyłów kolumny, uniósł się ostrzegawczy wrzask. Ksenofont zaklął i zmusił konia do galopu wokół jej skraju. Dostrzegł Chryzofosa śpieszącego mu naprzeciw. Ku swojej irytacji zobaczył także Silezjosa, choć raczej podziwiał go za jego wystąpienie w poprzednim dniu. W krótkiej mowie Tesalczyk zapobiegł niemal pewnemu buntowi, a kierowały nim najszlachetniejsze pobudki. Ksenofont pochylił głowę i powitał go po imieniu, jednak spojrzenia wszystkich skierowane były na uzbrojone oddziały, które pojawiły się za maszerującą kolumną.

Wydawało się, że poprzedniej nocy Mitrydates posunął się daleko i szybko. Ksenofont nie mógł się pozbyć wrażenia, że ogromna armia perska podąża za nim wolniej, żeby zgromadzić jak najliczniejsze oddziały. Jedyną ulgę przynosiła mu myśl, że Persowie nie wiedzą, jakie siły są im potrzebne, żeby pobić jego żołnierzy. Wypatrzył u nich tysiąc jeźdźców i cztery tysiące łuczników, prawdopodobnie wszystkich, jakich król perski był w stanie zgromadzić w ciągu jednej nocy. Bez wątpienia byli zmęczeni długim marszem, podczas gdy Grecy dobrze wypoczęli.

Bardziej irytujący był fakt, że Persowie nauczyli się już taktyki i postanowili siłę natarcia stopniować. Wciąż bali się Greków, zamierzali jednak postępować za nimi niczym grupa chuliganów, rzucając kamieniami i włóczniami. To przypomniało Ksenofontowi bandy, które dręczyły go w Atenach, i postanowił pokazać Persom siłę swoich ludzi, a potem ich zniszczyć.

Tymczasem nie miał jazdy. Sześciu jego zwiadowców nie mogło zaszkodzić tak silnemu przeciwnikowi. Musiał zaakceptować gorzką prawdę, że Persowie stosują słuszną taktykę. Jego oddziały były bardzo podatne na takie ataki.

– Będziemy musieli to przetrwać – powiedział Silezjos, wpatrując się w dal.

Bez osłony jazdy stali wobec zagrożenia, że Persowie będą ich stopniowo eliminować, człowieka po człowieku. Osamotnieni hoplici mogli jedynie odpierać ataki, walcząc pieszo. A cywile wciąż spowalniali marsz, jakby mało było problemów. Po prostu nie byli przyzwyczajeni do maszerowania w tempie, jakie im narzucił. W miarę jak słońce prażyło mocniej, zaczynali się potykać lub wręcz przystawać, wołając rozpaczliwie o wodę. Spowalniali marsz greckich żołnierzy o połowę.

– Menon chciał się pozbyć cywilów – powiedział Ksenofont, uważnie wpatrując się w Silezjosa.

Był mężczyzną mniej więcej w jego wieku, nie wydawał się jednak żółtodziobem ani chłopcem udającym mężczyznę. On także przeżył bitwę pod Kunaksą i był takim samym weteranem jak Ksenofont, a może bardziej doświadczonym.

– A więc nie miał racji – odparł spokojnie Silezjos. – Wroga bym nie porzucił na pastwę tych szakali, a już na pewno nie tych, którzy nam sprzyjają. Jeżeli wydasz taki rozkaz, wodzu, nie podporządkuję się mu.

Ksenofont odchrząknął, jakby odpowiedź nie przypadła mu do gustu. Przypomniał sobie, że nie potrzebuje teraz przyjaciół, tylko ludzi, którzy bez wahania będą wykonywać jego rozkazy. Odezwał się takim tonem, jakby Tesalczyk nic przed chwilą nie powiedział.

– Ustaw na tyłach procarzy. Spartanie będą się bronić, wystawiając tarcze. To może nam dać trochę dodatkowego czasu.

Nakazanie wychowanym w wioskach świeżo upieczonym procarzom, aby udali się na tyły i ciskali kamienie w stronę wroga, zdawało się niemal beznadziejne, jednak Ksenofont musiał spróbować wszystkiego, co utrzymałoby Persów na dystans. Był pewien, że przed przekroczeniem

brodu pochód musi zwolnić. Wtedy wróg będzie miał najlepszą okazję do ataku. Sokrates nauczył go docierania do sedna każdego problemu – przede wszystkim nieulegania próżności i kłamstwom, do czego skłonni są mężczyźni. W obliczu nagiej prawdy mężczyzna może działać tylko w oparciu o wiedzę, jaką dysponuje. Wiedział, że w trakcie przeprawy będą ofiary, może on sam straci życie. Jednak wybrano go, aby dowodził, ponieważ ludzie uwierzyli, że da radę. I on sam także w to wierzył.

– Oto moje rozkazy – powiedział nagle Ksenofont.

25

Dostrzegłszy rzekę, perscy łucznicy zbliżyli się na odległość skutecznego strzału. Tarcze i napierśniki ocaliły wielu Greków dręczonych strzałami tak, jak konie są dręczone przez muchy. Dolatywały one także do niechronionego centrum kolumny. Ranni byli zabierani na czoło pochodu, ponad głowami tych, którzy wciąż maszerowali, a następnie niesieni na noszach. Kilku krzyczało z bólu, a ci, których rany wywoływały jedynie grymas na twarzach, opuszczali głowy i szli na własnych nogach.

Bród miał zaledwie dwadzieścia kroków szerokości, było to miejsce dawnej przeprawy ułożonej z kamieni. Kiedy pierwsze oddziały Greków weszły do wody, natychmiast przybrała ona barwę ciemnego błota. Tymczasem za ich plecami Persowie poczynali sobie coraz śmielej. Łucznicy wroga wysforowali się do przodu i Ksenofont czuł, że w powietrzu świszczą strzały. Widział Silezjosa wydającego rozkazy i procarzy, wreszcie reagujących na działania wroga za pomocą wszelkiej broni, jaką dysponowali. W przeciwieństwie do Persów wystarczały im jedynie gładkie kamienie. Leżały one wzdłuż rzeki i Grecy miotali je tysiącami w kierunku wroga z zadziwiającą szybkością. Każdy po wystrzeleniu z procy natychmiast sięgał po następny kamień.

Łucznicy rozproszyli się w panice. Pierwsze kamienie nie zaszkodziły więcej niż dziesięciu z nich, ale działania procarzy wszyscy poznali już wcześniej, dlatego teraz albo się kulili, albo padali na ziemię. W gruncie rzeczy kamienie dosięgały ich nawet wtedy, jednak Persowie w strachu

uznawali, że zmagają się z większą potęgą niż w rzeczywistości. Oficerowie wrzeszczeli na nich, aby wstawali i strzelali, lecz byli wobec tych rozkazów bardzo oporni. W końcu jeden po drugim łucznicy wstawali i dostrzegali, jak mało kamieni dosięga celu, jak niewielu spośród ich towarzyszy zostało naprawdę zranionych. Przybierali groźne miny i znowu sięgali po łuki.

W tych bezcennych chwilach niepewności Persów Grecy przebrnęli przez rzekę. Kiedy ostatni z nich znalazł się na drugim brzegu, zmęczeni procarze wrócili do szeregów. Hoplici, którzy byli ustawieni z tyłu, opuścili tarcze i odwrócili się, przechodząc do truchtu. Ludzie całymi setkami spoglądali za siebie ze strachem i dostrzegali złość perskich jeźdźców, którzy zorientowali się, że wróg im ucieka. Persowie nawoływali się wzajemnie, wskazywali przed siebie mieczami i potrząsali w powietrzu włóczniami. Łucznicy mogli nie sprostać zadaniu, a żołnierze na koniach widzieli już plecy uciekających Greków. Bród nie był strzeżony. Nie mogli wybrać lepszego momentu, aby go przebrnąć.

Błyskawicznie pocwałowali do wody, a końskie kopyta rozpryskiwały na wszystkie strony grube krople. Uciekające oddziały zaś, które znajdowały się przed nimi, nagle się zatrzymały i odwróciły. Perscy jeźdźcy znów zaczęli krzyczeć i przeklinać, ponieważ znaleźli się przed frontem wojowników w czerwonych płaszczach, nieokazujących ani odrobiny paniki, którą wyczuwali u nich jeszcze przed chwilą. Rzucili się na Spartan, a wtedy ci wznieśli tarcze i opuścili hełmy, prezentując lśniący brąz ekwipunku elitarnych żołnierzy z Grecji. Konni z pierwszej linii zaczęli się zatrzymywać, jednak następni wpadali na nich z dzikimi okrzykami.

Wrogich jeźdźców zaatakowały trzy zastępy Spartan, starając się ich okrążyć. W pogotowiu trzymali tarcze, włócznie nieśli na wysokości pasa. Bród był doskonałym miejscem zwężenia i Ksenofont dobrze to wyczuł.

Jego najlepsi ludzie zamknęli w potrzasku perską jazdę, kiedy wyskoczyła z wody, ograniczając jej możliwości ruchu. Nawet łucznicy nie mogli jej skutecznie wspomóc z drugiej strony rzeki, bo przecież raziliby własnych ludzi. Strzały wciąż furkotały w powietrzu i trafiały, jednak połowa Persów musiała wycofać się z okrążenia, pozostawiając konie w czerwonej od krwi wodzie, a tymczasem na brzegu pozostały setki ludzi skazanych na łaskę i niełaskę Spartan.

Nie minęło dużo czasu, jak Grecy wycofali się naprawdę, i to w dobrym tempie. Stracili ludzi, ale też dokonali rzezi wśród prześladowców. Wielu zostało zarżniętych z celowym okrucieństwem, aby przerazić następnych.

Dzięki podjętemu ryzyku Grecy zdobyli konie. Ksenofont był zachwycony; osobiście oglądał wszystkie wierzchowce i przydzielał je ochotnikom, którzy twierdzili, że potrafią na nich jeździć. Na ich oficera wyznaczył Hefajstosa, choć odebrał Ateńczykowi konia. Hefajstos protestował, ale Ksenofont przeprosił go za tę decyzję.

– To był triumf, a nie małe zwycięstwo! – zawołał Ksenofont do wszystkich. – Już nigdy więcej nie będziemy bezbronni.

Popatrzył na zwłoki zalegające nad rzeką, a potem naprzód, w kierunku odległych wzgórz. Persja zajmowała połowę świata, jednak przysiągł sobie, że wyprowadzi z niej swoich ludzi.

Gdy przeciwnik wciąż się miotał na drugim brzegu, Ksenofont zarządził marsz. Nie było szans, żeby nabrać wody do skórzanych worków, bo łucznicy czekali w pogotowiu, rozwścieczeni i poniżeni, że tak łatwo ich oszukano. Grecy musieli ruszyć, nie zaspokoiwszy pragnienia, przez tereny, na których nie było widać nawet skrawka zieleni. Wlekli się noga za nogą przez cały dzień, ale kiedy pozostali przy życiu perscy jeźdźcy ukazali się za ich plecami, dysponowali końmi i włóczniami w liczbie wystarczającej, żeby odegnać ich daleko od głównej kolumny.

Kiedy po raz kolejny zachodziło słońce, zatracili uczucie radości z poranka. Głód i pragnienie były teraz największymi problemami, chociaż wiele wskazywało, że znajdą na noc schronienie. Zwiadowcy natrafili bowiem na opuszczone miasto, w zasięgu ich dzisiejszych możliwości marszu. Przez długie godziny widzieli przed sobą mury i wreszcie przeszli przez szeroki wyłom w nich, krocząc po wybitych kamieniach.

Ulice były brudne i nigdzie nie było śladu życia. Miejsce wydawało się opuszczone i ciche, chociaż jaszczurki z długimi ogonami biegały i skakały po murach, wystraszone obecnością ludzi w miejscu, w którym przez długi czas panowała absolutna cisza. Wszyscy, którzy byli w stanie polować, rozbiegli się grupami po mieście, ścigając wszystko, co żyło. Jedna z takich grup okrążyła lamparta i zanim zwierzę zginęło zakłute włóczniami, mocno pokiereszowało jednego z Greków. Inni zabijali gołębie, a jeszcze długo w mieście było słychać, jak syczą węże, bo celowali do nich procarze, zdecydowani jak najszybciej wyeliminować zagrożenie z ich strony.

Na głównym placu Ksenofont natrafił na wielką piramidę, wysoką mniej więcej na sześćdziesiąt kroków. Nie znalazł wejścia do niej ani nie potrafił zrozumieć, skąd się tutaj wzięła. Któryś z oficerów podał mu coś, co wydawało się szklaną soczewką w kształcie rybiego oka, która leżała w kurzu na drodze. W jednym z budynków znajdowały się dobrze zachowane kości i fragmenty zbroi z brązu. Na miasto spadła w przeszłości katastrofa, tak dawno, że niemożliwe było sięgnięcie tam nawet wyobraźnią.

Grecy wzięli nad rzeką jeńców: kilkunastu Persów zachowało życie i teraz można było ich przesłuchać. Ksenofont rozkazał, żeby pierwszego z nich zabito – miało to być przykładem dla reszty – po czym przez cały wieczór ich przesłuchiwał, a jego żołnierze rozdawali żywność kobietom w obozie. Drewno znalezione w mieście posłużyło do rozpalenia ognisk;

było tak suche, że ogień płonął po skrzesaniu jednej iskry. Zapach pieczonego mięsa wypełniał usta ludzi śliną i chociaż w mieście nie było nawet kropli wina, znaleziono gliniane dzbany, w których z pewnością kiedyś je przechowywano, i studnię z czystą wodą. Po wlaniu wody do dzbanów powstawał całkiem niezły napój, który przynosił choć wspomnienie trunku z winogron.

Jeden z jeńców twierdził, że miasto nazywa się Larisa, z kolei inny określał je mianem Nimrud, a jeszcze inny twierdził, że to stolica Medów. Ich słowa musieli tłumaczyć ludzie, którzy znali oba języki, co znacznie spowalniało przesłuchania. Ksenofont chodził po murach miejskich, a więźniowie bełkotali na temat królewskich sił znajdujących się po drugiej stronie. Obiecał darować im życie, jeżeli powiedzą wszystko, co wiedzą. Stawką było przetrwanie jego ludzi, zatem nie miał poczucia winy, decydując, kto będzie żył, a kto zostanie zabity. Powiedział im o tym, spokojnie i wyraźnie. Ponieważ jeden z nich leżał już na zakurzonych kamieniach, uwierzyli mu i śpiewali jak ptaszki.

Usłyszał gwizd i podniósł głowę. Zobaczył Hefajstosa i Pallakis wspinających się po kamiennych schodach na koronę murów. Ksenofont westchnął, lecz uśmiechnął się do nich. Klearchos nigdy nie wspominał, że przewodzenie ludziom oznacza niemalże całkowity brak czasu dla siebie, jednak wówczas nie uważał tego za problem. Ksenofont wiedział, że Sokrates uwielbia towarzystwo innych ludzi; starzec wydawał się bystrzejszy i bardziej ożywiony w tłumie. Z kolei dla niego wysiłku czasami wymagała zwyczajna rozmowa. Wolał zastanawiać się w samotności nad poważnymi sprawami, a kiedy pojawiał się problem – rozmyślać nad nim, używając wiedzy i inteligencji. Przez krótką chwilę rozważał teraz, czy nie odesłać pary z powrotem na dół. Ale uroda kobiety sprawiła, że zmienił zdanie. Miasto było miejscem śmierci

i w zdecydowanej większości panowała w nim upiorna cisza, która trwała tutaj już od wielu wieków. Bujne kręcone czarne włosy Pallakis upięte były dookoła głowy, dlatego wyglądała niemal jak Meduza w morskiej bryzie.

– Poprosiłam o spotkanie z tobą, Ksenofoncie – powiedziała.

– Naprawdę? – mruknął Ksenofont, zerkając na Hefajstosa.

Młody Ateńczyk był całkiem zauroczony. A Ksenofonta zaskoczyło ukłucie zazdrości, kiedy Pallakis dotknęła ramienia Hefajstosa. Miał nadzieję, że tego po sobie nie okazał, podejrzewał jednak, że Pallakis doskonale potrafi odgadywać myśli mężczyzn.

Ksenofont westchnął.

– Pani, muszę… – Powstrzymał się przed popełnieniem nietaktu, w porę przypominając sobie dyscyplinę, jaką widział wśród Spartan. Zawsze musi być przywódcą. Jeżeli to ma oznaczać koniec wszelkiej prywatności, musi się z tym pogodzić. – Pani, czego ode mnie oczekujesz?

– Po prostu twojego towarzystwa, wodzu – odparła Pallakis. – Ludzie się boją, a wystraszeni ludzie stanowią kiepskie towarzystwo. Chciałabym porozmawiać z tobą o naszych szansach.

Ksenofont zaśmiał się i pokręcił głową.

– Byłbym kiepskim wodzem, gdybym powiedział, że są marne, prawda? Nie umiem przepowiadać przyszłości, nie dorównam nawet najsłabszej wyroczni. – Jego twarz poszarzała, gdy zobaczył zaniepokojenie Pallakis. Zaczął mówić bardziej poważnym tonem. – Nie ustanę w wysiłkach. Przysięgam ci, będę się czuł odpowiedzialny za każdego mężczyznę, za każdą kobietę i dziecko, które znalazło się w tym miejscu. To moi ludzie, Pallakis. Klearchos nie opuściłby ich na obcej ziemi, nie wydał na rzeź albo w niewolę. Podobnie ja, dopóki oddycham. – Odczekał chwilę, a dziewczyna pokiwała głową, przyjmując jego przysięgę. – Poproszę ich

o wszystko, co mogą z siebie dać. Tego samego zażądam od siebie. I jeszcze więcej…

Ksenofont popatrzył gdzieś w dal i znieruchomiał, a zarówno Hefajstos, jak i Pallakis skierowali spojrzenia w miejsce, w które wytężając wzrok, patrzył wódz.

W oddali można było dostrzec perską piechotę. Zdawało się, że król Artakserkses przestał się spodziewać po Grekach kapitulacji albo zrezygnował z opierania się na małych oddziałach łuczników, żeby ich pokonać. W kierunku opuszczonego miasta maszerowały liczne zastępy wojska. Wyglądały jak wielka plama na ziemi, jak kałuża po letnim deszczu.

– Ilu tam jest ludzi? – zapytała Pallakis z trwogą w głosie.

– Któż może powiedzieć? Może osiemdziesiąt, może dziewięćdziesiąt tysięcy? A i to nie wszyscy. Co wydaje się dziwne.

– Może król zawrócił do swoich pałaców? – zasugerował Hefajstos. – W końcu wygrał bitwę. Uda się do domu, odbierze paradę i zarządzi ucztowanie.

Ksenofonta zaskoczyło, że on sam także bardzo by tego chciał.

– Mam nadzieję. Jeżeli tak uczynił, zadziała to na naszą korzyść. – Uderzyła go pewna myśl i skrzywił się. – Chyba że prowadzi równie liczną armię na drugą stronę miasta. Hefajstosie, mógłbyś pobiec i to sprawdzić?

Chłopak, który kiedyś szydził z niego na rynku w Atenach, bez słowa zbiegł po schodach i zniknął. Ksenofont uśmiechnął się z zadowoleniem. Nic nie kształtowało ludzi lepiej niż wojna, na dobre i złe.

W tej chwili zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy znalazł się sam na sam z kochanką księcia. Zdawała się pojmować, że jego myśli nagle wróciły na tory osobiste, mimo że wciąż obserwował, jak wojska wroga maszerują na miasto.

– Jesteś żonaty, wodzu? – zapytała.

Ksenofont zakaszlał i poczerwieniał.

– Ach nie, przepraszam. Nie, nie jestem żonaty. Poświęciłem życie polityce, wspieraniu Sparty. Nie była to… popularna decyzja w Atenach. W tym czasie ominęły mnie jakoś wszelkie okazje. – Znów zmrużył oczy, spoglądając w kierunku wroga, upewniając się, że nie dotrze do miasta przed zmrokiem. – Próbowałem… znaleźć najlepszy sposób na życie, jak najlepiej spędzić te nieliczne lata, które otrzymałem od bogów. Dlatego oddawałem się naukom u wielkich nauczycieli oraz poświęcałem takim umiejętnościom, jak jazda konna czy zarządzanie państwem. Przez cztery lata byłem uczniem Sokratesa.

– Nigdy o nim nie słyszałam – powiedziała Pallakis, sprowadzając Ksenofonta na ziemię. – Ale ta nauka, w jaki sposób żyć… Czy nie przyszło ci do głowy, że częścią dobrego życia może być żona?

Dziewczyna zdawała się autentycznie zaskoczona. A Ksenofont zaczerwienił się jeszcze mocniej i odchrząknął w dłoń przytkniętą do ust.

– Nie, nigdy. Ale zastanowię się nad tym, pani. – Spróbował wyrwać się z dziwnego nastroju i odezwał z większą pewnością siebie: – A teraz musimy albo przygotować się do wymarszu, albo do obrony tego wymarłego miasta.

Ujął Pallakis za rękę, a dziewczyna pozwoliła się poprowadzić do pierwszego stopnia schodów. Uśmiechała się, kiedy patrzył na nią, zaintrygowaną spotkaniem z mężczyzną o wiele bardziej interesującym, niż się spodziewała. Wcześniej postanowiła użyć swoich sposobów, aby wzmóc jego oczywiste zainteresowanie nią, gdyż był mężczyzną, który mógł jej zapewnić bezpieczeństwo i chronić ją w obozie. Nie spodziewała się, że jej serce zabije żywiej, kiedy ujmował jej rękę. To było dziwne. Pallakis podziwiała takich mężczyzn jak Cyrus czy Klearchos. Wydawali się silni

i w swych działaniach pozbawieni wątpliwości. Dotąd zakochiwała się w mężczyznach czynu i walki. Znała siebie bardzo dobrze i schodząc po schodach na plac miejski, zaleciła sobie ostrożność. Chciała być komuś potrzebna, to prawda. Wyczuwała, że Ksenofont jest rozpaczliwie samotny i że on także bardzo jej potrzebuje. Myśl o tym była odurzająca.

* * *

Ksenofont spał na murach miejskich. Jego żołądek się skurczył, głowa pulsowała bólem, uznał jednak, że nie może narzekać, gdy tak wielu innych ludzi głoduje. Wieczorem podzielono resztki tego, co upolowano. Czuł zapach mięsa pieczonego na ogniu, dla którego podpałką były starożytne drewniane meble, suche jak pustynny wiatr hulający po mieście. Ze swojego miejsca widział ogniska Persów, które wyglądały w mroku jak iskierki.

Przycisnął pięść do brzucha, gdy usłyszał w nim burczenie. Żołądek nieśmiało nawoływał, że jest pusty. Tymczasem najlepsze kęsy musieli zjeść żołnierze, a następnie dzieci, które nie miały zapasów tłuszczu i nie przetrwałyby długo o samym powietrzu i wodzie. W teorii pozostali ludzie mogli jeść w następnej kolejności, jednak prawie nic już dla nich nie zostawało, mimo że starano się oszczędnie gospodarować żywnością, aby napełnić jak najwięcej żołądków.

Rozmyślając, usłyszał kroki i zobaczył, że ktoś wchodzący po schodach niesie ze sobą światło. Ksenofont wstał zirytowany, że ktoś mu przeszkadza nawet w nocy. Poczuł niejasne rozczarowanie, kiedy rozpoznał Spartanina Chryzofosa. Mężczyzna w jednej ręce niósł parującą misę, a w drugiej butelkę.

– Nic nie jadłeś, wodzu – powiedział.

– A ty? – zapytał Ksenofont.

Chryzofos wzruszył ramionami.

– Jestem Spartaninem – odparł, jakby to wszystko wyjaśniało.

Ksenofont uniósł brwi i czekał, ignorując misę i butelkę, które przybysz wyciągnął ku niemu. Chryzofos westchnął i ustąpił.

– Kiedy byłem chłopcem, moja rodzina nigdy nie miała dość jedzenia. Pamiętam, że najadłem się wtedy do syta tylko dwa razy, wyłącznie na królewskich festynach. Radzono nam, żebyśmy kradli chleb, ale nigdy nie byłem w tym dobry. Myślę…

– Radzono ci kraść? – zdziwił się Ksenofont.

– Jak powiedziałem, ani mnie, ani mojego rodzeństwa dobrze nie karmiono. Jeśli udało nam się przechytrzyć kucharza i dodatkowo coś zwędzić, rodzice nas nie karali. Chyba że złapano nas na gorącym uczynku, ale wtedy karano nas za to, że daliśmy się przyłapać. W Sparcie wierzymy, że głód przydaje chłopcom szybkości, a pełny brzuch sprawia, że są powolni i głupi.

– Ale teraz jesteś głodny?

– Oczywiście. Spartanie niechętnie jedzą mięso, wodzu. Mięso to tłusta i głupia rzecz, która chciałaby nas kontrolować. Człowiek, który zjadł mięso, spróbuj mnie zrozumieć, jest jak powolny koń, który na dodatek nie pojmuje, dlaczego jest powolny. Ale nie zrozum mnie źle. Powinieneś się najeść, ponieważ jutro musisz mieć energię. Głód przydaje wigoru tylko do pewnej granicy.

– Nie mam apetytu, Chryzofosie. Zjedz razem ze mną z tej misy. To rozkaz.

Spartanin popatrzył na miskę, którą trzymał w ręce. Przesunął czubkiem języka po wargach, pozwalając sobie na wchłonięcie zapachu unoszącego się znad potrawy, na którą składało się mięso duszone z ziarnami. Poruszył

misą i wreszcie Ksenofont odebrał ją od niego razem z butelką, po czym usiadł ze skrzyżowanymi nogami i zaczął jeść. Chryzofos wyciągnął zza pazuchy mały bochenek chleba, przełamał go i połowę zostawił dla siebie. Mężczyźni zaczęli jeść, chlebem wybierając potrawkę z misy; jedli powoli, starannie się kontrolując, aby nie okazać wielkiego głodu. Ksenofont nie chciał, żeby bardziej powolny od niego w tej czynności okazał się Chryzofos, mimo że jego ciało wręcz krzyczało o pożywienie.

– Nie możemy tutaj zostać – powiedział w końcu Ateńczyk. – Jeżeli wróg nas otoczy, będziemy zgubieni. Kiedy zejdziesz do miasta, poinformuj o tym wszystkich, dobrze? Została nam godzina, może dwie, nie więcej. Musimy zachować odpowiedni dystans od prześladowców.

– To nie będzie łatwe – powiedział Chryzofos spokojnie. – Po dzisiejszej nocy nie mamy już jucznych zwierząt. Dzieci będą musiały iść na własnych nogach albo będzie trzeba je nieść.

– Każ więc ludziom podzielić się zadaniami. Niech dziesięciu mężczyzn i dziesięć kobiet niesie dziecko na zmianę. Jeżeli dzieci nas spowolnią, pożrą nas Persowie, których mamy za plecami. Nie możemy mieć nadziei, że zdołamy chronić cywilów i jednocześnie prowadzić wojnę.

– Nie? – zapytał Chryzofos.

Obserwował, jak Grecy zmieniają ustawienie na polu walki niemal na zawołanie.

– Nie – powtórzył Ksenofont. – Chciałeś, żebym dowodził, Spartaninie. Nie kwestionuj teraz moich rozkazów. Naszym celem jest opuszczenie ziemi, na której włada król Artakserkses. Nie jest naszym celem walka z nim tam, gdzie jest najsilniejszy. Musimy po prostu uciekać.

– Ich jazda jest bardzo liczna. A my mamy może dwieście koni. Myślę, że to za mało.

– Wystarczy, aby pilnować tyłów – powiedział Ksenofont.

Wiedział, że Spartanin jest doświadczonym żołnierzem. A on, chociaż nie lubił, kiedy go naciskano albo popędzano, rozumiał, że jest w tym sens, tak jak wtedy, gdy Sokrates kazał mu dziesięć razy powtarzać, czym jest miłość.

– Jesteśmy powolni – mówił Chryzofos, wyciągając do góry palec. – Mamy zbyt mało procarzy, a więc jesteśmy słabsi w walce na dystans. Mamy zamiar uciekać w szybkim tempie…

– Persowie nabiorą śmiałości – przyznał Ksenofont. – Kiedy zobaczą, że nie są w stanie sprawić, żebyśmy się zatrzymali, będą nas dręczyć, deptać nam po piętach. Cóż bym dał za osobistą straż księcia! Tych sześciuset konnych, którzy mogliby polować na Persów i powstrzymywać ich przez miesiąc. Bez nich… – Nagle zamilkł i wskazał na odległe światło. – Persowie wolą nie rozbijać obozów zbyt blisko nas. Nie wiem dlaczego.

– Nawet w takiej liczbie obawiają się nocnego ataku – odparł Chryzofos. – Nasze podstępy zyskały u nich zasłużoną sławę. Kiedy jesteśmy blisko nich, są bardzo czujni.

– Jeżeli to prawda, oznacza ona, że każdy dzień rozpoczniemy w sporej odległości od nich. A jeżeli którejś nocy rozbiją obóz bliżej, możemy zaryzykować atak. Spróbujemy chociaż rozproszyć ich konie.

– To mi się podoba – odparł Chryzofos.

A jednak Spartanin miał ponury nastrój i Ateńczyk to wyczuł.

– Myślisz, że im uciekniemy?

Zapadła długa cisza i Ksenofont doszedł do wniosku, że Spartanin mu nie odpowie, a może po prostu się zdrzemnął.

– Nie ma znaczenia, co myślę – odpowiedział wreszcie. – Będziemy maszerować od rzeki do rzeki. Czterysta lub sześćset mil, to jednak nie jest zbyt dużo. Ale oni będą chcieli nas dopaść jak psy jelenia. Pytanie, czy nam się uda, czy zginiemy, nie zmienia tego, co musimy zrobić. Wyruszę więc

w drogę z zadowoleniem w sercu. Moi ludzie są wokół mnie, a wrogowie za moimi plecami. Następny dzień będzie zatem bardzo dobry. – Ku zaskoczeniu Ksenofonta Chryzofos poklepał go po plecach, po czym wstał i przeciągnął się. – Postaraj się przespać, wodzu. Jutro rano będziesz nam bardzo potrzebny.

– Zejdę na dół i cię obudzę – odparł Ksenofont.

Raczej wyczuł, niż zobaczył w ciemności uśmiech Spartanina, gdy ten zaczął schodzić po schodach.

* * *

Spartanie z oddziału doskonale znali się nawzajem. Zbierając się po raz kolejny do marszu, pozdrawiali przyjaciół i półgłosem rozprawiali o czekającym ich długim dniu albo o dziwnym mieście, w którym wciąż się znajdowali. Noc była wystarczająco ciepła, aby spać na powietrzu, zamiast ryzykować ukąszenia skorpionów w od dawna opuszczonych budynkach. Opróżnili pęcherze i popili wody ze skórzanych bukłaków, chociaż żaden nie zaspokoił pragnienia do końca.

Księżyc wciąż tkwił wysoko na niebie, którego barwa na wschodzie jeszcze nie zwiastowała świtu, gdy cały oddział wyruszył w drogę; otaczał cywilów, utworzywszy pochód w kształcie serca, którego ścianki stanowili żołnierze. Pozostawili miasto za sobą i maszerowali w porannym chłodzie pokryci gęsią skórką. Niektórzy oglądali się za siebie, obawiając się głośnego skowytu albo zbliżającego się tętentu końskich kopyt, panował jednak spokój. Nic nie zakłócało ciszy nocnej.

Kiedy w końcu wstało słońce, znajdowali się w odległości dziesięciu mil od miasta i wciąż szli. Ksenofont przekazał przez Hefajstosa rozkazy, aby wysłano zwiadowców zarówno w przód, jak i na tyły. Mając konie,

dysponowali teraz oczyma, które mogły penetrować większy teren, a przecież jeszcze niedawno byli niemal ślepi. Zwiadowcy nie natrafili jednak na Persów i w końcu głód zatrzymał ich przy dwóch wioskach. Na twardej, gładkiej ziemi znaleźli tu wychudłe kozy, a zimowy składzik pełen był pistacji i migdałów przeznaczonych na sprzedaż. Wieśniacy nie protestowali, obserwując, jak Grecy opróżniają ich piwnice, za to żaden z nich nie stracił życia ani nie poszedł w niewolę. W tej kwestii Ksenofont musiał wydać wyraźne rozkazy. Trudno było wyżywić już tych cywilów, którzy uczestniczyli w marszu; tym bardziej nie można było dopuścić do wzrostu ich liczby.

Zwiadowcy wrócili cwałem, gdy maszerujący mieli za sobą niecałe pół dnia spędzonego w wiosce, ale to wystarczyło, aby napełnić wodą i żywnością wszystkie naczynia i pojemniki, a nawet ułożyć najmniejsze dzieci w dwóch wozach, które znów miały ciągnąć muły. Ich właściciele patrzyli z rozpaczą, jak Grecy ruszają w dalszą drogę.

Zobaczyli perską jazdę przed wieczorem. Rozciągnęła się w długą linię i Persowie z koni obserwowali maszerującą kolumnę – dobrze zbudowani, silni wojownicy, którzy wyciągnęli szable i bułaty w niewątpliwej groźbie. Nie można było dostrzec samego króla ani żadnego spośród jego możnych. Ksenofont był zadowolony, że jeździe nie towarzyszą oddziały piesze. Sama jazda nie mogła złamać greckiej formacji, włócznie stanowiły dla niej przeszkodę nie do przebycia. Pozwolił sobie na nadzieję, że król po prostu wydał rozkazy, aby Greków odprowadzono wzrokiem aż do granicy jego imperium.

Tej nocy obudzili ich jeźdźcy krążący w pobliżu obozowiska. Natrafili na niewielki strumyk i przebyli go, aby wypocząć na drugim brzegu, jednak trudno było zasnąć, gdyż w ciemnościach wciąż rozlegały się wrzaski i zawodzenia. Hefajstos chciał przeprowadzić konny wypad, żądny krwi,

jednak Ksenofont mu zabronił. Mieli mało koni i każdy był na wagę złota; należało oszczędzać wierzchowce. Sen był mniej istotny, przynajmniej na razie.

Gwiazdy okrążyły już obozowisko, kiedy rozległy się ostrzegawcze dźwięki rogów. Zwiadowcy zjeżdżali się ze wszystkich stron, nawołując bezładnie, ale było jasne, że każą wszystkim chwytać za broń. Ksenofont zerwał się z posłania i podrapał pod pachą, bo pot sprawił, że na skórze pojawiła się wysypka. Na skutek ogromnego zmęczenia spał głębszym snem, niż był tego świadomy, jednak kiedy popatrzył dookoła, w jednej chwili przestał ziewać. Na dworze było szaro – dopiero zbliżał się świt – dostrzegł jednak cały ocean ponurych, mrocznych żołnierzy zbliżających się cichymi grupami. W tej chwili znajdowali się w odległości zaledwie czterystu kroków. Zbliżali się ku Grekom nieuchronnie, pod osłoną ustępującej ciemności. Kiedy światło dnia przybrało złoty kolor, Ksenofont zobaczył na czele tych ludzi Tissafernesa na wierzchowcu, ubranego w olśniewająco białą szatę.

Jego serce zabiło w panice jak szalone. Pers postukał się w napierśnik w drwiącym pozdrowieniu. Żołnierze wroga wrzasnęli jak jeden mąż i zaatakowali.

26

Ksenofont zaklął, gdy pot podrażnił mu ranę na policzku. W tym miejscu otarła się o niego strzała, rana wciąż krwawiła. Za każdym razem, kiedy ocierał pot, jego palce znów ją otwierały.

Tissafernes rzucił przeciwko Grekom wszystkie swoje oddziały, próbując położyć kres ich ucieczce w jednym uderzeniu. Podszedł blisko. Ksenofont starał się nie myśleć o pierwszych momentach barbarzyństwa. Zobaczył kobietę, która biegła za krzyczącą ze strachu córką wzdłuż linii atakujących Persów. Dosłownie je stratowali; matka i córka zginęły pod ich nogami.

Około stu ludzi pozostało na zewnątrz, kiedy żołnierze tworzyli formację bojową i ruszyli naprzód, wciąż jeszcze się grupując. Jazda wdarła się do środka i Persowie niczym wilki rzucili się do zabijania chorych i starców. Dopadali kobiety i mężczyzn, każdego, kto znalazł się w pobliżu. Kilku szalejących Persów zabili hoplici przepychający się, aby koniecznie zamknąć formację, jednak los tych, którzy dostali się w perskie ręce, był naprawdę okrutny. Co prawda większość ginęła od razu, ale niektórych utrzymywano przy życiu, aby krzyczeli i wznosili ręce w żałosnym błaganiu, wciśnięci pomiędzy końskie siodła, w których siedzieli roześmiani mężczyźni.

Formacja się zamknęła i Grecy ruszyli do walki, urażeni w swej dumie i wstrząśnięci napadem. Ksenofont czuł na sobie rozzłoszczone spojrzenia, a i sam chciał rozerwać Hefajstosa na strzępy za to, że w porę nie ostrzegł

ludzi przed Persami. Zawołał go; Ateńczyk miał minę tak zaciętą i ponurą, jak nigdy wcześniej na ulicach miasta.

– Gdzie byłeś? – zapytał Ksenofont.

Mówił cichym głosem, częściowo dlatego, że odpowiedzialność spoczywała na nim, niezależnie od tego, jak to widział Hefajstos. Nie mógł winić niedoświadczonego przywódcy bandy ulicznej za to, że nie trzymał straży w odpowiedni sposób.

– Zostawiłem zwiadowców godzinę drogi od obozu – powiedział Hefajstos. Zwiesił głowę i przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby miał wybuchnąć płaczem. Zapanował jednak nad sobą z wysiłkiem, który zrobił na Ksenofoncie duże wrażenie. – Podążyłem z nimi, ale potem… wróciłem. Przepraszam.

Ksenofont popatrzył na młodego człowieka. Hefajstos nie potrafił czytać ani nawet napisać własnego imienia. Jeździć konno nauczył się w czasie tej wyprawy. Jeżeli ktoś ponosił winę za błąd, który popełnił, to nie on, lecz ktoś, kto pozostawił go samego i bezradnego.

– Powiedz mi, co się stało – polecił.

Hefajstos odwrócił głowę, nie potrafiąc spojrzeć mu w oczy.

– Prawdopodobnie czekali na nich jeźdźcy… i łucznicy. – Gwałtownym ruchem zademonstrował strzał z łuku. – Kilku zwiadowców uciekło, ale wielu straciliśmy. Ci, co przeżyli, wracali bardzo szybko, Ksenofoncie. Dogonili mnie po drodze. Ale zanim zdołałem ogłosić alarm, wrogowie prawie już tutaj byli. Przepraszam. – Ucichł, gotów na każdy osąd.

– Nie powinienem zostawiać cię bez bardziej doświadczonych oficerów – odpowiedział Ksenofont. – Błąd leży po mojej stronie, rozumiesz? Nie obwiniam cię o moje własne błędy. – Rzucił to w pośpiechu, tak jakby kwestia była już zapomniana. – Jutro wieczorem porozsyłasz zwiadowców parami, odległość pomiędzy dwójkami nie może być większa od zasięgu

wzroku. Jeżeli zaatakowany zostanie jeden jeździec lub jedna para, pozostali mają natychmiast zwiewać do obozu. Jedna para musi widzieć następną. Musimy wyciągnąć nauki z dzisiejszej lekcji.

– Przepraszam – powtórzył Hefajstos.

Ksenofont popatrzył na niego pustym wzrokiem.

– Nie musisz przepraszać. Po prostu się ucz. Persowie zwyciężyli dzisiaj w drobnej potyczce, poczuli się pewniej. Ale to niczego nie zmienia! Jak daleko już doszliśmy? Naszym zadaniem jest wyłącznie maszerować do przodu.

Gdy mówił te słowa, rozległy się okrzyki tych, którzy obserwowali manewry Persów. Jęk strachu rozległ się z centrum kolumny cywilów otoczonej przez żołnierzy. Ksenofont po raz pierwszy usłyszał, jak ludzie wydają taki jęk. Zacisnął zęby, zły na siebie, ale też zły na wroga, który wciąż nie dawał im spokoju.

Zmierzając na tyły wzdłuż maszerującej kolumny, zobaczył mnóstwo jeźdźców podążających w swobodnym kłusie, jakby na defiladzie. Konni mijali Greków w odległości sześciuset do ośmiuset kroków, zbyt dużej, aby strzelić z łuku lub rzucić włócznią. Perscy jeźdźcy odwracali się, aby spojrzeć na wroga, którego pozostawili za sobą, wyprzedzali jednak maszerujących Greków, wykorzystując przewagę prędkości i możliwości manewrowania.

Ksenofont dostrzegł zbliżającego się Chryzofosa. Spartanin sprawiał wrażenie wypoczętego, miał tylko odrobinę przyśpieszony oddech, mimo że nosił zbroję z brązu i skórzany napierśnik.

– Nowe rozkazy, wodzu? – zawołał Chryzofos.

Ksenofont zaczynał pojmować sposób rozumowania Spartanina. Mężczyzna potrafił postępować subtelniej niż Klearchos.

– Na razie nie – odparł. – A tobie przychodzi może coś do głowy w związku z tymi jeźdźcami?

– Przypuszczam, że zastawią przed nami zasadzkę – powiedział Chryzofos. Dotarł do Ksenofonta, aby mieć pewność, że dokładnie go zrozumie. – Znajdą miejsce, gdzie będziemy musieli zwęzić kolumnę, prawdopodobnie pomiędzy wzgórzami. Zaczną zrzucać ze zboczy pnie albo toczyć kamienie. Wykorzystają wszystko, co znajdą, żeby nas zatrzymać. A wtedy ci, których mamy za plecami, nas zaatakują. Przynajmniej ja bym tak zrobił.

– Nie jestem w stanie zapobiec temu, że wysforują się naprzód – stwierdził Ksenofont. – Ani nie mam sposobu, żeby rozproszyć tych podążających za nami. Jeżeli się zatrzymamy i sami rozpoczniemy przygotowania do bitwy, z łatwością jej unikną. Ale jeśli przyjmą wyzwanie, nasi cywile zostaną wydani na pastwę losu. To chyba jest sedno ich postępowania, o to im chodzi.

Wypowiedziawszy te słowa, Ksenofont zamrugał. Nagle poczuł się całkowicie bezradny. Zdając sobie sprawę ze spojrzeń otaczających go ludzi, nieznacznie pokręcił głową, jakby w ten sposób chciał odrzucić wszelki strach. Dowódca musi być pewny siebie, przynajmniej w oczach ludzi – nawet tak doświadczonych jak Chryzofos. Musiał się pozbyć wątpliwości i słabości.

– Dlatego nie chcemy walczyć z tymi Persami. Pokazaliśmy, że w polu są od nas słabsi. Dalsze ich dręczenie nie przyniesie nam chwały. Nie, naszym zadaniem jest po prostu opuszczenie ich terytorium. Właśnie to zamierzam uczynić, Chryzofosie. Jeżeli zajmą wzgórza nad nami, przebrniemy z wysoko wzniesionymi tarczami. Jeżeli zaatakuje nas ich piechota, będziemy ją bić aż do skutku. Będziemy walczyć, jeżeli Persowie nas zmuszą, jednak zwycięstwo ogłosimy dopiero wtedy, gdy dotrzemy do

Morza Czarnego. Na północnym wybrzeżu leżą greckie miasta. Kiedy się tam znajdziemy, będziemy już bardzo blisko domu.

Chryzofos w marszu skłonił głowę.

– Jasno przedstawiłeś nasze cele, wodzu. Wszystko jest oczywiste.

Uśmiechnął się jak chłopiec i Ksenofont poczuł, że w tej chwili jakby pękła jego maska. Głośno wymienił kolejne problemy, ale mówiąc o nich wprost, zaczął dostrzegać, że nie są to przeszkody nie do pokonania. Zrobiło mu się trochę raźniej, po raz pierwszy tego dnia.

– Naprzód – powiedział.

* * *

Maszerowali dwanaście mil do rzeki, nad którą ktoś kiedyś wybudował drewniany most. Ksenofont wydał rozkazy, aby zatrzymać się po obu stronach przeprawy i pilnować jej na tyle długo, aby wszyscy mogli nabrać wody do picia. Spartanie stanęli z tarczami i włóczniami, gotowi do odparcia nagłego ataku, a tymczasem cywile napełniali wodą każdy dostępny pojemnik, każdą butelkę. Chociaż pustynię zostawili już za plecami, wciąż znajdowali się na obszarze, na którym życiem rządziły przepływające rzeki.

Przez cały czas Tissafernes siedział na koniu, lekko pochylony w siodle, pośrodku długiego rzędu brodatych perskich wojowników. Wszyscy patrzyli na Greków niczym wilki spoglądające na jelonki, które podeszły do wodopoju. Ksenofont uśmiechnął się, pomyślawszy o nich właśnie w ten sposób. Jego ludzie byli niezrównanymi wojownikami, co udowodnili pod Kunaksą. Persowie otrzymali już od nich gorzką nauczkę i chociażby dlatego wciąż mieli się na baczności.

Tissafernes kazał swoim ludziom, aby utrzymywali niewielkie odstępy, i zagroził surową karą każdemu, kto chciałby wyłamać się z szeregu, jednak nikt nie wyrywał się do przodu, nikt nie wymachiwał włócznią ani mieczem. Nikt nie miał zamiaru prowokować Spartan w czerwonych płaszczach, którzy siedzieli i rozmawiali lub spoglądali bezmyślnie na Persów. Część Greków pluskała się i kąpała w płytkiej wodzie, a kąpielom towarzyszyły wesołe pokrzykiwania i śmiechy. Inni, podzieleni na małe grupy, śpiewali lub recytowali wiersze. Wiedzieli, że taka scena rozwścieczа obserwującego ich wroga, ale Ksenofont stwierdził, że niefrasobliwe zachowanie ludzi poprawia mu nastrój. Dlaczego mieliby w strachu wbijać wzrok w ziemię, nawet otoczeni przez tak wielu wrogów? Spartanie byli niecierpliwi i aroganccy, jednak ich arogancja w tym wypadku cieszyła wszystkich Greków.

Nawet bez jazdy oddziały perskie rozciągały się jak okiem sięgnąć. Greków otaczały dziesiątki tysięcy Persów. Tissafernes jakby wyczuł moment, kiedy Grecy napełnili ostatnie tykwy i bukłaki i zaczęli się przygotowywać do dalszej drogi. Wtedy ożywili się także Persowie, żołnierze zaczęli nawzajem dodawać sobie animuszu, nawoływać się, śpiewać, mobilizować. Niektórzy podeszli na odległość rzutu włócznią i Ksenofont zaklął pod nosem, widząc przed sobą nieprzebrany tłum wojowników w hełmach z ciemnymi rogami. Dyskretnie wydał rozkaz, aby dokończyć przeprawę.

Persowie byli coraz bardziej rozgorączkowani i dwie ich grupy zaatakowały bez ostrzeżenia. Zatrzymał ich las włóczni – zapora, której nie byli w stanie przebrnąć. Wyczuli, że Spartanie nie złamią szyku, stanęli więc tuż przed grotami włóczni, wyjąc, rycząc i wznosząc ku niebu przekleństwa.

Zza skrzydła perskiej formacji wyłoniła się para jeźdźców i ruszyła galopem. Jeźdźcy byli nisko pochyleni w siodłach i w pewnej chwili odwiedli wyprostowane ręce, aby z wielką siłą wyrzucić włócznie. Obie włócznie znalazły przestrzeń pomiędzy tarczami Greków i dwaj Spartanie padli martwi. Jeźdźcy zawyli triumfalnie i zaczęli radośnie potrząsać rękami.

Któryś z Koryntian wystąpił przed szereg trzema szybkimi krokami i także wyrzucił długą włócznię. Przebiła jednego z jeźdźców. Spadł na ziemię i zaległ na niej bez ruchu. W jednej chwili wypłynęło z niego życie, nie usłyszał już wrzawy, jaka się rozległa z powodu jego tragedii.

Teraz to Grecy śmiali się i wiwatowali, pośpiesznie kończąc przeprawę przez rzekę. Jednak każdy kolejny człowiek, który pokonał most, był przyczyną wściekłości Persów; nacierali z coraz większym zacięciem. Ksenofont wjechał na most z ostatnim oddziałem, odwracając się plecami do łuczników i wojowników we wzmocnionych drewnem płaszczach, którzy natychmiast z wrzawą podbiegli na sam brzeg. Kiedy schodził po drugiej stronie, przed mostem trwała już dzika walka.

Perscy oficerowie stracili wszelką kontrolę nad sytuacją. Żołnierze z pierwszych szeregów pobiegli do mostu z obnażonymi mieczami, a tymczasem Grecy spokojnie się wycofywali, wystawiając przed siebie włócznie i chroniąc się za tarczami. Musieli przyjąć na nie setki ciosów, rysujących i nacinających złocony brąz, jednak na żadne nie odpowiadali.

Kiedy most zapełnił się wyłącznie Persami, Ksenofont wysoko uniósł pięść. Po chwili ją opuścił, a wtedy cała konstrukcja wydała głośny zgrzyt i wpadła do rwącej rzeki. W czasie, kiedy w pozornej beztrosce Grecy przygotowywali się do przeprawy, wyznaczeni ludzie niepostrzeżenie nacinali podpory mostu i zastępowali je kłodami. Teraz wystarczył rozkaz Ksenofonta i kilka szybkich uderzeń w prowizoryczne podpory, aby

konstrukcja uległa zniszczeniu. Most załamał się pod ciężarem własnym i znajdujących się na nim żołnierzy w pełnym uzbrojeniu.

Ksenofont przez chwilę patrzył na ich panikę i trwogę, po czym skierował spojrzenie na Tissafernesa obserwującego wydarzenia z drugiego brzegu. Pir zareagował rozkazem wystrzelenia tysięcy strzał. W sekrecie przed Grekami sprowadził łuczników na pole bitwy, jednak strata mostu sprawiła, że stali się niemal bezużyteczni. Ich strzały dolatywały do celu, lecz Grecy po prostu schronili się za tarczami i żelazne groty uderzały z głośnym stukotem jedynie w brąz i drewno.

Ksenofont siedział prosto na wierzchowcu, wierząc w szczęście, które do tej pory mu sprzyjało. Tissafernes nie zaryzykował niestety przebycia mostu w pierwszej grupie. Gdyby tak się stało, dzień zakończyłby się dla Greków pełnym sukcesem. A tymczasem wciąż groźni Persowie musieli teraz tylko znaleźć bród na przeprawę. Zaczęli go szukać, wędrując w dół i w górę rzeki.

Ksenofont zrobił niechętną minę, kiedy zobaczył, że ziemia przed nimi się wznosi i w oddali na horyzoncie rysują się wzgórza. Patrząc ku północy, widział teren bardziej zielony, mniej nieprzyjazny. Wiedział, że Persowie urządzą na trasie marszu zasadzkę, był to jednak problem na kolejny dzień.

– Pośpieszmy się! – krzyczał bezustannie do swoich ludzi, dopóki nie nabrał pewności, że wszyscy już usłyszeli jego słowa. – Musimy zostawić ich jak najdalej za plecami…

Zmuszał się do uśmiechu, aby pokazać ludziom pewność siebie, której wcale nie czuł. Widział, że wielu cywilów potyka się o własne nogi. Wielu miało zniszczone buty i sandały, dlatego musieli owijać stopy szmatami. Na szczęście wszyscy mieli wodę, za co Ksenofont podziękował Posejdonowi, jednak znowu brakowało jedzenia. Popatrzył przed siebie, jakby tam szukał

jaśniejszych perspektyw. Nikt nie miał prawa dostrzec jego niepokoju ani strachu przed tym, co Tissafernes zaplanował dla jego ludzi wśród wzgórz.

* * *

Szli równym tempem całe przedpołudnie przez tereny, na których pojawiało się więcej oznak życia. Ani przez chwilę nie było możliwości zaspokojenia głodu dwudziestu tysięcy ludzi wystarczającą ilością jedzenia, jednak ci, którzy potrafili używać łuku lub procy, rozbiegali się po bokach kolumny i przynosili każde zwierzę, jakie tylko zdołali upolować i które nadawało się do jedzenia. Zataczali szerokie kręgi, stając się przy okazji oczami i uszami całej formacji. Ksenofont ignorował fakt, że sam głoduje, dopóki nie zobaczył, jak jego ludzie wrócili z kilkunastoma upolowanymi jeleniami; Grecy zaskoczyli stadko czterdziestu młodych byków w jakimś zagłębieniu terenu. Reszta zdołała uciec, sadząc ogromnymi susami i skacząc wysoko, żeby uniknąć pułapki. Udane polowanie oznaczało dla części ludzi perspektywę skromnego posiłku tego wieczoru, ale niosło też nadzieję.

Z każdą godziną marszu oczom wędrowców ukazywały się granie i kaniony, tymczasem słońce kładło długie cienie na szerokiej ścieżce poprzez klify. Ksenofont wysłał Hefajstosa z konnymi, którzy pozostali przy życiu, aby poszukali innych dróg, jednak tysiąc przejść kończyło się wśród skał i tylko jedna wielka przełęcz wiodła przez góry. Nietrudno było zgadnąć, gdzie Persowie zastawią pułapkę, a uniknięcie jej zdawało się po prostu niemożliwe. Cel ich podróży znajdował się na północy.

Rozbili obóz w sadzie wśród starych jabłoni trzymających się przy życiu w płytkiej dolinie. Droga przed nimi zdążyła się już pogrążyć w mroku. Nikt nie chciał iść dalej przed kolejnym wschodem słońca. Cywile połamali

gałęzie martwych drzew i naszykowali tyle suchego drewna, ile tylko zdołali znaleźć. Myśliwi przekazali bezcenne jelenie kobietom, które potrafiły je wypatroszyć i przygotować tusze do zjedzenia. Dziesiątki innych ludzi szukało na okolicznych zboczach świeżych roślin, zbierając zioła i trawy, o których wiedzieli, że sprzyjają utrzymaniu jedności ciała i duszy. Co więcej, wiedzieli też, że uczestnicząc w przygotowywaniu posiłku, zwiększają swoje szanse, aby posmakować chociaż kęs. Myśliwi dołożyli do uczty bażanta, kuropatwę i wychudzonego starego kozła, który ostatnimi siłami próbował uciec, jednak jakiś bystry chłopak złapał go i powalił na ziemię. Mięso zostało pokrojone na kawałki spartańskimi kopisami i upieczone na tarczach nad ogniem. Skwierczący i ociekający tłuszczem posiłek bacznie śledziły wygłodzone dzieci.

Chociaż nie było wina, dysponowali czystą i zimną wodą, a w obozie zapanował dość swobodny nastrój. Ksenofont próbował rozmawiać z oficerami o kolejnym dniu, ale mogli snuć tylko mgliste plany, dopóki nie wiedzieli, jaką formę przyjmie kolejny atak Persów. Ta niewiedza pod każdym względem zakłócała dobry nastrój Ksenofonta, kiedy układał się do snu, patrząc w gwiazdy. Zaczynał jednak wierzyć w pomysłowość swoich ludzi. Nie należało ich popędzać, to było prawdą. Mieli straszną skłonność do dyskutowania na temat każdego szczegółu, ale kiedy już coś postanowili, realizowali plan z pewnością siebie i z inteligencją. Był z nich wszystkich dumny.

Był pewien, że już spał, kiedy poczuł z boku dotyk innego ciała. Otworzył oczy i zobaczył Pallakis leżącą na ziemi obok, otuloną we własny koc. Usiadł w ciemności, w pełni świadomy, że cały obóz – tysiące ludzi, których życie zależało od niego – głęboko śpi.

– Pani – mruknął. – Przecież nie potrzebujesz jeszcze jednego opiekuna. A może Hefajstos nie jest w stanie zapewnić ci bezpieczeństwa?

Usłyszał, jak Pallakis odwraca się w ciemności. Była tak blisko, że poczuł jej oddech na twarzy.

– W życiu chodzi o coś więcej niż bezpieczeństwo – powiedziała.

– Tak, oczywiście. Byłaś kochanką księcia Cyrusa – odparł. Poczuł, że kobieta zesztywniała. – A później widziałem, że byłaś przynajmniej dobrą towarzyszką Klearchosa. Teraz zaś jesteś tutaj, u mojego boku, mimo że nakazałem Hefajstosowi, aby się tobą opiekował.

– A potem go odesłałeś – odezwała się Pallakis nagle bardzo niepewnym głosem.

Ksenofont się skrzywił, wyczuwszy niezręczność tej chwili.

– Zrobiłem to dlatego, że Hefajstos jest opiekunem koni, Pallakis. Dowodzi zwiadowcami i wysyłam go niemal każdej nocy… Poczekaj, czy ktoś na ciebie nastawał?

Kobieta niespodziewanie usiadła i zaczęła zbierać koc, aby odejść.

– Nie. Wszyscy mężczyźni w naszym obozie szanują Hefajstosa. Wiedzą, że znajduję się pod twoją opieką. Pomyślałam… Przepraszam.

Ksenofont odniósł wrażenie, że płonie mu twarz, ale odezwał się, zanim Pallakis zniknęła w ciemności nocy:

– Zostań ze mną, skoro już tutaj jesteś. Niedługo świta.

Ciemna postać obok niego znieruchomiała i długo patrzyła mu w twarz. Po chwili znowu położyła się na ziemi. A on leżał obok niej, rozbudzony i czujny, przez całkiem długi czas.

* * *

Kiedy Ksenofont nad ranem otworzył oczy, Pallakis nie było już przy nim. Przez krótką chwilę rozmyślał, czy przypadkiem tylko mu się nie przyśniła, odrzucił jednak tę myśl, kiedy pojawił się przy nim Hefajstos z jego

wierzchowcem. Zdążył już sprawdzić uprząż i dobrze napoić zwierzę, którego dosiadał wódz. Niestety wszystkie konie, którymi dysponowali, sprawiały liche wrażenie, mimo że teraz mogły chociaż skubać trawę na zboczach – wcześniej takiej możliwości nie miały. W przeciwieństwie do mężczyzn źle karmione nie mogły długo wędrować, co było przedmiotem nieustannej troski obu Ateńczyków. Bez konnych zwiadowców jego ludzie nie mogli przecież przetrwać tego marszu, to było oczywiste.

Hefajstos zdawał się nadąsany, podając dowódcy wodze i pomagając mu wsiąść na konia. Podał mu miecz i Ksenofont wsunął go za pas, zastanawiając się, czy powinien informować młodego człowieka o nocnych odwiedzinach. Przecież nie obiecał mu Pallakis, zresztą nie miał takiej władzy. Jednak odnosił wrażenie, że młodzieniec jest w niej zadurzony, a nie chciał, żeby kobieta stała się źródłem nieporozumień między nimi. Po namyśle postanowił milczeć. Będzie się trzymał z daleka od Pallakis i problem rozwiąże się sam.

Persowie pojawili się za nimi, zanim Grecy zwinęli obóz i byli gotowi do wymarszu. Ksenofont poczuł coś w rodzaju wdzięczności wobec Tissafernesa, gdyż dzięki temu nawet najbardziej leniwi cywile przyśpieszyli ruchy i przygotowali się do kolejnego dnia marszu. Nie można było ustawić szerszej kolumny żołnierzy wokół węższej cywilów – a taki szyk marszu Ksenofont preferował – ponieważ górska dolina była zbyt wąska, aby dwadzieścia tysięcy ludzi w ogóle ustawiło się w jakąś formację. Pomimo złych przeczuć uzgodnił porządek marszu z Chryzofosem. Spartanin uporczywie postępował w taki sposób, jakby był drugą osobą w łańcuchu dowodzenia, i nikt tego nie kwestionował. Inni wybrani dowódcy wydawali się zadowoleni z przewodzenia wyłącznie własnym ludziom i właśnie jemu pozostawiali kwestie strategiczne.

Ksenofont zastanawiał się, ile jeszcze błędów popełni Chryzofos, zanim to się zmieni.

Spartanie wymusili, że to oni poprowadzą kolumnę. Ksenofont rozkazał, aby wszystkie tarcze trzymać w gotowości, na wypadek gdyby Persowie znajdowali się już na wzgórzach. Nieśpiesznie przesuwał się na czoło marszu, starając się wyobrazić sobie, co może pójść źle, i martwiąc się, że umknie mu coś bardzo ważnego. Ludzie mu ufali, a on odczuwał wagę tego zaufania, zarazem egzekwując swoją władzę tak stanowczo jak nigdy wcześniej. Sprawowanie funkcji politycznej niskiego szczebla w Atenach było nieporównywalne z wyzwaniem, jakie niosło prowadzenie armii ludzi przez góry.

Persowie naciskali z tyłu i gdy ruszyli za Grekami, utrzymywali od nich niewielką odległość. Tego poranka tylną straż trzymali Stymfalijczycy, z procarzami i konnymi, którzy stanowili najlepszą obronę przed nagłym uderzeniem wroga. Tych ludzi straszliwie bolały szyje, bo stale musieli oglądać się za siebie, jednak nic nie można było na to poradzić.

Ksenofont usłyszał wrzask i ruszył szybciej wzdłuż skrzydła, zmuszając żołnierzy i cywilów, aby ustępowali mu z drogi. Miała ona szerokość zaledwie sześćdziesięciu kroków i stanowiła doskonały trakt dla wszystkich, tylko nie dla armii. Ściany górskie były poszarpane, wznosiły się stromo po obu stronach, a na zielonych zboczach czekały na nich oddziały perskie. Ksenofont właśnie zrozumiał, dlaczego Tissafernes tak naciskał jego ludzi od tyłu. Persowie wiedzieli, że sprzymierzeńcy są już blisko, i próbowali zmusić Greków do wejścia głębiej w dolinę.

Z przodu kolumny Ateńczyk był jedynym człowiekiem na koniu. Zmrużył oczy, patrząc przed siebie, a potem powoli się uśmiechnął. Spartanie maszerowali równomiernie i beznamiętnie, gotowi na zetknięcie z zaporą, którą niewątpliwie już dla nich przygotowano. Mogło to być

właściwie wszystko: od kamieni i płonącego oleju spływającego z gór po strzały o grotach wysmarowanych nieczystościami. Zaczęli przygotowywać tarcze, ale Ksenofont pokręcił głową.

– Chryzofosie, odgadłem pozycję Persów. Wybrali na atak miejsce szerokie i płaskie, ale popatrz wyżej… jest tam teren, który nad nimi góruje. Jesteśmy w stanie go zająć.

– Zobaczą, jak nadciągamy – odkrzyknął Spartanin, ale nie była to próba sprzeciwienia się dowódcy, raczej pełne zadowolenia stwierdzenie faktu.

– Zatem będziemy musieli biec – skwitował Ksenofont. – Sześciuset ludzi ze mną, najsprawniejszych. Wbiegniemy tam i spadniemy na nich z góry, czyli uprzedzimy ich ruch.

Skierował konia z drogi na porośnięte mchem zbocze. Za jego plecami Chryzofos wydał szybkie rozkazy. Sześciuset mężczyzn odłączyło od maszerującej kolumny i biegiem ruszyło za dwoma dowódcami. Sprawiali wrażenie zadowolonych, że wreszcie coś się dzieje.

– Żołnierze! – krzyknął do nich Ksenofont. – Zapamiętajcie! Zmagacie się w imieniu tych, których ocalicie, ale walczycie także o to, żeby zobaczyć Grecję! Walczycie o swój honor i o to, żeby znowu ujrzeć swoje żony i dzieci. Bądźcie dzielni, a zrzucicie Persów z tego wzgórza!

– Tobie to dobrze, siedzisz na koniu – odpowiedział mu jeden z hoplitów. – A ja już ledwo chodzę z tą ciężką tarczą.

Ksenofont wbił wzrok w mężczyznę; jego dobry nastrój w jednej chwili prysnął. Bardzo powoli zsiadł z wierzchowca i podszedł do żołnierza. Koń natychmiast opuścił łeb i zaczął skubać trawę. Wódz stanął przed tym, który przed chwilą się do niego odezwał.

– A więc zostań – powiedział do niego.

Wyrwał mężczyźnie tarczę i pobiegł pod górę. Natychmiast pognali za nim pozostali żołnierze. Pędzili co sił w nogach, a tymczasem na dole

najbliżsi kompani marudy zaczęli rzucać w niego kamieniami, dając wyraz swojemu niezadowoleniu.

Ksenofont biegł i przeskakiwał kamienie, aż się zrobił czerwony na twarzy. Ciężko dyszał, jednak na górski grzbiet wbiegł razem z innymi. Tarczę trzymał jak trofeum, a ci, którzy znajdowali się trochę niżej od niego, zaczęli mu wiwatować. Persowie, którzy przygotowywali pułapkę, opuścili pozycje, wybierając inną drogę w dół, kiedy tylko zrozumieli, że próba uzyskania przewagi się nie powiodła. Radosne okrzyki Greków odbiły się w górach wielokrotnym echem. Dotarły do uszu Tissafernesa, kiedy jego oddziały wciąż się skradały doliną. Zatrzymał swoich ludzi, nie chcąc podążać dalej do miejsca, w którym ukształtowanie terenu odbierało jego armii przewagę liczebną. Ksenofont zszedł ze wzgórza i dołączył do głównych sił. Grecy kontynuowali marsz przez dolinę, zmierzając ku rozpościerającej się dalej równinie.

27

Płaskie tereny po drugiej stronie gór nosiły liczne ślady działalności człowieka. W oddali migotała szeroka rzeka, Grecy poszukiwali jednak wzrokiem wiosek i kamiennych zabudowań. Dostrzegli dym z ogniska i stado kóz prowadzonych przez pasterzy. Wielu wydało okrzyki ulgi, widząc przed sobą krajobraz na pewno obfitujący w żywność i wodę i nie czując już za plecami podstępnego wroga.

Ksenofont rozkazał Hefajstosowi, żeby zorganizował zwiad. Młody Ateńczyk podszedł do niego z zaciśniętymi ustami, milczący, jednak kiedy tylko zrozumiał polecenia, energicznie przystąpił do ich realizacji. Ksenofont obserwował go jeszcze z pewną złością, lecz uznał, że jeśli relacje między nimi mają wyglądać właśnie w ten sposób, potrafi to zaakceptować. W końcu w Atenach także nie byli przyjaciółmi, a poza tym teraz miał znacznie większe problemy. Hefajstos jeszcze mu nie zniknął z oczu, gdy podszedł Chryzofos z nowym dowódcą, Silezjosem.

– Dziękuję, że się zjawiliście – powiedział Ksenofont, kiedy zrównali się z nim w marszu. – Mam zamiar utworzyć mały oddział uderzeniowy złożony z naszych lepszych wojowników. Jeżeli nadal będziemy nękani na przełęczach i na mostach, musimy dysponować tylną strażą wyposażoną w jak najdłuższe włócznie, a także w najlepszych procarzy i kilku kreteńskich łuczników.

– To doskonały pomysł – odparł Chryzofos. – Sformuję sześć oddziałów po stu ludzi i wyznaczę polemarchów. W zdecydowanej części ich działania

okażą się niewdzięczną pracą, niedającą satysfakcji. Dlatego wątpię, aby znalazło się wielu ochotników. Czy mogę zasugerować…

– Nie możesz sugerować, aby to były oddziały Spartan, jeżeli to chcesz powiedzieć – przerwał mu Ksenofont. – Chociaż wzbudzają podziw, lepiej będzie dla nas, jeżeli pozostaną z przodu. Zresztą takie rozwiązanie wspierałeś już wiele razy.

– Bardzo dobrze, wodzu – odparł Spartanin i skinął głową. – Ale przybyliśmy do ciebie, ponieważ Silezjos chciałby zamienić z tobą słowo.

Ksenofont popatrzył na drugiego z dowódców i zachęcił go ruchem głowy, aby się odezwał. Słyszał, jak Tesalczyk przemówił publicznie tylko jeden raz, tego dnia, kiedy okazał mu swoje poparcie. Mimo wszystko jego nagłe pojawienie się wzbudziło czujność Ksenofonta.

– Aha – odezwał się. – Kiedy my będziemy rozmawiać, ty, Chryzofosie, odpowiadasz za nasze wejście do tych wiosek. Zabierz całą żywność, jaką znajdziesz, a także zwierzęta juczne, trzodę i wszelkie pojazdy, jakie będziemy mogli wykorzystać. Potrzebujemy kotłów i nowych bukłaków na wodę, żeby zastąpić zniszczone. Co więcej, potrzebujemy butów, zabierz je wieśniakom. Oni nie muszą wędrować przez całe imperium z armią perską na karku. Zrozumiałeś?

Chryzofos przyklęknął na kolano i po chwili pozostał z tyłu, ponieważ koń Ksenofonta ani na chwilę się nie zatrzymał. Ten jeszcze odwrócił się za Spartaninem, ale dowódca już biegł, zwołując polemarchów i pentekosterów, których potrzebował do wykonania zadania.

Silezjos także przez chwilę patrzył za nim, po czym odchrząknął. Nie bardzo chciał zadzierać głowę, rozmawiając z Ksenofontem dosiadającym wierzchowca, jednak nic nie wskazywało, że Ateńczyk zeskoczy na ziemię.

– Chciałeś ze mną rozmawiać – zachęcił go wódz.

– Tak… I chcę zauważyć, że przekroczyliśmy pasmo górskie, a tymczasem nie ma nawet śladu po Tissafernesie i Persach, że nie wspomnę o samym królu. Niepokoi mnie to tak bardzo, że chociaż nie zawracałem ci głowy wcześniej, uznałem teraz, że nadszedł czas, aby przedyskutować kwestię dalszego marszu naszych żołnierzy.

– I towarzyszących im cywilów – dodał od niechcenia Ksenofont.

– Tak, oczywiście, także cywilów. Odnoszę wrażenie, że ograniczyliśmy ewentualność wystąpienia nagłego zagrożenia, przynajmniej na razie. Wiesz, że Menon był moim wujem, prawda? Służyłem w wojsku przez czternaście lat w jego cieniu, a jak rozumiem, ty – zacisnął na chwilę szczęki, tak że pod skórą pokazały się mięśnie – dysponujesz doświadczeniem o wiele krótszym.

– Och, zdecydowanie krótszym – odparł Ksenofont. – Zauważyłem jednak, że wuj nie mianował cię swoim zastępcą. Niemniej, kiedy pojawiła się okazja, wykorzystałeś ją i ludzie Menona cię zaakceptowali. To było śmiałe posunięcie, a ja nie miałem jeszcze okazji, żeby ci podziękować za wsparcie. Jestem ci wdzięczny, Silezjosie. Bez takich ludzi jak ty nie przetrwalibyśmy, nie dotarlibyśmy nawet do tej równiny. A bez waszej odwagi i dyscypliny nie zobaczymy naszych domów. Jestem tego pewien. Bez absolutnego posłuszeństwa, w każdym momencie, zarówno ludzi, którymi dowodzisz, jak i poszczególnych dowódców, zginiemy na ziemiach imperium perskiego i nigdy więcej nie posmakujemy ani greckiego wina, ani greckich oliwek. Nie będziemy oklaskiwać sztuk Eurypidesa ani nie będziemy słuchać dyskusji na ateńskiej agorze. Co gorsza, jeżeli polegniemy tutaj, zapomni o nas nasz własny lud.

Mówił niemal jak w natchnieniu, układając słowa w marzenie, które zaskoczyło i jego samego, i Silezjosa wyrazistością emocji, jakie wywołało. Tesalczyk westchnął, gdyż Ksenofont obudził także jego wspomnienia.

– W Atenach widziałem *Medeę*. Sam Eurypides był obecny w amfiteatrze i wszyscy widzowie wstali, aby oddać mu cześć. To było… zadziwiające. Kiedy szedłem po spektaklu do domu, czułem się, jakby po wielu latach ktoś zdjął z moich barków wielki ciężar.

Silezjos przez chwilę się zastanawiał, czy nie przenieść rozmowy z powrotem na sprawy praktyczne, ale uznał, że nie ma takiej potrzeby. Tak naprawdę nigdy nie chciał być dowódcą. Jego wuj to rozumiał, mimo że polemarchowie wciąż wypychali siostrzeńca Menona do przodu. Uśmiechnął się bez radości i skłonił głowę.

– Bardzo dobrze, strategu. Będę się modlił, abyś doprowadził nas wszystkich szczęśliwie do domu.

– Bardzo cię o to proszę – odparł Ksenofont.

Zachęcił konia do kłusa i wysforował się naprzód. Słońce zachodziło już za wzgórzami, rzucając na pola długie cienie. Ateńczyk zadrżał. Zauważył, że z pól zebrano już zboża. Jego ludziom było to na rękę, gdyż mogli zabrać bezcenne ziarno prosto z magazynów. Ale to oznaczało też, że czas biegnie naprzód i zmieniają się pory roku. Zimny wiatr zdawał się przytakiwać jego rozmyślaniom i Ksenofont potrząsnął głową. Cokolwiek się działo, cokolwiek miało nadejść, on musiał prowadzić swoich ludzi w obranym kierunku. Przynajmniej tyle był winien Klearchosowi.

– Kiedy się znowu spotkamy, Spartaninie – zaczął się modlić półgłosem – kiedy zapytasz mnie, co zrobiliśmy po twojej śmierci, nie będę musiał się wstydzić swoich uczynków. Obiecuję ci to. Sprowadzę ich z powrotem.

Przypuszczał, że Silezjos ma ochotę na większą władzę albo chciałby mieć więcej do powiedzenia przy organizacji marszu. Nieznacznie pokręcił głową. To byli jego ludzie. On sam był ateńskim arystokratą i znalazł swój prawdziwy cel. Nie podda się, nie odda nawet części władzy, nikomu.

* * *

Nad ranem Chryzofos wysłał ludzi, aby pozrywali owoce w okolicznych sadach i w celu zgromadzenia jeszcze większych zapasów żywności poszukali gospodarstw oddalonych od wiosek. Grecy nie byli przygotowani na tysiące Persów, którzy przebyli góry zupełnie inną trasą, pieszo oraz konno, i skutecznie odcięli ludzi szukających żywności od reszty ich sił. Kobiety i mężczyźni rzucali na ziemię koce wypełnione owocami i uciekali ile sił w nogach, gdy tymczasem Chryzofos wysłał biegiem sześćdziesięciu Spartan, którzy znajdowali się najbliżej niego, w przeciwnym kierunku.

Szybko dopadli ich spieszeni Persowie i bitwa przerodziła się w coś na kształt ateńskiej bijatyki ulicznej. Każdy żołnierz starał się zadać cios przeciwnikowi, który wydawał mu się najsłabszy. Zachwyceni Persowie bili poza tym każdego, kto znalazł się w ich zasięgu, uzbrojonego lub nieuzbrojonego, i biegli dalej, nie czekając na kolejnego wroga. To była jatka i dziesiątki Greków zginęło, zanim Ksenofont uruchomił główne siły. Widok długiego rzędu swoich wkraczających do walki ukoił nerwy tych, którzy dotąd uciekali przed przeważającym wrogiem, i uzupełnili szeregi. Na polu za ich plecami pozostały ciała i podeptane śliwki i figi.

Dostrzegłszy naprzeciwko główne siły wroga, Persowie wycofali się jeszcze raz, wykorzystując do manewru wielką liczbę koni. Wzrok Ksenofonta przyciągnęła postać w bieli obserwująca wszystko z daleka; nie mógł dopaść Tissafernesa, mógł go jedynie przeklinać. Jego zemsta, jeżeli kiedykolwiek miałby się nią cieszyć, miała polegać na tym, że jako wolny człowiek zostawi za sobą tego grubasa, zastanawiającego się, co się z nim dalej stanie.

Ponieważ Grecy wiedzieli już, że są obserwowani, ogołacanie wiosek z żywności nabrało tempa. Ksenofont obwiniał się o to, że nie wystawił

lepszych straży, ale nie był w poczuciu winy osamotniony. Chryzofos przez wiele godzin krążył po obozie, opryskliwy dla każdego, kto ośmielił się do niego podejść. Na nieprzyjaznej ziemi zaniedbali czujności, a przecież wróg wciąż krążył dookoła, gotów obnażyć każdą ich słabość.

Jeszcze gorszą wiadomością było to, że ich drogę przecina szeroka rzeka. Trasa przez góry zawiodła ich na wschód i północ, nie mogli jednak iść dalej, nie przekroczywszy nurtu o wiele głębszego niż długość włóczni. Ksenofont przesłuchał jeńców, których zabrano z wioski, ale ich informacje wcale nie były tak dobre, jak by pragnął. Wśród żołnierzy zapanowała ogromna nerwowość, kiedy zrozumieli, że utknęli pomiędzy pasmem górskim i rzeką, której nie są w stanie przekroczyć. Jeden z Greków zasugerował, żeby do przeprawy użyć owczych pęcherzy, jednak takiego przedsięwzięcia nie można było zrealizować pod okiem Tissafernesa i jego jazdy.

Na południu leżał Babilon, czyli samo serce imperium perskiego, droga na zachód wiodła z powrotem przez góry. Rzeka blokowała przemarsz na wschód, a wieśniacy powiedzieli strategowi, że właśnie tam znajduje się Ekbatana, letnia rezydencja królów perskich, i miejsce bronione tak dobrze jak żadne inne na świecie.

Ksenofont zebrał swoich oficerów na głównym placu we wsi, a tymczasem zastępy hoplitów otoczyły obozowisko.

– Według miejscowych chłopów na północy znajduje się pasmo górskie rozciągające się ze wschodu na zachód na długości wymagającej wielu miesięcy marszu. Jeżeli przejdziemy przez te góry, droga poprowadzi nas do Armenii. Stamtąd będziemy mogli iść dalej na północ i na zachód, aż dotrzemy do osiedli greckich nad Morzem Czarnym. Nie wiem, jak daleko jest do wybrzeża od tych gór, nie możemy ich jednak obejść. Musimy przez nie przebrnąć. – Umilkł, przez chwilę zastanawiając się nad kolejnymi

słowami. – O plemionach, które je zamieszkują, mówi się, że są nadzwyczaj dzikie i niezwykle liczne. Przywódca tej wioski opowiada o nich, że są mściwymi duchami. Twierdzi, że jeśli spróbujemy przejść przez góry, które zamieszkują, nie przeżyjemy tego.

– Twoje przemówienie wcale nie jest tak inspirujące, jak sobie wyobrażasz, wodzu – odezwał się Chryzofos ku uciesze pozostałych mężczyzn. – Temu wieśniakowi zależało, żeby nas przestraszyć, ale czy mamy inne wyjście, jak zmierzyć się z tymi górskimi demonami, Karduchami? Udało nam się dotrzeć aż tutaj, ale… przecież nie możemy wiecznie się tułać.

Ksenofont uniósł rękę i Spartanin natychmiast zamilkł.

– Rzeka jest zbyt głęboka i zbyt szeroka. Ponieważ dodatkowo mamy na karku perską jazdę, próba jej przekroczenia będzie dla nas oznaczać masową śmierć. Nie, według mnie najlepszym rozwiązaniem jest jednak marsz na północ, aby wydostać się z Persji jak najkrótszą drogą. – Popatrzył na otaczających go mężczyzn i poczuł wzbierającą radość. Chociaż u wielu widział długie brody i żylaste mięśnie, bo przecież dużą część tej gromady stanowili ludzie starsi od niego, to nie była po prostu grupa, której przewodził, to byli jego bracia – a w obozie także siostry – jego synowie i córki. – Mówi się, że Persowie boją się plemion Karduchów. Istnieje więc duża szansa, że nie ośmielą się iść za nami przez górskie przełęcze. Może w końcu się ich pozbędziemy. – Ksenofont umilkł, zdając sobie sprawę, że wróg, którego śmiertelnie boją się Persowie, wcale nie musi być dobrą alternatywą dla jego ludzi. – Jeżeli ktoś ma lepszy pomysł, niech się odezwie teraz. Jeśli nie, poprowadzę was na północ przez równinę, a potem najwyższymi szczytami. Zbierzcie wszystkie koce i okrycia, jakie da się tutaj znaleźć. Będziemy potrzebowali każdej sztuki.

Siedział w milczeniu, gdy oficerowie zaczęli dyskutować, wiedział jednak, że ostatecznie dojdą do takiego samego wniosku jak on. Nie wspomniał ani słowem, co usłyszał od szefa wioski na temat armii perskiej, która przeszła tędy przed ośmiu laty. Podobno sto dwadzieścia tysięcy ludzi wkroczyło na niemal niedostępne tereny plemion Karduchów. Ani jeden człowiek nie wrócił stamtąd żywy. Ksenofont miał nadzieję, że pomarszczony stary wieśniak opowiada jedynie legendy, aby wystraszyć obcych najeźdźców. Starzec miał jedno białe oko i jeden długi brązowy ząb oraz twarz przypominającą skorupę orzecha. Jeżeli mówił prawdę albo w jego opowieści tkwiło chociaż ziarno prawdy, Ksenofont zbliżał się właśnie do popełnienia największej pomyłki swojego życia – a jednak dla jego decyzji praktycznie nie istniała alternatywa.

Poza wiejskim placem reszta Greków szykowała się do drogi. Dwadzieścia tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci wydawało się ogromną grupą, kiedy tłoczyli się w jednym miejscu, jednak w kolumnie marszowej, rozproszeni, nie sprawiali już tak imponującego wrażenia. Ksenofont ustawił z trzech stron ochraniające cywilów formacje o szerokości czterdziestu żołnierzy, z ośmiuset Spartanami w charakterze straży przedniej. Wewnątrz kolumny znajdowali się cywile, którzy z każdym dniem wędrówki coraz bardziej przypominali umęczonych pielgrzymów w łachmanach, wędrujących ku wyroczni albo jakiejś świątyni z nadzieją na wyleczenie.

Ich nastrój i zdrowie poprawiły przynajmniej dwa dni dobrego i obfitego jedzenia. Za odebranie go wieśniakom odpowiadał Chryzofos i bardzo dokładnie wykonał zadanie. Wioskom ogołoconym niemal ze wszystkiego tej zimy groził głód, jednak Ksenofont uznał, że jest to raczej problem Tissafernesa, a nie zmartwienie, którym on miałby się kłopotać. Gdyby jego ludziom pozwolono odejść w spokoju po bitwie pod Kunaksą, nie

postępowałby tak surowo w wioskach, które mijali. Na chwilę przerwał rozmyślania, uzmysłowiwszy sobie, że dwadzieścia tysięcy ludzi traktuje jak własny lud. Ufali, że ich ocali, a on wiedział, że sam jest gotów umrzeć, aby tak się stało. W Atenach poszukiwał celu swojego życia i nie zdołał go znaleźć. Potrząsnął głową i roześmiał się na myśl, czy kiedykolwiek zdoła opowiedzieć o swoich doświadczeniach Sokratesowi.

Dopóki oficerowie nie skończyli dyskusji na temat dalszego marszu, ludzie ustawieni już w kolumnach coraz bardziej się niecierpliwili, a słońce zdążyło niemal stanąć w zenicie. Kiedy rozbrzmiały dźwięki rogów, wszyscy zajęli właściwe pozycje z przyzwyczajenia, rozglądając się po twarzach najbliższych sąsiadów w stałym szyku. Najsilniejsi nieśli na ramionach mięso owinięte w szmaty, siatki z kurczakami albo skórzane bukłaki z wodą. Wielu taszczyło całe naręcza zimowych okryć albo wełnianych koców – wszystko, co znaleziono w wiosce, a co nadawało się do ochrony przed zimnem. Chłopcy prowadzili stado kóz, czasami smagając je po grzbietach lub popychając długimi kijami.

Ksenofont pośpieszył na czoło marszu, kiedy tylko Hefajstos i jego zwiadowcy pocwałowali konno daleko naprzód. Gdy się tam znalazł, armia perska wyłoniła się z przełęczy za pochodem Greków, niczym oliwa wyciekająca z pękniętego dzbana. Persowie obserwowali ich z nienawiścią, jednak nie podejmowali ataku. Maszerując pomiędzy wioskami, byli w miarę bezpieczni. Domy i uliczki odbierały przewagę ścigającym. Ksenofont wiedział, że na pustym terenie sytuacja się zmieni. Przywódca wioski twierdził, że marsz przez równinę potrwa wiele dni, że odległość do pokonania to sto parasangów, a może nawet więcej. Ksenofont wciąż miał nadzieję, że starzec snuł zniechęcające opowieści tylko dlatego, że chciał osłabić ducha jego ludzi.

– Idziemy na północ! – zawołał do tych, którzy prowadzili marsz.

Poczuł, jak serce pęcznieje mu z dumy. To jest jego lud. Jego rodzina.

* * *

Kiedy zostawili wioski za plecami, oddziały perskie znów przybliżyły się do ich tyłów, jednak z każdym dniem marszu Grecy byli coraz bardziej zahartowani. Skóra i spracowane mięśnie zyskiwały na wytrzymałości. Z całą pewnością w Grekach nie pozostała już ani odrobina słabości. Wszelką słabość wypaliła w nich pustynia.

Tissafernes wysyłał mniejsze grupy żołnierzy, aby posuwali się równolegle z kolumną i od czasu do czasu posyłali kąśliwe strzały w środek maszerujących. Kiedy jednak Persowie zbliżali się na odległość ataku, zagrażali im procarze, którzy z każdym dniem posługiwali się swoją bronią z większą wprawą.

Większym zagrożeniem była perska jazda. Konni szybko zmieniali pozycje, poruszali się w dużych grupach i posyłali w kierunku Greków włócznie lub oszczepy. Straż tylna musiała wznosić tarcze dla obrony, ani na chwilę nie zatrzymując marszu. Pierwszego dnia Grecy stracili sporo ludzi, którzy nie wytrzymywali tempa i pozostawali z tyłu, po dwie–trzy osoby. Kiedy rozbijali obóz, brakowało ich około sześćdziesięciu. Trudno było nie wyobrażać sobie, że ten powolny upływ krwi będzie trwał przez całą drogę do pasma gór i w końcu Greków pozostanie zbyt mało, aby się bronić, i ostatni zostaną wycięci w pień. Nastrój na postoju zrobił się ponury, ludzie byli utrudzeni i ciężko oddychali.

Ksenofont obserwował, jak słońce dociera do horyzontu i Persowie również wstrzymują działania, rozbijając obóz. Dziwił się ich ciągłym obawom przed nocnym atakiem. Były one przez cały czas na tyle duże, że wciąż trzymali spory dystans pomiędzy obozami. Według Hefajstosa, który

pieszo poszedł na zwiady, najpierw cofnęli się o wiele mil i dopiero wtedy poczuli się na tyle bezpieczni, by spętać konie.

Ksenofont zobaczył, jak Tissafernes uniósł rękę niemal w pozdrowieniu, zanim zawrócił wierzchowca. Światło dnia zaczęło przygasać. Dziękował bogom za ten dar losu. Bardziej zdeterminowany Pers prowadziłby ataki z dwukrotnie większą intensywnością i by się nie wycofał, dopóki całkowicie nie unicestwiłby Greków.

Ksenofont pomyślał o sześćdziesięciu ludziach, których stracił tego dnia, i obnażył zęby w nagłej wściekłości. Strata była zbyt wielka. Wiedział, że część żołnierzy chciałaby, żeby zatrzymał marsz i zaatakował prześladowców. Perska duma nakazałaby Tissafernesowi podjąć walkę i Grecy wybiliby pewnie połowę jego armii, zanim reszta by uciekła.

Była to kusząca wizja, jednak Ksenofont wiedział już, że na wojnie nic nie jest pewne. Gdyby stracił chociaż czwartą część hoplitów, ci, którzy pozostaliby przy życiu, stanowiliby zbyt małą siłę, żeby chronić cywilów. Straciliby wszystko. W ostrych słowach uzmysłowił to dowódcom i przyjęli jego punkt widzenia, chociaż z oporami. To on był strategiem, którego wynieśli na stanowisko naczelnego wodza. Dopóki nie poniesie klęski, jego rozkazy musiały być traktowane jak świętość.

Przez dziesięć dni każdego poranka wyruszali w drogę, kiedy gwiazdy wskazywały, że świt jest już blisko. Zarzynali zwierzęta i wkrótce pochłonęli ostatnie kęsy jedzenia, które zabrali wieśniakom. Głód znowu wkradł się pomiędzy nich niczym zła bestia. Znowu musieli się budzić i ruszać w drogę, napełniając żołądki jedynie zimną wodą.

Zostawiali za sobą sterty kału. Persowie musieli brnąć w nich, co było jedynym pocieszeniem dla coraz bardziej zarośniętych i śmierdzących ludzi. Maszerującym ludziom zaczął towarzyszyć brud jako stały element. Nad ranem opróżniali pęcherze w spokoju, ale przez resztę dnia musieli to

czynić, nie zatrzymując się. Kobiety cierpiały najbardziej, nie miały jednak żadnej szansy na prywatność. Początkowo mężczyźni odwracali wzrok, kiedy kobiety oddawały mocz w marszu, ale wkrótce stało się to tak pospolitą czynnością, że nikt się nią nie przejmował.

W miarę jak zbliżali się do gór, noce były coraz zimniejsze. Ku ich zaskoczeniu pewnej nocy spadł śnieg; budzili się, przykryci białym puchem, drżący i otępiali. Niektórzy wdawali się w bijatyki, gdy padło jakieś twardsze słowo, albo zupełnie bez powodu. Głód przyniósł do obozu bezustanną, sączącą się ze wszystkich stron złość.

Wyruszając w drogę, każdego poranka jęczeli i marudzili. Brakowało im sił. Tylko Spartanie ruszali się tak jak zawsze, jakby wysiłek nigdy nie był dla nich problemem. Mieli już bardzo długie brody, a warkocze leżały im na plecach, na czerwonych płaszczach. Uśmiechali się popękanymi ustami i zwilżali je pojedynczymi łykami wody.

Za nimi każdego dnia widać było w oddali Persów, nieuchronnie skracających dystans po nocnym postoju. Jedynie poranki dawały chwilę wytchnienia, ale wkrótce wróg zbliżał się na odległość strzału – z procy czy z łuku – albo rzutu włócznią. Grecy czekali na tę chwilę i kiedy nadchodziła, odczuwali wręcz ulgę. Kontynuowali jednak mozolną wędrówkę przez równinę. Tymczasem przed nimi powoli rosły góry, a za nimi pozostawali umierający ludzie. Każdego wieczoru ciągnęli losy, aby ustalić nowy skład straży tylnej na następny dzień, bo ci, którzy w tej formacji przetrwali poprzedni, nękani bezustannymi kąśliwymi atakami, na postoju byli zbyt zmęczeni, aby cokolwiek mówić, osłabieni ciągłym strachem i bezustanną czujnością.

Osiemnastego dnia szli jak duchy przez zupełnie puste ziemie. Myśliwi próbowali coś upolować, jednak większości dla podtrzymania życia musiała wystarczyć woda. Ludzie od spoglądania w dal mieli czerwone oczy. Góry

ich dręczyły, podpowiadały, że minie wieczność, zanim do nich dotrą, i wydawały się od nich oddalać na horyzoncie. Jednak tego poranka wydawały się już bliskie, chociaż wcale nie bardziej zachęcające niż wcześniej. Granie zdawały się brutalnie ostre, wznosząc się pionowo nad ziemią raczej jak sztylety niż łagodnymi zboczami. Na najwyższych szczytach zalegała śnieżna czapa, a one same zdawały się cofać bez końca.

Tissafernes zarządził atak, kiedy Grecy znajdowali się na pogórzu, kiedy cel ich wędrówki był już wyraźnie widoczny. Z pierwszych szeregów Ksenofont dostrzegał pierwszą głęboką dolinę, do której Hefajstos wysłał zwiadowców, każąc im zbadać teren jak najdalej w głąb pasma górskiego. Zdawało się, że Persowie nie pozwolą Grekom zniknąć im z pola widzenia, nie rozlawszy kolejnej porcji krwi. Lecz oddziały podążające za nimi także były skrajnie wymęczone, bo przecież żołnierze przez czterysta mil postępowali za wrogiem, którego nie potrafili skutecznie zatrzymać.

Kiedy Persowie sformowali długi front ataku, ich oficerowie znaleźli się tak blisko Greków, że ci słyszeli wykrzykiwane rozkazy. Ksenofont skinął na Chryzofosa i Spartanie kolumnę marszową przekształcili w straż tylną. Ich mięśnie nie lśniły i nie były tak sprężyste jak wcześniej. Brody mieli rozwichrzone, a oni sami sprawiali wrażenie żylastych dzikusów, tyle że wciąż lepiej wyszkolonych niż jakikolwiek oddział Persów. Widać było ich pewność siebie, mimo że znad gór wiał chłodny wiatr, a oni, stojąc w szeregu w oczekiwaniu na przeciwnika, szczękali zębami. Ich czerwone płaszcze furkotały na wietrze. Cywile weszli już w najbliższą przełęcz i na polu bitwy pozostali hoplici, którzy do tej pory ich osłaniali. Obnażywszy miecze i wzniósłszy włócznie, ukazywali w ciemności lśniące białe zęby.

Chryzofos nie nosił tego dnia tarczy. W prawej ręce trzymał krótki miecz o ostrzu nie dłuższym niż jego przedramię. W lewej dzierżył o wiele

krótszy kopis. Zważył tę broń w dłoniach i uśmiechnął się, spoglądając na zbliżającego się wroga.

– Do ataku, Spartanie! – krzyknął, a jego głos uniósł się nad frontem. – Wszyscy do ataku! Macie jedyną szansę, skurwysyny. Ostatni chwalebny moment epopei, zanim opuścimy to imperium na zawsze. Sami wybierzcie, co będziecie później opowiadać swoim dzieciom.

Persowie zaczęli się wahać, zwalniać, kiedy tylko zobaczyli naprzeciwko czerwone płaszcze odwiecznego wroga. Oficerowie gnali ich jednak do przodu; niektórzy krótkimi kijami dźgali w plecy niezdecydowanych.

Zobaczyli przed sobą złotawe tarcze z brązu, a także lśniące hełmy i nagolenice wykonane z tego samego stopu. Dumni Spartanie mienili się czerwonymi i złotymi barwami i po raz pierwszy od bardzo dawna nie wycofywali się, lecz dumnie stawali naprzeciwko wroga.

Frontowe zastępy się zwarły i hoplici wreszcie zaczęli bić przeciwników, którzy od tak dawna bezustannie ich nękali. Pomimo bólu i wycieńczenia zachowywali się jak chłopcy, którzy wreszcie zyskali możliwość podeptania gniazda os. Dźgali i siekali Persów wręcz z radością, posługując się włóczniami, później tarczami i mieczami, a wreszcie kopisami, których szybkie, energiczne pchnięcia przecinały palce wrogów i nieuchronnie odbierały im życie.

Persowie zaczęli się cofać, przerażeni skalą rzezi, jednak Tissafernes dostrzegł szansę i wysłał do boju kolejne oddziały, którym nakazał otoczyć Greków, po czym zaatakować ich tylne szeregi, tych najsłabszych, najbardziej zmęczonych ludzi; niektórzy z trudem trzymali się na nogach. Widząc, co się dzieje, zaczęli krzyczeć ostrzegawczo i ich głosy dotarły do Chryzofosa, który walczył i zabijał w pierwszym szeregu. Zaklął, mrużąc oczy. Mógł wystawić Spartan przeciwko siłom dziesięciokrotnie liczniejszym, lecz Tissafernes przeprowadził ich śladem przez imperium

osiemdziesiąt, a może nawet dziewięćdziesiąt tysięcy ludzi. Grecy nie mogli wygrać tej walki. Mogli jedynie utoczyć z wroga jak najwięcej krwi.

– Wycofujemy się, Spartanie, w uporządkowanym szyku. Zabezpieczamy skrzydła i cofamy się. Zbierajcie naszych zmarłych. Ich rodziny będą zawodzić z żalu, rozmyślając o naszym losie.

Wyszczerzył zęby, usłyszawszy gromki śmiech ludzi, którzy rozpoczęli przygotowania do odwrotu. Jeszcze raz wysoko wznieśli tarcze i włócznie, które jak potężne kolce uniemożliwiały atak jeźdźcom. Rozwścieczeni Persowie zaczęli wykrzykiwać nad ich głowami przekleństwa i poprzysięgać zemstę.

Tissafernes bał się, że jego ludzie zostaną wciągnięci zbyt głęboko w góry. Słyszał przecież o plemionach, od których aż się roiło wśród najwyższych szczytów. Imperium perskie miało pod swoimi skrzydłami całe królestwa, od Babilonu po Medię. Górskie granie pozostały jednak poza jego kontrolą, niebosiężne, nieposkromione. Patrzył, jak Grecy się wycofują, patrzył na zwłoki, które pozostały po nich na polu bitwy i teraz zalegały na ziemi niczym marne łachmany albo połcie nie do końca posiekanego mięsa. Odchodzący Spartanie, zanim zniknęli wśród gór, posyłali im jeszcze ostatnie spojrzenie, a na ich twarzach malowała się wielka pogarda dla śmierci.

Pod wpływem nagłego impulsu uniósł rękę, żegnając ich. Grecki oficer, którego nie znał, odwrócił się na koniu i przez chwilę na niego patrzył. Odpowiadając mu, także uniósł rękę i po chwili cwałował już pomiędzy granie. Tissafernes pokręcił głową. Myślał, że Grecy poddadzą się po stracie wodzów w czasie uczty. Przysiągł Artakserksesowi, że bez przywódców staną się bezradni. A tymczasem wybrali następców i jakoś przetrwali. Pomyślał, że są bardzo dziwnym ludem. Przez chwilę zastanawiał się, co zrobią z nimi Karduchowie.

Zwrócił się do swojego zastępcy, Mitrydatesa.

– Chcesz iść z nimi? – zapytał.

Grek pokręcił głową.

– Za nic w świecie, panie. Zresztą już nigdy więcej ich nie zobaczymy.

– Też tak uważam. Kiedy wrócę do króla, oznajmię mu, że ich zniszczyliśmy. Czy będzie to trafne stwierdzenie, jak sądzisz?

Grek przytaknął.

– Tak, Tissafernesie. Oni jeszcze o tym nie wiedzą, ale wszyscy co do jednego są już martwi. Zagnałeś ich pomiędzy plemiona Karduchów, odniosłeś więc niezaprzeczalny sukces. Gratuluję ci, panie.

Tissafernes uśmiechnął się i wsunął za pas niewielkie ostrze, które dotąd trzymał w dłoni. Z jego pola widzenia właśnie zniknął ostatni Grek. Wielka kolumna, która opuściła imperium, jakby nigdy nie istniała. Na zawsze pochłonęły ją nieprzyjazne i dzikie góry.

Nagle pomyślał, jak bardzo zaradni są ci Grecy. Niejeden raz był przecież pewien, że wreszcie zostali pokonani, a oni wciąż żyli.

– Mamy gołębie? – zapytał.

Mitrydates pokiwał głową.

– Oczywiście, mój panie.

28

Z każdym kolejnym krokiem było coraz zimniej, a tymczasem droga wiodła w górę i cały czas się zwężała. Hoplici maszerowali w zwartych szeregach, trzymając w pogotowiu tarcze, a włóczniami posługiwali się jak kijami, często się podpierając na śliskich i popękanych kamieniach. Po obu stronach wznosiły się wysokie zbocza, a mgły uniemożliwiały dostrzeżenie górskich szczytów. Ksenofont pozostawił Hefajstosa z tyłu i kazał mu zachować czujność, na wypadek gdyby Tissafernes próbował zadać im ostatni cios, jednak sposób, w jaki Pers uniósł rękę, zanim stracił Greków z pola widzenia, wskazywał raczej, że nie zamierza ich już ścigać.

Wkrótce równa ziemia pozostała już tylko wspomnieniem. Grecy pomagali sobie nawzajem, gdy trzeba było przekraczać kolejne wielkie głazy. Wszyscy drżeli, ponieważ zimno wydawało się przenikać do szpiku kości. Ksenofont szybko zrozumiał, że nie zdoła wprowadzić swojego wierzchowca w góry. Z ciężkim westchnieniem zeskoczył na ziemię. Rumak służył mu aż dotąd dobrze i wiernie, dlatego zawołanie o młotek sprawiło mu niemal cierpienie. Zabicie konia nie jest łatwą rzeczą, w tej chwili było jednak wielką koniecznością. Jeden z Koryntian powiedział, że w dawnym życiu był rzeźnikiem. Ksenofont przytrzymał wodze wierzchowca i odwrócił głowę, kiedy mężczyzna spuścił wielki młot na jego łeb. Pod zwierzęciem ugięły się nogi i po chwili padło na ziemię, wyciągając język. Dookoła zgromadziło się mnóstwo kobiet i mężczyzn,

jakby każdy, kto położy rękę na zdychającym zwierzęciu, zyskiwał prawo do porcji jego mięsa.

– Cofnijcie się wszyscy – warknął Ksenofont. – Głód was ogłupia. Mamy jeszcze tuzin wierzchowców. Zatrzymamy się tutaj i zjemy… – Rozejrzał się, jednak w górach praktycznie nie było drewna, które mogłoby posłużyć do rozpalenia ogniska. Kilka skarłowaciałych drzew wyrastało wysoko ze skalnych szczelin, lecz było ich zbyt mało, aby upiec mięso dla wielkiej głodującej gromady. Pokręcił głową. – Zaniesiemy mięso dalej, aż znajdziemy drewno na ognisko i miejsce, które będzie się nadawało do obrony.

Obietnica jakby usatysfakcjonowała ludzi, chociaż niczym głodne wilki patrzyli, jak rzeźnik wykrawa z końskich żeber wielkie pasy i płaty mięsa.

Dotarli do rozwidlenia. W jedną stronę prowadziła ścieżka, z której prawdopodobnie korzystały górskie kozice, ponieważ była zaledwie wąską białą linią znikającą za zboczem kolejnej góry. Drugie przejście było raczej osuwiskiem niż drogą dla człowieka: podłoże stanowiły szare kamienie poprzerastane mchem i z całą pewnością od tysięcy lat nie przeszła tędy żadna żywa istota. Ksenofont ruszył tam pierwszy, jednak szedł z większym trudem niż zaniedbane dziecko, które od jakiegoś czasu wędrowało u jego boku. A jednak to na jego decyzję wszyscy czekali, dlatego bez wahania wydał rozkaz. Należało wkroczyć na osuwisko prowadzące w wyższe partie gór. Kiedy skończył mówić, zaniedbany chłopiec uśmiechnął się do niego, szeroko otworzywszy oczy.

– Jak masz na imię, synu?

– Adrios, panie.

– Zgadzasz się z moim rozkazem, prawda, Adriosie? – zapytał Ksenofont.

Dziecko pokiwało głową, a Ksenofont uśmiechnął się i zmierzwił mu czuprynę. Po chwili do Adriosa podeszła matka i wzięła go na ręce.

– Przepraszam, wodzu. Jego ojciec zginął w walce. Ale chłopiec wciąż go szuka pomiędzy mężczyznami. Stale znika mi z oczu, ciągnie ludzi za rękawy i pyta, czy ktoś nie widział jego taty. Mam nadzieję, że zanadto ci się nie naprzykrzał.

– Ani trochę. Adrios zgodził się ze mną, kiedy ogłosiłem, co powinniśmy dalej robić. To dobry chłopak.

Zaskoczona kobieta zatrzepotała powiekami, a Ksenofontowi znacznie poprawił się nastrój.

Nastąpiła godzina skrajnego wysiłku, skomplikowanej i trudnej wędrówki. Kobiety i mężczyźni wspinali się, podając sobie wzajemnie ręce. Niektórym było bardzo trudno, inni skakali z kamienia na kamień jak kozice. Przez cały czas Grecy starali się zachowywać czujność na wypadek ataku, jednak zwyczajnie niemożliwością było trzymanie w pogotowiu włóczni i równoczesne skakanie po luźnych łupkach. Ksenofont dostrzegł zbliżającego się Hefajstosa. Ponury wyraz twarzy młodzieńca podpowiadał mu, jakim ciosem była dla niego utrata wszystkich wierzchowców.

– Kazałeś zabić mojego konia? – zapytał Hefajstos, kiedy znalazł się już dość blisko.

Ksenofont usłyszał w tym pytaniu wyzwanie i zareagował natychmiast.

– Kazałem. Ponieważ konie nie potrafią się wspinać.

Przez chwilę Hefajstos wpatrywał się w niego złym spojrzeniem, a potem jakby cień spowił jego twarz. Chłopak był już tylko odległym wspomnieniem ulicznego chuligana, który kiedyś funkcjonował w zupełnie innych realiach. Doświadczył w życiu wystarczająco wiele, aby rozumieć, że strateg podjął jedyną słuszną decyzję.

– Spartanie patroszą je jak owce – powiedział gorzko. – Ci ludzie nie mają dusz.

– Nie mają sentymentów – odparł Ksenofont. – A to coś innego.

– Skąd wiedziałeś, którą drogę wybrać?

– Wybrałem tę, która prowadzi w górę. Będziemy musieli wspiąć się bardzo wysoko, żeby przebyć te góry, Hefajstosie. Jeżeli istnieje jakieś przejście, musi prowadzić w pobliżu szczytów. Dlatego wejdziemy tak wysoko, jak się da.

Hefajstos się zatrzymał. Ciężko oddychając, popatrzył w dół. Każdy, kto spoglądał za siebie, był zdziwiony, jak długą trasę przebyła już cała gromada. Ludzie szybko nauczyli się wypoczywać często, lecz przez krótki czas. Dzięki temu szli szybciej, niż gdyby zmuszali się do skrajnego wysiłku, a potem padali na ziemię bez sił.

Szlak za plecami Ksenofonta pełen był ludzi mozolnie wspinających się po skalnym rumoszu. Wszyscy byli wymęczeni, jednak nikt nie myślał o tym, żeby się poddać. Wódz patrzył na nich z dumą, a Hefajstos zauważył jego minę.

– Nie podziękują ci, przecież wiesz – powiedział. – Widzę, w jaki sposób na nich patrzysz; jakbyś był ich ojcem. Myślę, że na koniec ogromnie cię rozczarują.

Były to zaskakujące słowa w ustach chłopaka, który kiedyś rabował widzów wychodzących z teatru. Ksenofont wyprostował się, jakby chciał się lepiej przyjrzeć Ateńczykowi.

– Jesteś bystry, Hefajstosie, chociaż dobrze to ukrywasz. Prawda jest taka, że będziemy mieli szczęście, jeżeli jeszcze kiedykolwiek zobaczymy nasze domy. Jeśli przetrwamy, prawdopodobnie nikt z nas już nigdy nie będzie taki jak wcześniej. A ty zbyt mało spodziewasz się po swoich ludziach. Zaskoczą cię, jestem tego pewien. Tak jak ty zaskoczyłeś mnie.

Zobaczył, że Hefajstos poczerwieniał, połechtany komplementem. Po chwili obaj się odwrócili i kontynuowali wspinaczkę.

Wysoko ponad nimi, wśród mgieł, rozległy się dziwne pohukiwania, przypominające raczej wrzaski mew lub małp niż odgłosy, które mogłyby się dobywać z gardła człowieka. Dźwięki te zaczęły odbijać się echem od grani do grani, aż wreszcie całkowicie wypełniły powietrze i wszyscy Grecy znieruchomieli. Tysiące ludzi nagle spojrzało w górę, niemal jak dzieci przerażone czymś niespodziewanym i nieznanym. Dwaj Ateńczycy popatrzyli po sobie ponuro. Domyślali się, co oznaczają te odgłosy.

– Już wiedzą, że tutaj jesteśmy – powiedział Ksenofont cicho.

* * *

Z pierwszego wzniesienia zeszli do zacienionej doliny, w której stało około trzydziestu domów. Wszystkie były opuszczone, jednak w domach znaleźli jedzenie i, co najlepsze, wino w glinianych kadziach wkopanych w ziemię. W ciemności wciąż rozlegało się pohukiwanie, co powstrzymywało ludzi przed piciem wina w nadmiernych ilościach i doprowadzaniem się do nieprzytomności. Wszyscy pragnęli jedynie jak najszybciej przejść przez góry i dostać się na równinę. Zapalili pochodnie i poruszali się po wiosce, kiedy nadeszła noc. Szybko jednak się zorientowali, że światło przyciąga strzały i kamienie wystrzeliwane bez ostrzeżenia z proc z jakichś niewidocznych miejsc nad ich głowami – i że Karduchowie to wprawni strzelcy. Trzej ludzie zginęli, zanim się przekonali, że nie należy używać pochodni i tym samym wystawiać się na cel. Ci, którzy nocowali na zewnątrz, nie ośmielali się zasnąć, a i tak jeszcze przed wschodem słońca zginęli dwaj kolejni hoplici. Co gorsza, ktoś palił ogniska wysoko nad ich głowami; wyglądały jak płonące żółte gwiazdy. Ksenofont nie miał

wątpliwości, że ich obecność przywołała wszystkie plemiona i rodziny Karduchów. Nie potrafił się otrząsnąć z tępego strachu, który ściskał mu jelita jak głód albo jak bezustanne zimno. W domu drżenie mijało dzięki ciepłu ognia. Najadł się lepiej niż kiedykolwiek podczas tej wyprawy i poczuł łzy w oczach, gryząc świeży chleb ze słonym masłem, bynajmniej niezjełczałym. Tego wieczoru jedzenie było małą przyjemnością, a kiedy dodał do niego kubek czerwonego wina – młodego i niemal kwaśnego – uznał to za niezasłużoną rozkosz.

Nad ranem Ksenofont z kilkoma mężczyznami dotarł do samego końca doliny. Góry tutaj się otwierały i Grecy dostrzegli drobne figurki ludzi na najwyższych zboczach, trudno jednak było powiedzieć, czy przygotowują się oni do ataku, czy też czekają w zasadzce. Ksenofont poklepał dłonią skałę, której wierzchołek tonął w chmurach, zastanawiając się, czy w tej chwili ktoś tam siedzi i spogląda na niego z wysokości, z sercem przepełnionym nienawiścią wobec intruza. Ze zboczy wokół doliny znowu zaczęły dobiegać dziwne gwizdy. Ponieważ zwielokrotniało je echo, trudno było określić, jak wysoko i jak daleko znajdują się ludzie, którzy wydają te dźwięki.

– Kiedy tylko się z nimi spotkamy, będziemy musieli kilku pojmać i wykorzystać jako przewodników – powiedział Ksenofont spokojnie. – W tych górach ze zbyt wielu dolin nie ma wyjścia. Zupełnie sami moglibyśmy tu krążyć przez rok.

– Doskonale – odpowiedział Chryzofos. – Zajmiesz miejsce w straży przedniej czy tylnej? Jestem przekonany, że w tym terenie moi Spartanie doskonale poradzą sobie na czele marszu. Te góry są nawet trochę podobne do gór z naszych rodzinnych stron. Wspominam tu z nostalgią miejsca, gdzie bawiłem się jako dziecko.

Ksenofont zamrugał, nie wiedząc, czy Chryzofos żartuje, czy mówi zupełnie poważnie. Nauczył się jednak mu ufać.

– Obejmę dowodzenie na tyłach. Ale przez cały czas będą pomiędzy nami kursować zwiadowcy. Całkiem długo wozili się na koniach, niech więc teraz trochę popracują nogami. Nie oddalaj się od czoła marszu i nie zwiększaj nadmiernie dystansu pomiędzy nami.

Spartanin w odpowiedzi pokiwał głową. Jego dobrego nastroju nie zmąciła uwaga wypowiedziana przez mniej doświadczonego mężczyznę. Zaczynał lubić Ateńczyka i zaakceptował to, że Ksenofont jest oficerem, który stara się zachować przy życiu jak największą liczbę żołnierzy. Chryzofos takich ludzi cenił bardziej niż tych, którzy parli do boju bez zastanowienia.

– Sądzę, że to zwężenie posłuży dzisiaj rano jeszcze jednemu celowi – kontynuował Ksenofont, gładząc dłonią skałę. – Dwie lub trzy osoby mogą tędy iść obok siebie. Chyba powinniśmy skontrolować naszych ludzi, sprawdzając ich wagę i wszystko, co wynoszą z wioski, Chryzofosie. Każdy musi być lekki i szybki, a nie objuczony nie wiadomo czym.

Spartanin wyszczerzył zęby na te słowa i zaczął przygotowywać Greków do przejścia przez wąski przesmyk, co miało się odbywać pod osobistym nadzorem dowódcy. Nie minęło wiele czasu i wodza mijali już pierwsi ludzie, a wkrótce pierwsze dobra wyniesione z wioski zaczęły lądować na stercie przy ścieżce.

Zadziwiające, myślał Ksenofont. Dotąd nie zdawał sobie sprawy, jak wiele różnych rzeczy żołnierze i cywile potrafią zgromadzić w czasie marszu. Oprócz nieporęcznych siodeł i dziwnych rodzajów broni, zbyt starych, aby mogły być użyteczne, ludzie przenosili worki z solą i przyprawami, zwoje materiałów i ogromne wysuszone skóry. Jeden z mężczyzn niósł drzwi; kiedy stwierdził, że służą mu jako tarcza,

Ksenofont przepuścił go z nimi w dalszą drogę. Nie wiadomo dlaczego Grecy przywiązali się do tysiąca ciężkich przedmiotów, przenosili nawet narzędzia i uprząż dla koni, których już nie posiadali. Widząc uprząż, Ksenofont bezlitośnie ją odbierał, ignorując wszelkie narzekania i argumenty właścicieli. Nagle cała grupa zaczęła przypominać w jego oczach raczej tłum na agorze w Atenach niż sprawną armię z mozołem przedzierającą się przez pasmo górskie. Chociaż nastroje się pogorszyły, sterta odebranych ludziom dóbr rosła i rosła. W niedługim czasie stanowiła wspaniałą zdobycz dla Karduchów, którzy nieuchronnie musieli się na nią natknąć. Ksenofont zastanawiał się, czy jej nie podpalić, ostatecznie uznał jednak, że wszystkie te przedmioty powinny posłużyć jeszcze ludziom, a nie bogom.

Pozwolił żołnierzom zatrzymać niewolnice, które jakimś sposobem zdołali zgromadzić w trakcie podróży. Wielu mężczyzn uczyniło je swoimi kochankami i byłoby teraz okrucieństwem pozostawić je w górach na łaskę i niełaskę dzikich plemion. Niemniej obcych niewolnic było niewiarygodnie dużo. Ksenofont przestał już się dziwić, że w obozie panował bezustanny głód. Zdawało się, że Grecy karmią pół Persji. Kiedy mijała go ostatnia niewolnica, był z tego powodu wściekły.

Hefajstos był jednym z członków straży tylnej i szedł obok Pallakis. Tą bliskością jakby podkreślał swoje roszczenia do niej. Ksenofont przez chwilę czuł na sobie jej przelotny wzrok i nastrój popsuł mu się jeszcze bardziej. Odepchnął ją, ale mimo wszystko miał nadzieję, że będzie się za nim oglądała. Tymczasem nic na to nie wskazywało. Jakby chcąc potwierdzić jego podejrzenia, Pallakis dotknęła szyi młodego człowieka i strzepnęła z niej jakiś pyłek. Była to demonstracja zażyłości, na której widok Ksenofont zacisnął zęby. Nie przyszło mu do głowy, że chciała, aby to zobaczył, że po prostu zaprezentowała kobiecą sztuczkę na jego użytek.

Kiedy już wszyscy Grecy przebrnęli przez przewężenie i znaleźli się na szerszym zboczu, szło im się lżej. Kilku spoglądało z tęsknotą za siebie, ku wielkiej stercie bezcennych zdobyczy, jednak Ksenofont osiągnął cel. A swoim zdecydowanym posunięciem zyskał większe poważanie, niż mógłby przypuszczać, kiedy idąc w podłym nastroju z tyłu kolumny, machał na ludzi, aby przyśpieszali kroku.

Przez całą drogę hoplici trzymali w gotowości tarcze i włócznie, a hełmy mieli mocno nasunięte na głowy porośnięte grubymi i od dawna nieścinanymi włosami. Gwizdy i pohukiwania nad nimi nagle się urwały. Wszyscy spojrzeli ku gęstym chmurom. Przyzwyczaili się już do tego dźwięku i jego brak stał się teraz przerażający, jakby same góry patrzyły na nich w milczeniu. Ksenofont zadrżał.

* * *

Z przodu niemal natychmiast Chryzofos został zaatakowany. Na jego ludzi leciały kamienie, a wąskie ścieżki nad ich głowami zaroiły się od Karduchów. Na Greków spadał także deszcz strzał, a napastnicy byli dobrymi strzelcami. Dowódca zareagował błyskawicznie, posyłając najmłodszych i najsprawniejszych Spartan w górę, aby dopadli łuczników. Jednak kiedy tylko zaczynali się wspinać po ścieżce, napastnicy przerywali atak i z wielką prędkością uciekali, zasypując hoplitów kamieniami. A oni szybko się zorientowali, że podstawą taktyki Karduchów jest ucieczka w chwili zagrożenia, przychodząca im łatwo, ponieważ skakali po skałach szybko i zwinnie jak kozice. Po krótkim i bezowocnym pościgu Spartanie zazwyczaj przystawali, ciężko dysząc i uchylając głowy przed śmiercionośnymi kamieniami.

Dzika walka trwała w najlepsze, jednak to Karduchowie byli górą. Grupami liczącymi od sześciu do dwunastu ludzi pojawiali się na półkach skalnych i wypuszczali na Greków strzały, które w większości odbijały się z hałasem od tarcz i zbroi. Czasami ktoś jednak odnosił rany lub ginął. Zanim Chryzofos był w stanie wysłać pościg albo gdy Karduchowie widzieli, że Spartanie biegną w ich kierunku, znikali w podskokach, głośno pohukując i gwiżdżąc.

Sytuacja była frustrująca, jednak dopóki Grecy zachowywali prawidłowe ustawienie i wykorzystywali tarcze, straty w ludziach nie były duże. Sformowanie jednej kolumny było bardzo korzystne, ponieważ nawet jedna tarcza mogła wtedy chronić dwie lub trzy osoby, nie pozwalając wrogowi na skuteczny ostrzał. Bez tarcz i bez dyscypliny zachowywanej przez Greków górale zapewne dokonaliby masakry.

Daleko z tyłu Ksenofont zobaczył większe siły wroga, kiedy minął wejście do doliny i skręcił. Mniej więcej stu Karduchów skoncentrowało się w jednym miejscu. Twarze mieli pomalowane sadzą lub krwią. Znajdowali się blisko i Grecy byli gotowi zarówno do ucieczki w góry, jak i do ataku, jednak zadaniem Ksenofonta było wsparcie Chryzofosa i nie mógł teraz tak po prostu oderwać się od wroga. Zarządził ustawienie się w zwartym rzędzie, z tarczami skierowanymi w stronę dzikusów, którzy zaczęli strzelać z łuków i rzucać kamieniami. Silezjos miał zabezpieczać tyły, a Tesalczycy i Stymfalijczycy nadal iść do przodu w kolumnie. Wszyscy byli twardymi, doświadczonymi żołnierzami i wykonywali swoje zadania bez zawahania. Ksenofont uznał, że nic nadzwyczajnego się nie dzieje, lecz nagle rytm marszu się zmienił.

Bez ostrzeżenia Chryzofos i cały front kolumny oderwał się od cywilów. Spartanie nagle pobiegli w górę, zamierzając zapobiec niewidzialnemu zagrożeniu. Ksenofont pozostawał z tyłu i nie miał pojęcia, co się dzieje ani

gdzie w tej chwili byłby najbardziej potrzebny. Zaklął i przywołał do siebie Silezjosa.

Tesalczyk był blady, lecz zdeterminowany. Oddał Ksenofontowi honory, przykładając pięść do piersi.

– Musimy schwytać kilku ludzi! – krzyknął Ksenofont ponad hałasem maszerujących i odgłosami spadających kamieni i strzał, wciąż będących zagrożeniem z lewej strony.

Gdy Silezjos otworzył usta, żeby mu odpowiedzieć, głowę hoplity z ostatniego rzędu przeszyła strzała, która jakimś cudem przedostała się pomiędzy tarczami. Mężczyzna upadł, nie wydawszy żadnego odgłosu, a oni mogli jedynie patrzeć, jak jego martwe ciało pozostaje z tyłu.

– Nie możemy się tutaj zatrzymać – powiedział Ksenofont. – Zdobądź mi przewodnika, Silezjosie. Ci ludzie znają w swoich górach każdą ścieżkę. Będą bawić się z nami w kotka i myszkę, dopóki nie zyskamy takiej pomocy. Zastaw na nich jakąś pułapkę. Skuś ich kobietami albo rannym żołnierzem, może stracą czujność?

Silezjos roześmiał się i szybko wyciągnął z kolumny dwie opierające się młode kobiety. Jednej zaczął bronić hoplita, który był jej kochankiem. Pomstował głośno na Tesalczyka, dopóki się nie zorientował, że ten po prostu wykonuje rozkaz Ksenofonta. Ale nawet wtedy obserwował zazdrosnym wzrokiem, jak kobiety biegną przed zaporę z tarcz, jakby nagle postanowiły uciec od Greków.

Ostrzał natychmiast ustał. Żaden mężczyzna nie skrzywdziłby przecież kobiet, które mogłyby urodzić dzieci. Ośmiu Karduchów bez wahania wybiegło do przodu z wyciągniętymi ramionami, aby złapać rozwrzeszczane kobiety, zanim Grecy wciągną je z powrotem do kolumny marszowej. Kiedy zdawało im się, że już są u celu, szereg Greków nagle się złamał i zostali otoczeni.

Cała ósemka została schwytana. Czterech zabito, ponieważ opierali się ze wszystkich sił, a zwłoki rzucono gdzieś na bok. Pozostałą czwórkę związano i umieszczono w takim miejscu w kolumnie marszowej, do którego nie mógłby dotrzeć żaden z ich pobratymców, gdyby zamierzał ich zabić albo uwolnić. Strzały i kamienie znowu zaczęły obijać się o tarcze, Grecy jednak nadal parli przed siebie. Nawet cywile na chwilę przyśpieszyli kroku, chcąc dołączyć do żołnierzy Chryzofosa, którzy chwilowo zniknęli im z oczu, podjąwszy frontalny atak.

Ksenofont popatrzył ostrym wzrokiem na Silezjosa.

– Niech ktoś, kto zna perski, porozmawia z tymi Karduchami. Im szybciej dowiemy się, gdzie jesteśmy, tym lepiej.

Popatrzył na cywilów z trudem pokonujących kolejny zakręt. W tej chwili nie byli chronieni, a nie miał wątpliwości, że napastnicy już się gromadzą na zboczach, aby spaść na nich jak szarańcza. Nikt nie poganiał ludzi do intensywniejszego marszu i Ksenofont wiedział, że przerażeni wkrótce po prostu się zatrzymają. Mógł jedynie przeklinać Chryzofosa za to, że w pogoni za znikającymi tubylcami ich opuścił. Podjął decyzję, chociaż miał wrażenie, że serce za chwilę wyskoczy mu z piersi.

– Idziemy dalej. Musimy zdwoić tempo. Jak najszybciej otoczcie cywilów pierścieniem. Jesteśmy na terenie wroga! Tarcze i włócznie trzymajcie w pogotowiu, bo w każdej chwili może nastąpić atak. Nikt nie ma prawa się zatrzymać, dopóki nie zobaczymy straży przedniej. Nikt!

Ujrzeli nad głowami nowe rzędy łuczników na półkach skalnych, z których część była tak wąska, że z trudem mieścił się na nich człowiek. I znów strzały i kamienie zaczęły ze świstem spadać na Greków. To wystarczyło, aby – chronieni przez tarcze – przyśpieszyli bez dodatkowych zachęt. Wspinając się, przechodząc nad wielkimi kamieniami i przeciskając

przez zwężenia, czasami – kiedy któryś z Karduchów trafił w człowieka, a nie w tarczę z brązu – wydawali okrzyki bólu.

Ksenofont utrzymywał intensywne tempo dobrą milę, chociaż wszyscy ciężko dyszeli, jakby powietrze było już zbyt rozrzedzone, by swobodnie nim oddychać. Każdy kolejny krok wiódł pod górę i przez cały czas ze zboczy spadały kamienie i strzały.

W końcu dostrzegli przed sobą tylne szeregi pięciu tysięcy ludzi towarzyszących Chryzofosowi, skulonych pod tarczami niczym chrząszcze albo żółwie. Ksenofont poczuł, jak rośnie w nim złość, zapanował jednak nad nią jak Spartanin, upominając się, że przecież Chryzofos nie pozostawiłby go bez ochrony, nie mając ku temu istotnego powodu.

Tymczasem Spartanin pobiegł ku niemu, kiedy cała tylna straż z powrotem dołączyła do kolumny. Obaj poczuli ogromną ulgę, bo przecież zdawali sobie sprawę, że rozdzieleni mogli się spodziewać jedynie zagłady.

Dowódca przykląkł, żeby przeprosić; ten gest mówił więcej niż słowa.

– Gdzie się podziewałeś? – zapytał strateg z nadzieją, że mimo wszystko nie przecenił tego człowieka, nie dał mu nadmiernej władzy.

– Przepraszam. Nie było czasu, żeby przekazać wiadomość. Popatrz tylko, a zrozumiesz, dlaczego musiałem biec.

Wskazał palcem, a Ksenofont popatrzył w tamtym kierunku. Unosząc głowę coraz wyżej, zobaczył miejsce, które zaatakował Chryzofos. Dostrzegł przełęcz górską przechodzącą w wąską szczelinę i kotłującą się masę tubylców, którzy już tam na nich czekali.

Spartanin nie wstawał.

– Widziałem, jak zbiegają z gór, i zrozumiałem, że zamierzają dotrzeć do tego miejsca przed nami. Nie wiedziałem… nie wiem, dlaczego to jest takie ważne, widziałem jedynie, że gnają tam jak szaleni. Aby ich powstrzymać, przerwałem łańcuch dowodzenia. Wybacz mi.

– Wstań. Uspokoiłeś mnie. Przez chwilę miałem jednak wrażenie, że straciłeś rozum. Zdobyłeś jeńców? Ja pojmałem czterech, mogę ci więc dwóch użyczyć. Może tę przełęcz można obejść? Nie chciałbym prowadzić naszych ludzi akurat tamtędy.

Chryzofos wyciągnął do Ksenofonta rękę, którą ten bez słowa przyjął. Żadne dodatkowe przeprosiny nie były już potrzebne.

– Pojmałem kilku – powiedział Spartanin. – Przesłucham ich. W górach często można znaleźć wąskie ścieżki, którymi chodzą kozy i pasterze. Dzięki takim ścieżkom Persowie pokonali nas pod Termopilami. Z przyjemnością skorzystam z nich tutaj, jeśli istnieją.

Ksenofont przywołał Silezjosa, który stał nieopodal.

– Przyprowadź mi tych przeklętych Karduchów i kogoś, kto mówi po persku.

Mógł tylko mieć nadzieję, że tubylcy rozumieją język powszechny w imperium. W przeciwnym wypadku byliby dla niego bezużyteczni.

* * *

Silezjos wyszukał Greka, który znał perski na tyle, by zadać jeńcowi kilka prostych pytań. Aby zademonstrować powagę sytuacji, Tesalczyk najpierw kazał jednemu ze swoich żołnierzy zbić dwóch Karduchów do nieprzytomności, a dopiero potem przystąpił do wypytywania pozostałych o szlaki przez góry.

Jeden z nich miał około czterdziestu lat, bardzo pomarszczoną skórę i był tak blady, jakby w górach nigdy nie widział słońca. Przysięgał, że przejście zablokowane przez jego pobratymców jest jedynym w tej części gór. Przysięgał na Zaratustrę i Ahurę Mazdę – Mądrego Pana – że mówi prawdę.

Ksenofont dostrzegł, jak drugi z tubylców spojrzał na niego szeroko otwartymi oczami, słysząc tę straszną przysięgę.

– Zabierzcie stąd tego starszego – powiedział Ksenofont. – Uwolnijcie go razem z pozostałymi dwoma i nie róbcie im krzywdy. Nie będą mi już potrzebni.

Uśmiechnął się do tego, który pozostał. Był niewiele starszy niż on sam i patrzył na niego nieufnie.

– Powiedz mu, że wiemy, że jego towarzysz kłamał, jednak nie rozumiemy dlaczego – odezwał się do tłumacza. – Powiedz mu też, że potrafimy być litościwi albo okrutni. Wybór należy do niego.

Grecki żołnierz przetłumaczył jego słowa na bardzo prosty język perski i młody człowiek przygryzł wargę, intensywnie myśląc. Po chwili wyrzucił z siebie gwałtowny potok słów. Mówił tak szybko, że tłumacz za nim nie nadążał.

– On powiedział… ten drugi człowiek nie chciał powiedzieć ci o ścieżce… przez góry, ponieważ tam dom ma jego córka, ale… taka ścieżka istnieje, przez góry wije się wąskie przejście, którym można ominąć przewężenie znajdujące się przed nami. Pyta, czy ten starszy zostanie zabity czy uwolniony, bo on powie starszyźnie… powie, że ten tutaj pomógł wrogowi, i wtedy jego życie będzie skończone.

Ksenofont wydał szybki rozkaz i mężczyzna, którego przed chwilą zamierzano uwolnić, został zaraz zabity. Zobaczywszy jego śmierć, młodszy wyszczerzył zęby z wyraźną ulgą.

– Mówi, że ten stary był przyjacielem jego ojca i cieszy się… że już nie żyje.

Ksenofont zamrugał, absolutnie nieobyty z czymś takim.

– Teraz niech nam pokaże, gdzie zaczyna się ta ścieżka – zażądał.

29

Ksenofont skompletował grupę ochotników, najbardziej sprawnych i najszybszych. Przyjął do niej czterech polemarchów i dwa tysiące zwykłych żołnierzy. Wyjaśnił, jakie jest ich zadanie i z jaką szybkością powinni działać. Słuchali go z zadowoleniem. Woleli biegać po górach, niż maszerować w powolnej kolumnie razem z innymi.

– Ta przełęcz musi być bardzo ważna, w przeciwnym razie nie zgromadziliby takiego tłumu, żeby jej bronić – mówił Ksenofont. – Nie możecie zawieść. A teraz do dzieła…

Zanim dokończył, z gęstych chmur spadł deszcz, otulając całą dolinę niczym kurtyną. W jednej chwili wszyscy przemokli do suchej nitki. Ksenofont zaklął pod nosem. Deszcz utrudniał zadanie. Chmury wydawały się z każdą chwilą obniżać i wkrótce nie można było już dostrzec wierzchołków gór, nawet dolina odcinała się tylko niewyraźną szarością na tle trochę jaśniejszego nieba.

– Weźcie przewodnika. My będziemy gotowi – powiedział Ksenofont.

Obserwował, jak dwa tysiące najmłodszych i najsprawniejszych ludzi rusza biegiem, aby wykonać zadanie. Zostawili za sobą dolinę, prowadzeni przez młodego Karducha z rękami związanymi na plecach. Młody człowiek poprowadził Spartan przez wąwóz, za którym wśród gęstych paproci znikała ścieżka wydeptana przez zwierzęta. Wkrótce zniknęli niczym duchy pomiędzy skałami. Ksenofont doskonale rozumiał, że bez przewodnika ich misja nie ma szansy powodzenia. Odczuwał drobną satysfakcję, że pomocy

udzielił im tubylec złapany przez jego ludzi, a ci, których pojmał Chryzofos, nie zdradzili nic istotnego.

Przez pewien czas mógł tylko bezczynnie czekać. Padał deszcz, a jego ludzie stali w miejscu, drżący i wymęczeni. Ponieważ na niebie nie było widać słońca, trudno było powiedzieć, jaka jest pora dnia, chociaż zdaniem Ksenofonta zbliżał się wieczór. Podjął szybką decyzję i ponownie ustawił kolumnę w szyku, po czym nakazał wymarsz. Mieli podejść na tyle daleko, aby ci, którzy czekali na przełęczy, wiedzieli, że się zbliżają. Gdy osiągnęli zamierzony punkt, Ksenofont zarządził odpoczynek. Nikt teraz nie zrzucał na nich kamieni, nikt nie strzelał z łuku. Zaczął przypuszczać, że także Karduchowie są przemoczeni i nieskorzy do walki. Greccy łucznicy strasznie narzekali, kiedy przychodziło im napinać mokre cięciwy, doskonale o tym pamiętał. A może tubylcy usłyszeli w górach kroki dwóch tysięcy żołnierzy i wyczuli, że są ścigani? W każdym razie myśli te poprawiły mu nastrój, pomimo deszczu. Tymczasem zbliżał się wieczór. Przed jego ludźmi rysowała się perspektywa spędzenia zimnej nocy wysoko w górach. Miał tylko nadzieję, że wiatr do rana rozwieje chmury i na własne oczy będzie mógł zobaczyć zaskoczonych Karduchów.

Dnem doliny lały się strumienie wody, nie było nawet skrawka suchego miejsca. Ksenofont widział, że cywile gromadzą się w parach lub grupach i opierają się o siebie plecami w taki sposób, że przynajmniej fragmenty ich ciał osłonięte są przed wilgocią. Niewiele mogło im to pomóc. Zapowiadała się naprawdę kiepska noc.

Kiedy światło dnia niemal zupełnie zniknęło, przy Ksenofoncie pojawiła się Pallakis. Przetarła dłonią szeroki, płaski kamień i usiadła na nim, mocno zaciskając kolana, żeby zachować chociaż odrobinę ciepła. Miała koc, pod którym zazwyczaj sypiała, ale był już niemal czarny od wilgoci. Szczękała zębami i Ksenofont z żalem pomyślał, że nie może jej zapewnić

porządnego schronienia. Grecy i zimno – cóż, jedno do drugiego zupełnie nie pasowało.

– Wyglądasz jak zmokła kura – powiedział i uśmiechnął się.

Włosy Pallakis, zazwyczaj układające się w puszyste fale, teraz były proste i przylegały do twarzy długimi kosmykami. Ściekała z nich woda.

– I tak się czuję – odparła dziewczyna. – Mamy zostać tutaj na noc?

– Musimy, dopóki nie oczyścimy przełęczy z tubylców.

– A jeśli to się nie uda?

– Będziemy musieli się przeprawiać znacznie trudniejszą drogą. Tak czy inaczej, ruszymy jutro.

Na razie jednak należało przetrwać noc, która zapewne będzie się ciągnąć bez końca. Ksenofont zdał sobie sprawę, że on także drży. Jego zęby wydawały dźwięk, który sam wyraźnie słyszał, a jego ręce były białe i się trzęsły.

– Przecież ty zamarzniesz, Ksenofoncie! – powiedziała Pallakis. – Usiądź przy mnie. Mój koc jest mokry, ale lepsze to niż zupełnie nic.

– Gdzie jest Hefajstos? – zapytał, nie poruszywszy się.

Pallakis zesztywniała, a na jej czole pojawiła się podwójna zmarszczka.

– Nie należę do niego, Ksenofoncie.

– Ani do mnie, wiem o tym – odparł, zanim zdążył pomyśleć.

Dziewczyna przez długą chwilę milczała, wpatrując się w niego z bliska.

– Przez pewien czas myślałam, że tego chcesz. Ale zrozumiałam, że absorbuje cię mnóstwo spraw, którym musisz sprostać, żeby zachować nas przy życiu. Tak, pojęłam to, Ksenofoncie. Ale czy nie chciałbyś teraz powiedzieć, że pragniesz, abym była z tobą? Że chcesz, żebym spała w twoim łóżku? Nie igraj ze mną, Ksenofoncie. Powiedz to albo milcz. Poproś mnie o to albo odejdź bez słowa.

Ksenofont z trudem przełknął ślinę, wpatrując się w Pallakis. Powinien to powiedzieć, mimo że takie słowa byłyby teraz szaleństwem. Znajdowali się w nieprzyjaznych górach, dysponując minimalnymi zapasami żywności, zewsząd otoczeni przez wrogów. Zdał sobie sprawę, że pragnie namiastki miłości, lecz nie prawdziwego zakochania. Potrzebował wymiany tęsknych spojrzeń z piękną kobietą, ale nie mógł sobie pozwolić na miłość, która zabierałaby mu zbyt dużo czasu. W jego życiu nie było miejsca na długie rozmowy, na śmiech ani na wesołe pieśni. Mógł pragnąć tylko tego, co dałoby się osiągnąć w krótkiej chwili – i chociaż aż się rwał do Pallakis, rozumiał, że nie może sobie pozwolić na ten związek.

Jej dni nie wypełniały ani przełomowe wydarzenia, ani trudne decyzje. Ksenofont nie mógł zmienić jej losu. I ponieważ ona także nie była w stanie odmienić jego życia, ich związek by nie przetrwał. Zmagał się z myślami, szukając kolejnych kontrargumentów, i w pewnej chwili zdał sobie sprawę, że cisza trwa zbyt długo, że zbyt długo nie reaguje na słowa dziewczyny.

– Ach, tutaj jesteście! – zawołał Hefajstos.

Młody człowiek ostrożnie stąpał pomiędzy kamieniami. Trzymał pod pachą ciepły koc i po chwili, bez żadnych dodatkowych słów, otulił nim Pallakis. Potem objął ją ramieniem, jeszcze raz dając Ksenofontowi do zrozumienia, że uważa dziewczynę za swoją.

Ksenofont wiedział, że uwagi Hefajstosa bynajmniej nie umknął fakt, iż w czymś im przeszkodził. Nie mógł nie dostrzec, że wilgotne policzki Pallakis się zaczerwieniły i że dziewczyna wpatruje się w oczy wodza z taką mocą, że ten musiał w końcu kilkakrotnie zamrugać, żeby przerwać kontakt wzrokowy. Również Hefajstos się zaczerwienił, jego ruchy stały się niezgrabne.

– Trochę niżej jest jeszcze jedzenie – powiedział. – Suszone mięso gotowane w wodzie z przyprawami. Jest też wino. Wszystko smakuje

kiepsko, ale przecież lepsze kiepskie jedzenie niż głodowanie. Może pójdziesz tam, zanim wszystko zniknie?

Zadał to pytanie Pallakis, a ona pośpiesznie wstała. Zostawiła mokry koc i otuliła się suchym. Popatrzyła jeszcze raz na Ksenofonta i dopiero wtedy się odwróciła. Wódz wpatrywał się w ziemię. Przez jego twarz przemknął cień irytacji, niemal furii. Przygryzł dolną wargę i ujął Hefajstosa pod ramię, czym go zaskoczył. Ciemność całkowicie zawładnęła już górami, a Grecy drzemali i drżeli pod kocami, co chwilę się budząc. Zimna woda bezustannie spływała po skórze zziębniętych ludzi.

* * *

Deszcz przestał padać, gdy chmury się rozproszyły, ukazując Grekom znacznie więcej górskich grani, niż widzieli do tej pory. Ksenofont postawił na nogi tylne straże, a Chryzofos zajął się Spartanami na czele kolumny. Wkrótce byli gotowi na wyzwania kolejnego dnia. Wszyscy czuli głód, jednak mieli do dyspozycji dużo zimnej i czystej wody, dlatego – chociaż przemoczeni – przynajmniej nie cuchnęli tak jak jeszcze niedawno. Nad niektórymi ludźmi unosiła się para, kiedy wykonywali dla rozgrzewki ćwiczenia fizyczne; ich ciała pozbywały się resztek nocnego ciepła.

Karduchowie wylegli na przełęcz. Tubylcy nie wiedzieli, co to musztra, nie słyszeli też dotąd o sztuce dowodzenia i w oczach Greków wyglądali jak nieskoordynowany rój, który w chaotyczny sposób zamierza zrealizować jakiś cel. Niebo za nimi robiło się coraz jaśniejsze, dlatego ich postaci wyglądały na jego tle jak skaczące czarne figury, było ich jednak tak dużo, że o przejściu przez przełęcz Grecy w tej chwili nie mogli nawet marzyć. Stanęli przed nimi w szyku bojowym, chcąc ich wystraszyć swoją postawą. Po chwili Ksenofont rozkazał żołnierzom, aby wznieśli tarcze,

nakazał marsz, po czym zatrzymał kolumnę. Karduchowie kotłowali się w oczekiwaniu, co dalej nastąpi, jednak Grecy tylko na nich patrzyli z odległości niecałych dwustu kroków od wąskiego przejścia, które górale blokowali.

Usłyszawszy nad głową dźwięki rogów, Ksenofont podziękował bogom. Były trochę przytłumione, jednak zwielokrotniało je echo, napełniając jego serce radością, bo już zaczynał się martwić, że dwa tysiące ludzi, których wysłał wysoko w góry, pogubiło się w ciemnościach. Spędzili noc w absolutnej ciszy, drżący i smagani zimnym deszczem, właściwie nie dysponując niczym, żeby się przed nim osłonić. A o pierwszym brzasku rzucili się na wroga; Ksenofont mógł ich za to w duchu tylko błogosławić.

W szeregach Karduchów zapanowała konsternacja. Wiedzieli, na czym polega walka w górach, i mając wroga wysoko nad głowami, przerazili się; nawet z daleka było to doskonale widoczne. Gdy jego ludzie zaczęli z wrzaskiem zbiegać ze zboczy, Chryzofos nakazał pozostałym Spartanom szybki marsz na wroga. Zaczęli śpiewać hymn śmierci. Także Ksenofont podjął tę pieśń, głośno wykrzykując każde słowo, aż jego płuca wypełniły się zimnym powietrzem. Grecy, którzy znajdowali się najbliżej, patrzyli na niego z zaskoczeniem.

Widząc, co się dzieje, Karduchowie zrezygnowali z blokady przełęczy i zaczęli uciekać jak szczury. Ksenofont usłyszał okrzyki radości, jakie dobyły się z ust żołnierzy, którzy przypuścili atak z wysokości. Tajna ścieżka pozwoliła im okrążyć zablokowane przejście i wprowadziła w dolinę rozpościerającą się za nim. Stratega czekało więc tylko łatwe zadanie ruszenia ze strażą tylną w szyku marszowym i wejście do doliny po usunięciu nielicznych przeszkód, które pozostawili tubylcy – gęstych gałęzi i ukrytych pod nimi ostrych żerdzi. Karduchowie zniknęli i chociaż wciąż

słychać było ich pohukiwania, był to raczej skowyt wielkiej żałości niż wyzwanie wobec znienawidzonego wroga.

Tymczasem przez niskie chmury przebiło się słońce, celując wąskimi promieniami niczym opuszkami palców w zielony grunt. Ateńczyk dostrzegł w dolinie skupiska domów i stada kóz oraz owiec. Pociekła mu ślinka na myśl o uczcie z pieczonego mięsa. Dolina może była wąska, ale zielona i z pewnością stanowiła bogactwo tych gór, ich ukryte serce. Ksenofont był pewien, że musiałby wędrować bardzo długo, aby znaleźć kolejne takie miejsce. Zaczął się rozglądać za Pallakis; koniecznie chciał się do niej uśmiechnąć. Nie dostrzegł jej. Znajdowała się daleko z przodu i towarzyszył jej Hefajstos.

* * *

Następnego dnia w południe do domu, który zajął Ksenofont, przyszedł jeden z członków starszyzny Karduchów. Nieznajomy miał świeże rany na ciele, które zadali mu greccy wartownicy, kiedy się do nich zbliżał, jednak wyciągał przed siebie puste dłonie, a głowę trzymał opuszczoną, znosząc upokorzenie. Ksenofont przywołał młodego wojownika, który pokazał jego ludziom ścieżkę, co umożliwiło im obejście wąskiej przełęczy. Mężczyzna podszedł do starca i popatrzywszy na niego z nienawiścią, uderzył go otwartą dłonią w twarz. Ksenofont musiał mu rozkazać, żeby się cofnął.

Stary Karduch odezwał się w swoim języku. Jego słowa po chwili przetłumaczył na perski wojownik ponaglony pchnięciem grotem włóczni. Odezwał się, nie ukrywając pogardy dla starca:

– On prosi, żebyś nie palił tych domów. Mówi, że jego ludzie chcą żyć w spokoju, ale kłamie. Przysłali tutaj starca, ponieważ nie ma dla nich żadnej wartości. Zabij go, jeśli chcesz, to nie ma żadnego znaczenia.

Wychudły starzec zamierzył się na młodego i kopnął go, zanim zdążono przetłumaczyć jego słowa na grecki.

– Co jest? O co chodzi? – zapytał Ksenofont.

Młody człowiek wzruszył ramionami, mamrocząc coś w swoim języku. Starzec rzucał w jego stronę przekleństwa.

– Walczymy, żeby zwyciężyć. W wojnie nie ma zasad. Skoro ten stary głupiec jest tutaj, dobrze zrobisz, sprawdzając, czy nikt w tej chwili nie podrzyna gardeł twoim wartownikom. Mamy wielu wojowników.

Stary człowiek odezwał się znów, kiedy Ksenofont słuchał tłumacza. Chciał opowiedzieć, z czym przybył. Wódz uniósł rękę, żądając ciszy, i podrapał się między oczami. Dzisiaj dobrze zjadł i pełną garścią korzystał z zapasów, które tubylcy przygotowali na długą zimę.

– Powiedz mu, że chcemy jedynie przejść przez góry. Nie spalę jego domów, jeżeli zwróci mi ciała naszych zmarłych, abym mógł je pochować i poświęcić bogom. Powiedz mu to i nie dodawaj ani słowa więcej.

Wojownik z zaciętą miną wykonał polecenie. Chociaż starzec znów chwilami zagłuszał tłumacza, na koniec ujął rękę Ksenofonta i pochylił głowę. Ateńczyk odepchnął go pośpiesznie, znużony całą sceną. Kiedy obu Karduchów wyprowadzono na zewnątrz, postanowił okrążyć cale obozowisko i sprawdzić, czy wartownicy wciąż są żywi i na wyznaczonych miejscach. Nie miał żadnego powodu, aby ufać któremukolwiek z tubylców.

Tej nocy zwłoki zabitych Greków pojawiły się na skraju wioski. Wartownicy podnieśli alarm, kiedy dostrzegli poruszające się cienie, jednak kiedy ruszyli w tym kierunku z pochodniami, znaleźli tylko ciała mężczyzn, których doskonale znali, poukładane na ziemi. Zabrali je stamtąd z wielkim szacunkiem. Tej nocy nikt w obozie już nie spał; wszyscy modlili się za zmarłych. Kobiety umyły i namaściły zwłoki, po czym znów je ubrały.

Zaszyto im rany, naoliwiono brody. Wraz z martwymi nie zwrócono broni, nie można więc było jej rozdać wśród ich przyjaciół i towarzyszy walki. Grecy wykopali dla bohaterów jeden wielki grób i opuścili do niego ciała. Był to okrutny pochówek, przeprowadzony w świetle pochodni. Towarzyszyły mu zawodzenia kobiet. Ksenofont zaczął się zastanawiać, czy Karduchowie w ogóle rozumieją, co się dzieje, i czy otworzą świeży grób, gdy tylko Grecy wyruszą w dalszą drogę. Odepchnął jednak od siebie ponure myśli. Zrobił dla zmarłych wszystko, co mógł. Ich ciała zostały potraktowane z szacunkiem, a pochówkowi towarzyszyły modlitwy i płacz.

Gdy słońce wstało po raz kolejny, cała grupa była już w drodze. Pozostawili domy niespalone, nie wzięli nikogo w niewolę, jednak po raz kolejny zabrali ze sobą wszystko, co nadawało się do jedzenia, w tym stada kóz i owiec, które pognali ze sobą w środku kolumny. Szyk marszowy dostosowali do warunków górskich, a ich nastroje znacznie się poprawiły.

Pierwszy gwałtowny atak nastąpił, zanim słońce zdążyło wznieść się ponad granie. Karduchowie wspięli się wysoko całymi tysiącami i z wysokości rzucali kamieniami tak dużymi, że każdy z nich mógł przewrócić człowieka. Co gorsza, spychali w dół także wielkie głazy niszczące wszystko, co znalazło się na ich drodze, ale można było przynajmniej zobaczyć napastników. Chmury i mgła rozproszyły się na cały dzień i nawet najwyższe szczyty skrzyły się w zimowym słońcu. Temperatura powietrza gwałtownie spadła, jednak przez cały czas Greków rozgrzewała walka.

Dowódcy postępowali zgodnie z ustaloną rutyną. Kiedy Karduchowie uderzali w czoło kolumny, Ksenofont wysyłał ludzi z tyłu w boczne ścieżki, z zadaniem przedostania się na jak największą wysokość. Tubylcy bardzo nie lubili tych wypraw i opuszczali swoje pozycje, kiedy tylko zaczynało grozić im okrążenie. Jeżeli atakowani byli ludzie Ksenofonta, Chryzofos

takie same rozkazy wydawał swoim Spartanom, wysyłając ich na wysokie zbocza z zadaniem kierowania się ku tyłowi kolumny.

Zmagania były ciężkie i brutalne, dlatego pod koniec zimowego dnia wszyscy byli skrajnie zmęczeni i sfrustrowani. Karduchowie postanowili bronić jednego ze szczytów, prawdopodobnie dlatego, że nie mieli żadnej bezpiecznej drogi w dół. Wydali bitwę Grekom w miejscu, gdzie pod butami skrzypiał zmrożony śnieg. Mieli pecha, ponieważ natrafili akurat na grupę pięćdziesięciu Spartan, którzy splamili biały śnieg ich krwią i nacierając, rzucali w nich głowami ich pobratymców, które poobcinali pierwszej grupie śmiałków, jacy ośmielili się stanąć na ich drodze.

Końca dnia nie doczekało wielu walczących po obu stronach. Ksenofont zastanawiał się, czy znów otrzyma zwłoki swoich ludzi w zamian za jakieś ustępstwo, lecz w pobliżu nie było ani jednego domu, który mógłby oszczędzić na prośbę Karduchów. Jednak tym razem niczego od niego nie chcieli i nie zobaczył ich, kiedy niebo się rozjaśniło, a przenikliwe zimno zmroziło obóz. Rozmyślał, jak długo jeszcze jego ludzie to wszystko wytrzymają, ile mil zdążą przejść do zapadnięcia kolejnej nocy. Zamknął oczy i w milczeniu zaczął się modlić, lecz wkrótce zasnął.

Przyśniły mu się wtedy pękające łańcuchy i spadające z dłoni żelazne kajdany. Kiedy się obudził, zaczął szukać Chryzofosa, żeby mu o tym powiedzieć. To musiał być dobry omen, wiadomość od bogów. Ta myśl sprawiła, że rozpoczął dzień w lepszym nastroju niż kiedykolwiek od momentu wejścia w góry.

Opowiedział o swoim śnie Spartaninowi, na którego twarzy zaraz pojawił się uśmiech – kolejny powód do zadowolenia dla Ateńczyka. Nieświadomie pragnął wzmocnić przyjaźń, która zaczęła kiełkować pomiędzy nimi, w ciągu dnia oddzielonymi od siebie długością kolumny marszowej. Przecież mężczyźni potrzebują momentów ciepła, odprężenia

i śmiechu; brak takich chwili po prostu niszczy ludzi. Pallakis zdawała się unikać Ksenofonta, co z kolei oznaczało, że z dala od niego przebywał także Hefajstos. Pozostał mu tylko Spartanin, wychudzony i ogromnie zmęczony.

– To był dobry sen – powiedział Chryzofos. – Opowiem o nim żołnierzom. Może powinniśmy poświęcić bogom w ofierze kozy, które prowadzimy, aby sen się spełnił?

Popatrzył pytająco na Ksenofonta, on jednak nawet się nie zawahał.

– Utoczymy na ofiarę ich krew, ale mięso zabierzemy ze sobą. To już długo nie potrwa, Chryzofosie.

* * *

Przez kolejne dwa dni ataki były sporadyczne. Z różnych szczelin spadały na nich strzały, zazwyczaj zatrzymywane tarczami. Jeden ze Spartan zginął o poranku od zabłąkanej strzały, która trafiła go w bok. Usiadł, zaczął pluć krwią i już nie wstał. Nie było kawałka ziemi, w której można by wykopać grób, dlatego pochowali go pod wysokim kopcem z kamieni.

Młody wojownik Karduchów, którego Ksenofont trzymał w niewoli, uciekł następnej nocy. Najprawdopodobniej przegryzł sznur, którym był związany, kiedy wszyscy spali. Ksenofont przypomniał sobie sen z pękającymi kajdanami i mógł tylko mieć nadzieję, że nie oznaczał on jedynie ucieczki jeńca.

Trzeciego poranka w dolinie, a siódmego, odkąd weszli w góry, natrafili na przesmyk, który wiódł do stromego rumowiska kończącego się szeroką równiną urozmaiconą jedynie niskimi wzgórzami. Z wysokości, na której się znajdowali, wyliczyli, że przebrnięcie rumowiska zajmie im cały dzień.

Równinę przecinała szeroka rzeka płynąca w odległości około pół mili od podstawy gór.

Za rzeką zaś, na zielono-złotej płaszczyźnie, stała czekająca na nich armia. Obozowisko rozbiły oddziały jazdy, a dymy z ognisk unosiły się w powietrze jak grube, ciemne nici. Na wzgórzach czekały w lśniących zbrojach oddziały piechoty. Obozowały na nielicznych wzniesieniach, które przez ich obecność wyglądały teraz jak wyspy na oceanie. Ujrzawszy to wszystko, Chryzofos przywołał Ksenofonta. Mimo że za rzeką czekali kolejni wrogowie, mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, objęli się ramionami i wybuchnęli serdecznym śmiechem. Przecież góry mieli już za sobą.

– Zastanawiam się, kim musi być satrapa, który czeka na nas w środku zimy – powiedział Spartanin, spoglądając w dal spod daszka z dłoni. – Musi być winien Persom jakąś wielką przysługę, skoro trzyma swoich ludzi na takim mrozie.

Ksenofont jednak z trudem ukrywał rozczarowanie. Odrzucił od siebie kajdany, ale miał nadzieję, że w górach pozostawił za sobą także wszelkie bitwy i przelew krwi. Miał już tego dość i myśl o kolejnych walkach była udręką. Kimkolwiek był następny wróg, nieważne, jakie były jego zobowiązania lub obietnice wobec Persów, czekał na niego, przecinając mu drogę.

– Żeby dotrzeć do domu, musimy przejść przez tę rzekę – odezwał się.

– Znajdziesz na to sposób – odpowiedział mu Chryzofos. Ksenofont popatrzył na niego, jednak nie dojrzał na twarzy Spartanina ani drwin, ani nawet śladu beztroski. – Tak jak znajdowałeś do tej pory.

30

Kolumna Greków w ciszy schodziła ze stoku. Żołnierze pokonywali teren długimi krokami, wysoko unosząc nogi. Cywile często się przewracali, a z kolei hoplici posuwali się w szyku bojowym, uważnie stawiając każdy krok. Ci z tyłu przemieszczali się najwolniej i najostrożniej w obawie przed atakiem, lecz ich także ogarnęło szaleństwo, którego źródłem stała się świadomość, że wreszcie są wolni. Pokonali góry. Żyją. Zaczęli zbiegać w dół niezgrabnymi susami, coraz szybciej. Nawet powietrze na otwartym terenie wydawało się słodsze od tego nieprzyjemnego, które spływało z wilgotnych mgieł w górach. Ludzie śmiali się i pokrzykiwali z rozkoszą, zbliżając się do upragnionej ciepłej ziemi. Granie, za którymi kryli się Karduchowie, mieli już za sobą.

Ksenofont chodził w tę i z powrotem wzdłuż kolumny, nawołując ludzi, żeby się pilnowali i za żadną cenę nie łamali szyków. Zatęsknił za koniem. Wszyscy mężczyźni byli kiedyś chłopcami i musieli wysoko zadzierać głowy, żeby patrzeć na twarze swoich ojców. Przyszło mu do głowy pytanie, czy prosta czynność unoszenia głów uczyniła jego ludzi bardziej posłusznymi i czy takie posłuszeństwo miało coś wspólnego z najwcześniejszymi wspomnieniami. Nie było łatwo dowodzić wielkimi oddziałami, poruszając się na poziomie wzroku tych, którym się rozkazywało.

Znów mieli dość przestrzeni, żeby uformować kolumnę wewnątrz kolumny. Cywile z wielkim spokojem przyjmowali fakt, że ponownie

otaczają ich ze wszystkich stron znajome twarze żołnierzy, chociaż wielu teraz brakowało. Setki zostało zabitych w górach, w trakcie walk tubylcy porwali też co najmniej tuzin kobiet i nic im nie pomogły rozpaczliwe krzyki. Ci znajdujący się teraz w kolumnie przeżyli, jednak pozostały im w głowach wspomnienia, które miały ich prześladować już przez całe życie.

Ksenofont miał wrażenie, że się postarzał o dziesięć lat. Patrzył na armię po drugiej stronie rzeki, która jakby ożyła. Obcy żołnierze popatrywali ku Grekom z ponurą złością na twarzach. Ksenofont również był na nich zły, ponieważ stanęli mu na drodze, ale był także znużony koniecznością pokonania kolejnej przeszkody.

Zorientował się, że Chryzofos czeka na rozkazy wraz z ustawionymi w równych szeregach Spartanami. Po tym, co przeszli, wszyscy wyglądali dość niechlujnie. Nie decydowały o tym ich długie brody i niestrzyżone włosy splecione w warkocze, ale ponura aura zmęczenia i ich miny, które podpowiadały, że przecież także oni znajdą się kiedyś u kresu sił. Ksenofont poważnie się zaniepokoił. Do tej pory ich wytrzymałość była jego najważniejszą bronią, posyłał ich do najtrudniejszych zadań i kazał walczyć na najcięższych odcinkach. Ich długie czerwone płaszcze były poprzecierane i przebijało przez nie światło, a część z nich pocięto, żeby opatrywać nimi rany. Wielu Spartan nosiło czerwone opaski na udach albo na ramionach, ciemne od zakrzepłej krwi. Heloci stali pomiędzy nimi, w milczeniu przytrzymując ich tarcze i włócznie. Razem – Spartanie i heloci – stanowili elitę i Ksenofont doskonale zdawał sobie sprawę, że gdyby nie przelana przez nich krew, nigdy nie dotarłby do miejsca, w którym się teraz znajdował.

Wpatrywali się w niego bez złości, czekając na rozkazy. On natomiast z kamienną twarzą spoglądał im po kolei w oczy. Wszyscy odegrali już

swoją wielką rolę, jednak przedstawienie jeszcze się nie skończyło. Ksenofont skierował wzrok za rzekę, gdzie piechota już od dłuższego czasu formowała oddziały. Na widok od dawna oczekiwanego wroga żołnierzy ogarniał niemal amok. Nieprzyjaciół było trzy lub cztery razy więcej niż hoplitów; mniej więcej trzydzieści tysięcy. Mogli się wydawać wielką armią dla każdego, kto nie walczył pod Kunaksą. Ksenofont tam walczył, więc teraz wskazał ręką na tę gromadę i wzruszył ramionami.

– Kim są ci głupcy, którzy stanęli naprzeciwko nas? – Starał się, aby w jego głosie zabrzmiało zarówno lekceważenie, jak i złość. – Przeciwko tym, którzy oszukali armię perskiego króla, nie dając się wciągnąć w straceńczą bitwę. Tym, którzy przebrnęli przez góry Karduchów i przeżyli ten marsz! Odnoszę wrażenie, że taneczna trupa pir Tissafernesa wysłała przez góry gołębie pocztowe, które nas wyprzedziły. Ci ludzie po drugiej stronie rzeki nigdy nie widzieli Greków. Nie mają pojęcia, co ich czeka, kiedy się z nami zmierzą. – Roześmiał się, patrząc w ich kierunku. – Wyobraźcie sobie tylko ich miny, kiedy się o tym przekonają!

Spartanie odpowiedzieli na jego słowa szerokimi uśmiechami, wyobrażając sobie wrogów uciekających w popłochu. Dotąd nie mieli wielu powodów do radości; to żywe wyobrażenie było pierwszym od wielu dni.

Za oddziałem Chryzofosa czekała wielka kolumna Greków. Oni także sprawiali wrażenie skrajnie wymęczonych i byli okropnie wychudzeni – sama skóra i kości. Od zbyt dawna niedojadali i przez zbyt wiele dni bezustannie walczyli o życie. Ostrza ich mieczy były stępione, a żaden z wojowników od ponad tygodnia się nie mył. A jednak patrząc na nich, Ksenofont odczuwał dumę, która niemal rozsadzała mu piersi.

Znowu spojrzał za rzekę. Sprowadził swoich ludzi aż tutaj. Ostatnie tygodnie zalegały mu na sercu ogromnym ciężarem, lecz nie zamieniłby ich

nawet na możliwość spędzenia kolejnej nocy w Atenach i zaśnięcia we własnym łóżku.

– Podejdź ze mną do rzeki! – zawołał do Chryzofosa. – Zabierz najlepszych ludzi z włóczniami i kilku z tarczami, którzy ich osłonią. Znajdziemy bród i pokażemy tym sługusom perskiego króla, kim jesteśmy.

Mały oddział ruszył wraz z nim na brzeg. Ksenofont zobaczył jakieś nieznane chorągwie powiewające po drugiej stronie. Żołnierze, którzy się tam znajdowali, nosili zbroje jak Persowie, jednak na ich chorągwiach widniały dziwne symbole, a i same sztandary wydawały się jakby mniejsze od perskich. Trudno było się nie załamać, widząc tak wielu wrogów, jednak Ksenofont zmusił się do marszu aż nad brzeg, zachowując taką postawę, jakby się nie spodziewał żadnego zagrożenia.

Rzeka była znacznie szersza, niż się wydawało z daleka, odległość pomiędzy brzegami wynosiła co najmniej sto kroków. Płynęła rwącym nurtem, woda piętrzyła się w fale o kształtach, które przypominały lecące gęsi. Ksenofont obserwował, jak zuchwali łucznicy wroga przystępują do sprawdzania zasięgu swoich strzał. Stawali na brzegu i dopiero wtedy napinali cięciwy łuków. Było ich około trzydziestu i strateg musiał się schronić za dwiema tarczami trzymanymi przez Spartan. Próbował jednak nie reagować na świst strzał i odgłos grotów bijących w tarcze.

Pomiędzy salwami z łuków Grecy zaczęli dźgać włóczniami ziemię przy brzegu, ale nic nie wskazywało na to, że w pobliżu znajduje się jakaś płytka przeprawa. Nawet najdłuższe włócznie wsuwane pionowo w wodę po chwili znikały pod jej powierzchnią razem z dłońmi, które je trzymały. Kiedy jeden z Greków został trafiony strzałą i przeklinając na czym świat stoi, odciągnięty od brzegu, wszyscy wycofali się poza zasięg wrogich łuczników. Ksenofont poczuł na sobie wzrok Chryzofosa. Uniósł pytająco brwi, nie wiedząc jeszcze, jak zareagować na to spojrzenie. Zakładał dotąd,

że wróg doskonale zna rzekę. A tymczasem wszystko wskazywało na to, że oddziały, które znajdowały się po drugiej stronie, dotarły tutaj na rozkaz perskich panów i nie miały większego pojęcia o możliwościach przeprawy niż on sam. W każdym razie tylko przebrnięcie przez rzekę dawało możliwość stawienia im czoła.

Czuł się trochę załamany, kiedy wracał do czekających na niego Greków. Po prostu należało teraz przystąpić do intensywnych poszukiwań przeprawy. Jeszcze z gór zobaczył, że jak okiem sięgnąć rzeki nie przecinają mosty. Należało znaleźć miejsce, w którym rzeka będzie płytka, gdzie jej dno w dawnych czasach wyłożono kamieniami lub wysypano ciężkim żwirem. Tymczasem rysowała się ponura perspektywa spędzenia trudnej nocy na otwartym terenie. Wiał coraz mocniejszy wiatr, szarpiąc ubrania i włosy. I co najważniejsze, należało poszukać czegoś do jedzenia.

– Musimy wysłać ludzi, żeby na przedgórzu znaleźli przynajmniej ptasie jaja – powiedział Chryzofos, jakby czytał w jego myślach.

Ksenofont spoglądał już za plecy swoich ludzi, ku szarym graniom i ku zieleni, która wypływała spomiędzy nich. Jego uwagę przykuł jakiś ruch. Zrobił krzywą minę i pokręcił głową.

– Myślę, że oni na to nie pozwolą – powiedział, wskazując w tamtym kierunku.

W przejściu, które wyprowadziło Greków z gór, zgromadziły się ogromne zastępy Karduchów. Były ich tysiące, więcej, niż Ksenofont kiedykolwiek by się spodziewał. Potrząsali włóczniami i łukami, przeraźliwie wyli i gwizdali, odgłosy te osłabiały jednak przestrzeń i porywisty wiatr.

– Aha… Nie możemy więc zawrócić ani pójść przed siebie – powiedział Chryzofos. – Zatem należy nam się dzień na lizanie ran, wodzu. Na zjedzenie resztek żywności i wypicie resztek wina. Na podreperowanie

zdrowia i zszycie ran. Wielu naszych ludzi ma gorączkę, wielu transportujemy na noszach. Niech więc Karduchowie wyją sobie w swoich górach. – Spartanin wzruszył ramionami i w wyobraźni jakby powróciło do niego jakieś wspomnienie. – Gdy oni będą tam sobie pohukiwać, my wypoczniemy i nabierzemy sił.

– Poproszę Atenę, żeby nas poprowadziła – stwierdził Ksenofont.

Usłyszawszy boskie imię, Chryzofos skłonił głowę.

– Szanujemy ją. To kobieta-tarcza, pani wojny i mądrości. Jakże mogłoby być inaczej? Jest przecież bardzo spartańską boginią. Zapewne to ona zesłała na ciebie sen o pękających łańcuchach.

Ateńczyk uśmiechnął się na to wspomnienie.

– Też tak myślę. Tamten sen dał mi nadzieję w chwili, kiedy byłem bliski desperacji.

Chryzofos przystanął, a na jego twarzy pojawił się cień zaskoczenia.

– Bliski desperacji? Przecież nie okazywałeś tego ani przez chwilę.

Ksenofont odwrócił wzrok.

– Powiedzmy, że jestem bardzo zadowolony, że w końcu wyszliśmy z tych gór. Czuję się, jakbyśmy przebyli krainę zmarłych i znowu znaleźli się w świecie żywych. Rozumiesz mnie?

– Oczywiście. Jednak nam się udało.

Nikt nie znajdował się na tyle blisko, by słyszeć ich rozmowę. Żołnierze byli daleko z przodu, a dwaj przywódcy szli powoli za nimi, ciesząc się chwilą spokoju.

– Widzisz… Dowodzenie Spartanami na wojnie jest dla mnie zaszczytem – powiedział Ksenofont głosem pełnym wahania.

– Tak. Dowodzenie nimi to zawsze zaszczyt – rzekł Chryzofos. Po chwili, krótkiej jak uderzenie serca, skrzywił się i kontynuował: –

Widziałem twojego młodego przyjaciela, Hefajstosa. Wpatrzony był w kochankę księcia Cyrusa… Jak jej na imię?

– Pallakis – odparł cichym głosem Ksenofont.

Dźwięk imienia dziewczyny był zaledwie tchnieniem powietrza na jego wargach i Spartanin to zauważył.

– Zechciałbyś, aby kilku moich ludzi dało mu do zrozumienia, że ta kobieta należy do ciebie i nikogo innego?

Ateńczyk pokręcił głową, wpatrzony w ziemię.

– Nie. Do niczego jej nie zmuszę. Powinna przyjść do mnie z własnej woli albo wcale. – Otworzył usta, żeby coś jeszcze dodać, może podjąć głośną dyskusję z samym sobą, jednak z tego zrezygnował.

– Wydawali się bardzo zaprzyjaźnieni – dodał Chryzofos.

Ksenofont skierował na Spartanina tak udręczone spojrzenie, że ten się roześmiał.

– Wybacz. Tylko się z tobą droczę.

– Myślałem, że Spartanie się nie śmieją – mruknął Ksenofont, któremu humor wcale nie dopisywał.

– Kto tak powiedział? Gdybyśmy się nie śmiali, przynajmniej kochając się lub walcząc, jakże smutny byłby nasz świat. Widziałem kiedyś, jak pantera nakichała z góry na człowieka. Minęło dziesięć lat, a to wspomnienie wciąż wywołuje we mnie wesołość.

* * *

Tej nocy Ksenofont spał niespokojnie. Budził się przynajmniej dziesięć razy, kiedy więc znów ujrzał słońce, był przekonany, że nie zmrużył oka. Po siedmiu dniach, które spędził wśród górskich grani, usiadł i cieszył się widokiem świtu nad płaską ziemią. Rzeka przecinała ją jak złota wstęga

i nawet perscy wysłannicy, którzy obozowali nad nią, aby zakłócić pochód Greków, podziwiali grę światła. W takich chwilach człowiek zdaje sobie sprawę, że naprawdę żyje, rozmyślał Ksenofont. Podziw dla piękna natury jest wtedy silniejszym uczuciem niż radość z życia. Chciał zapamiętać tę myśl, aby któregoś dnia powiedzieć ją Sokratesowi. Tak wiele miał już do opowiedzenia staremu draniowi. Ale przede wszystkim chciał filozofowi podziękować za sugestię, aby wyjechał z Aten. Ateny po prostu sprzykrzyły się Ksenofontowi, chociaż nie był w stanie sobie tego uświadomić. Po Kunaksie i po długim marszu z Persji wreszcie rozumiał, jak błahe były jego dawne rozterki. Teraz mógł znowu zaznać wiele spokoju i pozbyć się złości, która zżerała go i sprawiała, że rdzewiał od środka.

– Dzień dobry, wodzu – powiedział Chryzofos. – Mam tutaj dwóch młodych ludzi. Myślę, że zechcesz usłyszeć, co mają do powiedzenia.

Ksenofont stłumił ziewnięcie i przetarł oczy. Czuł się brudny i zarośnięty. Tydzień temu miał urodziny i prawie o tym zapomniał. Miał dwadzieścia siedem lat, ale na widok dwóch młodych Spartan poczuł się starszy. Stanęli przed nim, przyodziani w niewiele ponad sandały. Jeden z nich skręcił płaszcz w gruby sznur i przerzucił przez ramiona, zawiązawszy węzeł na szyi. Pas, za który zatknął miecz, miał szerokość przepaski na biodra. Drugi był kompletnie nagi, ale stojąc przed Ksenofontem, wydawał się tym absolutnie nie przejmować. Obaj wyglądają na bardzo zdrowych, pomyślał z zazdrością Ksenofont, trąc dłonią policzek.

– Słucham. Właśnie cieszyłem się pięknym świtem. Powiedzcie mi, z czym przybywacie.

– Mój brat i ja poszukiwaliśmy podpałki. Ostatniego wieczoru oddaliliśmy się od obozowiska na jedną lub dwie godziny drogi, jakieś trzydzieści stadionów stąd w dół rzeki. Było już ciemno, kiedy zobaczyliśmy starego mężczyznę i starą kobietę chowających ubrania, albo

jedno ubranie, pomiędzy kamieniami na drugim brzegu rzeki. Mieli ze sobą trochę chleba i ser. Pomyśleliśmy, że właśnie w tym miejscu moglibyśmy przepłynąć na przeciwległą stronę, więc…

Przerwał mu brat, bardzo podekscytowany.

– Wsunęliśmy noże między zęby i weszliśmy do wody. Chcieliśmy płynąć, ale w najgłębszym miejscu rzeka sięgała nam najwyżej do bioder. Kiedy znaleźliśmy się na drugim brzegu, tych starych ludzi już nie było, więc wróciliśmy.

– Ktoś was widział? Dotykaliście tych ubrań? – zapytał Ksenofont, teraz już bardzo czujny.

Zobaczył, że Chryzofos się skrzywił, usłyszawszy pytanie, jednak zignorował go.

Bracia w odpowiedzi zgodnie pokręcili głowami. Ksenofont z zadowoleniem zacisnął pięść.

– Obaj zasłużyliście na moje wielkie podziękowania.

– Dobra robota, chłopcy. Wracajcie do siebie i jakoś się ubierzcie – dodał Chryzofos. – Chyba nie będziemy dzisiaj wypoczywać.

Ksenofont się uśmiechnął.

– Mam plan, Chryzofosie.

– Oczywiście, wodzu.

* * *

Gdy po resztkach jedzenia pozostały już tylko wspomnienia, wszelkie opóźnienie mogło jedynie osłabić całą kolumnę. Zerwanie cywilów na nogi zabrało niewiele czasu; słońce wciąż wspinało się po niebie, gdy Chryzofos prowadził żołnierzy wzdłuż brzegu. Dwaj bracia pełnili rolę zwiadowców. Bród znajdował się w odległości zaledwie dwóch mil, jednak przeprawa

przez rzekę stanowiła oczywiste zagrożenie. Zanurzeni po pas w wodzie i zmagający się z silnym nurtem Grecy byliby całkowicie bezbronni. W historii Grecji więcej niż jedna armia została zaatakowana w czasie przeprawy i niemal doszczętnie zniszczona.

Wrogie wojsko obserwowało ich ruchy z drugiego brzegu. Widać było, że dowódcy nie wiedzą, co robić. Równolegle z Grekami ruszyła jazda, jednak tysiące żołnierzy piechoty pozostało na swoich miejscach, głównie na wzniesieniach, gdyż oficerowie woleli pozostać w klasycznych formacjach gwarantujących przewagę, niż dać się wciągnąć do walki na nieznanym terenie.

W górach za plecami Greków obudzili się także Karduchowie. Tłoczyli się jak mrówki na grzbietach górskich, wszystko uważnie obserwując. Dowodząc strażą tylną, Ksenofont także co chwilę im się przypatrywał. Wciąż nie rozumiał ich postępowania i nie potrafił przewidywać ich kolejnych ruchów.

Gdy tylko Chryzofos ruszył w drogę, Karduchowie zeszli z gór niżej niż kiedykolwiek do tej pory. Skacząc i ślizgając się, dotarli niemal na równinę. Może nie mieli zamiaru atakować, ale gdyby nadarzyła się okazja, z pewnością skoczyliby na Greków jak wilki na wiosenne jagnięta. Karduchowie otrzymali ciężkie lanie na własnym terenie i ich duma wciąż cierpiała.

– Spokojnie, Hellenowie! – zawołał Ksenofont do swoich ludzi.

Dowódcy wiedzieli, co zamierza zrobić, i aprobowali to. Przejście przez rzekę było zbyt wąskie, a żołnierze w wodzie zbyt bezbronni, żeby spróbować przeprawy, mając naprzeciwko dobrze uzbrojonego przeciwnika. Co więcej, Grecy byli słabsi niż na początku tej wędrówki; temu także nie można było zaprzeczyć. Aby znów stać się dobrymi

żołnierzami, potrzebowali co najmniej miesiąca wypoczynku i pożywnego jedzenia.

Na drugim brzegu tłoczyły się już tysiące jeźdźców. Posłańcy galopowali w tę i z powrotem, a oficerowie co chwilę wykrzykiwali rozkazy, wyraźnie się obawiając, że gdzieś w pobliżu znajduje się płytka przeprawa. Ksenofont osłonił dłonią oczy, próbując dostrzec resztę nieprzyjacielskich sił. Prawdopodobnie wrogowie się spodziewali, że Grecy markują jakiś manewr albo szykują fortel. Być może Tissafernes ostrzegł ich, że potrafią być podstępni w walce. Uśmiechnął się szeroko na tę myśl.

– Tylna straż! Polemarchowie i pentekosterzy… Na mój znak… Naprzód!

Jego głos wyraźnie rozległ się nad oddziałami i pierwsze szeregi z Chryzofosem wbiegły do wody, rozbryzgując ją wysoko. Piana zalśniła w słońcu niczym białe ptasie skrzydła.

W tym samym momencie połowa hoplitów na tyłach zawróciła i pobiegła z powrotem wzdłuż rzeki. Pędzili jak na wyścigach, przepychając się i krzycząc. Strumień biegnących Greków wyglądał oszałamiająco. Tylko cywile pozostali w miejscu, tak jak im nakazano. Po prostu czekali na brzegu. Część z nich została wyposażona w miecze i włócznie, na wypadek gdyby ich zaatakowano. Była to najtrudniejsza decyzja, lecz Ksenofont musiał wydać taki rozkaz. Żadna armia nie mogła manewrować na polu bitwy, chroniąc jednocześnie dziesięć tysięcy cywilów pozostających w jednym miejscu. Ksenofont długo modlił się do Ateny, żeby tym ludziom nic złego się nie stało.

Na drugim brzegu nagły zwrot pięciu tysięcy Greków wywołał natychmiastowy chaos. Dowódcy jazdy zrozumieli podstęp i mogli się mu przeciwstawić jedynie szybkim manewrem, który pozwoliłby im nadal korzystać ze swojej najprostszej przewagi – przewagi liczebnej. Połowa

konnych, którzy zgromadzili się, żeby zablokować pierwszą przeprawę, pogalopowała z powrotem, wyprzedzając biegnących ludzi Ksenofonta i wykrzykując do tych z tyłu, żeby byli czujni. Piesze oddziały łuczników, które stopniowo gromadziły się przed brodem, zostały zatrzymane i zawrócone biegiem. Łucznicy w biegu naciągali cięciwy.

Grecy z Ksenofontem najwyraźniej biegli w kierunku innego brodu, w górę rzeki. Gdyby bez problemów przekroczyli rzekę, mogliby zaatakować na dwóch frontach. Tymczasem wśród wrogów śledzących ich poczynania panował coraz większy chaos. Te oddziały, które już się przemieszczały, wpadały na kolejne, którym rozkazano stać i czekać na brzegu. Ludzie się tratowali, a dowódcy wykrzykiwali sprzeczne rozkazy.

Ksenofont biegł bez trudu. Był w dobrej formie, chociaż wychudzony. Widząc kompletny rozgardiasz po drugiej stronie rzeki, pomyślał, że mógłby tak biegać przez cały dzień. Przeprowadził manewr, który całkowicie zmylił wroga. Przecież na tej rzece nie było drugiego brodu.

– Naróbcie dużo hałasu! – rozkazał swoim dowódcom. – Każcie ludziom wysoko wznieść miecze i włócznie.

Odkrył, że pięć tysięcy Greków naprawdę potrafi hałasować. Gdyby chcieli, zaniepokoiliby swoim wrzaskiem nawet niebiosa. Biegnąc, zdawał sobie sprawę, że nie wolno mu przedobrzyć. Przecież prowadził swoich ludzi tak, jakby wkrótce mieli rzucić się przez rzekę w jakimś miejscu nieznanym żołnierzom po drugiej stronie. Zarazem nie mógł ich zanadto wymęczyć biegiem na długim dystansie. Prędzej czy później wszyscy musieli zawrócić i skierować się ku przeprawie, którą znaleźli bracia. Jego zadaniem było odwrócenie uwagi wroga od oddziałów Chryzofosa. Gdy zacznie zawracać, Spartanie powinni być już po drugiej stronie. Trudno mu było nie uśmiechnąć się na myśl o chwili, w której wrogowie spotkają ich po raz pierwszy w życiu.

– Uwaga! – wrzasnął. – Już się rozgrzaliśmy. Po drugiej stronie rzeki widzicie efekty naszej zabawy. Przygotujcie się do powrotu tam, gdzie faktycznie znajduje się nasza przeprawa.

Żołnierze zaczęli się śmiać. Byli pełni nowej energii, bawił ich chaos, jaki wywołali wśród przeciwników na drugim brzegu rzeki.

Kątem oka Ksenofont dostrzegł jakiś ruch i cicho zaklął. Ich podstęp musiał trwać na tyle długo, aby wrogowie nie zorientowali się w porę, w którym miejscu Grecy faktycznie będą się przeprawiać przez rzekę. Nieprzewidywalnym fragmentem planu było zachowanie Karduchów obserwujących wszystko z wysokości. Tak jak się obawiał, ci się zorientowali, że podzielił swoje siły. Dostrzegli w tym manewrze słabość Greków i zaczęli zbiegać ku nim szeroką ławą, kierowani szaleńczą żądzą zemsty. Ksenofont głęboko wciągnął powietrze.

– Hellenowie, na mój rozkaz! Hellenowie… stój!

Zatrzymali się w jednej chwili i gdy tylko zobaczyli Karduchów zbiegających w ich kierunku, odeszła im ochota do śmiechu.

– Grecy! Koryntianie i Stymfalijczycy, żołnierze z Tesalii i Arkadii, z Rodos, z Krety i z Teb! Przygotujcie się do odparcia ataku. Słuchajcie rozkazów swoich dowódców i pamiętajcie: walczyliśmy już z Karduchami w górach, na ich terenach. Teraz stają przeciwko nam na równinie. Nigdy nie widzieli, jak walczymy w równej linii, schronieni za tarczami, kąsający włóczniami i mieczami! Niech do nas podejdą, razem ze swoimi wrzaskami i rozgardiaszem. Potraktujemy ich jak psy, którymi przecież są, i wytniemy w pień!

Ostatnie słowa wykrzyczał tak głośno, jak tylko mógł, i odpowiedział mu wrzask z tysięcy gardeł. Ku swemu zadowoleniu dostrzegł, że część Karduchów zaczyna spowalniać atak. Z dala od osłony, jaką stanowiły dla

nich góry, poczuli się nagle w wielkim niebezpieczeństwie. Ogromnym zagrożeniem stał się dla nich rozległy i pusty teren.

W obliczu ataku Grecy ustawili się w formacje, które znali równie dobrze jak własne oddechy. Wyciągając ręce w bok i przed siebie, dotykali czubkami palców pleców i boków kolejnych żołnierzy, zachowując pomiędzy sobą idealne odległości.

– Gdzie moja tarcza? – zapytał Ksenofont.

Jeden z helotów podbiegł do niego z tarczą na plecach i oddając mu ją, ukłonił się nisko. Został z tyłu, gotowy podbiec do niego na każde wezwanie. Ksenofont z ulgą podziękował mu jak wolnemu człowiekowi, następnie wsunął lewe przedramię pod skórzany pas, a drugi mocno chwycił. Poczuł, że od teraz tarcza jest częścią jego ramienia, i machnął nią z widoczną przyjemnością, w oczekiwaniu na walkę.

– Hellenowie, do boju! – krzyknął nad głowami swoich żołnierzy. – Już czas. Sześćdziesiąt kroków do przodu i stójcie. Przygotujcie włócznie, aby napastnicy się na nie nadziali. Naprzód!

Karduchowie na pewno dostrzegli niewzruszony blok pięciu tysięcy Greków, w ich oczach składający się w większej części z metalu niż z ludzkich ciał, a za ich plecami szeroką rzekę. Grecy ruszyli do przodu, ale wtedy Ksenofont pomyślał też o łucznikach, którzy zgromadzili się na drugim brzegu. Manewry jego ludzi sprawiły, że dzikie wrzaski i skowyt nacierających Karduchów w wielkiej części ucichły. Zobaczyli, że wielka bestia się rusza, że mają naprzeciwko siebie coś o kształcie opancerzonego żółwia, zapowiadającego im rychłą śmierć. W pobliżu tego żółwia nie widzieli dzisiaj cywilów, których musiałby chronić. Grecy byli wychudzeni, brudni i zmęczeni długimi przejściami, jednak jak jeden mąż nienawidzili Karduchów.

Dwa lub trzy tysiące dzikusów uderzyło w formację Greków niczym grad w kamienną ścianę. Większość natychmiast ginęła pod potężnymi ciosami. Ci, którzy wciąż żyli, skakali i wrzeszczeli, jednak w zwarciu ze zdyscyplinowanymi żołnierzami nie mieli szans. Ksenofont obserwował z podziwem i euforią, jak jego ludzie wycinają napastników w pień. Ci, którzy wciąż znajdowali się z tyłu, zwalniali na widok nieprzeniknionej formacji Greków i krwi pobratymców lejącej się szerokimi strumieniami.

– Sześćdziesiąt kroków naprzód! Teraz! – krzyknął strateg.

Szereg Greków ruszył do przodu, a Karduchowie odwrócili się i zaczęli uciekać jak ranne psy, wciąż okrutni i wściekli, ale też przerażeni. Coraz większymi grupami uciekali w góry i przez chwilę Ksenofont miał ochotę gonić ich aż tam. Poniechał jednak tego pomysłu i obserwował, jak Karduchowie całymi setkami przystanęli na zboczach i oparłszy się na włóczniach, jedynie z daleka patrzyli na Greków. Nic nie zapowiadało ich kolejnego ataku. Ksenofont z zadowoleniem pokiwał głową.

– Teraz już nas poznali! – zawołał.

Grecy odpowiedzieli mu triumfalnym wrzaskiem, który echem odbił się od skał.

– Więcej nas nie zaatakują, a jeśli to zrobią, jeśli przyjdzie im na to ochota, ponownie nas popamiętają. A teraz wracajmy do rzeki i do naszej przeprawy. Musimy się śpieszyć.

Część żołnierzy zareagowała niechętnymi pomrukami, ale Ateńczyk tylko głośno się roześmiał.

– Co jest? Przecież już odpoczęliście! Mam wrażenie, że przed chwilą dobrze się bawiliście, co? Nadszedł czas, żeby znowu pobiegać, w przeciwnym wypadku Spartanie sobie przypiszą całą chwałę po zwycięstwie.

Kolejne pomruki oznaczały już tylko aprobatę i Grecy znowu ruszyli. Milczący Karduchowie oglądali ich plecy.

* * *

Zbliżało się południe, kiedy pięć tysięcy ludzi Ksenofonta wróciło do brodu. Byli brudni, lecz zadowoleni z sukcesu. Powitały ich radosne okrzyki cywilów, którzy ciasno ich otoczyli i klepali po plecach i hełmach. Wielka ulga wszystkich Greków była tutaj wyraźnie wyczuwalna. Wcześniej cywile z niepokojem obserwowali, jak ich obrońcy rozbiegają się w dwóch kierunkach, pozostawiając ich osamotnionych na wrogiej ziemi po raz pierwszy od zakończenia bitwy pod Kunaksą.

Ksenofont dowiedział się, że Spartanie przekroczyli rzekę, nie napotykając dużego oporu, po czym oczyścili brzeg ze wszystkich żołnierzy wroga, którzy byli na tyle głupi, że stanęli na ich drodze. Na ziemi walały się chorągwie – tych, które upadły, nikt już nie podniósł. Spoglądając na drugi brzeg, Ateńczyk dostrzegł szlak, który przebył Chryzofos. Wyznaczały go liczne zwłoki. Zacisnął szczęki, zastanawiając się, dokąd poszli Spartanie. Wspólnie zaplanowali, że zabezpieczą przeprawę i poczekają na jego ludzi, po czym pomogą cywilom w bezpiecznym przejściu na drugi brzeg. Wróg wciąż dysponował zbyt liczną jazdą, by go lekceważyć.

Ksenofont zadrżał, wkroczywszy w nurt. Nabrał straszliwie zimnej wody w dłonie i zwilżył twarz. Był rozczarowany, że Spartanin nie pozostał na miejscu. Musiał sobie przypomnieć, że przecież mu ufa i to jego zaufanie znacznie wzrosło po przeprawie przez góry zamieszkiwane przez plemiona Karduchów. Jeżeli Chryzofos postanowił oddalić się od brodu, musiał mieć ku temu istotne powody.

W nurcie stanęło dziesięciu hoplitów, aby wyznaczyć kierunek przeprawy. Gestami i zachęcającymi okrzykami prowadzili ludzi na drugi brzeg, przez cały czas czujnie wypatrując konnych lub łuczników. Pięć tysięcy ludzi Ksenofonta przekroczyło rzekę jeszcze przed nimi, w wielkim pośpiechu, a potem zabezpieczali brzeg, kiedy z mozołem ruszyli cywile, potykając się i często tracąc równowagę.

Ksenofont przez cały czas stał w wodzie, mimo że stopniowo tracił czucie w nogach. Zamierzał pozostać w rzece przez krótki czas, jednak mijając go, setki ludzi zanurzonych po pas w wodę dziękowały mu i błogosławiły tak wylewnie, że pochwały wprawiły go w końcu w oszołomienie. Ale po prostu musiał je przyjmować, nie miał wyboru.

Kiedy wszyscy znaleźli się już na drugim brzegu, ponownie kazał hoplitom otoczyć cywilów. Boki kolumny okazały się bardzo cienkie bez ludzi Chryzofosa, jednak Ksenofont nakazał jak najszybszy marsz po lekko wznoszącym się terenie, chcąc odejść jak najdalej od rzeki.

Oddziały perskich poddanych stały bez ruchu na niskich pagórkach, niedaleko od miejsca, w którym strateg zarządził wypoczynek. Dostrzegł, że część piechoty, którą widział jeszcze przed przekroczeniem rzeki, wciąż zajmuje te same pozycje. Żołnierze stali na wzniesieniach, mając pełen obraz sytuacji. Nie dali się nabrać na podstępy i sztuczki, które Grecy odegrali jeszcze po tamtej stronie rzeki. Teraz Ksenofont obserwował, jak jeden z tych oddziałów rusza w ich kierunku. Natychmiast rozpoznał tych ludzi, a jego serce wezbrało zarazem dumą i troską.

Niczym pełznący owad, niespodziewanie rozkładający chitynowe pokrywy skrzydeł, Spartanie nagle rozbłysnęli złotem. Wszyscy jak jeden mąż wznieśli tarcze, które uchroniły ich przed czarnym deszczem włóczni i strzał. To była wojna, jaką dobrze znali, i Ksenofont zarządził szybki marsz w ich kierunku. Wróg nie mógł wiedzieć, jaką grupę stanowili w jego

kolumnie nieznający walki mężczyźni i kobiety. Mógł jedynie widzieć poruszający się ogromny oddział. Ateńczyk uśmiechnął się na tę myśl. Nagle opuściło go wszelkie zmęczenie.

Maszerując, zdał sobie sprawę, że widzi na równinie znacznie mniej ludzi niż do tej pory. Liczne zastępy jazdy jakby gdzieś zniknęły. Wzdłuż brzegu zalegały porzucone chorągwie. Było ich zbyt dużo, aby przypisać Spartanom, że zdobyli je wszystkie na wrogu. Wiele znaków wskazywało, że perscy poddani po prostu uciekli z pola bitwy. Na razie jednak Ksenofont nie ośmielał się dopuszczać do siebie tej nadziei.

Ci, którzy pozostali, tkwili jak samotne wyspy na wzgórzach i pagórkach. Wcześniej zdawało się, że zajmują doskonałe pozycje, jednak po masowej ucieczce wielkiej części żołnierzy ich stanowiska sprawiały wrażenie wyizolowanych.

Ksenofont obserwował, jak Spartanie zdobywają kolejne wzniesienie, kolejne wzgórze, pożerając wrogów niczym liście, kęs po kęsie. Patrzył, jak postaci w czerni zaczynają długimi strumieniami pierzchać we wszystkich kierunkach. Kiedyś widział paniczną ucieczkę pajączków, gdy dziecko wbiło kij w ich gniazdo. Teraz też wrogowie biegli, posuwali się na czworakach i pełzali, byleby tylko znaleźć się jak najdalej od złotych tarczy i czerwonych płaszczy.

Zimowe dni były krótkie i nie minęło dużo czasu, jak słońce pozostawiło jedynie brązową poświatę nad horyzontem. Chryzofos zbiegł z kolejnego wzniesienia, które zdobył, a jego ludzie znosili dobytek pozostawiony przez armię uciekającą w chaosie. Od jeńców dowiedzieli się, że ich przywódcą, który także zbiegł, jest armeński satrapa Tyrybazos, przyjaciel perskiego króla z dzieciństwa. Była to przyjaźń, która satrapę kosztowała fortunę. Chryzofos kazał przynieść Ksenofontowi pozostawiony przez niego kufer. Postawili go przed nim ci sami bracia, którzy odkryli bród. Kufer pełen był

srebrnych monet, którymi Tyrybazos zamierzał zapłacić zgromadzonym nad rzeką najemnikom.

– Większość z nich znikła, jednak pewna grupa pozostała na wzgórzu – powiedział Spartanin. – Postanowiłem sprawdzić, co ich tam zatrzymało.

– Słuszna decyzja – przyznał Ksenofont, ostatecznie go rozgrzeszając.

Chryzofos z ulgą skłonił głowę. Martwił się, że strateg zgromi go za pozostawienie bez ochrony cywilów.

Tego wieczoru Ksenofont zwołał wszystkich dowódców i wzniósł toast zdobycznym winem. Obóz satrapy Tyrybazosa był pełen żywności i napojów. Grecy mieli więc wielką ucztę i rozpalili ogromne ogniska z włóczni i łuków porzuconych przez wroga. Suche drewno pękało w ogniu, a jego trzaski brzmiały niczym wesoły śmiech.

31

Oddalali się od gór spokojnym marszem dopasowanym do możliwości cywilów, a i tak w ciągu dwóch dni pokonali trzydzieści mil. Odpoczęli u źródeł rzeki Tygrys, po czym przeszli sześćdziesiąt mil dalej, aż do brzegów Teleboas. Przez ten czas nie zobaczyli ani jednego żołnierza, chociaż na ziemiach, którymi wędrowali, napotykali wioski i miasta, a w końcu na ich drodze znalazł się nawet pałac należący do satrapy. Po Tyrybazosie nie było śladu, więc doszczętnie splądrowali jego siedzibę, ogołacając ją z kosztowności. Wzięli też wozy, muły i przy każdej nadarzającej się okazji brali ludzi w niewolę. Wkrótce wszystkie wozy posuwały się załadowane do granic możliwości. Ksenofont nie uczynił nic, aby powstrzymać rabunki. Świątynie ograbiono z dziwnych zagranicznych dóbr, które leżały w nich od wieków, pozostawiane w ofierze przez pielgrzymów.

W miarę jak przemieszczali się coraz dalej na północ, zima była coraz bardziej sroga, a codzienne czynności stały się rutyną w długim marszu, w którym mijali pola uprawne, lasy i winnice posadowione równymi rzędami na łagodnych pagórkach. Zawiązywano i zrywano przyjaźnie, zawarto przynajmniej dziesięć małżeństw. Ksenofont miał duże wątpliwości w kwestii ich perspektyw, jednak ci, którzy przysięgali sobie dozgonną wierność, wydawali się zadowoleni i zyskiwali przynajmniej krótkie chwile wielkiego szczęścia.

Przeprawa przez nieznany świat była jednak dla wszystkich ciężką pracą. Mężczyźni w większości nie dbali o siebie, a ich brody, przycinane byle jak, rzadko lub wcale, osiągały niespotykaną długość. Myli się tak często, jak to było możliwe, a pod skórą każdego, kto się rozebrał, widać było kości. Jedli i pili wszystko, co znaleźli po drodze, jednak to wciąż było za mało.

Na przestrzeni sześćdziesięciu mil i czterech dni marszu przez piaszczyste wydmy Ksenofont zazwyczaj wędrował w pobliżu Pallakis i Hefajstosa. Młodzi szli obok siebie ręka w rękę i wyglądali jak zakochani, jednak trudno mu było stwierdzić, czy tak jest w rzeczywistości. Tysiąc razy czuł na sobie spojrzenie dziewczyny wypatrującej go w tłumie. Chciał, żeby na niego zaczekała, żeby zbliżyła się do niego w dniu, kiedy nie będzie już odpowiadał za tak wiele istnień ludzkich. Ale w końcu to on sam nakazał Hefajstosowi, żeby dbał o jej bezpieczeństwo. Wówczas był jednak silniejszy i bardziej niż dziewczyna zajmowali go ci wszyscy, którym był potrzebny. Teraz, krocząc po powoli wznoszącym się terenie, zerkał ku niej ukradkiem i wmawiał sobie, że nie patrzy na nią częściej niż na inne kobiety. Czuł jednak, że Pallakis zdaje sobie sprawę z jego częstych spojrzeń. Kobiety po prostu zwykle wiedzą, że mężczyzna, którego fascynuje ich uroda, stara się tego nie ujawniać.

Otrząsnął się z myśli o kobiecie, wyobrażając sobie, jak serdecznie roześmiałby się Sokrates, gdyby je poznał. Powiedziałby, że zakochani mężczyźni głupieją. Miłość działa na nich w taki sam sposób jak wino.

Na czele pochodu powstało jakieś zamieszanie, ostatecznie przerywając Ksenofontowi potok myśli. Zmrużył oczy w słabym zimowym słońcu i popatrzył w kierunku, w którym udali się zwiadowcy. Właśnie wspięli się na wzgórze, które oferowało najlepszą widoczność. Z odległości jakichś tysiąca dwustu kroków widział ich zaledwie jako małe figurki, ale ich

zachowanie go zaniepokoiło. Odniósł wrażenie, że chaotycznie i gwałtownie podskakują oraz wymachują rękami. Czyżby ostrzegali przed jakimś atakiem? Rozejrzał się po swoich ludziach i po raz kolejny zdał sobie sprawę, jak są utrudzeni i jak nędznie wyglądają. Maszerowali już tak długo, że nie wyglądali jak armia, raczej jak gromada nomadów szukających nowego miejsca do życia. Zaczął się przygotowywać do wydania rozkazów, jednocześnie szukając wzrokiem Chryzofosa, lecz tymczasem dostrzegł, że w kierunku zwiadowców biegną kolejni żołnierze, zaintrygowani ich zachowaniem. Wkrótce i oni zaczęli machać rękami i krzyczeć. Wreszcie usłyszał ich głosy:

– *Thalassa! Thalassa!* Morze! Morze!

Ksenofont zrzucił z ramion pakunki i także pobiegł na wzgórze, a za nim setki innych ludzi zachęconych coraz głośniejszymi okrzykami. Morze. Jego żołnierze marzyli o nim już wtedy, kiedy znaleźli się na pustyni. Przed nimi znajdowały się greckie osiedla, greckie miasta i przede wszystkim greckie statki, które mogły ich zawieźć, dokądkolwiek by zapragnęli. Zobaczył, jak mężczyźni i kobiety padają na kolana i po prostu płaczą, ogarnięci wielką ulgą, ukrywając twarze w otwartych dłoniach. Zatrzymał się, a tymczasem ludzie podbiegali do niego, ściskali go, dziękowali mu za wszystko, co dla nich uczynił, za to, że ich ocalił. Poczuł, że i po jego twarzy spływają łzy. Szybko je wytarł, starając się zachować postawę godną dowódcy.

– Tutaj! Zaprowadźcie go do wodza! – usłyszał i odwróciwszy głowę, zobaczył małego pastuszka prowadzonego prosto ku niemu.

Chłopiec wyglądał na Greka, jednak kiedy odezwał się w tym języku, Ksenofont wydał okrzyk radości, który wzniósł się wysoko ponad głowy wszystkich ludzi.

– Jestem wolnym Grekiem – powiedział chłopiec. – Najstarszym synem Lykosa. Nie możesz wziąć mnie w niewolę.

Ksenofont pokręcił głową.

– Jesteś bezpieczny, ty i wszystkie twoje kozy, przysięgam. Opowiedz mi jednak o Grecji. Masz jakieś wieści z Aten? Nie było nas w ojczyźnie ponad rok, chłopcze. Czy Ateny wciąż są na swoim miejscu?

Chłopiec rozejrzał się po niemal dzikich twarzach otaczających go mężczyzn i kobiet. Wszyscy gapili się na niego, jakby właśnie zobaczyli jakiś cud.

– Są na swoim miejscu, panie. Mówca Polyemis został skazany na śmierć, podobnie jak Sokrates. Rada odbudowała mury miejskie zburzone przez Spartan i świątynie na Akropolu. Niech pan nie myśli, że my tutaj nic nie wiemy o świecie! Jesteśmy Grekami, tak jak i wy, jesteśmy jednym z tysiąca miast greckich, nasze mury z równym powodzeniem mogłyby stać w Arkadii albo Tesalii.

Chłopiec się rozpromienił, mogąc zabłysnąć wiedzą, jednak jego zadowolenie przygasło, kiedy dostrzegł rozszerzone oczy Ksenofonta. Ateńczyk pobladł, sprawiał wrażenie, jakby nagle się rozchorował.

– Panie? Czy powiedziałem coś niestosownego?

– Nie, chłopcze. Powiedziałeś, że Sokrates został skazany na śmierć?

– Och, słyszałeś o nim, panie? To był głośny proces. Mówiono, że Sokrates nie wierzy w bogów i że młodzi Ateńczycy wolą go słuchać, niż pracować. Zaproponowano mu wygnanie albo zamilknięcie na zawsze, ale ten głupiec wybrał śmierć! Pozwolono mu zażyć truciznę, panie. Z kolei Polyemis to całkowicie odmienny przypadek, jak stwierdził mój ojciec. Ten człowiek…

Ksenofont odwrócił się od gadatliwego chłopaka i wyszedł z tłumu. Przez jakiś czas żal sprawiał, że miał w sobie kompletną pustkę, jakby nie

była w stanie dotrzeć do niego żadna myśl. Przebył długą drogę i w jednej chwili dowiedział się tak wielu rzeczy. Skoro Sokrates nie czekał i nie mógł już usłyszeć jego relacji… Znowu zapłakał, ale tym razem nie starał się ukryć łez. Usiadł w samotności, z dala od rozradowanego tłumu, oddzielony od niego w każdy możliwy sposób.

Po długim czasie usłyszał, że ktoś się do niego zbliża. Otworzył oczy i uniósł głowę. Spodziewał się Chryzofosa, ale to była Pallakis. Popatrzył na nią czerwonymi i opuchniętymi oczami. Był blady jak śmierć.

– Szkoda, że go nie znałaś – powiedział. – Był wielkim człowiekiem, naprawdę, ktoś taki rodzi się bardzo rzadko. Ale chyba nigdy nie zapisał żadnej ze swoich myśli. Uwierzysz w to? Bo czym właściwie są słowa? Minie wiek i Sokrates zostanie zapomniany. Nie powstaną posągi Sokratesa. Ludzie w przyszłości nigdy się nie dowiedzą, że ktoś taki żył na świecie.

– A może ty spiszesz, co zostało ci po nim w pamięci? – odezwała się Pallakis. – Przypuszczam, że on by tego chciał. Przecież to jasne, że go uwielbiałeś.

Usiadła przy Ksenofoncie wciąż zmagającym się z falą wielkiego żalu, która sprawiała, że pragnął objąć dziewczynę i ukryć twarz w jej ramionach. Zwalczył jednak to pragnienie, z każdą chwilą odzyskiwał zdolność jasnego myślenia. Przecież ta kobieta nie należy do niego, mimo że przyszła, widząc jego smutek. A może ta sprawa nie jest jednak kompletnie beznadziejna?

– Co teraz zrobisz? – zapytała Pallakis. – Mamy srebro i złoto. Podzielisz je między ludzi? A może…

Zamrugał, gdyż nagle przyszedł mu do głowy pomysł. Odepchnął od siebie ból, przeniósł go do najdalszych zakamarków serca, pozostawiając żałobę na później. Przysiągł sobie, że uczci Sokratesa winem i jego

słowem, sam spisze jego myśli, jednak w tej chwili miał szansę uczynić coś znacznie większego.

Przetarł twarz dłońmi i powrócił do ludzi. Zobaczył na twarzy Chryzofosa wyraz szczerego żalu, ale zignorował to. Wywołał Spartanina i poprosił, żeby stanął obok niego.

– Oficerowie, do mnie! – zawołał ponad głowami ludzi. – Polemarchowie, pentekosterzy, dowódcy! Hefajstosie, ty także podejdź.

Zebrali się bardzo szybko i poprowadził ich na wzgórze, gdzie w końcu przystanął obok drzewa oliwnego rosnącego w piasku, powstałego z nasiona, które wiatr mógł przewiać przez pół świata. Pełen wzniosłych myśli poklepał dłonią jego pień.

– To drzewo przybyło z daleka i właśnie tutaj zapuściło korzenie. Tak jak Grecy, którzy zamieszkali tutaj, nad morskim brzegiem, i my możemy stworzyć w tym miejscu zalążek miasta. Popatrzcie na ludzi, których tu przyprowadziliśmy! Wśród nas są żołnierze i kobiety, dzieci i niewolnicy. Mamy złoto, srebro, a wśród nas jest mnóstwo ludzi dysponujących nadzwyczajnymi umiejętnościami. Mamy wszystko, czego trzeba, żeby rozpocząć budowę greckiego miasta. Tutaj. Czy to nie lepsze, niż rozejść się w cztery strony świata po tym, co wspólnie przetrwaliśmy? Mówię wam, noszę w sobie większe poczucie braterstwa z wami, z całą naszą gromadą, niż zaznałem kiedykolwiek wcześniej. Czy jest wśród was ktoś, kto nie może powiedzieć o sobie tego samego? Jeżeli wrócimy do miejsc, z których wyruszyliśmy na tę wyprawę, powrócimy do poprzedniego życia, do starych trosk i problemów. Dlaczego nie mielibyśmy z tego zrezygnować, dlaczego nie mielibyśmy założyć naszego państwa właśnie tutaj? Nasze dzieci mogłyby odziedziczyć takie imperium, jakie właśnie dla nich byśmy zbudowali. Dlaczego nie? Wszelkie nasze troski koncentrowały się dotąd na tym, aby przetrwać i dotrzeć do tego miejsca. Teraz, kiedy już

tutaj jesteśmy i wiemy, jak wiele potrafimy osiągnąć, dlaczego nie mielibyśmy podjąć wielkiej próby? Jest nas wystarczająco wielu, by wznieść mury i domy w dolinie nad rzeką. – Spojrzał na Chryzofosa, który przez cały czas uważnie go obserwował. – Możemy stać się nową Spartą, nowymi Tebami. Jeżeli zaczniemy budować nad rzeką spływającą do morza, możemy zostać kolejnymi Atenami. Być może popłyniemy kiedyś do Aten na statkach, które sami zbudujemy.

– Jeżeli postanowimy tutaj zostać, będziesz naszym przywódcą? – zapytał Spartanin spokojnym głosem.

– Jeśli tego zechcecie, jeśli zapragniecie takiego przywódcy, tak, stanę na czele. Będzie to dla mnie zaszczytem i największym zadaniem mojego życia. Wcześniej myślałem, że jest nim tylko doprowadzenie was tutaj, lecz teraz widzę, że ta misja mogła być zaledwie początkiem.

Chryzofos pokiwał głową.

– Będziemy musieli zapytać pozostałych – powiedział. – Sam rozumiesz, że takiej decyzji nie można podjąć bez dyskusji.

– Tak… oczywiście…

Ksenofont odszedł kilkanaście kroków, spoglądając ponad piaskiem na skrzące się morze. Czuł, że obarcza się kolejnym ciężarem, jednak kim byłby dzisiaj w Atenach? Na pewno nie człowiekiem, który tak wielu uratował od śmierci. Nie, znów byłby nikomu nieznaną, szarą postacią. I nie mógłby odwiedzać Sokratesa. Miasta, w którym się urodził, nie mógł już uważać za swoją ojczyznę.

– Starannie wszystko rozważcie, Chryzofosie, bardzo proszę. Staje przed nami niepowtarzalna szansa. Wszyscy jesteśmy Hellenami, przyjacielu, i tylko nam wolno wspólnie podjąć taką decyzję.

* * *

Pozostawali w tym miejscu, w niewielkiej odległości od skrzącego się morza, już od trzech dni. Ksenofont czekał, aż ludzie podejmą decyzję. Odpowiadał na każde pytanie, które do niego kierowali, tak wyczerpująco i szczerze, jak tylko potrafił. W końcu posłali samego Chryzofosa, aby oznajmił mu werdykt, a Ksenofont do ostatniej chwili nie wiedział, czy jest zgoda czy odmowa.

Czuł kłucie w żołądku i był ogromnie zdenerwowany, kiedy wstał, aby przywitać Spartanina. Żołnierz położył dłoń na ramieniu ateńskiego arystokraty, który ogromną grupę Greków przeprowadził bezpiecznie przez perskie imperium.

– Przykro mi, Ksenofoncie. Chcemy jednak wrócić do domu.

Strateg poczuł się, jakby ktoś wbił mu nóż między żebra, a nagła boleść sprawiła, że w jego oczach pojawiły się łzy. Opuścił głowę i niezręcznie odchrząknął. Zdał sobie sprawę, że drży.

– Oczywiście, ja… Doskonale, przyjacielu. Będziecie musieli rozdzielić pomiędzy siebie złoto i srebro. Powinno go wystarczyć na wybudowanie domów, dzięki niemu nikt też nie będzie głodował, dopóki nie znajdzie pracy.

– Nie pójdziesz z nami? – zapytał Chryzofos.

Jego oczy pociemniały z żalu, a Ksenofont zrozumiał, że to koniec wszelkich związków pomiędzy nimi. Pokręcił głową.

– Nie, chyba nie. Odziedziczyłem trochę ziemi na Peloponezie, niedaleko Sparty. Mój zarządca hoduje tam konie. Jestem pewien, że po tak długim czasie czuje się właścicielem tego miejsca. Nie, Chryzofosie, nie zostanę z wami. Nigdy nie udają mi się pożegnania, przyjacielu. Pójdę na Peloponez własną drogą. Może któregoś dnia mnie tam znajdziesz i przyniesiesz dzban wina. Bardzo… bardzo by mi się to spodobało.

Chryzofos uścisnął mu rękę.

– Daję ci na to moje słowo, strategu – powiedział. – I stokrotnie ci dziękuję. Zobaczymy się jeszcze, obiecuję. Wzniesiemy wtedy puchar wina za to wszystko, co razem przeżyliśmy, oraz za nieobecnych przyjaciół.

– Udało nam się, Spartaninie – dodał Ksenofont.

Uśmiechał się, chociaż w jego oczach błyszczały łzy. I to był już koniec. W milczeniu poklepał przyjaciela po ramieniu i lekkim krokiem zaczął schodzić ze wzgórza, zmierzając w stronę morza.

NOTA HISTORYCZNA

Książka Ksenofonta, *Wyprawa Cyrusa: Anabaza*, tłumaczona jest z grubsza jako „droga pod górę”. Jest to historia buntu księcia Cyrusa przeciwko bratu, historia armii, którą zgromadził, bitwy pod Kunaksą, którą wydał królowi i którą przegrał – a następnie straszliwej sytuacji, w jakiej znaleźli się greccy najemnicy. Przebywali daleko od domów, byli otoczeni przez wrogów, a jednak stanowili elitę żołnierzy, której nie można było łatwo unicestwić. Wydarzenia opisane przez Ksenofonta rozgrywają się osiemdziesiąt lat po bitwie pod Termopilami i jakieś siedemdziesiąt lat przed nastaniem Aleksandra Wielkiego.

* * *

Perski kontekst historyczny: król Dariusz najechał Grecję w 490 roku p.n.e. – i został pokonany pod Maratonem (wcześniej, w 492 r. p.n.e., jego flota pod wodzą Mardoniusza rozbiła się u przylądka Atos). Znów zbierał armię, aby spróbować kolejnego podboju, lecz w trakcie przygotowań zmarł i to jego syn, Kserkses, zaatakował Greków z lądu i z morza i pokonał Spartan pod Termopilami. Dotarł do Aten i spalił miasto, jednak okręty Ateńczyków zwyciężyły w bitwie morskiej przeciwko jego flocie, ograniczając Kserksesowi możliwości manewrowania. Król uciekł więc do kraju, pozostawiając na miejscu wodza Mardoniusza, aby nadal walczył ze Spartanami na lądzie. Chociaż Greków było znacznie mniej, pobili wroga,

a Kserkses zginął z rąk własnego strażnika w 465 roku p.n.e. Jego syn, Artakserkses, został królem i miał dość zdrowego rozsądku, by zostawić Greków w spokoju. Rządził, nie wywołując wojen, aż do śmierci w 424 roku p.n.e.

Tenże król Artakserkses miał trzech synów. Najstarszy przez kilka tygodni był królem, po czym został zamordowany przez drugiego syna, który z kolei zginął z ręki trzeciego, najmłodszego: Dariusza II. Jego synami byli Artakserkses II (przed koronowaniem Arsakes) i Cyrus. To właśnie oni wyznaczają początek naszej historii.

* * *

W Grecji nad tysiącem miast-państw zaczęła dominować Sparta, która podbiła Ateny i narzuciła im radę spartańską znaną jako Trzydziestu Tyranów. Młody Ksenofont był ateńskim arystokratą. Szanował Spartan bardziej niż swoich kłótliwych rodaków, którzy potrafili wygłosić dziesięć przeciwstawnych poglądów, kiedy mieli podjąć decyzję, co zjeść na obiad albo jakie obejrzeć przedstawienie. Ksenofont był uczniem Sokratesa, jednak w przeciwieństwie do jego sławniejszego ucznia, Platona, mniej interesował się koncepcjami ontologicznymi czy ideą stworzenia doskonałego społeczeństwa, a bardziej praktycznym zastosowaniem filozofii. Ksenofont był jednym z Ateńczyków, którzy próbowali kreować dobre życie dzięki czystemu wysiłkowi woli, i jednym z tych, którzy po prostu chcieli wiedzieć, jak żyć. Bardzo spodobała mu się dyscyplina i wyrzeczenia Spartan, dlatego zawsze był rozdarty pomiędzy dwiema kulturami.

* * *

Uwaga na temat miar odległości. Persowie tamtego okresu zwykli używać jako jednostek czasu „parasangów”, w greckich tekstach często cokolwiek mylonych z jednostkami służącymi do pomiaru dystansu. Współczesnym odpowiednikiem parasangi powinno być stwierdzenie „godzinę stąd”. Herodot oceniał, że parasanga to mniej więcej trzydzieści „stadionów” czyli 3,5–3,75 mili (5,5–6 km). W tekście książki zastosowałem zapis odległości w milach, aby czytelnik, który nie posługuje się parasangami ani stadionami, zyskał jaśniejszy obraz, jakie odległości wchodzą w grę. „Stathmos” również nie określał precyzyjnie dystansu, jedynie odległość, jaka dzieliła kolejne miejsca postoju przy drodze – od osiemnastu do dwudziestu mil. W trakcie pochodu na wschód Cyrus pokonywał ze swoimi ludźmi w ciągu jednego dnia od dwudziestu dwóch do dwudziestu czterech mil – ich przebycie zabierało około siedmiu godzin, włączając postoje. Tempo jego marszu można porównać do tempa, z jakim później maszerowały legiony rzymskie, i było ono całkiem dobre, jeśli wziąć pod uwagę bardzo wysokie temperatury. Interesujące są porównania tych dystansów z odległościami, jakie później pokonywał Ksenofont, kiedy miał pod opieką wielką gromadę cywilów. Wówczas jego ludzie maszerowali zazwyczaj piętnaście mil dziennie. Oczywiste jest, że nad każdą rzeką musieli się zatrzymywać, żeby uzupełnić zapasy wody.

* * *

Wydarzenia w Cylicji z udziałem królowej Epyaksy – która dostarczyła Cyrusowi środków finansowych, kiedy został od nich odcięty, a później spędziła z nim noc – to fascynujący incydent. Żałuję, że nie mamy na jego temat większej wiedzy. Niestety jedynym jej źródłem jest Ksenofont.

Opisał udawany atak przeprowadzony w celu wywarcia wrażenia na królowej – przypadkowo doprowadził on do pogromu perskich oddziałów Cyrusa, które mu się przeciwstawiły. Ksenofont opisuje także dłuższe spotkanie z udziałem męża Epyaksy, króla Syennesisa, w Tarsie, znanym głównie jako późniejsze miejsce narodzin Szawła z Tarsu, który miał zostać Świętym Pawłem.

Trudność z takimi szczegółowymi zapiskami historycznymi polega na tym, że niemożliwe jest dokładne dopasowanie ich do powieści. Ksenofont mógł opisać potyczkę na wzgórzu w trzech linijkach; ja musiałem jej poświęcić co najmniej pełen rozdział. Osobom zainteresowanym szczegółami, których nie zawarłem w książce, polecam *Wyprawę Cyrusa*, w szczególności tym czytelnikom, których interesuje sposób myślenia i postępowania Greków. To dobrze, że wiedza na ten temat przetrwała ponad dwa tysiące lat. Czasami, jak się przekonałem, czytając *Tajną historię Mongołów*, jedna kluczowa książka może otworzyć drzwi do całego świata.

* * *

Ksenofont ocenia liczebność armii Cyrusa na sto tysięcy ludzi, natomiast armia Artakserksesa liczyła według niego 1,2 miliona, dysponowała dwustoma rydwanami bojowymi i sześciotysięczną jazdą. Nigdy się nie dowiemy, czy te liczby nie są przesadzone, jednak w moim przekonaniu ludzi Artakserksesa było najwyżej sześćset tysięcy. Także ta liczba jest imponująca, a hordy Czyngis-chana wyglądają na jej tle jak niewielkie oddziały.

Armię perską wiodło do boju czterech dowódców: Abrokomas, Tissafernes, Gobrias i Arbakes. Wspomniałem w książce tylko

o Tissafernesie, nie chcąc obarczać pamięci czytelnika zbyt wieloma mało znanymi imionami. Moim celem było opowiedzenie ciekawej historii. Jak napisał E.L. Doctorow: „Historyk powie ci, co się wydarzyło. Pisarz powie, jak to się odbywało”. Kiedy pisałem tę książkę, zamierzałem połączyć spojrzenia zarówno historyka, jak i pisarza.

* * *

W tej kwestii: bunt, z którym zmierzył się Klearchos, został opisany przez Ksenofonta z wieloma szczegółami. Doszło do niego mniej więcej w tym czasie, kiedy wojsko odkryło, przeciwko komu faktycznie się kieruje – wiedzę tę wcześniej posiadali prawdopodobnie dowódcy, jednak była ona niedostępna dla prostych żołnierzy. Klearchos zapłakał przed nimi i pozwolił sobie na teatralny występ. Powiedział buntownikom, że zmuszają go, żeby zdradził księcia, jednak nigdy ich nie opuści.

W fikcji historycznej pisarz poszukuje kluczowych związków pomiędzy bohaterami, dlatego kiedy czytamy, że Klearchos pchnął do Cyrusa posłańca, nie chcąc, żeby zanadto się martwił sytuacją, możemy wysnuwać wniosek, że się przyjaźnili. Spartanin używał licznych argumentów i perswazji, chcąc, aby jego ludzie powrócili na stronę księcia. Odnosił się do ich emocji i poczucia obowiązku – a w końcu załatwił im pięćdziesięcioprocentową podwyżkę wynagrodzenia, co zakończyło sprawę.

* * *

Przebieg bitwy pod Kunaksą znamy z jednego źródła – z opisu Ksenofonta jako naocznego świadka. Siebie wspomina w tej relacji tylko raz, i to

w trzeciej osobie, kiedy jeszcze przed bitwą zamienia kilka słów z księciem Cyrusem. Nie wiemy, czy taka rozmowa odbyła się w rzeczywistości, czy Ksenofont ją wymyślił jako sposób na umieszczenie w narracji swojej osoby.

* * *

Książę Cyrus posłał Greków do boju, jednak utknęli naprzeciwko ogromnych zastępów wrogich żołnierzy, którzy stanęli na ich drodze. Tissafernes przekonał króla Artakserksesa, aby zgromadził w tym miejscu ogromne oddziały, prawdopodobnie więc atak Greków z góry skazany był na niepowodzenie. Trudno powiedzieć. Oczywiście zawsze istnieje możliwość, że księcia lub króla przeszyje strzała, co zakończy kampanię. Zapewne zachwyt nad wodzami, którzy brali osobisty udział w walkach, takimi jak Juliusz Cezar czy Czyngis-chan, wynika z tego, że wielokrotnie uniknęli śmierci.

Cyrus rozumiał, że może wygrać bitwę jednym ciosem. Wraz ze swoją strażą osobistą przemknął przed frontem nacierających armii w wypadzie, który możemy dzisiaj określić jako igranie z ogniem. Dopadł brata i zranił go, jednak sam został trafiony oszczepem rzuconym przez któregoś z żołnierzy. Kusi nas przyjęcie poglądu, że był wielkim człowiekiem, który zginął zbyt młodo – że jego śmierć jest jednym z tych momentów w historii, kiedy dynastia miała szansę osiągnąć wielkość, lecz została gwałtownie strącona na ziemię. Nie minęło zbyt wiele lat, gdy armia Aleksandra Wielkiego splądrowała grobowce Achemenidów. Zdobywca mógłby jednak potraktować ziemie Cyrusa z większym szacunkiem.

* * *

Ksenofont opisał, jak głowę księcia zatknięto na włóczni i konny paradował z nią po polu, na którym rozegrała się bitwa, dowodząc jego śmierci. Ogromny rozmiar terenu bitwy został zademonstrowany w kolejnych odsłonach. Król Artakserkses obnosił się przez długi czas z makabrycznym trofeum. Tymczasem Klearchos i Grecy wciąż nie mieli pojęcia, że Cyrus padł. Bezustannie torowali sobie drogę pomiędzy zastępami wroga i wierzyli, że zmierzają ku zwycięstwu. Do obu stron bardzo powoli docierały informacje o tym, jak sytuacja wygląda w rzeczywistości, ale w końcu Grecy zdali sobie sprawę, że są w poważnych kłopotach. Armię złożoną z Persów, którą przywiódł do Kunaksy książę Cyrus, wycofał z walki Ariajos. Wydaje się to rozsądnym posunięciem człowieka, który chciał ocalić życie swoje i swoich ludzi, chociaż w ten sposób całkowicie odsłonił dziesięć tysięcy Hellenów. Tylko nadzwyczajne waleczność i umiejętności tych żołnierzy sprawiły, że pozostali przy życiu. W scenach przypominających walkę Leonidasa pod Termopilami przebijali się przez zastępy wroga i wyszli z tej przeprawy bez szwanku. Persowie po prostu nie byli w stanie dorównać im w walce, nie stosowali odpowiedniej taktyki, byli gorzej uzbrojeni i słabo zdyscyplinowani. Doprowadziło to do dziwnych scen: Greków było na polu bitwy kilkunastokrotnie mniej niż Persów, a jednak przemieszczali się tam, gdzie chcieli.

* * *

Część drugą rozpoczyna nadzwyczajna sytuacja. Hellenowie zgromadzili się w swoim obozie – znalazło się tam około dziesięciu tysięcy żołnierzy i mniej więcej tyle samo cywilów, którzy im towarzyszyli. Znajdowali się w odległości ponad dziesięciu tysięcy mil od ojczyzny, bez wsparcia,

żywności i wody. Pominąłem w książce kłótnię, do której doszło, kiedy Persowie rozkazali Grekom złożyć broń. Ci odpowiedzieli, że albo są ich przyjaciółmi i wtedy znacznie cenniejsi są dla nich z bronią, albo są ich wrogami i w takim przypadku tym bardziej potrzebują swojej broni. Tak czy inaczej, nie zamierzali się dobrowolnie rozbroić. To tylko jeden przykład greckiej logiki i uporu, które na przestrzeni czasu są znakiem rozpoznawczym tego społeczeństwa.

Zawarłem w powieści wymianę zdań, kiedy Grekom powiedziano, że wywołają wojnę, jeżeli się ruszą, a rozejm będzie trwać, dopóki pozostaną na miejscu. Odpowiedzieli, że rozumieją te warunki, jednak powtórzyli je w taki sposób, jakby to oni grozili wrogom: „Rozejm, jeśli zostaniemy, wojna, jeżeli ruszymy się do przodu lub do tyłu”. Pewność siebie elitarnych żołnierzy lśni jasnym blaskiem na przestrzeni aż dwudziestu pięciu wieków.

* * *

Skondensowałem ostatni miesiąc życia Klearchosa, który zginął mniej więcej w wieku pięćdziesięciu lat. Rytm negocjacji w sprawie rozejmu, które prowadził z Tissafernesem, obejmował także długie dni, kiedy zupełnie nic się nie działo. Inni Grecy naciskali na niego, aby jak najszybciej podjął jakąś decyzję, on jednak odmawiał. Doskonale zdawał sobie sprawę, że nie ma jazdy, a król perski dysponuje tak ogromnymi zastępami jeźdźców i tak wieloma rydwanami, że w każdej chwili może jego armię dosłownie rozjechać.

Wbrew temu, co napisałem, nie doszło do natychmiastowej zdrady. Tissafernes eskortował Hellenów, którzy przez wiele dni oddalali się od Kunaksy, i pozwalał im zabierać z mijanych wiosek żywność, jednak nie pozwalał brać jeńców czy niewolników. Grecy nawet minęli armię perską

wciąż szykującą się do bitwy, do której ostatecznie nie doszło. Obie strony zachowywały czujność i podejrzliwość wobec wroga, jednak na tym ostatnim etapie swojego życia Klearchos okazał się wspaniałym przywódcą. W książce mogłem to jedynie zasygnalizować.

Tissafernes namówił Spartanina, żeby wziął udział w uczcie razem z pięcioma wodzami, mniej więcej dwudziestoma polemarchami i z paroma setkami innych żołnierzy, którzy mogliby zabrać część jedzenia do greckiego obozu. W namiocie, w którym Persowie wydali ucztę, wszyscy zostali pojmani i zabici. Jeden z żołnierzy, śmiertelnie ranny, zdołał jeszcze powrócić do swoich i zdrada wyszła na jaw.

Grecy chwycili za broń i wtedy przybył do nich Ariajos z kilkoma Persami. Powiedział im oficjalnie, co się stało, i zażądał, aby się poddali. Zapadła noc i nad obozem helleńskim zawisła groźba natychmiastowego przelewu krwi. A przecież oni w tej chwili nie mieli przywódców. Któż tam pozostał, kto mógł przejąć dowodzenie?

* * *

Zmieniłem imię Spartanina, który pomógł Ksenofontowi w kluczowym momencie – historia zapamiętuje go jako Chejrizofosa, jednak za lepiej wyglądające na papierze uznałem imię „Chryzofos”. Trywialna rzecz, lecz jest to raczej kwestia mojego wyboru niż błąd. Musiał to być interesujący człowiek; to właśnie ten Spartanin sprawił, że tłumy zaakceptowały Ksenofonta. Zapewne sam mógł objąć dowodzenie nad wszystkimi Grekami, jednak Ateńczyk przemówił do nich pierwszy. Pomysłem Ksenofonta było ustawienie w marszu kolumny wewnątrz kolumny, to on dostrzegł, że największym problemem taktycznym jest dla jego ludzi brak jazdy. W skrócie: to Ksenofont wiedział, jak dowodzić ludźmi w sytuacji

kryzysowej. Fakt, że zamordowanie wodzów nie zniszczyło ich morale, wystawia im dobre świadectwo. Kiedy tylko usłyszeli o tej zbrodni, wybrali ze swojego grona nowych przywódców i nie uwierzyli już ani jednemu słowu Persów.

* * *

Opowieść o Ksenofoncie biegnącym na wzgórze, aby ominąć pułapkę, oparta jest na oryginalnych przekazach. Kiedy strateg wzywał ich do bohaterskich czynów, żołnierz o imieniu Soteridas powiedział: „Nie jesteśmy sobie równi. Ty siedzisz na końskim grzbiecie! A ja przewracam się z wysiłku, niosąc ciężką tarczę”. Ksenofont w złości odebrał mu tarczę i pobiegł z nią pod górę, a część żołnierzy zaczęła rzucać w Soteridasa kamieniami.

* * *

Oblegani Grecy pozbyli się ścigających ich Persów, dopiero gdy znaleźli się w górach zamieszkiwanych przez Karduchów (*Kardoukhoi*). Historia o wielkiej armii perskiej, która wkroczyła w te góry i została wycięta w pień, pochodzi z przekazu Ksenofonta, jednak nie mamy żadnego sposobu, żeby ją potwierdzić. Grecki autor w ogóle jako pierwszy wspomina o istnieniu plemion Karduchów. Możliwe, że są to przodkowie współczesnych Kurdów z północnego Iraku, Iranu i Syrii. Ksenofont opisał wioski, hodowlę zwierząt i rolnictwo – a także okrutnego i nieustępliwego wroga, który panował na trudnym terenie. Przejście przez góry zabrało siedem dni. Nadzwyczajne są opisy, jak walczono o każdy szczyt i jaką taktykę stosowali Hellenowie, żeby zyskać przewagę nad przeciwnikiem.

* * *

Po walce, której stawką była możliwość przekroczenia rzeki, zimowy marsz przez zachodnią Armenię jest brutalny, pełen przeciwności. Grecy doświadczają intensywnych opadów śniegu, gnębią ich odmrożenia, tracą palce stóp, zaznają śnieżnej ślepoty. Ludzie umierają każdej nocy i wyprawa znajduje się u kresu sił, pokonana wcale nie przez wroga, lecz przez zimno, jakiego żaden z jej uczestników nigdy wcześniej nie doświadczył. Rada Ksenofonta, aby dla ochrony przed śnieżną ślepotą nakładać na oczy ciemną osłonę, jest fascynująca. Opisuje on także żołnierzy, którzy siadali w śniegu i odmawiali dalszego marszu; pozostawiano ich na pewną śmierć. Niektórzy prosili, żeby ich zabić. Tylko przypomnienie, że za plecami wciąż może czaić się wróg, część z nich podrywało jeszcze do działania.

* * *

Przebyli jakieś sto mil, pokonując mniej więcej po piętnaście mil dziennie. I wtedy następuje najsłynniejsza scena, jaką Ksenofont zawarł w swojej relacji. Żołnierz ze straży przedniej dostrzega morze, nad którym na pewno znajdują się greckie osiedla, i krzyczy *Thalatta! Thalatta!* Akcent w tym słowie pada na pierwszą sylabę. Ksenofont zapisał je w attyckiej grece, wolę jednak stosować jego wersję dialektową: *thalassa*. Grecy zaczęli płakać i ściskać się nawzajem. Wreszcie znaleźli drogę do domu.

W relacji Ksenofonta marsz nie kończy się w tym miejscu. Opisuje on przemarsz przez kraj Makronów, gdzie Hellenowie żegnają kilku pochodzących stamtąd wojowników, i z kolei przejście do Trapezuntu

(dzisiejszy Trabzon w Turcji) – greckiego miasta, w którym odpoczywają około trzydziestu dni i urządzają zawody sportowe w zapasach, boksie, biegach sprinterskich i na długich dystansach. Właśnie tam Ksenofont usłyszał, że Sokrates wybrał śmierć, gdy alternatywą była banicja. Powiedział wtedy: „Bezmyślnym życiem nie warto żyć”. To prawda, że filozof nie pozostawił po sobie żadnych pism – wszystko, co o nim wiemy, pochodzi od Platona i Ksenofonta, jego uczniów.

Z Trapezuntu Grecy zabrali okręty wojenne i wyruszyli na rabunkowe ekspedycje, zdeterminowani, aby opuścić wybrzeże z jak największą ilością zdobyczy. To, co przypadło Ksenofontowi, pozwoliło mu kupić posiadłość przy drodze ze Sparty do Olimpii. Tam właśnie spisał większość swojej historii.

Uciąłem narrację w chwili, kiedy Grecy dotarli do morza, gdyż w przeciwnym wypadku nie osiągnąłbym zamierzonej puenty. Musiałem jednak wspomnieć jeszcze o pomyśle Ksenofonta, aby wybudować na wybrzeżu nowe miasto, oraz o tym, że Grecy po długich rozważaniach odrzucili jego propozycję. To zdarzenie wydało mi się najlepszym momentem dla zakończenia powieści o nadzwyczajnym wyczynie, jakim było heroiczne wyjście z Persji dziesięciu tysięcy ludzi.

Conn Iggulden, 2017

Tego autora nakładem Domu Wydawniczego REBIS ukazał się cykl IMPERATOR:

Bramy Rzymu

Śmierć królów

Pole mieczy

Bogowie wojny

Krew bogów

Spis treści

Sokół spartański

Dedykacja

* * *

Mapa 1

Mapa 2

Prolog

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14
15
16
17
18
19

CZĘŚĆ DRUGA
20
21
22
23
24
25
26
27
28
29
30
31

NOTA HISTORYCZNA

Cykl „Imperator”

Spis treści

Strona redakcyjna

Tytuł oryginału: *The Falcon of Sparta*

Copyright © Conn Iggulden, 2018
The moral right of the author has been asserted
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by
REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2019

Informacja o zabezpieczeniach:
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

W publikacji wykorzystano czcionkę z rodziny Liberation
(https://fedorahosted.org/liberation-fonts/)

Redaktor: Agnieszka Horzowska

Projekt okładki: © Penguin Books UK

Opracowanie graficzne polskiej wersji okładki: Zbigniew Mielnik

Fotografie na okładce: © Ancient Hoplitikon of Melb Inc., © Jason Edwards/Getty Images Poland, Shutterstock

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Sokół spartański, wyd. I, Poznań 2020)

ISBN 978-83-8188-746-5

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40, fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

e-Book: Sławomir Folkman / www.kaladan.pl